BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

Biblioteka Śląska

OGÓLNEGO ZBIORU TOM 139.

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA

PISMO POŚWIĘCONE

NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.

1875.

Tom trzeci.

CZYTELNIA LUDOWA W CIESZYNIE.

WARSZAWA.

Skład i Eksp. Głów. w Księg. GEBETHNERA i WOLFFA.

1875.

Дозволено Цензурою.
Варшава 19 Іюня 1875 года

W drukarni Józefa Bergera, w Warszawie, Elektoralna Nr. 14.

DAWNA
RZECZPOSPOLITA DUBROWNICKA,

ZARYS JEJ DZIEJÓW URZĄDZENIA I PIŚMIENNICTWA.

PRZEZ

Kazimierza Pułaskiego.

Wązki pas kraju, leżący po nad Adryatykiem, graniczący na wschód z Bośnią i Hercegowiną, zaludniony został w piérwszéj połowie VII-go wieku (630—640) podczas wędrówki Słowian z Północy ku brzegom morza Adryatyckiego, przez słowiańskie plemiona Chorwatów i Serbów, których mowa nie różniła się wcale od ogólnego języka serbskiego; wszystkie téż cechy narodowe były zrazu jednakie. Przybysze ci, osiadłszy nad Adryatykiem, rozdzielili zajętą ziemię na żupaństwa, zaprowadzając zrazu słowiański system patryarchalnego podziału na gminy, który jednak pod wpływem blizkiego Zachodu, rychło ustąpił miejsca całkiem odrębnym urządzeniom. Najdłużéj opierały się Słowianom, wciskającym się ku brzegom morza, miasta nadbrzeżne: Raguza, późniejszy Dubrownik słowiański, Trochir, Splet (Spoleto) i inne, gdzie w chwili najścia słowiańskiego schroniła się była ludność miejscowa, pochodząca z kolonów rzymskich, przechowując w ten sposób piérwiastek dawny, miejscowy, mający ze swojéj znów strony silnie oddziałać w późniejszych czasach na żywioł słowiański. Piérwiastek ten jednak, wyciskany zrazu przez napływ obcy, powoli ustępował mu miejsca; lecz dość długiego potrzeba było czasu, bo od IX aż do XI-go stólecia, ażeby Raguza i inne miasta nadbrzeżne przeobraziły się w miasta słowiańskie. To atoli zesłowianienie nie zdołało przecież zatrzéć piérwiastku miejscowego, który, jak to daléj widzieć będziemy, korzystnie walczył z żywiołem przybyszowym, a wsparty wpływem włoskim, niejednokrotnie stanowcze odnosił zwycięztwa.

Rozsiadłszy się na samych kresach południowo-zachodnich ówczesnego świata słowiańskiego, plemiona te uległy silnie oddziaływającym nań wpływom Zachodu, w szczególności zaś sąsiedniéj Italii, oddzielonéj od nich wązkiém tylko pasmem morza, ku czemu wielce przyczyniły się także ostatki żywiołu rzymskiego, przechowane w miastach południowych Dalmacyi. Znalazłszy się przytém w zupełnie odrębnych od Serbów i innych pobratymczych plemion okolicznościach i warunkach swego bytu, różne téż od nich przechodząc koleje polityczne, plemiona te przybrały całkiem odrębny charakter i zupełnie odrębne stanowisko; narzecze nawet którém mówili, znacznie się oddali-

REDAKCYA BIBLIOTEKI WARSZAWSKIEJ

ło od pierwowzoru, wytwarzając dyalekt osobny, a chrześcijanizm zaprowadzony tutaj w formie rzymskiego katolicyzmu, jeszcze więcéj odróżnił ich od wschodnich ich pobratymców słowiańskich.

Dzisiejsza Dalmacya, od czasu zajęcia jéj przez Słowian, dzieliła się na dwie części: *północną* czyli właściwą Chorwacyę, rządzoną zrazu przez narodowych królów, uznającą następnie zwierzchnictwo i opiekę Wenecyi a potém Węgier, i *południową*, któréj stolicą był słynny w dziejach południowych Słowian *Dubrownik* (Raguza), którego urządzenia, oświata a głównie piśmiennictwo, tu zaś w szczególności poezya wykształcona na wzorach włoskich, najświetniejszym jest kwiatem umysłowéj kultury Słowian południowych, a różniąc się w głównych swych cechach od piśmiennictwa innych plemion słowiańskich, zupełnie odrębne zajmuje stanowisko.

Dubrownik ze swoim okręgiem stanowił niezależną Rzeczpospolitą, która przetrwać zdołała wszystkie burze polityczne, z jednéj strony napaści sąsiedniéj Turcyi, z drugiéj znów choć mniéj groźne, lecz nie mniéj niebezpieczne dla jéj swobody roszczenia Wenecyi, a choć nieraz uznawała zwierzchnictwo lub opiekę potężnych sąsiadów, jednych lub drugich, to przecież umiała zachować nienaruszonemi swe ustawy i prawa i zabezpieczyć swobodę swego handlu, zostawiwszy w ten sposób światu ślady swéj działalności politycznéj i kultury umysłowéj, aż dopiero w pierwszych latach naszego stólecia ostatecznie zniesioną została. W obecnéj więc pracy zamierzamy opowiedzieć w krótkości koleje polityczne, jakim uległa ta drobna Rzeczpospolita, zaznaczyć główniejsze jéj urządzenia społeczne, wspomnieć o obszernym jéj handlu i wreszcie dać poznać piśmiennictwo, które tak świetnie rozwinęło się w wieku XVI. Przedmiot to ciekawy, a o ile nam wiadomo dotąd u nas nie tknięty. Przedstawiamy go zaś naszym czytelnikom na podstawie najnowszych badań i poszukiwań historyków chorwackich: Ljubicza, Raczki'ego, Matkovića, Parića, Jagića, Kukulievića, Sakcińskiego i innych, posiłkując się niemniéj także pracami niemieckich autorów piszących o Dubrowniku, i tak: Engla, Gebharda, Dümmera, Pettera i t. d.

I.

Dawne Rausium powstało na miejscu starożytnego Epidauru po drugiéj stronie zatoki, zburzonego przez barbarzyńców, osiadłe potém przez Słowian, nazwane przez Greków i łacinników Raguzą [1]), w języku słowiańskim Dubrownikiem, ukształtowało świetną, potężną a nie-

[1]) *Engel* (*Gesch. der Freist. Rag.*) wyprowadza tę nazwę od wyrazu włoskiego *rocca*, ztąd *Roechusa i Rachusa*, na co się nie zgadza *Ljubić*. Patrz rozprawę Ljubića: *Odnošaji mediu Dubrovnikom i Mletci* w Czasopiś: *Rad Jugosl. Akad. Knjiga V i XVII*, do któréj często odnosić się będziemy.

zależną Rzeczpospolitę, rywalkę Wenecyi i Genui na morzach południowych, a zwaną nieraz Atenami słowiańskiemi dla swego handlu, urządzeń wewnętrznych i kultury umysłowéj, wysoko rozwiniętéj w epoce, która zjednała sobie szczytną nazwę epoki odrodzenia.

Najpiérwszą ludność Dubrownika stanowili zbiegli z Epidauru i Salony mieszkańcy, po zburzeniu miast tych przez barbarzyńców, a że składali się z kolonów greckich i rzymskich, przeważnie zaś z tych ostatnich, ztąd od czasu założenia tego miasta (w piérwszéj połowie VII wieku, a wedle niektórych historyków znacznie pierwéj); język łaciński wyłącznie tu był używanym aż do XI wieku, w którymto czasie coraz liczniéj osiadać tu poczęli Słowianie, i wreszcie gdy liczniejsi już byli od miejscowych dawniejszych mieszkańców, wygnali z Dubrownika używany dotąd język łaciński, i zastąpili go swojém serbsko-słowiańskiém narzeczem [1]). Jakie jednak były najpiérwsze formy Rzeczypospolitéj Raguzańskiéj, dotąd wyśledzoném nie jest, niemniéj także mało są znane szczegóły jéj życia politycznego w piérwszych tych czasach; zdaje się atoli, iz przyniesione tu przez kolonów rzymskich zwyczaje i formy społeczne zachować się musiały, mimo przewrotu dokonanego w skutek najścia Słowian. Patrycyat, pozostałość rzymska, przyjętym został przez Słowian, równie jak wiele innych ustaw, wyobrażeń i zwyczajów, co tém naturalniejszém było, iż osiedlenie tu Słowian dokonywało się powoli, nie było zatém w stanie zwalić istniejących już tutaj form życia społecznego. W układach jednak Dubrownika z miastami Pizą i Kottaro w XII wieku (z lat 1169 i 1181), znajdujemy ślady współudziału ogółu w zarządzie miastem, co być musiało następstwem wniesionéj przez Słowian zasady gminy i chwilowym jéj tryumfem, rychło jednak ustąpiło ono miejsca władzy arystokratycznéj patrycyuszów dubrownickich. „Dawna Rzeczpospolita Raguzańska, powiada Antun Sorkoczewicz [2]), założona przez kolonów rzymskich z Epiduaru i Salony, była w początkach swoich arystokratyczno-demokratyczną (une aristo-démocratie), następnie zmieniła się w czystą arystokracyę na wzór Wenecyi i wreszcie—dodaje tenże pisarz—tak jak i każde złe, które starzejąc się wzrasta, tak samo arystokracya ta stała się z czasem prawdziwą oligarchią."

Dzieje polityczne Dubrownika przedstawiają zadziwiającą rozmaitość, kolejne tryumfy lub przymusową uległość dla potężnych sąsiadów; zawsze jednak, przez cały ciąg całego swojego istnienia politycznego, drobna ta Rzeczpospolita zdołała zachować swą niezależność, swe ustawy i urządzenia. W chwilach krytycznych, gdy opór był niemożebnym uznawała zwierzchniczą opiekę obcych państw: Wenecyi, Węgier lub Turcyi; zawsze jednak umiała ustępstwa te wyzyskać umiejętnie, zabezpieczając swe prawa, ustawy i urządzenia, które z małemi różnicami

[1]) *Engel* Gesch. der Triest. Rag. str. 49. *Gebhardi* toż samo s. 500.

[2]) Cytowany przez Ljubića w rozprawie *Odnosaji mediu Dubrovnikom i Mletci* Rad. Tom V, str. 53.

w zewnętrznych swych formach, przetrwały niewzruszone przez długi ciąg wieków. A jeśli znajdziemy w Dubrowniku, w skutek téj właśnie zwierzchniczéj opieki Wenecyi przewagę żywiołu włoskiego, następowało to w skutek wpływów moralnych, nigdy zaś przez parcie politycznéj przewagi.

Po upadku Salony i Epidauru, cała Dalmacya i miasta nadbrzeżne, a między niemi i Dubrownik uznając zwierzchniczą nad sobą władzę Bizancyi, zostawały pod bezpośrednim zarządem Egzarcha Raweńskiego, z ramienia którego wyznaczany prokonsul, rezydujący w Zara, zawiadywał tym krajem [1]). Gdy jednak Egzarchat zburzony został przez Franków i Longobardów, zależność Dubrownika od Bizancyi zasadzała się na opłacaniu rocznéj daniny i dostarczaniu w razie potrzeby pewnéj ilości okrętów wojennych, w X jednak wieku Dubrownik uwolnił się od téj zależności; nie długo przecież trwała zupełna niezależność Rzeczypospolitéj, bo rychło potém zmuszoną była uznać opiekę Wenecyi. Pod koniec bowiem tego wieku (około 998 r.) doża wenecki Piotr II Urseolo, zrobiwszy wyprawę do Dalmacyi, znaczną część jéj zagarnął. Niektóre miasta silny stawiły opór, ale po kolei uledz musiały przewadze siły, inne znów a między niemi Dubrownik, dobrowolnie przystąpiły do związku z Wenecyą, inaczéj powiedziawszy przyjęły opiekę Wenecyi; władza jednak pozostała w ręku zarządu municypalnego, Dubrowczanie składali tylko nie wielką daninę mianując ją „podarkiem Rzeczypospolitéj.” Daninę tę stanowiła piérwotnie sztaba srébra ważąca dziewięć marek, a którą Dubrowczanie składali w ręce weneckiego komendanta na morzu Adryatyckiém (*Capitano del Golfo*), podczas dorocznego objazdu jego po tém morzu. Późniéj danina ta znacznie podwyższoną została.

Jako Rzeczpospolita handlowa, Dubrownik rzadko brał za oręż, przymuszony chyba przez konieczność obrony, lub wciągnięty do walki przez państwa z któremi łączyły go stosunki i przyjazne związki. I tak w IX jeszcze w. Dubrowczanie wszelkich sił używają ażeby odpierać groźnie wciskających się Saracenów, w X wieku po chwilowym oporze stawionym Wenecyanom, łączą się z niemi ażeby gromić piratów morskich czychających na ich okręta po morzach południowych i walczą już na dobre z Samuelem carem bulgarskim. W XI wieku związek z Robertem Gwiskardem, któremu dostarczali okrętów wojennych wciągnął ich w ciężką wojnę z Bizancyą i Wenecyą, a w XII spory z Bośnią znów do walki ich zmuszają. Barich, ówczesny ban Bośnii stanął ze znaczném wojskiem pod Dubrownikiem, ale zmuszony do pokoju (1154), zabezpieczył Dubrowczanom ich handel w Bośnii a na znak przyjaźni składał corocznie w podarku dla Rzeczypospolitéj pewną ilość białych koni. We wszystkich tych wojnach, Dubrownik zawsze pomyślnie wychodził, zawsze umiał zabezpieczyć swą niezależność i swobodę swego handlu.

---

[1]) *Dümmler*: Ueber die ält. Gesch. der Slaven in Dalm. (Wien 1856) s. 21.

W piérwszych latach XIII stólecia, Rzeczpospolita Dubrownicka przyjmuje znowu opiekę Wenecyi i w większą jeszcze wpada zależność, wybierając na książąt swoich patrycyuszów weneckich znakomitego rodu, ci ostatni atoli zaprzysięgali całość swobód i praw jéj, pozostawiając całą niemal władzę w ręku municypalnego zarządu; mimo to przecież wpływy włoskie coraz silniéj oddziaływać poczęły na żywioł słowiański w Dubrowniku.

To owładnięcie zwierzchniczéj władzy przez Wenecyan, nastąpiło w skutek wewnętrznych niezgód i nieporozumień. Pierwéj urząd rektora Rzeczypospolitéj, wybieranego z grona najdostojniejszych obywateli miasta, był rocznym. Jeden atoli z rektorów, imieniem Damian Juda, dubrownicki Marino Falieri, po upływie roku swojego urzędu, chciał nadal pozostać rektorem, co téż udało mu się dosięgnąć. Po upływie jednak drugiego roku, chciał na rok trzeci przedłużyć swą władzę i utrwalić ją tak, aby stać się wszechwładnym naczelnikiem Rzeczypospolitéj. Usiłowaniom tym sprzeciwiającym się zasadniczym prawom Dubrownika, oparło się wielu a między niemi przemożny dom Bobali'ch. Damiano rozkazał uwięzić trzech Bobali'ch, ci jednakże ucieczką zdołali uniknąć więzienia. Krok ten gwałtowny i samowładny, zapowiadający upadek swobód wolnéj Rzeczypospolitéj oburzył i przeraził całą szlachtę. Jeden z pomiędzy nich Beneszić, zięć Damiana, a niechętny mu, zaproponował senatowi ażeby poddać się pod opiekę Wenecyi, gdyż przy obecnym stanie rzeczy, nie będą mogli im się oprzéć, wówczas bowiem Wenecyanie zająwszy Zarę grozili Dubrownikowi.

Po burzliwych naradach, senat przyjął podany wniosek i sam Beneszić wysłany został do Wenecyi dla zawarcia umowy, w tajemnicy jednak rzecz całą zachowano. Na mocy układu zawartego przez Beneszica w Wenecyi, Dubrowczanie zobowiązali się wybierać weneckich patrycyuszów na naczelników swoich, zastrzegając jednak iż dawne prawa i urządzenia Rzeczypospolitéj żadnego nie poniosą uszczerbku. Zaraz więc Wenecyanie uzbroili dwie galery i wysłali je do Dubrownika. Poseł ich Morozini przybił u Lacromy, małéj wysepki należącéj do Rzeczypospolitéj, zmyślając iż płynie do Konstantynopola i że nie długo tam się zatrzyma; tymczasem odwiedził Damiana i zaprosił go do siebie na okręt. Nieprzypuszczając podstępu, rektor dubrownicki udał się na galerę wenecką, zaledwie jednak wstąpił na pokład, rozpięto żagle i galera odpłynęła unosząc ambitnego Damiana, który z rozpaczy iż nie dopiął swoich zamysłów, rozbił sobie głowę o ściany okrętu. Miało to miejsce w 1204 roku. Natychmiast patrycyusz wenecki Lorenzo Querini przysłany przez signorię, wybrany został na *Conte* miasta. Obiór ten dokonywał się w chwili, gdy pospólstwo nie zadowolone ze zmiany rządu, plądrowało pałac w którym mieściły się władze rządowe. Następca Queriniego Jan Dandolo (1216) przez dumę i samowolę oburzył Dubrowczan, którzy odtąd razy kilka kusili się zrzucić uciążliwą opiekę Wenecyi; daremne jednak były te usiłowa-

nia i nie długo później (1232 roku) zawarty został nowy układ, na mocy którego Dubrowczanie na nowo zaprzysięgli wierność Wenecyi i przysięgę tę odnawiać mieli co lat dziesięć. Daléj zobowiązywali się wypłacać pewną daninę coroczną i uzbrajać własnym kosztem kilka okrętów, a dla dotrzymania téj umowy, sześciu najznakomitszych Dubrowczan jako zakładników stale przebywać miało w Wenecyi [1]).

Protektorat wenecki z małemi przerwami trwał półtora wieku (od 1204 do 1358 roku) i w ciągu tego czasu było w Dubrowniku 62 książąt weneckich, poczém zastąpionym został przez protektorat węgierski. Gdy bowiem w 1357 roku wybuchła wojna między Ludwikiem królem węgierskim i Wenecyą, i gdy Węgrzy zajęli Zarę i kilka innych miast dalmackich, a rychło potém całą prowincyę, Dubrowczanie skorzystali z téj okoliczności ażeby uwolnić się od coraz uciążliwszéj przewagi Wenecyi, poddając się pod opiekę Węgier. Wysłane więc w tym celu poselstwo, zawarło konwencyę z królem węgierskim, na mocy któréj Dubrowniczanie zobowiązywali się płacić królowi węgierskiemu i jego następcom po 500 dukatów w złocie, królowi serbskiemu po 2050 perperów [2]) a banowi bośniańskiemu po 500 perperów. Na okrętach dubrownickich powiewać odtąd miała flaga węgierska, naczelnik Rzeczypospolitéj wybrany przez miasto, miał być potwierdzony przez króla, w razie zaś potrzeby Dubrownik zobowiązywał się dostarczyć pewną ilość okrętów wojennych. Gdyby król węgierski lub jego zastępca przybył do Dubrownika, *honorifice* miał być przyjmowany kosztem Rzeczypospolitéj, a w kościele katedralnym dubrownickim, trzy razy do roku zaśpiewać miano królowi węgierskiemu „slava." Ze swojéj znów strony, król węgierski przyrzekał bronić Rzeczpospolitę Dubrownicką przeciw każdemu i wszystkim jego nieprzyjaciołom [3]). Układ ten ratyfikowany 27 maja 1358 roku, na czas długi usunął Rzeczpospolitę od opieki i zwierzchnictwa Wenecyi.

---

[1]) Patrz cytowaną wyżéj rozprawę Ljubi'ca, *Rad jugosl Ak.* Tom V str. 95.

[2]) *Perpera* 12 (denarów) drobna moneta dubrownicka, którą wybijano od 1272 roku. W XIV wieku senat postanowił ażeby z 11 uncyj srebra i 1 uncyi miedzi wybijano 14 perperów; w późniejszych czasach znacznie zredukowano ich wartość. Mówiąc o monecie dubrownickiéj zaznaczyć musimy, iż na mocy prawa wydanego przez senat w 1592 roku, polska moneta a mianowicie rygskie *grosze* króla Zygmunta, wyrównywające dawnym *Articulosom* dubrownickim, miały kurs w Rzeczypospolitéj, i przez czas długi najpospolitszą były monetą. Kanonik Arbanos z Dubrownika, historyk i numizmatyk jest zdania, że moneta ta, za wyłącznym na to konsensem króla polskiego w samym Dubrowniku była wybijana w pewnéj oznaczonéj ilości (*Neigeb. Die Süd. Slav. str. 95*), nie zdaje się nam jednak, aby to przypuszczenie było prawdopodobném.

[3]) *Matković. Prilozi k trgovačko-političkoj historiji republike dubrovačké, Rad jug. Ak. 1869*, VII str. 192.

Odtąd rozpoczyna się najświetniejsza epoka dziejów Dubrownickich, handel szczególniéj Dubrowczan nadzwyczaj się rozwinął w owéj epoce, o nim więc tutaj słów kilka powiedzieć wypada [1]).

Obszerny i daleki handel morski, sięgający odległego Wschodu, wybrzeży Afryki, południowych kończyn Włoch i Hiszpanii stanowił główną potęgę téj drobnéj Rzeczypospolitéj. Przy ciągłym rozwoju handlu, wzrastały także bogactwa i zamożność jéj obywateli. Małe to państewko, którego ludność w najświetniejszéj epoce nie przenosiła siedemdziesięciu kilku tysięcy mieszkańców, lecz którego stolica Dubrownik, przynęcając osiedleńców słowiańskich lub włoskich przybyszów tak szybko się wznosił, że był czas iż liczył aż do 30000 ludności (w XVI wieku), posiadając szczupłe terrytoryum i ziemię nieurodzajną, zwróciło całą swą uwagę na handel i marynarkę, a rozwijając je na wielką skalę, rychło zasłynęło bogactwem. Handel Dubrowczan rozszerzał się po wszystkich morzach południowych, statki ich przybijały w portach Konstantynopola i Wenecyi, głównych stacyach średniowiecznego handlu dwóch światów, a ztamtąd naładowane wschodniemi towarami rozwoziły je daléj.

Dla zapewnienia swobody swojego handlu i bezpieczeństwa jego, Dubrowczanie zawierali przyjazne stosunki, traktaty i wzajemne umowy z sąsiedniemi państwami. Nie mówiąc już o włoskich ich sąsiadach z Zachodu, z któremi łatwo mierzyć się mogli, lub o Serbach i Bośniakach, Dubrowczanie z potężnym a zawsze groźnym swym sąsiadem wschodnim traktowali często jak równy z równym, mimo tak rażącéj różnicy liczebnéj i tak wielkiéj przewagi siły potężnych Osmanlisów. Pominąwszy mniéj ważne układy i traktaty, wspomnimy tu kilka główniejszych, które przeważnie wpłynęły na handel Dubrowczan. I tak w XII wieku, senat Dubrownicki wysłał poselstwo do sułtana Orchana, syna Osmanowego, aż do Brussy, rezydencyi potężnego padyszacha, który panował na Hellesponcie, Propontydzie i mógł bronić wejścia na morze Czarne. Potęga jego na morzu zmuszała wszystkie kraje południowe, te szczególniéj które handlem się trudniły, ubiegać się o przyjazne z nim stosunki. Dla Dubrowczan opieka jego konieczną była, bo Grecy od czasów cesarza Andronika nie posiadali już marynarki wojennéj, a Genueńczycy, Wenecyanie i wyspiarze z morza Śródziemnego dopuszczali się nieraz bezprawi i gwałtów na handlowych flotyllach, które dostatecznego oporu stawić nie były w stanie. Posłowie więc Dubrowniccy zawarli układ z potężnym Orchanem i w imieniu Rzeczypospolitéj zapewnili mu roczną daninę, wynoszącą 600 cekinów; sułtan zaś ze swojéj znów strony uwolnił statki dubrownickie od cła i przyrzekł opiekę swoją nad niémi. W XVI znów wieku (1521), Soliman II, ów najpotężniejszy władca Wschodu, rozszerzył jeszcze więcéj swobody handlu Dubrowczan na Wschodzie i pozwolił

[1]) Obszernie o handlu Dubrownickim opowiada Matković w powyżéj wymienionéj rozprawie.

im zakupywać zboże w swojém państwie, za co tamci musieli mu się opłacać nową daniną, którą jednak zwali podarkiem. Inne znów traktaty i układy, zabezpieczały handel Dubrowczau w Egipcie i Syryi a z drugiéj znów strony w ziemiach korony węgierskiéj, we Francyi, Anglii i Hiszpanii.

W XV wieku (około 1450), Dubrowczanie posiadali trzysta okrętów handlowych. W owéj też epoce mieli w wielu miastach sąsiednich krajów swoje faktorye, niby dzisiejsze domy komissowe i handlowe, ułatwiające im ich interesa i pilnujące ich handlu. Były to jakby kolonie, z konsulem na czele, miały zwykle swój kościół i cmentarz, szpital i własny swój sąd handlowy. Najważniejsze z nich były: w Carogrodzie, Adryanopolu, Sylistryi Ruszczuku, Sofii, Belgradzie i innych. Takież same faktorye mieli także w Egipcie: w Aleksandryi i Kairze, w Małéj Azyi: w Brussie i Smirnie, a we Włoszech: we Florencyi, Genui, Messynie, Syrakuzie, Palermo i innych miastach. Opieka Turcyi, którą zjednać sobie umieli, choć nie bez ofiar wprawdzie, zabezpieczała ich handel w Egipcie i Syryi, wówczas nawet gdy Genueńczycy i Pizańczycy byli zmuszeni ustąpić z tych krajów.

Statki dubrownickie, o których w IX jeszcze wieku wspomina Konstanty Porfirogenita, mówiąc iż przewoziły znaczne siły do Apulii, ważną nieraz odgrywały rolę wśród ciągłych walk i sporów miast włoskich. W XV wieku podczas wojny Wenecyi z księciem Ferrary (1482-1484), Dubrowczanie dawali pomoc księciu przeciwko potężnéj ich rywalce. Obrażony senat wenecki, aby pomścić się za to, wiedział w jaki sposób najdotkliwiéj ugodzić Dubrowczan, wydał tedy postanowienie, mocą którego ścieśnił i utrudnił handel Dubrownika z Wenecyą. Cios to był wielki dla Rzeczypospolitéj, nie odstąpiła przecież swego sprzymierzeńca, a iżby wynagrodzić straty jakie ponosiła w skutek tego, wszelkich dołożyła usiłowań aby rozszerzyć i powiększyć swą działalność handlową na Wschodzie, dla zabezpieczenia się zaś od Wenecyi, wznieśli twierdzę *Malo*, w części dotąd istniejącą. W następném zaś stóleciu, podczas wyprawy Karola V do Tunisu przeciw Chairedelin-Barbarossie, cztery statki dubrownickie uczestniczyły w niéj także, i powróciły do domu bogatym łupem naładowane. Mniéj pomyślnie udała się druga wyprawa Karola na Algier w 1541 roku; z jedénastu okrętów dubrownickich, które brały w niéj udział, sześć tylko zdołało uratować się, a reszta wraz z całą załogą do szczętu zniszczone zostały.

Protektorat węgiersko-chorwacki trwał w Dubrowniku do czasu, gdy wzrastająca ciągle przewaga Turcyi coraz silniéj grozić poczęła Węgrom i całemu Chrześcijaństwu, a słynna klęska pod Mohaczem w któréj poległ król Ludwik (1526) wykazała całą potęgę Wschodu a z drugiéj znów strony niedostatek obrony. Opieka Węgier póty tylko użyteczną była dla Dubrowniczan, póki dzierżyli w swém posiadaniu część Dalmacyi i silne mieli wpływy w Serbii i Bośnii, odkąd zaś oba te kraje upadły, a potęga turecka coraz się wzmagała, Węgry osłonić

już nie mogły Dubrownika od licznych napaści tureckich, znowu więc kolejno widzimy tam opiekę Wenecyi, coraz bardziéj wyciskającéj swym wpływem żywioł słowiański, lub téż ściślejsze stosunki z Turcyą, która za daniny ciągle powiększane, ustępowała od swych roszczeń i zostawiała przy życiu to drobne państewko, które łatwo zniszczyć była w stanie. I tak w 1453 r. po zdobyciu Konstantynopola, sułtan podniósł daninę Dubrowczan z 1500 na 3000 dukatów, za to iż senat dawał schronienie i przytułek chrześcianom uciekającym z pod jarzma tureckiego. W 1474 r. danina wynosiła już 8,000 dukatów i jeszcze podniesioną była, a to dlatego, iż przy obronie miasta Skutari dwóch Dubrowczan odznaczyło się było. W ostatnich wreszcie czasach, danina opłacana Turkom, wynosiła 40,000 piastrów tureckich, za to jednak Dubrownik ważne miał od Turcyi przywileje; z tych najważniejszym dla ich handlu był przywiléj zaopatrywania w sól Bośnii i Hercegowiny, zkąd znaczne ciągnęli dochody.

W historyi Dubrownika spotykamy kilka ciekawych szczegółów wspaniałomyślnéj gościnności Rzeczypospolitéj, niezważającéj nieraz na względy polityczne, a kierującéj się zawsze szlachetném współczuciem dla nieszczęścia i niedoli. Jeszcze w 1192 roku, Ryszard Lwie Serce, ów romantyczno rycerski król Anglii, powracając ze Wschodu, wspaniale był podejmowany i goszczony przez senat dubrownicki a w 1396 roku z równąż gościnnością przyjmowany był król Zygmunt węgierski. Pobity przez sułtana Bajazeta w słynnéj bitwie pod Nikopolis (28 września1396 r.), uchodził z życiem tylko w towarzystwie Jana Kanische Arcybiskupa Granu. W grudniu tegoż roku przybił on do wyspy Lacromy. Senat przez dni dziewięć wspaniale go podejmował, opatrzył w pieniądze i zbroje, a gdy odjeżdżał, dodał mu eskortę honorową złożoną z trzech patrycyuszów dubrownickich: Bona, Gerva i Gozze. Zygmunt ujęty tém przyjęciem, wyniósł ówczesnego rektora Rzeczpospolitéj Maryno Resti, na kawalera Złotéj ostrogi, i obdarzył go złotym łańcuchem i parą złotych ostróg, chcąc iżby godność ta przechodziła na wszystkich późniejszych rektorów, co jednak senat uchylił. Marmurowa tylko tablica z pamiątkowym napisem przybitą zostało na pałacu senatorskim. Również sławiony w pieśniach Czarnogórców, bohatér ich Jerzy Kastriotisz (Skanderberg), po trzykroć znajdował gościnne schronienie w Dubrowniku. Przyjęcie to tém więcéj przynosi zaszczytu Dubrowczanom, gdyż pewni być mogli gniewu sułtana, który podwoił za to płaconą przez nich daninę. Nie mniéj przeto po zdobyciu Konstatynopola przez Mahometa, w Dubrowniku znalazły schronienie znakomite rodziny greckie Laskarysów, Komnenów, Paleologów, Kantakuzenów i inne, jak również wielu uczonych greckich, uciekających z pod jarzma tureckiego, a unoszących z sobą skarby starożytnéj oświaty helleńskiéj, mające otworzyć nową epokę w dziejach kultury Zachodu. Obsypani darami, ruszyli oni ztamtąd na dwór Wawrzyńca Medyceusza, który był niemniéj gościnny i światły.

Rzeczpospolita Dubrownicka przetrwała aż do ostatnich lat XVIII stólecia; w owym dopiero czasie przewrót dokonany przez Bonapartego, zadał cios ostatni jéj niezależności politycznéj. Od dawnych bardzo czasów była w Dubrowniku przepowiednia dotycząca upadku jego a troskliwie przekazywana z pokolenia w pokolenie. Jeszcze w 1221 roku, Franciszek z Assyżu, znajdując się w tém mieście, zapytany przez senat, jak długo Rzeczpospolita istnieć będzie, odpowiedział: „że Dubrowczanie tak długo pomyślnością cieszyć się będą, póki bram swych nie otworzą obcym wyznaniom." Potém odwoływano się na proroctwo świętego Giacomo della'Marca, który w kościele katedralnym z kazalnicy ogłosił był: że „Rzeczpospolita wówczas utraci swą niezależność, gdy w murach Dubrownika stanie kościół obcego wyznania." Długo więc senat troskliwie pilnował tych przestróg, nieznosząc wyznań obcych w Rzeczypospolitéj, i często ponawiane prośby greckich Serbów którzy z wielu dogodnemi nawet dla miasta warunkami, osiedlić się chcieli w Dubrowniku i własny mieć kościół, stale odrzucane przezeń były. Dopiéro w 1780 roku w skutek układu z konsulem rossyjskim zawartego, budować poczęto cerkiewkę na przedmieściu Pille, na maleńkim placu otoczonym w koło murem. Cesarzowa Katarzyna II hojnie ją uposażyła. Starzy Dubrowczanie przypisywali upadek swego miasta pogwałceniu dawnych tradycyi.

Dla uzupełnienia obrazu politycznych kolei jakie przechodził Dubrownik, pozostaje nam jeszcze skreślić ostatnie chwile téj drobnéj Rzeczypospolitéj. Gdy w 1796 i 1797 latach, Francuzi zajęli wyspy Jońskie, Dubrowczanie drżeli już o los swój. I rzeczywiście, rychło potém w porcie ich zjawiły się dwa okręty wojenne z komisarzem francuzkim, który zażądał od senatu pożyczki miliona liwrów. Senat nie będąc w stanie żadnego stawić oporu, wiedząc przytém że takowy do niczego nie doprowadziłby, wyliczył natychmiast dość znaczną summę, co tylko mógł zebrać, o zwrocie jednak tych pieniędzy i mowy nie było. W skutek takiego rabunku, finanse Rzeczypospolitéj znalazły się w opłakanym stanie; aby zaradzić temu, senat wydał rozporządzenie, iżby każdy mieszczanin zakupił oznaczoną ilość soli z magazynów rządowych. Monopol soli przynosił Rzeczypospolitéj znaczne dochody: był to więc rodzaj łatwego i nieuciążliwego dla mieszkańców podatku. Mimo to jednak, ludność cała niezadowolona z tego rozporządzenia, oparła się spełnieniu onego, wybuchły nieporządki i zamieszania. Senat nie mogąc im zaradzić, polecił rezydentowi swojemu w Wiedniu, ażeby wyprosił u rządu cesarskiego jakich kilka tysięcy żołnierzy dla poskromienia nieporządków. Wkrótce téż generał Braddy z oddziałem wynoszącym 1,700 ludzi wysłany został do Dubrownika, gdzie rychło porządek przywrócony został. Niedługo jednak istnieć już miała Rzeczpospolita. Nadszedł rok 1806, ostatni jéj egzystencyi politycznéj. Francuzi zajęli całą Dalmacyą, Rossyanie zaś, którzy opanowali Korfu, wysłali ztamtąd pewną ilość okrętów do zatoki Cattaro i z łatwością zajęli kilka nadbrzeżnych miejsc obronnych;

chcieli także wejść do Dubrownika, ale senat zaprotestował, świadcząc o swéj neutralności, obawiał się bowiem odwetu Francuzów. Ci ostatni jednak, pod pozorem wyparcia Rossyan z Cattaro, weszli do Dubrownika w dniu 27 maja. 1806 roku, chociaż Dubrowniczanie zupełnie bierne względem Rossyan zachowywali stanowisko. Wprawdzie generał Lauriston zapewniał w swéj proklamacyi, że to zajęcie było tylko chwilowém, niemniéj przeto losy Dubrownika niepomyślnie rozstrzygnąć się miały. Wówczas jeden z patryotów dubrownickich imieniem Carboga, przedłożył senatowi projekt, ażeby wszyscy mieszkańcy opuściwszy swe domy, wsiedli na okręty, których znaczna ilość stała w porcie, i na jednéj z wysp greckich nowy Epidaur założyli, łatwo bowiem przewidzieć można było, że Rzeczpospolita ponieść ma cios śmiertelny. Ten śmiały atoli projekt nie tak łatwo mógł być wykonanym, rychło téż zbliżyli się Rossyanie i oblegli Francuzów zamkniętych w Dubrowniku. Oblężenie było długie i ciężkie, i generał Lauriston rozrządzający nadzwyczaj szczupłemi siłami, byłby uległ przeważającéj liczbie nieprzyjaciół, gdyby nie przybycie generała Molitora ze znacznemi posiłkami; mimo to przecież, straty jakie w skutek tego oblężenia miasto poniosło, liczono na kilkanaście milionów, i odtąd nie powróciło już nigdy do dawnéj świetności.

Dwa lata jeszcze istniały dawne formy Rzeczypospolitéj Dubrownickiéj, lecz z imienia tylko. Wreszcie dekretem z dnia 31 stycznia 1808 roku, ostatecznie została zniesioną, a następnego roku Dubrownik ze swym okręgiem i całą Dalmacyą wszedł w skład nowego królestwa Illiryi. Cattalanich w swoich pamiętnikach przechował nam szczegóły ostatniego posiedzenia senatu dubrownickiego: „Właśnie senat zgromadzonym był na sali obrad—powiada on—gdy adjutant generała dowodzącego wojskiem okupacyjném, przyniósł i odczytał dekret kasujący Rzeczpospolitą. „Zgromadzenie wasze jest już rozwiązane—rzekł on—możecie wracać do swych domów i swych zajęć równie jak inni mieszczanie." „Senator Sorgo chciał protestować przeciwko podobnemu gwałtowi, lecz ponownie zrobiono mu uwagę, że Rzeczpospolita już nie istnieje, a on sam przestał być senatorem, ztąd nie miał nawet prawa przemawiać publicznie." I zaraz wyznaczony został zarząd wojskowy w osobie Marmont'a, cokolwiek zaś późniéj generalnym administratorem został Domenico di Gazagnini. Wreszcie w dniu 29 stycznia 1814 roku, Dubrownik wydany został wojskom austryackim i odtąd stanowi jeden z czterech okręgów Dalmacyi.

Taki był koniec Rzeczypospolitéj dubrownickiéj, przedstawiającéj pod wielu względami jedyny może w dziejach ludzkości przykład. Przeglądnąwszy koleje jéj losów politycznych, podziwiać należy przezorność jéj senatu i głęboki zmysł polityczny dawnych rektorów, którzy utrzymać ją umieli przez tyle wieków w niezależności, okupionéj wielkiemi nieraz ofiarami i ochronić jéj ustawy i prawa. Rzeczpospolita dubrownicka przetrwała wszystkie burze polityczne: napaści Turków obalić jéj nie mogły, przewaga Wenecyi jakkolwiek utrwalała swe

wpływy w Dubrowniku, nie zdołała przecież zatrzéć dawnych wspomnień i tradycyi, uwydatniających się w urządzeniach społecznych i formach bytu politycznego. Stokroć silniejsze i potężniejsze państwa upadały, o wiele znaczniejsze republiki jak np. Piza i Genua utrzymać nie mogły swéj niezależności; jeden tylko Dubrownik potrafił ochronić swoją egzystencyę wówczas nawet, gdy prawo silniejszego jedyném było na świecie. Nikomu nieszkodliwe, bez roszczeń i pretensyi nielegalnych, sobą tylko zajęte, drobne to państewko jedenaście wieków żyło i skrzętnie jak mrówka pracowało, nie czyniąc krzywdy nikomu, a broniło tylko swych ustaw, urządzeń i wedle sił swoich szczupłego swego terytoryum; broniło je, aby minąwszy wieki ciemnoty i ucisku, stać się pastwą państw potężnych w wieku XIX, w wieku cywilizacyi i postępu!

II.

Mówiliśmy powyżéj, iż pierwotne urządzenia Rzeczypospolitéj Dubrownickiéj są nieznane, z późniejszych dopiéro czasów dokładniéj zbadanych na podstawie zachowanych świadectw, widzimy iż cały porządek form administracyjnych i społecznych, ukształtowany był na wzorach włoskich. Jak w Wenecyi tak i w Dubrowniku wszystkie ustawy były czysto arystokratyczne, przewaga szlachty bogatéj, potężnéj i wysoko wykształconéj, ciążąc na innych warstwach społeczeństwa, dzierżyła w swém ręku wszystkie przywileje i prerogatywy, cały ster władzy. Rząd wewnętrzny składał się w Dubrowniku z wielkiéj rady, z senatu i z małéj rady.

W wielkiéj radzie zasiadał każdy szlachcic dubrownicki, który zapisany był w księdze szlacheckiéj zwanéj *Specchis della Nobilta*, a liczący przeszło lat dwadzieścia wieku i który nie popełnił żadnego występku; w takim razie usunięty od wszelkich urzędów i przywilei, wygnany był na wysepkę świętego Andrzeja. W ich ręku była moc prawodawcza, ustanawiania podatków, wybór urzędników który się odbywał corocznie w dniu 15 grudnia, oraz przyjmowanie nowych członków do stanu szlacheckiego. Nowo jednak uszlachcony długi czas nosił upakarzającą nazwę parweniusza: *nuovo*, przechodzącą nawet na jego potomstwo; ztąd niewielu chciało zmieniać swój herb mieszczański na koronę szlachecką.

Senat, złożony był z czterdziestu pięciu senatorów *(Pregati)*, którzy przygotowywali projekta praw przedstawiane wielkiéj radzie, zawiadywali sprawami zewnętrznemi, mianowali konsulów i posłów, a w sprawach sprawiedliwości stanowił instancyą apelacyi. Aby postanowienie senatu było legalném, najmniéj czterdziestu senatorów musiało być obecnych przy naradach. Z pomiędzy członków wielkiéj rady dwunastu było zawsze wybranych, aby w razie gdy który senator umrze, miejsce jego zastąpić. Jeśli z tych dwunastu kandydatów, czte-

rech przeszło już było do senatu, nanowo odbywano wybory. Mała rada składała się z siedmiu członków i miała w swém ręku władzę wykonawczą, prowadzenie korrespondencyi zagranicznéj i przesłuchiwania posłów, w każdéj jednak ważniejszéj sprawie odwoływała się do senatu i wielkiéj rady.

Senator z tytułem *Priore*, potém *Conte*, wreszcie *Rettore*, a czasem zwany *Principe*, stał na czele zarządu; u niego znajdowała się pieczęć Rzeczypospolitéj i klucze miasta, władza jednak rektora nadzwyczaj była ograniczona: polegała bowiem na przodowaniu na sesyach senatu i wielkiéj rady, równie jednak z innemi miał jeden głos tylko. W razie jego nieobecności, zastępował go najstarszy z senatorów, bez niego jednak żadne postanowienie uchwaloném być nie mogło. Urząd rektora był roczny aż do 1204 roku, odtąd zaś w skutek bezprawnego przywłaszczenia sobie władzy przez jednego z rektorów, Damiana Juda, o czém powyżéj mówiliśmy, termin urzędu tego ograniczono na jeden tylko miesiąc, aby ustrzedz się na przyszłość od podobnych uzurpacyi; przez czas jednak trwania protektoratu weneckiego, władza rektorów jeszcze bardziéj uszczuploną była i rektor podrzędną tylko miał rolę obok naczelnika Rzeczypospolitéj przysyłanego z Wenecyi.

Podczas urzędowania swojego rektor zamieszkiwał pałac rządowy. Ubiór jego na sposób dożów weneckich, składał się z czerwonéj togi, trzewiki i pończochy były również czerwone (już u byzantyńskich cesarzy oznaka najwyższéj władzy). Na lewéj stronie płaszcza była związana przepaska z czarnego aksamitu; obfita peruka spadała na kark i plecy. Wszyscy urzędnicy począwszy od senatora aż do kopisty nosili czarne płaszcze i wielkie peruki. Oznakę urzędników ze szlacheckich rodów, stanowiły trzy małe wyszywki na todze, wszyscy zaś inni (z mieszczan) mieli dwie tylko. Gdy rektor szedł z pałacu rządowego, towarzyszyli mu zawsze członkowie małéj rady i tak zwani *Cancellaria*. Przodem szła muzyka a z tyłu postępowało dwunastu pachołków ze służby pałacowéj, także czerwono odzianych.

Z pomiędzy senatorów corocznie wybierano pięciu, zwanych *provveditori*, każdy z innéj rodziny i nie mniéj lat pięćdziesiąt wieku. Obowiązkiem ich było pilnowanie praw i ustaw, przestrzeganie nadużyć urzędników i t. d. W pewnych okolicznościach mieli prawo *liberum veto* i mogli nakazać powtórne przepatrzenie wszelkich wyroków i dekretów małéj rady. Bez większości siedmiu ósmych głosów w wielkiéj radzie, żadne prawo zmienioném być nie mogło, a dla utrwalenia nowego prawa wymagano większości trzech czwartych głosów. Corocznie także obierani byli z grona starszych senatorów skarbnicy, których obowiązkiem było obliczanie skarbu publicznego, zawiadywanie publicznemi i pobożnemi zakładami, oraz wykonawcy testamentowi.

Na czele każdego z jedenastu okręgów Rzeczypospolitéj stał urzędnik zwany *Conte*, *Representante* lub *Capitano*, a który zarazem był sędzią w pierwszéj instancyi w sprawach tak cywilnych jak i kry-

minalnych. Dozór nad handlem wełny, stanowiącym nadzwyczaj ważny dochód dla Dubrowiczan, powierzony był trzem senatorom, a dozór nad policyą zdrowia i zakładami leczniczemi (już od 1430 roku) pięciu oddzielnym urzędnikom. Na skarbników wybierano tylko bogatych i zamożnych obywateli miasta, którym oddawano także w depozyt pieniądze wdów i sierot. Dwóch urzędników prowiantowych sprowadzało do miasta wszelkie artykuły żywności, a czterech urzędników celnych pilnowało cła i akcyzy. Wszyscy urzędnicy wyżsi, wybierani po większéj części ze szlachty, służyli tylko *honoris causą* nie biorąc zapłaty, tylko naczelnicy okręgów pobierali stałą pensyę. Rzeczpospolita na własnym koszcie utrzymywała trzech lekarzy i dwóch chirurgów, którzy musieli być krajowcami i kosztem skarbu kształcili się na uniwersytetach włoskich. Dowodem wysokiéj cywilizacyi było założenie domu podrzutków w Dubrowniku jeszcze w 1430 roku, również nadzwyczaj użytecznemi były magazyny zapasowe, utrzymywane przez rząd dla zabezpieczenia miasta od głodu, tak że w latach nieurodzajów powiększała się tylko drożyzna, nigdy zaś nie było takiego głodu jak w sąsiedniéj Dalmacyi. Przychody tego małego państewka wynoszące około 40,000 dukatów w XVI wieku, składały się z dziesięciny, cła i patentów okrętowych, głównie jednak z monopolu soli. A iżby powiększyć przychody ze sprzedaży tego produktu, każdy kapitan okrętowy był obowiązany po upływie trzechletniego patentu swego na okręt, w powrocie do ojczyzny, w Sycylii lub gdzieindziéj zakupić pewną ilość soli i dostarczyć ją do magazynów publicznych.

Ludność Rzeczpospolitej Dubrownickiéj składała się ze szlachty (*Nobili* lub *Patrici*), mieszczan (*Cittadini*) mających prawo do niższych urzędów, ludu (rękodzielnicy, żeglarze, Grecy i Żydzi) i włościan (*plebs*). Wśród szlachty było dwie kategorye: starsza i nowsza szlachta; pierwsi zwali się *Salamanchesi*, drudzy *Sorbonnesi*. Pochodzenie nazw tych jest nieznane ale nadzwyczaj dawne. Sorbonnesi otrzymali swoje dyplomy szlacheckie po sławném trzęsieniu ziemi 1667 roku, w którym wiele rodzin szlacheckich zginęło: wówczas z klassy Cittadinich uszlachcono jedenaście rodów. Mieszczanie na wzór szlachty dzielili się także na dwie koterye: *Antonini* i *Lazzarini*. Pierwsi w większém byli poważaniu i własną mieli konfraternię. Szlachta łączyła się tylko między sobą, niedopuszczając do swych związków małżeńskich żadnego przybysza z klas niższych. Dopiero w 1763 roku, silny spór wybuchł między Salamanchesi i Sorbonnesi, w skutek tego iż pewien młodzieniec należący do staréj rodziny szlacheckiéj chciał się żenić z córką także szlachcica, lecz należącego do niższéj klassy, czego dawne prawa nie pozwalały, i ztąd senat nie chciał dać zezwolenia na to małżeństwo. Silna jednak nastąpiła protestacya ze strony młodzieży staréj i nowej szlachty i wreszcie senat był przymuszony zezwolić na to małżeństwo, co wpłynęło także na inne prawa téjże saméj natury. Pierwéj wyżsi urzędnicy wybierani byli wyłącznie tylko z grona szlachty, w tym zaś roku uchylono to prawo i przedział ten upadł, tém bardziej iż co-

raz mniéj zostawało starych rodów szlacheckich. W XVI wieku było ich trzysta, a w 1605 roku liczono już 99 wymarłych. Przyczyną tego było zwyczajne wymieranie bez odnawiania się, głównie zaś silne zarazy które wiele razy grassowały w Dubrowniku. I tak w 1348 roku sroga ta klęska, trwając przez całych sześć miesięcy wydarła życie 48 patrycyuszom, 300 mieszczanom i 700 plebejom. Powtórnie w 1481 roku zaraza zawitała do Dubrownika i wówczas zmarło 92 patrycyuszów i 42 patrycyuszek. Najsilniejsza jednak była w 1521 roku, wówczas 2000 osób padło ofiarą téj strasznéj klęski. Zrazu zaraza ukazała się tylko w mieście, gdy jednak większa część mieszkańców wyniosła się na sąsiednią wysepkę Gravosę, i tam przebywali na okrętach lub pod namiotami, zaraza i tam się dostała dziesiątkując ludność. Również pamiętném było w Dubrowniku straszne trzęsienie ziemi w 1667 roku, w skutek którego zginęło 6000 ludzi.

Ze staréj szlachty dubrownickiéj, kilkanaście rodzin aż dotąd pozostało i zapisani zostali w księgę dziedzicznéj szlachty austryackiéj. Niektóre z nich wywodzą się z bardzo odległych czasów. Tak np. protoplastą żyjącéj dotąd rodziny *Sorgo* miał być kupiec albański, który podczas trwającego głodu w XIII wieku, zakupił żywności za znaczną summę i zadarmo rozdał ją między ubóstwo, za co otrzymał od senatu Dubrownickiego dyplom szlachecki z nazwiskiem Sorgo. Inna znów rodzina *Giorgi* wyprowadza się od Mateusza Giorgi, który w 1378 roku w bitwie pod Chioggia między Wenecyanami i Genueńczykami dowodził jedną galerą, i za odznaczenie się i męztwo, otrzymał herb, wyobrażający genueński krzyż czerwony.

Z powyżéj przedstawionych urządzeń społecznych w Dubrowniku widzimy, iż mimo że to miasto z swym okręgiem stanowiło wolną Rzeczpospolitę, to jednak na wzór Wenecyi nieprzebyta otchłań rozdzielała wszystkie stany, a wszelkie przywileje i prerogatywy były wyłącznie tylko atrybucyą szlachty. lud zaś był przygnębiony i uciśniony. Na głównym placu miasta, plebejom nie wolno było stąpać po chodnikach, któremi szli patrycyusze. Obelga wyrządzona szlachcicowi uważaną była za zbrodnię stanu. Położenie włościan w najwyższym stopniu było opłakane, uważano ich jak plebejów w starożytnéj Romie za *plebs misera*. Chłop był czasowym tylko posiadaczem ziemi na któréj mieszkał i którą uprawiał. Mała tylko wysepka Lagosta stanowiła wyjątek, gdyż posiadała urządzenia municypalne, równie jak połowa wyspy Meledy, należącéj do miejscowego klasztoru. Włościanie za chaty i ogrody odrabiali pańszczyznę, przytém składać musieli dziesięciny w naturze, składające się z kóz, jagniąt, kogutów, jaj i t. d.

Wspomnieć tu jeszcze należy o wydaném w 1416 roku dekrecie senatu Dubrownickiego, a który przynosząc zaszczyt Rzeczpospolitéj, w rażącém stoi sprzeciwieństwie z powyższemi prawami tak uciążli-

wemi dla niższych klas ludności. Dekret ten wyraża zakaz handlu niewolnikami pod karą pieniężną i sześciomiesięcznem więzieniem. Gdy jednak prawo to nie musiało być ściśle wypełniane, w roku 1466 odnowione i zaostrzone zostało; sprzedający niewolników miał mieć oczy wykłute i jeśli do oznaczonego terminu nie uwolniłby rzeczonych niewolników, miał być powieszonym. Dekret ten wymownie świadczy o rozwoju humanitarnych pojęć w Dubrowniku, ze względu zaś na epokę wydania go, wymownem jest świadectwem na jak wosokim stopniu stała tam cywilizacya. Również zaznaczyć należy gorliwe usiłowania Dubrowiczan dla oswabadzania więźniów i niewolników chrześciańskich z rąk niewiernych. I tak w 1568 r. Hieronim de Primo zapisał na ten cel trzecią część swojego majątku, 1582, Andrzej Tryfonis i Giorgi Zamagna, połowę swojego mienia, w 1599 Franciszek Caboga znaczną także kwotę pieniężną; wiele też innych, tego rodzaju zapisów spotykamy pod tę porę tak, że zawsze znaczny był kapitał przeznaczony na wykupywanie więźniów z rąk tureckich, aż do ostatnich czasów Rzeczypospolitéj Dubrownickiéj.

Jest to widocznem, iż na cały ustrój społecznych urządzeń w Dubrowniku i administracyjną organizacyę téj małéj Rzeczypospolitéj, przeważnie wpłynęło sąsiedztwo Wenecyi, wpływ włoski odnajdujemy we wszystkich objawach publicznego życia w Dubrowniku, we wszystkich jego ustawach i prawach, począwszy od zasady i pierwiastku onych, aż do samych form zewnętrznych. Rozpatrzmy bliżéj stosunki Dubrownika z Wenecyą i siłę wpływów włoskich na narodowość słowiańską Dalmacyi, a mieć będziemy dokładny i wierny obraz rozwoju umysłowego Rzeczypospolitéj Dubrownickiéj.

Samo położenie geograficzne Dalmacyi, nie mówiąc już o politycznem stanowisku Dubrownika, które zmuszało do pewnych ustępstw i zależności względem potężnéj swéj sąsiadki, mniéj lub więcéj ważnych, stosownie do potrzeb i okoliczności chwilowych, ułatwiało Wenecyanom szerzenie swych wpływów i przewagi wśród słowiańskiéj ludności tego kraju. Jeszcze w IX i X stóleciach, Wenecya zajęła była kilka miast w Dalmacyi i odtąd powoli szerzyła tam swe posiadłości, lub też umiejętnie zużytkowując przewagę swéj siły zbrojnéj, bogactwa i handlu, zdołała zapewnić sobie przeważne wpływy w wielu miastach w Dalmacyi, w szczególności zaś w Dubrowniku, który ją nęcił więcéj od innych nader ważną pozycyą dla handlu południowego. Owa zwierzchnicza opieka Wenecyi nad témi miastami, jakkolwiek niezaprzeczalnie nadzwyczaj była korzystną dla nich pod względem handlowym, przemysłowym a głównie pod względem obrony przeciwko groźnym napaściom sąsiedniéj Turcyi, szczególniéj po upadku osłaniających ich od tych napadów Serbii, Bośnii i Hercegowiny, to przecież sprowadzała jako nieuniknione i konieczne następstwo, wyciśnięcie żywiołu narodowego, słowiańskiego i zastąpienie go obecnym żywiołem w życiu publicznem, administracyi, a przedewszystkiém w hierarchii kościelnéj, uzupełniając w ten sposób italianizowanie Dalmacyi i Dubrownika, które i bez tego

już, lecz powolniéj tylko dopełniać się miało, w skutek ciągłych z Włochami stosunków politycznych, handlowych i naukowych, w którychto stosunkach przewaga materyalna i umysłowa była zawsze po stronie Włoch.

Naturalnym a wielce pomocniczym sprzymierzeńcem owych wpływów weneckich na Dalmacyą, był dawny żywioł rzymski, przechowany w kilku miastach nadbrzeżnych, Trohirze, Spleciu, Dubrowniku i innych. Najście Słowian i zajęcie przez nich ostatnich siedzib dawniejszéj miejscowéj ludności, i powierzchowne zesławianienie onych, nie mogło przecież zatrzéć zupełnie tego żywiołu, który choć połączony w następstwie czasów i zmieszany z przybyszowym żywiołem słowiańskim, umiał przecież zachować dawne swe tradycye, wspomnienia i pamiątki. Wobec zaś odnośnych i ścieśnionych stosunków z Włochami, w interesach politycznych i handlowych, w obec ciągłego napływu Wenecyan do staréj Raguzy, zmienionéj na słowiański Dubrownik, ów dawny żywioł rzymski odrodził się na nowo, a uznając Wenecyę jako metropolię swoją, z pomocą jéj zdołał wyrobić sobie oficyalną przewagę. Ztąd w Dalmacyi całéj, w szczególności zaś w Dubrowniku. przedstawiającym od najpierwszych czasów wyższy stopień Dalmackiéj kultury, spotykamy w średnich wiekach dziwne połączenie żywiołów włoskiego i słowiańskiego, które przetrwało aż dotąd i równie jak wówczas tak i teraz jeszcze jest widocznem, najbardziéj zaś uwydatnia się w italianizmach mowy chorwackiéj, w zwyczajach i obyczajach ludu dalmackiego.

Wpływy więc weneckie miały już utorowaną drogę w Dalmacyi, a opierając się na przechowanych żywiołach dawniejszéj ludności, niewątpliwe w szerszym zakresie odnieść musiały zwycięstwo. Ztąd w odległéj już epoce historycznej, widzimy miasta dalmackie, rządzone przez naczelników, wybieranych wśród szlachty weneckiéj. Naczelnicy ci zaprzysięgali wprawdzie swobody miejskie i ich niezależność, jak np. w Dubrowniku; mimo to jednak język słowiański stopniowo ustępował miejsca łacinie lub włoskiemu, co zgubniejszém jeszcze było dla narodowości. I tak np. w Trogirze począwszy już od XV wieku, językiem urzędowym był łaciński lub włoski, a w 1472 roku, na mocy dekretu senatu Dubrownickiego, w pismach oficyalnych język słowiański zabroniony został a zastąpiony łacińskim. Wprawdzie w miastach dalmackich, obok naczelników ich, Wenecyan jak się wyżéj powiedziało, stał *wiec* miejski, jedyna pozostałość słowiańska w zakresie administracyjnym. Członkowie jego byli krajowcy, szlachta miejska, i jeżeli żywioł włoski nie wszędzie zdołał zupełny tryumf odnieść, jeżeli narodowość słowiańska mimo tak groźnych przeciw niéj skierowanych pocisków, utrzymać się zdołała, aby w XVI i XVII stóleciach odrodzić się drogą piśmiennictwa narodowego, zasługa tego leży w przedstawicielach szlachty dalmackiéj, składających *wiec* miejski. Syndykowie weneccy Jan Giustiniani i Angielo Diedo świadczą ze zdziwieniem pod

rokiem 1553, iż mieszczanie Spletu zachowywali zwyczaje i obyczaje narodowe, a język ich którego znajdywali tak słodkim i przyjemnym, że go porównywali do narzecza toskańskiego we Włoszech, ogólnie był używanym w tém mieście. We wszystkich jednakże innych miastach, italianizacya większe już zrobiła była postępy.

Charakter całéj działalności życia Dalmacyi i Dubrownika, ich urządzenia wewnętrzne, zwyczaje i obyczaje, cywilizacya i oświata, jedném słowem wszystkie obiawy i podstawy bytu, zależały od wpływów włoskich, a że żywioł słowiański nie był tu jedynym, jak już wyżej mówiliśmy, przeto narodowość jego nie była w stanie zachować bezwzględnéj niezależności. Głównie od XIII stólecia, najsilniejsze widzimy parcie obcego żywiołu na ludność słowiańską w Dalmacyi, największe jednak rezultaty onego znajdujemy w Dubrowniku. Ścisłe połączenie Słowian z Włochami, szczególniéj rodzin arystokratycznych, biorących udział w zarządzie miasta wraz z naczelnikami wybranemi z grona szlachty weneckiéj, lub bogatszych obywateli utrzymujących ciągłe stosunki handlowe z Włochami, ułatwiało szerzenie się żywiołu włoskiego. Nazwiska znakomitszych rodzin dubrownickich, okazują albo pochodzenie włoskie, albo czysto obce formy, jak np. Gondola, Palma, Pascali, Lompridicz, Donatewicz, Marino, Marulo i t. d.. Z końcem XV wieku, Wenecya usiłuje coraz to więcéj utrwalić przewagę swoją w Dalmacyi. Przyczyną tego była obawa „Uskoków“ zbiegów serbskich, którzy po upadku swego kraju, aby uniknąć jarzma tureckiego, tłumnie ztamtąd uciekali, a osiadłszy w Dalmacyi, gdzie główną ich siedzibą była *Senia* (Segna, Zengh), niepokoili całe wybrzeże Adryatyku przez swe wyprawy na Turków. Odznaczający się dziką odwagą i walecznością, ich czyny rycerskie opiewają pieśni serbskie, a krwawe ich zemsty na Turkach, stanowią przedmiot epopei narodowéj. Ale przy Turkach i innym sąsiadom dostawało się niekiedy, Wenecya więc pod pozorem zabezpieczenia swego handlu, zajęła znowu kilka okręgów i miast dalmackich.

Mówiąc o wpływach włoskich na Dalmacyę i Dubrownik, niepodobna jest nie wspomnieć jeszcze iż chrześcianizm wprowadzony tutaj z Włoch, nie mało także przyczynić się musiał do ścieśnienia węzłów łączących oba kraje. Już na początku IX wieku (a wedle niektórych pisarzy znacznie pierwéj) katolicyzm rozpowszechnionym był w całéj Chorwacyi i pomorzu dalmackiém. Otwarte w skutek tego ciągłe stosunki z Rzymem, jak niemniéj także napływ duchowieństa włoskiego, wówczas już wprowadzić musiały język i pismo łacińskie, które późniéj uporną wiodło walkę z kirylicą, jak również obrządek rzymski z liturgią słowiańską, która w X wieku rozpowszechniła się była w całéj Dalmacyi, dokąd przywędrowała od Słowian wschodnich. Rychło jednak silny znalazła opór. Już papież Jan X surowo jéj wzbronił, co też potwierdził synod katolicki zgromadzony w Dalmacyi (925 r.) i dekret króla chorwackiego Tomisława. Mimo jednak tych wyroków, liturgia słowiańska utrzymywała się w głębi kraju i w XI wieku papież Mikołaj II

wysłał mnicha Majnarda z Cassino dla rozpatrzenia na miejscu całéj sprawy. Majnard zgromadziwszy synod w Splecie (1059 roku), ponownie ją zabronił, nakazując zamykać kościoły, w których nabożeństwo nie odprawiało się podług rzymskiego obrzędu. Wyrok ten potwierdzony i obostrzony został dekretem synodu zgromadzonego w Salonie (1064 roku). Odtąd jeszcze razy kilka ponawiano sprawę liturgii słowiańskiéj, aż wreszcie ostatecznie zniesioną została, pismo jednak kirylickie przez czas dość długi utrzymywało się. Dubrowczanie używali pisma tego w stosunkach swych z Serbią i Bośnią, aż do ostatecznego ich upadku (1456). Pozostałe z owéj epoki pisma kirylickie nadzwyczaj ważnym są materyałem dla ówczesnych dziejów dubrownickich, nie możemy im jednak przypisywać, jak chcą niektórzy, przeważnego znaczenia w ochronie narodowości słowiańskiéj od obcych wpływów. Pismo to bowiem nigdy rozpowszechnioném nie było, używano go tylko w oficyalnych korrespondencyach z Serbią i Bośnią, nie miało zatém bynajmniéj owéj doniosłości jaką mu niektórzy przypisują.

Większe już pod tym względem znaczenie przyznajemy dwom innym rodzajom pisma, używanym w Dalmacyi, a mianowicie: *głagolicy* i *bukwicy*. Dla uzupełnienia obrazu przedstawiającego rozwój kultury umysłowéj w Dubrowniku i Dalmacyi, konieczném jest bliżéj rozpatrzéć oba te alfabety, od kiedy były używane, jak długo się utrzymały, jaki wpływ wywrzéć mogły, i wreszcie w jaki sposób oddziaływały tak na rozwój umysłowy Słowian dalmackich jak téż na ochronę ich żywiołów narodowych od obcych wpływów.

Dotychczas mimo usilnych i pracowitych badań i poszukiwań, wyśledzoném nie jest dokładnie kiedy i przez kogo wynalezioną została *głagolica*, kiedy i gdzie najprzód w życie wprowadzona? Co się tyczy pierwotnego jéj pochodzenia, najrozmaitsze dotąd stawiano hipotezy, wszystkie jednak przypuszczenia i wnioski kwestyi téj stanowczo roztrzygnąć nie mogły. Wedle podania głagolitów (księży dalmackich, używających słowiańskich mszałów przy nabożeństwie odprawianym wedle rzymskiego obrzędu), św. Hieronim miał być pierwszym jakoby wynalazcą tego alfabetu jak świadczy również bulla papieża Innocentego IV (1248 r.), urzędownie zezwalająca na używanie głagolicy w kościołach obrządku rzymskiego. Podanie to jednak ostać się nie mogło w obec późniejszéj krytyki, i nieraz wiarogodność jego zaprzeczaną była. Grubissiek, Dobner, Szymek, Anton Linhard, Durich, Frisch, że nie wspomnimy o wielu innych, rozpatrując alfabet głagolicki i wyszukując jego pochodzenie, zgodzić się na jedno nie mogli i rozmaite podawali orzeczenia. Jedni przyjmowali stare podania księży dalmackich, drudzy wynajdywali początek głagolicy u Frygów i Traków, w runach Getów i Gotów; inni jeszcze w pierwotnych alfabetach greckim i łacińskim. Dubrowski wreszcie i Szafarzyk dowodzą, iż głagolica w XIII wieku wynaleziona była w Dalmacyi, i szybko się rozpowszechniła najprzód wśród Słowian dalmackich i na sąsiednich wyspach a następnie w całéj Istryi, pomorzu Chorwackiém

i właściwéj Chorwacyi. Nowsi pisarze przyjmują to mniemanie, uznając Dalmacyę jako kolebkę głagolicy mniéj więcéj w XIII wieku, wytworzenie zaś jéj przypisują chęci przeciwstawienia alfabetu słowiańskiego uznanego przez obrządek rzymski kirylicy, przedstawiającéj liturgię wschodnią.

Co się zaś tyczy zakresu głagolicy w piśmiennictwie Słowian dalmackich, jakiekolwiek było pochodzenie tego alfabetu, w epoce od XV do XVIII wieku, dość był obszernym i pismo to znacznie było rozgałęzione. Głównie używano go w kościele, ztąd w księgach liturgicznych, pismach nabożnych i t. d. jak również w pismach urzędowych, ztąd w księgach prawodawczych, dyplomatach i ustawach. Najdawniejszym pomnikiem głagolicy znanym dotychczas jest psałterz z 1220 roku, przepisany pismem głagolickiém z przekładu kirylickiego. Zresztą nic więcéj niéma z równie odległéj epoki. W 1483 roku wydany został (bez miejsca druku, zapewne w Wenecyi) pierwszy mszał głagolicki, i odtąd coraz więcéj wydawano dzieł liturgicznych, alfabetem głagolickim, który rozszerzył się był poza granicę nawet krajów chorwackich. W klasztorze słowiańskim, założonym przez Karola IV w Pradze Czeskiéj, Benedyktyni chorwaccy utrzymywali głagolicę aż do 1436 roku, w którym zastąpioną została przez nabożeństwo Utrakwistów. W XVI wieku, w celu rozpowszechnienia reformy wśród Słowian południowych, Antoni z Dalmacyi i Stefan z Istryi wydali w Tubingen i innych miejscach kilka dzieł teologicznych głagolickich (1526 do 1564), usiłowania ich jednak bez skutku zostały. W XVII wieku wydano oddzielne prawa dla duchowieństwa głagolickiego i ustanowiono wyłączne dla nich seminarya. Drukarni głagolickich było podostatkiem w Dalmacyi a nawet we Włoszech, głównie w Wenecyi i w Rzymie, gdzie Propaganda otrzymała w darze od Ferdynanda II czcionki głagolickie. Od połowy XVIII wieku głagolica poczęła chylić się do upadku, tak że w 1819 roku mszał słowiański drukowany był w Fiume łacińskim alfabetem. Obecnie z semiuaryów głagolickich, została jedna tylko katedra głagolicy w Zara, a zajmujący ją od 1855 roku Jan Berczicz ułożył gramatykę głagolicką [1]).

Pisma urzędowe, w których używano głagolicy, pochodzą z XIV do XVII stólecia. Z tych, najważniejszym pomnikiem nie tylko pisma lecz i prawodawstwa dalmackiego z owéj epoki jest Statut Winodolski z 1280 roku (rękopism z XVI wieku) nader ważny, szczególniéj pod względem urządzeń dawnych gmin dalmackich; daléj statut wyspy Kerk z 1388 roku i kilka innych. Głagolicą także pisany jest latopis popa Duklanckiego, znany jednak tylko z przekładu łacińskiego Marka Maruliega, poety dubrownickiego z XVI wieku (Regum Dalmatiae et Croatiae gesta), pełen jednak anachronizmów. Inne kroniki

[1]) Chrestomatia linguae vetero slovenicae characterе glagolitico. W Pradze 1859.

głagolickie, przedrukowane w Archiwie Kukulewicza, pochodzą z XVI wieku.

Oprócz głagolicy, jak już mówiliśmy, używany był w Dalmacyi inny jeszcze alfabet zwany *bukwicą*, a znany tylko w Bośnii i krajach dalmacko-chorwackich. Była to kirylica, zmieniona tylko w niektórych formach i więcéj od tamtéj była rozprzestrzenioną, obejmując szerszy od głagolicy zakres w piśmiennictwie dalmackiém. Z pozostałych bowiem pomników bukwicy, znajdujemy nie tylko pisma urzędowe (Statut policki, rękopism z XVI wieku) ale także pisma moralne (Nauki przemądrego Akira), oraz utwory poetyczne (Legenda o św. Katarzynie Macieja Diwkowicza z Bośnii † 1631), ztąd więc ważniejsze miejsce zajmuje.

Z tego co się dotąd powiedziało o tych trzech rodzajach pisma słowiańskiego (kirylica, głagolica i bukwica), używanych kolejno w Dalmacyi i Chorwacyi, widzimy iż pierwsze z nich, to jest kirylica, przeważnego wpływu na utrzymanie narodowości słowiańskiéj wywrzéć nie mogło, bo prędko wykluczone z kościoła, zachowało tylko charakter oficyalny; nigdy zaś dość rozpowszechnioném nie było, aby stanowczo oddziaływać przeciwko wpływom obcym. Co się zaś tyczy głagolicy, takowa przechowywała dłużéj tradycye słowiańskie, lecz równie jak pierwsza zasklepiona była w księgach liturgicznych i pismach oficyalnych; bukwica dopiéro szerszy obejmuje zakres, zawsze jednak, jak widzimy z powyższych przytoczeń, nader słabo jest przedstawiona w świeckiém a przystępném dla ogółu piśmiennictwie dalmackiém. Co najwięcéj pisma te słowiańskie wpływać tylko mogły na zachowanie stosunków z jednoplemiennymi sąsiadami Bośnii i Serbii, w obec jednak coraz bardziéj szerzących się wpływów włoskich, ustępować przed niémi były zmuszone, a z postępem czasu, w wielu miejscach z kościoła nawet zostały wyrugowane. W Splecie np. Wenecyanie skasowali kardynalne prawo miasta, na mocy którego obywatele miejscy mieli przywiléj wybierania swoich biskupów, i na mocy układu zawartego ze stolicą rzymską, począwszy jeszcze od 1426 roku, na zwierzchników kościelnych w Splecie przysyłali członków rodzin weneckich, mimo ciągle powtarzanych ze strony miasta protestacyi. Jak zaś nieprzyjaznémi byli miejscowéj narodowości ci księża włoscy, świadczą rozporządzenia biskupów Bernarda Zorna i Andrzeja Kornela z lat 1511 i 1535, w których surowo wzbraniali duchownym przekładania Pisma Św. na język słowiański, oraz czytania mszy św. w tym języku. Nowa cywilizacya, wnikająca do Dubrownika i całéj Dalmacyi, odrzucająca w ten sposób tradycye staro-słowiańskie, opartą była na całkiem innych żywiołach, na wręcz przeciwnych podstawach. To téż pismo słowiańskie ustępuje zupełnie miejsca pismu łacińskiemu w XV już wieku, t. j. w epoce nagłego rozwoju piśmiennictwa dubrownickie-

go, a jeśli wówczas i długo później nawet utrzymywały się w liturgii kościelnéj mimo walki im wytoczonéj, nie uczestniczyły jednak w postępie oświaty i kultury umysłowéj.

(Dokończenie nastąpi).

OBRAZY
ZE WSPÓŁCZESNÉJ LITERATURY
ANGIELSKIÉJ.

PRZEZ

F. Jezierskiego.

Cóż może być wznioślejszego nad widok społeczności, dającéj prawo obywatelstwa wszystkim barwom w umiejętności i sztuce? takiéj społeczności, gdzie każdemu czynnikowi ducha pozostawiona jest droga ukształtowania się podług jego natury. Wszystko co się tam dzieje na polu piśmiennictwa, dzieje się w imię dogmatu: *homo sum et nihil humani.* Można walczyć z faktami, ale uszanować należy nietykalność zasady teoryi. Tylko dla maluczkich wielkości starożytnych, barbarzyństwem było wszystko to, co leżało po za Rzymem lub Helladą, tylko maluczkim wielkościom pióra, właściwém jest robić wielkie oczy na wszelki utwór, obrażający instynkta ich szkoły.

W żadném prawie z piśmiennictw obecnéj chwili dotknięta wyżéj zasada neutralności, nie jest uszanowaną do tego stopnia, jak w piśmiennictwie angielskiém. Znajdziesz tam wypełnionemi i sformułowanemi jak najwydatniéj wszystkie stopnie i podziałki téj skali, która w pojedyńczym człowieku zowie się *umysłowością*, zasadą myślenia; a pojmowana w zakresie ogólno społecznym, *literaturą*.

Kładąc na czele charakterystyki piśmiennictwa angielskiego ten rys a nie inny, mamy tu na myśli nie liczebne jego bogactwo, ale raczéj ową powagę, ową objektywność, cechującą prawdziwego myśliciela, który rozwija, dowodzi lub opiewa myśl z siebie samego i z natury przedmiotu, z wiarą, iż sądzić go będą nie z barwy, nie z herbu szkoły, ale z tego, jak się postawił względem prawdy i zadania swojego.

Dzięki tolerancyi teoretycznéj, piśmiennictwo angielskie, szczególniéj od początków bieżącego stólecia stało się i zostało dotąd *samodzielném*. W pewnych jego dzielnicach widzimy wprawdzie ślady

wpływów obcych, ale one nigdy nie dotknęły téj rdzennéj warstwy, którą nazywamy duchem piśmiennictwa. A i czém są te chwilowe przejścia naśladownictwa w obec olbrzymiego ciążenia, jakie wywierał w naszych już czasach gieniusz angielski na poezyą a nieco dawniéj na filozofią.

Wpływ francuzki dość wyraźny spostrzegamy w powieści. Zabytki po tak zwanéj *literaturze szalonéj* nie przeszły w Anglii bez śladu. Autorka powieści, znana p. i. *Ouida*, używająca dziś rozgłosu, może najwydatniéj ten wpływ uosabia. Ale któż nie przyzna, że Ouida pożyczone piérwiastki przetrawiła w sobie na krew i soki.

Browning, poeta powieściowy (bo tak nazwać go możemy sprawiedliwie), zaczerpuje i typy francuzkie, ale rzeźbi je po swojemu.

W dramacie i historyi Anglik jest samym sobą bezwarunkowo, wszystko prawie jest tam własne, zaczynając od przedmiotu. W krainie wiedzy ścisłéj jest w całém znaczeniu oryginalnym. I na tém polu szczególniéj przedstawia on wspaniały wzór spokojnego widza i niezachwianie sprawiedliwego krytyka, który i w obozie przeciwnika oddaje cześć pobudkom prawdy. Oby ten przykład zbudował nie jednego ze współczesnych sędziów piśmiennictwa, oby złagodził gorączkę *dziwienia się wszystkiemu*, co nie odpowiada tradycyom i krojowi pewnych uznanych zasad. Polem prawdziwéj oryginalności w obecnéj chwili jest *pieśń* i powieść poetyczna w Anglii. W tych dwóch rodzajach sztuki poeta przedewszystkiém ma otwartą drogę do wypowiedzenia siebie lub podstawienia swojego światła pod zdarzenia opisywane. Te więc dwa rodzaje mogą być wziętemi za podstawę grupowania w dziale poezyi.

Podróże i etnografie stanowią dział nader ważny i pouczający. Powieść charakterowa tak szeroko rozwinięta dziś w Anglii, a tak rozpowszechniona u nas przez wyborne przekłady utworów G. Eliot, Dickensa i innych; wyparła prawie stanowczo powieść historyczną.

Oto są główne rodzaje współczesnego piśmiennictwa angielskiego, którego przegląd podać zamierzamy.

Rozpoczynamy go od poezyi.

Trzy są główne prądy, w jakich się obecnie posuwa sztuka, zmierzając ku spodziewanemu przesileniu. Spodziewanemu ale i upragnionemu, gdyż bez téj niebiańskiéj cząstki społeczeństwo ostać się nie może.

Trzy nadmienione prądy zestawiane w całość wyczerpują, jak się zdaje, cały ruch obecny, nie zostawiając nic poza sobą. Piérwszy nazwiemy *biblijnym*, drugi *realistycznym*, trzeci nazwano *szkołą*: *prerafaelitów*. Nazwę ostatniéj w ciągu wyjaśnimy obszerniéj. Co do kierunku biblijnego, nie naszém jest zadaniem wykazywać, czyli on ma i jaką miéć może zasadę bytu. Odwieczność i wszechświatowy rozpływ źródła, z którego ta szkoła czerpie natchnienia, ma i swoje

ujemności, to rzecz niewątpliwa. Ale z drugiéj strony cudowną ważność i zaletę tego źródła stanowi to, co o niém powiedziała *Beecher Stowe:* że w niém „wszyscy i wszystko znaleźć mogą, czego szukali.“ Poeci i powieściopisarze angielscy w ogóle robią ten zaszczyt czytelnikowi, że go uważają, co najmniéj za średniego teologa, tyle tam spotykamy obrazów, przypowieści, tyle napomknień biblijnych.

Kierunek realistyczny wytworzył się przez zetknięcie z literaturą francuzką; głównych jego znamion dotkniemy niżéj w szczgółowym przeglądzie. W ogólności jest on reprezentowany najsłabiéj ze wszystkich, a szczerba jaką przez to stronnictwo poniósł idealizm zarównaną została sowicie przez szkołę prerafaelitów.

Three books of song (trzy księgi pieśni H. Longfellow).

„Tylko wielkim pisarzom wolno jest pisać złe powieści“ mówił kiedyś redaktor Czasu (Zeit) do autora, którego powieści przyjąć nie chciał. Longfellow raz tylko skorzystał z przywileju wielkich pisarzy w 200 wierszowém pisemku, o którém powiedziano w swoim czasie, że zyskałby najważniejszą zaletę przez odcięcie zera końcowego. *Trzy księgi pieśni* doznały chlubego przyjęcia w Anglii i za oceanem. Lata prawdopobnie wyryły zmarszczki na tém głęboko sympatyczném obliczu, ale jeśli prawda że „styl to człowiek“ powinniśmy wierzyć, że dawno nam znana fizyognomia duszy nie zmieniona została, burzom czasu na wstręcie. Longfellow, po odtrąceniu pewnéj dozy anglo-amerykańskiego gawędziarstwa jest poetą, jakoby słowiańskim. Jako człowiek nowego lądu, instynktem rodowym przeczuwa on tu krewnego w każdém plemieniu dziewiczém. Opowiada serdecznie, w opisach natury jest nietylko rysownikiem i rzeźbiarzem: Longfellow *ożywia* otoczenia poematu. Kiedy maluje scenę działania, czyto smutną, czy uroczystą, to cały świat téj sceny: ludzie, zdarzenia, fale wody i gęstwiny borów, na równi z biciem serca działających osób, wszystko to ułożyć się musi do wspólnéj temperatury. Nie gra on w tajemniczość Aleksandra Smitha, ale ma jego transcendentalne zacięcia, które to pod widomem każą się domyślać niewidomego. Śpiewa pieśń *braci Morawskich*, tłumaczy *Chodźkę*, opiewa bohatérów naszych.

Trzy księgi pieśni są zbiorem prześlicznych, prawdziwych *pieśni*. Znajdujemy tu także *Machabeuszów*, nader udatny dramat, choć może zamało dramatyczny. W ogóle Longfellow mniéj zwycięzko wychodzi w dziełach scenicznych, jest to dusza nawskróś liryczna.

Z pośród jego pieśni najwięcéj zajęła nas *Legenda the beantifall* (Legenda Nadobna), *Baron St. Castine* i *Ballada o Karmilanie* w kolorycie czysto-romantycznym.

W *Legendzie Nadobnéj* autor opisuje wizyą pobożnego zakonnika, która, w odpowiednim przekładzie mogłaby wzbudzić w naszym czytelniku uczucie prawdziwego namaszczenia. Nie bez wdzięku jest pieśń *St. Castynie*, gdzie i przedmiot rzewny i forma przedziwna. Syn barona Kastyna z St. Kastynu pożegnał zamek ojczysty w Pireneach

i puścił się na morza zachodnie. Kiedy odjeżdżał, drzewa zieleniły się, ptaszki budowały gniazda.

Teraz dmą wichry zimowe ponad wieżami zamku; nie widać już zieloności, ptasząt nie słychać; w parowach leżą martwe liście, śnieg biały pokrywa czoła Pireneów.

Siwy ojciec, stroskany staruszek, przesiaduje u ogniska, tęskniąc po wędrowcu. Pociesza go pleban i skraca długie godziny sieroctwa powieściami o Frondzie i kardynale. Nadaremnie. Nie ma wieści od morza. Tęsknota coraz boleśniéj gnębi staruszka. ...Przyszły nakoniec wieści od morza. Młody St. Castine koczuje gdzieś po *Nowym Ląd*zie w pięknéj krainie *Akadyi*.

Czeka staruszek i tęskni i ucha nadstawia, czy nie usłyszy turkotu kół od gościńca, krzątania się służby u wjazdu, głosu w dziedzińcach pałacu albo stąpania na wschodach.

A pleban, nie odstępując starca, czyta niby modlitwę akolita nad pochylonym, czyta długie listy z Akadyi. W listach szumią wichry, toczą się fale oceanu, syn opiewa cuda o wędrówce dalekiéj, swobodnéj, bezkreślnéj; o bojach ze zwierzem w puszczach dziewiczych; o noclegach w namiocie Tarratynów; o wodzu Indyan—Madokawando; o córkach jego, prześwietnych jak królowe, a pięknych nad wszelki wyraz; o jedwabistym dźwięku ich mowy rodzinnéj, gdzie słów nie mówią, ale je śpiewają. Starzec srodzej jeszcze posmutniał. Aż oto po wielu dniach idą wieści od morza: „Młody Kastyn poślubił ciemną Taratynkę, poślubił dziecię Madokawanda."

Starzec uronił z rąk wyroczną kartę:
Nie rozdarł—chociaż serce tam rozdarte!
Ani przekleństwem nie wykrzywił twarzy;
Nie jęczy, modłów skarżących nie gwarzy.
Tylko ta postać wielmożna i dumna,
Ta postać, jako piaskowa kolumna
Chyli się wichrem rozpaczy wstrząśniona....
Ach! ty żałości! staruszek już kona.
A wieczeż, jakie miał na ustach słowa
W przysionku śmierci? ostatnie? on syna,
On zbłąkanego błogosławił syna;
Zwolna, poważnie osuwa się głowa
Na pierś staruszka—wybiła godzina:
Już nie wygląda zbłąkanego syna.

W okół zatrzasły się bramy i wrota,
Pustkowiem stoi zamczysko sierota.

Po kilku latach znów idą wieści od morza. Syn powraca do zamku, gdy wraca do zamku, to znów jak piérwej zielenią się drzewa, ptaszki budują gniazda; ale innym już liściem zielenią się drzewa i inne

ptaszęta inne budują gniazda. Śliczna Madokawandka wchodzi w podwoje pałacu pirenejskiego. Pleban, z trwogą oczekujący dzikiéj łani akadyjskiéj, widzi przed sobą cichą, szlachetną postać, któréj niepodobna nie pokochać. Gdyby wierzyć słowom naszego wieszcza, nie ma i nie było piękniejszéj duszy na świecie, a w wykończeniu wdzięków téj złotobronzowéj piękności, natura przewyższyła samą siebie.

Pleban pokochał sercem ojcowskiém to zamorskie ptaszę, ale z jakąż zgrozą dowiaduje się on od Kastyna, że wziął ją za małżonkę podług obrzędów indyjskich: kupił ją za sztukę broni i nóż, odstąpiony ojcu. Pojednanie religijne z plebanem i błogosławieństwo ołtarza zamyka tę prostą ale serdeczną gawędkę, wśród śpiewu ptasząt budujących gniazda i zieloności pirenejskiéj.

Przechodzimy do ważniejszego utworu Longfellowa, w rodzaju dramatycznym.

Przez trudną do wytłumaczenia analogią, prawie każdy z wyższych talentów musiał choć raz w życiu, jak to mowią, szukać szczęścia na polu scenicznem. Napomknęliśmy, że w tym zawodzie nie powiodło się Longfellowowi. Krytycy angielscy słusznie powiadają o nim: iż oszczędzając swoich bohatérów, aby ich nie nużyć, sam za nich działa i mówi.

Przedewszystkiém na ten zjadliwy acz skromny docinek zasługuje jego *Juda Machabeusz*, nie wielkli dramat, w którym znajdujemy wszystko, oprócz dramatyczności; ale niepodobna wyrzec aby to *wszystko*, nie było czémś bardzo znaczącém. Antyoch jest znakomitą postacią tak w tryumfie jak i w upadku swoim. *Matka siedmiu synów*, szczególniéj w akcie drugim całkowicie dorównywa swojemu majestatycznemu ideałowi Starego Testamentu. Jéj monolog rozpoczynający scenę jest przedziwny. W przemówieniu do nieobecnych synów wypowiada ona, rzec można, przerażająco-religijne, więcéj niż staro hebrajskie zaparcie saméj siebie na rzecz bóstwa. Juda Machabeusz ma również piękne swoje chwile.

Ale prawdziwie poetycznym utworem jest *Tragedya boska*. Nie zatrzymujemy się ani na chwilę przed tym wyzywającym napisem, albowiem napis mówi wszystko i nic nie mówi. Od kilku już wieków osłuchaliśmy się z tą ziemsko-niebieską intytulacyą. Ani *Sto pieśni*, ani *Messyasz* nie usprawiedliwiły zuchwałości imienia poematu. A jednak, kto zbadał pierwsze i wytrwał do końca bez znękania myśli, przy odczytaniu drugiego, musi przyznać, że spotkał tam cuda. Messyada pomimo swojéj metafizyczności pozostanie na zawsze księgą rozumu poetycznego. *Komedya boska* pomimo zbytniéj podzielności scen, powszystkie wieki nie zejdzie z piedestału. Longfellow sam odtworzył Danta mistrzowsko i prawdopodobnie w nazwaniu obecnego utworu chciał oddać cześć jego imieniu.

Tragedya boska Longfellowa rozpoczyna się *introitem* (anioł unoszący proroka na skrzydłach), a następnie „głosem wołającego na pu-

szczy" a kończy na trzech krzyżach i jeziorze galilejskiém. W ciągu całéj „tragedyi boskiéj" poeta zachował wszystkie te olbrzymie drogowskazy, jakie postawiły dzieje na drodze Wielkiego żywota. Jestto jednak nie tyle tragedya w zwykłém znaczeniu tego wyrazu, jak raczéj epopea, która przy ciągłym i coraz gorętszym wątku wzbija się chwilami do lotu i przechodzi w dramat.

Wybraliśmy jednę z charakterystycznych kart i przedstawiamy w przekładzie.

Zamek w Magdalu (z Tragedyi boskiéj Longfellow'a).

Posępna, zwiędła, w żywota upale,
Siedzę w tym zamku i patrzę w oddale;
Fala jeziora u stóp się roztrąca,
Nad głową góra od żaru mdlejąca.
A tu, jak senne widziadło w noc ciemną,
Cienie przeszłości snują sie przedemną;
Pędzą w gościnę wszech krajów i rodu:
Kupcy od Tyru, książęta od Wschodu.
Pędzą i nikną—witali, znikali,
Tylko w pałacu, jak po zejściu fali
Osiadła perła, rubin, stosy złota;
I wonność—hołdu haracz i brzydota.
Obmierźli! kiedyż samo to wspomnienie
Ckliwością bruka pamięć w Magdalenie;
Jak myśl o uczcie temu, co zatruty
Przesytem sytéj figi z Almanuty.
A nużby jeszcze, wśród doli macoszéj
Mąk i rozkoszy, albo mąk w rozkoszy
Przyszło za pomstę raz jeszcze być z niemi?
Starzéć się w zgrozach i sromocie ziemi?
Słyszéć z bezwstydnych ust szyderskie słowo:
„Tyś nas strąciła w odmęt, białogłowo,
Bądźże nam jeszcze, jak byłaś przed laty..."
A cóż te stroje? te bezcenne szaty?
Mój haft jedwabny? śmiertelna koszula,
Szmat woskowany co mumią otula?
A te—rubinem nakute pierścienie?
Perły, szmaragdy, te krwawe kamienie,
Co gorejących węgli ogniem płoną?
A wrzkomo żywy ten wąż brylantowy
Na zgięciu dłoni?... precz, precz ty gadzino;
Precz wy, girlandy ze skronia i głowy,
Bo wonność wasza, jak zmora, z zasadzki
Straszy wspomnieniem stypy świętokradzkiéj.

Wczoraj—o! dla mnie zdaje się to „wczora"
Jak piosnka, którą przenucił z wieczora
Wędrowny gęślarz w odległéj ulicy;
Wczoraj: poglądam z zamkowéj wieżycy
Na gaj oliwny i urokiem zdjęta,
Widzę jezioro i białe okręta.
Gdy się samotna wydziwić nie mogę
Zkąd płyną, w jaką puszczają się drogę;
Wtém łódź rybacka wchodzi do przystani.
Wśród oleandrów, przychodnie nieznani
Wychodzą z łodzi; już dotknęli ziemi
Pod murem zamku. Niby wódz współbraci,
Szedł mąż na czele; pamiętam to lice,
Jarzące szaty, królewskość postaci.
Podniósł oblicza, dojrzał samotnicę.
I—jak me oko, jak tchnienie dosięga,
W sferach tętniła tajemna potęga;
Drżę—nie—to było konanie kobiéty,
Letarg—ożyłam—już zniknął niestety!
„Śnisz, wołam, maro! tylko się zastanów,"
Alić w téj chwili owe siedm szatanów
Z gniazda swojego (to gniazdo, co ciała
Świat zwał pięknością) lotem uleciało.

Dziś, ledwie dzionek, budząc się ku ranu,
Snuł aureolą po skroniach Libanu;
Świat drzémał jeszcze, spojrzałam: w przestworze
Stał anioł, może duch błogosławiony.
Wiatr wzdymał jego szatą po jeziorze,
Lic nie dojrzałam; tylko z pod opony
Gest i postawę. A!... serce mi rzekło:
To On, wskrzesiciel. Słuchałam, do słuchu
Jakoby słówko kroplami przeciekło
Przez gąszcz świtania: „Nie lękaj się duchu,
Oto ja jestem." Znów głosu skinienie;
(Ależ to nie był głos... ciche szeptanie,
Szmer nieujęty) „Jeśli Ty, o Panie,
To rozkaż, abym przez tych wód bezdenie
Przeszedł do Ciebie." „Przejdź" Pan odpowiada.
Potém słyszałam jęk głuchy, bezmierny
Jęk tonącego: „O! biada mi, biada;
Ratuj mię Panie!" a Pan odpowiada:
Takżeś to zwątpił, ty duchu niewierny."

Znikli, wiatr zadął od końca do końca,
Z gór, w majestacie toczył się krąg słońca;

Mgły szaroskrzydłe, lekkie popod skały,
Pod rozpadliny górne zapadały.
O! pójdę za Nim, pójdę w świat daleki,
Zejść się z Nim muszę, zostać z Nim na wieki.

Z ziarn alabastru dzbanuszku mój dziany,
W którego białe przenajbielsze ściany,
My duszę kwiatów: wonność zamykamy,
Nardy Arabii i drogie balsamy;
Dziatwę eteru, w którą przez niebiosa
Sączy karm' wieczną słoneczko i rosa!
Jeśliś ty godzien, by w twoje osłony
Zanurzył stopę z Bogiem Współrodzony;
Jeśli... zaprawdę ta stopa książęca
Jedném stąpnieniem progi nam uświęca:
Pójdź na pielgrzymkę, towarzyszu niemy;
Ty i ja społem szukać Go będziemy,
Póki nie znajdziem; a gdy Go znajdziemy,
Myć będziem stopy Jego, duszą życia;
Aż marne ciało, gdy z ciała wypłynie
Ostatni szczątek, ostatnie krwi bicia,
W gruz się rozsypią, jak kruche naczynie.

Drugim przedstawicielem kierunku biblijnego jest Austin, który poprzednio wsławił się satyrami. O jego poemacie *Dziecię Madonny*, późniéj wspomnimy.

Leonce Miranda przez Roberta Browning.

Jeden z poematów tego stronnictwa, które zrywając z ideałem piękna platońskiego, znajduje poezyą na poziomie samego życia. Realistyczny Browning ma znakomity zastęp wielbicieli. W oczach téj licznéj klienteli podnosi go owa dziwnie dwoista natura, dająca z jednéj strony zimną krew albiońską i objektywne ujęcie opowiadanéj sceny, a z drugiéj strony apoteozę namiętności. Browning w duchu *takiéj* szkoły stawia zadanie życia poważnie, palące jego wypadki opowiada z posągowym spokojem tragików greckich; z ich nieubłaganą konsekwencyą wysnuwa najboleśniejsze nici intrygi, jak to zbyt dotykalnie zobaczymy na głównym jego bohatérze w niniejszym poemacie.

A gdzież, zawołacie, gdzież tu jest poeta? gdzież tu przedstawiciel serca ludzkiego, uosobienie miłosierdzia, wśród spisanego na zimno protokółu zdarzeń? Chwila cierpliwości: wypadki się spełniły, kłębek intrygi przepłynął z gorącością lawy, otóż występuje ów chorczłowiek tragedyi: ale nie ze słowem litości nad ofiarą, to nie jego rzecz. Oto jest charakter szkoły, z któréj wychodzi Browning.

Poemat Browninga obok potwornych wad posiada wielkie zalety. Wątek jego powieści zdaje się być wysnutym z głośnéj w swoim czasie sprawy Anny de Beaup... Oto główne punkta.

Z listu pisanego do brata dowiadujemy się, iż bogaty młodzieniec (w poemacie: Leonce Miranda) pokochał do szaleństwa pewną *woman of pleasure*. Była to kobiéta znakomitéj piękności, dwudziesto-dwuletnia, która, rozszedłszy się prawnie z mężem, poświęciła swoje uczucia zapaleńcowi. Ten, odziedziczywszy po zmarłym ojcu majątek, z ukochaną mistress osiadł w ustronnym, malowniczo położonym zamku. Po trzynastu miodowych latach, bo żadna burza niezakłóciła ciszy, nagle umiera matka Leonca, dla któréj nasz bohatér żywił w sercu miłość religijną synowską. Było to uderzenie piorunu na jego widnokręgu, po złamanym duchu Leonca chwilami przesuwała się myśl samobójstwa—marnego, acz najwyższego odwetu, jaki ofiarować może człowiek za gwałt dopełniony na posłannictwie swojém. Nie w postaci duchów—mścicieli starożytności, lecz w postaci umarłéj matki stanęło przed nim widmo sumienia. Leonce stał się prawie obłąkanym. Po napisaniu ostatniéj woli, w któréj jedną część majątku przeznaczył dla mistres, a drugą dla krewnych, wezwał do siebie kapłana. Po pogrzebie matki, zwraca się on do mistres, oznajmiając, jakby na łożu śmiertelném, że ich związek od téj chwili ustaje na zawsze; porywa kryształową puszkę, w któréj mieściły się w stosach listów dzieje ich miłości, nasz bohatér spełnia straszliwe autodafe godne ekscentrycznych dramatów hiszpańskich XVI wieku, ale zadające gwałt dzisiejszym poczuciom piękna. Oto kryształową puszkę zanurza w palącym się ogniu, niecofając się aż do chwili, kiedy wraz z listami i obie jego dłonie spaliły się po zgięcia. „Płoń, płoń i oczyść mię!" krzyczał młody Porsena, a krzyk dziwnego zapaleńca powtórzy i słuchacz z tą samą, *praktyczną* zgrozą, jak niegdyś widzowie, patrząc, gdy matki (w oblężonéj Numancyi) z głodu zabijały dzieci na scenie. Podczas długiéj choroby, w któréj byt jego ważył się pomiędzy życiem a śmiercią, w gronie rodziny otaczającéj chorego, była i mistress.

Wiszący po nad domem dzień sądny zneutralizował fałszywą nutę, jaką sprawiałaby obecność jéj w chwilach zwyczajnych. Ta kobieta była szlachetną na *swój sposób*. W przewidywaniu zgonu kochanka oświadczyła ona, że nie chce słyszeć o układach majątkowych, że przez całe życie sięgała po jego miłość, lecz nie po złoto.

Po kilku tygodniach wrócił do zdrowia. Niestety, nietylko on stracił obie ręce: duch jego uległ straszniejszemu jeszcze kalectwu. Byłato złowieszcza mieszanina chorobliwéj wesołości, z melancholią religijną. Leonce był synem kastylianki i francuza. Dziś tedy, owe dwie natury toczyły z sobą bój śmiertelny, obierając złamane serce za pole walki. Byłto bój wiary ze zwątpieniem; szalony, męczeński bój, który w końcu i samo serce stratował. Leonce rzucił się z wieży zamkowéj, krzycząc, że spada w objęcia aniołów—skonał na miejscu.

Oto jest pierwszy węzeł sprawy sądowéj a zarazem kontur poematu. Rozpatrzywszy się w nim, poznajemy natychmiast barwę owéj frakcyi poetyckiéj, o któréj nadmieniliśmy z początku. Jestto romans,

przykrojony poetycznie. Piękność idealistyczną zastępuje tu poprowadzona z talentem historya serca, które zabłąkało się pomiędzy światem ludzkim a bożym i zwichnęło, nie mogąc się ostać na żadnym z nich. Ujrzawszy mistress poraz pierwszy w „Variétés" Leonce puszcza się w powozie za jéj karetą, rzuca się do stóp piękności, chwyta w locie tę gwiazdę spadającą i jedna chwila oddaje mu tę gwiazdę w posiadanie na zawsze. Szczególna stanowczość na samym ustępie poematu, przeciw któréj zdrowy rozum estetyczny gotów wołać o pomstę. Ale stoik-poeta odbiera głos wszelkiemu protestowi, oświadczając za siebie i czytelnika, że: „taką potęgę ma prawda w spojrzeniu i słowie."

„Potęga prawdy" a któżby wraz z autorem nie uderzył czołem przed tą potęgą: ależ tu ani logicznéj, ani poetycznéj prawdzie nie stało się zadosyć. Nie jest logiczną prawdą, ażeby kobiéta, którą bohatér bezwiedną tak czujnie ścigał swoją gorączkową miłością od przepełnionéj sali teatru, do powozu, a następnie po przestrzeniach stolicy aż do drzwi jéj ogniska, do któréj stóp rzucił się, i ująwszy jéj dłoń, „nie wypuścił téj dłoni przez lat kilkanaście;" ażeby taka kobiéta, która i w jego religijnym zwrocie przyjmowała udział, bez żalu, bez walki spadła niżéj zera, w jednéj prawie chwili. Wprawdzie dla usprawiedliwienia przeskoku psychicznego, poeta rzuca subtelny mostek pomiędzy dawną a nową istnością Leonca: to jest melancholię religijną. Ale z drugiéj strony źle usłużył i temu sztandarowi, strącając odrodzonego z wierzchołka wieży; zaprawdę, mniéj dotkliwą byłaby dla nas dobrowolna śmierć zapaleńca, aniżeli samobójstwo wskrzeszonego.

Wizye religijne, ukazywanie się aniołów, wystawione tu na pośmiech. W końcu bowiem poematu czytamy, iż ogrodnik widząc Leonsa spadającego z wieży, zawołał:

„A! teraz rozumiem co znaczyły jego dziwaczne słowa, które słyszałem podlewając ostróżkę: „że uniosą go aniołowie. O! szalony, szalony!"

Bodajby się było zakończyło na słowach ogrodnika. Pomieszanie zmysłów jest jeszcze jednym z niepoślednich rodzajów apoteozy, w braku innego wyjścia, a szczególniéj w dziejach miłości. Ale poeta pozbawia nas i téj osłody. Po słowach ogrodnika natychmiast odzywa się sam:

„Nie, nie szalony; zdrowy, mówię wam, zdrowy—przy takich warunkach życia podobny koniec nie był nie racyonalny (irrational). Jeżeli wy trzymacie się wiary nieruchomie, to wierzycie tylko pół-wiarą. Ja wam radzę iść temi śladami; wystawiajcie waszą wiarę na próbę, aby odrazu wyleczyć ją lub zabić. I wy, człowieka który umarł toczony przez palącego raka, zechcecie nazwać najgorszym za ten czyn odwagi? O! to już nad moje pojęcie. Mnie się zdaje, iż lepiéj jest leżéć rozciągniętym na murawie uspokojonym na zawsze, aniżeli milcząco wyglądać z wieży lub namiotu, kiedy tam w głębi trawi cię rak zwątpienia".....

Krytycy angielscy nazywają Leonca Mirandę, prawdziwie poetycznym ale niewdzięcznym poematem.

George Eliot. Do szkoły realistycznéj zaliczamy G. Eliot (mistress Lewes), która niedawno wystąpiła z poematem: *Hiszpańscy Cyganie.* Uchwycenie życia, nie w owym świecie obłoków, po którym krąży Rosetli, ale uchwycenie go na szczycie rzeczywistości ziemskiéj, bo takim jest świat wspomnionego poematu, stanowi główną cechę pióra G. Eliot, którą niżéj określimy wydatniéj, mówiąc o współczesnéj powieści.

D. G. Rosetli. Jest to poeta wyższego polotu. Urodzony w roku 1828 z rodziny włoskiéj, któréj wszyscy członkowie używają wielkiego imienia w świecie sztuki i poezyi, Rosetli wychyla się majestatycznie z téj nowéj grupy, do któréj wchodzą oprócz niego: Morris i Swinburn. Grupa ta, jak nadmieniono, znana jest w dziedzinie literatury pod nazwą pre-rafaelitów. Nazwa bezwątpienia dziwnego rodzaju. Oto jéj źródło: Od pewnego czasu w malarstwie angielskiém nastąpiło pewne zwrotowe przesilenie. Pędzel albioński, hołdujący dotąd kilkuwiekowemu sposobowi przedstawiania natury i ludzkiéj postaci, zerwał z tradycyą florentyjską. Miejsce dawnéj sztywności religijnéj zajęła namiętność ludzka; obraz najliteralniéj zestąpił z nieba na ziemię. W témto zhumanizowaniu pędzla, przez pewną chwilę stał na czele sam Rosetli, poeta, będący zarazem znakomitym malarzem. Z dziedziny malarstwa przesilenie przeszło i na poezyą. Obejrzano się z tęsknotą na wieki średnie. Oto jest pre-rafaelizm. A więc, zawoła ktoś, czemuż nie nazwać tego zwrotu po prostu *romantycznością*? Zapewne, jest to romantyzm, ale z tém dopełnieniem, że w szkole o któréj mówimy, typ niewiasty podniesionym został do apoteozy inaczéj jak w romantyzmie. Nie jest to już bożyszcze uosabiające w zakochanym samolubnie własne uczucia, lub poetyczną gorączkę serca. Kobiéta dochodzi tu do znaczenia objektywnego, przestaje być konkretnością o pięknych błękitnych oczach, kibici eterycznéj, z uśmiechem anioła i t. p.: wszystko to zamało. Kobiéta podług dogmatu szkoły, jest pięknością samą, w bezwzględném i najwyższém znaczeniu. Jako święty i nie odwołalny typ, ta piękność idzie wskróś świata od początku wieków. U naszego poety ma ona imię „Lilit" piérwszéj żony Adama, czarodziejki, która wyprzedziła samą Ewę i węża kusiciela (prześliczny wiersz Rosetlego p. n. „Na obraz Lilithy)."

Ani Petrarka nie uidealizował tak niewiasty, ani Dante, tak uwielbiany przez Rosetliego, którego imię on przybrał do swojego (Dante Gabryel Rosetli).

W jednym ze swoich poematów p. n. „Błogosławiona Dziewica" opowiada nasz poeta, jak po raz piérwszy ujrzał tę postać: „Błogosławiona! wychyliła się wsparta na złotéj poręczy niebios, oczy jéj głębszemi były, aniżeli jest głębia wód zasypiających ku wieczorowi. W ręku trzymała trzy lilie a we włosie jéj było gwiazd siedem. Włos ten, złocisty, jak dojrzały kłos, spadał wzdłuż ramion. Szat jéj nie

zdobiły rzeźbione kwiaty, tylko róża biała, ofiarna róża Maryi.... Trudno wypowiedzieć, jaki urok promienił od tego widzenia.

„Z wyniosłości niebios widziała ona czas, jako dzikie tętno, bijący wśród wszystkich światów. I chwilę mocowało się jeszcze to jéj spojrzenie, żłobiąc sobie ścieżkę przez środek przepaści: przemówiła, a nie była to mowa; to gwiazdy w sferach swoich śpiewały.

„Teraz oto słońce już odeszło, księżyc kędzierzawy podobnym był do małego ptaszęcia, co kędyś tam daleko trzepocze się po nad otchłanią, otóż przemawia wśród cichego powiewu. Zaprawdę w jéj głosie słychać śpiewające wszech gwiazdy.....

„Ach uroku święty, czyliż teraz jeszcze przez ten śpiew ptasząt nie przebijają się jéj dźwięki. Kiedy dźwięki dzwonów zaległy na ciszy południa, czyliż jéj stopy nie płyną tu do mnie po wszystkich szczeblach echa?

„Pragnę, mówiła, aby on przyszedł i obok mnie stanął; wszak przyjdzie: czyliż nie modliłam się na niebie, a on, Panie mój, Panie! czyliż nie modlił się na ziemi? Albo czyż dwie modlitwy nie są potęgą doskonałą?

„Skoro w około głowę okrążą aureole, kiedy sam stanie w bieli odziany, wtenczas ujmę dłoń jego, i wraz z nim pójdę nad głębokie źródło światłości; a on wtedy zstąpi niby do strumienia i w oglądaniu bóstwa kąpać się będzie."

....Święty uroku; „my oboje, oboje?" wszak te słowa wyrzekłaś, moja ty błogosławiona!

Jakto? Ty byłaś przecie jedną wespół ze mną w owéj przeszłości. Ach! czyliż Bóg podniesie do nieskończonéj jedności téj nikłéj duszy mojéj, która miłością ku tobie podobną była do twojéj duszy?....

„Pójdziemy, mówi błogosławiona, pójdziemy społem, pod cienie owych borów, kędy jest Marya Panna z pięciu służebnicami; których imiona imionami są pięciu uroczych symfonii: Cecylia, Magdalena, Gertruda, Rozalia i Małgorzata."

Tak śpiewa nasz wieszcz, i nie masz wątpliwości, że przyznając kobiécie to objektywne znamię, mocniéj i trwaléj, niż ktokolwiek inny podstawił dla niéj stopień do owéj powagi społecznéj, o jakiéj dziś mówią i piszą wszechstronnie.

W jego poematach ujrzym kobiétę na wszystkich warstwach życia. Jest tam siostra, otoczona całém ciepłem miłości braterskiéj. Jest Jenny, jest matka czuwająca nad córką z całém wysiłkiem boleści matczynéj, a ponad tém wszystkiém jest tam wszech ideał dobra, miłości i łaski: Dziewica Rodzica (wiersz Rosettiego p. n. *Ave*, jeden z najpiękniejszych w rodzaju religijnym).

W powiastce *Wylew* (Stratton Water) poeta w nadzwyczaj rzewnéj formie przedstawia nam ofiarę błędu. Joanneta, ubogie dziewczę, jest tu ofiarą.

Baron Sands uwikłał to ciche serce i jak domyśléć się można z dalszego wątku powieści, kochał ją szczerze. Ależ baron Sands

i uboga Joaneta to *contradictio in adjecto* w oczach dumnéj rodziny. Rodzina, a przedewszystkiém brat Juliusz, dla ocalenia lordowskiéj czci zmyśla śmierć Joanety; znowu ktoś inny, jéj niewierność. Strzelec lorda odzywa się do swojego pana:

„Czy widziałeś wylew Strattonu? który dziś podsycony deszczem nawalnym, wybiegł z łożyska? Pędzi on pod twoim murem pełny świeżo skoszonego siana. Chciałem ja pognać twoje ogary do kąpieli na groblę Hutlon, dostały kąpiel na łanie zbożowym."

Lord Sands ze wschodów zamkowych spojrzał po łanie zachodnim. Kruk trząsł się z gniewu na swojém gniaździe, w około drzewa płynęła woda. Lord Sands spojrzał po wale zamkowym, po wschodniém wzgórzu.

Pale i słupy płynęły wśród łódek, woda jeszcze wzbierała.

„Coś się tam bieli, tam ku wzgórzu zaległo?"

„A! to żagiel dostojnéj barki twojéj, jasny lordzie: podmyła go woda."

„Ależ nie miałem ja nigdy tak białego żagla."

„Ach! to łabędzie dostojnego jeziora twojego, jasny lordzie: spłoszyła je fala."

„Ależ łabędzie nie stałyby tak spokojnie na miejscu."

„Już wiem, to Dżojs, małżonka moja rozpostarła chusty i boi się je zebrać."

„Nie, groomie! nie żagiel to, nie łabędzie, ani chusty twojéj żony."

Lord Sands przeszedł po schodach wieżyczki, po dziedzińcu i gumnie: krowy w oborze dziś stoją, konie u żłobów.

Lord Sands zaszedł na wzgórze, nurzające się w wylewie, gdzie biała postać leżała, a jeszcze chmury wisiały, po nad wzgórzem, białe widmo cichem było, jak chmury.

Ach! uroczym jest widok życia, smutną jest bezoczna głowa śmierci; lecz straszliwszemi są żywe oczy w téj twarzy, w któréj myśl zamarła.

„W imię Boga Wielkiego, Joaneto, czyliż to duch twój przychodzi mię nawiedzić?"

„Nie, lordzie; zaczekaj na inną godzinę, lordzie, zaprawdę wtedy duch mój przemówi."

Przez chwilę stał lord skamieniały, upadł na kolana.

—„Joaneto, moja ty luba, moja luba, wstań i pójdź ze mną."

—„O! tak i kiedyś mówiłeś ty do mnie „pójdź" a potém tu mię zaprowadziłeś."

„Alboż to jedno słodziutkie słowo powiedziałeś mi, lordzie, a dziś mam od ciebie nie więcéj, jeno ten deszcz, zacinający po twarzy."

„Alboż to jeden dar ślubowałeś mi, jasny lordzie; dziś jedyny dar został po tobie: niemowlę w mém łonie."

„O! lordzie, nie na łożu téj ziemi ujrzę ja dziecię moje; tu zwlokłam ciało, aby mię fala pokryła."

Zbliżyły się ich oblicza i dłonie.

— Ach! jéj oblicze gorące było od łez, jéj dłonie przemokłe, zimne od deszczu.

— „Joanetko, mówiono, żeś umarła; mógłżem domyśleć się kłamać.“

— „Lordzie, mówiono żeś był wiarołomcą; cóż mi pozostało, jeśli nie umrzeć.“

— „Ach! Juliuszu, wiarołomny bracie, przez ciebie-to miałem ją za umarłą. Wieże twojego zamku dziś blade, zaczerwienią się jutro.“

Spuść oczy, spuść oczy, matko nieszczera; prosiłaś mię abym nie rozpaczał: podniesiesz ty oczy, kiedy ślubne nasze świece jutro wieczorem zapłoną.

O! nie jedno znich, nie dwoje jutro się zatroska; lecz to jutro dla nich, kochanko moja, dla nich, a to dzisiaj dla ciebie i dla mnie.“

I twarz jéj ogarnął rękoma, blade usta przycisnął do swoich, i nie ma tyle cichej słodyczy w szczebiocie ptaszka, ile w tym pocałunku.

Do stóp ich dokoła zdradziecko garnęła się fala.

— Uchodź, Joaneto, tam czeka ciepła komnata na obrzęd ślubny i łoże na niemowlę-przychodnia.

— Ach! lordzie, alboż to ja nie słyszę krzyku twéj matki: „prowadzisz mi oblubienicę do łoża, czy ona chrzcić będzie niezrodzone dziecię, ona co przychodzi przemokła na ślubne gody?“

„Obym raczéj, jako małżonka, wstąpiła na progi twoje i spotkała oko matki. Ślubowaliśmy, że się połączym w świątyni, tam więc połącz się ze mną.“

Ujął ją za rękaw zmoknięty.

— Pójdź, wezwij Sir Jocka, spowiednika mojéj matki: on zwlekać nie będzie.

Ztąd pół godziny tylko od świątyni, pół godziny od ślubnego obrzędu, a kościół i zamek i włości zamkowe, nie moje już będą téj nocy, ale dziecięcia.....“

....Po chwilowéj niebezpiecznéj żegludze przypływają pod kościół. Tu brama cmentarza stoi niby brama promowa.

Lord na barkach wynosi Joanetę z łodzi, na cmentarz kościelny. Groby leżą głęboko pod wodą. Łódka opróżniona kręci się szalenie i rwie pod wichrem.

„Statkuj, statkuj, moja łódko! przywiezłaś oblubienicę, odwieź mi w pokoju małżonkę!“

...Powieść zbliża się do końca: Joaneta znękana wypowiada ostatnie wrażenia, jakie niechybnie nawiedzać muszą istotę jéj podobną, wśród zmierzchu i niebezpieczeństwa powodzi, oddzieloną jeszcze przepaścistą drogą od progów świątyni, w któréj serce jéj cześć i nietykalność sławy niewieściej miało zmartwychstać, przed śmiercią. Oto zakończenie:

„A teraz gotujcież ciepłe i miękkie posłanie, okryjcie je bielą i oczekujcie poranku.

Niemowlę się rodzi a matka umiera!

Widzieliśmy kobietę w jéj pierwotności bożéj, kobietę w aureoli kochania i śmierci. Teraz koléj na trzecią jéj postać; ze światła i miłości przechodzimy w pomrok: oto kobieta, która kochała, a teraz nienawidzi; niebieski nektar w jéj sercu zranioném przemienił się w truciznę. Helena mści się nad tym, który strawił jéj serce. Keit, znienawidzony przez Helenę, leży kędyś na łożu śmiertelném. Małe dziecię rozmawia z siostrą Heleną.

— Czemuż to, siostro Heleno, mówi dziecię, czemu chcesz stopić twojego męża woskowego; dziś już trzeci dzień, jakeś go topić zaczęła?

— Czas jest przeciągły i długi, ale czas biegnie, mój mały braciszku.

(O Matko, Matko Maryo! odpowiada brat, dziś dzień trzeci, na piekło i ziemię).

— Ale gdy skończym, siostro Heleno, pozwolisz mi pobawić się: wszak przyrzekłaś?

— Bądźże spokojny w zabawie téj nocy, mały braciszku mój!

(O Matko, Matko Maryo! téj nocy, trzeciéj już nocy, na piekło i ziemię).

— Mówiłaś, że wosk stajać musi przed dzwonem nieszpornym. Jeżeli stopi się teraz, wszystko się skończy: nieprawdaż, Heleno?

— Nie, ani wtedy, nie mów, braciszku.

(Ach! co to ma znaczyć, o Matko Maryo!).

— Dziś jeszcze był to dziarski mąż woskowy, a teraz rozpada się jakby człowiek umarły, siostro Heleno.

— No, no, co ci tam do umarłych, braciszku.

(O Matko!)...

— Widzisz siostro, tę drzazgę drewnianą, opada z pod wosku stopionego, czerwona, jak krew, siostro moja.

— Ależ ty braciszku, czemu ty patrzysz na krew.

(O Matko Maryo, jak ona pobladła!).

— Siostro, teraz zamknij oczy, bo oczy masz posępne i chore, a ja wybiegnę poigrać w galeryi.

— Dziecię moję, dajże mi spocząć.

— Siostro, tu na balkonie księżyc w przelocie zajrzał mi oko w oko.

— Przyjrzyj się, mój luby i powiedz, co tam widzisz wśród nocy?

(O Matko Maryo, co dojrzę ja w nocy?).

— Siostro, tam rzewny wiatr czuwa na dworze, drżą chwiejne drzewiny, nad niemi drżą chłodne gwiazdy.

— Ciszéj, czy mówiąc dosłyszałeś tętent konia, bracie ty mój?

(Matko Maryo, cóż dosłyszéć można wśród nocy, na piekło i niebo!).

— Słyszę, Heleno, słyszę tętent konia; widzę trzech jeźdźców straszliwie pędzących.

— Braciszku zkąd jadą trzej jeźdzcy?
— Mijają krawędź wzgórza dwaj obok siebie, a trzeci zdaleka.
— Przyjrzyj się .. czy nie poznasz, kto są trzej jeźdzcy?
— O! to Keit z Estholmu pędzi tak szybko; poznałem białą grzywę bujającą na wietrze.
— Braciszku, przyszła więc godzina, przyszła nakoniec.
(O Matko Maryo, jéj to godzina pszyszła, na niebo i piekło!).
— On dał skinienie i wykrzyknął: „hola!" powiada, że mówić chce z tobą, Heleno.
— O! powiedz mu, że się lękam zimnéj rosy.
(Maryo Matko, czemuż się ona tak uśmiecha?).
— Siostro Heleno!
Silnie wiatr szumi, lecz krzyk jego słyszę,
Że Keit z Ewernu, jest w drodze do śmierci.
— I ja téż jestem, i ty, on i oni.
— Trzy dni minęły, jak w łożu boleści,
Jęcząc, u Boga dopraszam się śmierci.
— Śmierć przyjdzie, jeśli *my* się pomodlimy.
(Jeśli *on* chyba, o Matko Maryo!).
— Siostro, dzień cały on woła litości,
Woła! byś twoje przekleństwo cofnęła,
— *Moja* modlitwa już słyszeć się dała,
Niechże on teraz pomodli się—Siostro.
Ach! czyliż Pan Bóg wysłuchać nie raczy?
. . . . . .
— Siostro, wciąż woła ten Keit z Ewernu,
Że jeszcze chciałby ujrzéć cię przed zgonem.
— Ujrzy mię w ziemi, w obłokach, w księżycu.
(Ziemio! obłoku, wy nieba i piekło!).
— Przysyła pierścień i pieniądz złamany,
I przypomina o grobli Boynu.
— I cóż tam więcéj? czyliż to, co złamał,
Czyliż napowrót sprzęgnie....
— Siostro moja,
Nigdy, przenigdy, na niebo i piekło.
— Onto przyznaje, siostro, ale w mękach zgonu,
O miłosierdzie przebaczenia błaga.
— A to, co wydarł, czy może powrócić?
— O! nigdy, nigdy!
— Konając, siostro on ma w swoich ustach
Twe imię; przebóg! i umarła miłość
Bez łzyby na to spoglądać nie mogła.
— Nie, nie: nienawiść zrodzona z miłości,
Jest ślepą, jako sama miłość: słyszysz?
(Maryo Matko! miłość obrócona w nienawiść? miłość? o niebo, o piekło!).

— Patrz, otóż teraz sam Keit z Keitu pędzi
Na bystrym koniu: poznaję włos biały.
— A więc maluczko i wszystko się skończy!
— Spojrzał się, chciał coś przemówić, niestety,
Głos drżący, słaby, mówić nie ma siły.
— Czegóż potężny baron żądać może?
— Siostro, i to ma być ostatnie słowo?
— Oto syn woła, że jeśli przebaczysz,
To ciało skona, lecz dusza żyć będzie.
— Bracie mój, niech mi ogień tak przepuści,
Jak ja przepuszczam.
— Ach! Matko ty Boża!
Takżeto ona przebacza!
Heleno, serce rozrywa się w ojcu,
Tak błaga: wypuść żywą duszę syna.
— Bracie, téj duszy ogień nie zabije:
Ona się wymknie.
— O! Matko Maryo!
Siostro, staruszek ukląkł na gościńcu,
Na Boga żebrze, abyś z nim jechała.
— Bracie, daleka to droga do progów
Jego synaczka. O Maryo!
— Heleno, słuchaj: oto biją dzwony,
Ale głośniejsze, niźli głos nieszporny.
— Gdzież tam nieszporny! to dzwon konających.

— (O Maryo! dzwon jego konania).
— Siostro, ten ciężki dźwięk przejmuje dreszczem. Czy ten dzwon jęczy w niebie czy na ziemi?
— Powiedz mi bracie, czy zwrócili konie?
— (O Matko Maryo, czegóż chce jeszcze ta kobiéta)?

— Oto podnieśli klęczącego starca,
I lotem strzały puścili się w drogę.
— O mały bracie, chyżéj niźli strzała,
Ta dusza naga uleci.
(O Maryo)!
— Tęskno wiatr szumi po zimném strzemieniu,
Jeszcze tęskniejsze jadących oblicze!
— Jeszcze tęskniejsi ja i on, mój bracie.
— Widzisz ty, siostro? już wosk się rozpłynął,
Płomień spokojnie ogarnął go z góry.
— Bracie mój, chwilę popłonie i zgaśnie.

— Heleno, coś tu przemknęło się w bieli.
Przemknęło w bieli, westchnęło na mrozie.
— Dziecię! to dusza zgubiona, jak moja

Zgubiona dusza!
— Zgubiona, Heleno?
Zgubiona, Matko Maryo, zgubiona!

Poezya dramatyczna—ostateczne zabicie Żyda tułacza—Evans i George Amstrong.

Tragedyi, tragedyi! pół królestwa za tragedyą. Jeszcze wiekopomny Adam, w swoich odczytach o literaturze Słowian wskazał na fatalny wyłom w systemacie starych estetyków, podług których dramat powinien się ukazać na kresach rozwoju sztuki. Mimowolnie zwracamy oko na ten wyłom, przerzucając karty książek i dzienników streszczających obecny ruch piśmienniczy w Anglii. Scena, uporczywém milczeniem, a raczéj bezpłodnością, uwzięła się niejako na zgniecenie tych etyrycznych przędziwak, które pod nazwą teoryi piękna, poważyły się formułować twórczą potęgę gieniuszu, wiązać Herkulesa pajęczyną, jak mówił Śniadecki. Co do nas, na wytłumaczenie tego faktu, nie będziemy się uciekali do filozoficznych norm, bo normy w téj właśnie dziedzinie są zakazanemi; lecz poprzestaniemy na samym fakcie: dramat na chwilę wyczerpanym został, Szekspir tworzył nietylko za przeszłość, ale i za potomnych na długo.

W Francesco Cenci (Shelley'a), w Doży weneckim (Marino Faliero, Byrona), w Sardanapalu lub Kaimie, ożył wprawdzie dramat ale nie Szekspirowski. Akcya przygłuszona została czynnikiem, nieznanym dawnéj dramie, to jest niaustanném mieszaniem się w jéj sprawy, ducha samego utwórcy....

Jestże to wadą obecnego dramatu? jestże zadaniem krytyki spychać ze sceny tę subjektywność ducha, uwijającego się po niéj bezustannie?

Czy téż przeciwnie? mamy uznać za godziwe, zajęcie przez dramaturga téj roli, jaką dramat starożytny włożył na chóry, a którą Szekspir z całą dokładnością psycholigiczną rozdzielił na osoby działające i monologi. Obecny stan literatury dramatycznéj jest wymowną odpowiedzią na to pytanie. Nie mając do zaznaczenia głośnych imion w tym zawodzie, mamy wszakże dzieła a nawet arcydzieła poezyi, wprawdzie nie dramatycznéj, ale ukazujące się w kroju dramatycznym.

Do rzędu takich, pół-dramatycznych utworów słusznie zaliczyć można „Cyganów hiszpańskich" G. Eliot'a (pani Elweys).

Następnie wspomnieć należy inne, nie pozbawione wagi utwory: *Klątwa nieśmiertelności* p. Eubule Ewansa (The Curse of Immortality). Gdzież się nie tułał ów legendowy żyd, którego francuzkie podania ludowe zawieszają gdzieś pomiędzy ziemią i niebem, który jak cień-nemeza snuje się poza Neronem wśród jego rozkoszy, wśród pożogi Rzymu [1]); który następnie przed czterdziestu jeszcze laty błąkał się od krańców Wschodu do pałacu Rennepontów.

---

[1]) W znakomitym poemacie Hammerlinga p. n. Ahasver w Rzymie).

Owę to postać dwóchświatową Evans wziął za bohatéra tragedyi. Ahasver jednak, który tu występuje pod imieniem *Theudas*, uchwycony jest w charakterze średniowiecznym. Ahasver piérwotny, najpotężniejsze wcielenie mąk sumienia, stanowczo zmienił tu swoją naturę; w posępnym typie mściciela nad sobą samym, odrodził się człowiek z namiętnościami ziemskiemi, bożek pogański, który w wycieczkach swoich po świecie żyjących, ma przywilej spełnienia zachceń śmiertelnego; siłą cudowności Theudas wśród tułactwa zstępuje w góry Araratu. I oto nasz Herkules spotyka tam w jaskini, nie Prometeusza przykutego do skały, ale dziewicę opętaną przez duchy piekielne. *Leila* było jéj imię, Theudas wyzwala ją z mocy szatana. Leila zapomina o piérwszym swoim oblubieńcu i serce oddaje nowemu zbawcy. Nadmienić należy że była to właśnie jedna z tych epok, w któréj tułacz odzyskał młodość i siłę piérwotną. Oswobodziciel i oswobodzona puszczają się na wędrówkę. Wędrówka ciągnie się przez lat czterdzieści. Ale i szatan nie zasypia. Przybrawszy za towarzyszkę Epitumią, jedną z ulubionych służebnic swoich, mściciel wraz z nią snuje się za Leilą i Theudasem przebrany za wieśniaka niemieckiego. Szczęśliwe stadło przybywa nad brzegi Renu. Szatan rzuca iskrę podejrzenia w serce Theudasa. Zdradzony, a raczéj uważający się za zdradzonego, wieczny tułacz porzuca oblubienicę i ucieka, ale w towarzystwie Epitumii.

Skoro przybył nad jezioro genewskie, zapada w ów cudowny sen, który w pewnych stałych epokach sprowadza na niego odrodzenie i przywraca młodość. Tymczasem mściwy szatan towarzyszy Leili w jéj wycieczkach na odszukanie oblubieńca. Leila poznaje śpiącego. Theudas obudzony pocałunkiem współtułaczki, wpatruje się w jéj oblicze. Niestety dzieląc się z nią sercem w jaskini Araratu, Theudas nie mógł podzielić się z nią cudem odrodzenia. Czterdziestolecie położyło swoje wyroczne znamiona na twarzy Leili. Półsenny Theudas w rozmarzeniu wita ją, jako *matkę:*

Theudas. „O! matko moja! (i znowu zasypia).
Leila. Matką, matką mię nazywa,
Po stadle półwiekowem? Ach ja nieszczęśliwa:
Kiedy skarb odszukany całuję i pieszczę,
Ten duch z łoża starości zmartwychwstał raz jeszcze;
Zmartwychwstał w obec zwiędłéj, poradlonéj twarzy!
I oto nad młodości cudem odrodzoną
Stoi próchno żywota. On drzémię i marzy;
Żem mu matką nie żoną! a bodajbym raczéj
Po śmierć tu przyszła, niźli po słowo rozpaczy."

Leila składa na ustach odrodzonego ostatni pocałunek i nieprzytomna pędzi ku jezioru. Tymczasem tułacz wybija się ze snu, szatan odkrywa się i wskazując na ofiarę rozpaczy, wypowiada z try-

umfem, że dokonał zemsty, że Leila wiarołomną nie była. Wtedy tułacz rzuca się w pogoń za uciekającą: zapóźno, niestety! Sytuacya niezaprzeczenie dramatyczna, przypominająca Rachelę w znanéj operze, i mdlejącego jéj ojca.

Rozwiązanie dramatu, jakeśmy wyżéj nadmienili, przecina nitkę mitu mieczem Aleksandra: Teudas umiera z rozpaczy.

Krytycy angielscy szczerze ubolewają nad rozpaczliwym zgonem Teudasa i woleliby, aby przeodziany Ahasver tułał się jeszcze po świecie. Przyznać należy, że krytycy niekiedy mają słuszność. Pomimo tego, niebezzasadnego zarzutu, dramat ma jednak swoje szczytne momenta.

Tragedya Izraela. (Tragedy of Israel) G. Armsstronga.

Jestto pierwsza część zapowiedzianéj trylogii; bohatérem jéj jest Saul, jeden z najkolosalniejszych kształtów biblii, którego wyznać musimy, żaden z nowożytnych tragików nie ustawił we właściwéj pozie. Nawet Alfieri, nader udatny w oświetlaniu głównych postaci świata starożytnego, nie podołał temu demonicznemu typowi walki człowieka z bóstwem.

Armstrong pochodzi ze szkoły Swinburne'a; i nieraz przypomina jego muskularną siłę. Przedmiot tragedyi, jako znany z dziejów świętych, zbytecznem jest tu rozwijać. Saul umiera, opuszczony, samotny, zawiedziony. Ale umiera, protestując, czyli, jak mówi Wiktor Hugo w roku 93, ściskając pięści. Oto jego słowa zwrócone do Bóstwa:

Zmarli stali się prochem, a żywi, jak zmarli,
Żyjącemi trupami, i pierś mi rozdarli
Za to, że ich kochałem; i ja co kochałem,
Gościńcem zwiędłych liści wędruję, z tém ciałem,
Ja duch najsamotniejszy: wszystko się zapadło.
Dziewictwa ranne pączki robactwo obsiadło,
Młódź, pnąca się do nieba barki zuchwałemi,
Dziś, na równi z bydlęciem przyparta do ziemi,
Tarza się po kałuży i własny ród broczy
Wściekłą gniewu paszczęką; krwią świecą jéj oczy,
Bo Ty ją stratowałeś... słabych i mocarzy
Zdeptałeś władną stopą; zgasiłeś blask twarzy
Łoża oczu prześlicznych zasypałeś ziemią,
I świat zastygł dokoła: namiętności drzemią
I zimne są niebiosa Wschodu i Zachodu.
Tak... sny moje wskroś przewiał dech trupiego chłodu;
A duch mój gdzieś zaginął, o czémże ja marzę?
O! tylko o marzeniach.

Gdyby nie obawa przekroczenia granic naszego zadania, pokazalibyśmy dotykalnie, jak jedna i taż sama treść, urabia się odmiennie

pod rękami mistrzów różnych epok i różnych poglądów. Saul Alfierego przed zgonem wypowiada toż samo, a przecież nie to samo.

„O! dzieci moje, powiada on z rozpaczą Wirgiliuszowską, byłem ja ojcem (fui padre). Tak więc królu, sam jeden zostałeś. Nie widać obok władcy nikogo z tylu przyjaciół, tylu służebników.

Ty straszliwa pomsto nieubłaganego Bóstwa, jestżeś nasyconą? Bezbożny filistynie, ujrzysz mię; lecz ujrzysz jak mi przystoi królewskości... umarłbym."

Armstrong nie jest talentem bez przyszłości, w stosunku do poprzednich utworów widać tu znakomity wzrost siły; jest tu znajomość ducha i owa praktyczna filozofia dramatu, coto czuje dotykalnie, gdzie leży serce przedmiotu.

W dalszym ciągu przeglądu współczesnego dramatu powiemy o Swinburnie, którego imię krytyka dziś stawia na świeczniku.

Z SIEDMIOLETNIEJ WOJNY.

OPOWIADANIE HISTORYCZNE.

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

(Ciąg dalszy).

VIII.

Późno wieczorem wrócił Simonis znużony do domu, w którym już wszyscy spali, rozmyślając nad wcale nieosobliwém położeniem swojém. Mijał milczące drugie piętro, gdy stara Gertruda otworzyła drzwi, wyjrzała ostrożnie i poznawszy go przy świetle ogarka, który trzymała w ręku, dała znak aby szedł za nią.

Zdziwił się nieco Simonis tak późném zaproszeniem, lecz posłuchał go. Staruszka siedziała w wieczornym dezabilku i ogromnym czepcu ze wstążkami na swoim fotelu i drzémała. Świeca okryta umbrelką paliła się na stoliku.

Zobaczywszy Simonisa dała mu znak ażeby usiadł naprzeciw.

— Cóż tam słychać?—zapytała pocichu, jak gdyby Gertruda nie była głuchą—co mówią w mieście? Jestem bardzo niespokojną. Feulnera wzięli, a choć się nie wygada pewnie, zawsze u niego cóś znaleźć mogli; Mentzel uciekł, ale czy go nie dogonią? czy go nie wyda kto?

Nareszcie i o waćpana mi idzie — dodała ciszéj—tak, o waćpana....

— O mnie?—spytał zdziwiony Simonis.

— Czyś się waćpan podpisywał na listach do hrabinéj de Camas?—zapytała baronowa.

Zbladł Max.—Dlaczego mnie pani pyta o to?

— Bo zdaje mi się że na listy czatowano i schwytano je.

Simonis ust nie mógł otworzyć.

— Pani to zkąd wié?

— Wiém—zimno odezwała się baronowa—wiém.... to dosyć.

— Ale ja dziś rano byłem u ministra, który mnie przyjął jak najlepiéj.

— A wieczorem listy waćpana są u niego na stoliku.

— One szły przez Beguélina—zrywając się z siedzenia odezwał Simonis.

— A Beguélin więcéj myśli o sérach swoich jak o listach. Waćpan, jeśli tak jest, nie masz chwili do stracenia: idź na górę, zabierz co konieczne, resztę oddaj Gertrudzie; każę zanieść na strych. Gdy zapukają do wrót, nie czas już będzie.

— Lecz gdzie się ja skryję?

Staruszka mimo wieku, zachowała zimną krew i przytomność.

— Idź waćpan na górę, spal jeśli co masz; zabierz pieniądze, weź płaszcz, zmień kapelusz: dam ci kartkę do Serba, mojego starego sługi, który mieszka w chatce nad Elbą między rybakami. Dopytasz się do niego. Spiesz....

Simonis zawahał się z początku, staruszka wskazała mu na drzwi.

— Spiesz!—powtórzyła—idź a pamiętaj, jeśliby cię złapano, nie mów nic o mnie. Żlebyś mi się wywdzięczył. Stare moje kości już ani więzienia ani męki nie wytrzymają.

Max zerwał się z miejsca żywo i coprędzéj pobiegł na górę. Zaczęty list spalił przy ogarku, który mu dała Gertruda, złoto swe pochował w kieszenie, płaszcz narzucił na ramiona; westchnął, łza nie męzka zakręciła w oku i już biegł na dół. Staruszka podała mu drżącą rękę do pocałowania.

— Idź waćpan: idź, idź....

Simonis co tchu zbiegł na dół, drzwi ostrożnie otworzył; na rynku nie było widać nikogo: księżyc świecił i plac stał pustkami.

Nie dobrze sobie zdając sprawę z tego co uczynił, puścił się ku Frauen-Kirche i dla odetchnięcia a zoryentowania przyparł u jednego z jéj ganków.

W téjże chwili z przyległego gmachu, który dawniéj część kościoła zakrywał, i w którym mieścił się odwach główny, ujrzał wychodzących sześciu żołnierzy, oficera i urzędnika, który temu oddziałowi przodował. Za żołnierzami wlókł się w płóciennéj odzieży człowiek, który trzymał łańcuszki w ręku. Simonisowi zrobiło się jakoś mdło, zakręciło mu się w głowie, nie mógł z miejsca ruszyć, choć chciał uciekać. Widział jak żołnierze skierowali się do bramy domu baronowéj i jak urzędnik do niéj stukać zaczął.

Nie było wątpliwości, straż ta po niego szła; musiał więc co najrychléj umykać z placu i za Pirnajską bramą szukać przejścia gdzieś nad Elbę, aby tam znaleźć schronienie. Nieznającemu dobrze miejscowości, wyprawa ta była niesłychanie trudną i rezykowną.

Tonący brzytwy się chwyta. Simonis nie wiedząc już dokąd bieży, począł szybko mijać rynek i wpadł w piérwszą jaką napotkał ulicę; z téj puścił się w inną i niebardzo bacząc dokąd idzie, dobierając tylko jak najciaśniejsze i najciemniejsze uliczki, o które w ówczesnych miastach nie było trudno, zupełnie się zbłąkał. Zdało mu się wszakże, iż tu był bezpiecznym. Okiennice wszędzie były pozamykane, bramy zaparte, mało gdzie świeciło się w oknie: w zaułkach oprócz kilku psów błąkających się nie spotkał żywéj duszy. Idąc po téj stronie na którą cień padał, nie lękał się aby księżyc w pełnym blasku mógł go zdradzić. Niekiedy nastawiał ucha chcąc szmery dalekie usłyszéć i rozeznać, ale te na chwilę tylko zaszumiawszy

tonęły gdzieś w głębiach. Zdala czasem skrzypienie drzwi otwierających się chwytał i trzask zamykania, niekiedy jakby ostrożne stąpanie po bruku. Przystając, to idąc, rozmyślił się wreszcie, że w jakimkolwiek kierunku, iść należy nie zmieniając go, aby tak do dnia nie błądzić i na patrol jaki nie natrafić. Prawdopodobnie, nie znalazłszy go w kamienicy, musiano szukać w mieście; ostrożność więc zachować musiał największą.

O! jakże sobie w téj chwili wyrzucał, że się dał w tę sieć wpędzić, z któréj nie wiedział czy wyjdzie z całą głową! Dom stary w Bernie, siostra, młodość, Berlin, stancyjka u cukierników, Carlotta: wszystko mu teraz ze łzami na pamięć przychodziło. Strwożony wlókł się pod murami i płotami, rozglądając czy nie rozpozna położenia; gdy wreszcie trafił na większą jakąś ulicę. Ale na niéj posłyszawszy śpiéw wesoły, cofnął się w cień i czekał. Środkiem szedł właśnie młody człowiek, jedną ręką w bok się wziąwszy, drugą spierając się na lasce; kapelusik na lewém uchu, mina gęsta a humor jak po węgierskiém winie. Simonisowi zdawało się, że cóś podobnego gdzieś widział niedawno, i nie mylił się, byłto bowiem pan Ksawery Masłowski. On i kilku młodzieży szlacheckiéj ze dworu Brühla i N. P., sprawili sobie po teatrze niemieckim w Gewandhauzie traktament w winiarni u Czecha Hreczki, przy uliczce Kreuzkirche. Tamci się jakoś porozchodzili, a Masłowski powracał do domu, i żeby mu smutno nie było, polską na całe gardło śpiewał piosenkę.

Szwajcarowi, zobaczywszy kogóś ze dworu Brühla, zimno się zrobiło, choć noc aż nadto była parna; przylepił się do muru w przekonaniu że go przechodzień niepostrzeże: ale wśród ulicy pustéj, nie mając co robić z oczyma, Masłowski przeglądał niemi wszystkie kąty. Dojrzawszy nieruchomo stojącego człowieka, rad że może trafić na awanturę, nie zastanawiając się, wprost puścił się na niego z krzykiem *Wer da?*

Zrazu Simonis chciał uciekać, ale siły i determinacyi mu zabrakło; wziął się więc już do szpady, gdy Masłowski przypadłszy tuż poznał go i rozśmiał się na całe gardło.

— A ty tu co robisz, Szwajcarze? mnie pod sekretem mówiono, że cię wieczorem na odwach za cóś miano wsadzić i wybierałem ci się tam oddać wizytę.

— Na miłość Boga! nie zdradzicie mnie!—zawołał Simonis—wy Polacy macie naturę szlachetną. Chciałżebyś się znęcać nad nieszczęśliwym.

— Niech Bóg uchowa—zawołał Masłowski—na złość tym szołdrom bronić cię będę; ale powiedzże mi prawdę, rękę na sercu położywszy, sumiennie, uczciwie, coś zbroił?

Simonis był w takiém położeniu, że nie miał już nic do stracenia: rodzaj gorączki go opanowywał.

— Szlachetny młodzieńcze—rzekł—przybyłem z Berlina, to starczyło aby mnie posądzić.

— A jak nateraz, to dosyć posądzenia, ażeby do sznurka się wzięli—krzyknął Masłowski.—Ale przyznaj się: tyś pruski, hę?

Szwajcar się zawahał.

— Słuchajże! Bóg widzi, mnie to zupełnie wszystko jedno: jak tylko Niemiec, gatunku nie mogę rozpoznać. A tak mnie to bawi, że oni się z sobą tłuc będą! A! jak mnie to bawi! Gdybym mógł, tobym z obu stron podżegał. Bądź ty sobie pruski, saski, austryacki, a mnie co do tego? jak tylko im pomagasz żeby się z sobą jedli, to cię kocham!

Lecz wiesz co, kawalerze szwajcarski—dodał ciszéj—cóż ty myślisz z sobą? Ciebie szukają, a jak znajdą, nie ma żartu. Brühl słodki jest, ale jemu człowieka sprzątnąć, jak mnie wypić kieliszek. Ty się musisz skryć, i pomagaj Prusakom niech Sasów tłuką, a potém jeśli ci z tém będzie lepiéj, pomóż Sasom żeby Prusaków wytłukli. Jak ich mniéj będzie, świat nie przepadnie.

Maszże ty już jaką dziurę?

Simonis się jeszcze wahał.

— A! gadajże tchórzu!—zawołał Masłowski—żaden Polak nigdy nie zdradził.

— Mam—odparł Simonis—ale do niéj sam nie trafię, bo miejsca nie znam ani ludzi.

Obejrzał się pan Ksawery: w ulicy żywéj duszy nie było.

— Dalekoto?—zapytał.

— Nad Elbą, między rybakami—rzekł Simonis.

— Hm!—odparł szlachcic—ja co innego mam na myśli: niech sobie ta dziura zostanie na wszelki wypadek na późniéj.

Gdzie ty tam w śmierdzącéj chacie o cebuli i razowym chlebie wytrwasz? Ja ci powiem co zrobimy. Ja się nikogo w świecie nie lękam. Stoję sam jeden u wdowy, nawet nie staréj, u niejakiéj Fuchsowéj: oto ztąd niedaleko kilkadziesiąt kroków. Fuchsowa mnie drze, ale nie zdradzi i dałaby się posiekać za mnie. Nie piérwszy to raz u mnie się kto przytuli i przemieszka kilka dni. Powiem babie: „*Verstehen*" język za zębami *halt!* Będzie milczała, choćby ją pieczono.

— Nie będzieszże się lękał?— spytał Simonis.

Masłowski oczy otworzywszy szeroko, odstąpił kroków kilka.

— Ja? żebym się szołdrów zląkł? A! niedoczekanie ich! Szwajcara, jakby się zawzięli, mogą poturbować i połaskotać koło szyi, ale polskiego szlachcica? ha! ha! Co mi zrobią? wsadzą do Koenigsteinu? Ano, wielka rzecz: ojciec uwolni. Chodź!..

To mówiąc pociągnął go z sobą, a dla większéj pewności pod rękę go ujął i tak prowadził do pani Fuchsowéj. Masłowskiego ojciec, pan stolnik był człowiek majętny; kilka razy już długi synowskie płacił, działo się więc panu Ksaweremu u Fuchsowéj jak nie można lepiéj.

Jak tylko do bramy zaczął kluczem świdrować, służąca w pantoflach zbiegła ze światłem, a na piérwszém piętrze czekała gospodyni, średnich lat, nie szpetna kobiecina, wygadana, śmiała dworka. Gdy ją zobaczył Masłowski, zaczął zaraz łamanym językiem witać ją i oznajmywać że prowadził z sobą przyjaciela, że ten kilka dni u niego spocznie: ale o tém powinno być cicho.

Fuchsowa oczyma tylko ciekawie zmierzywszy młodego chłopca, usty i rękami zaręczyła uroczyście, że spełni polecenie grafa. Masłowski jak wszyscy majętniejsi Polacy, dostał ten tytuł od Fuchsowéj; potwierdzili go potém tragarze, którym dobrze płacił i kupcy u których brał na kredyt.

Mieszkanie pana Ksawerego nie było paradne, a po saskich w porządku utrzymanych, wydawało się tém co dotąd Sasi zwać zwykli *Polnische Wirtschaft.* Nieład panujący tu, dwa razy tyle kosztował, co gdzieindziéj najwyszukańszy porządek. Fuchsowa nieśmiała zaprowadzać u niego żadnych reform, bo Masłowski się gniewał.

Wśród dosyć porządnych mebli stały buty pod krzesłem jedném, na drugiém wisiał przyodziewek, na trzeciem ręcznik. miednica stała na stoliku wśród papiérów, świeca przy talerzach z owocami; na ćwieczkach tu i owdzie wisiały piękne i nie piękne rzeczy; na kanapce leżała biała poduszka: na łóżku w drugim pokoju stało pudło.

— Przepraszam cię, kochany kawalerze Simonis—począł wchodząc Masłowski.

— Na miłość Boga! nie wymawiajcież mojego nazwiska —krzyknął Szwajcar.

— A! prawda; ale jakże was będę nazywał? hę? Po imieniu?

— Ani po imieniu.

— Ochrzcijże się, kim chcesz być.

— Włochem nazwij mnie.

— Terrini, znałem jednego, który się tak nazywał, to mi łatwiéj będzie—podchwycił Masłowski.—A zatém Signor Terrini, przepraszam cię za nieporządek u mnie. Niemcy się z niego wyśmiewają, ale te szołdry nie rozumieją bestye tego, że ja szlachcic wolny, nie chcę być niewolnikiem moich rupieci i dla nich się męczyć: pal ich dyabli! Niech każda rzecz tam leży gdzie ja każę, nie gdzie jakiś głupi wymaga porządek.

Pomimo to będzie ci wygodnie, możesz nogi położyć na stole, kiedy chcesz; u mnie wolno wszystko.... mojém godłem: *libertas!*

To mówiąc, Masłowski wskazał na drugi pokoik, gdzie stało łóżko.

— Gość jesteś, zdejmę pudełko i oddaję ci łóżko: sam się prześpię na kanapie. Jeśli jesteś zmęczony, zrzuć łupinki z siebie i idź prosto w bety, a ja sobie radę dam: bądź spokojny.

Simonis jednak dalekim był od tego uczucia. Uścisnął rękę Ksawerego z wdzięcznością.

— Ale jutro?.... jutro co będzie?.....

— Jutro ja idę na służbę—rzekł Masłowski—dla saméj niepoznaki, muszę. Fuchsowéj zapowiem, że tu nie ma nikogo; musi uwierzyć, bobym babie uszy natarł dopiéro. Zamkniesz się na klucz i jesteś jak u Boga za piecem.

— A jeśli się wyda?
— Jakimże sposobem ma się wydać?
— Któż to przewidzi?
— To nie może być.
— Lecz, gdyby...
— A no? gdyby; widzisz kochanie, moje okno z sypialni, hę? wychodzi do ogrodu... Ofiaruję ci dwa prześcieradła, które masz czas skręcić i związać, spuścisz się i drapniesz prosto nad Elbę. Mówiono mi że tego sposobu doskonałego używał kompatriota asindzieja Blumli, ile razy go Brühl zastał nie w porę u Miny i takiéj nabył wprawy, iż go to potém nic nie kosztowało.

Masłowski śmiał się i już zaczynał rozbierać.

— Idź spać kawalerze Simonis, u mnie się nie ma czego obawiać! Jabym was dlatego samego bronił, że im pomagasz do ciupaniny! A! gdybym wojny między niemi doczekał, to dopiéro będzie satysfakcya. Dobranoc kawalerze, kładź się, ja tu na warcie! Dobranoc!

IX.

Ostatnich dni sierpnia, ktoby był po długiéj niebytności przyjechał do spokojnego Drezna, mógłby go nie poznać. Jakieś niezwyczajne, rozbudzone życie krążyło nietylko w ulicach miasta, ale w najodleglejszych jego zakątkach. Twarze które spotykano, potrwożone były, zdziwione, niektóre uśmiechały się szydersko, inne krzywiły smutnie. Kupki mieszczan gromadziły się tu i owdzie, szeptano między sobą żywo, a na widok wojskowych i urzędników rozpierzchały się w mgnieniu oka. Z okien domów, na najmniejszy hałas wyglądały ciekawie głowy w perukach, czepkach i szlafmycach. Od zamku kiedy niekiedy wyjeżdżał konny gwardzista, pędził ciężkim kłusem ku Pirnajskiemu przedmieściu i znikał. Około pałacu Brühla ruch był większy jeszcze niż gdzieindziéj, lektyki i powozy stały przed nim, odchodziły, powracały, posłańcy bez kapeluszów biegali z zamku i do zamku; kobiéty szczególniéj były w gorączkowym ruchu.

Hrabina Brühlowa siedziała u królowej, minister był przy królu, a w jego salce czekało nań niecierpliwiąc się mnóstwo

osób. Wszystkich twarze były zafrasowane, namarszczone, Hennicke chodził z głową zwieszoną. Globig i Stammer kłócili się z sobą. Wnoszono i wynoszono pliki papierów. Generałowie przybiegali, dowiadywali się i odjeżdżali. Niekiedy przez most od Nowego Miasta wpadał na koniu kuryer wprost przed pałac Brühla i szybko ze skórzanéj torebki dobywszy listów, oddawał je na dole, a z rąk do rąk chwytane dostawały się w mgnieniu oka do sali, gdzie je Globig bez ceremonii rozpieczętowywał; służba jak oparzona biegała, wołana, odwoływana, wylękła. Nigdzie dnia tego nie było porządku a rozkazywał kto chciał. Słuchano jednych, zapominano o rozkazach drugich, frasunek opanował do najmniejszego pachołka.

Wśród tego dworu oszalałego niemal jakąś trwogą, Masłowski z rękami w kieszeniach, z miną napozór seryo, w istocie szyderską, chodził przysłuchując się, przypatrując jakby go to niesłychanie bawiło.

Nie wydawał się jednak z tém uczuciem i przed towarzyszami przesadne rozwodził żale.

Do osób które na Brühla już oczekiwały, w téj chwili przybył jeszcze generał Rutowski. Z posępném czołem rozepchnął tłumy te, nie patrząc prawie na nie; zapytał o ministra, niecierpliwie się zżymnął usłyszawszy że go nie ma i otworzywszy sobie gabinet, padł w nim na krzesło przy stole, głowę opierając na ręku.

— Słuchaj-no — rzekł do jednego z kamerdynerów — jak tylko minister wróci, dać mu wiedzieć o mnie.

Ale ministra nie było, godziny porządkowe zmieszane zostały, nikt nie wiedział kiedy się co zacznie i skończy. Pomniejsza służba korzystała z tego szczęśliwego składu okoliczności, po kątach wysuszając butelki i ściągając nie kontrolowane słodycze. Nikt ich teraz nie pilnował.

Wśród tego szmeru i wiru, nagle stała się cisza, a potém gwar, ruch, zamęt, wrzawa podnosiły się jesze. Wołano:

— Jego Ekscelencya.

Drudzy poprostu—Brühl.

W istocie minister wysiadał z lektyki i nie widząc nic, nie słysząc, nie zważając na to co się koło niego działo, biegł na wschody. Twarz miał gniewem wywróconą, bladą i zestarzałą

nagle; jeden mankiet koronkowy wisiał u rękawa oddarty, peruka była w nieładzie.

W sali powlókł oczyma po twarzach przytomnych i jakby nie widział nikogo, wpadł do gabinetu, w którym siedział Rutowski.

Za nim téż wcisnęli się hr. Loss, kanclerz Stammer i prezydent konsystorza Globig, wszyscy wicekrólami zwani. Zmienione ich twarze zwiastowały przestrach; Loss trzymał papiery w ręku tak drżącym ze wzruszenia, iż latały z góry na dół.

Za niemi nadbiegł z zamku dążący generał adjutant baron von Spörken. Stosownie do temperamentów, twarze tych panów były blade jak marmur, żółte jak wosk, czerwone jak piwonie: baronowi von Spörken krew o mało nie tryskała z oczów; Rutowski poważny i smutny, miał majestatyczny spokój ojca, którego był obrazem.

Brühl stanął w pośrodku i odetchnął.

— Panie generale—rzekł do Spörkena—zmiłuj się, rozporządź, nakaż, pilnuj aby mi do króla nikogo, ale co się nazywa nikogo z wojskowych niedopuszczano.

— To się rozumie, bądźcie spokojni—rzekł Spörken.

Oczyma jakby obłąkanemi Brühl powiódł po ścianach i siłą woli odzyskał przytomność i krew zimną, przynajmniéj pozornie.

— Rzecz jest niesłychana, w dziejach niepraktykowana, niepojęta, która wszelkim kombinacyom kłam zadaje, bo się wszelkiemu prawu urąga. Słyszeliście panowie?

Rutowski podniósł głowę.

— Tak jest; co chwila gońcy to potwierdzają—mówił Brühl, coraz usiłując się spokojniejszym okazać—tak jest. Król Fryderyk niepomny praw narodów, niewypowiedziawszy nam wojny, nie mając najmniejszego powodu do najazdu, trzema kolumnami wkracza do Saxonii. Oto są z Berlina doniesienia jak najdokładniejsze. Ma czterdzieści tysięcy ludzi. Książe Ferdynand Brunświcki wszedł do księztwa magdeburgskiego a kwatermistrz i przednie straże na Hallę, Lipsk, Bornę, Chemnitz, Freiburg, Dippelswalde zmierzają ku Dreznu. Król sam z wyborem żołnierza idzie po lewym brzegu Elby przez Wittembergę, Torgau, Meissen, zapewne na Kesseldorf.

Książe Bevern od Frankfurtu nad Odrą, przez Elsterwerdę Budziszyn, Stolpen i Lohmen, dąży w okolicę Pirny.

Rutowski porwał się z krzesła łamiąc ręce.

— A my przeciwko tym trzem oddziałom, mamy zaledwie...

— Trzydzieści tysięcy żołnierza! wybornego żołnierza— przerwał Brühl porywając papier ze stołu.—Tu stoi rachunek. Trzydzieści tysięcy...

Rutowski szybko z za munduru dobył inny papier.

— Hrabio, mylisz się i uwodzisz!—krzyknął—nie mamy połowy tego. Piętnaście tysięcy z ciurami, ani jednego więcéj.

— To być nie może!—odezwał się Brühl.

— Tak jest! tak jest! Na papierze mieliście ich trzydzieści, ale ja wiem że połowy nie ma przy regimentach.

— Austrya—zawołał Brühl.

— To drugie złudzenie—przerwał Rutowski śmiało— z nami będzie to samo co z księciem Karolem Lotaryngskim pod Kesseldorfem; Austrya tak nas poświęci, jak jego dała na ofiarę.

— Nie może to być, nie może—począł Brühl. Dwór cesarski, mam najpewniejszą wiadomość, wysłał siły znaczne do Czech. Korpusem jednym dowodzi Broun, ten stanie pod Kolinem, drugim Piccolomini pod Königsratzem.

Generał Wied wykomenderowany zostanie do Peterswalde, aby nam podał rękę. My téż wojsko nasze musimy zgromadzić w téj stronie.

— A Drezno?—spytał Rutowski—a król? królowa?

— Drezno! —uśmiechając się zawołał Brühl—pan hrabia się lękasz o Drezno! Drezna nikt się tknąć, nikt się do niego zbliżyć nie waży, choćby w niém nie było jednego człowieka. O Drezno ja jestem spokojny.

— A ja nie—rzekł Rutowski.

— Panie hrabio—odezwał się minister—proszę przypomnieć sobie, że gdy za ś. p. ojca waszego, Karol XII zajmował i nękał Saxonię całą, gdy mógł najłatwiéj opanować stolicę, przecież się nie ważył nogą stąpić na próg jéj, a gdy tu przybył, to z uszanowaniem i w gościnę. Jużciż Fryderyk nie będzie zuchwalszym od Karola XII?

— Wasza ekscellencya nie znasz Fryderyka, a ja służyłem w wojsku pruskiém i znam ducha jaki tam panuje—mówił Rutowski. W Karolu XII, jakkolwiek zdziczałym, było coś rycerskiego, było poszanowanie pewnych praw i przyzwoitości. Fryderyk który się z Pana Boga śmieje, z religii drwi publicznie, nie wierzy ani w piekło ani w niebo, a teraz już nawet, ani w pana de Voltaire swojego przyjaciela; nie poszanuje nic i wejdzie wszędzie, gdzie siłą wejść będzie mógł bezkarnie.

— Nie sądzę —rzekł Brühl głosem niepewnym.

— Mamy pierwszy dowód tego na wkroczeniu do Saxonii —dodał Rutowski.

— Król JMość już podpisał list, który natychmiast wysyłamy.

— List!—ruszając ramionami mruknął von Spörken — wyślijcie armaty, ale list! list nie poskutkuje pewnie.

— Zobaczymy—odparł Brühl—to są strachy człowieka, który sam się boi. Fryderyk II wié że naprzeciw siebie ma nie jedną Saxonię: ale Austryę, Francyę i Rossyę; wié że jest zgubiony. Wiem jakie są jego plany: chce nas tą groźbą zmusić abyśmy szli z nim przeciwko Austryi.

Rutowski pokręcił głową tylko.

— Nigdy w świecie z Fryderykiem—dodał Brühl—za nic w świecie. Król JMość na to się nie zgodzi.

— A tymczasem Saxonia padnie ofiarą—rzekł hrabia.

— To chwilowa kryzys—gorzko odparł minister.—Fryderyk zgubiony, zrozpaczony, targa się jak hyena w klatce zamknięta, ale darmo! Prusy zostaną wymazane z rzędu mocarstw europejskich.

Rutowski ruszył ramionami znowu i milczał.

— Radźmy, panie generale —odezwał się po małym przestanku Brühl. Mojém zdaniem i zdaniem generała Nostiz, wszystkie nasze siły należy zgromadzić w obozie pod Pirną. Tam będziemy czekali, oparci o Königstein, dalszych wypadków. Fryderyk nie będzie śmiał. Generał Wied poda nam rękę, a przez niego utrzymamy komunikacyę z Bourem i Piccolominim.

Obejrzał się Brühl: nikt się nie sprzeciwiał. Rutowski stał zamyślony.

— Jakże wy sądzicie panie hrabio?—spytał minister.

— Ja nie chcę miéć głosu aby nie brać na siebie odpowiedzialności—rzekł Rutowski.—JKMości służyć chcę i będę, ale w takiém położeniu w jakiém się znajdujemy, z piętnastu tysiącami na czterdzieści, bez przygotowania, zaskoczeni niespodzianie, możemy bronić honoru tylko nie Saxonii.

— Panie hrabio! pan widzisz wszystko zbyt czarno. Za naszemi piętnastoma, przeciw Prusom staje kilkakroć sto tysięcy sprzymierzonych.

— Za pozwoleniem—przerwał Rutowski—traktat podpisany?

Brühl się zawahał.

— W tém była cała moja przebiegłość i polityka, aby go nie podpisać i nie dać pozoru do wojny. Traktat jest tak jak zawarty. Gdybym go podpisał, Fryderyk jutro miałby jego kopię, a tak...

— Wié tylko coście pisali do Wiednia i to mu wystarcza —zakończył hrabia—nie mówmy o tém. Na słowa dziś już nie ma czasu: co robić. Robić! robić!—dodał Rutowski—rozkazy! rozkazów trzeba.

— Tak jest—potwierdził baron Spörken.

— Obóz pod Pirną—odparł Brühl—pozycya jest doskonała! obronna, położenie nad które nie znajdziemy szczęśliwszego. Całe siły nasze pod Pirną. Pan generał zechcesz obmyśléć...

Rutowski nie mówiąc słowa wziął za kapelusz leżący na stoliku.

— Idę, wysyłam rozkazy.

Brühl z pewnym niepokojem przeprowadził go do progu.

Spörken począł chodzić po gabinecie. Hr. Loss, Stammer i Globig rozmawiali pocichu; Brühl powrócił czoło ocierając i padł na krzesło.

— Tak—rzekł—nie przeczę, jesteśmy w chwilowém zakłopotaniu, ale kosztem tym pozbędziemy się raz tego nieprzyjaciela, któryby nam wiekuiście wpity siedział do boku. *Il faut en finir une bonne fois pour toutes.* Nigdy plan szczęśliwszy nie był obmyślany, nigdy zwycięztwo nie mogło być pe-

wniejszém. Niech wchodzi do Saxonii; bardzo dobrze: obsaczymy go tutaj i weźmiemy. *S'en est fait de la Prusse!*

Gdy to wówił, twarz mu się stopniowo wyjaśniała.

Hr. Loss stał przed nim zadumany.

— Jak myślicie, archiwa sekretne należałoby wywieźć do Königsteinu?—zapytał.

— Po co?—rzekł Brühl.

— A jeśli wnijdą?

— Dokąd?

— Do Drezna.

Brühl się rozśmiał.

— Mówcie panowie co chcecie, jest to rzecz tak niemożliwa, tak niemożliwa...

Wszyscy zamilkli.

— Król chce sam być w obozie pod Pirną—rzekł zwracając się do Spörkena Brühl—naprożno usiłowałem go od tego odciągnąć. Mój Boże! ile go to zdrowia i spokoju kosztować będzie? Powiedział mi że jeśli Prusacy natrą, sam gotów do nich strzelać; ale Prusaków nie zobaczymy.

Rozśmiał się Brühl.

Marszałek dworu wszedł w téj chwili oznajmując, że obiad stygnął oddawna.

— Jeść zawsze potrzeba—odezwał się Brühl wstając—proszę panów z sobą do stołu.

I podawszy rękę hrabiemu Loss, wyszedł układając twarz do salonu, w którym hr. Moszyńska i hr. Sternberg i cały dwór jego nań oczekiwał.

Gdy się to działo w pałacu pierwszego ministra, około zamku gęstsze niż kiedykolwiek stały straże. Służba była przebrana najtroskliwiéj. Po kórytarzach ukryte czatowały warty, na wschodach i w przedpokojach snuły się różne postacie, kosemi oczyma mierzące nietylko przechodzących przez pokoje, ale nawet ukazujących się w dziedzińcu.

Król August III siedział w swém krześle zadumany nieco, ale ukołysany już tak obietnicami posiłków przez Brühla, planem jego przeciw Prusakom, przedstawionym mu doskonałym stanem armii saskiéj, któréj dla króla było zawsze trzydzieści tysięcy, iż myślał już więcéj o księdzu kanoniku Crespi, o kupnach Algarottego, o galeryi, o polowaniu, o różnych potaje-

mnych przyjemnostkach życia, które O. Guarini pod warunkiem tajemnicy rozgrzeszał, niż o Fryderyku II i Prusakach. W duchu też był przekonany, że ten Fryderyk nie mógł mu być tak nieprzyjaznym, że można go było ująć, ukołysać tymczasem, a potém do Brandeburga odesłać, żeby mu się niewiedzieć czego nie zachciało. August III czuł się tak silnym, iż chwilowy kłopot domowy nie zdawał mu się groźnym. W ostatnim razie alboż nie miał jeszcze Krakowa i Warszawy, i puszcz polskich i niedźwiedzi i wilków, a nawet żubrów, gdyby mu się ich koniecznie zachciało...

Wprawdzie szlachta polska nie wszystka mu była do smaku, naród był burzliwy i krzykliwy, zuchwały i niegrzeczny, a jednak między niemi byli ludzie choć do rany przyłożyć. Pałac Saski nie był nazbyt niewygodny... toż za Willanowem i za Pragą lasy, a w lasach zwierzyny moc.

I dumał król fajkę paląc a wzdychając niekiedy nad niezmierną niegrzecznością Fryderyka.

A w zamkowéj ulicy pod bramami zbierały się potajemnie kupki ludzi. Szeptano sobie na ucho i spoglądano ku oknom zamkowym.

Nieopodal ztąd w sklepiku naprzeciwko, pod orłem białym, gospodarz pan Weiss, otyły, połyskujący Niemiec, z rękami na żołądku, rozmawiał z sąsiadką panią Krause.

— Powiadam ci panie Weiss, żem w zamku słyszała... idą Prusacy; król Fryderyk nasz, ewangelik...

— Co waćpani w głowie—uśmiechnął się Weiss—on, ewangelik, poganin. Wiem to najlepiéj. Mają swój osobny kościół w Berlinie, do którego się zgromadzają nocami dla odprawiania swych obrządków. Kozła na ołtarzu czczą ze złoconemi rogami.

— Ale pfe!—zawołała pani Krause—to nie może być!

— Wiem najlepiéj od duchownych: z Francyi przyjeżdża ich arcykapłan.

— Otóż za to Pan Bóg karze! za to—odezwała się pani Krause.—Już były w tym roku znaki. Czy nie pamiętacie co się u nas działo w styczniu z 13 na 14? Sądny dzień! Dachówki leciały jak liście, kominy się sypały, okna wyrywało,

koło Wilsdrufskiéj mur wywaliło. A w lutym znowu jaka była burza? Czy kiedy co podobnego ludzkie oczy widziały?

— Tę pamiętam, bo w kilka dni potém spaliło się w Kaïtz jedenaście domów—westchnął Weiss.—Ale do Drezna, niedoczekanie ich, Prusacy nie przyjdą—dodał—mury mocne.

— Kto ich wié, jeśli z kozłem mają do czynienia, a czary na posługi...—I westchnęła Krausowa, dygnęła i poszła.

Około ratusza kilku mieszczan rozglądało się po ulicach.

— Kuryery latają jak oparzone—rzekł jeden.

— Trzech na Pirnajską bramę posłano; sam widziałem— odpowiedział drugi.

— Gdzież, mówią, Prusacy?—spytał trzeci.

— Kto to może wiedzieć? Plotą ludzie tak że człek głowę traci. Gadają jedni że już w Lipsku, drudzy że w Meissen, inni że w Stolpen.

— Nie może to być: wojny słyszę nie wypowiedzieli— rzekł jeden polityk.

— A co myślicie—odezwał się z boku inny—gdyby Saxonię i zajęli, alboby nam było gorzéj?

Syknął któryś.—Bo już chyba nie może być gorzéj. Ale drudzy znak dali aby milczał.

W tém Beguélin się zjawił, znajomy kilku.

— Panie Braun!—rzekł szybko—bierzże swój sér, na miłość Boga!

— A kto go będzie jadł, jeśli wojna przyjdzie?

— O to nie ma biédy—wtrącił drugi—spytaj lepiéj kto go będzie płacił? Zjeść, zjedzą!

— Panie radzco—zapytał zcicha Braun—prawdażto że wasi nam Saxonią zajmują?

Beguelin stanął jakby niesłychanie zdziwiony.

— Kto? gdzie? oszaleliście czy co! ja nic nie wiem. I odszedł szybko.

Do późnéj nocy trwał ten ruch niespokojny w ulicach. Wieczorem, że się bez rozrywki obejść niepodobna, król w Jägershofie wyprawił sobie strzelanie do celu. W Gewarghausie dworscy komedyanci niemieccy, grali przedziwnie wesołą sztuczkę.

Lecz tego dnia pan Ksawery Masłowski nie potrzebował dla rozrywki iść do teatru: dosyć mu było w pałacu Brühla i w ulicach przysłuchiwać się i przypatrywać skutkom ogólnego popłochu. Ktoby go był widział prychającego kiedy niekiedy, gdy śmiechu wstrzymać nie mógł, myślałby że istotnie coś nadzwyczaj szczęśliwego mu się trafiło.

Wychodził właśnie z pałacu zamyślając iść wcześniéj do domu, aby nieszczęśliwemu Simonisowi dotrzymać towarzystwa, gdy Blumli się do niego przyłączył.

Zmieniony był i smutny. Zrana z powodu Simonisa, musiał przebyć złą chwilę: posądzono go o wspólnictwo, przetrząśniono mu dom i papiery i tylko opiece hrabinéj, która zań zaręczyła, winien był iż cały wyszedł a swobodny.

— Patrzajże panie Ksawery — rzekł do niego — com odpokutował za tego człowieka? Ale któżby się był tego po nim spodziewał!

— W istocie — odparł Masłowski — miał taką minę jakby trzech zliczyć nie umiał.

— I niezręczny, w dodatku! — zawołał Blumli — dać się złapać na pierwszym kroku.

— Jakto złapać? — przerwał Masłowski.

— Jego jeszcze nie złapano, ale listy — mówił Blumli — a co się z nim stało?

— Jak sią wam zdaje? co się z nim stać mogło? — spytał Masłowski.

— Kto go wié! Wymknął się pewnie z pomocą baronowéj lub baronównéj.

— Taby go była nie ocaliła — rzekł Masłowski — nadto dobra Saxonka.

Blumli mówiąc szedł ciągle jak gdyby w zamiarze odwiedzenia Masłowskiego. Panu Ksaweremu zaczynało być przykro.

— Idziecie do domu? — spytał Szwajcar.

— Ja? niekoniecznie: wolałbym się powłóczyć jeszcze.

— A jabym się do was wprosił w gościnę na kilka godzin — dokończył Blumli — do domu nie chcę iść. Któż wié? może im przyjść fantazya i po mnie przysłać, tymczasowo na odwach wsadzić: wolę u siebie nie być.

Masłowski się zmieszał widocznie.

— U mnie taki nieład! — rzekł—Fuchsowa właśnie zabrała się szorować i robić porządek.

— Musiała go skończyć — rzekł Blumli—jużciż polak niegościnnym być nie może. Czyżbyście mnie u siebię przyjąć nie chcieli. Czy się obawiacie?

W dwie drażliwe struny trącił Szwajcar: w gościnność i odwagę. Masłowski aż się rzucił.

— Nie mówcież mi tego!—zawołał.—Idę przodem o dwa kroki, abym Fuchsowéj nakazał corychléj izbę oczyścić: proszę za mną.

Pobiegł pan Ksawery i pędem skoczył na górę, drzwi znalazł zamknięte i pięściami bić w nie począł. Nie rychło jednak Simonis mu otworzył.

— Zamknij się w sypialnym pokoju—krzyknął pośpiesznie go popychając.—Nie mogłem się odczepić od Blumlego, który tu idzie. Ruszaj i siedź cicho!

Zaledwie drzwi się zamknęły za kawalerem, który do alkowy umknął, Blumli był na progu.

— Fuchsowa dziś nie robiła porządku, chwała Bogu—odezwał się Masłowski—zajęta jest Prusakami. Całe miasto o nich gada. W sypialnym tylko pokoju nastawiała mi konewek i balij.

— Siadajcie!

Masłowski posłał po wino i owoce i siedli tak gwarząc, a gospodarz z wielką pilnością chodził około drzwi zamkniętych, lękając się aby Blumli nie przyszła fantazya zajrzéć do balij i konewek. Jakby naumyślnie Szwajcar rozwodził się nad niegodziwą zdradą Simonisa, nad podwójną rolą jaką odegrywał, nad kłopotem jaki z tego powodu miała stara baronowa. Słowem, nie żałował go wcale, a ukryty w izbie obok wszystkich tych narzekań słuchać musiał.

— A!—zawołał w końcu Blumli—gdyby mi popadł w ręce! Nie zaręczam cobym zrobił? Dla oczyszczenia samego siebie oddałbym go Brühlowi; przecieżby go nie powiesili, a niechby się raz strachu najadł, drugi raz byłby ostrożniejszy.

Hrabina mówiła mi dziś rano, że gdyby wpadł w ręce sprawiedliwości, prosiłaby męża o surowość: jest oburzona.

Wśród téj rozmowy, zdawało się Masłowskiemu jak gdyby okno w alkowie brzęknęło, jakby ruch jakiś dał się w niéj

słyszéć. Zagadywał jak mógł Szwajcara i głuszył go, lecz zbyt blizko drzwi siedzieli żeby rozmowa ujść miała uszu nieszczęśliwego.

Dwie długie godziny tak przeszło.

— Teraz, gdy już noc nadchodzi—odezwał się Blumli—pójdę do Miny, ona mnie przechowa. Wątpię żebym tam dziś Brühla zastał: nadto ma na głowie.

Pożegnali się; Masłowski go na wschody wyprowadził i conajprędzéj wrócił do pokoju, aby Simonisa uwolnić. Otworzył alkowę, spojrzał: okno stało na oścież... począł szukać po kątach, nigdzie Simonisa ani śladu, tylko koniec skręconych prześcieradeł bielał przywiązany do listwy, a spojrzawszy w ogród dojrzał pan Ksawery końców sznura na gałęzi staréj gruszy.

— Skorzystał z mojéj instrukcyi doskonale—rzekł wciągając prześcieradła—a jeśli go teraz gdzie pochwycą, jam nie winien!...

I rozśmiał się na całe gardło.

KONIEC TOMU I-GO

RELIGIA POZYTYWNA,

CZYLI NOWA POWSZECHNA RELIGIA LUDZKOŚCI.

ROZBIÓR DRUGIÉJ POŁOWY DZIAŁALNOŚCI UMYSŁOWÉJ COMTE'A.

Z POWODU NOWEGO WYDANIA JEGO KATECHIZMU.

NAPISAŁ

Seweryn Smolikowski.

(Dokończenie).

Chociaż Comte w ogóle wygłasza przepisy nowéj religii bardzo stanowczo i na każdym niemal kroku zdradza despotyczne swe usposobienie względem przyszłych wyznawców pozytywizmu, to jednakże mówiąc o kulcie prywatnym, (culte privé) zmienia nieco ton mowy a nawet przymusza się do nader wielkiéj jak na niego tolerancyi. I tak wszystkie wymienione dotąd obrzędy, to jest zarówno modlitwa

jak i sakramenta, tworzą moralny tylko obowiązek, który jednakże będzie wpajanym w młode pokolenia przez odpowiednie wychowanie i podtrzymywany przez opinią publiczną.

Żeby w spełnianiu tych praktyk duchownych nie było nawet cienia przymusu, jednocześnie z temi przepisami religijnemi istnieć będą i odpowiednie obrzędy cywilne obowiązujące każdego i mające sankcyą w prawnym przymusie.

Swoboda ta w przystępowaniu do obrzędów ustanowionych przez nową religię ludzkości, odnosi się zarówno do wszystkich sakramentów. I tak np. co do małżeństwa, albo też co do *admissyi* i *dertynacyi* (trzeciego i czwartego urzędu sakramentów), można nie żądać uświęcenia tych ważnych, zdaniem Comte'a chwil w życiu objektywném człowieka, ale natomiast zachować koniecznie należy odpowiednie im przepisy cywilne, które przez same państwa wkrótce mają być ustanowione; przepisy łatwiejsze do spełnienia, ale też i obowiązkowe.

Słowem w wykonywaniu praktyk religijnych tylko moralny przymus istnieć będzie; pomimo bowiem despotycznéj swéj natury, Comte czuł to dobrze, że w rzeczach wewnętrznego przekonania nie można nikomu narzucać obowiązków. I to wiele i bardzo wiele jak na niego, że umitygował swój zapał rozstrzygania absolutnego kwestyi, zwłaszcza przy tém pojęciu znaczenia społeczeństwa wspólném mu ze wszystkiemi socyalistami; pojęciu przy którém jednostka znika w ogólnéj massie ludzi. Niewolno jéj bowiem myśleć o sobie i dla siebie, ale wszystko poświęcić winna dla wymarzonéj idei, dla owego ogółu, który istnieje tylko *in abstracto*, bo któż pytam korzysta wtedy z tych poświęceń wszystkich dla ogółu? Jest to podobny paradox jak owe marzenia *Rousseau'a* o wynalezieniu takiéj formy państwowéj, opartéj na swobodnéj umowie społecznéj (contract social), w któréjby każdy ulegając woli ogółu (la volonté generale) słuchał tylko sam siebie.

Comte jednakże inaczéj rozumie to pojęcie ogółu, tę oderwaną ze świata rzeczywistego istotę. Na zapytanie: kto wtenczas korzysta z pracy wszystkich? Comte a za nim wszyscy wyznawcy pozytywnéj religii, odpowiedzą jednogłośnie: ludzkość. Ale jakaż to ludzkość, spytamy znowu? Nie obecne nam społeczeństwo, nie dzieci ani wnukowie nasi, nie przyszłe choćby najodleglejsze pokolenia nasze, ale idea ludzkości, owa *wielka istność*, owo pojęcie, na które składają się minione i przyszłe wieki, odpowiedzą jeszcze pozytywiści. Jednem słowem pracować winniśmy dla istoty, pojęcie któréj bardziéj jest oderwane, niż najwięcéj metafizyczne produkcye myśli heglistów, kantystów i t. d. bo, jak sam Comte mówi, istotę tę stanowią bardziéj umarli niż żyjący, bardziej subjektywne niż objektywne istnienie. Zrozumielibyśmy jeszcze to pojęcie ludzkości w znaczeniu idei Platona, ale, ponieważ Comte stanowczy wziął rozbrat ze wszelkiemi myślami metafizycznemi, ponieważ filozofów idealne budujących syste-

maty uważa po prostu za waryatów, przyznajemy, że trudno nam zrozumieć tę par excellence ludzkość jego metafizyczną, jeśli tylko w tém dopatrywać głębszéj jakiejś myśli, a nie czczéj gry wyrazów i dziecinnego mamidła dla przyszłych swoich wyznawców, jakiém jest jedynie, zdaniem naszem, i bóstwo Comte'a, i jego sakramentologia i wreszcie jego nieśmiertelność duszy, jakkolwiek „udoskonalona“ i „uszlachetniona.“

To pojęcie idei społeczeństwa, jako panującéj istoty, którém Comte szczyci się niepomiernie jako nieocenionym wynalazkiem, nie jest zresztą niczém nowem: jest to po prostu zwrót do przeszłości, jakby potwierdzenie „*Ricorsi*“ *Vico'na*. Jest to pojęcie świata starożytnego, pojęcie *Platona* i *Arystotelesa*, z tą różnicą, że zamiast przewagi państwa nad jednostką, Comte chce społeczeństwo postawić jako jednolitą całość, pochłaniającą w sobie indywidua. Jest to poniekąd i pojęcie Rzymu pogańskiego (mówię tu naturalnie o przewadze państwa) jakkolwiek tam widnieje już *Civis Romanus*, obywatel; nie jest to jeszcze uznaniem praw człowieka, ale przynajmniéj praw obywatela kraju, to jest uprawnionego przez państwo członka jego.

Słowem ten ogromny przełom, jaki chrystyanizm w dziejach spowodował, to podniesienie jednostki, wyrwanie człowieka z pod przemocy państwa, w którém indywiduum ginęło, znikało w zupełności, jest zapoznanem przez religią pozytywną, przez religią mianującą się odrodzeniem ludzkości (la régénération de l'humanité); podobnie jak zapoznają tego postępu w przekonaniach ludzkich, postępu, który o tysiąc z góry lat dźwignął najprzód narody, i wszystkie teorye socyalistowskie, wszystkie systematy sztucznego przekształcenia ustroju społecznego.

To więc, co stanowi wykwit tylowiecznéj cywilizacyi europejskiéj, co rozwijało się w dziejach kosztem walki i cierpień całych narodów, co stanowi nieodłączną już i nigdy odtąd nie zapoznawaną zdobycz, prawdę całéj ludzkości, jednem słowem owe wielkie, przyznane każdemu człowiekowi prawo rozwoju swobodnego własnéj swéj istoty; Comte usiłuje zniweczyć jednym pociągiem pióra. Zajaśniały dla niego w dali złote czasy (l'âge d'or) o których głosili socyaliści, obala więc wszystko, co, zdaniem jego, krępowałoby rozwój i zbliżanie się ku owéj jutrzence odrodzenia się człowieczeństwa, wszystko, co dotychczas zdobyła ludzkość w pochodzie swym dziejowym. I jak niegdyś poprzednicy Chrystusa, przygotowując narody do przyjęcia nauki „boskiego ich Mistrza,“ powoływali je do pokuty, ukazując strapionym i cierpiącym niebo; tak i Comte woła o wytępienie w sobie egoizmu, o przejęcie się uczuciem poświęcenia się dla wszystkich, o zapanowanie „*altruizmu*,“ owego najwyższego objawu szlachetnéj strony człowieka, a w nagrodę obiecuje im „życie subjektywne“!

Jakaż to ironia, jaka niepojęta pewność siebie, jakie zaślepienie!

A jednak w zasadzie Comte pragnie swobody dla człowieka, i dlatego wyrywa go nawet z pod opieki państwa; ale po co?, oto by go wtłoczyć pod jarzmo społeczne, pod jarzmo religii ludzkości, bo kto nie żył wedle zasad wypowiedzianych bądź co bądź przez jedną tylko kastę, przez jedną małą cząstkę społeczeństwa, to jest przez kapłanów-filozofów, stanowiących przedstawicieli myśli całéj ludzkości, ten potępiony, ten nie żył moralnie, ten nie istniał wcale.

Rousseau płakał niegdyś nad skutkami cywilizacyi, którą chętnieby obalił dla uratowania ludzkości od smutnych jéj następstw; pragnął on żelaznego ramienia dla narodów despotycznych rządów nie w formie wprawdzie ale w rezultatach, jednem słowém wierzył w obowiązek państwa zmuszania ludzi być szczęśliwemi; dlatego téż podobnie jak Comte uważał on za konieczne ustanowienie religii państwowéj (la religion civile), nieuznawanie jednego z trzech zasadniczych dogmatów [1]) któréj, byłoby karane wygnaniem z państwa, niezastosowywanie się zaś do takowych po ich uznaniu, śmiercią [2]).

A *Saint-Just*, a *Robespierre*, a *Rabaut Saint-Etienne*, i t. d., a *Baboeuf* wreszcie, czyż nie pragnęli dobra ludzkości, czyż poświęcając pojedyńczych ludzi dla idei, jaką sobie o społeczeństwie wytworzyli, nie działali ze szlachetnych pobudek? Czyż nie wychodzili oni z tychże zasad co i August Comte? Cała różnica ich teoryi w jéj zastosowaniu tylko: jedni, żyjąc w czasach spokojnych i normalnych, drogą łagodności i nauczania rozszerzali swe teoryje; drudzy, kataklizmem dziejów wyrwani na widownię ruchów ludowych, czując za sobą massy, nie przebierali w środkach, nie wyczekiwali dalekich owoców swego nauczania, ale nóż i pochodnię porwawszy w dłonie, głosili światu swobodę i spokój, szczęście i raj.

Wszyscy oni, jak niegdyś Plato praojciec w tym względzie utopistów, [3]) przekonani byli, że obowiązkiem państwa jest prowadzenie

---

[1]) *Du Contrat Social*, Liv. IV. Chap. VIII. Dogmata te zasadnicze, zdaniem Rousseau'a są następujące: „L'existence de la Divinité puissante, intelligente, bienfaisante, prévoyante et pourvoyante, la vie à venir, le bonheur des justes, le châtiment des méchants, la saintété du contrat social et des lois."

Prócz tych głównych dogmatów „*pozytywnych*" jak je Rousseau nazywa, ma on jeszcze i negatywne (les dogmes négatifs), które wszystkie zbija on w jeden *l'intolérence*.

[2]) L. c. Sans pouvoir obliger personne à les croires (mówi tu o dogmatach), il peut (to jest panujący) bannir de l'état quiconque ne les croit pas;.... etc." Daléj mowi Rousseau:

„Que si quelq'un, après avoir reconnu publiquement ces mêmes dogmes, se conduit comme ne les croyant pas, qu'il soit puni de mort; il a commis le plus grand des crimes, il a menti devant les lois."

[3]) *Louis Reybaud* w klassycznem swém dziele o nowoczesnych socyalistach słusznie zauważył: Le plus grand, le plus sublime des eutopistes appartient à la philosophie grecque. C'est Platon. Sa Republique imaginaire

jego obywateli do szczęścia: inna rzecz w czém oni szczęście upatrywali; większość jednakże idąc za Platonem, widziała je w cnocie a raczéj w rozwoju harmonijnym wszystkich cnót. Zmuszanie więc ludzi, aby byli szczęśliwemi, oto, ich zdaniem, zadanie najszczytniejsze, najwyższy cel państwa. W obec téj wzniosłéj missyi jego, naturalnie nie było środka, któryby nie zdawał się im być dozwolonym, nie było przymusu i repressyi, któreby nie wydawały się mało skutecznemi lub zbyt łagodnemi.

Otóż podobnie i *Saint-Simoniści* chcieli ustanowić despotycznego arcykapłana; *Fourrier* zamieniwszy wszystkich w robotników, poddawał ich pod dozór rozmaitych Archów, począwszych od Unarecha do Omniarcha. Tak samo téż nareszcie i August Comte pragnie poddania się ślepego władzy swego arcykapłaństwa niczem nie krępowanéj; tym bowiem sposobem jedynie ma on nadzieję utrzymać charakterystyczną swą *jednolitość*, zmusić wszystkich do uznania jego teoryi społecznéj, najbardziéj może despotycznéj i absolutniejszéj od wszystkich znanych nam urządzeń fantastycznych państwowych; jednem słowem wymaga on, by społeczeństwo zastosowało do życia to, co spodobało mu się o ludzkości wymyśleć.

Nie od dziś, nie od wczoraj więc, jak widzimy, występują te marzenia w rozwoju historyi; od „Rzeczypospolitéj“ Platona do najnowszych systematów socyalistów i kommunistów widać w pochodzie dziejów tę samą nić przeciągniętą bez przerwy.

Jednakże zastosowanie tych teoryj, budowanych przy świetle lampy nocnéj, pod wpływem marzeń pogrążonego w swym fotelu filozofa, lub rodzących się w ustroniu sielskiém, zdala od ludzi, o naturze których zapomina się, nie widząc ich zbliska; zastosowanie powtarzam, wprowadzenie w życie tych teoryj, gasnących razem ze swiatłem dziennem i rozpraszających się w miarę przyjrzenia się naturze ludzkiéj; zastosowanie ich do społeczeństwa, datuje dopiero od pierwszéj rewolucyi francuzkiéj. Niewidziany dotąd w dziejach przełom w ustroju państwa, wpoił w ludzi wiarę w możność przeprowadzenia idei nagle, nie pytając się o wolę ogółu i ustrojenia tym sposobem ludów w szaty choć świąteczne, absolutnie jednak dla nich skrojone.

Rok 1789 i 1848 oto arena popisu dla „przespołeczniaczy;“ Ameryka oto miejsce próby, gdzie nowe zakładają się koła ludzi, nowe uspołecznienia, nowe sztuczne państewka.

I dziwna rzecz, że tylokrotne usiłowania spełzłe na niczém, tyle przykładów niemożebności zastosowania do życia społecznego

---

a defrayé presque toutes les fictions sociales qui se sont succédé depuis lors. *(Etudes sur les reformateurs ou socialistes modernes.* Paris. 1856 t. I. str. 45). Co zaś do związku pojęć świata starożytnego a mianowicie Platona z pojęciami nowszych socyalistów i kommunistów, patrz nader trafne uwagi *Pawła Janet* w dziele jego: *Histoire de la science politique dans ses rapport avec la morale*, Paris. 1872 tom II str. 702.

tego, co stwarza bujna wyobraźnia marzycieli, że jednem słowém historya nie przekonała tych pseudoorganizatorów: że ludzkość kroczy po wytkniętéj jéj przez Opatrzność drodze, że państwa nie są sztucznym wytworem woli pojedyńczych ludzi; że są wszakże prawa rozwoju dziejów, że warto przecież zastanowić się nad naturą rzeczy („la nature des choses" *Montesquieu'go*), nad naturą człowieka, nad jego istotą, a nie arbitralnie wszystko chciéć przerobić, wszystko podług swoich teoryi urządzać.

Co do obrządku publicznego (culte public) takowy zależy na objawianiu czci ludzkości w jéj świątyniach.

Szczęściem Comte nie opisuje szczegółowo tych przybytków kultu pozytywnego, jest bowiem tego zdania, że wprzód powszechna jego religia powinna przeniknąć wszystkie warstwy społeczne, nim te wynajdą odpowiednie dla ich przekonań i gustu, styl tych budowli i wewnętrzne ich urządzenie. Tymczasem radzi on użyć istniejących już kościołów, jako pozostałości teologizmu i takowe zastosować do potrzeb nowéj wiary.

Bardzo chwali Comte zwyczaj mahometan zwracania się w jedną stronę świata przy modlitwie, bo to, zdaniem jego, uwydatnia „rozrzewniającą solidarność" wé wspólnem ubóstwianiu Najwyższéj Istoty; otóż i kościoły pozytywistów w tymże celu zwrócone będą ku „*metropolii świata*", na którą głos przekonania powszechnego wskazuje Paryż. Tym sposobem na całéj przestrzeni naszéj planety, samo już jednostajne położenie świątyń przedstawiać będzie tę „uniwersalność" która, zdaniem Comte'a, cechuje pozytywizm.

Przybytki ludzkości mają nadto wznosić się wśród cmentarzy, i to tak, aby je okalały groby najzasłużeńszych mężów a to dla tego, że „Ludzkość" owe bóstwo religii pozytywnéj, składa się przeważnie z zasłużonych zmarłych jéj członków (str 126.).

Nie będziemy przytaczali wszystkich uwag Comte'a o tém, jak ma być urządzone wnętrze kościoła pozytywnego; dość wspomnieć, że między innemi rzeczami, będą tam i popiersia sławnych kobiét i jakieś wzniesienie, jakoby ołtarz ludzkości (la tribune sacrée), i różnobarwne chorągwie ruchome dla pochodów uroczystych, niby procesyi przeznaczone (marches solennelles). Słowem wszystkie działy sztuk pięknych: architektura, malarstwo, rzeźba, muzyka, i poezya, wszystko to złoży się na uczczenie ludzkości, symbolem któréj będzie zawsze i wszędzie kobieta w trzydziestym roku życia, trzymająca w swych objęciach syna. Wyższość religijna płci pięknéj usprawiedliwia zdaniem Comte'a, ten emblemat, przedstawiający mężczyznę pod „świętą opieką kobiety".

Nie godzi się co prawda wyśmiewać obrzędów jakiejkolwiekbądź religii, obrzędów, które zawsze wypływają z chęci uczczenia publicznie Najwyższéj Istoty, w którą wierzą i którą ubóstwiają jéj wyznawcy; ale czyż można zachować powagę w obec przepisów katechizmu Comte'a?, w obec tych drobiazgowych urządzeń tego kultu, któ-

ry możnaby nazwać komedyą teatralną, bezwiedną ironią i naigrawaniem się ze wzniosłych porywów serca ludzkiego, ale nigdy, przenigdy religią i to jeszcze „religią ludzkości". Czytając zwłaszcza to, co Comte mówi w rozbieranéj przez nas części katechizmu o sposobie zachowania się wiernych w świątyniach pozytywizmu, jakżeż podziwia się tę powagę, z jaką Comte wygłasza swoje niedorzeczności, a jeszcze więcéj tę pewność siebie, ten charakter wyroczni, który go nie opuszcza ani na chwilę.

Tu bowiem występuje w całéj pełni ów znak „charakterystyczny (bo wszystko u Comte'a jest charakterystyczne), mający zastąpić żegnanie się krzyżem świętym w świecie chrześcijańskim, ów znak stokroć wymowniejszy, zdaniem jego, niż wszelkie słowa, znak który odróżniać odtąd będzie wyznawcę pozytywizmu. Każdy np., wstępujący w progi świątyni nowéj religii, wygłaszać będzie zasadniczą formułę pozytywizmu, o któréj już mówiliśmy, ale nie słowy, tylko właśnie temi znakami charakterystycznemi, a to wskazując kolejno ręką te części głowy, w których mieści się substancya mózgowa, będąca siedliskiem miłości, porządku i postępu.

Znakologia ta oparta jest na teoryi mózgu *Galla* i *Spurzheima*, rozwiniętéj jednak i udoskonalonéj przez Comte'a, jak sam się wyraża. Odsyłamy ciekawych w tym względzie do jednéj z tablic dodanych do katechizmu pozytywnego, téj mianowicie, w któréj numerami oznaczone są wszystkie części mózgu, powodujące odpowiednią działalność naszych uczuć i usposobień, myśli i woli. Comte'owi widocznie zdawało się, że wszystkie objawy ducha wyczerpał, określiwszy je liczbą 18; to téż, zdaniem jego, dość będzie wypowiedzieć w świątyni numer odpowiadający uczuciu lub myśli wyrażonéj w tablicy mózgowéj, by objawić swe usposobienie dla bóstwa, by publicznie wypowiedzieć uczucia, jakie powstają w danéj chwili w sercu naszém względem ludzkości. Widać z tego wszystkiego, że Comte przypuszczał, iż każdy z pozytywistów będzie miał w pamięci wszystkie tablice, przedstawiające teoryę pozytywizmu. Nie zazdrościmy tego trudu jego wyznawcom, praca to niemała, wątpimy nawet, czy wszyscy oni będą w stanie rozumieć te cyfry, które mają publicznie wypowiadać.

To przebieranie czaszki palcami, zapewne w ten sposób jak się gra na fortepianie, jest zdaniem Comte'a, nierównie wymowniejsze, aniżeli wszystkie oznaki czci wyznania katolickiego i religii mahometańskiéj. Zgodzilibyśmy się na to najzupełniéj, jeźliby to miało służyć za środek rozweselania widzów.

Kapłani noszący zwyczajnie charakter filozofów, w świątyniach ludzkości jednak pod wpływem extazy, w chwilach ważnych życia narodów, stawać się będą nawet wieszczami ludzkości, wygłaszając improwizacyę i przewodnicząc tym sposobem ogólnemu wylaniu uczuć (effusions générales)

Celem kultu publicznego prócz uczczenia ludzkości jest zarazem wpojenie w serce i umysły pozytywistów zasad, które mają kie-

rować życiem ich objektywném, a to przez przedstawienie im ideału uspołecznienia ludzkiego. Ztąd rok pozytywny (l'année positiviste) dzielący się na 13 równych miesięcy, po dni 28 każdy, wypełniony jest odpowiedniemi świętami, z których *główne* przypadają raz na miesiąc, a *mniejsze* co tydzień. Uroczystości miesięczne są nadto trojakiego rodzaju, bo dzielą się na tak zwane 3 „*serye socyolatryczne*" a to w miarę tego, czy przedstawiaja one zasadnicze, istotne węzły społeczne, na których opiera sią wspólne pożycie ludzi; czy wyobrażają szereg stanów przygotowawczych, przez które ludzkość przejść musiała, owe konieczne studya rozwoju społeczeństwa; czy wreszcie idealizują tak zwane *funkcye normalne*, któremi objawia się życie społeczne.

Pierwszy rodzaj tych uroczystości obejmuje 6 początkowych miesięcy, z których pierwszy przeznaczony jest na cześć *Ludzkości*, owego symbolu jedności, od którego wszystko bierze początek i w którém wszystko ginie. Następne miesiące czczą po kolei 5 *stosunków elementarnych* (relations élémentaires) czyli węzłów społecznych, idących po sobie w rosnącym stosunku ich powszechności (généralité) a w malejącym co do siły uczucia, jakie je ożywiać winno. Téj zasady hierachicznéj Comte nigdy nie opuszcza z widoku, ilekroć idzie o systematyzowanie czegoś, lub grupowanie, czyto objawów uczucia, czy działalności ludzkiéj umysłowéj. I tak więc drugi miesiąc poświęcony jest małżeństwu, trzeci ojcowstwu, czwarty przywiązaniu, jakie rozwija się w rodzeństwie, piąty uczuciu braterstwa powszechnego, szósty nakoniec przywiązaniu spowodowanemu wspólném mieszkaniem, np. sług względem panów, czeladzi względem majstrów, a któremu to uczuciu nadał Comte ogólną nazwę *La Domesticité*. Bardzo wysoko podnosi on ten rodzaj przywiązania i uważa go nawet za łącznik między rodzinnemi a obywatelskiemi uczuciami.

Co do stanów przygotowawczych, mających na celu rozpamiętywanie historyi ludzkości, to takowe przedstawiają 3 po sobie następujące miesiące, w których stopniowo idealizują się 3 doby dziejów: *Fetyszyzm*, *Politeizm* i *Monoteizm*. Miesiące zaś 10, 11, 12 i 13 poświęcone są uczczeniu cztérech, jak je Comte nazywa, „klas zasadniczych" tj. następujących stanów społecznych: *uczuciowego, myślącego, patrycyuszowskiego* i *plebejuszowskiego* (str. 130). Pierwszy z tych stanów przedstawia kobieta, którą Comte nazywa *opatrznością moralną;* drugi duchowieństwo pozytywne, noszące także nazwę *opatrzności umysłowej*. Patrycyat i Proletaryat mają także odpowiednie nazwy, i tak pierwszy jest *opatrznością materyalną*, a drugi *powszechną* albo *ogólną*.

Oto przedmioty tak zwanych „trzynastu uroczystości miesięcznych". Ideę, którą każda z tych uroczystości wyobraża, święcą w kościele pozytywnym w ciągu całego miesiąca, głównie jednakże w czterech uroczystościach tygodniowych, tak, że w całym roku pozytywnym wszystkich świąt wypada tyle, ile tygodni, to jest 52.

Nie będziemy po szczególe opisywać wszystkich tych świąt, ciekawych odsyłamy do samego katechizmu Comte'a, zwracając przytem ich uwagę na tak zwaną przezeń *tablicę socyolatryczną*, przedstawiającą plastycznie część ludzkości w rozmaitych fazach roku, tablicę, którą Comte bardzo ceni i nawet nazywa ją czasami „świętą". Dodamy tylko, że tak dnie tygodnia, jak i wszystkie uroczystości religii pozytywnéj są nieruchome, a to przez oznaczenie każdego dnia odpowiednią stałą nazwą i przez ustanowienie dwóch tak zwanych *dni wyjątkowych*, to jest dnia zakończającego rok pozytywny i dnia dodawanego w razie gdy rok jest przestępnym. Nadto tak jak pierwszy dzień roku poświęcony jest czci ludzkości w ogóle, tak znowu ostatni stanowi jakby Dzień zaduszny (Fête universelle des Morts); w dniu zaś dodawanym w przestępnym roku wielbi się specyalnie pamięć zasłużonych niewiast (Fête générale des Saintes- Femmes).

Kalendarza tego nie należy jednak mieszać z innym, jaki u Comte'a spotykamy, a którego tak on sam, jak i jego wyznawcy używają do oznaczania czasu. Różnica między niemi jest ta, że pierwszy, jaki już przedstawiliśmy, jest ogólną kanwą, tłem, na którém przyszli wyznawcy pozytywizmu, stosownie do czasu i okoliczności, nakreślą może kiedyś bardziéj szczegółowe i obrazowe święta oraz reguły ich kultu. Drugi zaś, noszący nazwę nie *abstrakcyjnego* jak poprzedni, ale *konkretnego* kalendarza, przedstawia przebieżoną już historyą, jest dokładnym obrazem dziejów i święci w 13-u równych miesiącach pracę przygotowawczą całéj ludzkości (préparation humaine). Jako wynik historyi jest on niezmierny, że zaś dla społeczeństwa dopiero teraz, zdaniem Comte'a, otwiera się pole właściwego, normalnego, to jest pozytywnego życia, ztąd zdaje się, że okaże się wkrótce potrzeba albo zmienić go albo dodać nowe miesiące.

Ostatni miesiąc, przedstawiający najwyższy szczebel rozwoju umysłowości nowożytnéj, naturalnie poprzedzający pozytywizm, nosi ogólną nazwę *Bichat*; jestto wyobrażenie stanu nowoczesnéj umiejętności, w czterech świętach tygodniowych; czci on pamięć głównych jéj przedstawicieli, za jakich uważa Comte: *Galileusza*, *Newton'a*, *Lavoisier'a* i *Galla*. Dnie zaś powszednie tegoż miesiąca noszą nazwę: *Kopernik*, *Kepler*, *Euler*, *D'Alembert*, *Berzeliusz*, *Linneusz* i t. d.

Wszystkie miesiące mają podobną temu ostatniemu ogólną swą nazwę zacząwszy od *Mojżesza*, *Homera*, *Arystotelesa*, *Archimedesa*, *Cezara*, *S-go Pawła*, *Karola W.*, a skończywszy na *Szekspirze i Fryderyku W.* I święta tygodniowe, odpowiadające niedzielom naszym, noszą odpowiednie nazwy: *Numma*, *Buddha*, *Konfucyusz*, *Mahomet*, *Thales*, *Sokrates*, *Plato* i t. d. Podobnież i każdy dzień w tygodniu poświęcony jest pamięci sławnych ludzi, wpływ których jednakże nietyle był wielkim jak owych osobistości miesięcznych; są tu i święci chrześciańscy, i filozofowie, i poeci, historycy i filolodzy znakomitsi, znani matematycy i uczeni, sławni strategicy i mężowie stanu: sło-

wem przedstawiciele wszystkich działów wiedzy ludzkiéj i sztuk pięknych.

Tablica ta jest bardzo dowcipném a nieraz nawet trafném choć jednostronném przedstawieniem dziejów umysłowości ludzkiéj. Jest ona właściwie rezultatem *dynamiki socyalnej* Comte'a, mającéj odpowiadać filozofii historyi, a która wypracowaną była w ostatnich trzech tomach jego Kursu pozytywnéj filozofii i w 3-im t. Polityki pozytywnéj. W katechizmie zaś Comte'a ten kalendarz historyczny podany jest raz dla przypomnienia wyznawcom nowéj religii pozytywnéj rozwoju dziejów (la théorie d'évolution), stanowiącéj najważniejszy dogmat wiary pozytywnéj; z drugiej zaś strony, jako przedstawienie plastyczne całości dziejów i potwierdzenie tym sposobem prawdziwości praw wykrytych przez Comte'a. Ostatnie też dwa rozdziały rozbieranéj przez nas książki, przedstawiające historyę pojęć religijnych w ogóle, nie są niczém inném, jak szczegółowém objaśnieniem téj tablicy dziejów. Historya ludzkości bowiem czyli historya w ogóle jest, zdaniem Comte'a, głównie historyą pojęć religijnych, rozwijających się z nieubłaganą koniecznością wedle znanego prawa Comte'a o trzech stanach ludzkiego umysłu, to jest przechodzących stopniowo przez stan teologiczny i metafizyczny, nim w końcu dojdą do ostatecznego swego rozwoju, na jakim stawia je stan myślenia pozytywnego.

Nie będziemy tu rozbierali, ani dogmatów nowej religii socyalnéj, ani odpowiedniego jéj ustroju społecznego; ani téż myślimy zbyt szczegółowo rozpatrywać prawideł i wskazówek, jakie daje katechizm pozytywny dla życia rodzinnego i społecznego (Regimé privé et public). Pierwsze bowiem, to jest przedstawienie dogmatów religii pozytywnéj, jest to właściwie streszczenie tylko głównych, kardynalnych zasad pozytywizmu a raczéj systemu jaki Comte podał za takowy w pierwszém i zasadniczém swém dziele noszącém nazwę „Kursu filozofii pozytywnéj." Spotykamy tu więc i znane zasadnicze jego prawo przechodzenia ludzkiego umysłu, zarówno w jednostkach, jak i społeczeństwach, przez 3 fazy rozwoju: teologizm, metafizykę i pozytywizm; spotykamy daléj i systematyzacyę wiedzy ludzkiej, opartą na zasadzie hierarchicznej ogólności i prostoty zjawisk wszechświata, i wreszcie jego teoryę natury ludzkiéj, za twórcę któréj uważał on *Gall'a*, sobie przypisując tylko udoskonalenie i ostateczne jej wykończenie.

Normy zaś, jakie Comte przepisuje dla regulowania czynności ludzkich (régime) tworzą niewyczerpany zbiór najróżnorodniejszych wskazówek, dotyczących zarówno życia codziennego, jak i zadań społecznych. Jest tam i organizacya przyszłego społeczeństwa pozytywnego, oznaczone są zadania w nim kapłanów i kobiet, przemysłowców i bankierów. Znajdujemy tam politykę państw nowoutworzyć się mających, określone są reguły dla mogących się między niemi zawiązać stosunków politycznych, wskazany jest nawet sposób

zachowania się nawróconych już narodów względem ludów, które nie ujrzały jeszcze *zbawczego światła* pozytywizmu.

Ustrój wewnętrzny nowego społeczeństwa opiera się głównie na formie dualistycznej rządów. Są tam bowiem oddzielne organa władzy świeckiéj a oddzielne duchownéj. Cała maszynerya zarządu państwowego przewidzianą jest w najdrobniejszych szczegółach, tak dalece, że nawet oznaczony jest budżet wydatków państwa na utrzymanie rozmaitych dekasteryj rządowych, oznaczone są odpowiednią pensye wszystkich urzędników społecznych, począwszy od najniższych ich stopni do samego arcykapłana i bankiera, dwóch najwyższych sterników państwa. I tak duchowieństwo np. dzieli się na 3 kategorye: 1-a kandydatów do tego stanu, 2-ga wikaryuszów i 3-ia właściwych kapłanów. Otóż płaca ich roczna jest następującym sposobem ustosunkowana: pierwsi pobierać mają 3,000 franków, drudzy 6, ostatni zaś 12 tysięcy. Arcykapłan zaś (le Grand Prêtre de l'Humanité), posiadający najwyższą władzę nad całą ludzkością i będący jakoby głową całego ciała społecznego, ma sobie przyznaną nader skromną listę cywilną, gdyż pensya jego wynosić będzie zaledwie pięć razy większą płacę, niż zwyczajnego kapłana ludzkości. Naturalnie w to nie wchodzą koszta odpowiedniego utrzymania jego bióra i wydatki, jakie ponosić będzie przy spełnianiu swego wysokiego posłannictwa.

Wszystkie te drobiazgi nie są ani oryginalniejsze, ani rozsądniejsze od podobnych im zamków na lodzie, spotykanych u znanych utopistów, jakiemi są np. Tomasz Morus lub Stefan Cabet. Niechcąc więc nużyć czytelników, opuszczamy ten rozdział katechizmu Comte'a, tém bardziéj, że nie uważamy go za konieczny wynik religii pozytywnéj, ale raczej za absolutne, sztuczne urządzenie stosunków społecznych pod wpływem innych, podobnych i współczesnych nawet Comte'owi utopij, którym za podstawę służyły silne rozbudzone i powołane do literatury, trudne do rozwiązania kwestye kapitału i pracy. Słowem wszystkie rozwijające się wówczas we Francyi teorye społeczne, znalazły swe odbicie i w socyologii Comte'a i weszły tym sposobem w tę część katechizmu, która jest właściwie tylko streszczeniem jego „*Polityki pozytywnéj*," tak jak część jego dogmatyczna jest streszczeniem pierwszej połowy „Kursu filozofii pozytywnej." Dodać jednakże musimy, że ani położenie klas roboczych, ani los proletaryatu, ani stosunek jego do kapitalistów, nie zostały przez Comte'a właściwie pojęte; jedném słowem żadna z tych kwestyj socyalnych, które tak wielką odgrywają rolę w polityce wewnętrznéj państw nowoczesnych, nie została przezeń zadawalniająco rozstrzygniętą, ani nawet właściwie postawioną.

Pominąwszy tym sposobem szczegóły katechizmu Comte'a, nie możemy jednak opuścić kilku jeszcze rysów głównych, charakterystycznych jego teoryi, i dla tego przedstawimy niektóre przynajmniej ciekawsze strony téj książki. Za takie uważamy przedewszystkiém nakreślone przezeń plany dla przyszłego odrodzenia się ludzkości

i uroczyście wygłoszone przepowiednie losu religii pozytywnéj, oraz wskazówki dla tych, którzy mogą znaleźć się u steru kierownictwa tą, zdaniem Comte'a, zdawna oczekiwaną przez wszystkie ludy, reformą społeczeństw.

„*Zachód*" to jest prawie całą Europę zlewa Comte w jedno organiczne ciało, mające przodować światu i na najodleglejszych krańcach kuli ziemskiéj zatknąć sztandar pozytywizmu. Sto dwadzieścia milionów obywateli téj nowéj społeczności religijnéj, porwanych prawdą i wzniosłością zasad *religii ludzkości*, ze swym arcykapłanem na czele, którym naturalnie będzie nie kto inny, jak założyciel téj nowéj wiary, to jest sam Comte, utworzyć mają niewidzianą dotąd całość harmonijną, jednę olbrzymią rzeczpospolitę zachodnią. Owiani duchem zgody i miłości braterskiéj, wyższej nawet niż braterskiéj, bo miłości nakazującéj kochać bliźniego więcéj niż siebie samego, członkowie tego państwa ulegną dobrowolnie urządzeniom i przepisom, które wypracują dla nich kapłani-filozofowie, poświęcający całe swe życie badaniom umysłowym i usługom tego nowego społeczeństwa.

Ogromne to państwo zachodnie dla celów praktycznych, mianowicie zaś dla łatwiejszego zarządzania niém, podzielone będzie na mnóstwo małych rzeczypospolitych. W urządzeniu tych państewek wszystko jest przewidziane, obmyślone i wyrachowane. Nawet tak zwana „*statystyka przyszłych rzeczpospolitych*" nie jest pominiętą. Otóż owe „stany zachodnie" mówi Comte, „nie będą rozleglejsze nad obecną Toskanię, Belgię lub Hollandyę" (str. 301). Ludność bowiem trzymilionowa, zdaniem jego, jest jedyną właściwą normą dla swobodnie zjednoczyć się mających członków oddzielnych grup téj nowej społeczności; większe ciała polityczne są niedogodne. Nietylko uczucie patryotyzmu, jako wynik poczucia wspólności celów ale i zarząd odpowiedni warunkuje się, wedle Comte'a, małą przestrzenią terytoryum.

I tak przed schyłkiem XIX stólecia (le Comte oznacza nawet szczegółowo czas ostatecznego odrodzenia się ludzkości), Francya cała prócz Algieru i Korsyki, które utworzą niezawisłe państwa, rozpadnie się na 17 niezależnych rzeczypospolitych, składających się każda z pięciu odpowiednich dzisiejszych departamentów. Wielka Brytania t. j. cała Anglia dzisiejsza nie będzie w stanie utrzymać się przy zjednoczeniu sztucznem odrębnych państw, jakie utworzą Irlandya, Szkocya a nawet Wallia, które także prócz pierwszéj ulegną dalszemu podziałowi. Takim sposobem więc Irlandya i Portugalia będą na początku nowéj ery ludzkości t. j. w pierwszych latach XX stólecia największemi rzeczpospolitemi zachodniemi.

Do tak przygotowanego już Zachodu, da się téż skutecznie zastosować ów porządek publiczny (régime public) a raczéj polityczny, o którym mówiliśmy poprzednio. W tenczas dopiero będziemy mogli, zdaniem Comte'a ocenić zalety téj nowéj powszechnéj administracyi;

„przy takiém bowiem rozklassyfikowaniu obecnych a normalnie wielkich państw," powiada on, „poczucie narodowości stanie się prawdziwém uczuciem pośredniczącém między przywiązaniem rodzinném a miłością uniwersalną ogółu" (str. 302).

Każdy jednak domyśli się, że *Wielki ów Zachód* nie jest jedyną uprzywilejowaną rzeszą narodów, w tym względzie, żeby przez tę religią odrodzony (régénéré), on jeden tylko miał z niéj korzystać. Tém bardziéj, że ta nowa rozległa „rzeczpospolita duchowna," jak ją nazywa Comte, jest zaledwie piątą częścią wszystkich mieszkańców kuli ziemskiéj. Otóż owe narody, które pierwsze ujrzały światło pozytywizmu t. j. Francya, Anglia, Niemcy, Włochy i Hiszpania, mają go propagować względem innych ludów niemniéj powołanych do uczestniczenia w przyszłym błogim stanie budzkości. Dla tém łatwiejszego zaś i prędszego nawrócenia innych narodów, owe pięć wybranych państw mają ustanowić tak zwany „*Komitet pozytywistów zachodnich*," któryby miał główne siedlisko w Paryżu a był wybierany z rozmaitych warstw społecznych, w ogólnej liczbie 30-u członków, a mianowicie: 8 Francuzów, 7 Anglików, 6 Włochów, 5 Niemców i 4 Hiszpanów. Komitet ten miał być jakoby „nieustającym soborem kościoła pozytywnego."

To wzniosłe posłannictwo apostolstwa stanie się nawet jedném z główniejszych zadań duchowieństwa pozytywnego przynajmniéj do tego czasu, nim wszystkie ludy nawrócą się na wiarę przez nich głoszoną. Ta zaś atrybucya nowego duchowieństwa wynika, zdaniem Comte'a z saméj istoty téj korporacyi, gdyż nikt, powiada on, nie może jéj zaprzeczyć prawa regulowania stosunków między najodleglejszymi nawet narodami. Duch pozytywizmu t. j. charakter jego względności o wiele ułatwić ma kapłanom spełnienie tego posłannictwa, temu też głównie charakterowi ich religii, zdaniem Comte'a, zawdzięczać będą narody prędkie swoje zjednoczenie i ostatecznie wielenie do jednolitéj nierozerwalnéj całości ludów. Bo wszystko u Comte'a wypływa z pojęcia jedności i wszystko do niéj dąży. Ona też jest dźwignią pozytywizmu, jak w ogóle każdego systemu.

To wielkie odrodzenie w duchu pozytywnym czyli nawrócenie wszystkich narodów, konieczne dla ostatecznego ukonstytuowania się ludzkości, w pochodzie swoim zawisło jednak od praw dziejowych, najważniejszém z pomiędzy których jest owe zasadnicze prawo trzech stanów ludzkiego umysłu t. j. pojęć teologicznych, matafizycznych i pozytywnych czyli właściwie umiejętnych. To prawo o trzech dobach albo trzech fazach bytu ludzkości, które umysł tak pojedyńczego człowieka jak i całych narodów koniecznie i to stopniowo przechodzić powinien, jest rzec można osią, w około któréj obraca się cała teorya pozytywna Comte'a. To też i wszystkie narody jeszcze nie nawrócone, są, zdaniem jego, w stanie teologizmu i jakkolwiek powinnyby, stosownie do owego zasadniczego prawa ewolucyi ludzkiéj, przejść stan pojęć metafizycznych t. j. pośrednią fazę umysłu ludzkiego, nim-

by zdolne były zrozumieć pozytywizm; to jednakże religia pozytywna dokazać ma cudu i oszczędzić im długiéj i mozolnéj pracy, skracając dla nich czas zwykłéj ewolucyi.

Ale i teologizm zaznaczył swój pochód dziejowy stopniowym rozwojem właściwych mu pojęć, coraz bliższych metafizyki a tém samém coraz bardziéj oddalających się od pierwotnych najgrubszych wyobrażeń ludzkich t. j. fetyszyzmu; jedném słowem i teologizm ma swoje epoki, swoje doby niższe i wyższe w rozwoju myśli ludzkiéj. Otóż prędkość w nawracaniu się narodów zależeć będzie, zdaniem Comte'a, od stopnia i siły pojęć teologicznych, jakie w danéj chwili przedstawiają stan umysłowy narodu: i tak najpierw nawrócą się monoteiści, następnie politeiści a w końcu dopiero fetyszyści.

Apostołowie pozytywizmu mają więc otwarte pole do działania, wskazane im są drogi i przepowiedziany jest czas. W tém wysokiém swém posłannictwie, zastosują oni znajomość praw rozwoju ludzkości, znajomość ewolucyi człowieczeństwa własném nabytą doświadczeniem i jakkolwiek nie będą w stanie tak prowadzić narody, by te przeskoczyły lub ominęły stadya konieczne swego rozwoju, jednakże zdaniem Comte'a, przeprowadzą oni takowe przez te nieodzowne stopnie rozwoju w znacznie skróconym czasie. Tak więc to, na co trzeba byłoby całych wieków w normalném położeniu rzeczy, da się uskutecznić, dzięki religii pozytywnéj, w przeciągu najdaléj trzech generacyj, rachując czas jednéj generacyi, dla każdego stopnia rozwoju teologizmu. Ale zastrzega Comte, że aby duchowieństwo mogło w tak krótkim stosunkowo czasie przekształcić przekonania społeczne, powinno ono być bardzo liczne i znaleźć silne poparcie ze strony państw stojących u steru cywilizacyi.

Ciekawe jest szczegółowe przedstawienie tego porządku nawracania się do pozytywizmu, porządku, który Comte nazywa „naturalnym biegiem“ rzeczy ludzkich.

Wschod t. j. wszystkie narody prócz owych pięciu wybranych, tworzących *Zachód* i prócz mieszkańców Afryki, zachowają w swojém nawróceniu wiadomą już koléj. I tak najprzód ujrzą światło pozytywizmu wschodnio-monoteiści, następnie politeiści a w końcu dopiero fetyszyści afrykańscy.

Co do wyznawców religij monoteistycznych, ci składają się z chrześcian i muzułmanów, pierwszych przedstawiają mieszkańcy Rossyi, drugich Turcya i Persya. Otóż państwa te, jeśli wierzyć mamy Comte'owi, bardzo wiele skorzystają z pozytywizmu, gdyż ten zdaniem jego oszczędzi im w nader znacznym zakresie zwykłéj pracy dziejowéj. „Można po części podnieść wszystkie narody do równości z Zachodem,“ powiada Comte (str. 322). „nie zmuszając ich do niewolniczego i niebezpiecznego dla nich naśladowania burzliwych i ciężkich katastrof, których koniecznie wymagała pierwotna ewolucya dziejów ludzkich.“ Już teraz nawet pozytywizm przez swoją

teoryę historyi może, zdaniem jego, oddać ogromne usługi rządom tych narodów, oświecając je w ich roli przewodniczenia postępowi całego człowieczeństwa i ochraniając je tym sposobem od zboczeń, jakie przechodził w swym czasie *Zachód*.

Turcy nawet, jakkolwiek nie przygotowani do owéj sławnéj jego *charakterystycznéj jednolitości*, w téj mierze jak inne narody, które przebyły już chrystyanizm, nie są jednak, zdaniem Comte'a tak dalecy od pozytywizmu, jakby to napozór zdawać się mogło. Uważa on bowiem, że chociaż nawet islamizm pozbawił Wschód postępu duchowego, dokonanego w wiekach średnich pod wpływem katolicyzmu; to za to uchronił go w dalszym rozwoju dziejów od anarchii, dręczącej Zachód przez pięć ostatnich stuleci a która to anarchia obrawszy Paryż (będący odtąd u Comte'a typem dążności rewolucyjnych) za swe stałe ognisko, tyle przeszkód stawiła zbrataniu się narodów pod sztandarem pozytywizmu.

Dzięki więc historycznym warunkom, muzułmanie takim sposobem wolni byli od *metafizyków*, pierwszych na świecie anarchistów, zdaniem Comte'a a nawet i od *legistów*, którzy tyle złego wnieśli w umysły zachodnich ludów. Pozytywizm naturalnie wstrzyma ich od naśladowania Zachodu, dowodząc im przykładami wziętymi z dziejów przeszłości Europy, co łatwo przyjdzie nowemu duchowieństwu przy wykształceniu jego uniwersalném, dowodząc im, powtarzam, że takowe naśladowanie byłoby dla mahometan straszną klęską. Wskazując zaś szczęśliwe położenie nawróconych narodów zachodnich i dając tym sposobem możność oceny zalet pozytywizmu, przyszli kapłani ludzkości ułatwią i dopomogą narodom wschodnim w ostateczném ich odrodzeniu się. Nie wiem tylko, czy Turcy wiedzą o tym projekcie uszczęśliwienia ich i czy zwykłą koleją losu, nieusłuchawszy zbawiennych rad nie staną się w końcu głuchymi a głos Comte'a, głosem wołającego na puszczy proroka.

Co do wyznawców politeizmu, stanowiących prawie połowę rodu ludzkiego, pozytywizm zdaniem Comte'a będzie dla nich pożyteczniejszym nawet, niż dla monoteistów, bo oszczędzi im drogi mozolniejszéj jeszcze i znacznie dłuższéj. Naturalny bieg rzeczy wymagałby, aby wyznawcy religii politeistyczuéj przeszli choć jeden jakikolwiekbądź monoteizm, ale od tego właśnie ma ich uchronić pozytywizm, a to usposobiając ich do ominięcia téj drogi i uczynienia olbrzymiego skoku wprost ku ostatecznéj formie myślenia ludzkiego, ku najwyższéj i ostacznéj fazie wiary, jaką zdaniem Comte'a, jest wyznanie pozytywne.

Otóż tu widzimy nakręcanie prawa historycznego, wynalezionego przez Comte'a. Łatwo jest jemu wytłumaczyć to tém, że monoteizm jest koniecznym i niezbędnym tylko w pierwotnym biegu dziejów (str. 324), ale pomimo to prawo zasadnicze trzech stanów umysłu ludzkiego znacznie osłabia się tą możnością ominięcia jego rygoru. Wielu młodzieńców, powiada Comte, pod kierunkiem ka-

płanów ludzkości odrazu przejdzie te trzy stany swego rozwoju umysłowego, podczas tak zwanego *nowicyatu encyklopedycznego*. Dlaczegożby więc, zapytuje on, praca systematyczna duchowieństwa zachodniego nie mogła wstrzymać politeistów od wkroczenia w tę fazę przejściową? Tém bardziéj, że główne dogmata politeizmu łatwo nawet nadają się do przerobienia ich w pozytywne, będąc tylko jak się Comte wyraża, „obleczone w formę boską," w formę, która sama z siebie wkrótce zniknie, zdaniem jego, rozpraszając promienie nadprzyrodzonego światła, które je oświecało (str 325).

Co do fetyszystów, ci znowu pomimo małéj swéj liczby zajmują wielką przestrzeń Afryki środkowéj i są zdaje się jak—nateraz przynajmniéj—niedostępni dla światła nowéj wiary, jak w ogóle dla wszelkiéj cywilizacyi europejskiéj. Ale gdzież nie dosięgnie zbawczy promień téj wiary. „Dla czcigodnych naszych missyonarzy", mówi Comte, „Afryka jako otwarte i nęcące pole pracy będzie nawet silnym bodźcem do ich wykształcenia teoretycznego i do podniesienia w nich zapału ku wzniosłemu ich posłannictwu, jakiém jest oszczędzenie tym hordom naiwnym, dzikim przejścia przez monoteizm i politeizm, a wprowadzenie ich odrazu na łono powszechnéj religii świata."

Możność udania się trudnéj téj missyi wypływa, jak się wyraża Comte, ze *ścisłéj pobratymczości pozytywizmu z fetyszyzmem*, który zdaniem jego, różni się od pierwszego co do dogmatu jedynie tém, że w biezwiednych objawach siły elementów widzi życie, a co do obrządku tém, że czci przedmioty t. j. grubą materyę a nie organicznie żyjące jéj wytwory t. j. stworzenia.

Fetyszyzm nadto, zdaniem Comte'a, zarówno w normalnym rozwoju ludzkości jak i przy kierownictwie pozytywizmu t. j. np. w wieku dziecięcym człowieka, jest jedynym ze szczebli teologizmu czyli fikcyjnego stanu umysłu (état fictif), którego niemożna uniknąć. Comte objaśnia to tém, że ta forma myślenia zjawia się wtedy, gdy tak ród ludzki, jak i pojedyńczy człowiek nie jest zdolny do refleksyi samodzielnéj czyli do zastanawiania się nad zjawiskami i do rozumowania w ogólności.

Wedle Comte'a więc przejście z fetyszyzmu do pozytywizmu jest łatwiejsze, aniżeli z innych szczebli rozwoju umysłowego. Myśl ta, zdaniem naszém, stanowczo sprzeciwia się właśnie jego teoryi. Z drugiéj zaś strony zjawienie się jéj w umyśle Comte'a, dowodzi także, że przy użyciu metody jednostronnéj a przytém i niczém nie krępującéj się wyobraźni, takie wyniki badań nietylko są możebne, ale i konieczne. Otóż jak tylko Comte wszedł na drogę zastosowywania wyników teoryi pozytywizmu, wypracowanéj w kursie jego, do produkcyi bujnéj swéj wyobraźni, jaką jest jego socyologia, to trudno już nam dopatrzéć u niego, związku pojęć i ścisłości wywodów. Rzeczywiście więc w tém położeniu rzeczy łatwość przejścia z fetyszyzmu do pozytywizmu sprawdza się na samym Comte'cie, jakkolwiek w odwrotnym porządku; bo on sam przy schyłku życia, obawiając się

urojeń metafizycznych, jak mówi nieraz, w zamian tego stwarza teoryę, w któréj na widownię jego systematu występuje jako przedmiot kultu tak zwany przezeń „*Wielki Fetysz*" (le Grand Fétiche) t. j. ziemia nasza, ziemia która nas kocha i która dla nas jedynie stała się mieszkalną, zdaniem Comte'a. *Wielki* ten *Fetysz*, do którego należą także i inne planęty naszego systematu słonecznego, oraz słońce i księżyc, jest jedyną z trzech istot składających „*Trójcę*" Comte'a (la Trinité inalterable). Drugą osobistość godność tę piastującą stanowi *Ludzkość*, (le grand-être) teoryę któréj przedstawiliśmy już na wstępie naszéj pracy; trzecią zaś osobą trójcy jest „*Przestrzeń*" inaczéj *Wielkim Środkiem* (le Grand Milieu) zwana. [1])

Słowem pozytywista przeszedł w fetyszystę a przekonawszy się o tym możebnym skoku w tył, Comte był zdania, że można również skoczyć i na przód. Pozwolimy sobie jednak stawić pytanie, czy warto w takim razie narażać duchowieństwo pozytywne na tyle mozolnéj pracy, by np. mieszkańcy Afryki, losem których tak sumiennie zajmuje się nasz arcykapłan, powrócili w końcu, tak jak i sam Comte, do dawnéj czci materyi.

To zboczenie Comte'a od własnego jego prawa o trzech stanach ludzkiego umysłu jest nader ważném, zdaniem naszém, przy ocenianiu wartości pozytywizmu. I rzeczywiście, jakżeż mało zadawalniają nasz umysł, wszelkie jednostronne i skrajne systematy filozoficzne, a tém bardziéj pozytywizm. Duch ludzki, jakto widzimy na Comte'cie i wielu innych filozofach, jeśli mu podciąć skrzydła, pełza po ziemi a niemogąc pozbyć się poglądów metafizycznych i myśli wrodzonych człowiekowi, łono ziemi obiera za siedlisko najwyższéj istoty metafizycznéj i po długich bezowocnych koczowaniach wraca wreszcie do punktu z którego wyruszył, z tą tylko różnicą, że pojęcie dawniejsze przyczyny wszechrzeczy przenosi z zewnątrz zjawisk w nie same, skutek bierze za przyczynę a środek za cel. Tak też i Comte odrzuciwszy możność istnienia czegoś wyższego nad człowieka [2]), ziemię podniósł do godności *Wielkiego Fetysza* i stał się tym

---

[1]) Synthèse subjective, 1856. str 24.

[2]) Człowiek jest tak potężną istotą, zdaniem jego, że nie ma granic dla ulepszeń jakie umysł ludzki mógłby zaprowadzić w swém otoczeniu. I tak możemy udoskonalić całą przyrodę, rośliny, zwierzęta a nawet własny nasz rodzaj (Vierge-mère). Ustrój zaś wszechświata, ani tak bardzo sztuczny, ani tak logiczny, by nim się zachwycać, powiada Comte; umysł ludzki dostatecznie rozwinięty potrafiłby nawet zdaniem jego, wymyślić system słoneczny o wiele wyższy od tego jaki niesłusznie podziwiamy w ustroju świata. Odsyłamy w tym względzie ciekawych do jego filozofii astronomii, stanowiącéj treść drugiego tomu Kursu filozofii pozytywnéj. To przecenianie rozumu człowieka, to idealizowanie istoty ludzkiéj, ubóstwianie jéj prawie, dziwne sprawia wrażenie, gdy widzimy jak umysł Comte'a, ów najwyższy umysł jaki kiedykolwiek istniał, zdaniem jego szkoły, sam w końcu wpada w *fetyszyzm*.

sposobem nietylko metafizykiem, mistykiem, czego się obawiał, ale najgrubszym dziecinnym fetyszystą; wrócił więc do tego, co sam uważał za najpierwszy, najniższy stopień rozwoju umysłowego, tak ludzkości w ogóle, jak każdego człowieka w szczególności.

My widzimy w tém bardzo naturalną koléj rzeczy, bo zaprawdę stokroć łatwiéj wpaść w marzenia bezmyślne i dać polot hujnéj wyobraźni, będąc z profesyi pozytywistą, takim przynajmniéj jak Comte, aniżeli wyznając teorye najsubtelniejsze nawet matafizycznej. Bo jakżeż trudno umysłowi ludziemu wytrwać w myśleniu konsekwentném, gdy się ograniczy jedną stroną zjawisk wszechświata, jakżeż mu trudno przychodzi ciągle opędzać się widmom pozagrobowym i walczyć z myślami nie z tego świata, które bądź co bądź stanowią część przyrodzonego ducha naszego. To téż pozytywiści, którym się zdaje, że wolni są od tych dziecinnych, niedorzecznych, ich zdaniem, marzeń, od których jakoby uwalniała ich metoda indukcyjna, często i to bardzo często sami bezwiednie im ulegają, inaczéj tylko nazywając wyroby swoje metafizyczne i zamykając je w daną przestrzeń lub materyę. I rzeczywiście jak tylko kto uznaje istnienie prawa w zjawiskach choćby najwięcéj materyalnych, ten jest już tém samém na drodze uznania idealnego pierwiastku w ustroju wszechświata, bo trudno doprawdy uznać istnienie prawa a nie uznać konieczności jego początku, gdyż samo pojęcie prawa, jest czysto idealném a wypływając z idei, do niéj koniecznie doprowadza. Daleko téż konsekwentniejsi w tym razie są, zdaniem naszém, skrajni fataliści. Ci zaś, co przyznają postęp w ludzkości, postęp ku lepszemu, odbywający się wedle praw stałych, nie mogą odrzucać celowości w objawach świata, jeśli sami sobie nie chcą przeczyć; a kto uznaje pewna ideę, myśl jaką wyższą, jedném słowem cel do którego dąży świat, mimowoli wpaść musi na tor pojęć metafizycznych. Gdzie niema metafizyki, tam, zdaniem naszém, niema filozofii; możnaby więc pozytywizm nazwać metodą badań, choćby i przedstawieniem encyklopedycznem wiedzy ludzkiéj i to nie całéj, ale nigdy filozofią ani pozytywną, ani filozofią natury, ani filozofią umiejętności, jak chce Comte. Bo zaznaczenie i odkrycie praw we wszechświecie jest zadaniem oddzielnych nauk, badanie zaś przyczyny tych praw i tego rozwoju, wiązanie wszystkich zjawisk w jedną nić przewodnią, mając na względzie cel do którego dążą, oto dopiero zadanie filozofii, przynajmniéj w naszém jéj pojmowaniu. Inaczéj między nauką a filozofią niepotrzebne byłoby rozróżnienie i nazwa jednéj byłaby dostateczną.

Ale wróćmy do dalszego przedstawienia myśli samego Comte'a.

Otóż chcąc np. dziecko zachować od politeizmu, opierając się na tém co wygłasza Comte, moglibyśmy w tym celu utrzymywać je w ciągłym fetyszyzmie aż do chwili, w któréj stopniowo przygotowane, byłoby zdolne pojąć pozytywizm. Ale mówi Comte, sztuczne takie wysilenie umysłu nie byłoby pożyteczném a nawet niepotrzebnie wstrzymałoby pochód naturalny wyobraźni ludzkiéj. Co zaś do wspól-

nej dla wszystkich przemiany pojęć w Afryce środkowéj, tam rzecz ma się zupełnie inaczej, zdaniem Comte'a; tam przeciwnie z powodu takiego przeskoku ewolucyi naturalnej, najzbawienniejsze ujrzymy skutki, tak w pojedyńczych ludziach, jak i w całych narodach. Dlaczego zaś? tego autor nie powiada; jest to jedno z tych zdań apriorystycznych, które dziwnie wyglądają przy jego teoryi pozytywizmu a zwłaszcza obok ścisłéj metody badań, która ją charakteryzować powinna.

Gdy zaś kobieta, którą kapłan ludzkości objaśnia o tym przyszłym pochodzie religii pozytywnéj, wynurza obawę, czy różnice rassowe nie będą czasem przeszkodą w rozpowszechnieniu niewidzianéj dotąd, jéj zdaniem, w żadnéj religii, takiéj powszechności wiary: kapłan ów w następujący sposób, stara się ją uspokoić, usuwając płonne jakoby jéj obawy:

„Prawdziwe pojęcie biologiczne ras ludzkich, moja córko," mówi on, (str. 326—7), „wynika z teoryi *Blainville'a*, który różnice rassowe przedstawia jako zmiany wywołane miejscowemi warunkami, to jest otoczeniem w jakiém żyją ludzie." Zmiany te z początku powierzchowne, nie istotne, zdaniem Comte'a utrwalają się coraz bardziéj i stają się nawet cechą dziedziczną, gdy dojdą do swego rozwoju najwyższego. Wedle téj zasady, mówi daléj Comte, można subjektywnie utworzyć doktrynę, która w swéj istocie zupełnie odpowie rozmaitościom charakteru ludzkiego, spostrzeganym przy badaniu ich objektywném. Doktryna ta, nad którą Comte rozpisuje się dość obszernie, w ostatecznym rezultacie odkrywa i uznaje tylko 3 rassy rzeczywiście różniące się między sobą w istotnych cechach, t. j. rassę *białą*, *żółtą* i *czarną*.

Otóż te różnice istotne i trwałe nie mogły, zdaniem Comte'a rozwinąć się inaczéj, jak tylko pod wpływem przewagi jednej z trzech głównych części systematu mózgowego względem dwóch pozostałych t. j. *spekulatywnej* części, *czynnej* lub *uczuciowéj*. Ogół badań sumiennych i obserwacyj ras potwierdza to najzupełniéj, zdaniem Comte'a, względem różnic owych wyżéj wspomnianych trzech ras ludzkich, z których każda przewyższa pozostałe albo rozumem, albo działalnością, albo uczuciem. To téż poznanie właściwych cech, odróżniających jedne narody od drugich, powinno powstrzymać je od wzajemnego jak dotychczas pogardzania się, wszystkie bowiem, powiada Comte, są sobie równe, gdyż każda rassa przewyższa inne w danych tylko objawach swego życia, ale jest zarazem przez nie przewyższaną w innych sferach swéj działalności. Pewnik ten powinien nawet, zdaniem jego, przekonać narody o korzyściach jakie mogą wynikać z ich zjednoczenia się a to w celu uformowania ostatecznego owéj „*prawdziwéj, rzeczywistej Wielkiéj Istności*" jaką zdaniem Comte'a jest bóstwo religii pozytywnéj t. j. Ludzkość.

Kiedy praca pozytywistów, mówi zatem kapłan, "uzdrowi naszą planetę," te różnice organiczne między rassami zaczną znikać same

przez się a głównie przez godne małżeństwa (par de dignes mariages) t. j. przez małżeństwa zawierane z powodu prawdziwego przywiązania a nie dla interesu. W tym też celu zapewne w nowém społeczeństwie Comte'a, kobiety nie będą posiadały posagów. To wzajemne zaś oddziaływanię na siebie wyższych stron każdej rassy, czyli właściwie mówiąc językiem Comte'a, wzajemny wpływ więcéj udoskonalonych części mózgu na inne mniéj wyrobione, do tego systematycznie prowadzone pod kierunkiem duchowieństwa powszechnego, spowoduje najdrogocenniejsze ze wszystkich ulepszeń, bo ulepszenie całości systemu mózgowego, całego jego składu. Udoskonalony więc takim sposobem organ życia naszego duchowego, stanie się, wedle teoryi pozytywnéj, jeszcze bardziej zdolnym i to w szerszym zakresie myśleć, działać a nawet i kochać.

Wszystko to wypowiada Comte z bezprzykładną pewnością siebie, nię utrudza się nawet dowodzeniem tego, co samo z siebie wypływa zdaniem jego. Jakaż w tém różnica z kursem filozofii pozytywnéj, gdzię najmniejszy wynik swej teoryi stara się stwierdzać na przykładach ciągnących się bez końca, gdzie do znudzenia czasem usiłuje przekonać słuchaczy o prawdziwości swoich wywodów. Otóż o ile w pierwszéj połowie swojéj działalności naukowéj, Comte okazuje się badaczem skromnym wypowiadającym filozoficzne myśli, nietyle jako coś nowego, stworzonego jego geniuszem, ile jako tkwiące w naturze rzeczy ludzkich, jako myśli będące już nieraz wypowiadane przed nim, a to wskazując poprzedników swoich i dopatrując w nich tego samego niemal rozwoju pojęć; o tyle znowu w téj drugiéj części swojéj pracy umysłowéj, przenosząc się na pole polityczne, ogarniając przewodnią swą myślą reorganizacyi, całą ludzkość, wygłasza absolutnie swe wyrocznie, wzywa wszystkich i napomina do posłuszeństwa [1]). Niepojęta wiara w prawdziwość głoszonych przezeń zasad a z drugiéj strony silne przekonanie, że on jeden tylko był w stanie przeprowadzić takowe w życiu społecznem, uprawniały go, w jego przynajmniéj mniemaniu, do żądania od ludzkości nietylko popierania teoryi jego pozytywnych, ale i osobistego dla siebie wsparcia. Ztąd owe szarpanie się moralne, owe słowa goryczy rzucane nawet dobroczyńcom chwilowym, którzy nie poczuwali się do obowiązku niesienia mu stałéj pomocy; owe zażalenia na obojętność ludzką w obec tak wzniosłych celów obywatelskich: wreszcie owe przesadne charakteryzowanie obecnej mu chwili, jako typu anarchii, tak politycznéj jako i moralnéj.

Wszystko to jednak dowodzi jak dalece Comte był zaślepionym w przekonaniu swojém o zbawienności wygłaszanych przez siebie

---

[1]) Dowodem tego smutna sprawa o wspomożenie go, gdy po odebraniu mu posad egzaminatora i repetytora niektórych kursów matematyki wyższej w Szkole Politechnicznéj, został w zupełnéj nędzy pogrążony.

reguł dla przyszłego ustroju społecznego, jak dalece czarowny obraz odrodzonéj ludzkości, która w nowéj swéj szacie roztaczała się poważnie na widowni twórczéj jego wyobraźni, nęcił umysł jego i do wytrwałości go zachęcał. Bolesném było zapewne czuć w sobie siłę ruchu nadania dla téj nowéj „ewolucyi człowieczeństwa," siłę mogącą w jego mniemaniu przyśpieszyć jéj rozkwit, i zobaczyć się w końcu opuszczonym przez tych właśnie, dla których najwięcéj może pragnęło się szczęścia. Jednakże żadne zawody, żadne przeszkody, które naturalnie musiał spotkać w propagowaniu swoich idei, nie osłabiły w nim wiary w to, co gorączkowo rzucający się umysł jego, przedstawiał mu jako niebawem ziścić się mające.

Jak niegdyś Rousseau cierpiał z powodu wymarzanych często intryg nieprzyjaciół, czychających jakoby na jego spokój domowy, tak i Comte miota się wewnętrznie i boleje nad postępowaniem owych „*pedantokratów*" jak ich nazywał, uczonych członków akademii, którzy zasad jego uznać nie chcieli i usuwali go od mównicy professorskiéj, gdzie jedynie mógł wpływ wywierać, zkąd głos jego mógł być z zapałem słuchany przez młodzież chciwą wówczas przekształceń nowych socyalnych. Pomimo to wszystko jednak widnieje w nim często spokój i ta pogoda myśli, która jest zwykle dowodem przekonania o słuszności, i wiary w pewność ziszczenia się tego, co się wygłasza światu. I tak w jednym z listów pisanych do Miss Martineau [1]) znanéj w Anglii propagatorki jego teoryi; tak pisze Comte pod datą 6 kwietnia 1854 r.:

....„Sądzę, że nie łudząc się przewidywaniem zbyt prędkiego odrodzenia się społeczeństwa, mogę jednak naprzód cieszyć się przyszłém niechybném powodzeniem ludzkości..... Gdybym tylko żył lata *Hobbesa* [2]), chociaż mam już obecnie 56 rok życia, ujrzę niezawodnie Zachód ostatecznie kroczący po obszernym i prostym gościńcu, wiodącym do normalnego przeobrażenia się ludzkości. Widok ten, jakkolwiek nie ukaże mi jeszcze w całéj pełni oczekiwanych skutków, rozproszy jednak obawę i niepokój o ich ziszczenie się."

Zadziwiająca to pewność siebie, niesłychana ufność w swój umysł i w prawdę wymarzonych planów dla ludzkości, dziwne zaślepienie w nieomylność swoją. Ale bo też Comte'owi, niewidzącemu odtąd innych objawów w dziejach, prócz ciągłéj dążności do połączenia się wszystkich ludów pod sztandarem pozytywizmu—tego ostatecznego kresu ewolucyi, który miał ziścić przepowiadany złoty wiek Saint Simona, nie trudném było dojrzeć w obecnej mu chwili przedświtu téj różanéj jutrzenki ludzkości. Francya za życia

[1]) Miss *Hanriett Martineau* zaszczytnie znana w literaturze angielskiéj, wydała także w 1853 r. i filozofię Comte'a w wolnym przekładzie i w streszczeniu p. t. The positive philosophy by Auguste Comte freely translated and condensed. London, 2 vol.

[2]) Wiadomo że Hobbes żył przeszło 90 lat, bo od 1588 do 1679 r.

jego wrzała teoryami socyalistów, a Francya, to, zdaniem jego jak i wszystkich Francuzów, przedstawicielka całéj ludzkości. Same narody więc domagały się reformy społecznéj. Te objawy mającéj się zbliżyć jutrzenki uszczęśliwiły go ale i przestraszyły zarazem, widział on bowiem w dali wszystko obalone i nierząd przed sobą, bo tłumy jeszcze nieoświecone a ztąd niezdolne spokojnie wkroczyć na drogę postępu, woła więc: *porządek i postęp!* Widział objawy wściekłości zapamiętałego ludu i zatwardziałość zbrodniarzy, zemstę i krew, wygłasza więc wzniosłą zasadę: *żyjmy dla innych!* I cóż zatem dziwnego, że ukochawszy ludzkość, porywa za sztandar wiary pozytywnéj, téj doktryny, która jak łódz zbawienia, miotana falą przeciwnych losów, sama tylko może ocalić, w jego przekonaniu, wiernych swych wyznawców. Mając zaś, jak powiada, cały szereg poprzedników w dziejach, bo od Arystotelesa do Galla, ufny w siłę swej nauki, sam staje na czele téj armii wiekowéj, żyjącéj w nim *subjektywnie* i w nim radującéj się odrodzeniem ludzkości a ztąd i wierzy, że ujrzy kiedyś, i to w niedalekiéj przyszłości, bratające się narody, że hydra domowéj wojny uleci w dalekie przestwory, że miłość zapanuje światu, słowem że *altruizm* odniesie ostateczne zwycięstwo nad egoizmem.

W to wszystko wierzy Comte, bo zdaje mu się, że całe dzieje potwierdzają to, a obecna mu chwila przekonywa go nawet o możności prędkiego ziszczenia się jego marzeń. Bo za wiarą pozytywną, woła więc zapamiętale, niema zbawienia; po za powszechnym kościołem ludzkości, śmierć i potępienie! Przypatrzcie się całemu biegowi dziejów a przekonacie się.

Od czasu jak Rzym zapanował światu, ludzkość szuka religii uniwersalnéj, ale napróżno, zdaniem Comte'a. Dwa monoteizmy, islamizm i katolicyzm w widowni nowszych dziejów dążą do téj powszechności, bez któréj ludzkość nie może dopiąć swego przeznaczenia. Ale bezskuteczne usiłowania Wschodu i Zachodu dowodzą, zdaniem jego, że po za teologią i metafizyką szukać należy podstaw do zjednoczenia się zarówno moralnego jak i umysłowego. To złączenie może wyniknąć tylko z pozytywizmu to jest „doktryny," jak mówi Comte, „charakteryzującéj się pogodzeniem rzeczywistości z korzyścią." Religia pozytywna bowiem, dosięgłszy uczucia, będącego podstawą jéj jedności, stała się tym sposobem, zdaniem jego, społeczną ze swéj natury. Ten społeczny charakter jéj jednolitości zasadza się na złączeniu, jak mówi Comte, „uczucia i myśli w celu uporządkowania działalności człowieka." W obec przewagi myśli nad uczuciem, która cechuje, zdaniem jego, Zachód, nowa ta religia bierze sobie za zadanie powołać do życia krępowane dotychczasową cywilizacyą uczucie, a najgodniejsze narzędzie do tego, organ, który posiada czarowną siłę w dziedzinie serca, widzi ona w kobiécie. Tak jest: w pozytywizmie ma ona znaleźć apoteozę swéj wielkości, kobieta bowiem, wedle ducha téj religii, jest najwyższym ideałem, jaki człowiek może przedstawić sobie tu na ziemi. To téż rola jéj w nowém

społeczeństwie pozytywném, jest odpowiednio wielką, kobiéta jest jedyną z istot żyjących, przed którą pozytywista zgina kolano. Ona téż prędzéj i łatwiéj niż inni, w mniemaniu Comte'a, pojmie tę religię ludzkości. „Nawet cała nasza filozofia“ powiada on „jest jakby naumyślnie zastosowaną do jéj umysłu, bo szereg nauk kończy *etyką* (la morale), która jako nauka i umiejętność jest najważniejszą, streszcza bowiem wszystkie inne i góruje nad niemi.“ A cóż bardziéj przystaje do pojęć kobiéty, zapytuje Comte, jak etyka, owe prawo moralności, które jéj od kolebki niemal jest wrodzone. Rozwijając zaś uczucia rycerskie, kult pozytywny wywyższa nadto rodzaj niewieści, ów rodzaj czuły (le sexe affectif) i podnosi go do znaczenia opatrzności moralnéj, czuwać mającéj nad nami. Gruntując nadto rodzinę, owe ognisko miłości, w którém człowiek zaczyna żyć nie egoizmem ale dla drugich, jako podstawę normalną społeczeństwa, religia pozytywna ostatecznie utrwala wpływ niewieści. Gdy dodamy jeszcze do tego prawo wiecznego wdowieństwa, cechujące małżeństwo pozytywne, przekonamy się zdaniem Comte'a, że wszystko to razem wzięte, podnosząc zapoznaną część rodzaju ludzkiego, uczyni zarazém z kobiét najpierwsze krzewicielki religii, która im tak wzniosłe posłannictwo wyznacza. To téż ostatnie słowo ruchów socyalnych, ostatni objaw woli ludzkiéj, spocznie, zdaniem jego w téj prawdzie niezaprzeczalnéj, w téj nieodwołalnéj zasadzie, która nawet kiedyś stać się ma prawém obowiązującém, t. j. że sami mężczyzni powinni dbać o utrzymanie żon swoich, by te mogły godnie wypełnić *świętą swą missyę* względem społeczeństwa.

Wszystko to razem wzięte powinno, zdaniem Comte'a, przekonać nas ostatecznie, że religia pozytywna wynika z saméj natury ludzkiéj, wiecznie dążącéj do uszlachetnienia się wszechstronnego, że ona jest najwyższym stanem cywilizacyi, do jakiego ludzkość, przebywszy zwycięzko konieczne stadya swego rozwoju, dojść wreszcie mogła. Od niéj więc tylko oczekiwać należy zbawienia, twierdzą jéj wyznawcy, bo ona jedna nas uszczęśliwia, ona jedna objaśnia nam najskrytsze tajniki tak własnéj jak i otaczającéj nas natury, ona jedna we właściwém świetle przedstawia nam istotę naszą i równolegle rozwija umysł i serce.

Czytając te bez końca ciągnące się przepisy religii pozytywnéj, te rozwlekłe uwagi Comte'a, szczególniéj nad jéj dogmatami, te z niepojętą jak dla nas śmiałością nakreślone ramy przyszłego jéj rozwoju i wreszcie owe unoszenia się deklamatorskie nad jéj znaczeniem dla ludzkości; często i to bardzo często przychodziło nam na myśl, czy plan całéj téj budowy nowéj religii socyalnéj a tém bardziéj część jéj wykończenia, nie powstał w głowie Comte'a w chwilach, które spędził w domu obłąkanych w Esquirola? A jednak tak nie jest; jest on często ciemnym, nudnym w dowodzeniu, absolutnym we wnioskach; ale w głównych rysach nie zbacza on z raz powziętego, jakkolwiek fałszywego kierunku, jaki uderza już na samym wstępie

jego pracy. To też nie dziwi nas, że tacy nawet ściśli i metodyczni myśliciele, jak *Mill* i niektórzy z wyznawców jego wiary, ujęci tą pozorną jego systematycznością i ścisłością w wykładzie, zachwycają się katechizmem Comte'a; jedni jak Mill wprawdzie tylko głównym zarysem takowego i niektóremi jego domysłami, drudzy zaś najmniejszemi nawet szczegółami. Kto bowiem z zasady uznaje teoryę Comte'a, jako jedyną prawdę świata, tego z początku nie razi kierunek w jakim Comte rozwija swe myśli, o tyle droga ta jest systematyczną i o tyle Comte jest ścisłym w swoich wywodach; ale jak tylko który z adeptów jego mimowoli, bezwiednie zapyta siebie, do czego to wszystko wiedzie, gdzie jest przyczyna i jaka istota tych przekonań, pytań usuwanych zwykle przez pozytywizm; wtenczas zatrzymuje się on w biegu i przerażony nie wié, czy ma iść daléj za swym mistrzem. Zkąd więc to płynie, pytamy, gdzie przyczyna tego, że podziwiają konsekwencyę Comte'a a iść za nim nie chcą? że jedni, jak Mill, uważają całą jego działalność umysłową za całość jednolitą, za jeden nieprzerwany łańcuch logicznego myślenia, gdy tymczasem inni i to więcéj pozytywni niż *Mill*, niż sam Comte nawet, zarzucają mu subjektywizm, mistycyzm, marzenia w przeprowadzeniu jego socyologii? Jakaż wreszcie przyczyna, że i my, pisząc o jego religii, raz nazywamy go wzorem ścisłego myśliciela, drugi raz niekonsekwentnym filozofem? Odpowiedzieć na to możemy scharakteryzowaniem umysłu Comte'a następującém orzeczeniem, oto, że dzieła jego są *wzorem konsekwentnych wywodów z błędnych, często sprzecznych ze sobą, a zawsze nieuzasadnionych podstaw.* I rzeczywiście wszystko, co tylko Comte wyprowadza z głównego swego założenia, jest ścisłe i logiczne, ale czy to założenie ma jaką podstawę prawdy, czy może służyć za nieomylne źródło wzzystkich dalszch wywodów; czy jedném słowem zasada ta jest pozytywną? oto pytanie, które pominął Comte; pominął *Mill*, pominęli i wszyscy pozytywisci, nawet i pozytywista *par excellence*, sam *Littré*.

I cóż z tego, że *Littré* i to nader słusznie wykazał niekonsekwencyę między socyologią Comte'a a jego kursem filozofii pozytywnéj? czegoż to dowodzi? czy jest w tém argument i kryteryum prawdy dla jednéj ze stron jego teoryi? Littré mówi, że kurs Comte'a jest pozytywnym t. j. że wygłasza prawdę niezachwianą, stwierdzoną doświadczeniem, a dla czegożby niemożna powiedzieć, że szukanie wiary w sercu, że natchnienie i mistycyzm są rownież pozytywne, bo czy jest choć jeden człowiek, któryby mógł uwolnić się od tych wrodzonych nam pytań. Comte odpowie na to, że razem z rozwojem cywilizacyi, znikają te pytania, że jestto nic więcej, jak przyzwyczajenie umysłu, drogą wychowania i tradycyi nabyte. My zaś przeciwnie, opierając się na pozytywném także badaniu t j. na zaznaczaniu objawów tych uczuć i myśli u wszystkich narodów, na każdym stopniu ich rozwoju cywilizacyjnego, słowem u wszystkich ludzi; możemy twierdzić, że one są wrodzone człowiekowi a ztąd konieczne. Gdzież więc

kryteryum prawdy? pytamy jeszcze; czy w doświadczeniu jak mówi pozytywizm? Dobrze więc, ale dlaczegoż tylko objawy materyalne świata mają mieć ten przywilej i podlegać doświadczeniu? Czyż cały obszar innego świata, cała summa walk i cierpień, natchnień i rozkoszy złożonych w duszy człowieka; czyż rozwój myśli i uczuć jego, mają być zupełnie wyrugowane z zakresu badań naszych? Czyż tak zwane *wewnętrzne doświadczenie*, niema wejść w program wiedzy ludzkiéj? A w takim razie czyż usuwać, znaczy: objaśnić, czyż to zaspakaja myślącego badacza, czyliż zasłonięcie oczów uwalnia od wyrzutów sumienia, w kształcie widm nawiedzających duszę człowieka? Jeśli jest prawo we wszechświecie, jeśli najmniejszy atom, czy w krysztale czy w mózgu, nie zmienia swego położenia bez konieczności prawa, któremu ulega; to objawy ducha, literatura, nauki, wszystkie sfery sztuk pięknych, miałyżby być tylko przypadkowém zjawiskiem, nie miałyżby i one mieć praw dla swego rozwoju? Tak jest, odpowiedzą pozytywiści, i one podlegają prawu, przypadkowości niema na świecie. Dobrze więc, przyznajecie prawa, ale gdzież ich źródło? Na to ukażą oni materyę; objawów ducha niema na świecie: wszystko jest przejawem materyi, powiada Comte. A zatem pozytywizm to materyalizm? Broń Boże! wykrzykną oni wszyscy a Comte na czele, niema nic bardziéj przeciwnego sobie, jak pozytywizm i materyalizm. Gdzież więc logika wasza; jeśli chcecie być konsekwentni, powiedźcie: jesteśmy materyaliści, jeśli zaś nie znacie praw rozwoju ducha, to niedowódźcie, że ich niema i nie róbcie ich płodem ślepych praw natury bezwiednéj. Słowem, jeśli nie znacie *przyczyny* i *źródła* duchowych objawów w człowieku, nie mówcież, że ich niema.

Na tém kończymy przedstawienia religii Comte'a, powtarzając z *Laurent'em:* „zaprawdę, nie warto było rugować ze świata i dziejów, Boga, by na miejsce Jego postawić Nicość!“ [1]).

WSPOMNIENIE

o ś. p. Tomaszu Dziekońskim.

W dniu 22 maja r. b., przed wieczorem, poważny orszak żałobny towarzyszył trumnie, niesionéj na barkach czcicieli zmarłego z kościoła św. Antoniego na cmentarz Powązkowski. Za trumną postępował parokonny, bez ozdób karawan. Widoczném było, że odprowadzano na wieczny spoczynek zwłoki męża, który nie zebrał w żywocie swoim ziemskich dostatków, ale nie mało nagromadzić musiał bogactwa z zasługi i miłości ludzkiéj, kiedy przedstawiciele najrozmaitszych stanowisk społecznych, zebrali się z własnego popędu, by ostatnią zmarłe-

[1]) Études sur l'histoire de l'humanitè Tome XVIII. Paris. 1870 str. 215.

mu oddać posługę. Byli to powiększéj części ludzie już przeszło półwiekowi, z siwizną na skroniach, którzy przyszli odprowadzić do grobu ukochanego swych lat młodych przewodnika, albo zasłużonego w pracy około wychowania młodzi krajowéj kolegę. Orszak ten pogrzebowy liczbą nie odpowiadał wszelako wielości zasług zmarłego. Wprawdzie zawód jego był cichy, bez rozgłosu, osoba jego młodemu nie była znaną pokoleniu, bo zmarły dawno już usunął się był z widowni świata; nie zebrał on téż żadnych głośnych za życia laurów, na polach najwięcéj dzisiaj przez ducha czasu cenionych. Nieboszczyk, któremu ostatnią w d. 22 maja oddawano posługę, był oraczem na niwie najwięcéj krajowi przynoszącéj pożytku, a stosunkowo najmniéj może mającéj w społeczeństwie odpowiedniego zasługom uznania, bo był on niezmordowanym pracownikiem w trudnym i cierniowym zawodzie nauczyciela.

Mówimy tutaj o ś. p. Tomaszu Dziekońskim, b. rektorze, członku b. rady wychowania i t. d.

Wszystkie pisma warszawskie uznały za właściwe uczcić pamięć ś. p. Tomasza szerszém wspomnieniem, na które ów nestor pedagogów naszych niezwykle sobie zasłużył. Niech nam wolno będzie dorzucić w tém miejscu słów jeszcze kilka, dotyczących męża, którego żywot splótł się jaknajściśléj z dziejami oświaty krajowéj w tym wieku i podnieść niektóre wspomnienia, w ścisłym z życiem ś. p. Dziekońskiego będące związku. Wszakże każdy szczegół, odnoszący się do dziejów wychowania narodowego, uronionym być nie powinien, zwłaszcza téż u nas, gdzie sprawa oświaty tylu uległa przeobrażeniom i gdzie pojęcia o wychowaniu młodego pokolenia w samych rodzinach tak często są błędne, a nierzadko téż w praktyczném zastosowaniu do smutnych doprowadzają zawodów.

Oddając niniejszém hołd nasz ś. p. Dziekońskiemu, pragniemy w jego osobie uczcić równocześnie nauczycielskie powołanie, które przez zmarłego tak zacnie było przedstawione, a które w obec trudnych losu kolei, z niém ściśle splecionych, na najwyższe uznanie i na powszechny zasługuje szacunek i zachętę.

Szczegóły życia ś. p. Tomasza znane są z pism codziennych warszawskich. Z nich dowiadujemy się, że urodził się w Łomży w d. 29 grudnia 1790 r., że tam odbył nauki w szkołach ks. Pijarów, że w roku 1807 wszedł do tego zgromadzenia, czasowo żadnemi nie związawszy się ślubami.

Z owych zaczątków nauczycielskiego zawodu ś. p. Dziekońskiego, jeden z ówczesnych jego uczniów, dziś sędziwy p. C. następujący charakterystyczny udziela nam szczegół, który mniemamy, że z wielu względów na dosłowne zasługuje powtórzenie:

„Osobiście znałem ze szkół ks. Pijarów warszawskich, pisze p. C., ś. p. Dziekońskiego, który jako wówczas należący do tego zgromadzenia, był w tych szkołach nauczycielem i dawał lekcye w klassach niższych, do których i ja chodziłem. Był on względem uczniów łagodnym, ale czasami dosyć ostrym. Zwykle pod sutanną nosił dyscyplinę

bo ten środek w szkołach był wtedy w użyciu. Pamiętam, jak wykładając lekcyę języka polskiego, wyrwawszy jednego ucznia, posłyszał, że tenże źle wymawiał literę *l*, bo ją wymawiał przez *eu*. Dziekoński na to odezwał się temi, dotąd mi pamiętnemi słowy: „widzicie go, oto mi Beniaminek. Mama go wypieściła, wymuskała, a mówić nie nauczyła; pisz smarkaczu, co ci podyktuję—i podyktował mu:

„Sadło, masło, motowidło, spadło z pułki, stłukło sobie łeb."

„A powtórzywszy mu te wyrazy dobitnie, dobył z pod sutanny dyscyplinę i okazawszy mu ją zagroził, że dopóki nie nauczy się wymawiać litery *l* jak należy, dopóty na każdéj jego lekcyi po pięć plag otrzyma. Obyło się wszelako bez tego, bo ów uczeń na następnéj lekcyi literę *l* należycie już wymawiać umiał. Za autentyczność tego ręczę, mówi p. C., bo osobiście byłem tego faktu świadkiem, który głęboko rozumie się, utkwił w pamięci mojéj i kolegów moich."

Ś. p. Dziekoński był późniéj, jak dowiadujemy się z jego życiorysu, własną kreślonego ręką [1]) nauczycielem w Rydzyniu w Poznańskiém, poczém wystąpiwszy od ks. Pijarów, professorem w Toruniu, następnie w liceum warszawskiém. Lecz najświetniejszą zapewnie w zawodzie ś. p. Dziekońskiego była chwila, gdy w 1828 r. powołanym został na rektora świeżo otwartéj w Warszawie na Lesznie w pałacu Działyńskich szkoły praktyczno-pedagogicznéj, która do włącznie r. 1830 służyć mogła w istocie za wzór doskonale prowadzonéj *szkoły 6-cioklasowéj*. Nosiła ona nazwę praktyczno-pedagogicznéj dlatego, że w niéj młodzież, wychodząca z uniwersytetu warszawskiego, sposobić się miała praktycznie do zawodu nauczycielskiego, pod okiem doświadczeńszych i wytrawnych już professorów, na czele których stojący ś. p. Dziekoński, niewątpliwie był mistrzem niezrównanym. Tam znaliśmy go i oceniać nauczyli. W owychto szczególniéj latach ś. p. Dziekoński potrafił zaszczepić w licznem kole młodzi, do téj szkoły uczęszczającéj, dozgonną dla siebie wdzięczność i nie wygasłą pamięć.

Ogół téż professorów w téj szkole ożywiony był niezwykłym zapałem, a ś. p. Dziekoński przewodził im z taką dystynkcyą, powagą, taktem, energią i znajomością głęboką serc i umysłów młodocianych, że wyznajemy szczerze, iż tych wszystkich przymiotów, zebranych razem w jednéj osobie, obok gruntownéj nauki i wielkiéj umiejętności wykładu, w przełożonym zakładu naukowego nie łatwo napotkać. Był to w istocie, jak się dobrze wyraziło jedno z pism warszawskich, nauczyciel-obywatel, który poza szkolnemi formułkami, szeroko i z wysoka ogarniał ważność swojego stanowiska i w całém tego słowa znaczeniu umiał mu sprostać. Sposób swój widzenia przelewał on na całe grono otaczających go nauczycieli. W rodzicach i opiekunach powierzających mu młodzież, budził on bez granic zaufanie. Liczni ówcześni dygnitarze, często odwiedzający z ciekawością zakład świeżo otwarty, odznaczali ś. p. rektora szczególném poszanowaniem, które on téż w każdym dla siebie wzbudzić umiał. Młodzież kochała go jak

[1]) Kuryer Codzienny Nr. 110 z r. b.

ojca: a przecież był to rektor w karności umiejący trzymać wszystkie klassy swéj szkoły. Oblicze jego nosiło na sobie cechę powagi i jakoby surowości, poza którą wszelako zawsze wyczytać było można pełną dobroci skłonność i do wesołego humoru i pożartowania z młodzieżą, którą prawdziwie ojcowską otaczał miłością. Już blizko połowa dochodzi wieku, a wyraz tego zacnego i typowego wśród młodzieży szkolnéj oblicza, żywo stoi nam przed oczyma.

Prefektem téj szkoły był zgasły przed laty kilku, znany w Warszawie opiekun ubogich ks. Gołembowski. Najbardziéj odznaczającemi się professorami byli z nieżyjących już niepospolity filolog Szwajuic, Palicki, Kopytowski, Kozłowski, z żyjących Rogiński, Antoni Waga, Stręczyński, Smardzewski, Czajewicz. Te słów kilka piszemy pod wrażeniem chwil, spędzonych w téj szkole w klasie V i VI-éj w roku 1829 i 1830. W piérwszéj ławce siedzieliśmy wraz z Augustem Cieszkowskim, Aleksandrem Kurtzem i Feliksem Zielińskim, założycielami Biblioteki Warszawskiéj, do któréj wspomnienie to przesłać postanowiliśmy.

Ś. p. Dziekoński wykładał w klassach wyższych literaturę polską. Wykład jego był bardzo zajmujący, gruntowny i urozmaicony. Sam pisał jasno i potoczysto.

Niepodobna nam pominąć tutaj jednéj nader dramatycznéj w życiu ś. p. Dziekońskiego przygody, któréj byliśmy świadkiem naocznym. Ś. p. rektor miał dwóch synów, z których starszy Józef był w drugiéj połowie r. 1830 drugoletnim uczniem klassy VI-éj. Zdolny i bystry, prześcignął był jednakże wszystkich kolegów w psotach i figlach studenckich. Rzeczy w późnéj jesieni r. 1830 doszły do tego stopnia, że postanowiono stanowczo go ze szkół wydalić i ojciec rektor przyszedł osobiście oświadczyć to zebranéj klassie.

Łatwo pojąć, jaka to walka odbywać się musiała w duszy tego czcigodnego człowieka, który względy ojcostwa poświęcał spełnieniu obowiązku rektora. Uroczyste prośby kolegow syna długo nie podołały przebłagać surowego rektora, który w końcu jednakże w najwyższém rozczuleniu uległ usilnym naleganiom całéj klassy, zkądinąd figlarnego Józefa niezmiernie kochającéj.

Mniemamy, że z rokiem 1830 skończyły się najświetniejsze i najmilsze w zawodzie ś. p. Dziekońskiego wspomnienia. Nie przestaje on wszelako dalćj być czynnym, aż do r. 1839, na posadach dyrektora gimnazyum na Lesznie, a następnie gimnazyum w b. pałacu Kazimirowskim.

Z owych czasów, o ile zasłyszeliśmy, były chwile w których robiono ś. p. Dziekońskiemu zarzuty zbytecznéj jakoby surowości z młodzieżą. Nie znane nam są bliższe szczegóły ówczesnego życia jego; mniemamy jednakże, że nie mogą one rzucać jakiegokolwiekbądź cieniu na pełną zasług osobistość ś. p. Dziekońskiego, który dobrowolnie bez żadnych widoków, opuścił zbyt wcześnie swój zawód, aby zdala od świata, przy skromnych funduszach oddać się licznym pracom literackim, oryginalnym i tłumaczonym.

W roku 1863 spotykamy sędziwego już ś. p. Dziekońskiego w radzie wychowania publicznego, w któréj pracach aż do czasu jéj rozwiązania przyjmuje udział. Nie był to już wszelako ów pełen życia i bystrości rektor szkoły praktyczno-pedagogicznéj. Wiek, ciężkie przejścia rodzinne—przeżył bowiem ukochaną żonę i obu synów—tyloletnia praca, nakoniec różne okoliczności na przebieg jego zawodu oddziaływające, podkopały były nie pomału tę niepospolitą wśród pedagogów naszych osobistość, którą pomimo to, dla znających bliżéj jego przeszłości kolegów w radzie, nie przestawała otaczać świetna aureola obywatelskiéj zasługi. Mniemamy, że obowiązkiem jest uczniów jego uczcić pamięć zmarłego stosownym na jego grobie pomnikiem.

A. G.

PAMIĘTNIK Z POBYTU W AMERYCE.

PRZEZ

Krystynę Narbuttównę.

(Dalszy ciąg).

IV.

Washington 15 stycznia. Już od Bożego Narodzenia, powietrze zaczęło być coraz ostrzejsze i zadziwiająco zmienne; tak, że tego samego dnia z rana miewamy często zimno przejmujące a wieczorem ciepło duszne. Pomimo że Washington położony jest pod tym samym stopniem geograficznym co Neapol, jednakże mrozy dochodzą tu często do dziesięciu stopni; już kilka razy mieliśmy nawet śnieg dosyć obfity; nie długo trwał wprawdzie, ale i z tych kilku dni jego trwania sportsmeni miejscy korzystali i szlichtady używano z zapałém, zwłaszcza na Penzylwania-avenue, która jest tém w Washingtonie, czém Krakowskie-Przedmieście w Warszawie.

Washington, jakkolwiek od lat kilkudziesięciu istnieje i jest stolicą Stanów Zjednoczonych, jednak w ostatnich czasach dopiero zaczął się wznosić raptownie, i niema roku, ażeby jakaś zupełnie nowa dzielnica mu nie przybyła. Powodem do tego jak zawsze, są pewne kombinacye przemysłowe i kilka linii kolejowych swieżo przeprowadzonych. Zapewne żaden z naszych budowniczych, uwierzyćby nie chciał, że tutaj dom drewniany staje gotowy w przeciągu dwóch dni, a murowany w przeciągu dziesięciu; a jednak właśnie świeżo miałam tego przykład przed oczami, i patrzyłam jak naprzeciw moich okien stawiano dom, rozpoczynając od fundamentów, a w tydzień stał

już dachem pokryty. Szczegółowe wykończanie z równą szybkością postępuje i zwykle miesiąc czasu wystarcza, ażeby na placu, przedtém pustym i zarosłym chwastem, stanął dom całkowicie wykończony; otoczony ładnemi żelaznemi lub kamiennemi sztachetami, z zaprowadzonym gazem, wodociągiem i już zamieszkały.

Wprawdzie, walące się częstokroć domy zupełnie nowe, nie dowodzą, ażeby ten sposób budowania był trwały; jednak tu o to nikt się nie troszczy, bo domy tu najczęściéj budowanę są przez przemysłowców, którzy zakupują plac, stawiają na nim kilka domów, które potém częściowo sprzedają. Żaden zaś ojciec gdy stawia dom dla siebie, nie kłopocze się wcale, czy synowi swemu dom lub gruzy tylko zostawi, stosując się w tém do zasady swego społeczeństwa: iż każde pokolenie, tylko dla siebie obowiązane jest pracować, przyszłość zaś, do przyszłych ludzi należy.

Washington niedługo zapewne będzie dość piękném miastem; domy ozdobne, ulice szerokie, wylane asfaltem, lub wyłożone drewnianym brukiem, chodniki wyłożone cegłą, obszerne i obsadzone drzewami, które dziś jeszcze młode, ale przy szybkiéj wegetacyi tutejszéj, wkrótce cieniem swoim chronić będą przechodniów od palących promieni słonecznych. Pomimo to wszystko jednak, ma i miéć będzie zawsze charakter monotonny w skutek zawsze téj saméj reguły kwadratów; przyjętéj, jak to już wspomniałam, we wszystkich miastach Stanów-Zjednoczonych, według któréj formują się ulice, tak jedna do drugiéj podobne, że je odróżnić trudno. Mają tu nadzwyczaj praktyczny sposób podziału mieszkań. Ponieważ domy, jak przed chwilą wspomnieliśmy, budowane są przez przemysłowców; ci zakupują więc pewną ilość placu i budują na nim gmach, dosyć okazały, jedno lub dwupiętrowy, dzieląc go na kilka, lub kilkanaście domów, grubą ścianą, jeden od drugiego odłączonych, zajmujących przestrzeń nie szerszą nad dwa lub trzy okna, a mieszczących w sobie wszystko co do wygody i pomieszczenia jednéj rodziny potrzebne. Tym sposobém nabywca lub lokator takiego domu, jest wyłącznym jego właścicielem i niepotrzebuje miéć żadnych stosunków z sąsiadami. Urządzenie takie jest tu koniecznem, ze względu na to, że w tym tłumie, jaki tu jest, rozmaitych klass i sfer towarzyskich, które wszechwładny dolar stawia na równi, często bardzo wszelkie bliższe stosunki sąsiedzkie byłyby do niezniesienia uciążliwe. Żaden dom tutejszy nie ma bramy wjazdowéj, a osobne ganki wchodowe nadają całéj budowie pozór oryginalny i wcale ładny. Każdy gmach taki, cofnięty jest o kilka łokci od trotuaru, od którego oddziela się nizką sztachetą żelazną lub kamienną; w ten sposób, że każdy właściciel ma przed swoim domem ładny taras, który zwykle ozdobiony jest bardzo gustownie kwiatami. Wewnętrzne rozporządzenię domu, z małemi odmianami jest takie: dół albo tak zwany besment, to jest suterenę zajmuje sala jadalna i kuchnia; pierwsze piętro, tak zwany parloir, czyli salon do przyjmowania gości; wyższe zaś piętra, pokoje sypialne

i mieszkalne całéj rodziny. Jeżeli umeblowanie pokojów, zwłaszcza salonu, przesadzone pretensyonalnie, z wytężeniem na efekt, niezadowalnia wykształconego europejskiego smaku; to jednak wzorowa czystość jaką się odznaczają mieszkania Amerykanów, wiele rzeczy wybaczyć każe.

Parloir w domu amerykańskim jest gruntem neutralnym całego domu, na którym równe i niezaprzeczone mają prawa wszyscy członkowie rodziny. Zwyczajem jest tutaj, że jeżeli się przychodzi z wizytą, służącemu otwierającemu drzwi, wymienić potrzeba osobę którą się chce widzieć, a ta przychodzi do parloiru i przyjmuje swego gościa. Tym sposobem można długo bywać w jakimś domu i oprócz téj jednéj osoby nie znać nikogo z rodziny. Według tego zwyczaju, żona nie zna gości swojego męża; mężowi obce są stosunki towarzyskie i znajomości żony; a matka, nie interesuje się wcale i nie wié prawie, kogo przyjmuje i z kim i jakie stosunki ma jéj córka. Tutaj młoda, zaledwie wyszła z dzieciństwa panienka, zabiera jakie się podoba znajomości ze zwykłą temu wiekowi lekkomyślnością, bierze pierwsze lepsze; a nikt się jéj w tém nie opiera, ani też przewodniczy. Zwyczajem jest, że młoda panna przyjmuje wizyty mężczyzn, którzy nigdy w życiu jéj rodziców mogli nie widzieć; idzie z nimi na spacer, układa plany wspólnych rozrywek; z wybranym idzie do teatru, na wieczór tańcujący, lub na bal publiczny. Wszelkie bale i wieczory tańcujące tutaj, dziwnie ujemne robią wrażenie na świeżo przybyłym nieobytym ze zwyczajami krajowemi. Ponieważ nie jest przyjętém ażeby kobiety starsze, poważniejsze bywały na takich nawet prywatnych zebraniach a zatém całe towarzystwo złożone jest tylko z młodzieży płci obojéj; płochéj, lekkomyślnéj, która, cała oddana zabawie, z właściwą tutaj bezżeną i zupełną swobodą, nie krępuje się bynajmniéj koniecznemi gdzieindziéj formami. Młode panienki, do sali balowéj nie wchodzą jak u nas, pod opieką matki, poważnéj matrony, która majestatyczną powagą swoją osłania młode dziewczę i nakazuje dla niéj poszanowanie. Nie obaczysz tutaj tych wszystkich prezentacyi, pełnéj uszanowania grzeczności i tego całego szyku, eleganckiéj a przyzwoitéj maniery, które u nas stanowią główną ozdobę każdego takiego zebrania. Tutaj, młoda, ustrojona panna, śmiała, pewna siebie, wchodzi pod rękę z młodym chłopcem, który sam tylko na tę zabawę jéj towarzyszy. Zabawa rozpoczyna się bez żadnych wstępnych form i prezentacyi; każdy się bawi, jak i z kim mu weseléj. Mężczyzni prowadzą panny do bufetu; tam rozlega się śmiech, wesoła, głośna gawędka, gwar, brzęk wychylanych szklanek, (kieliszków Amerykanie nie używają), wszędzie rozchodzi się przykra woń whisky, krórym młodzi ludzie suto animuszu sobie dodają; słowem bal publiczny ma pozór podobny jak u nas ma zapewne, każdy balik kawalerski, zupełnie nieprzystępny dla kobiét przyzwoitych. Nawet co do tualety balowéj nie ma tu żadnéj przymusowéj formy; kobiéty ubierają się strojnie i według reguł balowych; ale to już z wła-

snego w strojach upodobania, które tu jest szczególniéj namiętne. Mężczyzni zaś przychodzą na bal, jak się któremu podoba; jedni więc tańczą we frakach, białych krawatach i rękawiczkach, a drudzy w tużurkach lub żakietach.

Kiedy razu jednego przypatrując się z galeryi, jednemu z najświetniejszych balów karnawałowych, zapytałam mojéj towarzyszki, czy te panie tak strojne, nie czują się obrażone, że mężczyzni tak się abnegują w ubraniu? odpowiedziała mi z zadziwieniem „a cóż to może obchodzić kobiety? to kraj wolny; wolno więc każdemu robić, jak mu się podoba.“

Karnawał wre w najlepsze; niema więc domu, ażeby nie było w nim kilka tłumnych zebrań, tak zwanych „partii“. Bywam często w pewnym domu, gdzie są dwie młode panny; tam téż dwa razy już uczestniczyłam na takich partyach: były to jak zawsze zebrania saméj młodzieży. Żadna matka nie przyszła razem z córką, pomimo dawnych między domami stosunków dobréj znajomości. Młode Miss przychodziły same ze swemi kawalerami, „beau“, starającemi się, czy assystentami, trudno to stanowczo określić; bo taki assystent a raczéj kochanek, nie zawsze jest jeszcze starającym się. Gospodyni domu, matka domowych panienek nie wychodziła wcale do parloiru, ale wysłała tylko przez służącą ciasto i jabłka, zwykłe i jedyne w takich razach poczęstne dla gości. Ponieważ ta pani jest polką i jestem z nią w stosunkach dobréj znajomości, zeszłam więc na dół i usiłowałam namówić ją, ażeby przyszła także do *parloiru* i chciała należeć do bawiącego się towarzystwa; lecz powiedziała mi, że byłoby to zupełnie przeciwném ogólnemu zwyczajowi. Ponieważ i mnie całe to towarzystwo więcéj raziło niżeli bawiło, i dość mi było tego czasu, jaki wśród niego spędziłam, ażeby doznać pewnego niesmaku; pozostałam więc na resztę wieczoru z panią T. a pijąc herbatę, rozmawiałyśmy o niektórych ekscentrycznych zwyczajach, jakie tu w życiu towarzyskiém są przyjęte, a które wiele bardzo zgubnych następstw za sobą prowadzą.

Pomiędzy innemi jest przyjętém, że młoda osoba, nietylko że ze swoim beau idzie na bal do teatru i inne tym podobne rozrywki, ale z nim razem robi wycieczki w bliższe i dalsze okolice kraju, czasem kilka dni, a czasem i kilka miesięcy trwające; nikt się temu nie sprzeciwia, a młoda kobiéta wychodząc z zasady koleżeństwa, robi, co jéj się podoba. Stosunek tych dwojga ludzi wychodzi wszakże po za obręb koleżeństwa, ale nie zawsze małżeństwem się kończy, a często się zdarza, że mężczyzna powraca sam, a kobiéta dobrawszy sobie jeszcze przyjemniejszego towarzysza, daléj podróż kontynuje. Pytałam pani T. czy to nie gubi ostatecznie w opinii osobę tak swobodnego postępowania; zapewniła mnie wszkże, że takie właśnie zwykle najlepiéj wychodzą za mąż, bo są zręczne i dobrze powiadomione ze środkami ujęcia sobie mężczyzny, a po naszemu mówiąc, że są najzręczniejszemi kokietkami, co, dziwna rzecz, tutaj najwięcéj szan-

sy kobiécie zapewnia. Uderzającém jest, że tu w zupełności opinia publiczna nie istnieje: nikt się nie będzie oburzał na jakiś czyn nieczysty, z największém pobłażaniem patrzą wszyscy na postępek, wykraczający przeciwko prawidłom sumienia lub honoru, z gotowém już tłumaczeniem, że każdy może robić, co mu się podoba, bo to kraj wolny, a wszystkim dany rozum i wola, niech się więc każdy strzeże, ażeby go nie oszukano. Te słowa *wolny kraj* (fry country) są w ustach wszystkich, gotowe do odparcia każdego w podobnym rodzaju zarzutu. Amerykanie najwyższą chlubę sobie robią z téj niczem nieskrępowanéj samowoli, ku któréj wszelkie dążenia są skierowane. Wszakże, patrząc na tę społeczność, jéj kierunek i rozprężenie, które się coraz gwałtowniéj w obyczaje wciska, przekonywamy się dowodnie, że tak bardzo nieograniczona swoboda, daje pochop namiętnościom, które wzburzone granic nie czują i w zupełny upadek społeczność tę ciągną, niszcząc do szczętu cnoty, które od wiek wieków były i będą podstawą każdego narodu. Że złe, które się dzisiaj wśród społeczności Stanów-Zjednoczonych tak wybitnie objawia, jest wynikiem li tylko tych wszystkich wybryków i mrzonek samowoli, najlepszy w tém mieć możemy dowód, że ta sama społeczność dawnéj o wiele odmienny miała charakter. Ludzie z epoki Washingtona i Franklina bylito obywatele prawi, zdolni do cnoty i ofiary; życie prywatne było nacechowane godnością i poszanowaniem tego, co uszanowaném być winno. Dziś nawet, ile razy zdarzyło mi się zbliżyć się do ludzi starszych wiekiem, zwłaszcza kobiét, widzę zawsze uderzającą różnicę, od całego nastroju kobiét młodszych, nowoczesnych, zgangrenowanych już do gruntu tą nieszczęsną mrzonką samowoli emancypacyjnéj. Starsze kobiéty tutejsze zachowały jeszcze ten urok powagi i godności, który młode pokolenie stara się jak najusilniéj i co najśpieszniéj zetrzeć z siebie. Żal tylko że te, co same znać inne zacniejsze miały dążenia i uczucia, nie miały jednak dość ugruntowanych zasad, na których mogłyby oprzeć wychowanie i kierunek córek swoich; że nie umiały im wpoić tak głęboko, ażeby byle świetnie błyszcząca zdaleka teoryjka wyrugować z serca nie mogła tego przekonania, że kobieta wtedy tylko jest człowiekem, kiedy jest kobietą. Ale taka potęga zasad nie wyrabia się w pierwszém pokoleniu; potrzeba, ażeby naród do takiéj siły wiekami postępujących po sobie pokoleń dochodził, potrzeba na to staréj, poczciwéj tradycyi, którąby pokolenie pokoleniu przekazywać mogło. Trudno więc mieć za złe Amerykanom starszéj generacyi, że na potęgę takiéj siły się nie zdobyły, one co téj tradycyi nie miały wcale.

Stan Massachusets, którego stolicą Boston, jest siedliskiem obywateli Stanów Zjednoczonych, którzy przedstawiają tam dość licznie jeszcze takie typy staréj daty. Są to powiększéj części ludzie już w drugiém lub trzeciém pokoleniu, bogaci, których ojcowie pewne zasługi dla kraju ponieśli, a w czasie wojny o niepodległość i krwi swojéj dla niego utoczyli. Ofiara ta stała się chryzmatem dla dzieci

i wnuków. W Massachusets światła naukowego jest więcéj, niżeli gdziekolwiek w Stanach Zjednoczonych. Zakłady naukowe obsadzone najlepszymi, jakich tu mieć można, professorami. Wielu też z tamtejszych obywateli, wysyła dzieci na naukę do Europy. W ogólności Amerykanie, których widujemy u nas, po większéj części pochodzą z téj części kraju. W Bostonie jest już zawiązek towarzystwa naukowego, które krząta się dosyć pilnie, nie szczędząc i kosztów około gromadzenia materyałów, do rozszerzenia wiedzy potrzebnych. Tam też i literatura krajowa ma swoje główne ognisko. Słowem, jestto jedyna część kraju, do którego prawdziwa cywilizacya ma przystęp ułatwiony. Szkoda tylko, że i w tym zakątku kraju, emancypacya kobiet robi wyłom w poważnych obyczajach, które dotąd zdołały się tam jeszcze przechować. Mnóstwo młodych panien, uczęszczających do uniwersytetu Bostońskiego, tak dalece posuwają ekscentryczność, dążąc do najzupełniejszego równouprawnienia z kolegami płci męzkiéj, że dla ostatecznego zniwelowania wszelkiéj różnicy, przyjęły strój męzki, i tak ukostiumowane wspólnie z kolegami, uczęszczają do wszystkich miejsc publicznych: knajp i tym podobnych.

Zwolennice takiego postępowania, tworzą osobne stowarzyszenie pod nazwą Blumerystek; dążeniem jego jest zupełne porównanie wszelkich praw, tak ogólnych jak indywidualnych, w życiu publiczném i prywatném, porównanie w całéj rozciągłości tego wyrazu.

Pomimo, że ekscentryczność tego stowarzyszenia do najwyższych potwornych krańców dochodzi; mówiono mi, że wszakże szerzy się z dziwną szybkością. Niewięcéj jak lat kilka temu, mówiono tu o tém jak o pojawieniu się nowatorstwa, przez wyjątkowe zaledwie osobistości przedstawionego. A jak mi mówił pan K., o którym już wspominałam, ponieważ tutaj o różnorodne nowatorstwa i stowarzyszenia nie trudno, mało więc kto zwracał uwagę na to nowe dziwactwo. Dziś wszakże to stowarzyszenie Blumerystek tak wzrosło, że niema miasta prawie, któreby nie miało kilkudziesięciu, kilkunastu, lub kilku przynajmniéj gorących propagatorek związku. A jeżeli nie przeciągnęły dotąd większéj jeszcz liczby kobiét, to tylko dlatego, że pierwszym warunkiem i koniecznie obowiązującym, przystępujących do związku, jest przyjęcie ubrania męzkiego. Amerykanki zanadto zamiłowane są w stroju, ażeby tak łatwo wyrzec się go mogły i przyjąć prostą odzież męzką, z którą nie wszystkim do twarzy być może.

25 stycznia. Wieczór wczorajszy spędziłam w towarzystwie polskiém, samych wychodźców, co już od kilkunastu a niektórzy i kilkudziesięciu lat osiadłemi są obywatelami Stanów Zjednoczonych. Wszyscy najdokładniéj powiadomieni są ze wszystkiém co się tyczy tego kraju, mówili mi więc wiele nowych a ciekawych rzeczy. Głównym wszakże przedmiotem rozmowy była ostatnia wojna domowa, znana pod nazwą wojny o uwolnienie murzynów, która w Europie zjednała ogólną sympatyą dla Amerykanów i Stany Zje-

dnoczone postawiła na zaszczytném stanowisku wśród krajów cywilizowanych.

Nie chciałabym wydzierać złudzeń w téj mierze tym, co je dotąd mieli; ale w skutek postanowienia jakie zrobiłam, ażeby w niniejszém piśmie mojém dawać o wszystkiém, co mi tu pod oczy podpada, sprawozdanie jak najsprawiedliwsze, nie mogę przeto zamilczeć wyjaśnienia, jakie w kwestyi téj wojny dali mi ci, co w téj wojnie sami czynny udział brali, jedni jako szeregowi, lub oficerowie, inni znowu jako liweranci i werbownicy. Być może, że u nas mała tylko liczba osób, z tych co specyalnie oddają się śledzeniu spraw politycznych obcych krajów, wié o tém, że ostatnia wojna domowa Ameryki Północnéj, nie same tylko filantropijne miała pobudki. Głównym do niéj powodem było współzawodnictwo o przewagę Stanów Północnych z Południowemi. Północne na których rozsiadły się największe miasta Ameryki, bogate w ludność, kapitały i przemysł, zapragnęły przewagi nad Południowemi, które ze swéj strony potężne były obszarem swojego terytoryum, bogactwem produktów i tłumami czarnych niewolników. Odjąć niewolników południowcóm, to było ich osłabić. Ztąd powstała pierwsza myśl uwolnienia czarnych; wnioskowi temu, południowcy stanowczą postawili opozycyę na kongresie, a z opozycyi wynikła tak krwawa i zajadła walka, na jaką zdobyć się mogły tylko gwałtownie wzburzone namiętności i zapamiętały antagonizm, pod którego wpływem zostawały obie zarówno strony.

Nie będę tu przytaczać szczegółów, które mi opowiadano, tyczących się téj wojny; kosztem najstraszliwszéj rzezi i bezwzględnego łupieztwa, przeciąganéj długie pięć lat, przez tych, co znajdywali tysiączne zręczności robienia na niéj dla siebie fortuny. Jedném słowem, była to, jak się wyraził jeden z naocznych jéj świadków, „najznakomitsza złodziejska antrepryza, jaką kiedykolwiek widziano.“

Nacisnąć wszakże na to potrzeba, że wojna ta, stanowczo i przeważnie wpłynęła na zdemoralizowanie tutejszéj społeczności. Przez pięć lat wśród mordów i rabunku wojny domowéj, przyzwyczajano się do tego, ażeby stłumiwszy wszelkie szlachetne uczucia, po trupach braci iść po zdobycz na własną korzyść; ażeby szarpać na wszystkie strony własność cudzą i publiczną; by najważniejsza sprawa publiczna ustąpić była zmuszoną przed prywatnym interesem, który przedewszystkiém każdy miał na celu.

Przez pięć lat eksploatowano skarb narodowy w różnorodny sposób, a coraz bezczelniejszy. Było to obfite żniwo dla tych, co pragnęli łatwego a prędkiego dorobku; a tak to było powszechne, że starło zupełnie poczucie jakiegokolwiekbądź skrupułu.

Jeden z tych co mi o téj wojnie rozmaite szczegóły i system jéj administracyi opowiadali, dodał z całą naiwnością: „Dobre bo to były czasy, chyba już ktoś był bardzo niezręczny, jeżeli się niczego nie dorobił.

„Pieniądze płynęły jak woda, tylko je potrzeba było umieć pochwycić. Skarb wtedy był jeszcze bogaty; dawano pieniądze liwerantom naprzód, a zdając produkt, łatwo było, podzieliwszy się zyskiem z tym co go przyjmował, zbyć byle czém, i dzieląc się, we dwójnasób, ba! i więcéj, zarabiało się jeszcze. Ci, co się trudnili werbunkiem ochotników, brali na nich żołd bez kontroli; i można było brać go na pięćdziesięciu a czasem i stu, a mieć ich kilku zaledwie. Tłumaczenie było łatwe: druga strona zapłaciła im więcéj i zwerbowała do siebie. Opowiedziećby niepodobna wszystkich tych sposobów robienia pieniędzy, które każdy miał pod ręką.“ Gospodyni domu, dodała jeszcze: „Nie uwierzy pani, mówiła, jak to łatwo było przyjść do posiadania rzeczy kosztownych i pięknych; ja sama miałam, ten oto obok pokój, cały załadowany mnóstwem rzeczy, które przynosili mi oficerowie wychodzący z wojskiem, prosząc o przetrzymanie, dopóki nie wrócą. Były tam prześliczne aksamitne suknie, materye całemi sztukami, koronki, ogromnéj wartości biżuteryę, zegarki, srebra stołowe; wszystko to potém pozabierali napowrót, i sprzedawali za połowę wartości.“

Oto jest odwrotna strona medalu, który nam się niegdyś tak świetnym wydawał.

Nietrzeba wszakże sądzić, ażeby nie było tu już wcale takich, coby powodowani uczuciem ludzkości, czuwali nad kwestyą murzynów. Na czele takich stali prezydent Lincoln i senator Sumner; oba gorąco popierali myśl zniesienia niewoli. Senator Sumner znakomity mówca i człowiek prawdziwie rozumny, przy każdéj sposobności starał się przekonać współobywateli, że jeżeli ze względu na postęp cywilizacyi i rozwój uznania godności człowieczéj, dziś już niewola mieć miejsca nie może; to niemniéj także zniesioną być musi z powodów czysto politycznych. Forma rządu rzeczypospolitéj Stanów Zjednoczonych nigdy przez świat cały uznaną być niemoże, jeżeli w łonie swojém chować będzie taką sprzeczność, jaką w obec swobód rzeczypospolitéj konstytucyjnéj jest straszliwa niewola murzynów. Istotnie tymto zacnym obywatelom zawdzięczać należy, że wniosek równouprawnienia murzynów utrzymał się i przeprowadzony został w całéj rozciągłości: za gwałtownie może, ale zato radykalnie. Zagwałtownie powiadam, bo takie nagłe przeprowadzenie dwunastomilionowéj ludności w największéj ciemnocie pogrążonéj, ze stanu najhaniebniejszego poniżenia do stanowiska obywatela kraju, ze wszystkiemi tego stanowiska przywilejami; więc wolnego głosu, zasiadania w radzie i tym podobne, nie jedno złe na kierunek społeczny wywarło. Trudno bowiem wymagać, ażeby ci, którym przez tak długi czas, nie wolno było mieć się za ludzi, naraz poczuli w sobie godność człowieka. Pierwéj go zrobiono obywatelem, zanim mu dano poznać, co to jest być obywatelem kraju swego.

Pomimo tych wszystkich swobód, jakie otrzymali, murzyni nie zdołali jeszcze zetrzeć z siebie tego piętna spodlenia, które niewola,

a może niedawna jeszcze a wrodzona dzikość na nich wypiętnowała. Swieżo przybyły Europejczyk potrzebuje jakiegoś czasu, ażeby widok szkaradnéj, dzikiéj a bezmyślnej fizyognomii murzyna nie robił na nim przykrego wrażenia. Wstręt ten jest poniekąd usprawiedliwiony tém, że im się bliżéj temu narodowi przypatruje, tém dokładniéj się przekonać potrzeba, jak dalece odarty jest z uczuć ludzkich i jak zakorzenione, a może nawet wrodzone są w nim, złe skłonności, których ani okoliczności ani pewne nawet wykształcenie zetrzeć nie mogą. Pomimo, że w ostatniej wojnie, któréj rezultatem murzyni swoją swobodę otrzymali; Amerykanie ponieśli ciężkie ofiary, które dotąd jeszcze uczuć się dają; czarni nietylko że żadnéj wdzięczności dla swych wybawców nie czują, ale są skrycie zajadłemi wrogami białych. Nienawiść ta z czasem wybuchnąć może w strasznéj i zawziętéj walce, którą już dziś wielu przewiduje; i skutkiem tego, głębiej myślący obywatele, utworzyli prywatne towarzystwo, mające na celu wysyłanie murzynów do Afryki kosztem towarzystwa.

Brak jednak rąk roboczych, który się i dziś czuć daje, opóźnić musi wykonanie zamiaru pozbycia się czarnych, w końcu wątpić należy, czy ten zamiar mógłby nawet kiedykolwiek przyjść do skutku; bo murzyni stawszy się wolnymi obywatelami Stanów, radzi są z obecnego położenia swego i niechętnie słuchają tych, co ich do emigrowania namawiają. Na całéj przestrzeni Stanów Zjednoczonych, już tylko około miliona Indyan czerwonych liczą zaledwie. Nieszczęśliwy ten naród, skazany jest na zupełne wyniszczenie, ku czemu rząd Stanów dąży systematycznie. Wprawdzie niewygodni to z nich sąsiedzi; bo większość pokoleń indyjskich pozostaje ciągle w stanie napół dzikim, lub dzikim zupełnie. Trudnią się często rozbojem i łupieztwem i straszną są plagą dla okolicznych cywilizowanych kolonii. Ale wyznać potrzeba, że i ci niby cywilizowani, najczęściéj zdzierstwem, oszustwem, a nierzadko i morderstwem, sami bywają powodem do tego, że ciemny i dziki wojownik czerwony, mści się krwawo za swoją krzywdę. Ztąd nieskończone zatargi, co zwykle kończą się wyniszczeniem pokolenia, za współudziałem siły zbrojnéj rządu, który czuje się w obowiązku osłaniać swoich obywateli.

Amerykanie obwiniają Indyan, że się nie cywilizują; lecz uderzywszy się w piersi, wyznać powinni, że nikt tu nie myśli o tém, ażeby światło cywilizacyi wnieść do wigwamu Indyanina. Ze strony cywilizowanych niema żadnego usiłowania ażeby przyciągnąć ku sobie ciemnych swych braci i złagodzić ich obyczaje, dając im przykład miłości chrześcijańskiej. Rząd Stanów, chcąc o ile można usunąć Indyan z ziem białemi już osiedlonych, wyznaczył ogromną przestrzeń ziemi, nazwanéj Terrytoryum Indyan i tam powoli stara się gromadzić wszystkie pokolenia, rozrzucone dawniéj po całéj przestrzeni Stanów; dokonywa tego, za pomocą dobrowolnych układów i zamian. System ten możeby przyniósł z czasem dobre rezultaty, gdyby nie to, że i tu psuje wszystko zdzierstwo prywatnych osób.

Rząd Washingtoński, układając się z Indyanami o zamianę, obowiązuje się zwykle płacić im pewną daninę produktami żywności, co daleko więcéj znaczy dla czerwonych, niżeli ziemia, z któréj, jako nie trudniący się wcale rolnictwem, nie wielkie korzyści wyciągnąćby mogli. Dostawa umówionéj daniny dokonywa się, jak wszystko tutaj, przez prywatnych przedsiębiorców; ci zaś, nie poprzestając na godziwych ztąd zyskach, tysiączne robią malwersacye: zakupują zwykle w portach, zadarmo prawie, żywność napół zgniłą, którą kapitanowie okrętów wyrzucają, jako niezdatną do użycia i tém zbywają Indyan; ztąd nieustanne zatargi, bo czerwoni oburzeni, zrywają układy i napadając na sąsiednie kolonie, usiłują pomścić się krzywdy i straty swoje powetować. Charakter Indyan jest zawsze ten sam, dumny, wyniosły, nieugięty, ale pomimo dzikości ma pewne odcienia szlachetne, bardzo wybitne.

Czerwony wojownik, o ile nienawidzi Jankesów i Anglików, o tyle znowu szczególną ma słabość dla Francuzów; Francuz gdy wejdzie do wsi indyjskiéj, jest tam najmilszym gościem i robi z Indyanami co zechce, stając się dla nich prawdziwą wyrocznią; rząd téż zwykle, w najzawilszych kwestyach używa Francuzów jako pośredników.

Sympatya ta nie jest bezzasadną i datuje się od dawnych czasów, kiedy Ameryka Północna zostawała jeszcze pod panowaniem francuzkiém. Prawy i szlachetny charakter narodu francuzkiego i prawdziwie chrześciańskie ciepło jego katolicyzmu, wywierało dziwnie łagodzący i zbawienny wpływ na dzikich Indyan, a wpływ ten musiał w bardzo błogi sposób dawać się im uczuć, kiedy pamięć jego, przez tyle pokoleń dotąd przechowali.

W czasie kongresu, rozmaite plemiona indyjskie wysyłają do Washingtonu delegacye, tak dla zawierania układów, jako téż zanosząc tysiączne skargi i prośby o sprawiedliwość.

Delegacye takie składają się z kilkunastu a czasem i kilkudziesięciu osób; kobiety towarzyszą mężczyznom w nadziei otrzymania podarków. Lud to okazały, ogromnego wzrostu, atletycznéj budowy, rysów niepięknych, ale wyrazistych, cała powierzchowność dziwnie poważna i imponująca. Strój zachowują najczęściej swój właściwy, składający się z koszuli przepasanéj w pasie, kołdry wełnianej kolorowéj, zawieszonéj na ramionach w kształcie togi, mokasiny okrywają nogi do kolan, na głowie strój z piór jaskrawych, za pasem rewolwer, na plecach strzelba, w ręku tomahawk; wszystko to razem robi efekt malowniczy i charakterystyczny.

Niesłusznie poczęści, Amerykanie robią zarzut, że Indyanie, zupełnie nie są przystępni dla cywilizacyi, bo jednak pomimo, że jak piszemy, nikt nie usiłuje ich cywilizować, niektóre plemiona, które w spokojniejszych i szczęśliwszych znajdują się warunkach, straciły już dużo z dawnéj swojéj dzikości i idą ciągle, chociaż wolnym krokiém, po drodze postępu. Plemie Czerokezów, na czele takich stoi

i organizuje swój rząd na wzór Washingtońskiego, ma swoję szkołę, swoję gazetę nawet. Czerokezy trudnią się rolnictwem, przemysłem i w przyjaznych pozostają stosunkach ze swemi białemi sąsiadami. Dowód więc jasny, że gdyby pracować chciano nad rozszerzeniem cywilizacyi wśród tego narodu, Indyanie amerykańscy stanąćby mogli zarówno z innemi w szeregu cywilizowanéj ludności, tém łatwiéj, że dopomogłyby w tém niepomału ich znakomite zdolności umysłowe, którémi się odznaczają, obdarzeni z natury, jak wiadomo, zadziwiającą przenikliwością i sprytem, przy wrodzonym charakterze poważnym a głębokim.

V.

W lutym. Wieczór się zbliża, wicher gwałtowny wyje i szumi, a wznosząc tumany śniegu tłucze o szyby; białe obłoki mkną szybko ku wschodowi, jakby tam daleko po za oceanem biegły szukać spokoju, wytchnienia i umiarkowańszéj atmosfery. Myśli moje lecą za niemi i jabym téż chciała na skrzydłach wiatru przenieść się w świat stary, gdzie ludzie wolniéj do celu dążą, gdzie namiętności nie tak wzburzone. Ale któż wié, czy Bóg mi pozwoli jeszcze ucieszyć serce wśród swoich, odetchnąć powietrzem rodzinnego kraju! Czy przebędę szczęśliwie przestrzeń, dzielącą mnie od niego? Niema dnia, żeby dzienniki marynarskie nie ogłaszały przerażających katastrof, co chwila straszliwe burze się srożą a ocean setki ofiar pochłania.

Kilka tygodni temu, przepyszny passażerski parowiec linii Transatlantyckiéj (Ville de Havre) stał w porcie New-Yorku; mnóstwo osób biegło do przystani obejrzeć to arcydzieło sztuki marynarskiéj, wykończone bez zarzutu, tak pod względem mechaniki, jako téż wyszukanéj wygody, elegancyi i gustu. Wesoło w tym roku bawiono się w New-Port, gdzie morskie kąpiele ściągnęły kwiat Bostońskiego towarzystwa i rodziny europejskich ambasadorów. Amerykanie bawić się lubią, a że to wszystko byli ludzie bogaci, którym o środki do wesołych rozrywek nie było trudno, a w dodatku kilka pięknych i poważnych panien na wydaniu animowało obecną tam młodzież męzką, do ożenku gotową; więc całe rozbawione towarzystwo ani się spostrzegło, kiedy zbiegły skwarne miesiące a rozpoczynające się lato indyjskie przypominać zaczęło, że nadeszła pora rozjeżdżania się do domów. Najweselsi z wesołych, nie mogli się zdecydować na to, ażeby już ostatecznie zakończyć szereg wesołych zabaw; zebrawszy się więc liczném gronem na lunch [1]) pożegnalny, postanowili razem, tłumnie pojechać na zimę do Paryża i tam nanowo rzucić się w wir wesołéj zabawy. Uradzono i zrobiono; a każdy co rychléj pospieszył do domu, ażeby naprędce się rozporządzić, i na umówiony dzień wszyscy znaleźli się w New-Yorku a tak punktualnie, że nikogo na apel nie brakło.

[1]) Śniadanie.

Za kilka dni Ville de Havre odpływał do Francyi, nie było nawet o czém debatować; zakupiono kilkadziesiąt biletów piérwszéj klassy pysznego parowca i całe wesołe towarzystwo rozpromienione nadzieją przyszłych uciech, wśród śmiechu i gwaru weszło na pokład, a w kilka godzin potém stracili z oczu brzegi Ameryki, marząc o świetnościach Paryża, stolicy elegancyi i mody.

Czwartego dnia podróży, zerwał się orkan gwałtowny, wzburzyły się fale oceanu i tłukły wściekle o boki okrętu, ale dumny siłą swoją parowiec hardo stawił czoło wściekłym bałwanom i pruł ich fale, zmierzając bez przerwy w raz obranym kierunku. W dali na horyzoncie od strony, zkąd coraz wzmagający się huragan dął rozszalały, ukazały się maszty żaglowego statku, a w kilka chwil potém patrzący z pokładu parowca ujrzeli niewielki dwumasztowy bryg, pchany ku nim gwałtownie potężną siłą wichru, co raz zawładnąwszy słabą nawą, zdawał się szydzić z usiłowań żeglarzy i parł ją naprzód o własnéj woli. Kilka minut czasu potrzeba tylko było, ażeby bezwiednie śmigający po oceanie bryg, znalazł się o kilkanaście węzłów tylko od Ville de Havre, pędząc na oślep prosto na niego; kapitan parowca zawołał przez tubę na żeglarzy brygu, ażeby się strzegli starcia, ale tamtym nie starczyło już czasu aby odpowiedzieć, że to nie jest w ich mocy. Odpowiedzią było uderzenie gwałtowne, a ze wszystkich piersi wydarł się krzyk straszny, okropny, ostatni krzyk żyjących; w chwilę potém przebity uderzeniem brygu, pyszny przed chwilą parowiec, w mgnieniu oka poszedł na dno, pogrążając ze sobą całą osadę; a kiedy w chwilę późniéj, żeglarze brygu, miotanego ciągle falami rozszalałego żywiołu, obejrzeli się poza siebie, obaczyli tylko w około piętrzące się bałwany, kryjące na wieki tych, którzy przed pół godziną jeszcze pełni nadziei i wesela, płynęli szukać nowych uciech, nowych rozkoszy. Wypadek ten przykre wywołał wrażenie. Wielu z tych, co tak okropną i niespodzianą śmierć ponieśli, miało w Washingtonie krewnych lub znajomych. Obwiniają tu kapitana, dowodzącego parowcem, o nieostrożność i zbyteczne lekceważenie niebezpieczeństwa, które w każdym razie groziło jednemu lub drugiemu z okrętów; być może, ale tymczasem nieszczęście się stało, oby przynajmniéj posłużyło innym za naukę!

Takto dziś jeszcze, podróżujący do Ameryki doznawać mogą silnych, aż nadto silnych wrażeń, ale niezupełnie może takich, jak sobie nieraz zapewne wyobraża wybierający się w tę podróż. Nie myśl, kochany czytelniku, ażebyś, przybywszy do Ameryki, mógł łatwo się spotkać z ową przepyszną i bogatą naturą, widzieć te lasy dziewicze, tak przerażająco piękne, a które tak malowniczo opisują nam podróżnicy i powieściopisarze europejscy. Ameryka Północna, ulegając pochodowi cywilizacyi, straciła już swój piérwotny charakter dziki, lecz potężny. Padły już pod toporem Jankesa odwieczne olbrzymie drzewa; zwierz dziki z przerażeniem słucha świstu nadbiegającéj lokomotywy, a czując zbliżającego się straszliwego przeciwnika,

z trwogą ucieka w głąb stepów Nebraski i Colorado, których nieprzebyte a jałowe pustynie zapewniają mu spokój na jakiś czas jeszcze.

Dziś w wygodnym wagonie przelatując szybko kraje Stanów Zjednoczonych, ujrzysz łany uprawnéj ziemi, fermy porządnie zbudowane, przypominające nasze polskie dwory; tam i owdzie sterczący wysoki komin buchający czarnym dymem, każe się domyślać, że jakiś przemysłowiec na miejscu, przerabia na towar, surowy produkt krajowy. A jeżeli gdzie w dali na boku obaczysz jeszcze zabytek dawnéj, groźnéj natury, najeżonéj skałami olbrzymich kształtów, to tylko dla tego, że białemu zdobywcy na drodze to nie stoi. Gdy plan nowéj kolei, tamtędy ją przeprowadzić każe, wnet runą te przedpotopowe głazy, lub wnętrze ich tunelem przewiercone zostanie, a kłęby pary, zmyją z nich szron wieków, którym dotąd nakazująco imponują. Już ciągle wyzyskiwana natura, nie jest w stanie wysilać się na owe dziwotwory, które tak słusznie podziwieniem jéj badaczów bywały. Rząd Stanów Zjednoczonych, widząc to niczém niepohamowane wyzyskiwanie i zniszczenie przyrody, chce przechować przynajmniéj pamiątki tego bogactwa; nabywa więc na własność skarbu, wszystko cokolwiek jest bardziéj podziwienia godne i obszary ziemi odznaczające się szczególném bogactwem roślinności; tym sposobem w południowéj Kalifornii i południowéj Florydzie są jeszcze zabytki lasów dziewiczych, troskliwie od zagłady strzeżone. Ciekawy podróżny zwiedza je, jak ogród botaniczny, już po ubitéj drodze i w wygodnym powozie, a patrząc z podziwieniem i żalem na te świetne szczątki, z oburzeniem pyta sam siebie: ażaliż wyniszczenie takie, bogactw pierwotnéj natury, czynem cywilizacyi zwać należy?

Miasto Washington ma swój ogród botaniczny, ale z zadziwieniem znalazłam, że bardzo ubogo przedstawia roślinność krajową; mówiono mi, że i tu chciwość prywatnych jest tego powodem, bo znaczne fundusze na ten cel ze skarbu przeznaczone, pozostają w ręku administratorów. Chociaż rząd Stanów, na sposób europejski, wydaje ogromne summy ze skarbu na rozmaite gmachy i instytucye; wszystko to wszakże bardzo nędznie jest utrzymane, bo wszystko się zawsze rozbija o niesumienność tych, którym są powierzone, a wyobrazić sobie trudno, jak bez najmniejszego skrupułu się to robi. Pokazywano mi budowy rządowe, na które dwie trzecie części wyłożonego ze skarbu kapitału, przeszły w ręce uzurpatorów. Jednym ze znakomitych pomników takiego nadużycia, jest gmach ratusza *City-Hall* w New-Yorku. Nie wymienię tu cyfry przywłaszczonéj summy, bo u nas nie chcianoby może nawet temu uwierzyć. Opinia publiczna nie karze wcale nadużyć podobnego rodzaju, owszem nawet z pewném poszanowaniem mówią tu o człowieku, co kosztem prywatnéj lub publicznéj własności umié zrobić fortunę: nazywają go *smart-gentlmen* t. j. zręczny człowiek. Takie pobłażanie jest powodem, że zepsucie szerzy się niczém niepowstrzymane i paraliżuje rozwój

sił wewnętrznych państwa, które tak podkopywane we wszystkich gałęziach swojéj ekonomii, nic prawdziwie gruntownego mieć nie może i na nic rachować nie jest w stanie.

Najokazalszym gmachem w całym kraju jest w Washingtonie gmach poświęcony obradom izby reprezentantów, senatu i rozmaitych innych komitetów (po naszemu ministeryów). Gmach ten nazywa się szumnie Kapitolem; cały z białego marmuru, obszerny, o dwóch skrzydłach; sam korpus zbudowany na wzór Panteonu paryzkiego z pięknym frontonem i wspaniałemi wschodami. Szkoda tylko, że wewnętrzne urządzenie gmachu nie odpowiada ani zewnętrznéj okazałości, ani poważnemu swemu przeznaczeniu. Korytarze wązkie i ciemne, sale nie dosyć obszerne i wysokie, nie ozdobione żadném arcydziełem sztuki, które w takiém miejscu koniecznemi byłyby, nie ma tam nic, coby prawdziwie zaimponować mogło. Amerykanie, zwłaszcza tacy, co nie wydalali się nigdy poza granicę Stanów Zjednoczonych, dumni są swoim Kapitolem i uważają go za istotne arcydzieło sztuki i gustu, a nad niektóremi mianowicie szczegółami unoszą się z ekstazą, przyjeżdżając z dalszych części kraju, by je obejrzéć; dla nas jednak Europejczyków, są to wszystko rzeczy bardzo zwyczajne, a patrząc na nie i widząc tę powszechną a tak łatwą admiracyę wołamy w myśli: jakże ten nowy świat, o wiele jeszcze jest cofnięty we wszystkiém od europejskiego postępu, jakże wiele jeszcze czasu upłynie, zanim zrównać się z nim potrafi, i czy się zrówna jeszcze kiedykolwiek? to wielkie pytanie!

Ludzkość starego świata powoli dąży, ale każdy jéj krok oparty na zdrowéj i silnéj podstawie, więc idzie śmiało a idzie prosto, nie błądząc, bo naprzód drogi sobie wytknęła. Nowego świata ludzie pędzą na oślep a sądząc z pośpiechu swego dążenia, myślą że lada chwila szczytu dosięgną; ale czyż wszystkie drogi do tegoż celu prowadzą? ta młoda, płocha społeczność idąc po bezdrożach, któż wié dokąd zajdzie? Długoż dostoi ten gmach ich bytu, który bez fundamentów budują?

Samo nazwanie Kapitolu, nie miłe robi wrażenie, trąci to straszną blagą; naród, co chce mieć swój Kapitol, powinien mieć także swoich Cyncynatów i Brutusów; a jakże zdobyć się na nich może społeczność, tak zgangrenowana na wskróś prywatą, jak społeczność Stanów Zjednoczonych.

Będąc piérwszy raz na galeryi w sali obrad, widziałam tam kilkunastu młodych chłopaków, od lat dwunastu do czternastu, przyzwoitéj powierzchowności, snać dzieci zamożnych rodziców, będących na ciągłéj posłudze obradujących, to roznosząc papiery, to przenosząc od jednego do drugiego kartki i piśmienne kumunikacye. Podobał mi się niezmiernie widok tych chłopców tak młodych, wprawiających się do posługi około spraw publicznych i najzupełniéj byłam pewna, że to jest rodzaj honorowéj służby; ale niestety! rozczarowano mię wkrótce, bo mi powiedziano, że to są miejsca wcale nie

honorowe, ale bardzo dobrze nawet płatne. Każdy z takich chłopców zarabia miesięcznie siedemdziesiąt pięć dolarów i zwykle reprezentanci i senatorowie swoich synów lub krewnych tam umieszczają. Kiedy przy téj zręczności, w czasie obiadu, opowiedziałam, że u nas do ostatnich czasów jeszcze na sejmach współobywatele z pomiędzy siebie wybierali urzędników, którzy bez żadnego wynagrodzenia o własnym koszcie swoje obowiązki pełnili; całe towarzystwo spojrzało na mnie z uśmiechem takiego niedowierzania, jakbym jakąś największą blagę powiedziała. To co znalazłam tutaj prawdziwie podziwienia godném, to wszelkie mechaniczne wynalazki, służące tak dla zastąpienia pracy rąk ludzkich, jako też ułatwienia i udogodnienia wszelkiego rodzaju; rozwój na tém polu dochodzi do najwyższego stopnia. Co chwila podziwiać potrzeba jakiś pomysł dziwnie trafny, a prosty częstokroć, który daje dowód gienialnego dowcipu. Ten duch wynalazku rozbudził się tu przeważnie od czasu ostatniéj wojny, kiedy dało się uczuć gwałtownie brak rąk pracujących; wtedy to i rząd tutejszy, zaczął usilnie protegować wszelkie odkrycia i pod tą osłoną, mechanika wynalazcza zaczęła coraz wyżéj postępować. Maszyny tu są zastosowane do wszelkiego działania, i pracę ludzi zastępują w rozmaity sposób. U nas przy większéj ludności, możeby takie zastąpienie ludzkiéj pracy nie było tyle pożądaném; tutaj jest prawdziwém dobrodziejstwem. Amerykanie pysznią się swemi maszynami i słusznie, lecz nietylko chcą je mieć doskonałemi i nieomylnemi, ale każda z nich musi być powierzchu wysrebrzona i wyzłocona, jakby jakiś sprzęt zbytku i elegancyi; słabość tę łatwo wybaczyć można, widząc istotną ich wartość.

To zamiłowanie Amerykanów w zewnętrznéj okazałości swoich maszyn sprawia, że cudzoziemiec przybywający do Stanów Zjednoczonych, widzi na wstępie, że jest w kraju przodującym mechaniką pomiędzy innemi krajami. i istotnie piérwszeństwo mu się w tém słusznie należy. Pomiędzy innemi maszynami zadziwiającemi doniosłością swoją, jedne z bardziéj udoskonalonych są maszyny, któremi się posługuje straż ogniowa; siła i działalność ich jest znakomita. Niedawno byłam świadkiem pożaru, który w blizkiém naszém sąsiedztwie wybuchnął i patrząc z okna, miałam dobrą zręczność przypatrzenia się dokładnie ich działaniu. Sikawki, siłą pary pompujące, tak potężnie działały, że w mgnieniu oka opanowały płomień, który już dach obejmował, wybuchając na zewnątrz; dodać jeszcze należy, że każda z tych maszyn jest tak lekka, że dwóch ludzi wystarcza, ażeby ją dowolnie z miejsca na miejsce przesunąć, co także znakomicie dopomaga ich funkcyonowaniu. Co do téj lekkości w budowie, to byłoby może trudném gdzieindziej do naśladowania, gdyż tu przeważnie temu dopomagają znakomite gatunki drzewa, pospolicie używane do wszelkiéj roboty stelmachskiéj i stolarskiéj, gatunki, jakie tylko Ameryka posiada; w tém odznacza się szczególniéj kilka rodzajów drzewa orzechowego, twardych i giętkich jak stal. Do-

bór takiego materyału sprawia, że tutaj każdy rodzaj powozu odznacza się mocą obok dziwnéj stosunkowo lekkości, gdyż wszystkie szczegóły drewniane nie potrzebują być grube, ażeby były mocnemi. Żelazo amerykańskie jest nadzwyczaj kruche i z tego powodu wszyscy fabrykanci i mechanicy w swoich wyrobach posługują się stalą sprowadzaną z Anglii, co zwiększa niepomiernie cenę każdego podobnego przedmiotu. Miasta amerykańskie celują jeszcze znakomicie urządzonemi wodociągami, zaopatrującemi w dobrą wodę nietylko całe miasto, ale każdy dom z osobna, a oprócz tego jeszcze, na trotuarze co kilka kroków są krany tak urządzone, ażeby w razie pożaru straż ogniowa mogła zakładać rury i miéć w każdéj chwili wodę pod ręką, nie potrzebując jéj wozić z sobą. W Waschingtonie rozerwoar wodociągowy tak jest zastosowany, że woda z tych kranów sama bije na dwadzieścia stóp w górę. Można sobie łatwo przedstawić, o ile podobne urządzenie jest doniosłą pomocą dla działania straży. Pożary tu nadzwyczaj częste, skutkiem tego, że mnóstwo maszyn parowych, któremi całe ulice są przepełnione, pomieszczone najczęściéj bywają w drewnianych szałasach, obok składów z palnemi materyałami, w fabrykach wyrobów drewnianych lub wśród innych przedmiotów takich, dla których jedna iskra wystarcza, ażeby płomień wybuchnął; ztąd téż pomimo wszystkich udoskonaleń przeciwdziałania, ogień zbyt często straszne zniszczenia wyrządza.

(Dalszy ciąg nastąpi).

KRONIKA ZAGRANICZNA,

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Literatura Malajczyków, odkryta przez filologów holenderskich. Bidasari, poemat malajski przekładu Ludwika Backer. Pieśni liryczne.—Rozwój idei demokratycznych w stosunku do sztuk pięknych.—Wystawa obrazów w pałacu przemysłowym. Szkoła realistyczna: Respha odganiająca sępa od powieszonych synów Saulowych, Beckera.—Spisek za Tarkwiniuszów, p. Glaize.—Malarze różnonarodowi: Amerykanie, Szwajcarzy i t. d.—Prace trzystu czternastu kobiét na wystawie.—Piekło Dantowskie Dorego.—Obrazy religijne: Chrystus w pośród dzieci, Michela.—Śmierć św. Józefa, p. Landelle.—Chrystus w grobie, p. Sellier.—Sceny biblijne: Thamar Cabanela.—Samson p. Leboux.—Prześladowanie za Dyoklecyana p. Sansay.—Obrazy historyczne: Julia siostra Cezara Lucylliusza, Ziera.—Śmierć Seneki i Sylwestra.—Neron, Schutzenbergera. Radegunda p. Pavis de Chavamus.—Obłąkany Van der Goes, Wantersa.—Zawieszenie dzwonu Zygmuntowskiego, Matejki.—Rycerze krzyżowi, Wojciecha Gersona.—Obrazy mitologiczne: Pyram i Thisbe p. Delobbe.—Porwanie Ganimeda p. Ferrier.—Śmierć króla Rawany, Cormona.—Ofiara Eskulapowi p. Geudron.—Bella matribus detestata, Mersona.—Juliusz Cezar Ywona.—Portret hrabiny Caen: testament jéj na rzecz młodych artystów.—Portret pani Pasca, Bonnata.—Portrety Carolusa Duran, Rodakowskiego i t. d.—Portret pędzla panny Izydory Mikulskiéj, Uśpiona Prządka.—Krajobrazy Corota: wystawa jego dzieł w Akademii Sztuk Pięknych.—Obrazy wojenne: Bitwa pod Villersexel, Neuvilla.—Utarczka tyralierów w Malmaison, p. Boerne-Belleacur.—Pułk maszerujący, Detaille'a.—Obrazy rodzajowe: Ognie świętojańskie Juliusza Breton. Zbiór poezyi Bretona: Pola i Morza, Wiersz Sobótka, Do rodzinnéj doliny.—Posąg młodości, p. Chapu, nagrodzony wielkim medalem.—Pomnik na cześć Krzysztofa Kolumba, p. Cordier.—Zmarły Fryderyk Eichhoff: jego prace lingwistyczne i literackie.—Uroczystość w Orleanie.—Archeologia językowa.—Pomnik Liwingstona w Westminsterze.—Podpisy na pomnik dla Byrona.—Nowo odkryte dzieła sztuki: Portret Rafaela, św. Jan Chrzciciel, Michała Anioła.

Podczas kiedy zdroje poezyi zdają się wysychać w naszéj staréj Europie, zmrożone tchnieniem realizmu, dowiadujemy się że daleko gdzieś za morzami, na drugiéj mało znanéj półkuli świata, zdroje te wytryskają z ziemi pełne siły żywotnéj. W roku zeszłym wspomnieliśmy o poetach południowo-amerykańskich, którzy pięknym językiem Cerwantesa i Kalderona, opiewają cuda podzwrotnikowych krajów swoich; dziś zwrócimy oczy ku innéj stronie, ku ostatecznym krańcom Wschodu, ku wyspom Malajskim. Tu lud nietylko że tworzy nowe pieśni, ale co więcéj w rodzinnym swym języku, przechowuje dawne poemata zaczerpnięte z indyjskich podań.

Przewodnikiem naszym będzie tu uczony lingwista p. Ludwik Backer, Holender rodem, zamieszkały w Paryżu, któremu Francya zawdzięcza wiele dzieł filologicznéj treści. Jego studya nad literaturą neerlandzką, zjednały mu niedawno nagrodę akademii francuzkiéj, a Sagi północne chlubną wzmiankę w akademii napisów. Znane niemniéj dzieło jego o literaturze Flamandów francuzkich, jak i tłumaczony zbiór pieśni historycznych Flandryi. Obecnie wydał przekład poematu malajskiego *Bidasari*, dokonany z holenderskiego tekstu. W obszernym wstępie autor porównywa poetyczne tradycye ludów wschodnich, z tradycyami przechowanemi na Zachodzie.

Prace akademii batawskiéj dały piérwsze poznać Europie literaturę Malajczyków. Dowiadujemy się z nich, że literatura ta dzieli się na starożytną i nowoczesną. Pierwsza na szczególną zasługuje uwagę, jako przesiąkła na wskróś mitologią starożytnych Hindów.

Kroniki malajskie są po prostu zbiorem fikcyi, z których niepodobna żadnego uczynić wątku; rozprawy filozoficzne i moralne brane wprost z autorów indyjskich, arabskich i perskich: całą wartość téj literatury stanowi poezya prawdziwie oryginalna. Do wyższego jéj rodzaju należą obszerniejsze poemata zwane *sijar*, opiewające przygody królów i bohatérów, pełne prostoty i głębokiego uczucia. Poemat *Bidasari* należy do ich rzędu. Bohatérką téj malajskiéj epopei, jest królewna, cudo piękności, uśpiona czarodziejską sztuką w głuchym lesie. Król, zabłąkawszy się tam podczas łowów, odkrywa ją przypadkiem; odczynia urok, rozbudza ją i pojmuje za żonę. Wiadomo, że piérwotne podania wszystkich ludów europejskich mówią o zaklętych w lesie królewnach; znajdujemy je zarówno w naszych klechdach ludowych, jak w Eddzie skandynawskiéj, jak i w germańskich Niebelungach.

Malajczycy, ci zwłaszcza z pomiędzy nich, którzy pozostali przy religii budystańskiéj, zachowali panteistyczne pojęcia o związku człowieka z przyrodą. Dziś jeszcze, w mniemaniu ich, wszystkie istoty stworzone, są to czyste duchy, wcielone bądź w człowieka, bądź w zwierzę, ptaka lub gadzinę. Dla nich niedziela jest dniem ognia; Bóg w tym dniu zakreślił siedm sfer niebieskich i podziemnych, stworzył duchy w kształcie wężów, czuwające nad owemi sferami. Poniedziałek jest dniem istot bajecznych: Bóg stworzył w tym dniu słońce; księżyc i gwiazdy, oraz duchy w formie jeleni, którym oddał w straż owe niebieskie ciała. We wtorek, w dniu *Padi*, Bóg stworzył duchy napełniające niebo i ziemię: duchy te w kształcie słoniów, opiekują się ziemią. W środę, w dzień kwiatu kokosowego, Bóg stworzył wody, morza, rzeki i strumienie, i wszystko, co w nich żyje, równie jak i drzewa na ziemi: duchy w postaci ludzkiéj pilnują téj swojéj dziedziny. We czwartek, w dniu małp, Bóg stworzył niebiosa i chmury, piekło i raj, duchy mściwe i duchy wydające plony i owoce, oraz duchy w postaci myszy, aby im stróżowały. W piątek, w dniu ptaka *Peka*, Bóg stworzył mężczyznę i niewiastę, pozwolił im błąkać się po niebie, a do czu-

wania nad niemi przeznaczył duchy w kształcie wielbłądów. W sobotę, w dniu szarańczy, Bóg dokonał pracy tak w górze jak pod ziemią: stworzył tylko duchy w formie żab, aby strzegły całości jego dzieła.

Mistyczna wiara w związek człowieka z istotami niższego rzędu stanowi główny wątek poematu o Bidasari. Życie téj królewnéj, tak ściśle zespolonem było z życiem drobniuchnéj rybki, że ilekroć wyjęto z wody ową rybkę, królewna padała bez zmysłów; ilekroć znowu rybka wracała do właściwego sobie żywiołu, dziewica budziła się z uśpienia.

Nie wszystkie epopeje malajskie nacechowane są taką cudownością. W innych dramat życia oddany w warunkach zgodniejszych z rzeczywistością ziemską. Oto treść poematu o królewiczu Raden-Mahtri i brance Kin Tambuchan. Królewicz z kraju Pura-Negana, pokochał ową piękną brankę i zaślubił ją potajemnie. Królowa matka, która przeznaczała dla syna księżniczkę Randjar, poprzysięga śmierć nieszczęśliwéj Tambuchan. Rozkazuje wiernemu słudze podczas łowów uprowadzić gwałtem królewicza i zabić młodziuchną jego żonę.

Daremny opór starego sługi, daremne przedstawienia.

— Jeśli nie spełnisz woli mojéj, zginiesz sam!—woła królowa w gniewie.

Sługa rad nie rad, ulega pani swojéj: serce pęka mu od boleści! Idzie do pięknéj Kin Tambuchan, uderza w ziemię czołem.

— Księżno—rzecze—małżonek cię przyzywa!

Zbladł, zadrżał, gorące łzy wytrysły mu z pod powiek. Kin Tambuchan uczuła wielką trwogę; chwiejącym krokiem idzie za sługą. Niewiasty służebne cieszą ją łagodnemi słowy. Prowadzą ją do bram pałacu królewskiego. Tu następuje pożegnanie.

— Bądźcie mi zdrowe wierne towarzyszki—rzecze książna zalewając się łzami.—Wydziera się z ich objęć i zapuszcza ciemną drogą w głąb lasu.

Smutnaż to droga! łzy oblewają blade jéj oblicze. Ptaszęta patrzą na nieszczęśliwą i żałosną piosenkę kwilą wśród zielonych zarośli. Kwiatki spuściły główki na łodygach, zamykają wonne kielichy. Ona idzie, niewiedząc sama dokąd. Dwie stare sługi poszły za nią. Nogi biédnéj ustały, krew ścina się w jéj żyłach, w miarę jak się zbliża do lasu. Potrąca stopką o złom skały, przysłoniętéj konarem drzewa, półomdlała pada na ziemię.

— Noc nadchodzi—poszepnie w duchu—ciemność otoczyła mnie wkoło! Mężu mój!.... przyjacielu!.... tyś mi jedyném wsparciem. Ratuj mnie przed pomstą matki twojéj!

Sługa, który ją przyprowadził, nie może powstrzymać łez; przystępuje do niéj nieśmiało.

— Jam cię zwiódł!—wyrzecze żałośnie.—Najpotężniejsza z niewiast, do któréj należy ten lud i ta ziemia, pani moja rozkazała mi zabić cię w tém miejscu. Muszę spełnić ten straszny rozkaz: jam jéj niewolnik, księżno! Któżby mnie zasłonił przed jéj gniewem?

Kin Tambuchan rzuca się w objęcia niewiast swoich. Słowo wyroku przebiło jéj serce, jakby mieczem. Drży, blednieje, łzy strumieniem płyną jéj z oczu, myśl zbolałą obraca do męża, wspomina jego miłość, minione szczęście swoje.

— Wszystko przepadło! wszystko ubiegło jak sen!—woła w najwyższéj rozpaczy. Nagle podnosi głowę:

— Uderz!--wyrzecze spokojna—spełnij powinność twoją! Ja nie ujdę smutnego losu, ale niebo patrzy na zbrodnię. Nim jednak wydobędziesz miecz z pochwy, pozwól mi nakreślić jedno słówko do męża.

I zrywa liść lontaru, drobnym paznokciem kreśli na nim te rzewne słowa:

— Bądź mi zdrów, mężu ukochany! stoję na progu śmierci: wnet żelazo ugodzi we mnie. Bodajbym cię zobaczyła tam wysoko. Bądź posłuszny matce twojéj, uczyń według jéj woli! pojmij inną małżonkę. Ja umieram dla ciebie. Ty wiesz, ilem cię za życia kochała! Dla ciebie jedynie uderzało to serce; śmierć nie rozłączy mnie z tobą: będę cię kochać nawet poza grobem!

Tak napisała na listku lontaru, a potém rzekła do sługi z odwagą i godnością:—„Spełnij powinność twoją: jam gotowa!"

Starzec zadrżał, łza litości spadła mu z oka. To niewolnik... on zna powinność swoją! Pochwyca miecz: ilekroć wydobędzie go z pochwy, miecz opada natychmiast. Zbiera ostatek sił, podnosi oręż, zatapia go w pierś nieszczęśliwéj. Kin Tambuchan stacza się na ziemię, śmiertelnie ugodzona.

Królewicz wraca z łowów, spostrzega trupa ukochanéj, przebija się, upada u jéj boku. Król uwiadomiony o śmierci syna i pięknéj branki, pędzi jak szalony do lasu, gdzie leżą oba trupy; rozkazuje pogrzebać je z czcią przynależną. Ale królowa niezaspokojona śmiercią ofiary, ściga ją nawet w grobie. Król — dodaje poeta — powtarza stanowczo dany rozkaz.

— Pogrzebcież—zawoła—księżnę z drogim jéj królewiczem: zjednoczeni byli za życia, niechajże ich grób nie rozłączy.

Królowa powstrzymała gniew, ale jad nienawiści nawskroś pali jéj serce.

Podobny zupełnie poemat o królewiczu hiszpańskim Floryzie, i o brance francuzkiéj Blanchefleur, znany był powszechnie w średnich wiekach i tłumaczony na różne europejskie języki. Tu już widzimy wspólny wpływ literatury maurytańskiéj. Przez Hiszpanią oddziałała ona, jak wiadomo, na wszystkie europejskie ludy, odkąd zaś część Malajczyków przyjęła Islam, literatura arabska odbiła się zarówno w ich utworach, nie odebrała im przecież barwy oryginalnéj.

Oprócz licznych epopei a między niemi całéj sparafrazowanéj Ramajany, którą Holendrzy Batawscy odkryli u Malajczyków, zebrali oni z ust ludu mnóstwo przygodnych i miłosnych pieśni, zwanych *Seloka* i *Sesambok*. Pieśni te śpiewa lud przy pracy, wiele z nich improwizuje doraźnie; częstokroć téż braknie w nich ścisłego związku

myśli, wszędzie jednak zachowany rym i miara, zwykle dziesięciozgłoskowa. Dajemy tu jedną na próbę:

Drzewo Waryngin po nad potokiem,
Ocienia łąkę konary swemi;
Tam leżą wieści skryte pomrokiem,
O tych co żyli na owéj ziemi.

Ku temu drzewu pilnie ja chodzę,
Wiém, co dawnemi stało się laty,
Siłażem wieści spotkał po drodze,
Z nich ja uplotę wianek bogaty.

Noc już zapada, czarno dokoła,
Potok po zwirze zcicha szeleści;
Opodal nasze pomija sioła:
Samotnie stare pogwarza wieści.

Idźmy powoli krawędzią góry:
Ze skały tryska jasna krynica,
Tam się kąpały królewskie córy,
Tam Katy myła bieluchne lica.

Sercu mojemu królewna droga,
Będę ją sławił póki tchu starczy!
Bodajby zedrzéć włos z czaszki wroga,
I tryumfalnie zatknąć na tarczy.

Jaki związek mają dwa ostatnie wiersze z poprzedniemi? trudno odgadnąć. Byłażby ta Katy jakąś figurą poetyczną?

Zrozumialsze za to wiersze starego zrzędy, który tak na wyspach Malajskich, jak w naszéj Europie, obyczajem starych powtarza, iż dawniéj lepiéj było. Nie szukać tu poezyi, ale znajdujemy za to ciekawy rys pod względem obyczajów.

Dzisiaj u ludzi rozumu siła,
Lecz stara mądrość już się przeżyła:
Zliczono gwiazdy wszystkie na niebie,
Nikt bacznem okiem nie spojrzy w siebie;
Ludzie o wszystkiém bezmyślnie gwarzą,
Jeden drugiego ściga potwarzą;
Młodzież dni trawi w bezmyślnym szale,
Dziewczęta wstydu nie pomną wcale,
Przyjęły jakiś obyczaj nowy,
Wciąż swawolnemi bluzgają słowy,

Wszystko się psuje, wszystko się gmatwa;
Nawet maleńka szaleje dziatwa!

Oto wreszcie rozmowa młodéj pary, taka sama jak i we wszystkich stronach świata, znać z jednego zaczerpnięta zdroju, z głębi serca kochającego:

CHŁOPIEC. Ja ci przyrzekłem, kiedym był mały,
Kochać cię wiernie przez żywot cały!
DZIEWCZYNA. Odkąd przyrzekłeś kochać mnie stale,
Jam nie spojrzała na drugich wcale.
CHŁOPIEC. Ledwieś powiodła okiem po świecie,
Jam już maleńkie ukochał dziecię.
DZIEWCZYNA. Dałam ci sercę ale drżę z trwogi;
Czy mnie nie zwiedziesz chłopcze mój drogi!
CHŁOPIEC. Niech się twe serce zdrady nie boi,
Nawet rodzice mili mi twoi.
DZIEWCZYNA. Kochania mego niech będą pewni,
Twoi rodzice bracia i krewni.
CHŁOPIEC. Ludzie za nami wodzą oczyma,
Piękniejszéj pary w téj wiosce nie ma.
DZIEWCZYNA. Skoro się szczerze miłujem duszą,
Ludzie nas wszyscy szanować muszą.

Takie dyalogi zwane *Seloka* bardzo powszechne w poezyi ludu malajskiego. Niekiedy kochankowie kłócą się w nich ząb za ząb, wyrzucając sobie wzajemną zdradę, częściéj jednak świegocą jak gołąbki. Chłopiec przysięga, dziewczyna radaby wierzyć, ale nieśmie; bojaźń zamąca chwile najsłodszych uniesień.

DZIEWCZYNA. Czas mocne węzły nieraz przecina,
Serce u chłopców wiotkie jak trzcina!
CHŁOPIEC. Twoja nieufność próżna i płocha,
Mocno ten wierzy, kto szczerze kocha!

Piosenki dziewcząt pełne niekiedy rzewnéj tęsknoty, przytaczamy z nich jednę:

Kędyż mój miły bawi tak długo?
Może ach! może pokochał drugą!
On gdzieś w dalekie puścił się kraje,
Wracajże drogi: sił mi niestaje.
Gdybym jak ptaszę skrzydełka miała,
Za ślady twemi w światbym leciała!
Dzieckiem pląsałam rada przy tobie,
A dziś w mém sercu ciemno jak w grobie;

Krążę samotna pustą drużyną,
Po licu mojém drobne łzy płyną;
I sen mi nocą powiek nie mruży:
Bez ciebie, drogi, nie wytrwam dłużéj!

Poprzestajemy na tych wyjątkach. Pan Backer korzystając z prac uczonych Holendrów. a szczególniéj akademii batawskiéj, rozpowszechnił wiadomość o literaturze Malajczyków, w inném jeszcze dziele, które wydał po francuzku p. t. *Archipelag Indyjski*: pochodzenie, języki, literatury, religie, moralność, prawo publiczne i zwyczajowe miejscowych ludów.

W dniu piérwszym maja, kiedy wybieraliśmy się na otwartą właśnie paryzką wystawę obrazów, wpadła nam w rękę świeżo wydana książka p. Jaqueminet p. t. *Fragment d'etudes sur l'homme et la société*. Przerzucając pobieżnie kartki, napotkaliśmy ten ustęp wyjęty z dzieła *Demokracya w Ameryce*. „Chcecież-li podnieść wysoko umysł ludzki, nadać mu szeroki pogląd na rzeczy świata? Natchnąć ludziom pogardę dla rzeczy materyalnych? Pragniecież-li usposobić duszę do głębokich przekonań i wielkich poświęceń? Macież-li na myśli ogładę obyczajów, rozkwit sztuk pięknych i poezyi, rozgłos i chwałę w świecie? Chcielibyście tak usposobić wasz lud, aby oddziaływał silnie na inne ludy? aby uganiał wzniosłe cele, słowem wyżłobił w historyi głęboki ślad swego pochodu? Jeśli w pojęciu waszém, takiém jest zadanie ludu w społeczeństwie, strzeżcie się rządu demokratycznego! ten będzie złym dla was przewodnikiem! Jeżeli zaś zda wam się pożytecznie skierować czynność umysłową i moralną człowieka na potrzeby życia materyalnego, spożytkować je na zapewnienie wszystkim dobrobytu, jeśli w oczach waszych rozsądek potrzebniejszy ludziom nad gieniusz, jeśli nad bohatérskie cnoty, przekładacie spokojne nawyknienia, jeśli poprzestać zechcecie na mniejszéj liczbie wielkich czynów, z warunkiem, że zmniejszy się także liczba przestępstw; jeżeli zamiast działać w łonie świetnego społeczeństwa, miléj wam żyć w pomyślności; jeżeli nakoniec nie jest w oczach waszych głównem zadaniem rządu, uczynić naród potężnym i błyszczącym, ale raczej zapewnić jednostkom dobrobyt, uchronić je od nędzy: w takim razie trzymajcie się demokracyi!"

Pod wrażeniem tych słów weszliśmy do przybytku sztuki nowoczesnéj, zwanego jakby przez antitezę *pałacem przemysłowym*. Wszystko, co tu zobaczymy za chwilę, pomyśleliśmy w duchu, będąż to ostatnie odbłyski tego zachodzącego słońca, które promieniem ideału przyświecało przez wieki ludom? ostatnią odpowiedzią na tę zaklętą pobudkę, głoszącą wybranym *sursum corda!* Wszystkoż to zaginie bez wieści w odmęcie materyalizmu, tém koniecznem następstwie równości społecznéj, jak nauczają doktrynerzy?

Z ciężkiém sercem weszliśmy do wielkiego czworobocznego salonu, który zazwyczaj poświęcano najcelniejszym z przedstawionych utworów. W tym roku jednak, sędziowie, trzymając się ściśle prawa niwellacyi, zawyrokowali, że obrazy mieszczone będą o ile można porządkiem abecadłowym, według nazwisk malarzy. Wypadek zrządził, że w tym wielkim salonie, naprzeciw drzwi wchodowych, miejsce przypadło na obraz p. Becker, ogromny rozmiarami, przerażający realizmem. Niechże sobie kto chce wyobrazi, na ciemném tle pochmurzonego nieba, siedmiu ohydnych wisielców, przytwierdzonych za ręce do wielkiéj szubienicy. Jedni już pomarli, znać to po sino trupiéj twarzy; drudzy szarpią się w konwulsyjnych podrygach; inni żyją, lecz nie szamocą się nawet: patrzą na śmierć z jakąś bydlęcą obojętnością. U stóp szubienicy czuwa kobieta, straszna, wściekła od rozpaczy, w sukni żółtéj, w fijołkowéj zasłonie, miotanéj wichrem nad jéj głową. W ręku trzyma wielką sękatą pałkę, odpędza nią czarnego sępa, rzucającego się na trupów; za tym sępem, cały chorowód drapieżnych jego braci, trzepie w skrzydła na ciemném tle widnokręgu. Przedmiot to wzięty z Biblii. Respha, małżonka Saula, pilnuje synów, wydanych Gabaonitom. Obraz okropny, a przecież Becker malować umié... pędzel jego śmiały, koloryt ponury, jak sam przedmiot. Artysta trzymał się do przesady niebezpiecznego godła romantyków *brzydota pięknem*, i wpadł w najgrubszy realizm.

Dziwna przekora ścigała nas przy samym wstępie do salonu. Rzuciliśmy okiem w inną stronę, cóż tam widzimy? oto inny historyczny obraz ze starożytnych dziejów Rzymu; z czasów, kiedy wilczyca, miała jeszcze straszne kły i pazury. Obraz przedstawia spisek za Tarkwiniuszów. Sprzysiężeni zamknęli się w domu ponurym i samotnym; pod ścianą ołtarz, na nim bogi domowe Lary. Na pierwszym planie powalon nagi trup niewolnika z odrąbaną głową. Rzymianie otoczyli trupa, napełniają czaszę krwią buchającą z żył ledwie co przeciętych. Puharem tym potwierdzają przysięgę. Twarze ich straszne, wzrok wściekły, pięści zaciśnięte zdają się grozić światu. Twórca obrazu p. Glaize wybornie włada pędzlem, muskuły rąk oddane z całą prawdą; trup odtworzony po mistrzowsku. Gdyby zadaniem sztuki było szarpać nerwy, obrazem rzeczywistych szkarad, tak wstrętnych dla oka i ducha, autor Glaiza byłby arcydziełem.

Przykre wrażenie nasze nie prędko przeminęło. Takiemiżto drogami, pomyśleliśmy smutno, przypadło brnąć dziś sztuce, w chwilach konwulsyjnego konania? a potém co? chłód, pomrok, stęchły wyziew cmentarzy, i szyderczy śmiech puszczyków, z szalonych, co przez wieki karmili ducha, wymyślonym przez siebie ideałem. W miarę przecież, jak obiegaliśmy długi szereg sal i galeryi, z oczu spadał nam tuman, w duszy coraz było jaśniéj i pogodniéj. Kiedy nakoniec po sześciogodzinném krążeniu, zasiedliśmy w ogrodzie dla skupienia się w myśli własnéj, przyszłe losy sztuki już nas bynajmiéj nie trwożyły. Geniusz francuzki, powtarzaliśmy sobie w duchu, wynajdzie pod słońcem rzeczy,

o których dotąd nie śniło się filozofom ani doktrynerom; potrafi on wykrzesać iskrę ideału z rzeczywistości, potrafi do żelaza wydobytego z rudy nowéj, dorzucić bryłę starego złota, i z tego zlewu zbudować dla sztuki, nowy pomnik, jakiego świat jeszcze nie widział.

Gdyby idea równości miała zabijać twórczość artystyczną, dwie prawdziwie demokratyczne rzeczypospolite, Stany Zjednoczone i Szwajcarya, nie okazałyby dziś najmniejszego popędu do sztuk pięknych. Przeciwne jednakże objawy spotykamy dziś na wystawie paryskiéj. Dwódziestu kilku amerykańskich artystów wystąpiło tu z udatnemi utworami. Wszyscy ci zaatlantyccy malarze kształcą się w pracowniach tutejszych mistrzów, niektórzy prawdziwie twórcze okazują zdolności. W ich gronie widzimy kilka młodych amerykanek.

Szwajcarzy tak okrzyczani z braku estetycznych pojęć, przynieśli także piękny plon do ogólnego wieńca. Trzydziestu artystów przedstawiło swe malownicze jeziora, swoje kwitnące podalpejskie doliny. Jeden przysłał śliczny obrazek: dziatwę tłoczącą się do szkółki wiejskiéj. Wymowny to obrazek. Wiadomo czém szkoła dla tego ludu, który konieczność nauki tak ścisłém obwarował prawem, że ktoby nie chciał korzystać z niéj dla dzieci, skazany na grzywny, na więzienie, a wrazie oporu na ostracyzm! Obok tych malowniczych gór i jezior, ta grupa dziatwy wybornie maluje nam społeczność szwajcarską, krzepką a nawet poetyczną po swojemu.

Dwie rzeczypospolite nie dały się na tegorocznéj wystawie ubiedz innym narodowościom, w których przecież idea demokratyczna nie staje na przeszkodzie rozwojowi sztuk pięknych. Wielkie państwa, jak Austrya, przysłały ledwie po kilka obrazów, Hiszpania, ojczyzna Welaskeza i Murylla, przedstawiona w dziesięciu malarzach, Włochy, gniazdo Rafaela, Tycyana i tylu olbrzymów, reprezentowane w szeregu dwódziestu imion; w téjże liczbie Niderlandya, w téj Belgia, dwie słynne niegdyś kolebki holenderskiéj i flamandzkiéj szkoły. Ateny, przysłały jedyny obraz. Co zaś do Niemców po za obrębem Austryi, sam tylko Holsztyńczyk Schenk wystawił swoje nieporównane owce, inni nie dali znaku życia. Gdyby silny centralizm państwowy, miał rozbudzić w nich genialną twórczość ducha, nie kryliby światła pod korcem; lecz wydobyli je na widownię: aby tém bardziéj upokorzyć Francyą!

Naszych artystów, tak malarzy jak i rzeźbiarzy naliczyliśmy jedenastu, utwory ich wymienimy późniéj. Znakomity rzeźbiarz Brodzki nadesłał z Rzymu prześliczne, jak mówią, dzieciątka; lecz przesyłka nieszczęściem przybyła nazbyt późno: utwory mistrza naszego stoją po dziś dzień w pakach, czekając zapewne przyszłorocznéj wystawy.

Nim przystąpimy do szczegółowego przeglądu celniejszych przynajmniéj obrazów, radzibyśmy oddać piórem wrażenie doznane z pierwszego rzutu oka. Widmo realizmu, które nas uderzyło na pierwszym wstępie do sali, rozwiało się niebawem, w obec idealnego świata połyskującego z przeważnéj większości utworów. Mało tu zapewne dzieł prawdziwie genialnych; częstokroć, przebiegając salę, napotykamy ob-

razy, świadczące o zbytniéj pobłażliwości organizatorów wystawy. Sam jeden widok trzech tysięcy obrazów, w dodatni sposób działa na wyobraźnią. Dwa tysiące malarzy wykonało te prace w ciągu jednego roku, dwa tysiące artystów wyraziło w nich myśl swoję, zaklęło w nie iskierkę swego ducha!

Wśród tych licznych dzieł sztuki, widzimy z górą pięćset utworów wykonanych ręką niewieścią, licząc w to rzeźby i akwarelle. Trzysta czternaście kobiét wzięło udział w wystawie. Pomiędzy temi czytamy głośne imiona z arystokracyi tak rodowéj jak finansowéj, lub zdobytéj potęgą intelligencyi. Obok księżnéj de Chevreuse z arystokratycznego przedmieścia, widzimy tu baronową Rotszyld, widzimy Sarę Bernhard, sławną artystkę Teatru Francuzkiego, którą podziwialiśmy niedawno w córce Rolanda a dziś podziwiamy jako utalentowaną rzeźbiarkę. Same te cyfry wymownie świadczą o pracowitości francuzek, pomawianych zbyt często o lekkość i bezmyślność. Większa część tych kobiet nie bawi się sztuką, lecz pracuje na seryo; dość tu wspomnieć szkic fresków na ścianę do kościoła w Dieppe, utworu pani Larible, i inny szkic panny Escallier na ścianę do pałacu Legii Honorowéj. Dodajmy do tego, że Paryż liczy siedemdziesiąt artystek, ozdobionych medalem, co znaczy bardzo wiele, gdyż tak tu jak w innych krajach, areopag złożony z mężczyzn nie otrząsnął się z przesądów, zaprzeczających kobiecie twórczéj siły. Mieliśmy sposobność przekonać się o tém w ciągu dwóch lat ostatnich, w których żadna z kilkuset kobiet, przedstawiających rzeźby i obrazy, nie otrzymała téj nagrody, mimo rzeczywistéj wartości nie jednego utworu.

Wiele zdolniejszych artystek tutejszych, garnie do pracowni swoich grono uczących się towarzyszek. Przy imionach kobiet, biorących udział w wystawie tegorocznéj, czytamy nazwiska ich utalentowanych mistrzyń. Między innemi pani Boutin, która wykonała na porcelanie piękny obrazek alegoryczny: *pokój roznoszący obfitość*, podpisała się jako uczennica panny Mikulskiéj. Artystka nasza, mimo bardzo młodego wieku, zgromadziła już w pracowni własnéj starsze od siebie uczennice, i wykłada im zasady sztuki, zbadane z niezmordowaną pracą. Sam fakt, że utwór pani Boutin przyjęty został na wystawę, świadczy o doniosłości szkoły młodéj rodaczki naszéj, i wróży jéj znakomitą przyszłość na polu artystyczném.

Rzućmy teraz pobieżnie okiem na te trzydzieści sal, zawieszonych płótnami rozmaitéj miary i rozmaitszéj jeszcze treści. Naliczyliśmy między niemi do dziewięćdziesięciu religijnych przedmiotów. Cyfra to nadzwyczaj znacząca. W liczbie tych Chrystusów przeprowadzonych przez różne fazy żywota, od żłobku betlejemskiego, aż do męki krzyżowéj na Golgocie, żaden zapewne nie godzien boskiego wzoru; w liczbie Madon, żadna nie oddana z tém namaszczeniem ducha, z jaką odtwarzali idealną tę postać Rafaele i Corregio; z pomiędzy Magdalen, żadna niedość oderwana od ziemi, z pomiędzy świętych nie wszyscy dość uświęceni; ale już to samo, że znalazło się pomiędzy malarzami

kilkudziesięciu, którzy obrócili oczy w te wyżyny, z kąd biją najczystsze zdroje natchnień, już to samo świadczy o kierunku sztuki francuzkiéj nierównie idealniejszym niźli u innych ludów. Mieliśmy sposobność przekonać się o tém na niemieckich wystawach, gdzie obraz religijny prawdziwą jest osobliwością.

Dlaczego nie mamy dziś takich mistrzów religijnych, jakimi chlubi się wiek XVI? słyszymy co chwila to pytanie. Odpowiedź na to powszechna: bo społeczeństwo dzisiejsze niema w duszy téj wiary, jaka ożywiała praojców i wyrażała się w sztuce. Znakomity krytyk francuzki Charles Clement, inaczéj rozwiązuje to zagadnienie. „Nie sądzę, mówi on, aby uczucie religijne tak dalece dziś miało osłabnąć, jak to niektórzy utrzymują. Ale wiara przybrała dziś inną formę: u jednych stała się abstrakcyjną, u drugich daleką od estetycznych pojęć. U myślicieli, u filozofów i poetów, wiara zawarta dziś w idei: u pobożnych prostaków, wymagania jéj pod względem sztuki bardzo skromne: obraz epinalski przemawia do nich równie wymownie, jak arcydzieło mistrzowskiéj ręki. Aby się przekonać o tém, idźmy do pierwszego lepszego kościoła, a zobaczymy że najprościejsze bohomazy najwięcéj odbierają pobożnych hołdów."

Uwaga ta uczonego krytyka, bardzo ważna z powodu, że oddaje świadectwo niezamarłéj wierze pomiędzy Francuzami, w gruncie rzeczy, nie wydaje nam się dostatecznie określoną. Doskonałość artystyczna nie zastąpi dla duszy wierzącéj tego uroku świętości, otaczającego nieraz mniéj udatne utwory. Nieuczony prostak, byle miał trochę smaku estetycznego, odczuje piękność Madony Rafaela; ale zarówno jak każdy wierny, choćby najlepiéj świadomy tajemnic sztuki, pomodli się chętniéj przed obrazem Epinalskiéj lub Częstochowskiéj Bogarodzicy, niż przed arcydziełem zawołanego mistrza.

Co do obrazów historycznych, naliczyliśmy ich z górą sześćdziesiąt. Przedmioty po większéj części brane są ze starożytnéj przeszłości Rzymu. Są tu wprawdzie dwie piękne postacie drogie sercom Francuzów: Joanna d'Arc i Henryk IV; częściéj jednak spotykamy się tu z jakim Cezarem, Tyberyuszem lub Seneką, z Kolumbem lub Kromwelem, niż z jakim Ludwikiem francuzkim, z jakim Sullym lub Montmorencym. Ostatnie czasy monarchii zbrzydziły Francuzom królewskość i magnateryą. Zbytki i swawole panów, spadkobierców wielkich imion dziejowych, rzuciły cień na zasługi praojców. Potrzeba czasu, aby umysły przeszły do sądu bezstronnego, aby artyści zrozumieli, że stawiając na świeczniku protoplastę Sullych, Montmorencych, nie biją czołem ich żyjącym dotąd potomkom. Zasada Schillera; niechaj odżyje w pieśni, co zamarło w rzeczywistości, nieznana artystom, tém mniéj krytykom tutejszym. Prawda że ci potomkowie dziejowych imion, nie mają się wcale za umarłych w dziedzinie polityki, ale wyżéj, niż kiedy, podnoszą dzisiaj głowę!

Co do mitologicznych obrazów, są tu i ledy i ganimedy i Dyanny i Bachusy i Neptuny, słowem cały olimpijski panteon. Mówiliśmy

już nieraz o zamiłowaniu Francuzów w greckich tradycyach, zamiłowaniu, którego nie zastał bynajmniéj romantyzm ani w malarstwie, ani nawet w poezyi. Któremuby téż z malarzy naszych, przyszło dziś na myśl, odtwożyć pędzlem skrzydlatego Amora albo Wenerę, wychodzącą z morskiéj fali? we Francyi rzecz to zwyczajna; nie dziwią się temu krytycy, nie dziwi się publiczność. Od lat dwunastu nie pamiętamy ani jednéj wystawy bez Bachusa i Kupidyna. I ta nie ustępuje innym. Mamy gody Bachusa z Aryadną, wykonane przez dwóch artystów; mamy piękną Wenerę pędzla sławnego Kabanela! Snadno nam jednak wytłumaczyć ten popęd olimpijski, wpływem szkoły malarskiéj w Rzymie, gdzie młodzi uczniowie francuzcy czerpią natchnienie, u samego źródła klasycznych podań; wpływ ten ma niewątpliwie dodatnią także stronę: jest on potężnym antidotem przeciwko realizmowi. Jeżeli kiedy, jak utrzymują niektórzy krytycy, unoszący się nad ową Resphą, co nas tak oburzyła przy wstępie do salonu, jeżeli twórca jéj pan Becker otrzyma w nagrodę stypendyum rzymskie, przekonani jesteśmy, że wyrobiwszy smak na klasycznych wzorach, zawstydzi się swoich siedmiu tak nieestetycznych wisielców i zwróci pędzel ku przedmiotom godniejszym talentu swego.

W ogólności jednak liczba mitologicznych obrazów, mniejsza w tym roku niżeli była w zeszłym; naliczyliśmy ich nie więcéj nad dwadzieścia. Wielu zato malarzy czerpało myśl z wielkich poematów tak starożytnych jak nowoczesnych. Widzimy tu wspomnienia Iljady w Tetydzie zbrojącéj Achillesa, w Kassandrze przepowiadającéj klęski Ilionu; widzimy natchnienie Owidyuszu w Thisbe pochyłonéj nad konającym Pyramem. Nie pojmujemy tylko, dlaczego artyści pominęli całkiem starożytne podania galskie? Nie byłoż tu Brenusów i Wercingetoryxów, nie byłoż tu dzielnych zapaśników z germańskim Aryowistem? Brakłoż tu poważnych Druidów, czarodziejskich Welled, i poetycznych bardów galskich? Toż samo zaniedbanie co do romantycznéj epoki Karola Wielkiego i bogatych tradycyi bretońskich! Dałażby Francya wydrzeć sobie cykl Karlomana Niemcom, Anglikom zaś cykl, okrągłego stołu, tak świetnie podniesiony w poematach Tenyssona o królu Arturze? Ażaliż oba te cykle, nie należą zarówno do jéj podań, jak do tradycyi niemieckich i angielskich? Nie winimy tu jednak malarzy, ale raczéj zaślepienie krytyków, roszczących sobie prawo do kierowania opinią publiczności. Kiedy Brenier odtworzył niedawno w dramacie *Córze Rolandowéj*, wspaniałą postać Karlomana, znaleźli się pomiędzy krytykami tacy, którzy czynili poecie zarzut, czemu obrał za bohatéra swego Karola, kiedy ten był cesarzem niemieckim? Mieliżby Francuzi przez nienawiść ku Niemcom wymazać z dziejów swoich imię największego bohatéra, jakim szczycą się wieki, dla tego że ów mocarz panował zarówno po drugiéj stronie Renu? Zaślepienie to porównać tylko można ze ślepotą szaleńców, którzy przez zemstę za Sedan strącili z kolumny Vendôme bohatéra Jeny i Austerlic!

Wielcy poeci z epopei nowożytnéj dali też pobudkę niejednemu z malarzy. Widzimy tu króla Leara obłąkanego boleścią, widzimy zrozpaczonego Otella, widzimy uśpioną Ewę z Raju utraconego Miltona i mglistą bohatérkę z Ossyanowéj pieśni; widzimy schwycone żywcem dramatyczne ballady Uhlanda i Getego, widzimy Lafontainowskie bajki wytłumaczone w najrozmaitszy sposób. Żaden jednak z mistrzów słowa nie przemówił tak dziwnie do mistrza władającego pędzlem, jak przemówił Dante do Dorego. Obraz *Piekła*, największy ze wszystkich na wystawie, dał pobudkę do zaciętéj walki pomiędzy krytykami. Jedni widzą w nim genialne dzieło, inni strącają go do rzędu dziwactw artystycznych, ubolewając nad wielkim rysownikiem, dlaczego utworami pędzla kompromituje własne imię. Nie każdemu dano pojąć i ocenić podobne dzieło sztuki. Gdyby sam Dante napisał dziś Boską komedyą, przekonani jesteśmy, że krytycy realistycznéj szkoły, spadaliby nań jak ogary na jelenia, bluzgając szyderstwem w to Piekło i w to Niebo tak dziś dla nich niezrozumiałe. Realiści biją też gradem pocisków w obraz Dorego; publiczność zatrzymuje się nad nim, uderzona ogromem rozmiarów i potęgą kompozycyi. Czemu ten koloryt taki dziwny? pytają jedni drugich, kto w rzeczywistości widział coś podobnego? Zapewne, pomyśleliśmy w duchu, rzeczywistość złą będzie modłą na ocenienie podobnego utworu! Któż kiedy widział piekło?

Nie myślimy porównywać dzieła Dorego z Sądem Ostatecznym w kaplicy Syxtyńskiéj; powiemy jednak, że ktokolwiek czytał i umiłował Danta, musi przyznać, iż niepodobna było dzielniéj wniknąć w myśl wielkiego poety, jak to uczynił Dore. Obraz ten nie potrzebuje komentarza; dość rzucić nań okiem, aby uczuć, że to ów świat wiekuistego utrapienia, obwarowań, strasznemi bramy, na których nakreślono: *kto je przekroczył, żegna się z nadzieją!*

Wyobraźmy sobie tłumy i tłumy, nieprzeliczone wzrokiem, morze głów ludzkich niknące w oddali za mgłą, zrumienioną odblaskiem łuny. Po nad tém morzem górują postacie Wirgillego i Danta. Na pierwszym planie potępieńcy wiją się, istne Laokoony, okręceni splotami wężów. Boleść ich oddana z wysokiém pojęciem sztuki, bez tego ziemskiego realizmu,budzącego wstręt i obrzydzenie.

Trudno czynić zarzut p. Dore, że wziął za przedmiot do obrazu pomysł wielkiego poety włoskiego. Szereg cudnie pięknych ilustracyi, znany i podziwiany w świecie całym, świadczy, jak Dore umiał pojąć genialną myśl Danta. Dziwimy się jednak tylu innym malarzom francuzkim, że niedosyć czerpią z narodowych poetów swoich. Oprócz bajek Lafontaina nie widzimy w tym całym sreregu obrazów, nic prawie, coby przypominało poetyczne pomysły geniuszu francuzkiego. Wyjątek tu jedyny stanowi obraz p. Pille przedstawiający *Odczytanie dekretu konwencyi w obec wieśniaków bretońskich.* Rzecz wzięta z epopei prozą Wiktora Hugo *Rok Tysiąc siedemset dziewięćdziesiąty trzeci.* A małożby to przedmiotów znalazł malarz w tym wielkim, a tak obrazowym poemacie? Weźmy na przykład ową odwieczną *tur-*

mę, wyraz feudalizmu, w obec gilotyny, strasznéj mścicielki starych gwałtów; weźmy postacie Lantenaka, Cimourdaina i Gouvina, te trzy wielkie typy, wyobrażające przeszłość z cudną aureolą poświęcenia; rewolucyą straszną potęgą fanatyzmu, przyszłość nie zrodzoną jeszcze dla świata, przeczuwaną zaledwie duchem wiecznym, przyszłość pełną wiary, miłości i nadziei! Weźmy nakoniec tę grupę dziateczek igrającą bezmyślnie pod hukiem dział; tę bohatérską matkę Flechard, obłąkaną z bólu na widok dzieci ogarniętych płomieniem. A przecież nikt tego nie dotknął! Co mówi na to Wiktor Hugo? Czeka zapewne, powtarzając z goryczą: nim słońce wejdzie, rosa wprzód wyżre oczy!

W czém najsilniéj objawił się twórczy duch dzisiejszych malarzy? oto w obrazkach rodzajowych. Popęd to ogólny dziś w świecie. Obraz rodzajowy jest w malarstwie tém samém, czém jest powieść w literaturze. Oddajemy jednak sprawiedliwość malarzom, iż nierównie wyżéj stanęli we Francyi od pisarzy powieści. Obrazy ich brane są z życia, ale, oprócz bardzo nielicznych wyjątków, nienacechowane grubym realizmem. Wybija z nich myśl postępowa, podniesienie godności ludzkiéj, uszanowanie pracy. Widzimy tu lud wieśniaczy przy swoich domowych zajęciach, tak rozmaitych na szerokiéj przestrzeni kraju. Tu, winobranie w Langwedocyi, oswieconéj promieniem słońca; tam wyrób serów pod cieniem gór Auwernii; tu rybaczki z dziećmi zbierają muszle na normandzkich wybrzeżach, podczas gdy ojcowie rodzin walczą z rozhukanym żywiołem; tam krzepkie Bretonki zajmują sierpem przenicę na zagonie; praczki biją chusty w potoku tradycyjnemi kijonkami; dziatwa zbiera zimą suche gałązki w lesie, latem pasie gromadę gąsek. Tu znów stare żebraczki idą z odpustu drogą: tam kowal uderza młotem po kowadle; gdzieindziéj dyrektor wiejski zagania do szkoły niesforną dziatwę. Niektóre z tych obrazków są prawdziwie dramatyczne. Widzimy, jak na jarmarku, wędrowny kramarz obcina dzieweczkom długie kosy, nęcąc je złotem, pocieszając nadzieją, że włos obcięty odróśnie tém obficiéj. Smutniejszy nieraz dramat uderza oczy nasze: niewiasty oto bretońskie, same zostały we wsi; synowie i bracia pobiegli bronić kraju: jedne oddają się w opiekę Bogarodzicy, drugie przedsiębiorą pobożną pielgrzymkę. Najrzewniejszy z tych obrazków przedstawia rodzinę alzacką, w malowniczych ubiorach, obozującą daleko od gniazda, wsród dziewiczych lasów Ameryki!

Strona idealna przeważa w ogólności w tych utworach, nie idzie zatém, żeby i gruby materyalizm nie znalazł zwolenników swoich pomiędzy malarzami. Niektórzy ze zdolnych nawet, szukają jakby umyślnie obrzydliwych przedmiotów. *Volon* na przykład, mistrz pędzla w odtwarzaniu martwéj natury, przedstawił w tym roku świnię w jatce rzeźnika, zawieszoną głową do ziemi, z rozpłatanym ohydnie brzuchem. Inny artysta, Bonvin odmalował ogromną maciorę wypuszczoną z chlewa, z ryjem utkwionym w kupę śmieci. Pod tym obrazem czytamy w katalogu wiersz Monseleta na cześć nierogatego ideału. Powtarzamy dla osobliwości ten czterowiersz:

Wszystko w tobie wyborne, gdzie drugi zwierz taki?
Smaczny schab i słonina, głowizna i flaki;
Ciebież to niewdzięcznicy o niechlujstwo winią?
O! ty królowo zwierząt, idealna świnio!

Mówiąc szczerze, wolimy jeszcze obraz téj świni, jakkolwiek nie tak idealny, jakim go chce widzieć poeta, od niejednego obrazu przedstawiającego zbydlęconą naturę ludzką, a i takie niesz częściem spotykaliśmy na wystawie!

Ale czas nam już porzucić ogólniki. Przypatrzmy się lepiéj celniejszym płótnom, rozwieszonym po tych trzydziestu salach. Zacznijmy od utworów religijnych, jako przedstawiających sztukę w tém, co ma najwyższego.

Uderzył nas w tym dziale wielki obraz pana Michel, przedstawiający Chystusa powołującego do siebie drobne dzieci. Utwór to prawdziwie wymowny. W pośrodku stoi Zbawiciel z głową lekko na bok pochyloną, z rękoma podniesionemi w górę na znak błogosławieństwa. Drobna dziatwa garnie się posłuszna na głos Boży; starsze klękają z pokorą, młodsze wyciągają ręczyny, niemowlęta wydzierają się z objęć matek. Wielki spokój panuje w układzie całéj grupy, draperye rzucone po mistrzowsku.

Dziwnie téż piękny szkic do obrazu, który ma być wykonany na murze w kościele św. Sulpicyusza, pędzlem sławnego malarza Landelle. Przedmiotem jego śmierć św. Józefa. Święty leży na śmiertelnéj pościeli, w ubogiéj izbie; zawieszone przy nim ciesielskie narzędzia, świadczą o zwykłéj jego pracy. Po prawéj stronie łoża klęczy Marya; trzyma skrzepłą już rękę konającego. Z prawéj strony, Chrystus młodziuchny jeszcze, odziany w białą powłóczystą szatę, ujął drugą rękę opiekuna i przemawia doń słowem otuchy. W głębi klęczy grono pobożnych niewiast. Podczas gdy łzy płyną na ziemi, w niebie panuje radość. Aniołowie zbiegają z góry, jeden z nich spłynął już nad wezgłowie, aby podjąć na skrzydła duszę rozwiązaną z pęt ziemskich.

Chrystus w grobie, pana Sellier, ściąga téż powszechną uwagę. Na płycie kamiennéj, w ciemnym lochu, leży ciało tylko co zdjęte z krzyża. Aureola bijąca z czoła, oświeca tajemniczo noc grobową. Wyraz oblicza pełen spokoju, ma charakter prawdziwie Boski.

Z pomiędzy obrazów treści biblijnéj najwymowniejszy Samson pana Lehoux. Bohatér izraelski tylko co rozerwał krępujące go pęta. Strącił już ze schodów jednego ze stróżów więziennych; pochylony naprzód, silnemi rękoma pochwycił wpół drugiego. Trzeci dozorca ukryty za firanką, pogląda z niemém przerażeniem, pewny że i jego nie minie los podobny. Pyszny ten obraz, wykonany z niepospolitym talentem. P. Lehoux, bardzo jeszcze młody, jest od roku uczniem szkoły rzymskiéj; miłośnicy sztuki wróżą mu wielką przyszłość.

Cabanel wystąpił także z biblijnym obrazem, wykonanym nadzwyczaj świetnie. Absalon, przybrany w przepyszne wschodnie szaty,

siedzi na bogatém wezgłowiu. U stóp jego pochylona siostra Thamar, z rękoma rozpaczliwie zaciśniętemi. Skrzywdzona srodze przez Ammona, rozdarła szaty i przybiegła ukryć wstyd w domu brata. Oblicze Absalona bucha gniewem i pomstą; w postaci Thamary odbija najwyższa boleść. Obraz ten podpisany znakomitém imieniem, prawdziwą jest ozdobą wystawy.

Napół do historycznych, napół do religijnych przedmiotów należy scena z czasów prześladowania za Dyoklecyana, pędzla pana Sauzay. Po lewéj stronie widać na podwyższeniu cezara, otoczonego pyszném patrycyatem. Naprzeciw tronu klęczy młoda dziewica w bieli; długi płowy włos przysłania ją, niby złocisty welon. Podniosła głowę, oczy wlepiła w niebo. Po jednéj stronie dzieweczki stoi matka, wspaniała matrona rzymska: pokazuje córce złoty krzyżyk, z wyrazem silnego postanowienia; z drugiéj strony kapłan pogański ukazuje bałwany. Młoda chrześcianka nie waha się: raczéj śmierć niż odstępstwo. Kat z mieczem w ręku, czeka już na ofiarę, patrzy w oczy cezara, gotów spełnić natychmiast wyrok. Dramat oddany z wielką siłą i namaszczeniem

Przejdźmy teraz do obrazów czysto historycznych. Tu pochwyca uwagę piękny obraz Ziera: przedstawia on Julię, siostrę cesarza Lucyusza, skazanego na śmierć wyrokiem syna jéj Antonina. Wsparta plecyma o drzwi, dzielna Rzymianka wyciąga obie ręce ku zbirom: „Próżno—woła—szukacie Lucyusza; nie dosięgnąć go wam, chyba po trupie moim: zabijcież mnie, matkę wodza waszego!" Pyszna ta postać, w żółtéj tunice, przysłonięta błękitną draperyą, występuje z całym majestatem; żołnierze cofają sią przerażeni. Zier należy także do młodych artystów, rokujących piękne nadzieje.

Śmierć Seneki, pędzla Sylwestra, jednego z najmłodszych malarzy, oddana w sposób nadzwyczaj dramatyczny. Słynny mistrz Nerona, tylko co otworzył sobie żyły; krew zbiega z obu rąk w wielkie marmurowe naczynie. Bladość śmiertelna, rozportarta już na obliczu; mimoto konający z całém wytężeniem woli, zbiera ostatek sił: jedną rękę opuścił bezwładnie na ramię przyjaciela, drugą podniósł nakazująco w górę. Przemawia do uczniów; jeden z nich zapisuje na tablicy ostatnie słowa mędrca. Domownicy tymczasem wynoszą trupa małżonki Pauliny, która, aby nie przeżyć męża, zakończyła dni samobójstwem. Koloryt draperyi świetny, może nawet do zbytku: kształty ciała oddane z dokładną znajomością anatomii. Piękny ten obraz, nie podobał się realistom; według nich malarz „nagromadził tu wszystkie brzydoty rzymskie." Sąd innego był zdania: Sylvestre, otrzymał medal.

Inny malarz, Alzatczyk Schutzenberger przedstawił Nerona. Sam pomysł obrazu pełen oryginalności. Okrutnik, przed którym wszystko drżało, ucieka gnany postrachem, z palącego się Rzymu; pochwycił oburącz grzywę konia pomykającego lotem strzały. Za Neronem pędzi wcwał inny jeździec. Żołnierz na drodze przygląda się spłoszonemu cezarowi z podziwem i pogardą. Bardziéj jeszcze urągać się

zdaje trup rozciągnięty na ziemi, z rozwartém lecz zagasłém już okiem.

Z małéj liczby obrazów osnutych na dziejach Francyi, najznakomitszy wielki utwór pędzla p Puvis de Chavannes, przedstawiający królową Radegundę. Obraz to przeznaczony do sali ratuszowéj w Poitiers; w tém mieście bowiem trzynaście wieków temu, małżonka dzikiego Chilperyka, dawała opiekę poetom i uczonym. Augustyn Thierry podniósł z zapomnienia tę piękną postać; pędzel pana de Chavannes, tembardziéj spopularyzuje ją we Francyi. Radegunda ubrana po zakonnemu, siedzi po prawéj ręce w dziedzińcu klasztornym; przed nią stoi Fortunat gallo-rzymski poeta, odziany w żółtą togę, z pargaminowym zwojem w ręku, z którego czyta poetyczne utwory. Grono słuchaczy wlepiło wzrok w poetę. Scena to bardzo malownicza i wymowna, pełna wdzięku i prostoty, barwa czasu oddana z prawdziwie artystycznem poczuciem. Zarzucają mistrzowi temu koloryt wypełzły i jakby zatarty, realiści szydzą nielitościwie z jego prac; Puvis nie zważa na pociski krytyków, idzie drogą jaką sam sobie wytknął, protestując prawdziwie oryginalnemi obrazami, przeciw nadużyciom szkoły nowéj, która w kolorycie i gwałtownych efektach dramatycznych widzi jedynie ostatnie słowo sztuki. Obraz ten widzieliśmy w roku zeszłym naszkicowany kredą, wykończony dziś, odpowiedział zupełnie oczekiwaniom naszym.

Belgijczyk Wanters podjął ustęp z kroniki gandawskiéj, tyczący się wielkiego malarza flamandzkiego z XV wieku. Obłąkany *Van der Goes*, siedzi na piérwszym planie w szaréj szpitalnéj odzieży; obie ręce zacisnął konwulsynie na kolana, zęby ma ścięte, rysy wykrzywione w przerażający sposób. Po jednéj stronie dziatwa ze służby kościelnéj śpiewa chórem pobożne pieśni, z drugiéj dwaj dominikanie, kapelmistrz i przeor wlepili baczny wzrok w nieszczęśliwego, czekając rychło iskierka zbudzi się w zmąconym umyśle, pod czarodziejskim wpływem muzyki.

Pomijamy inne mniéj więcéj udatne obrazy historyczne, aby czemprędzéj przystąpić do Zygmuntowskiego dzwonu Matejki. Mniejszy on nierównie rozmiarami od tych wszystkich utworów mistrza, które dotąd imponowały na paryzkich wystawach; pod względem przecież wykonania, żadnemu z nich nie ustepuje. Jest on niewątpliwie ozdobą wystawy tegorocznéj.

Publiczność uderzona świetnością kolorytu i mistrzowstwem pędzla, zatrzymuje się tłumnie przed tym obrazem, lubo nie pojmuje dziejowéj jego doniosłości. Inaczéj przemawia do nas stary spiżowy Zygmunt! Widzimy jak po prawéj ręce, pochyleni ku ziemi robotnicy ciągną go z mozołem na wysoką wieżycę Wawelu, zkąd wygłasza wieści od trzech wieków. Starszy cieśla z rękoma podniesionemi w górę, kieruje pracą swoich braci cechowych. W pośrodku sceny stoi biskup otoczony duchowieństwem. Po lewéj ręce siedzi na tronie królowa Bona, w pełnym kwiecie urody, odziana w bogaty złotogłów, w szkar-

łatnym kołpaczku na głowie. Mała królewna Anna tuli się do boku matki. Po lewicy Bony stoi król Zygmunt w szkarłatnéj, złotem przetykanéj odzieży, obłożonéj sobolem. Postać króla poważna, spokój panuje na obliczu. Rękę oparł na jasnéj główce małego Zygmunta Augusta. Poza królową skupione tłumnie matrony i dziewice dworskie; poza królem dostojnicy koronni. Na piérwszym planie klęczy kilka dziwnie pięknych postaci, w futrach i aksamicie; żałujemy, że artysta nie oznaczył w katalogu ich nazwisk i godności. Wszyscy utkwili oczy w dzwon podnoszący się w górę. Słońce południowe oblewa grupę całą, królewska zwłaszcza rodzina zdaje się tonąć w aureoli światła, tak wymownie charakteryzującéj zorzę Zygmuntowskiéj epoki!

Z prawdziwą przyjemnością spostrzegliśmy w jednéj z wielkich sal piękny obraz pana Wojciecha Gersona. Niepotrzeba go szukać, wpada on sam w oczy świetnym kolorytem i dramatyczną siłą kompozycyi. Francuzi zatrzymują się przed nim, patrzą z westchnieniem na protoplastów téj złowrogiéj potęgi, co niedawno, acz bez zbroicy żelaznéj i bez krzyża na płaszczu, powtórzyła nad Sekwanną i Loarą, toż samo, co praojce czynili nad Wisłą i nad Niemnem, owego zakonu, którego

. . . . . Siła żadna nie ugłaszcze!
Tyle ziem, złota, wepchnęli mu w paszczę,
On wiecznie głodny, choć pożarł tak wiele:
Na resztę łupu rozdziera gardziele! (*Grażyna*).

Żałowaliśmy, że tych słów wieszcza naszego nie było w katalogu. Jakieżby one znalazły odbicie w sercu Francuzów, do których sam obraz tak już silnie przemówił.

Wymowny to obraz w rzeczy saméj. Straszny ten krzyżak w szacie krwawo czerwonéj, z krzyżem na piersiach jakby na urąganie, co nogą depcze po trupie człowieka, ręką pochwycił przez pół, młodą, przerażoną niewiastę. Maleńkie dzieciątko w koszulce, porzucone na ziemie, podnosi jeszcze stronę dramatyczną. Wybornie téż obmyślany drugi krzyżak na koniu, poglądający szyderczym wzrokiem. Złupione klejnoty, które pochwycił w garść, wystarczą mu za wszelką inną zdobycz! Szare północne niebo, wybornie harmonizuje z całością pięknego obrazu.

Rzućmy teraz okiem na mitologiczne utwory. Jest między niemi kilka bardzo pięknych. Tém więcéj one zajmują, że wyszły z pod pędzla młodych uczniów szkoły francuzkiéj bądź w Paryżu, bądź w Rzymie. Ci młodzi malarze obierają mitologiczne przedmioty, nie z samych tylko klasycznych popędów, jakie w nich rozwija widok starożytnych arcydzieł. Ważną téż dla nich pobudką jest chęć okazania biegłości anatomicznéj, do czego półobnażone ciała półbogów olimpijskich nastręczają sposobność.

Młody uczeń szkoły paryzkiéj, Delobbe, zaszczycony w zeszłym roku złotym medalem, otrzymał i teraz podobną nagrodę za prawdziwie piękną scenę z poematu Owidyusza: Pyram i Thizbe. Przebity Pyram leży na piérwszym planie, z głową na ramię przechyloną. Thizbe poznaje w trupie kochanka: jednę rękę przykłada mu do rany, drugą obejmuje martwą głowę. Postawa jéj pełna prostoty, rysy prześliczne, draperya lekka, rzucona śmiałym pędzlem. Obie postacie jasno odbijają na tle nocy, oświecone bladém światłem księżyca.

Uczeń szkoły Rzymskiéj Ferier, przysłał także scenę z Metamorfoz, *porwanie Ganimeda*. Orzeł z rozportartemi skrzydły unosi pod obłoki pięknego młodzieńca, na którego obliczu zachwyt łączy się z żalem. Tęsknemi oczyma ogarnia on brzegi ojczystéj Grecyi, zrumienione poranną zorzą. Wiatr odrzuca w tył fałdy draperyi, odsłaniając ciało wymodelowane biegłym pędzlem.

W głębszéj starożytności szukał natchnienia młody malarz Cormon, przed dwoma laty potrącił on już o mity starożytnych Hindów, odtwarzając z poematu Ramayana postać uroczéj Syty. Z tegoż samego poematu, przedstawia dzisiaj *śmierć króla Rawany*. Na szerokiém pobojowisku leży trup bohatéra, grono niewiast otacza go w około. Piękne małżonki, przybrane po wschodniemu, zawodzą nad poległym: głowy ich śliczne, postawa pełna wdzięku, koloryt harmonijny. Sąd przysięgłych przyznał młodemu artyście nagrodę, jaką od roku rozporządza: 4000 franków rocznéj pensyi, z obowiązkiem odbycia dwóletniego kursu w Rzymie. Krytycy szkoły realistycznéj oburzeni tém bardzo, przeznaczali bowiem tę nagrodę panu Becker, za jego *Wisielców*. Sąd inaczéj nią rozporządził: Becker żadnego nie otrzymał medalu.

Z pomiędzy mitologicznych zasługuje także na uwagę, piękny obraz p. Gendron: *Dziękczynna ofiara Eskulapowi*. Widzimy tu na piérwszym planie młodą dziewicę grecką, wracającą do zdrowia. Przyniesiono ją na noszach do progu świątyni. Odziana w białą szatę, lekko przysłonięta purpurą, lica ma blade, oko zapadłe. W ręku trzyma zielony wieniec. Matka pochylona po nad wezgłowiem, utkwiła oczy w córkę. Jedna siostra niesie skrzyneczkę, druga zasłania chorą od światła. Po drugiéj stronie spoczywa znużony ojciec, daléj stara babka wlecze się zwolna podparta kijem. Na boku leżą trzy koguty ofiarne i pęki kwiatów. W otwartych drzwiach świątyni, ukazuje się kapłan. Cały układ pełen wytwornego smaku; barwy jasne, godne greckiego nieba.

Stypendysta szkoły rzymskiéj p. Merzon, nadesłał alegoryczny obraz wielkich rozmiarów, ściągający powszechną uwagę; tytuł jego: *Ofiara dla ojczyzny*. Na ołtarzu podpisanym *Patria* leży martwe ciało poległego młodzieńca, pokryte ciemną draperyą. Po lewéj ręce niewiasta w żałobie, z przechyloną w tył głową, zaciska ręce rozpaczliwie: to nieszczęśliwa matka! Obok niéj stoi symboliczna postać wiary, uosobiona w niewieście, z ofiarniczym kielichem w ręku. Po dru-

giéj stronie Sława, odziana czerwoną draperyą, dmie w trąbę na cześć bohatéra; wydęte policzki téj Sławy śmiesznie raczéj, niż estetycznie wyglądają. Dziwnie z resztą wydało nam się owo połączenie chrześcijańskich i pogańskich tradycyi. U stóp ołtarza przechodzi geniuszek w postaci skrzydlatego dziecka, z wielką tablicą noszącą napis: *Bella matribus detestata.* Geniuszek ten przypomina jednego z aniołków Rafaela u stóp Madonny Sykstyńskiéj. Wykonanie obrazu lepsze nierównie, aniżeli sam pomysł.

Mniejszy rozmiarem, ale wyższy według nas harmonią, obraz Ywona, przedstawiający tenże sam prawie przedmiot. Juliusz Cezar w wieńcu bluszczowym i purpurze, dosiada tryumfalnie bieguna odzianego tygrysią skórą. W ręku piastuje kulę z napisem *Roma.* Koń Cezara depcze po trupie jasnowłosej Germanki. Niewolnicy, przytroczeni za szyję do kity końskiéj, wloką się mimo rozpaczliwego oporu. Przed Cezarem postępują dwie niewiasty w białych zasłonach z podniesionemi w górę kosami; dwie Persefony, straszne żniwiarki śmierci. Bellona z rozpostartemi skrzydły, wzlata nad krwawym bohatérem, w prawicy jéj połyska miecz, w lewicy zapalona głownia. Śladem jéj leci chmara łaknących kruków. Na lewo, do stóp strzaskanéj kolumny, tuli się niewiasta z niemowlęciem na ręku. Grupa żołnierzy stąpa w milczeniu za Cezarem, wśród nich poeta zwieńczony w bluszcz, opiewa chwałę tryumfatora. Całe dzieje Rzymu czytamy na tém płótnie!

Ywon przedstawił także piękny portret hrabiny Caen. Wykonał go w hołdzie wdzięczności dla donatorki, która zapewniła los początkującym artystom, zaczém zdobędą wziętość i sławę. Przed nią leży na stole testament obejmujący słowa: „Artyści malarze, rzeźbiarze i architekci, wysłani przez rząd na naukę do Rzymu, przez lat trzy za powrotem, otrzymywać będą rocznie po cztery tysiące franków." Obraz ten pomieszczony będzie w bogatém muzeum, ofiarowaném przez hrabinę akedemii francuzkiéj. Każdy z udarowanych malarzy, wypłaci się akademii darem jednego obrazu, każdy rzeźbiarz darem popiersia albo grupy. Łatwo pojąć, jakie rozmiary przybierze kiedyś muzeum hrabiny Caen.

Liczba portretów na wystawie bardzo wielka. Za arcydzieło pomiędzy niemi uważają powszechnie portret pani Pasca artystki dramatycznéj, wykonany śmiałym pędzlem Bonnata. Ten to sam malarz przedstawił w roku zeszłym Chrystusa na krzyżu, utwór świadczący o niesłychanéj biegłości pędzla, ale zarazem ohydny realizmem. W tym roku p. Bonnat na właściwą wszedł drogę. Postać artystki w białéj sukni, okładanéj czarném futrem, przedstawia się prawdziwie majestatycznie. Taki majestat umie pojąć i oddać doskonale p. Bonnat. Ciało wymodelowane umiejętnie, draperya rzucona śmiałą ręką.

Dwa portrety Karolusa Durana, nagrodzone medalem, ściągają téż powszechną uwagę. Jeden przedstawia córeczkę malarza, trzyletnie dziecko strojne przesadnie w aksamity i atłasy, z bardzo pięknym

charcikiem; drugi kobiétę średniego wieku, nie nazbyt urodziwą, śmiejącą się tak, iż odkrywa obadwa rzędy zębów, jakby dla pokazania, że je szczęśliwie zachowała. Duran szuka zawsze dziwacznych efektów, pięknych lub szpetnych, byle tylko bijących w oko. Wśród licznych portretów znakomite zajmują miejsce utwory Cabanela, Giacomottego, panny Nelie Jaequemart, Dubufla, Hennera, Heberta, Lepagéa, i innych których wyliczyć trudno. Pan Rodakowski przedstawił dwa prawdziwie piękne: jeden brata swego, drugi hrabiny J. D. zapewne Polki, łatwo zgadnąć to z rysów i układu. Zwrócił też uwagę naszą portret p. Berthier, przedstawiający hrabiego Gurowskiego, małżonka infantki hiszpańskiéj.

Do portretów zaliczymy dwie wielkie figury niewieście, panów Goupil i Jacquet, obie widocznie odtworzone z natury. Pierwszy ukazuje elegantkę z czasów dyrektoryatu w ogromnym kapeluszu z piórami, sukni szkarłatnéj; drugi młodą kobiétę zadumaną, opartą niedbale w krześle, strojną w aksamit ciemno-amarantowy. Dzięki zapewne świetnemu kolorytowi i wybornie oddanym draperyom, obu malarzom przysądzono medale złote.

Mówiliśmy szczegółowo w roku zeszłym o prześlicznym portrecie podeszłéj matrony, wykonanym przez pannę Izydorę Mikulską. Otóż w tym roku dodać możemy, iż artystka ta nietylko że odpowiedziała nadziejom naszym, ale co więcéj przeszła wszelkie oczekiwania. Portret młodéj szesnastoletniéj panny, wykonany jéj biegłym pędzlem, ściąga powszechną uwagę, nietylko publiczności, lecz wymagających nawet krytyków. Pan Charles Clement sprawozdawca Debatów, tak oszczędny w pochwałach, który z pomiędzy trzechset portretów, zamieszczonych na wystawie, wymienił zaledwie dwadzieścia, nie pominął pracy panny Mikulskiéj, przyznając artystce znakomity talent. Śliczny w rzeczy saméj ten portret, tchnący wiosennym urokiem młodości! Biust odsłonięty dzięki sukni balowéj, oddany wybornie, równie jak ręka obnażona od ramienia. Piękny model dodał niewątpliwie bodźca artystce naszéj, ale z drugiéj strony nastręczał nie małe trudności. Ktokolwiek ma pojęcie o sztuce, wie dobrze, jak trudno pochwycić wyraz w młodzieńczych rysach, na których życie nie wyżłobiło jeszcze śladu. Panna Mikulska wyszła jednak zwycięzko z trudnéj próby. Umiała oddać na tém gładziuchném czole, nie przyćmioném jeszcze żadną chmurką, pełny wdzięk pogody majowéj. Wszystko w tym obrazie zacząwszy od płowych włosów, lekkich jak puszek, do szerokich draperyi atłasowych, pokrytych przejrzystą illuzyą, wszystko prześlicznie wykonane.

Panna Mikulska nie poprzestała na tym pięknym portrecie; przedstawiła jeszcze fantastyczny obraz mniejszych rozmiarów: młodą prządkę, uśpioną przy kołowrotku. Dzieweczka wsparta o poręcz krzesła, wdzięk ma nieporównany; z pod długich rzęsów, snadno odgadnąć płomieniste oko, drobne usteczka lekko się uśmiechają, niby

w odpowiedź na sny, rojące się w téj główce zręcznie w tył pochylonéj, pokrytéj malowniczym czepeczkiem.

W pracowni artystki naszéj widzieliśmy téż bardzo piękną kopię Madonny Rafaela z muzeum Luwru. Obraz ten wkrótce zobaczy i oceni Warszawa. Widzieliśmy również, tylko co podmalowany portret ślicznéj pięcioletniéj dziewczynki: będzie to prawdziwe pieścidełko.

Rzućmy teraz okiem na krajobrazy. Wśród wielu bardzo pięknych, pędzla Daubignego, Français i tylu innych, uderzają trzy prześliczne pejzaże Corota. Jeden przedstawia chłopka rąbiącego drwa w lesie; drugi, taniec starożytny, trzeci polankę leśną. Ostatnie to prace nieodżałowanego mistrza, niezupełnie nawet wykończone. Jakiż tu ruch, jakie życie obok głębokiego spokoju! Jak tu powietrze lekko powiewa po tych konarach drzew, malowanych szerokiemi planami, tak jak się przedstawiają o świcie lub o zmierzchu wieczornym; wiadomo że idealista Corot, nie lubił południowych słońca promieni. Jak te obłoczki kołyszą się na niebie, jak ta rosa cichutko spada, zda się że słychać nawet szelest listeczków i szum trawy!

W chwili gdy to piszemy wystawiono właśnie na widok publiczny dwieście pięćdziesiąt dzieł Corota. Nadesłali je prywatni właściciele ze wszystkich stron Francyi, równie jak miasta Rouen, Lille, Douai, Bordeaux i t. d. ze swych prowincyonalnych muzeów. Jest to zaledwie cząstka prac tego mistrza; mnóstwo ich przeszło w dalekie świata strony, najwięcéj za morze: do Anglii i Ameryki.

Wystawa tych licznych krajobrazów wykonanych w ciągu lat czterdziestu, równie ciekawa jak pożyteczna dla młodych artystów. Widać tu, jakiemi drogami wielki malarz dochodził do tego wzniosłego stanowiska w sztuce, które świat mu nakoniec przyznać musiał. Nim Corot począł rzucać na płótno owe lekkie szkice, dziś zasypywane złotem, zbadał on wprzód doskonale wszystkie tajemnice sztuki i natury. Naśladowcy jego niedosyć pamiętają o tém, że wytrawnym mistrzom szkicować tylko wolno.

Połowa dochodu z téj wystawy, przeznaczona na korzyść Towarzystwa wzajemnéj pomocy artystów, druga na grobowy pomnik dla zmarłego.

Ale czas nam powrócić do salonu. Jak mówiliśmy powyżéj, wystawa tegoroczna nadzwyczaj bogata w rodzajowe obrazy. Do rzędu ich zaliczymy także większą część wojennych, z czasu ostatnich wypadków we Francyi. Wielkie bitwy jak Werneta i Ywona, zaniechano dziś prawie zupełnie. Smak powszechny upodobał sobie owe drobne epizody, uwydatniające zapał i poświęcenie jednostek. Łatwo to sobie wytłumaczyć. Ostatnia wojna nie przedstawia ani jednéj bitwy uświetnionéj tryumfem oręża francuzkiego, godnéj przedstawienia na płótnie szerokich rozmiarów; nie brak w niéj przecież bohatérskich czynów i ofiar, czyniących zaszczyt zwyciężonemu narodowi. Takie to chwile podejmują malarze dzisiejsi Neuville, Belluveur, Detaille, odtwarzając je z nieporównaném życiem. Ci trzej mistrze, zrodzeni

z ostatnich klęsk Francyi, zjednali sobie w kraju prawdziwą popularność.

Neuville, który w zeszłym roku zachwycił publiczność ostatnim Kartuszem, w tym roku prześcignął sam siebie: bitwa pod Villersexel, to w rzeczy saméj, arcydzieło w swoim rodzaju. Rzecz dzieje się w styczniu w roku 1871, na rynku małego miasteczka. Dachy pokryte białym śniegiem, niebo ciemne jakby ołowiane, bezlistne drzewa sterczą opodal, istny rząd kościotrupów. Na ciemném tle nieba przebiegają kule, niby ogniste meteory, od rynku widać w perspektywie uliczkę wązką, między dwoma ścieśniętemi rzędami domów; w owych domach zabarykadował się nieprzyjaciel: z okien miota w rynek karabinowe strzały.

Główny dramat odbywa się na lewo przy starym murze. Francuzcy wiarusi podkładają ogień, chcą z dymem puścić miasto, aby wypłoszyć wroga. Mobile odrywają drzwi z zawias, rozwalają stajenki i drewniane domostwa, ciągną taczkami pęki chrustu, biegają z głownią zapaloną, strzały tymczasem sypią się na nich jak grad. Trupy zasłały ziemię; plamy krwi czerwienieją na śniegu. Scena ta nadzwyczaj żywotna i dramatyczna, niesłychane sprawia wrażenie.

Boerne Bellecour przedstawił bitwę w Malmaison, pomiędzy tyralierami łatwo rozpoznać portrety malarzy Viberta, Leloira i zacnego twórcy obrazu, który brał czynny udział w téj pamiętnéj wycieczce. Opodal widać piękny pałacyk cesarzowéj Józefiny.

Pułk maszerujący bulwarem Detailla, powszechną téż ściąga uwagę. Gawiedź uliczna brnie po grudniowym śniegu, aby się przyjrzéć swoim przyszłym obrońcom, dziatwa w pląsach biegnie przed wojskiem.

Pogląd szczegółowy na te setki obrazków rodzajowych tryskających życiem i prawdą, które co krok napotykamy na tegorocznéj wystawie, zanadtoby rozszerzył ramy naszego sprawozdania. Musimy je z konieczności pominąć. Powiemy tylko, że wielka liczba obrazków z życia ludu roboczego, świadczy wymownie o demokratycznym kierunku sztuki. Wielu krytyków ubolewa nad ogólnym dziś popędem, przypisują go rozmaitym przyczynom: to lenistwu artystów, którym trudno zdobyć się na wielkie pomysły, to chciwości zysku a przez to samo schlebianie ogółowi rozmiłowanemu w tego rodzaju utworach. Ale zkądże pytamy to ogólne rozmiłowanie? I któżby w niém nie odgadł tego silnego prądu, co porywa ludzi w chwili danéj, pokazując im nowe widnokręgi? Przeczuwają artyści, przeczuwa ogół, że siła Francyi polega na pługu, że duszą narodu nie on błyszczący Paryż, tak gwarliwy, tak zgorączkowany, ale wieśniacza strzecha, z owym ludem zrosłym z ojczystą glebą, zamiłowanym w pracy; z owym ludem, który nie zwątpił nigdy o przyszłości, bo czuje własną siłę, bo wsparty nogami na ziemi ojców, oczy i serce podnosi z wiarą w niebo!

Powszechne upodobanie w obrazkach wiejskich, objawia się w sposób wymowny, pochopnością, z jaką je ogół rozkupuje. Dość tu

przypomnieć publiczną sprzedaż po malarzu Milecie w połowie maja. Za czterdzieści obrazków przedstawiających lud wieśniaczy, z normandzkiéj wioski Greville, gdzie malarz przemieszkiwał, zapłacono 337,000 franków. Przedwczesna śmierć Mileta, malarza prządek, drwali i pastuszków, wcale nie arkadyjskich, lecz normandzkich, z ciałem i duszą; prawdziwą jest klęską dla sztuki. Są jednak pomiędzy żyjącymi nieporównani mistrze w tym rodzaju. Wszystkich prześcignął Juliusz Breton, gorący miłośnik ludu wieśniaczego; to téż w długim szeregu utworów rodzajowych na wystawie, obraz jego świeci niby perła przeczystéj wody. Przedstawia on *Ognie Świętojańskie*, jak mówi napis, po naszemu *Sobótkę*. Pomrok wieczorny zapadł, zorza niegasnąca w téj porze słabo tleje w oddali. Na piérwszym planie, dziewczęta, trzymając się za ręce, opasały wieńcem ognisko. Jakaż to radość wytryska z tych lic hożych, jakaż to swoboda w ich ruchach! Zda się, że słyszysz piosenkę, co wybiega z ich krzepkich piersi przez półotwarte usta. Grono parobeczków przyśpiewuje opodal, bijąc o ziemię podkówkami. Matki i ojcowie siedzą na uboczu, patrzą na pląsające grono: za tém kołem drugie i trzecie i dziesiąte, płoną coraz to słabiéj, coraz daléj, aż nikną wszystkie na mglistym widnokręgu. Sierp miesięczny przyświeca z góry, łącząc harmonijnie srebrne światło z łuną sobótkowych płomieni.

Przed laty trzema, Juliusz Breton otrzymał honorowy medal za wieśniaczki u zdroju. W Sobótce prześcignął on jeszcze sam siebie. Breton jest zarazem poetą słowa, równie znakomitym jak malarzem. Dotąd nie wiedział nikt o tém we Francyi, aż tu nagle ukazuje się w tym roku, zbiorek poetycznych jego utworów, pod tytułem *Pola* i *Morza*. Są to maleńkie obrazki pełne wdzięku i kolorytu, podobne zupełnie do tych jakie artysta rzuca na płótno z niezrównaném życiem i prawdą. Przytaczamy z nich w przekładzie *Ogień Świętojański*, wierny komentarz do wspomnionego wyżéj obrazu.

Drzemią sierpy w komorze,
Pomrok zapadł, noc blizka;
A dzieweczki tam hoże
Tańczą w okół ogniska.
Ptak do gniazda się chowa,
Lasy, pola, już głuchną;
Tylko zorza czerwcowa
Świeci ziemi bledziuchno.
Przez tumany mgły ciemne,
Na przestrzeni szerokiéj,
Wkoło widzę tajemne,
Pląsających poskoki.
Gdy dziewczątko urocze,
Wiotką kibić przechyla,
Z bark chusteczka furkocze,
Jak skrzydełka motyla.

Pieśń radosnym brzmi chórem,
Iskra iskrę potrąca;
Błysł na niebie ponurem,
Sierp srebrzysty miesiąca.
Stoją chłopcy na boku,
W jedno grono skupieni;
Przyśpiewują w pomroku,
Jak rój brzmiących szerszeni.
O kij wsparta babina,
Wlecze kroki powoli;
Tęskno w duszy wspomina
Dnie dziecięcéj swawoli!
A nietoperz co z wieży,
Na świat nocą zbiegł czarną,
Spłoszon pieśnią młodzieży,
Zbiegł w kryjówkę cmentarną!
Póki starczy płomieni,
Pląsaj dziatwo szczęśliwa;
Gdy brzask niebo zrumieni
Pójdziesz z sierpem do żniwa!

Oto jeszcze sonet Bretona *Do rodzinnéj doliny*, którą tylekroć odmalował już pędzlem. Odbita w nim jakby w zwierciedle jasna dusza malarza poety.

Piękna moja dolino! gdy przez tuman rosy,
Zachodzący promyczek w dzwonnicy odbłyska;
Gdy kłonią się ku ziemi rozmodlone kłosy,
I dym jak z kadzielnicy bucha z trzęsawiska.

Gdy po łące zielonéj, rój dzieweczek bosy,
Z pękiem chust od rzeczułki wraca do ogniska;
Kiedy wietrzyk swawoli z długiemi ich kosy:
Jam nad to cudniejszego nie widział zjawiska.

Inni, gdy chcą o innym niechaj marzą cudzie,
Niech szarpią się szaleńcy w gorączkowym trudzie:
Twa piękność nie przemówi do ich duszy choréj!

Ty starczysz sercu memu, twój urok mnie żywi,
Chcę stąpać, gdzie stąpali ojcowie szczęśliwi;
Po tychże samych ścieszkach, letniemi wieczory!

Aby nie znużyć zbytecznie uwagi czytelnika, pozostawiamy do sierpniowéj kroniki, piękne rzeźby zgromadzone w liczbie sześciuset z górą w ogrodzie pałacu przemysłowego. Dział ten wystawy, bardzo

piękny i zajmujący. Honorowy medal przyznano p. Chapu za przepyszny posąg młodości, tworzący część niewykończonego jeszcze pomnika, dla malarza Regnaulta i innych uczniów szkoły sztuk pięknych, poległych w ostatniéj wojnie.

Wspomnimy tu jeszcze ogromny pomnik, pomieszczony w tych dniach na Polach Elizejskich, przed pałacem wystawy. Pomnik ten odlany ze śpiżu, dłuta znakomitego rzeźbiarza Cordier, przedstawia kolosalną grupę, składającą się z sześciu figur. W pośrodku stoi Krzysztof Kolumb z prawą ręką podniesioną do góry, jakby na podziękowanie Opatrzności za dzieło, jakie dano mu było wykonać. Lewą ręką ukazuje Amerykę na rozpostartéj przed nim mappie świata. Po jednéj stronie stoi Leon Diego, który osłonił Kolumba w obec podejrzliwéj inkwizycyi, Juan Perez de Marcheno, przełożony klasztoru w Probida, nieodstępny towarzysz wielkiego odkrywcy. Po drugiéj stronie biskup Las Cases, który opuścił kraj dla nawracania barbarzyńskich tubylców nowéj półkuli, obok niego inny misyonarz, opowiadający słowo Boże młodemu indyaninowi.

Miasto Mexico zamówiło ten wielki pomnik, wysoki na metrów dziesięć, ważący 150,000 kilogramów. Całość przedstawia się bardzo wspaniale. Po obu stronach piedestału piękne płaskorzeźby wyobrażają budowę pierwszego kościoła w Ameryce i wylądowanie Kolumba u brzegów meksykańskich.

Poraz pierwszy, odkąd piszemy kroniki nasze, przychodzi nam zapisać śmierć człowieka, dla którego oprócz głębokiéj czci, winnéj ludziom wielkiéj pracy i wielkiéj zasługi, zachowaliśmy jeszcze najżywsze uczucia uwielbienia i wdzięczności osobistéj. Mówimy tu o Fryderyku Eichhoffie, jednym z najznakomitszych filologów francuzkich, zmarłym 10 maja roku bieżącego.

Nie znaliśmy jeszcze osobiście Eichhoffa, kiedy przed dwudziestu laty, w początkach pisarskiego zawodu naszego, wpadła nam w ręce szacowna jego praca o literaturze ludów północnych. Zachęceni przez uczonego W. A. Maciejowskiego, wzięliśmy się do jéj przekładu. Znakomity nasz historyk rozszerzył sam ustępy dotyczące literatury ludów słowiańskich, aby uczynić dzieło tém ponętniejszém dla ziomków. Przed laty dziesięcioma Eichhoff dowiedział się o téj pracy naszéj. Odtąd datuje początek znajomości, która z jednéj strony przybrała charakter ojcowskiéj opieki, z drugiéj najgłębszéj czci i poszanowania. Ileżto przez te lat dziesięć przepędziliśmy wieczorów przy ognisku naszém, lub téż wspólnych przyjaciół! Przybycie Eichhoffa było zawsze prawdziwą ucztą duchową. Niewyczerpany w rozmowie, przywykły wieloletniém nawyknieniem do mówienia z katedry, dotykał z kolei rozmaitych przedmiotów, a każdy umiał podnieść do tych wyżyn, wśród których myśl jego krążyła bezustanku. Czy to opowiadał kilkakrotne wycieczki swoje za Alpy i Pireneje, czy podnosił niezrównane dzieła mistrzów włoskich, czy pomniki kastylskiéj architektu-

ry, czy cuda przyrody helweckiéj, słowa jego pełne życia i barwy, wnikały w myśl, porywały wyobraźnię. Dopierożto, gdy wpadł na tor literatury, która przez długi żywot była powszednim jego chlebem!

Z jakimże podziwem słuchaliśmy nieraz siedmdziesięcioletniego starca, powtarzającego całe ustępy z indyjskiéj Ramayany lub Mahabaraty, z perskiéj Zenda-Westy, z Niebelungów, z Eddy skandynawskiéj, lub ruskiéj pieśni o Igorze! Z jak wysoko krytycznym sądem porównywał on te dzieła geniuszu ludzkiego, wykazując w nich najściślejszy związek duchowy! Z jakąż głęboką erudycyą, a obok tego z jakiém życiem zapuszczał się nieraz w filologiczne badania, dowodząc braterstwa języków europejskich i pokazując w sanskrycie jednoczący je węzeł! W sądzie o ludziach jakże niewyczerpaną była jego pobłażliwość. Wielki pracownik, wysoko podnosił każdą sumienną pracę, każdą choćby drobną zasługę. Dobroć ta jednak nie pochodziła bynajmniéj ze słabości. Słyszeliśmy nieraz Eichhoffa, występującego energicznie przeciw realistom depczącym wszelkie tradycye, przeciw pisarzom wysokiego nawet talentu, podkopującym zasady moralności. Byliśmy obecni, jak przed kilkoma laty, na posiedzeniu Towarzystwa etnograficznego, rzucił z całą powagą rękawicę pani Klemencyi Royer. Patrzeliśmy kilka miesięcy temu, jak przyciśnięty już wiekiem, złamany chorobą, powstawał gorzko na zaślepienie akademii, że do grona swego przyjęła Dumasa, autora Dam kameliowych, półświatów i innych podobnych bezeceństw.

Widywaliśmy go do ostatniéj niemal chwili. Wigilią Nowego roku przepędził w naszém gronie. O północy zamieniliśmy życzenia; żal ściskał nam serce, bo zmiana rysów, bladość oblicza starca, głos jego złamany, niby dźwięk rozbitego dzwonu, zapowiadały nam zbyt wyraźnie, że rok ten ostatni będzie jego życia. Na pięć dni przed śmiercią, kiedy drzwi jego zamknięte już były dla obcych, widzieliśmy go jeszcze; uścisnęliśmy tę dłoń zacną i przyjacielską, posłyszeliśmy słabym głosem wyrzeczone błogosławieństwo: *Que Dieu vous bénisse!* Oto ostatnie słowa, wybiegłe dla nas z tych ust wpołowie już zamarłych.

Niech nam czytelnicy przebaczą ten ustęp kroniki, zabardzo tchnący osobistością, wbrew zwyczajowi naszemu. Mała liczba serc życzliwych, jaką liczyć możemy w gronie czytelników, zechce nam zapewne wyrozumieć, że mówiąc o zmarłym mistrzu i przyjacielu, nie mogliśmy zatrzymać się w karbach zimnéj obojętności, że pióro zadrżało nam w ręku, i nakreśliło więcéj niżbyśmy powiedzieć sami chcieli! Ale jakże tu nieodpłacić wdzięcznością téj szczeréj i niezmiennéj przyjaźni, jakiéj odebraliśmy tyle dowodów? Czytelnicy Biblioteki pamiętają zapewne ów list Eichoffa, zamieszczony na stronnicach jéj w roku zeszłym, list, którym uczony filolog wsparł nas tak dzielnie, przeciw pociskom pana Léger, rzucanym na nas we włoskich nawet czasopismach! Nie sama tylko przyjaźń, ale więcéj jeszcze uczucie sprawiedliwości, było powodem tego publicznego wystąpienia. Każdy

zrozumie, że tak uczony filolog jak Eichhoff, nie byłby narażał imienia swego dla przyjaźni, gdyby słuszność nie była za nim.

Rzućmy teraz okiem na długi a pracowity żywot zasłużonego męża. Fryderyk Eichhoff, jak świadczy imię jego i nazwisko, był z rodu Niemcem raczéj aniżeli Francuzem. Ojciec jego zamożny negocyant przeniósł się z Hamburga do Francyi, dla interesów handlowych. Fryderyk urodzony w Hawrze roku 1799, wychowany w szkołach paryzkich, naturalizowany późniéj jako obywatel Francyi, uważał się zawsze za Francuza. Pragnieniem jego było nawet, przetłumaczyć nazwisko swoje na Chennecourt. Śmierć syna w dziecinnych latach, odwiodła go od tego zamiaru. W czasach ostatniéj wojny, widzieliśmy, jak bolał nad klęskami ojczystéj ziemi. Był on, powtarzamy Francuzem, jeżeli nie z krwi, to z uczucia, wyrozumowania i charakteru.

Otrzymawszy stopień doktora literatury w roku 1826, poświęcił się zawadowi professorskiemu, a zarazem badał języki wschodnie, mianowicie źródłowy język sanskrycki. W rok potém, na uroczystém posiedzeniu Towarzystwa Azyatyckiego, pod prezydencyą księcia Orleanu (późniéj króla Ludwika Filipa), mową znakomicie wypowiedzianą, zwrócił na siebie powszechną uwagę. Książe wezwał go na professora własnych dzieci.

Po ustanowieniu monarchii lipcowéj, mianowany bibliotekarzem królowéj Amelii, Eichhoff oddał się pilnie nauce żywych języków. W roku 1837 zastępował sławnego Fauriela, na katedrze w Sorbonnie. W lat kilka późniéj, otrzymał katedrę własną w fakultecie Lyońskim, gdzie przez lat z górą dziesięć wykładał literatury zagraniczne. Opuścił ją dopiero w roku 1855, podniesiony na godność inspektora jeneralnego języków żywych, we francuzkich liceach. Usunięty po upadku Ludwika Filipa, w ostatnich jednak latach czerwca, powrócił do obowiązków inspektora i sprawował je aż do ostatniéj chwili.

Od roku 1825 rozpoczął Eichhof literackie prace, których szereg wynosi kilkadziesiąt tomów. Wydał nasamprzód obszerne *studyum nad Wirgiliuszem* w trzech tomach: wykazał tu stosunek literatury łacińskiéj z grecką; oznaczył wszystkie ustępy, w których Wirgili idzie w ślad starożytnych poetów helleńskich. W roku 1836 ogłosił znakomite dzieło, owoc kilkoletnich prac, *paralellę języków europejskich i indyjskich;* są to głębokie badania nad głównemi językami romańskiemi germańskiemi i słowiańskiemi: dzieło obejmuje cztery tomy in 4-to; tłumaczono je w Lipsku na język niemiecki. W roku 1839 napisał *Historyę języków* i *literatur słowiańskich*, z odniesieniem ich do sanskryckich źródeł. W roku 1840, wspólnie z filologiem niemieckim Suckan, wypracował *Dykcyonarz etymologiczny rdzennych wyrazów niemieckich;* w roku 1845 wydał dzieło o pierwotném pochodzeniu Scytów i Słowian; w roku 1850, *Legendę o życiu przyszłém*, przełożoną z sankrytu; w uczonym komentarzu, porównywa ją do legend Homera i Wirgillego; w roku 1852 drukował *Studya nad Nini-*

wą i *Persepolis;* w roku 1855, *Literaturę ludów północnych* znaną w polskim przekładzie; roku 1860 *Poezye bohaterskie Hindów*, stosunek ich do epopei greckich i łacińskich; w 1867 *Gramatykę powszechną indo-europejską*, porównanie języków greckiego, łacińskiego, gotyckiego, niemieckiego, angielskiego oraz języków słowiańskich pomiędzy sobą, z odniesieniem ich do sanskrytu.

Do tych dzieł pomnikowych, dodajmy jeszcze *Wypisy z klassyków niemieckich* i *angielskich*, każde z nich w trzech seryach; mnóstwo rozpraw treści lingwistycznéj i archeologicznéj, przekłady pieśni Wedy wierszem łacińskim, tłumaczenie pięknego hymnu do Boga, z Dzierżawina, a ogrom tych utworów będzie dla nas wymownym dowodem, ile człowiek jeden dokonać może, pracując z dnia na dzień, wytrwale, trzymając się wiernie jak Eichhoff, przepisu starożytnych: *Nulla dies sine linea.*

Powszechne uznanie było dla Eichhoffa, słuszną nagrodą za poniesione trudy. W roku 1837 zaszczycony krzyżem legi honorowéj, w dziesięć lat potém został członkiem akademii napisów i literatury. Za *Paralellę języków* otrzymał kilka medali honorowych od króla saskiego, od księcia pruskiego i od miasta Hamburga.

Mamy w ręku ostatnią rozprawkę Eichhoffa, w szczupłych objętą ramach o poemacie perskim *Szah-Nameh* Firdussego; nakreślił ją na kilka miesięcy przed skonem, z powodu pysznego egzemplarza nabytego w tych czasach w Anglii przez barona Rothschild. Dołączymy ją w przekładzie do sierpniowéj kroniki. Tém ona ważniejsza, iż jedyny rękopis jaki istnieje, pozostał w ręku naszém. Eichhoff dał nam tę pracę, z wyraźném życzeniem, abyśmy ją pomieścili w Bibliotece Warszawskiéj. Smierć autora nie pozwoliła nam zwrócić cennego rękopisu, który zachowujemy jako drogą pamiątkę.

W pierwszych dniach maja, miasto Orlean obchodziło doroczną uroczystość na pamiątkę cudownego oswobodzenia swego, za sprawą natchnionéj Joanny d'Arc. Z tą uroczystością połączyła się jeszcze inna. Miejscowe Towarzystwo Archeologiczno-Historyczne, zawiązane w roku 1850, zbierające się co lat pięć, rozdawało nagrody konkursowe. Oczekiwano ministra oświecenia, z tém większém upragnieniem, że Wallon jest autorem dzieła o dziewicy Orleańskiéj, uwieńczonego niedawno przez Akademią francuzką. Minister wymówił się jednakże zbytkiem zajęć; chciał zapewne uniknąć owacyi, jaka spotkałaby niewątpliwie tak zwanego *ojca rzeczypospolitéj*. Delegował w miejsce swoje professora Egger, słynnego filologa. W liczbie pięciu laureatów za prace archeologiczne dotyczące miejscowości, otrzymała medal panna Villaret, autorka pedagogicznéj rozprawy o wykładzie nauk i literatury w szkołach orleańskich.

Mowa pana Egger, pełna nowych pomysłów, zajęła w szczególny sposób uwagę naszą. Widzimy w niéj silnie rozbudzony popęd do odżywienia ducha narodowego, w źródłach czysto ludowych, popęd, który

wskazaliśmy powyżéj, mowiąc o rodzajowych obrazkach, z życia wiejskiego ludu. Egger oświadcza, iż z żywem pogląda zajęciem na zwaliska i napisy starych pomników, na odgrzebane kroniki i dokumenta, ale—mówi on—„są inne starożytności, jest inna archeologia, na którą uczeni, powodowani szczerym patryotyzmem, powinni zwrócić przedewszystkiém uwagę; pomniki téj archeologii spoczywają w języku, w starych wyrazach, przechowanych jedynie w ustach ludu".

Uczony filolog przytoczył wiele tych słów, wyrzuconych dziś z konwencyonalnéj mowy salonowéj, pozbawionych obywatelstwa w pięknéj literaturze. Stary dyalekt orleański, zamyka w sobie prawdziwe skarby, zasługuje przeto na dokładne zbadanie. Tém samém narzeczem przemawiał niegdyś Paryż, zaczem pod wpływem szkolnego pedantyzmu ogładził napozór, w gruncie zaś zubożył język praojców. Egger jako rodowity Orleańczyk, poleca uczonym ziomkom, słowy dawnego poety Ronsarda „ten poczciwy język macierzysty, tak dzielnie utworzony przez lud i dla ludu" a który przez tyle wieków nie znalazł przecież historyka. W dowcipny sposób szydzi lingwista, z nawału wyrazów greckich i łacińskich, w stylu archeologów; protestuje silnie przeciwko takiemu nadużyciu. Rzucone ziarno przyniesie owoc bez wątpienia.

Francya weszła na nową drogę. Zwątlona sztuczną atmosferą, w jakiéj żyje od dawna, zapragnęła skąpać się w tych krynicach, z których krzepkie wytryska życie.

Zrozumiał ten nowy kierunek poeta Manuel kiedy wyrzekł:

Lud, istny dąb, natura praw tu swych nie zmienia;
Sok żywotny do góry pędzi od korzenia.

W opactwie westminsterskiém, w miejscu gdzie spoczywają zwłoki Liwingstona, wmurowano okazałą płytę marmurową. Napis wyryty na niéj, streszcza w kilku słowach życiorys tego wielkiego człowieka, którym Anglia ma prawo się poszczycić.

Oto ów napis w dosłownym przekładzie.

„Sprowadzony z po za dalekich mórz, pobożnemi rękoma, tu spoczywa Dawid Liwingstone, misyonarz, podróżnik, filantrop.

Urodzony 19 marca 1813, zmarły 1 maja 1873 roku, we wsi Ulata w Chitambo.

W ciągu lat trzydziestu poświęcił on życie, z niezmordowaną usilnością, na szerzenie Ewangelii pomiędzy tubylcami, na odkrywanie sfer nieznanych, na wytępianie ohydnego handlu niewolnikami, w Afryce środkowéj gdzie te ostatnie nakreślił słowa: „Wszystko cokolwiek wypowiedzieć mogę w samotności mojéj jest to: Niechaj błogosławieństwo niebios spłynie na każdego człowieka, czyto Amerykanina, czy Anglika, lub Turka, który potrafi zagoić tę otwartą jeszcze ranę, toczącą społeczeństwo."

Po jednéj stronie wyryto napis z Ewangelii:

„Mam inne owce, które nie należą do téj trzody; muszę je także prowadzić a one posłuchają głosu mego.“

Na drugiéj stronie nakreślono dwuwiersz łaciński:

Tantus amor veri, nihil est quod noscere malim
Quam fluvii causas per saecula tanta latentes.

Zdaje się nakoniec, że po pięćdziesięcioletnich trudnościach i zwłoki Byrona dostąpią tegoż samego zaszczytu, i pomieszczone wreszcie zostaną w opactwie westminsterskiém. Wiadomo, że dotąd Byron leży w grobie rodziny Hucknall, przy opactwie Newsteadt, w hrabstwie Nottinghamm. Anglia ma jedyny tylko pomnik wieszcza swego, dzieła Torwaldsena, zdobiący bibliotekę kollegium w Cambridge.

Zawiązał się w tych czasach w Anglii komitet, w celu wzniesienia Byronowi monumentu godnego niepożytéj jego chwały. Na prezydenta wybrany minister Izraeli. Grono członków składają koryfeusze literatury angielskiéj, do najczynniejszych należy uwieńczony poeta Tenysson. Doniosłość artystyczna pomnika, zależeć będzie od udziału, jaki ogół zechce wziąść w suskrypcyi. Organizatorowie spodziewają się, że Grecya posypnie hojnie złotem, na cześć wieszcza, który pośpieszył tak szlachetnie bronić jéj niepodległości. Liczy niemniéj na Włochów, między którymi Byron przeżył długie lata wygnania.

Alboż to Anglia nie dosyć bogata, aby potrzebowała wdowiego grosza, ubogich Włoch i uboższéj jeszcze Grecyi? aby nie zdobyła się sama na pomnik dla poety, którego geniusz naznaczył własnym stęplem literatury obu półkuli świata, w pierwszéj połowie IX wieku. Nie idzie tu wcale o złoto, ale o dobrą wolę. Byron więcéj znalazł zwolenników i naśladowców po za obrębem kraju, aniżeli w własnym narodzie. Pomijamy już skandaliczne szały młodości; czas mógł zatrzeć w części ich pamięć, ale nie zatarł tych pocisków, któremi rozżalony poeta policzkuje bezustannie swój naród, a których ślad żywy pozostał w jego pismach; nie zatarł tego gorączkowego tchnienia, które powiewa ze słów wieszcza, tém niebezpieczniejsze, że przyobleczone w najcudniejszą formę. Anglicy czują gorzko urazę, wielka téż część narodu nie weźmie udziału w podpisach.

Jakkolwiekbądź nie braknie zasobu na okazały pomnik, ale czy komitet zdoła pomieścić go w opactwie westminsterskiém? pytanie to dotąd nierozstrzygnięte.

Świat artystyczny cieszy się dwoma ważnemi odkryciami. W Rzymie wynaleziono portret Rafaela, w męzkich latach, wykonany ręką mistrza samego. Dotąd znano tylko dwa portrety, przedstawiające go w pierwszym rozkwicie młodości. Jeden wyobraża śliczną głowę, znaną powszechnie z rycin, drugi pomieszczony w obrazie *szkoły ateńskiéj*, przedstawia téż główkę, wychyloną z poza ramienia Peruggina. Odkryty obecnie portret, znajduje się w Watykanie, należy do Monsi-

niora Marcelo Massarenti, właściciela drogocennych zbiorów. Rafael, z twarzą obróconą wprost, w czarnym bireciku na głowie, okazuje na nim około lat trzydzieści wieku. Portret malowany na drzewie, ma wysokości 64 centimetry, szerokości 47, był jak widać kilkakrotnie restaurowany. Na lewo monogram R. U. Malarze włoscy dzielą się jeszcze w zdaniach, co do autentyczności tego portretu. Sławny archeolog Visconti, równie jak prezes Akademii św. Łukasza, utrzymują że jest dziełem samego Rafaela. Na poparcie tego, Francuzi przytaczają nowy dowód. Passavent w monografii Rafaela, cytuje list jego własnoręczny do malarza Francesco Francia, pisany we wrześniu 1508 roku. Rafael dziękuje dawnemu mistrzowi swemu, za przysłany mu portret, przeprasza zarazem, że nie ukończył dotąd własnego wizerunku, rozpoczętego już od dawna, gdyż zarzucony jest pracą, a nie chciałby zdać na uczniów, wykończenia akcessoryi; pragnie aby całość wyszła z pod jego pędzla.

Drugiém ważném odkryciem jest posąg św. Jana Chrzciciela, znaleziony kilka miesięcy temu, w pałacu Rosselmini Gualandi w Pizie. Zrazu dzielono się też w zdaniach. Jedni przypisywali go Michałowi Aniołowi, inni Donatellemu, lub rzeźbiarzowi Motteo Civitali. Komissya złożona z artystów, amatorów, i krytyków biegłych w swoim zawodzie, uznała dziś stanowczo ten posąg jako dzieło Michała Anioła. Święty Jan Chrzciciel wyobrażony dzieckiem. Wielki artysta wykonał to dzieło w pierwszéj młodości.

Stóletnia rocznica.

W dniu 29 kwietnia r. b. przypadała setna rocznica urodzin księdza Jakóba Falkowskiego, któremu byt swój zawdzięcza Instytut Głuchoniemych w Warszawie. Drugiego przeto maja, jako w dniu niedzielnym, odbyła się uroczystość temu wspomnieniu poświęcona, w kółku jakby rodzinném, bo brali w niéj udział tylko miejscowi professorowie, uczniowie, przedstawiciele prassy warszawskiéj i kilku osób z grona obywateli zaproszonych.

Obchód rozpoczął w głównéj sali Instytutu o dziesiątéj rano ks. *Teofil Jagodziński* vice-dyrektor instytutu, improwizowaną przemową, któréj wysłowieniu ustnemu towarzyszyła mowa migowa, zrozumiana dobrze przez zgromadzoną licznie drużynę uczniów i uczenic.

W wyrazach serdecznych duchowi chwili odpowiednich, szanowny mówca wskazał ową promienną *postać* miłości i poświęcenia się, która sprawiła, że *głusi słyszą, i niemi mówią.*

Po ukończoném nabożeństwie dyrektor *Jan Papłoński* skreślił dzieje tego instytutu, które zarazem były dziejami żywota tego, którego pamięć właśnie święcono. Usłyszeliśmy z własnoręcznego dzienni-

ka ks. Falkowskiego, obszerne ustępy, które w całym blasku prawdy, z naiwną prostotą pokazały zebranym wydatną postać tego dobroczyńcy społeczności naszéj, jego poświęcenie, walkę z przeciwnościami, jakie przełamywał gorącą miłością bliźniego.

W zakończeniu dziejów instytutu i życiorysu ks. Falkowskiego, usłyszeliśmy te słowa:

„Duchu czystości i prawdy! cześć Ci w dniu dzisiejszym wdzięczna potomność oddaje. Niech gwiazda twoja, wszystkim następcom twoim przyświeca. Oby żaden z nich, z dziedzictwa twego nic nie uronił, a każdy na łaskę Bożą, równie jak *Ty*, i dla siebie i dla tego zakładu, zawsze zasłużyć się starał."

Z głębi serca zacny dyrektor to mówił, bo mu głos zadrżał i załzawiły się oczy. Sam należycie oceniał wielkie zasługi zgasłego męża, potrzebę niezłomnego poświęcenia, idąc tak dobrze jego śladami, ażeby z pozostawionego dziedzictwa świątobliwego kapłana, *nic nieuronić*.

Był to obchód rzewny i do głębi serca poruszający; widzieliśmy w oczach wszystkich łzy szczere, a rzęsiste i bolesne spływały po obliczach matek i ojców, którzy tu na wychowaniu mają dziatwę swoją. Byłyto zarazem łzy wdzięczności, dla ich opiekunów i nauczycieli, co upośledzone te sieroty podnoszą duchowo, nauką rozwijają myśl i uczucie, znośniejszą czynią smutną pielgrzymkę życia i na niéj umieją podawać czarę słodyczy, lub kwiatem uścielać drogę. Bo czyż to nie słodycz ducha, nie kwiat barwisty i wonny, gdy głuchoniemy może mówić, rozumieć i pojmować najpiękniejsze utwory literatury; gdy ślepotą dotkniety na wypukłych drukach potrafi czytać i napawać się melodyą muzyczną, a razem wszyscy pojmują wielkie dzieła Stwórcy i uczą się miłości bliźniego i obowiązków obywatelskich, jakie ich w starszych latach oczekują.

Z kolei potém udano się do ogrodu, w którym otoczony różnobarwnemi flagami, stał pomnikks. Falkowskiego, oczekujący poświęcenia. Popiersie męża wiekopomnéj pamięci, z białego marmuru wykonali dwaj głuchoniemi wychowańcy instytutu, panowie *Skwara* i *Wasilewski*. Popiersie to zyskało instytutowi naszemu złoty medal od akademii sztuk pięknych w Petersburgu, gdzie było wystawione przed kilku laty. Stoi na wysokiéj podstawie z szarego marmuru (także wykonanéj przez uczniów tegoż instytutu) otoczonéj żelaznemi kratami.

Na frontowéj ścianie podstawy, mieści się następujący napis:

„*Księdzu Jakóbowi Falkowskiemu założycielowi Instytutu głuchoniemych. Ur. 29 kwietnia 1775 r. Zmarł dnia 2 września 1848 roku. Wdzięczni głuchoniemi, 1875 r.*"

Po lewéj stronie pomnika stanęli ociemniali płci obojéj, składający orkiestrę i chóry, którzy wykonali małą kantatę, ułożoną przez ich nauczyciela i dyrektora, dotkniętego także ślepotą, *Romualda Skorupskiego*.

Zanim melodyjne tony muzyki i chóru się odezwały, nauczyciel instytutu, magister nauk historycznych i filologicznych b. szkoły głó-

wnéj Warszawskiéj, p. *Władysław Nowicki* raz jeszcze wymownie przemówił o zasługach męża, którego oblicze, pomnik teraz poświęcony przypominał.

Młody magister téj szkoły, która w krótkim przeciągu swego istnienia dała piękny zastęp zdolnych pracowników, oddawszy życie swoje na usługi upośledzonych współbraci, gorącém słowem wypowiedział ofiarę i poświęcenie tych, którzy zajmują się wychowaniem i oświatą głuchoniemych jak i ociemniałych.

„Cześć tym, wyrzekł, którzy najniżéj zepchniętych podnoszą i naprzód prowadzą! Praca w miłości głębokiéj podjęta, do stargania sił nieustająca, praca ciężka, kamienna, praca pod gniotącém brzemieniem obowiązków społecznych dokonana, zasługą jest i prawo sobie do wdzięczności i do sławy zdobywa. Może kiedyś, ci tylko będą wielkimi, którzy w czynach, z ducha miłości bliźniego zrodzonych, pierwszeństwo odniosą.“ Jeżeli w głównéj sali Instytutu i przy nabożeństwie odprawianém, każdy z rzewném uczuciem spoglądał na blisko dwustu uczniów głuchoniemych i ociemniałych; przy poświęceniu tego pomnika, który otaczało całe grono tych wychowańców, niemniéj był wzruszający obraz, patrząc na stojący szereg młodzieży płci obojéj dotkniętéj ślepotą, co w ustroju poważnym, wśród tak wielkiéj dla niéj uroczystości, oczekiwała z gorącą niecierpliwością hasła do zaczęcia *kantaty*, ażeby słowem i melodyją złożyć hołd pamięci swemu dobroczyńcy.

W zebraném gronie zaproszonych, oprócz najsędziwszego co wzniesiony pomnik poświęcił, a znanego także chlubnie w literaturze pisarza, znajdowało się kilku, którzy znali bliżéj księdza Falkowskiego i pospieszyli cześć mu należną złożyć. Wszyscy zgodnie przypominali sobie skromną jego postać, słodką i łagodną wymowę i pokorę prawdziwego chrześcianina, a obok niego stanęła nam przed oczyma, druga posągowa postać Staszica. Kiedy bowiem ks. Falkowski, zniechęcony przeciwnościami, brakiem funduszów, był bliskim rozpaczliwego zwątpienia, znakomity ten mąż stanu wyrzekł doń z uniesieniem:

Kiedy w dniu 3 maja 1819 r. wezwało na posiedzenie swoje publiczne Towarzystwo Przyjaciół Nauk ks. Falkowskiego, już jako rektora Instytutu głuchoniemych, i tenże sam Staszic jako prezes pomienionego Towarzystwa doręczył mu medal złoty w nagrodę za poniesione prace i trudy; wzruszony do głębi duszy zacny kapłan, dziękując za tak chlubne odznaczenie z wdzięcznem sercem, przypomniał owe słowa Staszicowi, które głęboko wyryły się w jego sercu, a mając je w żywéj pamięci, temi słowy przemowę swoję zakończył:

„Oby te wyroki prawdy, te nakazy lube duszy mojéj, urządzały wszystkie sprawy moje a wtedy tylko mdłe życie moje, stając się miłą ofiarą Bogu, ludzkości i ojczyznie, będzie godném za dary Towarzystwa wywdzięczeniem.“

Jakkolwiek nie był ks. Falkowski zawołanym mówcą, idąc tylko za poszeptami szlachetnego serca, cudownie nieraz oddziaływał na słuchaczy swoich.

Rok dwudziesty zaledwie liczył, gdy po odbytym nowicyacie w zgromadzeniu XX. Pijarów, odwiedził we wsi *Budlewie* rodziców swoich. Rodzinne to gniazdo jego, i pierwszy raz miał z ambony przemówić w parafialnym *Łobczewskim* kościele. Przygotowywał się do tego kazania z płaczem, bo z serca je kreślił, i dziwny też a piękny sprowadziło skutek.

Ojciec młodego kaznodziei, szlachcic zagrodowy, szczupłe po ojcach zagony, odgraniczone miał miedzą od posiadłości zamożnego sąsiada. Ten, oddawna pragnął cząstkę ziemi Falkowskich, tak przyległą swemu dziedzictwu, nabyć. Szlachcic choć ubogi, nie chciał drogiéj spuścizny po swych przodkach sprzedać, i ztąd naraził się na mnóstwo przykrości rozmaitych. Zajmowanie inwentarzy i odsyłanie do *Białegostoku*, odmawianie sług i najemników, robienie umyślne szkód na zasianém polu, wzbronienie pastwisk, wrębu do lasu i innych dogodności sąsiedzkich, powtarzały się przez lat kilka prawie codziennie. Stary Falkowski Bogu poruczał swe skargi.

Był to rok 1792. Młody ksiądz Jakób, syn jego wchodzi na ambonę. Kościół był pełny: lud wiejski i zagonowa szlachta zbiegli się gromadnie posłyszéć *swojaka;* był i ów możny, rozjątrzony i zły dotąd sąsiad.

Młodziutki kapłan przemawia o miłości Boga i bliźniego, i dorazu serca i łzy poruszył. I ten pan zamożny, co tyle przykrości wyrządził jego ojcu, oczarowany wymową ks. Jakóba, schodzącego z ambony, porywa z uniesieniem na ręce, wynosi z kościoła do plebanii, gdzie był sędziwy Falkowski; wobec parafian pokrzywdzonego zagrodowca przeprasza, zaprzysięga zgodę i przyjaźń. Dotrzymał święcie przyrzeczenia swego, bo aż do zgonu pozostał szczerym przyjacielem poczciwéj a ubogiéj rodziny.

Jeden z obecnych przypomniał, że ks. Falkowski, w czasie ostatniéj choroby Antoniego Malczeskiego, autora *Maryi*, udzielał mu religijnéj pociechy. I jak osobliwy zbieg okoliczności: w dniu 2 maja r. b. gdy poświęcano ten pomnik, zaczynał się rok pięćdziesiąty, od śmierci wielkiego poety; Malczeski bowiem w dniu tym 1826 r. zakończył życie w Warszawie, i dotąd nie potrafiono odkryć miejsca na cmentarzu Powązkowskim, gdzie spoczęły jego prochy.

Po ukończeniu uroczystości zebrani zwiedzili niedawno założone przy Instytucie *muzeum* przyrodnicze i przemysłowe, w którym wydatne zajmują miejsce, piękne okazy zoologiczne z daru professora uniwersytetu warszawskiego *Karola Jurkiewicza*, między temi zbiór owadów i grzybów jadalnych, wątpliwych i jadowitych, tudzież wspaniałe okazy drzewa z lasów Ordynacyi Krasińskich. Zwracała szczególnie wysoką wartością pedagogiczną historya zboża, idąca od ziarna użytego na zasiew, przez wszystkie szczeble rozwoju, aż do mąki i wypieczonego

chleba; obok tego widzimy siemię lniane i konopne, nici i płótno; kilka okazów zwierząt i ptaków wypchanych.

Niezmiernego to pożytku dla nauki głuchoniemych. Jest to początek zawiązku dopiero *muzeum*, życzyć gorąco należy ażeby ludzie dobréj woli, chociaż małemi ofiarami zasilać je chcieli. Szczególniéj ziemianie małym kosztem i ofiarą wzbogacaćby mogli łatwo tak pożądane muzeum: proste wyroby sprzętów i naczyń, okazy roślin, jak wyroby z nich, modele narzędzi do gospodarstwa, i tyle produktów rolniczych jak i leśnych, wszystko to znalazłoby pomieszczenie, do czego dodajmy ubiory ludu z różnych okolic kraju.

Przypominamy, że od małych początków zaczął w Krakowie urządzać swoje *Muzeum Techniczne* D-r Baraniecki, a dziś jest zbiór tak bogaty i zasobny, że w każdéj stolicy zwracałby uwagę. I w jego okazach każdy zdobywa nową naukę, cóż dopiero mówić o muzeum podobném w Instytucie naszym, które dla głuchoniemych stałoby się prawdziwą skarbnicą wiedzy, bo najwymowniéj, dotykalnie rozszerzałoby sferę ich pojęć i wiadomości tak niezbędnie potrzebną dla tych istot upośledzonych, ułatwiając niesłychanie nauczycielom ich wykłady z nauk przyrodniczych, a zarazem w gospodarstwie domowém, pracach rolniczych, rzemiosłach i przemyśle krajowym.

Przy pomienioném *muzeum* jest już i zawiązek biblioteczki, która także wyczekuje łaskawéj pomocy od społeczności naszéj.

K. Wł. Wójcicki.

KORRESPONDENCYA.

Do redakcyi Biblioteki Warszawskiéj.

Z powodu artykułu p. A. Wejnerta: *Kilka szczegółów nieznanych z życia Łukasza Górnickiego* (Bibl. Warsz., r. b. t. I, str. 420), poczuwamy się w obowiązku przesłać również kilka szczegółów i pobieżnych uwag.

Najprzód podziękować musimy zacnemu autorowi *Starożytności warszawskich* za wyszukanie i ogłoszenie kilku owych szczegółów, a następnie w obronie tegoż starosty nie przystać na niektóre mniemania p. Wejnerta. Bardzo nas bowiem uderzyły twierdzenia: że „położenie Górnickiego (w obec Batorego) nie było do zazdrości," że nagły przyjazd króla do Tykocina „zmieszał go i zadziwił," że pobyt monarszy w tém mieście musiał go „zadraźnić" i że Górnicki znajdował się w „bolesném położeniu," bo „Batory z całą surowością wystąpił przeciw niemu" (?). A to wszystko w skutek zażalenia włościan jednéj wioski (Mazury) o jakieś „robocizny i ciężary" i przed wyprowadzeniem śledztwa i udowodnieniem słuszności skargi.

Takie postąpienie rozpoczynającego rządy króla, w obec znakomitego męża „który cały swój żywot poświęcił na usługi dla kraju" a znany i poważany był w Rzeczypospolitéj, dowodziłoby, że albo to nie był Batory, Górnicki i wiek XVI, albo że co najpewniéj wcale innne jakieś ciężkie uchybienia ciążyły na staroście. Tymczasem mamy nadzieję wyjaśnić całkiem inne położenie rzeczy, przy którém zacna obrona pana Wejnerta okaże się zupełnie zbyteczną.

Najpiérw, żadna skarga sama przez się nie jest jeszcze wyrokiem potępienia, a témbardziéj w kraju i wieku, gdzie skarga do monarchy, jak to niżéj zobaczymy, była często używanym środkiem do pozbycia się różnych obowiązków, rozszerzenia swobód lub wyłamania z posłuszeństwa. Miewało to miejsce zwłaszcza w starostwach czyli królewszczyznach, gdzie kmieć uważał króla (za przykładem szlachty) jako źródło przeznaczone do rozdawania ciągłych łask i wolności, a każdego starostę t. j. *dzierżawcę* (będącego z natury rzeczy egzekutorem danin i robocizn) za narzuconego szlachcica i pana, który zły czy dobry, bywał prawie zawsze przedmiotem zażaleń. Lud nie wchodził w to, z jakich źródeł starosta musi zapłacić dzierżawę królowi, ale za to ciągle mniemał, iż monarcha nie wié o większéj części kmiecych ciężarów, i to było także jednym z powodów do skargi jakie zanosił [1]). Oto w starostwie tykocińskiém widzimy, jak włościanie z wioski Sierk podają w r. 1590 skargę i prośbę do królowéj, żeby nie wypłacali poboru na ręce starosty, ale poborców (Bibl. Warsz. r. 1862, t. II), co także napozór stawia Górnickiego w złém świetle. Królowa przychyliła się do życzenia kmieci, bo Górnickiemu nic na tém nie zależało. Atoli zaraz widzimy, jak Sierkowcy wypowiadają staroście i zamkowi wszelkie posłuszeństwo, tak iż ta sama znana z dobrotliwego serca pani zaleca karać zbuntowanych kmieci dwumiesięczną wieżą lub wydaleniem ze wsi. Pokazało się, że Sierkowcy w gruncie nie mieli nigdy chęci spełniania jakichkolwiek obowiązków dla „dzierżawcy" [2]).

Nie przeczymy że zdarzały się często nadużycia możnych; ależ na całym świecie było ich wtedy bardzo wiele, podobno więcéj niż u nas. Ludzie zresztą nie odpowiadają za swe czyny w stosunku do praw i pojęć późniejszych o trzy wieki, ale do współczesnych. Dodajemy do tego, że Słowianin (a szczególniéj Polanin), pomimo niemieckiego wynalazku jego nazwy od niewolnika, dziwny miał zawsze wstręt

---

[1]) *Ciężar* jest wyrazem bardzo względnym, a co w daném położeniu i wieku nazywało się *ciężarem*, to gdzieindziéj i kiedyindziéj mogło być nierównie mniejszém od *podatku*.

[2]) Mieszkańcy téjże saméj wioski usiłowali zawłaszczyć przemocą przed kilkunastu laty łąki w sąsiednich dobrach i zanieśli skargę, że były im one niegdyś nieprawnie zabrane. Czyż to nie pozór do potępienia ówczesnego dziedzica? A jednak pokazało się, że łąki powyższe nigdy do nich nie należały a przed kilkudziesięciu laty były tylko za pomoc w wywózce drzewa dane Sierkowcom na czasowy użytek.

do każdéj uległości i niewoli, a pociąg do swobody szerokiéj jak jego równiny, dziewiczéj jak jego dawne puszcze, prostéj jak słowiański obyczaj. Tradycye nie przynosiły mu kastowego niewolnictwa, a książęta i króle nie mogli nigdy ująć w ścisłą kontrolę jednostek narodu, z których każda tylko myślała we właściwym zakresie o rozszerzeniu swoich swobód. Ztądto Polska wśród innych ludów przedstawiała zawsze najliczniejszy tłum wolnych ludzi. Ale gdy szlachta rozszerzała swe prawa na sejmach, rokoszach i elekcyach, to kmieć nie mając téj drogi, działać musiał podstępnie, biernie lub czynnie prośbą, skargą lub ucieczką: potrzeba uczyła go chytréj przebiegłości.

Jak z jednéj strony wybujał kwiat wolności szlacheckiéj (na niwie uczuć nie kastowych ale ogólnie narodowych), tak z drugiéj były to czasy ścieśniania swobód ludu nietylko kosztem wszechwładztwa szlachty, ale i w skutek ekonomicznych potrzeb wobec przemiany kraju przeważnie leśnego na folwarczny i produkcyjny. Tylko w niektórych okolicach Mazowsza i Podlasia szlachta była sama tak liczna, że bez chłopów zamieniła szumiące puszcze na falę kłosów. Wiek XVI-ty był dla ludu w ogóle wiekiem szemrania, skarg, oporu a nawet gdzieindziéj wojen chłopskich.

Pokątni pisarze próśb i skarg ówczesnych, równie jak dziś, aby podziałać na wrażenie, silili się na wyrazy dosadne i efektowne. Skarga téż włościan z Mazur stanowi dziwną sprzeczność z Górnickim, który jak wiemy stawał w obronie chłopów jeżewskich, leśnickich i sawińskich zasłaniając pierwszych przed napaścią niejakiego Pogorzelskiego, drugich przed zdzierstwem myta na rz. Bugu, a sam nie musiał być groźnym satrapą, gdy żona nadleśnego w starostwie, drzewa raz mu wydać nie chciała i spór z babą uwiecznił się na papierze.

Czém bywały i bywają nieraz skargi, mamy najlepszy dowód z listu Zygmunta III, znajdującego się w leżącéj przed nami kronice tykocińskiego klasztoru. Król pisze między innemi do naszego starosty, iż w skutek skargi księdza Erazma, gwardyana OO. Bernardynów, zaleca aby odtąd na młynach królewskich nie żądano od klasztoru miarki zboża jaką zwykle młynarze za mieliwo pobierali. Kto wié że klasztor ten wówczas żył tylko z kwesty, a był *przytułkiem*, *szpitalem* i *szkołą* dla swojéj okolicy, jakże bolesny zarzut chciwości może zadać Górnickiemu, gdyby oto nie sami Bernardyni zapisali poniżéj następne jego słowa: „A czo sie tycze wolnego mielczia w młyniech JKM. w tym mnie niesłusznie ten X. Gardian nieboszczik do króla JMości odniósł bo iakom starostą jest, będzie richło 32 leczie, *żadnej miarki nigdy od nich nie wzięto.*" Pokazuje się, że gwardyanowi aby uzyskał czarno na białém, przywiléj królewski na mieliwo dla klasztoru, trzeba było uciec się do drogi zażalenia, które tylko o tyle mogło być słusznem, o ile do pokątnych wziątków młynarskich się odnosiło, ale za to pożądany cel osiągnęło. Przytoczona powyżéj wzmianka Górnickiego o 32 latach starościaństwa, napisana w d. 28 czerwca 1602 r., dostatecznie stwierdza, że pan Łukasz dostał starostwo tykocińskie nie w r. 1565,

jak sądzą niektórzy, ale w roku 1570, jak to zapisał Przezdziecki w Bibliotece Warszawskiéj.

Wnosząc z licznych i nie małych ciężarów, jakie dzierżawca tykociński ponosił, bądź z powodu zamku, bądź częstych przejazdów i nawiedzin królewskiego dworu, tém bardziéj gdy drugie starostwo (wasilkowskie) tylko jeden folwark obejmowało, skłonni jesteśmy uwierzyć iż skarga włościan z Mazur na „ciężkie i ustawiczne roboty" mogła miéć więcéj w sobie prawdy niż zażalenia gwardyana. Oto rzućmy okiem na szczegółową kartę tych stron, a przekonamy się że gdy wszystkie inne wsie starostwa tykocińskiego (Sierki, Siekierki, Saniki, Lijmiki i t. d.) leżały w okolicy zamku, to Mazury (nie Mazurowo) oddalone były o całe mil pięć z téj drogi. Każda więc np. powinność zamkowa lekka dla kmieci blizkich, musiała być „ciężarem" dla oddalonych. Cóż dopiéro gdy powiemy, że te „ciężary" były poniekąd nowością dla włościan, bo starostwa i zamku królewskiego nie było lat dawnych w Tykocinie. Górnicki mógł być o tyle winien, że nie uwzględnił należycie położenia, ale czyż położenie „dzierżawcy" także zawsze uwzględniano? Przynajmniéj możnaby o tém wątpić z różnych wskazówek.

To co o wystąpieniu króla *z całą surowością*, powiada zacny autor obrony Górnickiego, na zasadzie iż skargę Batory kazał odesłać sądowi „bez wysłuchania starosty, pomimo że sam bawił cały miesiąc w Tykocinie," można sobie wprost przeciwnie tłumaczyć. Najprzód odesłanie skargi do sądu nie oznaczało wcale surowości, ale zwykłą formalność dopełnianą nawet wtedy, gdy o blizkie króla osoby chodziło. Tu zresztą sądu jeszcze wcale nie było, a król skargę musiał przyjąć obojętnie gdy oddał sprawę „rewizorom" aby ją wtedy rozpatrzyli „gdy tam insze sprawy na Podlasiu odprawiać będą." Król nie będąc władzą śledczą, sam nie mógł przesłuchiwać chłopów i starosty: ubliżałoby to jego majestatowi. Batory jednak chciał być sprawiedliwym, a skarga dotykała pośrednio i jego osoby, gdyż każdy starosta w obec ludu miał poniekąd charakter namiestnika królewskiego. Górnicki był egzekutorem ciężarów bardziéj dla króla niż dla starosty ponoszonych. Dopuszczenie kmieci mazurowskich do skargi prawie w domu starosty jest charakterystycznym faktem z położenia tego płynącym. W każdym razie skarga owa prawdopodobnie ani na chwilę nie zmarszczyła czoła królowi i nie zafrasowała Górnickiego, którego miesięczne pozostawanie przy boku królewskim w Tykocinie, mogło być dla wielu starostów powodem do zazdrości. Wszak Batory miał o półtoréj mili świetny pałac królewski w Knyszynie, sady, parki i zwierzyńce, a jednak przełożył na błotnistéj wyspie zamczysko tykocińskie. Powtórzenie w decyzyi królewskiéj treści skargi „na przymus do ciężkich i ustawicznych robót" było tylko prostém zachowaniem właściwéj formy i nigdy za symptom królewskiéj surowości poczytaném być nie może. „Opowiadanie starosty przy spisywaniu pożytków Króla Jego Miłości i Rzeczypospolitéj w starostwie tykocińskiém," nie wyliczając żadnych powinności kmiecych, ale tylko wyda-

tki pokrywane zwykle z summy dzierżawnéj, sądzimy że nie ma żadnego związku ze skargą włościan mazurowskich.

W roku 1843 p. Władysław Trębicki sprawił pewną niespodziankę badaczom przez ogłoszenie w Bibl. Warsz. trenu, jaki strapiony srodze Górnicki napisał (r. 1587) na grobie ukochanéj a młodo zmarłéj małżonki. Nieznany nikomu piérwéj ten wiérsz znaleziony był przypadkowo w jakiejś staréj *silwie*. W kilka lat późniéj, tenże tren znalazł ksiądz Smoliński w lepszém źródle, bo w staréj kronice tykocińskiego klasztoru; napisawszy krótki życiorys starosty, ogłosił w *Pamiętniku naukowym* z r. 1848. Posiadając powyższą kronikę porównałem obadwa przedruki a znalazłszy nader małe różnice i pomyłki, przytaczam tylko stanowiący wstęp do trenu ten osobliwy bo po polsku napis grobowy, mniéj szczęśliwie ogłoszony:

„Barbarze Gornickiey z Biezdiede, Tykocinskiey y Wasylkowskiey Starościnie, Białeygłowie boiaznią Bożą y wielkimi cnotami ozdobioney, Ktorą w młodych leciech od Męża, od Synów trzech, a pięciu Corek nad nadzieię Smierć porwała; y (ey) Łukasz Gornicki S: T: Smątny mąż nie bez płaczu napisał. Żyła lat 29, Miesięcy trzy, umarła Roku 1587, dnia ostatniego Lutego."

Co do miejsca spoczynku zwłok uczonego starosty, to nie jest ono wcale zagadkowém, równie jak data jego śmierci. Pochowany został w kościele tykocińskim zmurowanym na wyspie rzeki Narwi, sąsiadującéj z wyspą zamkową, w kościele tym samym o którym pisze w końcu swoich *Dziejów*, iż (r. 1572) przestał należéć do OO. Bernardynów przeniesionych do miasta. Górniccy posiadali w téj świątyni swój grób oddzielny, o którym p. Trębicki znalazł w staréj *silwie* wzmiankę obok trenu, że znajdował się „pod ołtarzem Pana Jezusa Ukrzyżowanego." W opisie grobów znajdującym się w naszéj kronice klasztoru czytamy: „Zatym potejże stronie (lewéj) jest grób J. m. p. Gornickiego Starosty Tykoc. którego drzwi poczynają się przed gradusem trzecim przeciw Epitaphium jegoż, gdzie leży sam z żoną i dziećmi."

Dziś świątyni téj zaledwie ślad poznać można, a podziemne jéj groby z tłumem panów i szlachty, z prochami Górnickiego i Sebastjana Sobieskiego (pradziada króla), porastają dzikim chwastem, nie doczekawszy się nawet skromnego krzyża: *Sic transit gloria mundi!* Kronika tylko klasztorna uratowała piękny łaciński napis grobowy brzmiący w spolszczeniu: „Łukaszowi Górnickiemu, tykocińskiemu i wasilkowskiemu staroście, czterech królów Polski: Zygmunta Augusta, Henryka Walezyusza, Stefana Batorego i Zygmunta III-go sekretarzowi, wielkiemu na dworze i w Rzeczypospolitéj mężowi, mały ten pomnik, Jan i Łukasz synowie ojcu wystawili. On rozumem, geniuszem, pismami, obyczajami, większy sobie i wieczny w pamięci ludzi zostawił. Zeszedł z tego świata r. p. 1603 d. 22 . . . . wieku swego życia 76."

W napisie powyższym kronika opuszcza nazwę miesiąca w którym śmierć nastąpiła, ale ksiądz Smoliński położył w tém miejscu *li-*

piec. Prawdopodobnie więc musiał go znaleźć gdzieindziéj, bo trudno przypuścić aby sobie ten miesiąc wyssał z palca. Przezdziecki pisząc o Górnickim w Bibl. Warszawskiéj (r. 1862, t. II, s. 100), nie znał pracy ks. Smolińskiego, a ztąd i daty śmierci starosty; kombinując jednak rózne fakta, odniósł ją także do r. 1603. Wiemy zkądinąd, że Zofija Górnicka wychodziła za mąż już po śmierci ojca w dniu 8 września 1603 r. Nie sprzeciwia się to tak dalece dacie śmierci podanéj przez ks. Smolińskiego, widocznie bowiem zachowaną jednak była tak zwana *ciężka* sześcioniedzielna żałoba po rodzicu. Starosta nie dożył wesela swojéj córki, którą pod względem majątkowym spotkał los szczęśliwy, bo Maksymilian Mężeński za którego wychodziła, liczył się do bogatszych ziemian nad Narwią [1]).

Słyszeliśmy że ziemianie z okolicy Tykocina zamierzają w tém mieście położyć Górnickiemu kamień grobowy lub wystawić pomnik. Tykocin szczycący się już monumentem Stefana Czarnieckiego zyskałby w takim razie obok pamiątki dla bohatéra wojny, odpowiednią dla zasługi w pokoju. *Zygmunt Gloger.*

PIŚMIENNICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

Rozprawy i Sprawozdania z posiedzeń wydziału filologicznego Akademii Umiejętności. Tom I, Kraków 1874.

Rzecz to bardzo pocieszająca, że coraz więcéj mnoży się objawów, odbierających cudzoziemcom, a głównie Niemcom, prawo urągania się słowiańskiéj opieszałości, lenistwu i brakowi wytrwania w pracy. Tak np. o Akademii Krakowskiéj niepodobna powiedzieć, ażeby śród bezczynności pędziła swój żywot. Niedługi to jeszcze bardzo żywot, a jednak dość rzucić okiem na pojawiające się nieustannie w naszych pismach sprawozdania z posiedzeń rozmaitych wydziałów i komisyi akademickich, którym nigdy nie zbywa na referatach, projektach i czynnych zajęciach; dość zwrócić uwagę na znaczną ilość zamierzonych wydawnictw, a wcale już pokaźną opracowanych, ażeby przyjść do tego prze-

---

[1]) Górnicki wydawszy trzy córki za szlachtę z Podlasia i sąsiedniego Mazowsza (p. Tyszkę, Grajewskiego i Mężyńskiego) posiada dziś w tamtych stronach nader licznych potomków po kądzieli.

Dla zbierających szczegóły o znakomitym mężu, notujemy iż kilka dotyczących rodziny Górnickiego, znajdą w *Herbarzu Ignacego Kapicy Mielewskiego*, pod domem *Hórnickich* str. 131.

konania że ustanowienie Akademii było konieczném, i że, sądząc z początków, wypada tuszyć jak najlepiéj o przyszłości téj instytucyi.

Wydawnictwa Akademii, w liczbie 17, wymienione już były na kartach niniejszego pisma (Bibliot. Warsz. styczeń str. 177); tamże czytelnik znajdzie ocenę niektórych z pomiędzy nich i wiadomości o zamierzonych; tamże nakoniec sprawozdawca uskarża się słusznie na obojętność ogółu względem téj instytucyi, zwłaszcza pod względem materyalnego poparcia, wówczas gdy nieraz już sypały się i sypią datki na cele wątpliwego pożytku. Powtarzamy tu tę uwagę, gdyż na nią jak najczęściéj wypada położyć nacisk dopóty, aż, co daj Boże, znikną albo przynajmniéj zmniejszą się powody podobnych słusznych ubolewań.

Zajmiemy się obecnie dziełem, którego nagłówek wypisany powyżéj, nierozbieraném jeszcze na kartach Biblioteki. Książka to o wielce rozmaitéj treści i bardzo zajmująca. Zgodnie z tytułem, dzieli się na dwie części, z których pierwsza zawiera rozprawy, a druga sprawozdania z posiedzeń. Na czele rozpraw mieści się rzecz A. Małeckiego „O zadaniach wydziału filologicznego Akademii Umiejętności.“ Przytaczając słowa statutu Akademii, według którego przedmiot badań pomienionego wydziału powinny stanowić: „filologia i lingwistyka głównie polska i słowiańska, historya piśmiennictwa powszechnego, a w szczególności polskiego, nakoniec historya sztuki (sztuk pięknych?),“ szanowny autor rozwija szczegółowo wszystkie te działy programu, nie szczędząc uwag i praktycznych wskazówek.

Tak co się tyczy filologii słowiańskiéj i polskiéj, autor przedewszystkiém radzi nie zaniedbywać studyów nad językiem starosłowiańskim, który, jak powiada, „jest nierozłączonym od naszéj ojczystéj lingwistyki materyałem;“ na trzecim zaś dopiero plauie stawia pan Małecki lingwistykę. filologią i teoryą piśmiennictwa innych języków, bądź słowiańskich, bądź dawnych, jużto starożytnych, jużto nowoczesnych. Tu pozwolimy sobie rzucić pytanie, czy autor nie zadaleko odsunął lingwistykę klasyczną i czy nie zbytnie zacieśnił zakres filologii polsko-słowiańskiéj, ograniczając ją do języków polskiego i cerkiewnego? Dzisiaj gruntowne, prawdziwie naukowe badania, takie, jakie jedynie Akademii przystają, badania choćby tylko nad jednym językiem np. polskim, nie mogą już obejść się nietylko bez znajomości główniejszych bliższego pokrewieństwa języków, ale nawet bez porównawczych studyów nad resztą języków aryjskich, a głównie nad językami: łacińskim, greckim i sanskryckim. Tymczasem o lingwistyce porównawczéj właściwie nie wspomina wcale szanowny autor, któréj przecież sam jest słynnym lingwistą i oparł swoją gramatykę na ostatnich wynikach porównawczego językoznawstwa.

Daléj rozwija p. Małecki tę myśl, że Akademia, jako ciało naukowe, powinna przykładać się do rozwoju piśmiennictwa, a głównie do opracowania brakujących nam jeszcze dokładnych i wyczerpujących prac w dziedzinie historyi literatury, gramatyki i słownictwa polskiego; wszelako działanie Akademii w tym kierunku ma ograniczać się jedy-

nie wspieraniem, pomocą, zachętą i przygotowaniem. Tak np. w zakresie historyi literatury należy spodziewać się od Akademii poparcia w opracowaniu przez pojedyńczych literatów, rozmaitych literackich biografii i monografii; podnosi także autor potrzebę dobrego wydania klasyków polskich.

O téj potrzebie mówimy ciągle i oddawna, a jak dotąd bezskutecznie. Księgarze nie kwapią się jakoś do podobnych nakładów, chociaż nie mieliby straty, bo i wydanie Turowskiego, jak wspomina p. Małecki, na straty przedsiębiercy nie naraziło, a my dodamy, że rozsprzedawane obecnie w Warszawie resztki tego wydawnictwa (prawda że po cenach zniżonych) cieszą się znacznym odbytem i są już blizkie wyczerpania, pomimo że niezupełnie mogą zadowolnić krytyka. Nawet liche wydania Bobrowicza i jeszcze lichsze Breslauera, znajdowały lub znajdują pokup, a dawniejsze wydania niektórych klassyków przez Mostowskiego są już rzadkością bibliograficzną.

Żąda także pan Małecki od akademii starań ku opracowaniu historyi pojedyńczych nauk, wydawania źródeł, troskliwości w popieraniu nauki bibliografii i t. d.

W dziedzinie języka polskiego p. Małecki nie sądzi ażeby akademia była obowiązaną przystąpić do ułożenia nowego słownika języka polskiego; pragnie on tylko ażeby uzupełniono Słownik Lindego i to pod dwoma względami, a mianowicie: ażeby zebrano pominięte przez Lindego prowincyonalizmy i zbogacono jego pracę ostatnimi wynikami lingwistyki, głównie zaś wykazem źródłosłowów.

Istotnie, skoro już mamy wziąść sobie za zasadę znane godło: „oszczędnością i pracą ludy się bogacą,“ to powinniśmy pamiętać ciągle o oszczędności śród pracy; zanim bowiem ktoś (a zwłaszcza człowiek bardzo miernéj zamożności, jak nasze społeczeństwo) sprawi sobie nową suknię, próbuje najprzód naprawić starą, zwłaszcza jeśli nie jest ona jeszcze całkiem nieprzydatną i jeśli długo była dla właściciela dogodną. Tak ma się rzecz i ze Słownikiem Lindego, który, bądź co bądź, dotychczas jest u nas najlepszym, jeśli nie jedynym, gdyż w późniejszych próbach tego rodzaju (Słownik Wileński) więcéj było dobréj chęci niż skutku. Zbogacony prowincyonalizmami i wykazem źródłosłowów, a także i tym nieznacznym przyrostem materyału językowego (oczywiście książkowego), którym zbogaciła się nasza mowa w ciągu ostatniego półwieku, Słownik Lindego nabędzie niepożytéj wartości. Kwestya prowincyonalizmów istotnie jest niezmiernie ważną: język książkowy powinien sam zasilać się tak zwanymi prowincyonalizmami, dawać prawo obywatelstwa wyrazom, używanym od wieków na obszernéj przestrzeni kraju, jeżeli sam nie ma zostać prowincyonalną gwarą. Bardzo dużo możnaby o tém powiedzieć, jaką drogą język książkowy, nie zasilany prowincyonalizmami i odrzucający je wyniośle, z pewną wyłącznością trzymając się utartych szlaków książkowéj mowy, może (jak o tém świadczy np. historya języka łacińskiego) skostnieć i skamienieć, i nawet biorąc stopniowo coraz to większy rozbrat

z mową krajową w różnych jéj odcieniach, w końcu zostać martwym. Dzisiaj już czasem recenzenci, zbyt jednostronnie trzymając się wzorów wyłącznie książkowego języka (i to nowszego), który właściwie jest tylko dyalektem krakowskim, małopolskim, tak go nazywa i p. Małecki, co wszelako należy przyjąć o tyle, o ile może być mowy o polskich dyalektach; otóż ci recenzenci wytykają czasem autorom, jako błędy, wyrażenia niewątpliwie polskie i prawidłowe. Tak niedawno w jedném z pism warszawskich debiutujący recenzent dopatrzył się u Kraszewskiego takich wrzekomo prowincyonalizmów jak *zmilczeć*, *przymknąć* (drzwi), *kamuszek!* Co do źródłosłowów, którymi, w myśl p. Małeckiego, należy zbogacić Słownik Lindego, i tu także pozwolimy sobie dodać że wypadałoby, ze względu na obecny stan lingwistyki na Zachodzie, nie przestać na źródłosłowach słowiańskich, lecz sięgnąć aż do pierwiastków sanskryckich, dziś w każdém poważném dziele lingwistyczném niezbędnych.

W przedmiocie pisowni p. Małecki nie uważa za stosowne, ażeby akademia zajęła się jéj reformą, gdyż, według zdania szanownego autora, radykalne zmiany byłyby tu, ze względu na różne okoliczności, raczéj szkodliwemi niż użytecznemi. Prawda to niewątpliwa, ale z drugiéj strony, zdaje się nam że znaczną dozę téj szkody, któréj się autor obawia, sprawili już ci, którzy na własną rękę, samopas przerabiają istotnie wymagającą w niektórych punktach ulepszenia ortografią i znajdują naśladowców. Nie idzie więc tu o reformę radykalną, lecz o załatwienie kwestyi już poruszonych, to jest tych właśnie, w których obecnie panuje niezgodność w naszém piśmiennictwie; potrzebaby coś ustalić i stwierdzić jaką sankcyą poważną, dla wszystkich obowiązującą, a taką sankcyą, skoro rozwlekłe od lat kilku ciągnące się rozprawy Towarzystwa Poznańskiego żadnego nie wydały skutku, mlałaby dać jedynie powagą swoją Akademia Krakowska. Niejednokrotnie już wołano u nas i upominano się o to od czasu jak tylko akademia powstała, a chociaż mógłby kto zarzucić, że nie zachodzi pod tym względem żadna nagląca potrzeba, wszelako należałoby coś przedzięwziąć dla pogodzenia np. rozmaitych sposobów pisania wyrazów zakończonych na *ia* i t. p. kwestyi. Na początek dość byłoby żeby akademia, przestrzegając w swych pracach i wydawnictwach poprawności i czystości języka, trzymała się zarazem pewnéj konsekwentnie przeprowadzonéj i jednostajnéj pisowni, która przecież należy do formy języka, a więc także do starań o poprawność i ustalenie, że tak powiemy, ma prawo, tak ażeby polszczyzna akademii, jako polszczyzna iście akademicka, mogła zostać wzorem dla piszących, tak pod względem istoty, jak i formy. Za podstawę oczywiście byłyby przyjęte wnioski Deputacyi byłego Towarzystwa Przyjaciół Nauk, stanowiące dziś jedyną powagę. Tymczasem, jak dotąd, ustalenia pisowni nawet w książce, o któréj mówimy, nie widać: Akademia, jak się zdaje, nie trzyma się owych wniosków Deputacyi, ale nie wszędzie. Tak np. w będącéj w mowie rozprawce p. Małeckiego, który, jak wiadomo, zawsze trzyma się pisowni Deputacyi, znajdujemy, w większości wypadków późniejszy system pisowni: *filologija*, *akademija*, *istytucyja*; wszelako znajdujemy tu i da-

wniejszą ortografią: *materyalny* (str. 4), *biblioteka* (str. 6), *specyalny* (str. 17 i 19), a nawet jeden i ten sam wyraz na stronie 4 wydrukowany *inicyatywa*, a na stronie 20 *inicyjatywa*. W artykule p. Łuszczkiewicza mamy *illustracyje*, *studyjów*, *tradycyjami* i t. d. ale i tu znajdujemy np. *miniatury* (str. 23) i *parafialny* (str. 31), a na stronie 68 czytamy raz *chrześciaństwo*, to znowu *chrześcijaństwo* i *chrześcijanie*. Pan Małecki pisze *wypowié* (str. 5) i *popiéra* (str. 11), w innych zaś artykułach nie widzimy pochylonego *e* w tych lub podobnych wyrazach (np. *popierał* u p. Tarnowskiego na str. 139). U pana Łuszczkiewicza czytamy wszędzie *césarz*, *césarzowa* (np. na str. 66 i 67), czego nie znajdujemy gdzieindziéj (np. u p. Tarnowskiego str. 150 i 174). Pan Łuszczkiewicz pisze *ółtarz* (str. 35) a p. Szujski *stronnica* (str. 40) i *pietnasty* (str. 47), czego znowu u innych nie znajdujemy. U pana Małeckiego czytamy *przez akademiją* (str. 17) a u p. Łuszczkiewicza, *pewną analogiję* (str. 35), podobnież u p. Tarnowskiego *pozycyję*, *karyjerę* (str. 140). Na stronie 114 znowu czytamy *biblijoteka* (str. 114) a jednak *miniaturowych* (str. 115 i t. d.).

Wina tych i niektórych innych różnic i pomyłek spada może w części na korrektę, która i w ogólności pozostawia nieco do życzenia. Szkoda że choć spisu „Omyłek druku“ nie ułożono staranniéj, gdyż nie znajdujemy tam ani jednego z przytoczonych powyżéj przykładów. Może to dla kogo drobnostki, ale mybyśmy radzi ażeby wszystko, co od akademii pochodzi, było pod każdym względem wzorowe.

Wracając raz jeszcze do rozprawy p. Małeckiego, z reszty jego poglądów na zadanie akademii w sferze języka polskiego i gramatyki, przytoczymy jeszcze tylko to jedno, że akademia winna przychodzić w pomoc wydrukowaniu dzieł takich, które dla swojéj treści niełatwo mogłyby znaleźć nakładcę. Rozumie się że potrzebną tu będzie wszelka możliwa surowość w ocenie, zawsze jednak akademia może okazać wiele usług piśmiennictwu i nauce, jeżeli pod tym względem zdoła rozwinąć swoją działalność. Chociaż bowiem w specyalistów tak bardzo nie opływamy, zawsze jednak mnóstwo dzieł poważnych spoczywa w rękopismach bez nadziei ujrzenia świata, a brak téj nadziei powstrzymuje nawet wielu pracowników od studyów poważnych. Wszelako, dla zadość uczynienia tym potrzebom, niezbędne są fundusze, których akademia od poparcia ogółu ma prawo oczekiwać.

Wszystkie mniéj więcéj uwagi i poglądy p. Małeckiego akademia przyjęła i zgodnie z nimi uchwaliła szczegółowy program wydziału filologicznego na posiedzeniu d. 13 czerwca 1873 r. (wydrukowany przy końcu rozpatrywanéj książki na str. XV—XVI), którego, skoro był raz już umieszczony w swoim czasie w Bibliotece Warszawskiéj i innych pismach, przytaczać tu nie będziemy.

O historyi sztuki, jako przedmiocie badań wydziału, p. Małecki nic nie wspomniał. Przedmiot ten został szczegółowo rozwinięty na posiedzeniach „ komisyi *dla* historyi sztuki“ z dnia 20 czerwca i 5 grudnia 1873 r., z których sprawozdania mieszczą się w rozbieranéj przez nas

książce (na str. IV—VII i XXIX—XXXI): do nich więc odsyłamy czytelników, ciekawych tego specyalnego przedmiotu.

Historya sztuki w Polsce, a mianowicie malarstwa, dostarczyła treści do dwóch umieszczonych w rozpatrywanéj przez nas książce rozpraw p. Łuszczkiewicza; z tych w piérwszéj mówi autor o malarstwie cechowém krakowskiém XV i XVI wieku, w drugiéj o malarzu, uważanym dotychczas za Jana Suesa, którego pan Ł. nazywa raczéj Hansem Knodererem.

Pierwsza z pomienionych rozpraw jest wielce ciekawa i pouczająca, pełna rzeczy i poglądów nowych, zdolnych zainteresować zarówno specyalistów jak i profanów. Mówi tu autor najprzód o malarstwie bizantyńskiém, które panowało w Polsce wszechwładnie do XII wieku, a potém nieco zmodyfikowane do XIV; nastąpiło późniéj panowanie szkoły niemieckiéj, a w XVI włoskiéj. Pan Ł. zwraca uwagę na przechowaną w ziemiach dawnéj Polski ogromną ilość starych malowideł na drzewie, szkoły niemieckiéj, z XIV, XV i XVI wieku; zdaniem autora po naszych starych kościołach, nietylko miejskich, ala nawet wiejskich, przechowało się więcéj może takich obrazów niż w niektórych krajach zachodnich, gdzie wyniszczyła je reformacya; w Polsce protestanci poczynali sobie łagodniéj i nie było takiego powszechnego i fanatycznego obrazoburstwa jak gdzieindziéj. Téj wielkiéj ilości dochowanych zabytków średniowiecznego malarstwa nie było u nas komu badać; teraz dopiéro brakowi temu zaradzi wydział historyi sztuki przy Akademii.

Rozpatrując się w obrazach średniowiecznych krakowskich, pan Łuszczkiewicz znajduje że bardzo długo, niemal aż do XVI wieku, widne są w nich cechy bizantyńsko-ruskiéj szkoły a mianowicie: oznaczenie wielkości moralnéj znaczniejszym rozmiarem postaci, ustawianie postaci w jeden rząd sztywny, ruchu pozbawiony i tło złote lub złote ozdoby. Pod innemi atoli względami owe obrazy okazują już znaczny postęp w stosunku do sztuki bizantyńskiéj, a chociaż wiele w nich także podobieństwa do malowideł panującéj podówczas w Europie szkoły niemieckiéj, wszelako pan Łuszczkiewicz widzi w nich niektóre cechy szczególne, czysto krajowe, polskie i krakowskie, co upoważnia go do uznania w Krakowie, w ciągu XV wieku. osobnéj szkoły czyli cechu krakowskich malarzy, którzy początkowo byli artystami i to niepoślednimi, a dopiéro w XVI wieku spadli do rzędu zwykłych malarzy pokojowych.

Obrazów roboty owego cechu pan Łuszczkiewicz w samym Krakowie znalazł 70, wyłącznie treści religijnéj, gdyż innéj wówczas nie używano, a w obrębie kilkunastomilowym od Krakowa przeszło 80. Najstarszym jest obraz na drzewie z 1409 r. w kościele parafialnym Przeworskim. Autor opisuje niektóre z tych malowideł, a dołączona rycina litograficzna przedstawia jedno z nich: Pojmanie Chrystusa, obraz ze stacyi na krużgankach u św. Katarzyny. W obrazie tym autor, pomimo błędów rysunku i perspektywy, widzi pewny wdzięk postaci, obce

bizantyńskiemu stylowi poczucie przyrody, a stroje żydów i rycerzy są czysto krajowe, polskie i z tego względu dla badacza bardzo ciekawe.

Druga rozprawa pana Łuszczkiewicza o malarzu niektórych obrazów w kościołach krakowskich, ma cechę bardziéj specyalną. Opisuje tu autor szczegółowo obrazy z życia św. Jana w kościele św. Floryana, a także malowidła na drzewie z życia św. Katarzyny, znajdujące się w skarbczyku obok zakrystyi kościoła Panny Maryi, z których dwa są przedstawione na dołączonych rycinach. Pan Łuszczkiewicz przypisuje wysoką wartość tym obrazom i za ich twórcę uważa Hansa Knoderera z Norymbergi. Przeciwko temu zdaniu wystąpił pan Łepkowski (sprawozdanie z dyskusyi na str. 125—132), przypisując po dawnemu, obrazy te Janowi Sues, a że pomimo wielkiego prawdopodobieństwa dowodów, przez pana Łepkowskiego użytych, pan Łuszczkiewicz pozostał przy swojém, kwestya więc pozostała sporną i nierozstrzygniętą.

Pan Szujski podaje wiadomość o trzech zabytkach dawnéj polszczyzny z XIV i XV wieku, wziętych z rękopismów.

Pierwszym jest tłumaczenie pieśni kościelnéj *Veni Sancte Spiritus* (dwa razy błędnie wydrukowane *sancti;* oprócz tego w 14 wierszu zamiast *repte* powinno być *reple*). Znajduje się tu cały tekst łaciński pieśni, a obok tłumaczenie polskie. Z trzeciéj zwrotki hymnu nieznany tłumacz przełożył tylko 3 wiersze (zwrotki są sześciowierszowe), podobnież z czwartéj, reszta jest kompletna. Owe trzy wiersze przekładu 4-éj zwrotki nieodpowiednio zostały umieszczone obok łacińskiego tekstu, gdyż *zgrzéj coć zimne* (pisownia dzisiejsza) może to być jedynie tłumaczeniem wiersza *fove quod est languidum*, właściwie mdłe, gnuśne, osłabione); *pochyl coć pyszne* odpowiada łacińskiemu *flecte quod est rigidum* (urywane, twarde, sztywne); oba więc wiersze należało umieścić naprzeciw odpowiednich łacińskich. Wiersz polski *twierdzi* (utwierdź) *coć władnie* odpowiedniego sobie w tekscie łacińskim nie ma. Ostatnia zwrotka jest wolnym przekładem. Pod względem języka (oprócz pisowni) mało tu szczególnych właściwości: znajdujemy tu 5 przypadków *dusze* (duch), *otcze* (ojcze), wyraz *lumen* przetłumaczył *świeca* (światło i t d.).

Drugim zabytkiem jest wokabularz łaciński Piotra Świątkowica z Uścia, w którym niewszystkie wprawdzie, ale niektóre wyrazy są wytłómaczone *in linguum vulgarem*, to jest po polsku. Tłumaczenie to, które dla jego nieczytelności, zaledwie z mozołem odczytał sprawozdawca, bardzo jest ciekawe i jak z jednéj strony przedstawia dużo wyrazów polskich, dziś wyszłych z użycia, których zrozumienie ułatwiają odpowiednie wyrazy łacińskie, tak z drugiéj znowu strony częstokroć jest błędne.

Oto np. kilka wyrazów dziś nieużywanych: wyprotek (*abortivus*), polizacz (*abligurio*=lizus, żarłok, marnotrawca), laskać (lizać, łakomić się łasować), kłocię (? *culmen*=szczyt), leściwość (chytrość), swojec albo szerpanka (*flameolum*, *peplum*=okrycie, płaszcz), tartka (kawałek, *frustillum* w spisie błędnie frutillum), sopuch (od sapać? *fur-*

nus=piec) drabacz (*equus molliter incedens* może zamiast *eques*?), szegadło (żegadło, w średniowiecznéj łacinie *ignimen*, żarzewie?), kobylenie (*lignum extensum ad defensionem*=ogrodzenie, barykada), siara (*novum lac*=świeże mleko), kalisko (*volutabrum*=kałuża) i t d.

Próbowaliśmy wybrać kilka najpewniejszych przykładów, gdyż w ogóle rozpatrzywszy się w całym spisie, widzimy że niewiele można polegać na przytoczonych wyrazach, z powodu mnóstwa pomyłek w pisowni i błędów; tłumacz z XV wieku wiele wyrazów przetłumaczył błędnie, inne w klasycznéj łacinie nieznane, a niektóre w téj postaci, jak są przytoczone, bodaj że i średniowiecznéj obce. Pan Szujski dał tu sam materyał *in crudo*, skromnie nie przyznając się do znawstwa, a nikt inny nie opracował i lingwistycznie nie objaśnił ani uwagami tego materyału nie opatrzył.

Nakoniec trzeci zabytek polszczyzny XV wieku stanowi wcale udatna pieśń szlachcica, zawierająca narzekania na opieszałość i niechęć chłopów. Ciekawy ten zabytek, jak mówi pan Szujski, należy do epoki „gdy lud wiejski z niechęcią, ba z buntowniczym oporem przyjmował ograniczenia wolnego siedlenia się i przesiedlenia, uregulowaną robociznę i zakaz posyłania do szkół i rzemiosł dzieci swoich" a więc pochodzi z czasu, gdy właściwe poddaństwo ustaloném zostało. Przytaczamy ten wiersz w całości, według dzisiejszéj pisowni.

Chytrze bydlą z pany kmiecie,
Wiele się w ich sercu plecie.
Gdy dzień panu robić mają,
Częstokroć odpoczywają,
A robią silnie obłudnie,
Ledwo wynijdą pod południe,
A na drodze postawają,
Rzekomo pługi oprawiają;
Żelazną wić doma złoży,
A drzewianą na pług włoży,
Wprzęgają chory dobytek,
Chcąc zlechmanić dzień ten wszystek,
Bo umyślnie na to godzi,
Iż się panu źle urodzi.
Gdy pan przyjdzie, dobrze orze,
Gdy odejdzie—jako gorzéj.
Stoi na roli, w lemiesz klekce,
Rzekomoć mu pług orać nie chce,
Namysłem potraci kliny,
Bieży do chrosta po iny, (inne)
Siadł do chrosta, za krzem leży,
Nie rychło zasie wybiczy.
Mniemasz każdy człowiek prawie
By był prostak na postawie,
Boć się zda jako prawy wołek,
Aleć jest chytry pachołek.

Godne uwagi są czasowniki *bydlić* i *zlechmanić*.

Pan Łepkowski podaje wiadomość o modlitewniku polskim Zygmunta I przechowanym w bibliotece uniwersytetu monachijskiego. Wiadomość ta już przed kilkoma miesiącami była w niniejszém piśmie powtórzoną.

Pan Kętrzyński podał wyjątki z odszukanych przez siebie w bibliotece giminazyum toruńskiego kazań polskich z podpisem nieznanego dotychczas d-ra Paterka z wieku XV. Dla teologów urywki te ciekawe, gdyż mowa tam o Niepokalaném Poczęciu. Cały rękopism, jak przypuszcza pan Kętrzyński, pisany przed 1488 rokiem i był własnością Jana Amora Tarnowskiego herbu Leliwa i żony jego Sygismundy z Gorajskich herbu Korczak.

Następuje obszerna i bardzo ważna monografia pana Tarnowskiego o Krysztofie Warszewickim i jego dziełach. Pisarz ten rzadko używał języka polskiego, ztąd podobnie jak większość autorów polsko-łacińskich XVI wieku, mało jest znanym ogółowi.

Na wstępie pan Tarnowski charakteryzuje Warszewickiego, jako osobliwszy wyjątek w szeregu pisarzy, którzy już w XVI wieku „wołali o poprawę rzeczypospolitéj." Wszyscy inni statyści, narzekając na nadużycie wolności, pragnęli uporządkowania elekcyi i uregulowania swobód szlacheckich; żaden wszelako nie śmiał żądać całkowitego zniesienia tych swobód: Warszewicki zaś, według słów autora, „nie był republikaninem na sposób polski, ale na hiszpański sposób monarchistą, którego ulubionym bohaterem w historyi i ideałem był Filip II, którego rozum i serce lgnęły do władzy absolutnéj... była to głowa niepolska wcale, trzeźwa, chłodna, bez jednéj iskierki fantazyi, unieść się niezdolna i serce niepolskie także: suche, wyrachowane, kochające ojczyznę zapewne, ale od czułości, od téj zapalności polskiéj zupełnie wolne. „Był on zapalonym stronnikiem domu Rakuskiego: intrygował na korzyść Maksymiliana, brał od niego pieniądze, potajemnie pisał przeciwko Batoremu, szkalował go i radził zrzucić z tronu, co nie przeszkadzało mu w oczy zasługiwać się królowi i pochlebiać jak niedawno pochlebiał Henrykowi, chociaż zawsze forytował do tronu arcyksiążąt. Ta dwulicowość, nie zaś przekonania polityczne, rzuca plamę na pamięć Warszewickiego. Pan Tarnowski przyznaje mu rozum niepospolity, zmysł krytyczny i wiele zdrowych poglądów; gani zaś styl jego wymuszony, sztuczny, bez oryginalności, niewolniczo naśladujący starożytnych żywcem z klasycznych dzieł wziętymi frazesami. Zdaniem naszém, to możnaby mu najłatwiéj przebaczyć, gdyż w owych czasach frazeologia łacińska, z pretensyą do wytworności klasycznéj, nie mogła być niczém innem, jeno zlepkiem wyrażeń wyłowionych z dzieł Cycerona, Liwiusza i Horacego, a o oryginalność nie każdemu łatwo.

Przedewszystkiém pan Tarnowski podaje obszerny rozbiór dyalogu Warszewickiego. O najlepszym stanie wolności (*De optimo statu libertatis*). Autor wprowadza tu rozprawiających o stanie rzeczypospolitéj: kanclerza Ocieskiego, który przedstawia opinie i poglądy samego

Warszewickiego, daléj Orzechowskiego, podtrzymującego poglądy szlacheckie i biskupa Padniewskiego, niewykazującego żadnéj wybitnéj barwy.

Niektóre poglądy z obszernego streszczenia pana Tarnowskiego zasługują na przytoczenie. Tak Ocieski (Warszewicki) ujmuje się za plebejuszami: „którzy w dobrze urządzonéj rzeczypospolitéj w wielkiém mieliby być poważaniu, bo przez nich i przez rolnictwo i miasta stoją i kwitną rzeczypospolite, a kiedy plebejusz nie jeden doszedł do szczytu godności tego świata i mógł zostać namiestnikiem Chrystusa, następcą Piotra, to i w świeckiéj rzeczypospolitéj musiałby słusznie nieraz wyjść wysoko."

Daléj tenże powiada: „nam jednego przedewszystkiémby potrzeba: mało praw stanowić, a miéć lepsze obyczaje, raz zaś postanowione prawa stale i słusznie i porówno wykonywać;" a nieco niżéj: „do tegośmy doszli, że w saméj Polsce nie możemy znaleźć Polski, pola cieszą się obfitym urodzajem, a ziarna dla wielkiéj drożyzny u nas dostać niemożna, ceny zboża i ceny innych towarów przy największym urodzaju nie obniżają się wcale. A dlaczego? Przyczyna jawna: każdy, co mu się zachce, na to się i odważa, na co się odważy to może, co może to wykona... Wszyscy wydają więcéj niż mają dochodu, nikt nie myśli o przyszłości. To jedno. Drugie, wychowanie naszéj młodzieży. Samuel Maciejowski zwykł był mawiać, że u naszéj szlachty im synek od kolébki krnąbrniejszym się pokazuje, tém rodzicom droższy, bo rozum przedwczesny daleko nam się bardziéj zwykł podobać niż rozum dojrzały." Czy nie słyszymy tu jakby dzisiejszego moralistę?

O elekcyi królów, Warszewicki wyraża się z przekąsem i nieprzychylnie. Przytacza Tacyta, który powiedział że bezpieczniéj jest królów znajdować, niż ich szukać i bezpieczniéj znosić ich wady, aniżeli często ich zmieniać. Warszewicki chce nie ograniczyć i uregulować elekcyę jak inni statyści spółcześni, lecz poprostu znieść ją zupełnie; powołuje się na przykład Węgrów, którzy, zdaniem jego, przez wolną elekcyę doszli wówczas do niewoli tureckiéj.

Równie nieprzychylnie mówi Warszewicki o sejmach. Co to za wyborny i charakterystyczny, choć może nieco przesadny, zwłaszcza jak na owe czasy, taki np. ustęp: „największa u nich (posłów szlachty) sztuka, zasługa, odwaga, sprzeciwić się urzędowi albo urzędnikowi, wtedy myśli (każdy) że zrobił wszystko, co ojczyźnie winien. Swoją podejrzliwością robią to, że nic się w tajemnicy utrzymać nie może, bo wszystkiego się dowiedzieć muszą, a dowiedziawszy, zaraz rozgadają. A jak radzą? Co za gadulstwo nieznośne, co za rozwlekłość, co za zwada niepohamowana a szumna, co za treść błacha i pusta! Kiedy się zjadą, pierwsza rzecz narzekać, że im wygodnych mieszkań nieopatrzono. Przyjeżdżają na sejm z czeredami sług i pachołków, na paradnych koniach, ubrani od złota i kamieni i cóż z tego? Z jakim duchem, w jakich zamiarach, czego do góry nogami nie przewrócą, czego nie probują odrabiać i odwoływać? Jeżeli nam tego a tego nie zro-

bicie, my do obrad nie przystąpimy... A co nam do tego, że mówią że goniec przybiegł z wieścią o wtargnieniu Tatarów: mnie ten nieprzyjaciel, kto mnie z wolności moich chce obedrzeć i t. p."

Orzechowski mało odpiéra te zarzuty, usiłując je raczéj zrzucić na senat, na magnatów.

Niezupełnie wszelako słuszném jest zdanie pana Tarnowskiego, jakoby Warszewicki był stanowczym nieprzyjacielem sejmów i wszelkiego udziału ludu w rządzie (str. 154), gdyż Ocieski w dyalogu nie żąda zniesienia sejmów, lecz owszem, podaje środki ich naprawy. Tak np. żąda ażeby posłowie na sejmikach zdawali sprawę ze swoich czynności na sejmie, ażeby sprawozdania z takich sejmików szły także do króla, ażeby przy wyborze posła zwracać uwagę na cztery rzeczy: cnotę, urodzenie, majątek i rodzaj życia i t. d.

Przytoczone są także słowa królowéj Bony: „Polacy w początku każdéj sprawy twardzi i stali jak żelazo, a im daléj tém miękси, stają się płynni jak woda, albo że są podobni do piwa, które burzy się i pieni; zdaje się że rozsadzi naczynie, a za chwilę opada i nic z jego piany nie zostaje." Szeroko także rozprawia dyalog o królu i władzy królewskiéj. Nie będziemy tu szczegółowo przytaczali rozbioru pana Tarnowskiego; wymienimy tylko kilka zdań trafnych. I tak: z upodobaniem powtarza nasz autor zdanie jakiegoś starożytnego filozofa, według którego król od ludu trzymać się powinien w takiéj odległości jak od ognia: nie zadaleko, boby zmarzł, nie zablizko, boby się sparzył. Rzeczą jest króla zapobiegać buntom i rewolucyom bo (mówi autor) „główne przyczyny do buntów są zawsze trzy: ucisk prostego ludu, nierówny i niesłuszny podział prerogatyw i urzędów, wielkie bogactwa jednych, a wielka nędza drugich. Węgrzy byli twardzi dla swoich poddanych, w téj saméj mierze dziś są względem swoich panów pokorni, co aby się i nam Polakom nie przytrafiło, niech Bóg odwróci."

Wszelkie trudności radzi autor królowi pokonywać wszelkiemi możliwemi środkami, „bo nikt go nigdy nie będzie pytał o to ani z tego powodu sądził, jakiemi drogami do celu szedł, tylko jak prędko, jak pewnie i dobrze do niego doszedł." Pan Tarnowski robi tę uwagę, że pisarz wrzekomo katolicki, i to nawet katolik dość gorliwy, a potrosze i fanatyk, gdyż usprawiedliwia inkwizycyę, w powyższych słowach okazuje, jakby nawet w Boga nie wierzył.

Książka się zamyka nauką że trzy są filary, na których królowie powagą swoją opierać się winni: dwór obyczajny i dostojny, nauki i ludzie uczeni, wreszcie biegli i mądrzy posłowie do zagranicznych dworów.

Drugie dzieło Warszewickiego, do którego rozbioru pan Tarnowski z kolei przystępuje, jestto jedyna z owéj epoki praca o sztuce dyplomatycznéj, to jest *O posłach i poselstwach* (De legato et legatione). Pan Tarnowski dość ceni tę pracę; zarzucał jéj tylko że nie podaje reguł polityki zagranicznéj dla Polski wydobytych z jéj historyi i położenia, to jest, że nie zastanawia się szczegółowo nad polityką sąsiadów rzeczypospolitéj, nad stosunkami z nimi i pożądaną tych stosunków

zmianą na lepsze, lecz daje tylko pewne przepisy zachowania się dla posłów rzeczypospolitéj na obcych dworach. Książka ta jednak mogła być pożyteczną z powodu wielu zdrowych rad i trafnych poglądów, lecz nie zwrócił na nią nikt prawie uwagi i rzeczpospolita od początku aż do końca nie umiała stosownie pokierować swą dyplomacyą i zagraniczną polityką, co jéj na dobre nie wyszło.

Do koniecznych warunków dobrego posła, Warszewicki rachuje także wymaganie ażeby był katolikiem. Szeroko rozwodzi się o tém, jak powinien poseł postępować z obcymi monarchami: „królowie, powiada między innemi, mają tę naturę co ryby: jak je ku brzegowi nagle pędzić, odpływają na głębokie morze; a zostawić je w spokoju, to same zbliżają się do brzegu. Królowie jednéj rzeczy nie znoszą: to żeby ich naglić, nastawać na nich, zmuszać. Już tego nie lubią, żeby im przypominać, upominać, cóż dopiéro naglić. Dlatego zręczny poseł nie powinien nigdy być niecierpliwym i natarczywym" i t. d.

Ciekawe są wskazówki, jakich posłów należy wybierać do rozmaitych państw. „Do Turków posyłać trzeba ludzi odważnych, tęgich i hojnych; bo Turcy lubią grozić, a są przytém chciwi, więc trzeba tam takich, którzyby im dawali dużo, a ich się nie zlękli. Do Rzymu ludzi poważnych, prawowiernych katolików, ale nie duchownych, tylko (lecz) świeckich, bo duchownemu daleko trudniéj opierać się Stolicy Apostolskiéj i śmiało od niéj żądać. Do Hiszpanii statecznych, poważnych, a takich, którzy się od nowości politycznych lub religijnych najdaléj trzymają; do Włoch układnych, grzecznych, ujmujących; do Francyi bystrych, giętkich i w mowie biegłych; do Anglii okazałych, majestatycznych, z wejrzenia pięknych, bo Anglikom to się podoba, tembardziéj, że sami wiedzą i boleśnie to czują że im na tych przymiotach zbywa (?); do Niemiec słownych i stałych, bo Niemcy sami od wieków ze stałości słyną (?)."

Przy końcu pan Tarnowski raz jeszcze podnosi tę okoliczność, że w dziele o poselstwach Warszewicki pozostał dalekim od wszelkiego machiawelizmu, od przewrotnéj kazuistyki i zasad wątpliwéj moralności, widocznych w poprzedniém dziele. „Najsympatyczniejsze to z pism tego autora, powiada pan Tarnowski, bo z przyjemnością i z uszanowaniem (?) widzi się u niego to wysokie pojęcie dyplomacyi, jako służby pokoju i zgody, pośredniczki porozumienia, straży międzynarodowego prawa, te subtelne i trudne, a przecież rzeczywiste rozróżnienia ostrożności i przezorności od oszukaństwa i podstępu; tę prawdziwą moralność, któréj może dyplomacya ówczesna nie miała więcéj jak dzisiejsza, ale któréj człowiek uczciwy żądać od niéj powinien."

Daléj idzie krótka wzmianka o trzeciém dziele Warszewickiego z hiszpańskiego tłumaczoném; *Friderici Ceriolae, De consilio et consiliariis*, w którém mowa o urządzaniu ministeryów. Autor żąda siedm ministeryów: skarbu, pokoju (spraw wewnętrznych), wojny, praw (sprawiedliwości), spraw zagranicznych, nagród (?) i kar (?).

Nakoniec pan Tarnowski poddaje rozbiorowi mowy Warszewickiego łacińskie i polskie; z pierwszych najsłynniejsze są tak zwane turcyki *(turcica)* głoszące potrzebę wojny z Turkami; z polskich, mowa po śmierci króla Stefana na zjeździe mazowieckim. Turcyki p. Tarnowski ocenia jak następuje: „są one kute na wzór mów Cycerońskich, we wszystkich znać szkolnego pedanta, który umiał na pamięć *ad Herennium*, znał wszystkie oratorskie sztuki i sposoby, wiedział w którém miejscu potrzeba wykrzyknika lub znaku zapytania, uczył się pilnie sekretów zbudowania zaokrąglonego okresu, tylko jednéj rzeczy nie wiedział, to jest jak zrobić wrażenie, jak wzruszyć lub przekonać.“ Dziwi się daléj autor niezmiernéj ilości tych mów—jest ich czternaście —przytaczając że Katylinaryj jest tylko cztery. Atoli jest czternaście filipik Cycerona przeciwko Antoniuszowi i jak tytuł mów, tak i ich liczba są naśladowaniem z Cycerona.

Wyrazy przytoczone przez pana Tarnowskiego jako wstęp jednéj z Turcyk, „małpujące czwartą Katylinaryę” (str. 190) znajdują się nie w czwartéj, lecz w pierwszéj mowie przeciwko Katylinie.

W mowie na śmierć Filipa II Warszewicki, zapalony wielbiciel tego króla, oczyszcza go z zarzutu okrucieństwa, a nawet broni stosu i inkwizycyi. Żałuje autor, że Warszewicki tak mało pisał po polsku, bo we własnym języku podnosi się czasem do takiéj żywości stylu i wymowy, jakiéj próżno szukać w jego pismach łacińskich.

Nakoniec wspomina jeszcze autor „*Parallelae*” to jest porównawcze życiorysy znakomitych mężów i paradoksa, zbiór maksym, poglądów i sentencyj. W tém ostatniém dziełku odnajdujemy główne poglądy i przekonania autora, wypowiedziane po części w dyalogu o najlepszym stanie wolności.

Kończąc swoją zajmującą pracę, pan Tarnowski ocenia Warszewickiego raz jeszcze zupełnie w tychże prawie słowach, co i na początku monografii. Nazywa go najkompletniejszym doktrynerem XVI wieku, ale z drugiéj strony, jako nowy dowód jego przewrotności, przytacza że Batorego w dziełach historycznych nazywał *cunctis terrarum orbis principibus superior* (wyższym nad wszystkich monarchów świata), co nie przeszkadzało mu w korrespondencyi z Maksymilianem mianować tegoż króla niesprawiedliwym, obyczajów plugawych, nienawistnym narodowi.

Dodany jest spis dzieł Warszewickiego, w którym oprócz rozbieranych przez autora, znajduje się wiele jeszsze prac oryginalnych i tłumaczeń historycznych i religijnéj treści, gdyż Warszewicki był księdzem, czego prawie całkiém nie znać w jego politycznych dziełach.

W saméj pracy pana Tarnowskiego zawiele powtarzań i rozwlekłości; styl często zaniedbany, chociaż pan Tarnowski słynie z daru wymowy.

Ksiądz Moszyński podał bardzo dokładny i pracowicie ułożony wykaz rękopismów treści teologicznéj, znajdujących się w publicznéj bibliotece petersburskiéj, który, pomimo skromnych słów autora, ma

wszelkie cechy i wysoką wartość bibliograficznego opisu, nie zaś prostego katalogu. Rękopisma te dawniej znajdowały się po większéj części w bibliotece Załuskich. Są tam kazania, modlitewniki, rozprawy teologiczne i polemiczne w językach polskim, łacińskim, a czasem w polskim, francuzkim i niemieckim.

Z działu Pisma Świętego sprawozdawca uważa za najważniejszą historyą męki Pańskiéj z XV lub XVI wieku p. t. „Sprawa chędoga o męce Pana Chrystusowéj“ przez Wawrzyńca Łaszcza czy Łaskiego, i dwa przekłady prozą psalmów Dawidowych, piękną polszczyzną dokonane.

Szczególną uwagę czytelników zwraca także ksiądz Moszyński na dzieło Gunthera „Duchowne lekarstwo chorych“ rękopism z XVII wieku, w którym zasady pisowni, tyczące się spółgłoski j są takież same jak dzisiaj.

Książki do nabożeństwa z XVII i XVIII wieku są albo w języku polskim, albo we francuzkim i niemieckim, co pokazuje że te języki były dość rozpowszechnione w polsce za Sobieskiego i Sasów. Polszczyzna w nich czysta, gdyż język makaroniczny, uważany jako ozdobny, używany był tylko w dziełach świeckich, a do Pana Boga przemawiano językiem czystym, szczeropolskim.

Wymienia daléj sprawozdawca ważną kronikę kościelną Dubowicza z 1646 r. i sporo rzadkich pism polemicznych, pochodzących także z wieku XVII. Tu należą pisma Melecyusza Smotryckiego przeciwko papieżom, obrony wschodniéj cerkwi przeciwko jezuitom Dubowicza i innych i t. d. Ciekawém tu jest dzieło p. t. „Wyjawienie przed Bogiem i światem obrzędów żydowskich i t. d. przez Jana Szarafinowicza łaską Boga do wiary św. przywróconego, przedtém zaś rabina w księstwie Litewskiém będącego 1716 roku.“ W przedmowie autor mówi o sobie, kiedy się rodził, powiada że w 18 roku życia (!) został rabinem w Słucku, a potém wielkim rabinem litewskim; wyznaje że na tym urzędzie zamordował dwoje dzieci chrześciańskich (!) jedno w Rożanie, drugie w Słonimie, a nareszcie przyjął wiarę chrześciańską. Do chrztu trzymali go królewicz Konstanty Sobieski i Elżbieta Sieniawska.

W innym znowu guście jest rękopism z nowszych czasów p. t. „Myśl żydowska, dzieło tłumaczone z angielskiego oryginału, drukowanego w 1770 roku,“ a wymierzone przeciwko Księgom Mojżeszowym i w ogóle Staremu Testamentowi. Pomiędzy kazaniami sprawozdawca uważa za godne wzmianki kazania Kulwowskiego z 1550 roku i dwa kazania Sarbiewskiego, z tych jedno dotąd nieznane. Autor tego pracowitego sprawozdania ksiądz Moszyński potrąca nawiasem, kwestyą gramatyczną wyrazów zakończonych na *anin* i *an* w ten sposób że odrzuca całkiem, pierwsze zakończenie i zamiast dominikanin, bazylianin, franciszkanin, pisze dominikan, bazylian i franciszkan, gdyż tak oddawna pisano i mówiono, podobnie jak piszemy i mówimy kasztelan, kapelan, cygan, hetman a nie kasztelanin, kapelanin i t. d. a również i dla tego że urobione od powyższych rzeczowniki żeńskie brzmią dominikanka,

bazylianka, przymiotniki zaś, dominikański, bazyliański. Wszystko to nie jest pozbawione zasady, ale nie należy zapominać, że takich wyrazów, wziętych z obcych języków, a mianowicie z łaciny, w której kończą się na *anus*, niepodobna podciągnąć pod jedną normę, ani pod zakończenie *an*, ani pod *anin*. Wszystkie one mają liczbę mnogą na *anie*, formę żeńską na *anka*, a przymiotnik na *ański;* lecz w pojedyńczéj liczbie rozstrzyga zwyczaj, który już w języku zapanował, bo przecie ksiądz Moszyński nie zechce zapewne mówić chrześcian zamiast chrześcianin, parafian zamiast parafianin lub pogan zamiast poganin, dla tego że powyżéj wymienione formy pochodne brzmią chrześciański, chrześcianka, parafiański, parafianka i t. d., nie zaś chrześcianiński, chrześcianinka, parafianiński, parafianinka.

Tak więc jeżeli w żywéj mowie natrafiamy na formy dominikan, bazylian i t. d., to mogą być one wprawdzie tolerowane, ale niepodobna ani potępiać form zakończonych na *anin*, również istniejących, ani podciągać całego szeregu podobnych wyrazów pod jedno prawidło. Trochę dziwnym nawet wydaje się nam taki argument: „proszę spytać każdego franciszkana, dominikana i t. d. a żaden nie nazwie siebie franciszkaninem, dominikaninem, ale franciszkanem, dominikanem i t. d." (str. 230).

Cenną pracą ks. Moszyńskiego zamyka się dział rozpraw. Następują protokóły i sprawozdania posiedzeń, z których ważniejsze szczegóły i wyjątki były już w swoim czasie podawane w naszych pismach czasowych, a w téj liczbie i na kartach Biblioteki. Z tego powodu przytoczymy tu zaledwie kilka wiadomości, jak się zdaje, jeszcze dotąd przez nasze pisma niepodanych.

W sprawozdaniu z posiedzenia 13 czerwca 1873 r. czytamy: „pan Szujski zwraca uwagę na niebezpieczeństwo, jakie (które) już dzisiaj grozi pojmowaniu i rozumieniu działalności poetycznéj A Mickiewicza wskutek licznych publikacyi, tyczących się jego życia, wprost kłamliwych, a z próżności ludzi, chcących się łączyć z pamięcią wielkiego mistrza, pochodzących. Wnosi ażeby członkowi Akademii panu Juljanowi Klaczce to niebezpieczeństwo przedstawić i prosić go o wygotowanie krytycznego życiorysu poety. Przyjęto."

Na posiedzeniu dnia 14 stycznia 1874 r. pan Szujski podał wiadomość o nieznanym dotąd poemacie satyrycznym z XVII wieku p. t. „Satyr Podgórski," znajdującym się w bibliotece Zakładu Osolińskich we Lwowie. Utwór to ma być niewielkiéj literackiéj wartości, lecz ważny jako przyczynek do historyi obyczajów za Jana Kazimierza; wspomniał o nim już Szajnocha.

Na posiedzeniu dnia 1 kwietnia 1874 r. przedstawiony był nadesłany przez pana Kluczyckiego zabytek polskiego języka z XV wieku p. n. „Epistola świętego Bernarda o chowaniu czeladzi" po łacinie i po polsku. Łacina średniowieczna, bardzo licha, polszczyzna znacznie lepsza. Oto próbki (według pisowni dzisiejszéj): „W wielkąnoc dostatecznie czeladź nakarmij, ale nie rozkosznie: każ łakożyrstwu (łakomstwu) walczyć z mieszkiem, a warwysze (?) być rzecznikiem jego (we-

dług łacińskiego przekładu strzeż się być rzecznikiem jego). A będzieszli między imi sędzią, rychléj dawaj skazanie za mieszkiem, boć łakożyrstwo świadczy na mieszek swymi żądzami a wodzi świadki nieprzysięgłe. Też źle sądzić przeciwko łakożyrstwu gdy łakomość (chciwość) zawiązuje mieszek i t d.

„O rąbiech (szatach) słysz. Rąb kosztowny świadectwo jest małego rozumu. Rąb nad wyższe ukazany sąsiadom mierziączkę czyni i teszność. Wyknij dobrocią lub (lubym, miłym) być, nie rąbem. Prośba niewieścia szat a szaty mającéj znamię jest niemocnéj wiary (sic).

„O przyjacielu tako trzymaj, że wietszy to jest przyjaciel, który swe dawa, niźli który sam się zakazuje (w tłómaczeniu *qui se ipsum offert*). Na rzeczy dosyć jest przyjacieli. Przyjacielem sobie nie licz, który cię oczywiście chwali. Radziszli przyjacielowi, nie radź jemu k'lubości, ale rozumowi. Gdy radzisz przyjacielowi, nie mów jemu: tako masz uczynić, ale rzeknij: tako mi się widzi. Bo ze złego doradzenia rada nieprzyjaźni przyczyna pochodzi, a z dobréj rady rzadko chwała bywa i t d."

Na tém zakończymy nasz rozbiór. Drugi tom rozpraw i sprawozdań podobno już znajduje się pod prassą i zapewne niedługo pojawi się i w Warszawie. *L. Szczerbowicz-Wieczór.*

Przegląd Krytyczny. Kraków 1874—1875. (Od numeru 1-o do 7-go).

Z końcem października zeszłego roku ukazał się nowy organ peryodyczny piśmiennictwa p. n. „Przegląd Krytyczny," pod redakcyą prof. uniwersytetu krakowskiego Wincentego Zakrzewskiego, wychodzący z ostatnim dniem każdego miesiąca w dwóch arkuszach druku, w 4-ce. Dotąd więc wyszło n. 7. Na wstępie 1-go numeru szanowny professor w imieniu redakcyi wypowiada pobudki, jakie towarzyszyły zawiązaniu się pisma, streszczające się w uczuciu potrzeby obznajmiania czytelników z najnowszemi dziełami. Takiemu zadaniu, jak słusznie powiedziano na wstępie, nie mogą w zupełności odpowiedzieć pisma, mające z natury ściślejszy zakres i kierunek. Tymczasem wśród rozbudzonego dziś zamiłowania do książek nie odzownemi są wskazówki wyboru, co rzeczywiście czytać należy.

„Potrzebie tak naglącéj zaradzić może tylko pismo, które położy sobie za główne i wyłączne zadanie, zdawać sprawę ze wszystkich objawów piśmiennictwa, żadnego ważniejszego z nich nie pominąć, a miejsce każdego, jakie mu się w życiu naszém umysłowém należy zaznaczyć.

„Przegląd Krytyczny podawać będzie sprawozdanie z całego piśmiennictwa naszego i obcych o tyle, o ile one z naszym w pewnym, cho-

ciażby odległym zostają związku. Wreszcie pismo usuwa ze swego programu wygłaszanie „przekonań społecznych lub politycznych w jakimkolwiek kierunku."

Zapowiedzianemi przedmiotami sprawozdania są: teologia i historya kościoła, filozofia, pedagogia, pismo dla ludu i dla dzieci, historya i nauki społeczne, geografia i etnografia, archeologia i sztuka; nauki prawne, polityczne i społeczne, rolnictwo, matematyka i fizyka; nauki przyrodzone, lekarskie, językoznawstwo i historya literatury, powieści i poezye, rozmaitości i bibliografia."

Redakcya zapewniła sobie współdziałanie sił znakomitych i powszechném uznaniem zaszczyconych; ożywiona niekłamaną czcią dla prawdy i pracy, oczekuje téż z wiarą gorącego poparcia ze strony czytelników.

Wrażenie sprawione piérwszemi numerami w zupełności tę wiarę usprawiedliwia.

Rzeczywiście, po przeczytaniu przeszło stu dwudziestu recenzyi, uzyskujemy ogólny i organicznie przeprowadzony plan tego, co się dzieje w świecie nauki i piękna, z jasną i sumienną oceną utworów. Sprawozdania z piśmiennictw obcych zapowiedziane są wprawdzie warunkowo; program robi je zależnemi „od przyjęcia, jakiego pismo dozna od publiczności."

Znajdujemy tu jednak już w piérwszych zeszytach recenzyę dzieł francuzkich i niemieckich, dokonane z wielką znajomością rzeczy i z wytrawnym poglądem.

Wyborne wrażenie, jakie sprawia ten próbny balon, zachęci zapewne redakcyą do wyzierania chwilami za granicę naszego piśmiennictwa, a *związek organiczny* zawsze się znajdzie.

Pismo czasowe literackie, obok ściśle naukowych swoich celów, ma przytém zadanie wychowawcze. Jeżeli obznajmia nas z postępem pojęć naukowych, z odkryciami w głównych gałęziach wiedzy ludzkiéj dokonanemi, spełnia jedną połowę posłannictwa, dogadzając potrzebom pewnych grup społeczności. Pozostaje jeszcze jedna, kto wié czy nie piérwsza połowa zadania? Poza wybranymi pozostają jeszcze *powołani* t. j. większość, o którą właśnie pismu czasowemu głównie troszczyć się wypada. Powinnością jego, jego interesem w imię porządku ogólnego, jest wytwarzanie nowych *potrzeb*, których poczucie tliło się wprawdzie zarodowo w umysłach większości; ale nie ożywiane, nie podniecane z zewnątrz, ani dojrzéć, ani jasno sformułować się nie mogło. Ze względu téż na ową wychowawczą pobudkę, uważalibyśmy za pożyteczne przytaczanie w recenzyach „Przeglądu" (prowadzonych, jak już powiedziano, sumiennie i z wytrawnym sądem) dosłownych *ustępów* z rozbieranego dzieła, jak to czynią piérwszorzędne pisma (np. angielskie Ateneum, Gazeta literacka i t. p.). Najobszerniejsze bowiem sprawozdanie nie może dać tak dotykalnego rysu indywidualności pisarza, jak jego własne wyrazy. W żywém słowie, z ust autora wychodzącém, mamy obraz nietylko jego stylu, przypuszczając że to rys pod-

rzędny, ale prawdziwą jego osobistość naukową, ton rozumowania. Co więcéj, jeżeli ten autor posiada (rzadki) dar jednolitości poglądu i umie być sobą od początku do końca, w takim razie z kilkunastu okresów wytwarzamy sobie niejako dopełniające rysy idei, którą przeprowadzał.

Ważną jest bezwątpienia mozolna praca sprawozdawcy, który przeczytawszy szeregi książek i pism peryodycznych, kreśli z nich obraz wirowego ruchu literatury; ale dla nas czytelników niemniéj zajmującym jest osiowy ruch jednostki, w jéj łonie, wykładzie i w sposobie rzucania światła na przedmioty.

Ważną zasługę „Przeglądu" stanowi umieszczany w stałych okresach i treściwie skreślony obraz ruchu naukowego akademii umiejętności.

Życzyćby należało, aby do spisu nowych książek „nadsyłanych do redakcyi," dołączane były i nowości literackie, z piśmiennictw obcych, naturalnie z ograniczeniem się do samych arcydzieł nauki, poezyi i t. p.

Oto są ogólnie nakreślone wrażenia z piérwszych numerów Przeglądu, pomyślnie wróżące o jego przyszłym wpływie na czytającą publiczność; oto postulata, do wypowiedzenia których powodowała nas już zasłużona życzliwość dla nowego pracownika.

Zwracamy się teraz do strony najgłówniejszéj, stanowiącéj istotę zadania Przeglądu, do krytyki; zwracamy się z tém hasłem, że w społeczeństwie a przedewszystkiém w świecie literatury nie ma sprężyny ani zbawienniejszéj, ani zgubniejszéj, jak krytyka. Wiek w którym żyjemy, wysoko postawił znaczenie tego regulatora opinii publicznéj. Widzieliśmy, jak pod jéj wszechpotężném działaniem myśl społeczna budziła się z niezwykłą siłą, i zdumiewającą płodnością. Widzieliśmy téż ujemne cuda téj straszliwéj broni. Burzyła, nie budując; zaprzeczała, nie siejąc; marnowała własne zdolności w niweczeniu, dla zasady niweczenia, wytrącała pióro z ręki namaszczeńców swojego czasu. Czas i uczucie zachowawcze starły ze sztandaru krytyki godło ujemne zastępując je godłem działalności spokojnéj, organicznéj, uzacniającéj.

Takiego kierunku życzymy każdemu z pism, takiego kierunku mamy w Przeglądzie Krytycznym zadatki: sądzi, przetrawia, dopełnia, wytyka wady, ale żądła po sobie nie zostawia. Język Przeglądu Krytycznego odznacza się nieposzlakowaną czystością. Na małą tylko liczbę wyrazów nie zgodzilibyśmy się: *podrobniejszy*, *limistabywny*, *dyzjunktywny*.

Co do tych ostatnich terminów nauki, wypada nam odwołać się do ogólnéj natury naszego języka. Posiada on w swoim układzie niesłychaną czułość organiczną, tak iż na żadnym punkcie nie może być traktowanym, jakoby ciało martwe. I dlatego to wszelkie wytwory gramatyczne, nie usprawiedliwione jego duchem i naturą sprawiają równie dotkliwe wrażenie, jak obce ciało, wprowadzone do zdrowéj części or-

ganizmu. Wolno Francuzowi obok słowa *recueillir* postawić *recollection*, bo ten język swoje organiczne dopełnienie ma gdzieś zewnątrz siebie (w łacińskiém *collego*); ale w naszéj mowie, nawskróś żywotnéj, podobnych wytworów wprowadzać nie można bez obrażenia jéj natury. Wyrazy: *subjektywny* i *objektywny* utarły się wprawdzie, ale ten wyjątkowy przywiléj obywatelstwa spowodowała nadzwyczajna ważność samych pojęć, których są znamionami. Lecz owa rzesza: *relatywnych*, *limitatywnych*, *disjunktywnych*, *dysparatnych*, *dyskursywnych*, ani właściwością języka, ani potrzebą prawdziwą uzasadnić się nie da.

F. J.

Die menschliche Sprache, ihre Bildung und ihr ursprünglicher Bau von Paulin Święcicki. Leipzig. In Commission bei E. L. Kasprowicz 1875. Druck von O. Rogosz in Lemberg.

Pod tym napisem ukazał się niedawno dosłowny przekład niemiecki rozprawy pana Święcickiego „*Mowa ludzka, jéj układ pierwotny i budowa*," wydanéj przezeń przed dwoma laty we Lwowie. W czasopiśmiennictwie naszém praca ta, ile wiemy, nie doczekała się dotychczas rozbioru; rzec nawet można, iż przeszła prawie niepostrzeżenie. Wzgląd téż na okoliczność tę, a przedewszystkiém charakter saméj rozprawy, skłonił nas do poświęcenia jéj kilku uwag krytycznych.

Zaznaczyć najprzód wypada, iż autor występuje w charakterze stanowczego reformatora w językoznawstwie. Dotychczasowy tryb postępowania w téj dziedzinie wiedzy jest, zdaniem jego, zupełnie błędny, a olbrzymie prace pierwszorzędnych badaczów mowy ludzkiéj były i są usiłowaniami płonnemi, pozbawionemi wszelkich cech iście naukowych. „Od lat dziesięciu — powiada — wyłącznie poświęcając się językoznawstwu, doszedłem do przekonania, że lingwistyka pozostać musi umiejętnością tylko, nie nauką, póki nie oprze się na fizyologii i matematyce; bowiem tylko pierwsza wykryć zdoła przyczyny skutków zregestrowanych przez lingwistykę; a tylko ostatnia naukowo dośledzone prawa językowe potrafi ująć w formuły, ściśle określone, niczém obalić się niedające. Szczęśliwszy w téj mierze od innych, nie poprzestałem na wyrobieniu w sobie przekonania jedynie; ale, w miarę sił, starałem się korzystać z pomocy wzmiankowanych nauk, pragnąc językoznawstwo oprzeć na niewzruszonych podstawach; umiejętności téj wzkazać przynajmniéj drogę, po któréj idąc, do godności nauki wznieść się zdoła." Lingwistyka ginie dotychczas w powodzi trudności, które nagromadza niepotrzebnie; z całego jéj ogromu ocalić się zaledwie daje kilka prawd pozytywnych, o które w przyszłości oprze się nowy gmach wiedzy językowéj z bezwzględném odrzuceniem dotychczasowych sposobów jego wznoszenia. Materyał pozostanie ten sam, inni tylko wystąpią architekci i innych potrzeba będzie robotników." Należy tedy „raz juz zaniechać *robót* językowo porównawczych, jako bezowocnych!"

Zobaczmyż, w jaki to mianowicie sposób i z jakich powodów, broszura o 93-ch stronicach unicestwia wszystkie owoce wieloletnich prac Boppów, Humboldtów, Schleicherów, Pattów, Burnoufów i tylu innych a innych, złożone w księgach zdumiewających zarówno objętością jak bogactwem treści.

Pierwszemu rozdziałkowi swéj pracy dał autor napis: „Mowa ludzka pod względem fizyologicznym.“ Tekst atoli nie ogranicza się bynajmniéj na zadaniu, wyrażoném w napisie; lecz traktuje o wielu innych rzeczach, niepozostających zgoła w łączności z ustrojem i funkcyami krtani jako narzędzia mowy. Znajdujemy więc najprzód kilka pobieżnych uwag o sprawach życiowych ciała w ogóle, o procesie tworzenia się wyobrażeń i pojęć, wreszcie, co najdziwniejsza, o istocie i początku mowy ludzkiéj. Stanowisko, z którego p. Święcicki rozbiera wszystkie te zagadnienia jest tego rodzaju, iż sensualista najjaskrawszego proporca poczytałby je bez wahania za własne. Życie człowieka, mniemaniem autora, to tylko walka bodźców zewnętrznych z siłami wewnętrznemi, ustawiczny nacisk i odpór, przyjmowanie i wydzielanie, przemiana jednéj formy ruchu na drugą. A nie sądźmy, by autor przez siły wewnętrzne rozumiał ogół władz psychicznych człowieka. Bynajmniéj. „*Tak zwaną* duchową działalność ludzi“ sprowadza on poprostu do podrażnień nerwowych, wywołujących obrazy w półkulach mózgu, którego objętość i ustrój poczytuje p. Święcicki za „miarę umysłowych zdolności.“ Gdybyśmy, mówi, wiedzieli, czy budowa mózgu wszędze jest jednaka, czy różna i czém się różnią mózgi ludów dzikich i ucywilizowanych, przestałoby dla nas być zagadką, dlaczego dziki jest dzikim nie zaś ucywilizowanym, a Europejczyk nie takim, jak Nowozelandczyk?“ Wyznajemy szczerze, iż tyle zacofanych zasad nie spodziewaliśmy się znaleźć w książce, wydanéj w r. 1873, a napisanéj przez człowieka, który, jak sam zapewnia, śledził badawczo postępy fizyologii w ostatnich czasach. Oczywista, iż miemania podobne oceniać dziś poważnie byłoby rzeczą równie niewłaściwą i zbyteczną, jak n. p. polemizować z pastorem Knacke, że nie słońce koło ziemi, lecz ziemia koło słońca wiruje. Zapewnić natomiast autora uważamy za stosowne że, gdyby nie był przysiągł bez wszelkiéj krytyki *in sapientiam magistri Sieczenow*, który dlań jest wyrocznią i gdyby znane mu były, choć powierzchownie, prace takich uczonych jak Lotze, Rudolf Wagner, Ruete, Hyrtl, Abercrombie, Kl. Bernard, Wundt, Urlici, a w literaturze krajowéj Majer, Szokalski i prof. Struve, do zdań pomienionych bez rumieńcaby się nie przyznał.

Jeżeli w powyższych twierdzeniach p. Święcickiego uderza tylko powierzchowność, to w rozumowaniu jego o istocie mowy ludzkiéj spotykamy same rażące sprzeczności. W gonitwie za oryginalnością, odmawiając człowiekowi wyższości po nad inne stworzenia ze względu na mowę, autor oświadcza uroczyście, iż ta ostatnia jest środkiem „*najmniéj* przydatnym do porozumienia się człowieka z człowiekiem.“ Lecz oto nieopodal czytamy: „mowa tak dzielnym jest środkiem po-

rozumienia się ludzi między sobą, iż *żadnym innym zastąpić się nie da.*" I znowu na str. 44: „nie chciejmy zapomnieć, że mowa sama przez się jest żadnym, albo słabym środkiem porozumienia się ludzi między sobą." Któreż tedy twierdzenie poczytuje autor za prawdziwe? Dwukrotne zapewnienie o błachości mowy w stosunkach ludzkich nie pozostawia wątpliwości w téj mierze. Mniemanie zaś swoje wzmacnia autor rzekomo tą okolicznością, że Francuz z Niemcem, Słowianin z Turkiem za pomocą mowy porozumieć się nie zdołają, i dodaje: „inne są do tego sposoby, powszechne, dla wszystkich zrozumiałe, ale niestety, zwierzęce: gra fizyognomii, gest, głos, oto mowa wszystkich ludzi zwierząt, ptaków, roślin (!), całéj natury." Faktem jest niezaprzeczonym, iż gesta i ruchy mięśni twarzowych, wydoskonalone do wysokiego stopnia, stanowić mogą nader wygodny, niekiedy nawet jedynie możliwy sposób wyjawiania myśli; lecz jakże szczupła ilość tych ostatnich krążyćby musiała śród ludzkości, gdyby ta unaoczniać je mogła tylko gestami? Jakież wysiłki tułowia i kończyn zdołałyby wyrazić owe krocie pojęć metafizycznych, któremi posługujemy się co krok, a bez których postęp umysłowy całe jest niemożliwy? Że niekażdy Francuz z Niemcem a Słowianin z Turkiem może rozmawiać zrozumiale, dowódże to nicości mowy w życiu człowieczeństwa? Niech autor powie co jest w stanie zastąpić głośną wymianę sądów w tyle powikłanych stosunkach życiowych, niech wskaże potężniejsze od języka ogniwo, któreby miliony Francuzów, miliony Niemców, Słowian czy Turków utrzymywało w jedności społeczeńskiéj.... Może autor wymieni wspólność religii, zwyczajów lub ustaw? Czémże atoli będzie dla ludzi treść tych przemożnych czynników bez obłoczy słowa? Marném zaiste i martwém oderwaniem jedynie!

Zapatrywanie się autora na początek mowy, o którym, mimo napis rozprawy, znajdujemy nader nie wiele i to dorywczych uwag, nie wytrzymuje również najlżejszéj krytyki. Wiadomo, iż mówiąc słowy Maxa Müllera [1]), „jak w biologii zagadnienie stworzenia stało się zagadnieniem początku komórek organicznych, tak w językoznawstwie kwestya pochodzenia mowy sprowadzoną została do kwestyi pochodzenia piérwiastków, tych komórek fonetycznych." Różnią się dzisiaj lingwiści w poglądach na pochodzenie piérwiastków, czytać można w téj mierze mnóstwo ciekawych, acz bardzo często wręcz sobie przeciwnych domysłów i przypuszczeń, ale nie ma obecnie na obliczu ziemi ani jednego poważnego a nieuprzedzonego badacza, któryby stawał w obronie teoryi interjekcyonalnéj czyli wykrzyknikowéj. A jednak autor nasz, mimo że od lat dziesięciu poświęca się wyłącznie językoznawstwu, bez najmniejszego wahania wskrzesza z ubiegłego stólecia płytką doktrynę lorda Monboddo [2]), oświadczając kategorycznie, iż wywód swój

[1]) Filozofia języka według Darwina „Kłosy" 1874 r.; n-r 472.

[2]) H. Steinthal, Dor Ursprung der Sprache. Eine Darstellung, Kritik u. Fortentwickelung der vorzüglichsten Ansichten. 1858, str. 37.

początku mowy „oparłszy na przyczynach prostéj (?) natury," ma prawo twierdzić, że.... „wykrzykniki stanowją początek mowy." „Matecznik mowy—dodaje—są one ziarnem, z którego rozrodziły się drzewa i krzewy olbrzymiéj puszczy języków." Pojmujemy dobrze iż z zasadniczych poglądów autora na życie psychiczne człowieka niepodobna było wysnuć innego wniosku, lecz mógłże autor zapomnieć o tych trzech niezaprzeczonych pewnikach: najprzód, że ze wszystkimi mimowolnymi krzykami, które człowiek dobywa z piersi pod naciskiem boleści, radości, zdumienia lub przestrachu, nie łączy się zgoła myśl świadoma, któréj zwierciadłem jak to sam autor przyznaje, jest mowa; powtóre, że krzyki te, jako czyste odruchy, tak są nieliczne i stałe, iż żadną miarą nie mogłaby się rozwinąć z nich ta różnorodność dźwięków, zwłaszcza spółgłoskowych, którą postrzegamy w językach ludzkości, i wreszcie, że nie ma na świecie tyle dowcipnego umysłu, któryby potrafił z takich głosów, jak ach! o! brr! ch! i t. p., wyprowadzić etymologicznie najpospolitsze nawet wyrazy, jak n. p. ziemia, niebo, życie, śmierć, światło [1]).

Z psychologicznego stanowiska, jakie zajmuje autor, snadnie już zrozumieć, dlaczego dotychczasowe badania lingwistyczne wydają mu się płonnemi i błędną prowadzonemi drogą. Zamiast językoznawstwa w ustaloném rozumieniu tego wyrazu, żąda on jakiéjś akustyki fizyologicznéj, któréj definicya tonie we mgle ogólników bez treści. Z błędnych wszakże założeń, błędne téż wypływają wnioski. Jeżeli autorowi nie obcém jest rzeczywiste zadanie poszukiwań lingwistycznych, jeżeli przyznaje, że mowa miała początek, że ulegała i ulega różnorodnym przemianom dziejowego rozwoju, którego podwaliną i dźwignią jest twórczy duch człowieka; to zgodzić się musi, że językoznawstwo jest nauką *historyczną*, a jako takie, pod żadne formuły matematyczne podciągnąć się nie da, i że zdanie wyrażone na str. 63: „naśladujmy badaczów przyrody, uczmy się od nich, jak mowę badać mamy," jest tylko.... frazesem.

---

[1]) Jak mimo to uludną niekiedy może być teorya interjekcyonalna, świadczy następujący szczegół z historyi poglądów na pochodzenie mowy. Zdolny myśliciel minionego stulecia, prezydent parlamentu burgundzkiego, Karol de Brosses († 1771 r.) w dziele swém: *Traité de la formation mécanique des langues* (Paris, 1765 I, 238) wyraził był mniemanie, że piérwiastkiem łacińskiego czasownika *stare* i pochodnych odeń wyrazów jest wykrzyknik *st!* wyrywający się mimowoli, gdy chcemy zatrzymać idącego a niewidzącego nas człowieka. Mniemanie to, tak napozór prawdopodobne, przez długi czas rzeczywiście utrzymywało się w nauce. Późniejsze atoli badania wykryły, iż wykrzyknika tego używa jedynie rodzina języków indo-europejskich, że więc nie ma on cechy ogólno-ludzkiéj, jaka odznacza wszystkie wykrzykniki właściwe, i że jest on poprostu skróceniem trybu rozkazującego *stal* (stój, stebe i t. p.). Wiadomość tę powzięliśmy z I-go tomu „Cywilizacyi piérwotnéj" Edwarda Tylora.

Całą wartość w mowie będącéj rozprawy stanowi ustęp, mający za przedmiot rozbiór fizyologiczny głosów mowy ludzkiej. Widać zeń iż piszący nie powtarza utartych twierdzeń za innymi, lecz że sam odbywał sumiennie studya laryngoskopijne. Z tego téż względu ustęp ten polecamy gramatykom i wszystkim pragnącym gruntowniéj poznać głosownią któregokolwiek języka. Zauważyć tylko winniśmy, iż *miękkich* dźwięków *cz'* i *sz'*, o których mówi autor na str. 25, krtań ludzka wydać nie jest w stanie i że nie właściwie użytym jest (str. 19) wyraz *średnica* na oznaczenie punktu, stanowiącego środek linii prostéj.

W rozdziale p. n. „Rozrost mowy ludzkiéj," traktuje autor o rozwoju mowy w okresie po-piérwiastkowym. Obok jednakże bezładnego rozumowania spotykamy i tutaj reminiscencye z rozdziału piérwszego, tudzież ponowne nagany Boppa i Schleichera za to, jakoby uczeni ci we wszystkich swych poszukiwaniach dążyli jedynie do zdobycia odpowiedzi na pytanie: „litewska mowa czy dawniejsza od gockiéj, ta od greckiéj, tamta od słowiańskiéj i t. d. i t. d.?" Pan Święcicki sądzi bowiem, iż w genealogii języków „nie masz starszego ani młodszego, nie ma ojca i dzieci." Pomijając już tę okoliczność, iż sam autor żąda na str. 92 „aby jedną mowę uznać koniecznie za najdawniejszą i do niéj wszystkie inne odnosić" czego przy dzisiejszym stanie nauki nie może wymagać żaden rozsądny lingwista; pytamy, czém, jeśli nie mianem powinowactwa i starszeństwa, oznaczyć należy stosunek np. łaciny do języków romańskich?

W końcowych uwagach autor odróżnia „mowoznawstwo" od językoznawstwa. Przez piérwsze rozumie on „badanie mowy ze stanowiska ogólniejszego" (ma to być pewien rodzaj filozofii mowy), przez drugie zaś studya nad językami poszczególnymi. Traktować jednak języki porównawczo próżna, mniemaniem autora pokusa „gdy ani psychologii ani loiki porównawczéj nie mamy." W zagadkowém tém wyrażeniu zawarł mimowolnie p. Święcicki najprzód widoczną niewiadomość swoją o kilkunastoletnich już trudach Steinthala i Lazarusa na polu psychologii narodów (Völkerpsychologie) a potém rażący błąd *contradictio in adjecto*, wzmiankując o loice porównawczéj. Cóż to ma oznaczać ta ostatnia? Co do nas, sądzimy, iż autor mógłby równém prawem żądać arytmetyki lub algebry porównawczéj. Dotychczasowe badania etnologiczne, ile wiemy, nie wykryły jeszcze ani jednego, by téż najdzikszego plemienia, któreby rozumowało w odrębny od ucywilizowanych sposób; jesteśmy téż przekonani, iż każdy Patagończyk, Irokez, Algonkwin czy Maorys zgodzi się z Europejczykiem, że weźmy przykład bliżéj nas obchodzący w chwili obecnéj; przeczyć i twierdzić równocześnie jedno i to samo jest stanowczą niedorzecznością, nieusprawiedliwioną niczém. Być może, iż autor miał tutaj na względzie niektóre fakta z historyi loiki, np.. że sylogizm mędrca indyjskiego Gotamy składał się z pięciu części (z założenia, przyczyny, przykładu, zastosowania i wniosku), podczas gdy używany do dziś dnia sylogizm Arystotelesa

liczy ich tylko trzy (założenie, przykład i wniosek) [1]), lecz któż nie widzi w pierwszym jedynie pleonastycznéj parafrazy drugiego, przy treściwéj tożsamości obydwóch?

Polszczyzna rozprawy, którą rozbieramy, tak jest w wielu razach niepolską, iż uwierzyć częstokroć niesposób, aby wyjść mogła z pod pióra autora, który cokolwiekbądź, rości sobie prawa do miana lingwisty. Np. str. 3: „końce nerwów, których ciąg jakby *pomostem* (zam. *za pomost*) służy;" tamże: odpowiednio *sile* (zam. *do siły*) odporu;" str. 49: „człowiek wziął do ręki kamień rozpalony i *upiekł* (zam. *sparzył*) się;" kilka razy użyto „kawkazki zam. kaukazki;" str. 80: „mięśnie prawidłowo *fungują*," „uwięźnienie, otwory *skurne*;" podobnie *dzieciom* (zam. jak *dzieci*);" „głosy które *skombinowują się*" i t. d. i t. d. Nie brak też wyrażeń tak zawiłych, iż zaledwie kilkakrotne ich odczytanie pozwala uchwycić myśl autora, np. str. 3: „....dla naciskającéj siły bodźca, słabsze silniéj, mocne części organizmu słabiéj wstrząsającéj." Wprawdzie p. Święcicki mniema, że „prawa gramatyczne, przestrzegające rzekomój czystości języka, są pętami tylko naturalny rozrost jego krępującemi," że nierozsądkiem jest wmawiać w siebie „jakoby znajomość gramatyki nieodbicie potrzebną była dla człowieka wykształconego;" lecz na to odpowiemy mu, że jeżeli od cieśli żądamy dokładnéj znajomości narzędzi ciesielskich i sposobów ich użycia, tedy od piszącego dla publiczności polskiéj ma taż publiczność stokroć większe prawo wymagać, aby znał ustalone zasady gramatyki polskiéj i pisał rzeczywiście po polsku: inaczéj nikt go czytać nie zechce.

Po tych, nie z naszéj winy nieprzychylnych dla rozprawy autora uwagach, niech nam wolno będzie zapytać go w końcu: jakie pobudki naukowe skłoniły go do ogłoszenia swéj pracy w języku niemieckim i czy nie będzie ona w nowéj swéj szacie, zbytecznym zgoła balastem dla półek księgarskich? Co do nas, prosimy autora o wybaczenie szczerości; odpowiedzielibyśmy twierdząco na to ostatnie pytanie. Małoż bo już zapisali papieru Büchner, Moleschott, Bibra, Fischer, Spiller *e tutti quanti* na udowodnienie powtarzanéj za nimi przez autora zasady, że człowiek jest tylko bezwładną bryłą organiczną, rzuconą w przestrzeń i czas na pastwę bodźcom fizycznym? To zaś, co w pracy autora istotną posiada wartość, t. j. rozbiór głosów mowy człowieczéj ze stanowiska fizyologii, ileżto w literaturze niemieckiéj znalazło już gruntownych opracowań, że wymienimy tu tylko drugi tom *Odczytów* M. Müllera, tudzież wyborny traktat Meyera: *Stimm-und Sprachbil-*

[1]) Dla dowiedzenia loicznie, że np. wyrzucająca dym góra jest ognistą, syllogizm indyjski mówił: 1) jest góra ogniem buchająca; 2) albowiem ona dymi; 3) gdzie dym, tam i ogień; 4) ta góra zaś dymi; 5) zatém jest ognistą. Syllogizm zaś grecki rzekłby: 1) co dymi, jest ogniste; 2) ta góra zaś dymi; 3) ta góra przeto jest ognista.

dung [1]). Nie przesądzajmy wszakże przyszłości i oczekujmy co o pracy pana Święcickiego powie krytyka niemiecka.

M. Wład. Dębicki.

Podobizna pisma (fac-simile) *Św. Wojciecha.*

W klasztorze św. Małgorzaty w Brzewnowie pod Pragą czeską, przechował się autograf św. Wojciecha, uważanego za autora starożytnéj pieśni *Boga-Rodzica*, tak rozpowszechnionéj do połowy większéj XVII stulecia w całéj Polsce.

Wieś Brzewnów, położona w królestwie czeskiém, odległa o pół godziny drogi do Pragi, posiada naczelne opactwo Benedyktynów z najdawniejszym klasztorem tego zakonu, założonym w roku 993 przez księcia Bolesława II-go i św. Wojciecha biskupa praskiego.

Opactwo to należało w Czechach do najbogatszych w pierwszéj połowie XII-go wieku, utrzymywało do 300 zakonników. Opat miejscowy nosił tytuł księcia i miał prawo bicia monety: klasztor był prawdziwą rezydencyą książęcą i najprzyjemniejszém pod Pragą ustroniem. W r. 1420 zburzyli go Hussyci, odbudowany po wojnach, którego wspaniałe teraźniejsze gmachy i zabudowania pochodzą z lat między 1701 a 1736; kościół jest parafialnym i w nim przechowują się niektóre po św. Wojciechu pamiątki. Pomieniony autograf przed pożogą niesioną kościołom przez Żyżkę, w raz z pozostałemi klejnotami szczęśliwie ocalono i dotąd zachowano. Jest to tego biskupa własną ręką napisana *professya*, czyli wyznanie ślubów zakonnych, w tych słowach po łacinie:

„Ja Wojciech przyrzekam wytrwanie, zachowanie się i posłuszeństwo podług reguły św. Benedykta, w obec Boga i wszystkich Świętych i w obecności Opata Augustyna.“

Podobizna dołączona, pokazuje długość i szerokość pergaminu, na którym napisał powyższe słowa ś-ty Wojciech.

W roku 1400 brat *Wacław* Zakrystyan widząc że ten drogocenny zabytek dla zbytniéj starości, może uledz zupełnemu zniszczeniu, przykleił go na drugi pergamin i własnoręcznie o tém napisał, ażeby wątpiącym w przyszłości wszelką wątpliwość odjąć. W takim więc kształcie pamiątka ta dotrwała naszych czasów, i p. Cezary Biernacki znany badacz dziejowy a stały współpracownik Encyklopedyi powszechnéj S. Orgelbranda polygrafował. *R.*

---

[1]) Pomieszczony w zbiorze popularnych wykładów naukowych Virchowa i Holtzendorffa (serya VI. ogólnego zbioru zeszyt 128).

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE,

NAUKOWE, LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

WARSZAWA.

Czerwiec 1875 r.—Wydawca Tygodnika Illustrowanego Józef Unger zapowiada nową publikacyę: „*Album Rysunkowe malarzy polskich w Monachium zamieszkałych*," pod kierunkiem znakomitego rodaka naszego *Józefa Brandta*. Ma to być zbiór kopii obrazów, formatu takiego jak Biblia Doré'go, wykonanych w zakładzie drzeworytniczym Tygodnika Illustrowanego, według oryginalnych rysunków artystów Polaków, w Monachium przebywających, z dołączeniem krótkiego objaśnienia przy każdym obrazie.

— Nakładem tegoż wydawcy wyszedł tom X dzieł Zygmunta Kaczkowskiego. Ponieważ prace tego pisarza nie mogły być ukończone w dziesięciu tomach, przeto tom jedénasty dodaje się wszystkim bez wyjątku prenumeratorom bezpłatnie. Zarazem pomieszczonym zostanie pogląd krytyczny Wincentego Korotyńskiego.

— „*Książeczka do nabożeństwa Jadwigi Księżniczki polskiéj*. Według pierwotnego wydania z r. 1823, powtórnie wydał Stanisław Motty. W Poznaniu nakładem J. K. Żupańskiego. W Warszawie w księgarni Gebethnera i Wolffa. 1875."(w 24-e XCVIII, 186 i 48 podobizny). Drogocenny ten zabytek języka polskiego, wydany obecnie, w edycyi starannéj i pięknéj oprawie, jest już do nabycia w naszych księgarniach.

— Pan Krzykowski Józef ogłosił wydawnictwo: „Powieści i anegdotki z pisma humorystycznego: „Fliegende Blätter" zeszytami arkuszowemi, po sześć kopiejek, zapowiadając że „jeżeli nie straci," wydawać daléj będzie.

— Warszawskie Towarzystwo Lekarskie podaje następujące temata do konkursu i wyznacza na każdy nagrodę po 150 rubli. I. Z funduszu stałego nagród konkursowych imienia doktora medycyny Adama Helbicha, członka honorowego Towarzystwa Lekarskiego: 1) „Krytyczny rozbiór nowszych poglądów na tak zwaną chorobę Brighta, na podstawie własnych spostrzeżeń klinicznych i anatomicznych", 2) Temat z poprzedniego okresu konkursowego pozostały, na który nie przedstawiono żadnéj rozprawy: „Wykazać doświadczeniami względną wartość i skuteczność rozmaitych limf, używanych do szczepienia ospy ochronnéj". II Z funduszu pozostałego po wzniesieniu nagrobka ś. p. Bronisławowi Chojnowskiemu, professorowi Uniwersytetu Warszawskiego i członkowi Towarzystwa Lekarskiego: 1) „Rozebrać wpływ kąpieli podawanych z celem obniżenia ciepłoty ciała w chorobach gorączkowych". 2) „Dokładne określenia wskazań do użycia ścieśnionego powietrza: oparte na własnych doświadczeniach",

Na konkurs imienia D-ra Helbicha wyznacza się trzechletni termin; na konkurs zaś imienia D-ra Chojnowskiego dwóletni termin, licząc od dnia 1-go czerwca r. b. Rozprawy więc na konkurs 1-y oczekiwane będą najpóźniéj do dnia 1-go czerwca 1878 roku, na konkurs 2-gi do dnia 1-go czerwca 1877 roku. Wszystkie rozprawy nadsyłane być mają na ręce sekretarza stałego, Towarzystwa Lekarskiego Warszawskiego (ulica Niecała nr. 7), według zwyczajnych form konkursowych, to jest z nazwiskami autorów, w kopertach zapieczętowanych i opatrzonych stosownemi dewizami. Piérwsze prawo do własności rozprawy uwieńczonéj zastrzega sobie Towarzystwo Lekarskie.—Z upoważnienia Towarzystwa Lekarskiego, sekretarz stały. D-r *Szokalski.*

— Długo milczący śpiewak *Rusałek* ozwał się złamany boleścią po utracie ukochanéj córki. Wiersz p. n. *Dzisiejszość*, który podajemy z Kuryera Warszawskiego, odpowiada dobrze nastrojowi ducha poety, który przed Mickiewiczem zachwycał nas swemi *dumkami.*

„Zaskorupiały od klęczeń kolana...
Modlę się, ale w przeczuciu złowrogiem,
Co łask i natchnień wypłaczę u Pana,
Wnet je zmarnuję za kościelnym progiem:
Jak na libijskich tam piaskach podróżni,
Srodzem utrudzon, szamocąc się w próżni.

Nad Watykanem jakieś tajemnicze
Znaki! Czyż groźby bliskiego zdziczenia..?
Chrystus przesłonił na razie oblicze,
I zło, coraz się szerzéj rozkorzenia;
Jak Prometeusz świat w imię postępu
Rozdarł wnętrzności swe, na żertwę sępu.

Biada! oj winnym! Wyprawion list gończy;
Roki zawito, na stole praw książka;
Sąd się zagaił, i nie wprzód się skończy,
Aż każdy dług swój spłaci do szelążka:
Darmo i szukać gdzie można ukrycia,
Błyskawicuje Pan na gradobicia.

W okół na zgliszczach siół i grodów złomach
Cuchnie dym nafty, to mży kir żałoby;
Kędy nie spojrzę, świszczą pustki w domach:
Bracia po pieśni ukryli się w groby,
Stoję ogromion, jak dąb zgruchotany,
Chwiejący czołem w step, po nad burzany.

Wiaro, piastunko moja białoskrzydła!
Wiedź na pokoje mnie swe kryształowe;
Krzyżem odżegnaj dawnych mar straszydła:
O twe kolana pozwól oprzeć głowę;

Chwilkę niech jeszcze patrzę w słońce jasne,
Zanim zapadnie za chmury, i zasnę.“

— Dnia 11 (23) maja w auli uniwersytetu petersburskiego p. Jan Niecisław Baudouin de Courtenay, dla uzyskania stopnia doktora językoznawstwa porównawczego, bronił rozprawy swéj p. n.: „Zarys fonetyki (głosowni) gwar rezyjańskich,“ str. 128, wielka 8-ka. Rozprawa ta przedstawiona wydziałowi, zamiast zarzutów ze strony oponentów: dziekana wydziału J. Srezniewskiego i prof. Łamańskiego, wywołała tylko słowa zupełnego uznania, jako praca prawdziwie naukowa, świadcząca jak najkorzystniéj zarówno o metodzie autora ściśle naukowéj, jak i niepospolitéj znajomości przedmiotu, które to cechy noszą na sobie i inne poprzednio ogłaszane prace autora. Oponenci, przyznając to p. B. nie wahali się zaliczyć go pomiędzy pierwszych dziś znawców językoznawstwa porównawczego. Po dokładném ustném wyjaśnieniu przez autora kilku kwestyi naukowych, poruszonych przez oponentów, a także przez prof. Lercha i akademika Grota, rada wydziału, oceniając dotychczasową działalność naukową pana B., któréj dowody złożył w piśmiennictwach: rossyjskiém, polskiém, czeskiém i niemieckiém, jednozgodnie przyznała mu stopień *doktora językoznawstwa porównawczego.*

Jestto z kolei 4-ty z uzyskanych przez pana B. stopni naukowych. W roku bowiem 1866, ukończywszy uniwersytet warszawski p. B. otrzymał stopień magistra nauk filologiczno-historycznych; w parę lat potém—doktora filozofii w uniwersytecie lipskim, następnie w r. 1870—stopień magistra językoznawstwa porównawczego w uniw. petersburskim, za napisanie dzieła: „O języku staropolskim do XIV wieku,“ obecnie zaś, będąc docentem uniwersytetu kazańskiego, uzyskał najwyższy stopień doktora.

Dla objaśnienia samego nagłówka rozprawy doktoryzacyjnéj pana B. dodamy, że gwara, czyli dyalekt rezyjański, jest jedną z kilkunastu gwar słowiańskich, jakiemi mówi 30,000-na ludność Słowian (Słowińcy i Serbo-chorwaci), mieszkających do dziś w północnych Włoszech. Pan Baudouin w czasie wycieczek swoich w r. 1872 i 1873 do tych krain zbadał 10 z pomiędzy tych gwar; w rozprawie zaś pod powyższym nagłówkiem przedstawił naukowe opracowanie jednéj z nich, mianowicie gwary rezyjańskiéj. Ludność mówiąca tym językiem wynosi obecnie przeszło 3,000 i zamieszkuje dolinę Rezyjańską (Rezija), położoną w północno-wschodniéj stronie królestwa Włoskiego, w powiecie Mużackim (distretto di Maggio).

— Przewodnik po Krakowie i jego okolicach (illustrowany i nieillustrowany) wyszedł w Krakowie nakładem księgarni Nowoleckiego, z dodaniem wiadomości i objaśnień potrzebnych dla podróżnych, oraz planu Krakowa. Jestto książka o kilkunastu arkuszach druku, zawierająca wszystko co tylko służyć może do pouczenia nieznającego tego miasta przybysza. Opis Krakowa, jego przedmieści i okolic jest wyczerpujący; nie pominięto także zdrojowisk galicyjskich.

— Towarzystwo Tatrzańskie w Krakowie otrzymało zasiłek od sejmu na lat trzy, po 400 złr. rocznie, a z funduszów państwa płacę dla nauczyciela snycerstwa w Zakopanem. Towarzystwo otrzymało zaproszenie na kongres międzynarodowy umiejętności jeograficznych w Paryżu i postanowiło wysłać tamże od siebie delegata, p. Arnese, członka Towarzystwa jeograficznego w Rzymie. Muzeum tatrzańskie Towarzystwa wzbogaciło się znacznie w ostatnich czasach darami p. Eichborna. Na ogólném zgromadzeniu członków Towarzystwa odbytém w tych dniach, postanowiono utworzyć w Krakowie biuro informacyjne na trzy miesiące: czerwiec, lipiec i sierpień. Członków honorowych Towarzystwo liczy 28, założycieli i członków dożywotnich tyleż, członków zwyczajnych 320. Dochód dotychczasowy wynosi 5,758 złr., rozchód 2,749 złr. W kassie oszczędności złożono 2,623 złr.

— Czytamy w jedném z pism krakowskich: „Mieliśmy sposobność czytać ciekawą suplikę, od wójta małéj i ubogiéj wioski górskiéj. Starszyzna téj wioski obaczyła była przed dwoma laty, zapewnie u któregoś z okolicznych proboszczów, pierwsze zeszyty przepysznéj Biblii Dore'go wychodzącéj w Warszawie. Prześliczne illustrowane dzieło niezmiernie podobało się włościanom. Za namową wójta, złożyła tedy gromadka kilka guldenów i przesłała je do wydziału powiatowego, z prośbą o zaprenumerowanie tego dzieła i o uzupełnienie kwoty choćby w części, gdyby dzieło to więcéj miało kosztować. Wydział uczynił zadość żądaniu gminy i datkiem ze swéj strony podwoił podobno przesłaną kwotę. Oczywiście nie wystarczyła zebrana w ten sposób summa, a zapłacenie dalszych zeszytów nową pociągnęło za sobą składkę we wsi. Dziś wyczerpały się już środki możności téj gminy, należącéj do najuboższych w powiecie Myślenickim, a na odmowną odpowiedź wydziału powiatowego, któremu także na funduszach zbywa, wójt udał się do jednéj z tutejszych redakcyi z prośbą o udzielenie pomocy i z zapytaniem: czy nie możnaby uzyskać od wydawnictwa opuszczenia niespłaconéj jeszcze kwoty dwudziestu kilku guldenów? O tém rozumie się niepodobna myśleć; prędzéj drogą składki dałyby się zebrać te pieniądze. Dziwna to przecie następuje w usposobieniu ludu wiejskiego przemiana. Któżby był przypuszczał temu lat kilkanaście, żeby uboga wioska podkarpacka, któréj mieszkańcy owsianym chlebem żyją, pokusiła się o nabycie jednéj z najkosztowniejszych książek polskich, illustrowanéj Biblii Dore'go."

— Przy gorliwych pracach badaczy i miłośników zabytków przeszłości, tak jéj ciemniejsze okresy powoli się rozjaśniają, jak i postacie wydatniejsze zmieniają swą charakterystykę, w jakiéj dotąd je znamy. Mamy tu na myśli Kazimierza Sarbiewskiego słynnego poetę łacińskiego z czasów Zygmunta III. Wiadomo że należał do zakonu jezuitów, gdzie posłuszeństwo starszym było piérwszą zasadą: dla tego Sarbiewski wiele swoich utworów pozostawił w rękopiśmie, nieśmiejąc drukiem ogłaszać, na coby pozwolenia nie otrzymał. Pan Jan Krystaniacki professor języków starożytnych w gimnazyum Franciszka Józefa, za-

mierzywszy opracować monografię tego poety, którego niektórzy wynosili nad Horacego, w poszukiwaniach swoich natrafił szczęśliwie, na dwa jednocześnie i prawie nieznane, a przynajmniéj przez nikogo należycie nie rozpatrzone rękopisma, zawierające poezye Sarbiewskiego: piérwszy z nich z piérwszéj połowy XVII wieku bardzo poprawnie i bez błędu prawie pisany, jest kopią z autografu Sarbiewskiego za życia jego zrobioną. Zawiera *ody* te które się znajdują w piérwszém a dziś już wielce rzadkiém wydaniu w Kolonii 1625 r., wyjąwszy dwóch *od*, które późniéj do druku nadesłano; ale obok tego mieści się tu 99 epigramatów, które nigdzie drukowane nie były, a między temi i trzy *ody* niedrukowane, które Sarbiewski w listach swoich roku 1639 Stanisławowi Łubieńskiemu przesłał. Drugi rękopism poezyi Sarbiewskiego znajduje się w Bibliotece Zakładu Narodowego Imienia Ossolińskich we Lwowie. Jestto autograf samego poety. Zawiera ten rękopism 22 ody z wierszem wstępnym. Wszystkie dotąd niedrukowane. Treść ich religijna opiewa Krzyż, pod którymto symbolem autor chrześcijaństwo i cnoty chrześcijańskie wysławia. „Odznacza te ody taka podniosłość ducha (pisze sprawozdawca co do tych zabytków w Gazecie Lwowskiéj Nr. 110 z roku bieżącego) i genialność, jaka się w żadnym z dawniejszych tworów tego poety w takim blasku nie okazała". Ody te należą do ostatnich lat jego życia. Zniechęcony do życia dworskiego, w którém mnóstwo przykrości doświadczał, postanowił zamknąć się w zaciszu klasztorném, aby się oddać całkowicie naukom, co też uskuteczniwszy, dnia 2 kwietnia 1640 r. zakończył życie. Autograf o którym wspominamy prawdopodobnie był pisany w ostatnich latach, gdy myślą i sercem wzniósł się do Boga, w śród zaciszy klasztornéj. Czy znajdzie się drugi Syrokomla, któryby te piękne twory w łacińskim, mniéj dziś dostępnym języku, oddał z całym ich wdziękiem w języku ojczystym, przyszłość dopiéro pokaże.

— We Lwowie r. b. wyszły: „Gramatyka języka francuzkiego na podstawie języka polskiego. Opracował J. A. M. Borski, nauczyciel języka francuzkiego w cesarsko królewskiéj Akademii technicznéj, lektor tegoż języka w cesarsko królewskim Uniwersytecie lwowskim. Książka uznana przez radę szkolną dla szkół średnich. (W 8-ce str V 234). *Botanika przez Billa, dla wyższych klas szkół średnich.* Tłumaczył professor Łomnicki, wzbogacił to dzieło dodaniem przeglądu piśmiennictwa botanicznego polskiego, a zarazem rzutem oka na florę krajową, przyczém wiele czerpał z prac polskich naturalistów.

— Znany kompozytor *Jarecki*, który do wielu słów Juljusza Słowackiego podłożył muzykę, illustrował i większe utwory tego poety jak *Balladynę* a obecnie *Lillę weneda*. Lwowskie organa oddają należne pochwały młodemu muzykowi.

— Znakomity badacz pierwotnych dziejów Polski i wydawca krytyczny kronik polskich, August Bielowski, wzbogacił literaturę bardzo piękną monografią p. t. „Szymon Szymonowicz", która wyszła w Krakowie w osobném odbiciu z „Pamiętnika akademii umiejętności."

Mieszczą się tu listy poety do hetmana Zamoyskiego Jana i do wielu innych osób pisane, i listy, które poeta odbierał, wszystkie bardzo ciekawe, malujące charakter, sposób myślenia i życie najlepszego naszego sielankarza. Życiorys Szymonowicza paparty dokumentami, jest bardzo dokładny. Bielowski wynalazł dotąd nieznane poezye wdzięcznego autora powszechnie znanéj sielanki: „Słoneczko, śliczne oko, dnia oko pięknego", i tu je także zamieścił. Napisanie téj monografii uważamy za wielką literacką zasługę Bielowskiemu, dzięki jéj, postać Szymonowicza zarysowała się przed nami dokładnie i wiele zyskała na jasności.

— Starożytne cmentarzysko odkopano niedawno w W. ks. Poznańskiém, w powiecie Pleszewskim, na folwarku Górzyce. W środku nieznacznéj wyżyny wznosił się tam piaszczysty pagórek, w którym włościanie chowali kartofle. Wichry w końcu kwietnia roku bieżącego panujące, rozwiały część pagórka, i odkryły popielnice, co dało pochop do dalszych poszukiwań. Poznajdywane tam naczynia: urny duże, pękate, barwy czerwonéj, inne zupełnie czarne, lśniące, znacznego rozmiaru i roboty bardzo starannéj, bez uch i z uchami, z pokrywami w formie niezwykłéj, ozdobionemi starannym rysunkiem; następnie pomieszczenie obok dużych popielnic i innych mniejszych, wytworniéj jak inne wyrobionych; — daléj, wazoniki i dzbaneczki szczególnego kształtu, z brzuchami mocno wydętemi, to wyrobu prostego, to bardzo delikatne, to z rysunkami, to bez nich;—wreszcie naczynie postacią swą bardzo do kieliszka zbliżone, oraz miska głęboka czarna, do góry dnem obrócona i pokrywająca kości niedopalone—zwracają na siebie uwagę, jako niezwykłe osobliwości. Najwięcéj zabytków tych znaleziono w grobowcu prostokątnym, z gładko od strony wewnętrznéj otłuczonych kamieni; dno było wyłożone płaskiemi łupanemi kamieniami. Grobowiec był na $2^1/_2$ stopy pod powierzchnią ziemi; wysokość jeden metr, długość $1^1/_3$ metra. W budowie tego grobowca dostrzeżono wykwintną staranność), inne wyroby nie przedstawiały żadnéj wydatnéj różnicy od zwyczajnych tego rodzaju grobowców. W tém cmentarzysku spotykano warstwy czarnéj przepalonéj ziemi na parę cali grube, leżące na płaskich, starannie ułożonych kamieniach. W jednéj urnie znaleziono na spodzie pod niedopalonemi kośćmi kolczyk bronzowy, bardzo prostego wyrobu, kilka kawałków stopionéj niebieskiéj massy szklannéj, i nieco stopionego srebra. W pobliżu pagórka znaleziono wyroby krzemienne, których niemożna dobrze określić, jako już mocno zużytych. Uchowanie się tego cmentarzyska tuż przy budynkach dworskich i włościańskich, stanowi także pewnego rodzaju osobliwość.

— Ważnym punktem zgromadzania się Słowian mieszkających w Wiedniu w liczbie do 150,000, stała się *Słowiańska Biesiela* założona przed dziesięciu laty. Chociaż musiała walczyć z rozmaitemi trudnościami, wynikającemi w części ze stanu rzeczy w Wiedniu, częścią z obojętności samych Słowian, jednakże z każdym rokiem rozwija się coraz więcéj, i stała się, szczególniéj od jesieni 1874 roku, kiedy ją

przeniesiono do nowego lokalu (Dobblhofgasse nr. 9), przedstawicielką wszystkich plemion słowiańskich. W wielkiéj czytelni znajduje się mnóstwo gazet i dzienników południowo-słowiańskich, czeskich, polskich, ruskich, francuzkich, niemieckich, książki informacyjne, słowniki języków słowiańskich, encyklopedye, dzieła specyalne i t. d. Biblioteka, ciągle się zwiększająca, składała się w końcu 1874 roku z książek: czeskich 1,058, południowo-słowiańskich 590, ruskich 400, polskich 61 i 693 w innych językach; ogółem 2,812 tomów. Dochody roczne i prawie takież same wydatki wynosiły w 1874 roku 5,100 flor. *Biesieda* liczy 300 członków i 44 założycieli. Sądząc z liczby mieszkańców słowiańskich Wiednia, członków *Biesiedy* słowiańskiéj mogłoby być przynajmniéj pięć razy więcéj. Należy się zresztą spodziewać, że staraniem teraźniejszego komitetu, a szczególniéj prezesa hr. Jana Harrach'a, powiedzie się z czasem zyskanie *Biesiedzie* więcéj udziału i sympatyi w wyższych sferach.

— *Towarzystwo kiiowskie przyrodoznawców* w tomie IV-tym swych pamiętników, podaje sprawozdanie z działalności swojéj. Widzimy z niego, iż w r. 1874 tak jak w latach poprzednich, przedmiotem zajęć Towarzystwa było: badanie organicznéj i nieorganicznéj natury, głównie w granicach okręgu naukowego kijowskiego, oraz rozpowszechnianie wiadomości z działu historyi naturalnéj. Dla osiągnięcia tak nakreślonego celu Towarzystwo urządzało zebrania ogólne, na których roztrząsano kwestye naukowe i załatwiano sprawy bieżące, wyznaczano delegacye do badań w zakresie nauk przyrodniczych przy odpowiednich uposażeniach, prowadzono odczyty publiczne w przedmiocie nauk naturalnych i fizyko matematycznych. Oprócz tego miewały miejsce i posiedzenia peryodyczne, w których uczestniczyła liczba członków nie wyższa nad 15, a nie mniejsza od 10. Członkowie ci i inni współpracownicy dostarczali materyałów do kolejnych zeszytów Pamiętnika wydawanego przez Towarzystwo. Wyznaczane były nadto specyalne komisye dla rozbierania różnych kwestyi naukowych, urządzania odczytów wypraw naukowych, i dotyczących strony materyalnéj téj instytucyi. Wyprawy rzeczone odnosiły się między innemi do zbadania fauny brzegów morza Czarnego, okolic Żytomierza pod względem mineralogicznym, okolic Desny i Sejma pod względem geologicznym i t. p. W roku téż ubiegłym staraniem Towarzystwa wyszedł „Skorowidz literatury rossyjskiéj w przedmiocie nauk przyrodniczych." Zamiany swego wydawnictwa Towarzystwo dopełniło z 40 innemi towarzystwami, z 15 zakładami naukowemi i 19 redakcyami pism peryodycznych.

Bibliotekę Towarzystwa zbogaciło 80 dzienników różnych, i 70 rozmaitych książek oraz broszur.

— W Berlinie wyszedł w maju r. b. przekład dzieła dziś panującego króla szwedzkiego Oskara II-go p. n. *Karol XII jako król wojownik i człowiek.* Tłumacz Emil Jonas otrzymał od tegoż króla medal za prace literackie.

— „Versi Polacchi," pod tym tytułem wyszedł we Florencyi, w tamtejszéj drukarni związkowéj zbiór poezyi Władysława Kulczyckiego, w tłumaczeniu Hektora Marcucci, z przedmową Artura Wołyńskiego. Od niejakiego czasu we Włoszech okazują żywsze zajęcie dla naszéj literatury.

— Z wysokiém uznaniem odzywa się krytyka niemiecka o wydaném niedawno przez H. Zeissberga dziele *Johannes Łaski*, Erzbischof von Gnesen 1510—1531 und sein Testament (Wiedeń 1874). Połowę prawie téj obszernéj (o 215 str.) książki zajmuje nader starannie nakreślony rys biograficzny znakomitego dostojnika, z właściwą autorowi głębokością poglądu i oględnością krytyczną.

Zwracamy téż uwagę czytelników na dzieła następujące:

Honegger, *Dzieje krytyczne wpływu kultury francuzkiéj w ostatnich stuleciach*. Berlin 1875, (Kritische Geschichte der französichen Cultur ein flüsse). Wiekopomna sława należy się Guizotowi za to, iż głośno i z całą powagą dogmatu pojęcie *cywilizacyi* wprowadził do rzędu faktów historycznych. Uznawano wprawdzie i przedtém obecność pewnych ogólnych czynników w dziejach ludzkości, i te, iż tak powiem objektywne popędy mass działających, formułowane w przeważny sposób, podstawiając pod czyny osób i narodów to siłą w apoteozie (Vehse, historya kultury), to jakieś dziwne, prawie mechaniczne oscyllacye (Vico, Nauka Nowa), to rozwój idei religijnéj, to wreszcie nie dościgłe zwykłemu oku doby metafizyczne. Środkowy, ale wyznać musimy, nader żywotny punkt widzenia obrał sobie Guizot, pomiędzy cudowną abstrakcyą a poziomym mechanizmem, zaznaczając w dziejach wydatne prądy *cywilizacyi* i uważając ją za ostateczny wynik tego, co się dzieje i działo w rzeczach ludzkich. Zdumiewaliśmy się niegdyś na te słowa Guizot'a wypowiedziane w jego odczytach, że wszelka teorya społeczna, gdziekolwiek pomyślana, uzyskuje ostateczną sankcyę nie piérwéj, aż po uznaniu jéj przez społeczność francuzką. Dziś, w obec spełnionych przesileń dziejowych, słyszymy je z ust najwymowniejszego pisarza niemieckiego:

„Nowożytne zasady, mówi nasz autor, za pomocą których literatura francuzka zdobyła sobie berło nad umysłami, wyszły wprawdzie piérwotnie z Anglii, ale wagę powszechną uzyskały one dopiéro pod odżywczém i popularyzującém działaniem języka i piśmiennictwa francuzkiego."

Takto, w zdaniu prawdziwych mężów nauki, „prawda jest milszą niż Plato." Dzieło tedy Honeggera ma wysoką (ale rzadką w téj sferze) zasługę bezstronności. Autor upatruje trzy główne działy w dziejach wpływu kultury francuzkiéj: 1) epokę Ludwika XIV-go, hegemonia oręża i cywilizacyi.

2) Wiek XVIII, to jest okres wykończenia i zakończenia owego procesu, który Francuzi zwykli oznaczać trzema jaskrawemi punktami: duch analizy, duch zwątpienia i duch starcia się (*esprit de doute*, *esprit d'analyse*, *esprit d'attaque*).

3) Czasy rewolucyi i Napoleona.

Ze czcią i głębokiém uznaniem zatrzymuje się autor przed najpromienniejszą postacią XVI i XVII wieku i ubolewa, iż książęta niemieccy tak obojętném okiem patrzeli na prawdziwie humaniczny plan Henryka IV-go. Filozofię francuzką XVIII-go stólecia Honegger ocenia z prawdą bezwzględną! Przyznając jéj pewne organiczne zasady, dalekim jest wszakże od owych dziwacznych hołdów, jakiemi okadził ją za naszych już czasów Lerminier (Filozofia wieku XVIII-go i jéj wpływ na postępy społeczne XIX stulecia).

Nader charakterystycznie skreślone są postacie trzech koryfeuszów epoki: Montesquieu, Wolter i Russo. Cisnąc wszechwładnie swojemi teoryami na towarzyskość, nie były to wszakże potęgi świata *filozoficznego*. Zajmowały ich, drgały pod ich piórem palące kwestye społeczeństwa, badali oni *ducha* rzeczy (esprit d. choses); ale obojętnie obchodzili przepaści tych tajemniczych zagadnień o *istocie rzeczy*, z któremi współcześnie pasowała się myśl giermańska. Nie szło im o metafizyczny piérwiastek wszechświata, o substancyę bytu; szło im o pochwycenie bytu w *zjawisku*, i to w zjawisku społeczném. Była to chwila, jak mówi Lerminier, kiedy prawo czasu miało zapanować nad warunkami przestrzeni, kiedy nadchodziła chwila *rewizyi stosunków ludzkich*. Praca Honeggera jest kwiatem w obecném piśmiennictwie niemieckiém. Zasługuje téż na uwagę, iż czuć tu daje powiew myśli pojednania, z jaką odzywać się poczęły dość liczne głosy z téj strony Renu.

— *Frydrych Heliwald.* Historya kultury w jéj przyrodzonym rozwoju aż do chwili obecnéj (*Culturgeschichte in ihrer naturalishen Entwickelung bis zu Gegenwart.* Augsburg 1874). Obszerne to dzieło o przeszło 800 stronnicach, nie przejdzie bez rozgłosu. Kultura podług teoryi Heliwalda i kultura podług teoryi Honeggera, czy może być daléj posunięte sprzeciwieństwo? Tam mamy przed oczyma żywe zwroty społeczności, w wypadkach i przesileniach słyszymy pulsowanie samowiedniéj siły; tu przeciwnie występuje nieubłagany mechanizm, dzieje kultury mają tu być po prostu procesem zyologicznym, nie w przenośném lecz w najrealniejszém znaczeniu wyrazu: Historya jest to „walką o byt."

Przeciw zasadzie autora, jako zasadzie, nic powiedzieć nie możemy. W dziedzinie systemów przypuszczalnemi są wszystkie stopnie pomiędzy jednym a drugim biegunem; wszystkie, od krańcowéj negacyi Feuerbacha, aż do dogmatycznych mrzonek Jakóba Böhm'a, dowodzącego że dyamenty wynikły ze światła w peryodzie miłości, a jadowite gady w peryodzie gniewu.

Dlaczegoż więc nie mielibyśmy patrzéć z męzką zimną krwią na krańcowe zmechanizowanie sprężyn duchowych. Wielką jest każda teorya, bez względu na barwę, jeżeli posiada organiczną potęgę nawiązania wszystkich zjawisk na swoje nici. Ale nic niemasz dziwaczniejszego nad system, który dla dopasowania faktów, obchodzi się z niemi tak jak niegdyś zdobywca rzymski z posągami Koryntu.

Nasz autor grupuje rozumnie, opowiada zręcznie, niekiedy kwiecisto, ale często naciąga fakta, zanadto będąc ufnym w bezwzględność swojéj zasady naturalistycznéj.

Kreśląc obraz rozwoju kultury starożytnéj, wypowiada znakomite poglądy na historyą Wschodu.

Ale zbyt wielkie przypisuje wpływy Wschodowi na oświatę Hellenów.

Jak wiadomo, niektórzy dziejopisarze filozofii, pod wpływem tego oryentalistycznego nastroju, posunęli się tak daleko, iż dopiero na Sokratesie kładą historyczną granicę wpływów wschodnich na myśl grecką (dzieło Glagisch'a p. n. Empedokles). Heliwald idzie daléj: podług niego przed Arystotelesem nie było nauki w Helladzie. Takie dyktatorskie pociągi pióra najspokojniejszemu człowiekowi muszą zepsuć humor i przypomnieć owego ciekawego w bajeczce (Kryłowa), który zajęty przeglądaniem muszek drobniejszych od śpilki, nie dostrzegł słonia.

Mimo to jednak, zamknąwszy oczy na te sztuczne ramy (naturalizmu), w każdym niemal punkcie odstające od obrazu, samemu obrazowi nie możemy odmówić żywego kolorytu, zręcznéj analogii a niekiedy i prawdziwie znaczących odkryć w dziedzinie historyi postępu.

Zasługuje też na uwagę:

Wittig Ludwik., Ein Jahr hundert der Revolutionen (Berlin 1875). Przedstawia nakreślony przystępnie obraz wstrząśnień począwszy od wojny amerykańskiéj o niepodległość, aż do ostatnich czasów.

✝ Dnia 25 kwietnia r. b., we wsi Awratynie około Lubaru zmarł ***Spirydion Ostaszewski*** dożywszy lat 80 wieku. Dzielny jeździec, nieustraszony żołnierz, olbrzymiéj był siły, łamał podkowy, a czterokonny powóz w biegu jedną ręką zatrzymywał. Byłto pisarz niepośledniego talentu, w narzeczu ludowém wydał zbiór powieści ludowych wierszem, o których pisaliśmy zaraz po ich wyjściu w Bibliotece Warszawskiéj. Inne prace zmarłego wylicza Encyklopedya powszechna S. Orgelbranda.

— Dnia 29 maja r. b. w Kownie zakończył życie ks. ***Maciéj Kazimierz Wołonczewski*** biskup dyecezyi Telszewskiéj czyli Żmujdzkiéj.

Był on dzieckiem ludu, wśród którego pasterstwo sprawował. i tylko cnotliwemu życiu, talentom a pracy niezmordowanéj zawdzięczał wyniesienie z pod ubogiéj strzechy włościańskiéj na wysokie w kościele stanowisko. Urodził się we wsi Nabranach w dyecezyi żmujdzkiéj dnia 29 grudnia 1799 r. Poświęciwszy się stanowi duchownemu, jako celujący uczeń seminaryum żmujdzkiego wysłany został z niego do seminaryum głównego przy Uniwersytecie wileńskim, w którym wychowańcy tego seminaryum słuchali kursów na wydziale teologicznym, mając wspólne mieszkanie, stół i przyodziewek w klasztorze księży Augustyanów. Ukończywszy nauki w Uniwersytecie i otrzymawszy stopień magistra teo-

logii, oddawał się obowiązkom swego stanu na Żmujdzi do roku 1839, w którym powołany został na adjunkta Akademii duchownéj wileńskiéj, powstałéj po zniesieniu Uniwersytetu z jego wydziału teologicznego. Wykładał tam Wołonczewski teologię pastoralną i archeologię biblijną i za trzechletnią pracę w r. 1842 otrzymał stopień doktora teologii.

Był to ostatni doktorat przyznany w Wilnie, Akademię bowiem wkrótce potém przeniesiono do Petersburga. Udał się tam i ksiądz Wołonczewski, i jeszcze przez trzy lata poświęcał się pracy professorskiéj; lecz surowy klimat petersburski tak dalece mu nie sprzyjał, że zagrożony śmiertelną niemocą, musiał w roku 1845 powrócić do stron rodzinnych, gdzie z początku był nauczycielem religii i kapelanem gimnazyum w Krożach, a następnie rektorem seminaryum w Worniach. Nareszcie w skutek konkordatu ze Stolicą Apostolską zawartego w roku 1848, dyecezya żmujdzka, która już lat kilkanaście od śmierci Józefa Giedrojca zmarłego w roku 1838 nie miała biskupa dyecezyalnego i była rządzona tylko przez suffraganów, otrzymała w Wołonczewskim pasterza z pełnością praw biskupich. Prekonizowany przez papieża 28 września 1849, mianowany ukazem 26 stycznia 1850, konsekrowany 8 marca t. r., objął katedrę 21 kwietnia 1850 r., i rządził nią wśród różnorodnych kłopotów przez lat dwadzieścia pięć, ze wzorową gorliwością i miłością ku powierzonéj sobie owczarni, która téż go jak świętego czciła. Od wstąpienia na godność biskupią do roku 1863 mieszkał w Worniach, gdzie było urzędowe centralne siedlisko biskupów dyecezyi telszewskiéj rozciągającéj się na gubernie Kowieńską i Kurlandzką; w roku zaś pomienionym przeniesiony do Kowna, jako miasta głównego gubernii Kowieńskiéj, pozostawał już tam aż do zgonu, raz tylko w roku zeszłym odbywszy podróż za granicę dla poratowania skołatanego zdrowia.

Jako pasterz dyecezyi, był ks. Wołonczewski nadzwyczaj czynny; co rok prawie dopóki mieszkał w Worniach, zwiedzał część dyecezyi, a sprawozdania o stanie świątyń i szkółek parafialnych kazał sobie składać corocznie. O ukształcenie podwładnego duchowieństwa, o chędogość domów Bożych i szkółki elementarne dla ubogiéj dziatwy nadzwyczaj był troskliwy. Skutkiem tego seminaryum duchowne wornieńskie, choć po największéj części alumnów brało z pod strzechy wieśniaczéj, słynęło jako wzorowy zakład specyalny, wypuszczający duchownych gruntownie ukształconych; świątynie Pańskie nieprzerwanie odnawiały się, budowały, zaopatrywały w sprzęty i aparaty; piśmienność téż pomiedzy ludem, nie małe czyniła postępy. Jeżeli gubernia Kowieńska pod względem oświaty elementarnéj najkorzystniéj stoi ze wszystkich gubernii zachodnich, winna to w znacznéj części swojemu biskupowi i duchowieństwu parafialnemu.

Z prac piśmiennych ogłoszonych przez ks. Wołonczewskiego, mamy dwie treści religijnéj i jednę historycznéj. Najdawniejszą jest ostatnia, zawierająca dzieje biskupstwa żmujdzkiego w języku żmujdzkim p. t. *Žemajtiu Wiskupistes* (Wilno u Zawadzkiego 1848). Szacowna ta praca,

w przeważnéj części oparta na niedrukowanych źródłach autentycznych, przełożona została na język polski przez obywatela tamecznego Jana Hryszkiewicza, ale dotąd pozostaje w rękopiśmie, z wielką szkodą dla piśmiennictwa. *List pasterski* ks. Wołonczewskiego, napisany po polsku i po żmujdzku, wyszedł w Wilnie w roku 1850 i został przedrukowany w tutejszym „Pamiętniku Religijno-Moralnym". Trzecią nakoniec pracą zmarłego był przekład żmujdzki arcy-księgi „O naśladowaniu Chrystusa" ogłoszony p. t. *Tamasziaus isz Kempis apeisekime Jezaus Kristaus knisigas kieturas* (Wilno, 1852). Znawcy chwalą piękny język, tudzież prawdziwie religijne namaszczenie przekładu.

— Dnia 2 czerwca r. b. zakończył życie ***Józef Kremer*** b. rektor i professor uniwersytetu Jagiellońskiego, członek i przewodniczący w wydziale filozoficzno-historycznym akademii umiejętności w Krakowie, licząc 70 lat życia. Dnia 4-go t. m. odbył się obchód pogrzebowy. Zwłoki czcigodnego męża, przeniesione na ramionach uczniów akademii Jagiellońskiéj, sztuk pięknych, obywateli miasta i towarzyszów naukowych, spoczęły na miejscowym cmentarzu.

— Dnia 9 czerwca r. b. o godzinie 10 rano w Wielkiém Księstwie Poznańskiém, umarł ***D-r Karol Libelt*** prezes Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Brdowie, po ciężkiéj chorobie. Kartka pogrzebowa nadesłana naszéj Redakcyi obejmuje te słowa:

„Dziś o godzinie 10 zrana, opatrzony Św. Sakramentami zasnął w Bogu Ojciec nasz ś. p. *D-r Karol Libelt* w 68 roku życia swego w Brdowie pod Gołańczą. Eksportacya odbędzie się z Brdowa do Czeszewa w Niedzielę 13 czerwca o godzinie 6-éj na wieczór, pogrzeb zaś dnia następnego o 11-éj rano w kościele parafialnym w Czeszewie, o czém krewnych i przyjaciół zawiadamiają, pozostałe w smutku *dzieci*.

Czeszewo, dnia 9 czerwca 1875 roku."

W następnych zeszytach naszego pisma podamy obszerniejsze wspomnienia o życiu i zasługach dla krajowéj literatury, tak zmarłego Karola Libelta, jak Józefa Kremera.

— Dnia 9 czerwca r. b. w Poznaniu zakończyła życie ***Paulina z Lamzów Wilkońska,*** znana powieściopisarka, wdowa po zmarłym autorze *Ramot i Ramotek*.

Sprostowanie. W zeszycie czerwcowym na str. 491, wiersz 23, 24, 25 wydrukowano: *języka słowiańskiego*, zamiast *słoweńskiego*; na *gruncie słowiańskim* (*auf slowenischen Boden*). zamiast na *gruncie słoweńskim* (*auf slovenischem B.*); *język słowiański* zamiast *słoweński*.

Redakcya Biblioteki Warszawskiéj.

Redaktor odpowiedzialny **K. Wł. Wójcicki.**

Wydawca *Józef Berger.*

PRZEGLĄD KRYTYCZNY

DZIEJÓW SZKOŁY SZTUK PIĘKNYCH

W KRAKOWIE (1818—1873).

SKREŚLIŁ.

Wł. Łuszczkiewicz.

O ile ważną jest dla historyka sztuki północnéj epoka, gdy się ona wyswobadza z więzów bizantynizmu; o ile z całą skrzętnością śledzą dziś badacze najmniejszy objaw swobodniejszego jéj rozwoju i wynajdują imiona mistrzów co piérwsi umieli być samemi sobą; to niemniéj ważnemi są chwile ostatnie zeszłego wieku i początków XIX-ego. Geneza bowiem dzisiejszego pojęcia sztuk pięknych, epoka w któréj otrząsa się malarstwo, rzeźba i architektura północnéj i zachodniéj Europy z przesądów włoskiego szkolarstwa XVIII-go wieku, obchodzić musi każdego, kogo obchodzi rozwiązanie zagadki nie małéj, jaką jest tak nagły wzrost sztuki ostatnich czasów. Winkelman, Mengs, Dawid, Carstens i cały ruch artystów niemieckich w Rzymie w owych czasach, stanowią dziś wdzięczne pole dla badacza dziejów sztuki. Najdrobniejsze, napozór nic nieznaczące okoliczności, towarzyszące rodzącemu się romantyzmowi plastyki, urastają do znaczenia dzisiejszego, podnoszą się imiona nieznane artystów, którzy w skromności ducha pracując, otworzyli bramy nowemu odrodzeniu się sztuki.

Każdy naród rozpoczyna tu nanowo dzieje swéj dzisiejszéj sztuki; jakże bowiem i my daleko odeszliśmy od tych pojęć, w jakie ujęły ostatnie dziesiątki lat zeszłego wieku sztukę zostającą w usługach dworów. W miejsce obrazów mglistych, o typie jednym człowieka z gładkiém ciałem, bez duszy i kości, natury drobnéj buduarowéj, widzianéj przez nieczyste szkło, utworów zimnych, niezrozumiałych, treścią napuszoną, bezduszną, a nawet nieloiczną, stoimy dziś w obec utworów malarstwa i rzeźby pełnych niewymuszonéj prawdy i energii, obcujemy z postaciami obrazów i posągów, jako z indywiduami pełnemi życia, a zachowując cześć dla wszystkiego co wzniosłego i pięknego pozostawiła przeszłość, umiemy znów być samemi sobą. Rosnąca uniwersalność wykształcenia znalazła i u nas wyraz w malarstwie historycznem i gieniusz narodowy powstaje na tém polu. Chcemy mówić ó Janie Matejce.

Wykazanie jaką rolę w tém przeobrażeniu sztuki, odegrały szkoły i akademie sztuk pięknych, będzie zadaniem przyszłego historyka sztuki; co do nas zdaje nam się, że pisząc dzieje krakowskiéj szkoły, wyświadczymy przysługę temu, któryby o naszych usiłowaniach chciał

CZYTELNIA BIBLIOTEKI WARSZAWSKIEJ

kiedyś pisać odszukując genezy Matejki. Kreśląc ten przegląd dziejów szkoły krakowskiéj, mamy nadzieję, że zachęci praca ta drugich do napisania historyi warszawskich i wileńskich szkół sztuk pięknych.

Jeżeli prawdą jest iż sztuki piękne są zwierciadłem, w którém się odbija społeczeństwo; to z drugiéj strony jest niezawodném, iż nie zawsze dorasta ono do tego, aby mieć sztuki plastyczne. Wymagają one przedewszystkiém zdrowego ustroju narodowego, jasno stawiających się idei, swobody myśli nie krępowanéj panującym sentymentalizmem i bogactwa materyalnego. Pewnego stopnia zadowolenie, wiara w siebie, daje siłę twórczości w plastyce, jasność wyrażenia i formę swobodną a godną. Na tle uczuć mglistych może się rodzić pewien rodzaj poezyi, ale rzeźby i obrazy nie mogą mieć charakteru artystycznego; bo gdzie łzami przepełnione oko a uczucie marzy o lepszéj przyszłości, tam powstają widziadła poetyczne przymglone, ale nie obrazy i rzeźby realną piękną odziane szatą.

W takiém położeniu nie ma potrzeby wielkiéj sztuki, wystarczy i zadowolni najuboższa, najlżejsza jéj szata: uczuciu wystarczy zbiorami pamiątek i wspomnienia.

Taki stan społeczeństwa naszego w drugim dziesiątku naszego stólecia, a nie ubóstwo same materyalne kraju, były powodem, że cały ten ruch sztuki ogromny, porywający we Francyi i Rzymie, do nas a szczególniéj do Krakowa nie doszedł, i lata na to jeszcze czekać trzeba było. Piękność świata realnego nie przemawia do nas, jeszcze tém mniéj myśléć o odzianiu jéj szatą ideału; najpiękniejsze widoki okolic miasta Krakowa nie umieją inaczéj natchnąć Wężyka jak wspomnieniami, unika on spojrzenia oko w oko przyrodzie téj, a w miejsce plastyki żywéj daje nudny liryzm. Bohatérowie dramatów owoczesnych w pieśniach historycznych Niemcewicza, mają jakiekolwiek piętno realnéj piękności? Sam autor Sybilli z zamkniętemi na świat oczyma, umie znaleźć w głębi duszy swéj, tylko obrazy wewnętrznego życia, umie tylko marzyć.

A jednak tych mglistych marzeń, na tle przeszłości osnutych, był przedstawicielem w malarstwie owych czasów w Krakowie, Michał Stachowicz. Moglibyśmy dziś zaprzeczyć mu tytułu artysty, bo nie pojmował zupełnie warunków formy; nie można go przyczepić do żadnego kierunku artystycznego tych czasów w których żył: możemy twierdzić, że nie umiał ani rysować, ani malować, jednak był on wiernem odbiciem społeczeństwa, w którém się znajdował. Przedstawiciel malarstwa cechowego, który zasłyszał o wielkich imionach malarzy świata, posiadał ten dar, który i u chłopka się zdarza: zaznaczania farbami tego, co w rozmarzonéj imaginacyi dawało niejakie przypomnienie kształtów natury. Posiadał on tylko odrobinę téj sztuki co w oddźwięku rzemieślnictwa włoskiego doszło do jego czasu; trochę poczucia układu linii w obrazach religijnych, będących najczęściéj kopią z rycin dokonaną. O dążnościach szkoły Dawida nie zasłyszał

nigdy, a tém mniéj o usiłowaniach odrodzenia się sztuki. Był to jeden z tych cechowych malarzy, co nauczył się robić dekoracyjne peizaże a na ich tle ustawiać figury ludzkie jako stafaż. Natura nie robiła na nim wrażenia, nie zapalała go piękność linii, majestat światłocienia i kolorytu przyrody; miał on swoje sposoby pojmowania malarstwa, które mu zawsze wystarczały.

Najwznioślejszy umysł, najpoetyczniéj marząca dusza Woronicza znajduje téż w Stachowiczu stosownego malarza do ozdobienia ścian pałacu biskupiego w Krakowie, jak gdyby przysłowie francuzkie *les extremes se touchent* miało się sprawdzić.

Biskup dyktuje sceny malarzom, to rzecz zwykła w dziejach sztuki, gdy wspólne im są przymioty wielkości; a wieszcz narodowy posługujący się rzemieślniczą ręką dla przeprowadzenia swoich pomysłów, mógł się ukazać tylko w okolicznościach jak nasze. Ale cóż? jak przepełnione uczuciem pobożném serce piérwszych chrześcian wymaga od malarstwa znaku tylko, symbolu, bo resztę dojrzało okiem duszy; tak dla Woronicza wystarczającym był malarz. Obrazy ścienne pałacu biskupiego nie są téż ani byłyby, gdyby je ogień ocalił, zdolne wywołać wrażenia w naszém społeczeństwie, bo brak im potęgi sztuki rzeczywistéj, a klucz do odgadnięcia jasnych dla Woronicza znaków, kreślonych przez Stachowicza zaginął: obrazy jego potrzebują dziś dla nas podpisów, co oznaczają. Czuł to sam biskup poeta, zostawiając pokoleniom poetyczny opis tych malowań [1]). Stachowicz ma jedną zasługę, to jest że służył dobrze swéj epoce, a malował to co było na sercu; nowych dróg sztuce nie nadał i nie odznacza się ani formą pomysłu, bo myśl jego rozpierzchnięta, skupić wszystkiego w obrazie do jednego celu nie umié; ani dramatycznością lub życiem postaci, bo te stanowią zwykle ciżbę główek nad sobą, ani rysunkiem figur i kolorytem, gdyż to wszystko u niego dziecinne, na jeden sposób oddane. Chwalą go ze scen chłopskich: jego wesela mają tryskać ogniem i werwą, ależ jeżeli to prawda, że umié chwytać naturę chłopka krakowskiego, to patrzy na swój wzór tak zdaleka, że wszystko co jest osobowością, ginie, a pozostaje szata powierzchowna z gruba ociosana.

A jak poezya tych epok w których malarz nasz występował, nie zostawiła w spuściźnie ani jednéj nowéj myśli, tak po Stachowiczu została tylko tradycya wielkości, któréj my dziś dopatrzéć się nie możemy. Artysta nie pójdzie do obrazów jego po radę, może jedynie badacz dziejów kultury zastanowi się nad niemi, aby skreślić epokę tak mało mającą poczucia do sztuki rzeczywistéj.

Współcześni malarze cechowi krakowscy mieli przedstawiciela w Gutowskim Wojciechu, zmarłym 1814 roku, który malował kościoły, przedłużając pojęcie niemieckiego *zopfu*, które odziedziczył po swym nauczycielu Molitorze. Nie da się on porównać z Andrzejem Radwań-

[1]) Kraków i jego okolice, Grabowskiego, edycya pierwsza.

skim, którego prace jakąśkolwiek posiadały oryginalność pędzla. Dominik Estreicher należał już do dawniejszéj epoki.

Nie można tu pominąć dyrektora obserwatoryum krakowskiego Józefa Łęskiego, nie była mu obcą znajomość prawideł sztuki, które nabył za pobytem w Paryżu; w duszy jego odzywał się często klassycyzm Dawida; ale jako artysta występował zbyt mało i to głównie rysując illustracye, że na szali sztuki Krakowa zaważyć wiele nie mógł.

Cóż powiedzieć o ruchu na polu rzeźby w Krakowie, nad to, iż zejść musiało do rzędu rzemiosła. Najwyższém zadaniem kującego nagrobki było przedstawić niewiastę płaczącą, trawestowane gieniusze z pochodnią według rycin zeszłego wieku; inna rzeźba nie istniała. Przekopiowanie biustu, odlanie z gipsu, bywało rzeczą zadziwiającą, ale głównie ograniczano się do popiersi pośmiertnych „tak dokładnych iż je każdy poznawał." Jedynym rzeźbiarzem długi czas był Galli, który modelował muzę do pomnika Kopernika w kościele Św. Anny. Ileż nie zyskiwał pochwał prosty chłopek Jan Brożek z Lipowca za swoje roboty snycerskie, wszakże portret tego sławnego naówczas artysty malowany przez prof. Józefa Brodowskiego zawieszonym został w szkole sztuk pięknych, gdzie dotąd się przechowuje. Rzeźba w ojczystém mieście Wita Stwosza nie wyrobiła sobie jeszcze prawa obywatelstwa; zadawalniały publiczność gipsowe koszyki z owocami, malowane *ad vivum* i tym podobne.

Dodać do obrazu tego musimy, że wyrocznią dla wszystkich tych pseudo artystów była książka in folio, zawierająca naukę rysunku, z poszanowaniem podawana sobie, któréj tytuł: *Das durch Theorie erfundene Praetic oder gründlich nerfasste Reguln* etc. etc. w trzech częściach, przez Jana Daniela Preisslera w r. 1780 wydana w Norymberdze. Po sąd o niéj odsyłamy czytelnika do tablic w niéj umieszczonych.

O architekturze powiem, co wystarczyć powinno, że tak ksiądz Sierakowski, jak Szczepan Humbert Francuz, ten ostatni z powołania budowniczy, chętnie ofiarowywali i to bezpłatnie projekta na przebudowanie facyat, kamienic, jeżeli te były staroświeckie, to jest nie *barocco*. Tutaj w całéj obszerności stosowano prawa o porządkach architektonicznych.

Taki był stan rzeczy na polu sztuki, gdy się zjawiają w Krakowie nowi artyści; jeden z nich przybywa ze sławą malarza portretów jako uczeń Lampiego i Smuglewicza, to Józef Peszka, drugi ma być wielkim i płodnym rysownikiem, a jest uczniem akademii wiedeńskiéj, kształcony tamże kosztem księżnéj marszałkowéj Lubomirskiéj: to Józef Brodowski mianowany professorem rysunku w liceum św. Anny.

Odtąd poczynają się dzieje szkoły sztuk pięknych.

I.

1818 — 1831.

Chwilę, w której statut urządzający Rzeczpospolitę krakowską w roku 1818 zaprowadził przy uniwersytecie Jagiellońskim posady

professorów rysunku, malarstwa i rzeźby, uważać należy za datę założenia Szkoły sztuk pięknych krakowskiéj. Po raz-to bowiem pierwszy młodzież obdarzona miłością piękna, miała sposobność po za cechem malarskim lub prywatną nauką, znaleźć podstawę rzeczywistego wykształcenia pod okiem professorów utrzymywanych kosztem rządu. Brak jasnego i dzisiaj jeszcze u nas pojęcia o zadaniu szkoły sztuk pięknych, mógł jedynie odnieść jéj początek w dawniejsze nieco czasy. Są bowiem tacy co go widzą w epoce zeszłego wieku, gdy uniwersytet Jagielloński bierze w opiekę cech malarski, lub późniéj, gdy za czasów Kołłątaja przybywa Dominik Estreicher dla nauczania w szkołach średnich, lub w końcu nareszcie gdy za czasów rządu austryackiego zaprowadzono rysunek po gimnazyach. Podniesienie słabéj korporacyi cechowéj do znaczenia jakoby akademii, świadczyć może o dobrych chęciach uniwersytetu, ale nie o myśli wprowadzenia nauki sztuki na dobre tory; zaś nauczanie rysunku w gimnazyum jest czémś, ale niekoniecznie kształceniem pokolenia artystów, nie jest bowiem każdy rysujący artystą, jak umiejący pisać kaligraficznie literatem lub uczonym.

Jakie powody kierowały tymi, którzy uznali potrzebę onych posad przy uniwersytecie? wywołałaż je rzeczywista miłość sztuki lub więcéj chęć pomieszczenia tutaj odznaczających się talentami professorów, czy przyjścia w pomoc młodzieży; nie umiemy stanowczo twierdzić. Zasługę przyznają w tém professorowi gimnazyum ś. Anny Józefowi Brodowskiemu, zarówno jak professorom uniwersytetu: Feliksowi Radwańskiemu i Józefowi Łęskiemu: miłość do sztuki tym ostatnim nie była obcą.

Zaprowadzanie nauki sztuk pięknych przy uniwersytecie jest właściwością krajów, które nieposiadając dla nich w przeszłości zakładów osobnych, chciały zaradzić potrzebie może mniéj stosownym ale łatwym kosztem. Wyjątkowe położenie kraju po wojnach Napoleońskich pragnęło gwałtem nawiązać tradycyę opieki nad sztuką Stanisławowskich czasów. W Wilnie, a następnie w Warszawie istnieją już dawniéj przy uniwersytetach posady professorów malarstwa, rzeźby i architektury; tam Smuglewicz, Rustem, Gurewicz, Jelski; tu Baciarelli, Blank, i Maliński kształcą młodzież w sztukach pięknych. Ubożuchna rodząca się sztuka, musiała się zniwelować do uniwersyteckich zajęć, strzedz się wybryków fantazyi, artystycznych marzeń a przyjąć kierunek zimnych umiejętności. Trudno téż jéj wzbić się wyżéj po nad cześć, jaką słusznie ma kraj dla potęgi słowa, obok Brodzińskich i Osińskich w uniwersytecie Warszawskim, jakichże trzeba było professorów malarstwa, rzeźby i architektury, aby zapewnić w gmachu uniwersyteckim dla sztuki szacunek.

Utworzenie posad powyższych przy uniwersytecie Krakowskim było naśladownictwem Warszawy i Wilna; nie mogło małe miasto postawić się wyżéj, utworzyć samodzielnéj szkoły sztuk pięknych. Na to nie było funduszów, ani nie wywoływała téj potrzeby chwila wzniesionych uczuć a spokojnego tryumfowania społeczności

krakowskiéj. Statut wyżéj wzmiankowany, wypracowany przez komisyą organizacyjną dla uniwersytetu, w paragrafie 17 wstępu, wypowiada cel i nazwę szkoły. Opiewa on: „dla rozszerzenia nauki sztuk pięknych, dołączoną została do uniwersytetu akademia sztuk pięknych." Tytuł ten jak zobaczymy, trochę za wspaniały, odpowiadać zdaje się paragrafowi 4-mu wewnętrznego urządzenia uniwersytetu, który uważa korporacyą professorów uniwersytetu „jako ciało uczące i naukowe" a może wedle § 5 tegoż urządzenia „przybierać do swego grona uczonych i utrzymywać stosunki z innemi korporacyami naukowemi." Professorowie więc szkoły sztuk pięknych przy uniwersytecie odpowiadać mieli akademii sztuk wedle ówczesnych pojęć; jak zobaczymy z przywileju tego nie korzystali i nikogo do grona swego nie przyjęli od pierwszego zawiązku.

Słuszniéj zapewne jak w uniwersytecie Warszawskim, sztuki piękne zajęły w uniwersytecie Krakowskim stanowisko niezależne od wydziałów innych; bo jeżeli tam należały one do wydziału literackiego, tutaj tworzyły osobną szkołę pod zwierzchnictwem rektora uniwersytetu. Statut też organizujący daje professorom wszelką władzę w prowadzeniu szkoły, skoro mówi w § 18 wstępu: „każdy z dwóch professorów dawać będzie sześć lekcyj tygodniowo, teoryi sztuk (wykłady nauk pomocniczych) a oddzielnie lekcye rysunku i malarstwa" a § 19 wyjaśnia i określa bliżéj ich zajęcie tylko w tych słowach: „uniwersytet wyznaczy miejsce dla akademii sztuk, składające się z wielkiéj sali i przyległego pokoju, w którym professorowie kolejno obowiązani będą znajdować się w przedpołudniowych godzinach od 8-éj do 12-éj, dla kierowania pracą uczniów i wspierania ich radami."

Mniéj szczęśliwe pole dane jest nauce rzeźbiarstwa; statut wspomina o nauczycielu rzeźby (§ 23) mówiąc o nauczycielach języków żyjących, jazdy konnéj, pływania i tańca (sic); równa go co do godzin obowiązków z nimi: „taki sam obowiązek (to jest cztery godziny na tydzień) włożony będzie na professora rzeźbiarstwa, który dawać będzie lekcye w miejscu przeznaczoném na akademię sztuk pięknych pod dozorem jéj professorów." Statut nakoniec odpowiadając na zarzuty przeciwników, że nie posiadamy zbioru obrazów tak koniecznych wedle zapatrywań się miłośników swego czasu uprasza (§ 20) duchowieństwo i mieszkańców Krakowa i okolic, o udzielenie lub pożyczenie obrazów w celu pomieszczenia ich do kopiowania w sali akademii sztuk pięknych.

Na pierwsze urządzenie szkoły téj, budżet uniwersytetu z roku 1817/18 przeznacza jako nadzwyczajny wydatek złp. 2,000 a 1,400 złp. rocznie na wydatki naukowe, stale co rok pobierać się mające.

Przyznać potrzeba zdrowy rozum projektujących, że postawili tak ogólny zarys szkoły pozostawiając zarządzenie wewnętrzne przyszłym professorom; mieli mieć oni tyle swobody, ile dozwalały środki pieniężne, a nie były one zbyt małe na owe czasy, gdy wystarczyć musiały i w dzisiejszych czasach na cele o wiele szerszych zakresów.

Całkowity budżet szkoły na rok 1817/18 wynosił 11,000 złp., z tych 8,000 złp. dla dwoch professorów rysunku i malarstwa, nauczyciel rzeźby pobierał 1,000 złp., dozorca 600 złp. a w końcu owe 1,400 złp. na wydatki szkolne. Powiadamy więc że jak na Kraków, szkółka ta była nieźle zaopatrzoną, tém więcéj, gdy za owe 2,000 złp. sprowadzono z Warszawy piękne odlewy gipsowe antyków jużto posągów jak Laokoona, Gladyatora, Wenerę, już popiersi i biustów.

Cała przyszłość szkoły zależała od pierwszych professorów, którzy mieli zająć się jéj wewnętrznem urządzeniem, wygotować plan nauki i rozdzielić między sobą pracę. Trzeba było rzeczywiście nie tylko artysty obdarzonego łatwością wykonania, praktyka jak nazywają, ale głębiéj myślącego, o wysokiém wykształceniu artystycznem, aby mógł wywiązać się z poleconego mu zadania zarządzenia szkołą, pchnięcia jéj na tory, jakich wymagała już odradzająca się po świecie sztuka. Na nieszczęście nominowani przez senat Rzeczypospolitéj nowi professorowie, nie posiadali tych warunków, a przynosili prócz tego, jeden z nich pojęcia malarstwa z czasów Stanisława Augusta, drugi liche teorye wiedeńskiéj szkoły sztuk pięknych!

Cały przewrót wyobrażeń w sztuce wywołany po świecie przez sławnego Ludwika Dawida, który otwierając nowe drogi w pojęciu piękna zwrotem ku arcydziełom starożytnéj rzeźby i natury, tworzy klassycyzm w malarstwie, nie doszedł jeszcze do wiedzy tych pierwszych professorów szkoły. To dobrze że nie spotkali się z jéj smutnemi następstwami; ależ Girodet, Gros i Guerin otworzyli już wtedy swoje pracownie. Gros, kolorysta i miłośnik zacięty realizmu, tworzy generacyę eklektyków, złożoną z ludzi zdolnych, marzących ciągle o malarstwie, które może łączyć w sobie wszystkie wyobrażenia sztuki nie kłócąc ich ze sobą. Uczniowie Girodeta dotrwają w klassycyzmie Dawidowskim do końca, gdy Guerin uczuciowy, łagodny, wyprowadzi ze swéj pracowni takie potęgi romantyzmu jak Gericault i Delacroix. Nasi professorowie nie zasłyszeli słów Gericaulta, że natura jest źródłem nieprzebraném natchnień, że pędzel zyskuje, kiedy nie jest wszędzie równie gładkim a koloryt jest potężnym środkiem wyrażenia. Nierównie obcym był dla nich współczesny ruch sztuki w Rzymie, był to raczéj jéj szturm, w którym występowały też same elementa co w literaturze w walce przeciw starym formom zużytym.

Rysunki Carstensa, którego tu za przodownika należy uważać, nie zawsze poprawne, odzywają się duszą na wystawie jego prac w roku 1795. Koch maluje sceny z Dantego i Ossyana, Wagner i Lorsch należą do pierwszych peizażystów; na czele malarzy Niemców stoją Carstens i Thorwaldsen, którzy duszą i ciałem studyują na nowo starożytność klassyczną. Element religijny jeszcze nie wszedł na widownią sztuki, ale Eschyles, Dante, Ossyan, Szekspir pożyczają treść obrazom.

Połączonemi siłami Overbecka, Schnorra, Veita powstają freski w Casa Bartoldiana w roku 1815, w Villa Massimi 1817, które uważać musimy jako kamień węgielny odrodzonéj niemieckiéj sztuki.

Kornelius zdobycze rzymskie przenosi do Monachium.

Peszka Józef i Brodowski mieli być fundatorami krakowskiéj szkoły sztuk pięknych, bo oni to byli tymi szczęśliwymi, którym posady professorskie w nowo zarządzonéj szkole przyznano. Nauczycielem rzeźbiarstwa został jakiś Riedlinger. O wyborze stosowniejszym nie można było myśléć w Krakowie, który innych artystów malarzy, jak zwano portretowych, nie miał.

Peszka osiadły od niedawna w Krakowie, przywoził z Litwy sławę malarza; Brodowski okazywał wysoką łatwość w rysunku i jako professor gimnazyum zadziwiał współczesnych „obfitością rzutów" to jest, że potrafił narysować krédką tysiące głów na godzinę jako wzory dla uczniów.

Jeżeli do przeprowadzenia dzieła organizacyi potrzeba umysłów zgodnych, zdolnych do porozumienia się; jeżeli szkoła sztuk pięknych wymaga przeprowadzenia w nauce mniéj więcéj zbliżonych zapatrywań professorów: to w tym składzie rzeczy wybór przewodników krakowskiéj szkoły był najnieszczęśliwszym. Nie mogło być przeciwieństw większych w charakterze osobistym, w pojęciu sztuki i nauczania jak między Peszką a Brodowskim. Przypatrzmyż im się bliżéj.

Józef Peszka Krakowianin należał do liczby artystów, którzy wyuczywszy się malarstwa w kraju, poza jego granicę nie wydalali się. Jeździł on tylko za pracą do Petersburga. Był to zacny, poczciwy i pracowity człowiek, kochający swój zawód, ale w żadnym razie nie artysta samodzielny, torujący nowe drogi w sztuce. Jak skala fantazyi, tak skala pędzla były u niego bardzo skąpe, nie dążył do nowego, ani go porywała natura i jéj cuda. Obcą mu była sztuka klassyczna: szedł ślepo za wzorami swoich nauczycieli: Smuglewicza, którego ciągle miał na ustach i Lampiego ojca będąc ich skromnym odblaskiem.

Głównem zadaniem jego pędzla miały być portrety, ale są one jako pojęcie indywidualności, słabe, bezduszne, z tą dobrodusznością wyrazu i wymuszonéj miękkiéj słodyczy, któremi malarz zarówno obdarza męża stanu jak tkliwą niewiastę. Płynność malowania i gładkość pędzla, przy delikatnéj a mglistéj karnacyi, wedle jednéj zawsze rutyny dokonane, zastępują miejsce prawdy i potęgi w oddaniu indywidualności. Drobność uczucia szła u Peszki w parze z niepewnością form, kolorytu i światłocienia, nie kłopotał się o blask i siłę kolorytu, o powierzchnią malowanych przedmiotów natury, jakoby one wszystkie równie gładkie były.

Jeżeli tak obok malarza pozująca żywa natura nie może wywołać współczucia pędzla, tém mniéj to uczynić zdoła świat fantazyi. Peszka, za daleko odsunął się od Smuglewicza: pojęcia jego o obrazach historycznych stoją niżéj krytyki, a pokazują nie tylko brak wyższych pojęć sztuki, ale pierwszych elementarnych zasad rysunków figur i perspektywy: śladu indywidualności postaci już tu niewidać.

Jeżeli w Smuglewiczu jest wysoka łatwość w rzuceniu postaci na płótno, w urządzeniu obrazu wyrobiony gust, to w obrazach pseudo-

historycznych Peszki, żadnego urządzenia obrazu, żadnéj fantazyi twórczéj niema, są tylko teatralne lalki ustawiane bezmyślnie a gładkim oddane pendzlem.

Względnie Stachowicza, Peszka był artystą wyższym przez swoje portrety, należał do familii malarzy europejskich Lampiego ojca i Grassego, ale tym nigdy niedorównał w talencie.

Takim był pierwszy professor teoryi sztuki i praktyki w Krakowskiéj szkole.

Józef Brodowski imiennik professora Warszawskiéj szkoły, rodem i pojęciami był tém, co nazywali wówczas w Krakowie ogromnym talentem, to jest śmiałym, bezmyślnym rysownikiem i malarzem. Zdolności wrodzone w rodzaju Orłowskiego, łatwość szkicowania kredą wszystkiego co miał przed oczyma, a jednak bez ścisłości obserwacyi, skrzywiło w nim trochę nabytéj wiedzy w najlichszéj wówczas akademii Wiedeńskiéj, dokąd był wysłany przez księżnę marszałkową Izabellę Lubomirską; pojęcia form nadzwyczaj słabe, modelowanie zastąpione szeregiem jakichś krések, oto charakter rysunków jego, które mu służyły za wzór do malowania: bał się stanąć z pędzlem przed naturą. Wykształcenie jego artystyczne stało na równi z lekkomyślnością wykonania, obcym mu był klassycyzm zbyt mało poetyczny, aby do romantyzmu miéć pretensyą. Sława tego malarza nie przeszła téż po zagranicę Krakowa, pozostało po nim trochę portretów i Herkules w zbiorach szkoły sztuk pięknych, obraz Św. Piotra odbierającego klucze od Chrystusa w ołtarzu wielkim kościoła tegoż świętego w Krakowie, i te kilkadziesiąt rysunków, zatraconych zabytków architektury Krakowa, których wykonanie do zasług należy mu policzyć. Ważność zabytków przeszłości miała tylko pamiątkowe znaczenie u Brodowskiego zarówno jak u współczesnych. Pracowitym nie można nazwać tego drugiego professora szkoły sztuk pięknych.

Jak widzimy, obaj professorowie nie należeli do wyższych artystycznych indywidualności, trudno téż któremukolwiek z nich przyznać wyższość; kierunek jaki przyjęły sztuki po świecie był im zupełnie obcy. Zamknięci w ciasnych szrankach rutyny malarskiéj, nieposiadający wyższego wykształcenia, mogliż nakreślić program nauki, któréj celu sami jasno nie widzieli. Tylko wyższość rzeczywista jednego z nich, mogłabyła wzbudzić poszanowanie dla zasad jego w nauczaniu i nadać kierunek wychowaniu artystów, w okolicznościach jak nasze mogło tylko zgodne zapatrywanie się obu przydać do tego; téj zgody między Peszką i Brodowskim nie było: obaj chcieli miéć równe znaczenie professorskie.

Długą i trudną jest nauka sztuki, od któréj i największéj zdolności niewolno się dziś odsuwać, jeżeli chce dojść do najwyższych celów. To zadanie stawiają sobie szkoły sztuk pięknych, a prowadząc przez wszystkie stopnie praktyki coraz wyższe, kształcąc jego rozum, uczucie poetyczne, fantazyą zarówno jak oko i rękę, puszczają tak wy-

chowanego w świat szeroki i każą mu tam dopełniać swéj wiedzy. Nato praca i najgorliwszego professora, ale jednego wystarczyć nie zawsze może. Ztąd do przeprowadzenia systematycznego nauki potrzeba licznych professorów w każdéj szkole lub akademii sztuk pięknych. Jako instytucya publiczna ma z całém uszanowaniem jednostek, przeprowadzić zasadę wspólności nauki, tak zwanych kursów lub klass coraz wyżéj usposabiających. Studya specyalne, tak zwane dziś „meisterschule" są najwyższym szczeblem szkolnéj nauki.

Zadaniem organizatorów miał być rozdział pracy między professorów i rozkład nauki, a na przeszkodzie w zaprojektowaniu tego, stanęła niezgoda, a może więcéj nieświadomość. Prywatną domową lekcyę rysunku i malarstwa jaką zwykli byli obdzielać amatorów, przenieśli obaj professorowie w nowo urządzony gmach szkolny, a zapomniawszy o wyższym celu szkoły, zamknęli się każdy z nich z osobném kółkiem swych prozelitów, to jest uczniów. Nawet piękny zbiór odlewów gipsowych z antyków, nie podał myśli urządzenia przynajmniéj nauki rysunku w właściwy akademicki sposób; starożytna sztuka weszła w mury Krakowa, niepostrzeżona, niezrozumiana, nie umiała wzbudzić nawet w professorach zapału, tém mniéj kierunku wskazać w nauce.

Professor Peszka poprzestawał w niéj na wprawieniu ręki w kopjowanie rysowanych wzorów, do czego służyły własne jego rysunki, sztychy lub litografie. Chodziło mu tutaj o to jedynie, żeby uczniowie popisać się mogli przed rodzicami jak ładnie rysują. Szczęśliwy kto przekopjował tuszem księcia Józefa Poniatowskiego na koniu skaczącego do Elstery lub popiersie Kochanowskiego, Konarskiego, w sposób lekki, rozdmuchany, kredką czarną, czerwoną lub żółtą. Portret z natury kredką na tonowym papierze, stanowił dalsze przejście dla niektórych uczniów, a dopełniało nauki przekopjowanie olejno któregoś obrazu ze zbiorów szkolnych. Na tém schodziły lata uczniom Peszki.

U Brodowskiego, kopjowano podobnież, tylko śmiałość rzucenia rysunku była najwyższą zasługą; głowy i figury kupowane od uczniów akademii Wiedeńskiéj służyły za wzór ich uczniom: niektórzy posuwali się do malarstwa kopjując co się trafiło, co pożyczyć można było. I tutaj właściwych wspólnych studyów nie było, ale amatorska zabawka. Dodajmy że zapowiedziane w Statucie wykłady teoryi, prawie nigdy nie praktykowały się na seryo w szkole tych dwóch professorów.

Mam przed oczyma prace studenckie utalentowanego ucznia Peszki z tych pierwszych lat szkoły, Stanisława Wysockiego, znanego powszechnie inżyniera, zgasłego w Warszawie przed kilką laty. Gdyby nie przekonanie że professor ten nie lubił zastępować pracą swoją usterek ucznia, sądziłbym że roboty te kredką i olejne są dziełem Peszki. Taż sama pobieżność w zrozumieniu kształtu i naciąganie do pewnego konwencyonalizmu; ten sam słodki, dobroduszny wyraz twarzy w portretach jasno okazują, że Peszka najwięcéj mógł nauczyć tego co sam umiał: szerszego poglądu dać nie umiał.

Twierdzą niektórzy, że znakomity malarz Piotr Michałowski zawdzięczał pierwsze początki nauki Brodowskiemu Józefowi, że ta werwa z jaką malował konie dostała się artyście w spadku po nauczycielu. Byłby to jedyny uczeń, który umiał z jego konturów pobieżnych, mało akcentowanych, powziąć świadomość o energii kształtów jaką się prace Michałowskiego odznaczać zawsze będą. Jan Głowacki lubił się zawsze przyznawać że był uczniem Gizińskiego professora rysunków w Liceum Św. Anny.

Gdyby założenie choć tak małéj szkoły sztuk pięknych w Krakowie było wynikiem rozbudzonej miłości do sztuki, która urosła już do stanowiska potrzeby ducha, byłyby się niezawodnie pokazały korzyści jéj moralne i realne.

Szkoła tworząc ognisko artystycznéj wiedzy, wyższéj bezzaprzeczenia nad tę, jaką mogło mieć społeczeństwo miasta, nie umiała już od pierwszéj chwili przedstawić jasnego pojęcia, czém jest rzeczywiście sztuka. Toż samo rękodzieło malarskie i snycerskie jakie widziano po za szkołą, przybiera tutaj tylko szlachetniejsze stanowisko; że malarz jest twórcą dzieł wzniosłych, poetycznych a dążnością ku idealnemu pięknu, różnić się od tych, którymi kieruje ręka nie duch, szkoła wypowiedzieć nie umie. Sąd też o dziełach sztuki bliskiéj założenia szkoły epoki jest błachym a częstokroć śmiesznym, a można było żądać, aby w niewielkiém miasteczku łatwo rozeszły się pojęcia artystyczne professorów. Na nieszczęście nie mieli oni sami jasnéj o nich wiedzy; gdy professor Brodowski śmie wystawić zgorszonéj publiczności Krakowa obraz nagiego modelu pod tytułem „Herkulesa zabijającego Hydrę lerneńską“ gdy Peszka maluje swój obraz założenia rzeczypospolitéj Krakowskiéj, publiczność traci czasem tę małą wiedzę jaką jéj dał Stachowicz. Zrozumiano tylko że sztuka jest czémś oderwaném wymagającém znawstwa. Znawstwo też tu stoi na wysokości professorów, zasadza się na rzucaniu słów bezmyślnych, a przedewszystkiém ciemności i napuszystości stylu. Oto co piszą o obrazie owego Herkulesa professora Brodowskiego „Herkules p. Brodowskiego ma wiele prawdy (sic), co się tyczy anatomii, wysilenie się mordercy nad poczwarą widać doskonale w twarzy i muszkułach i to jest orginałem. Postać zaś całego ciała jest kopją z natury Herkulesa północnego, a zatém jeżeli jakiéj podpada krytyce, wina jest oryginału a nie artysty...[1]).

Tenże sam recenzent pisze o malowaniach w sali Jagiellońskiéj w Collegium majus: „Stachowicz w całéj piękności gieniusz rozwinął; obrazy te kojarząc nas z przeszłością, do słodkich prowadzą westchnień i stając się niejako balsamem na ukojenie bolesnych cierpień“ a daléj: „znawca uzna tu w szczegółach obfitość wyobraźni (bo wszystko jest oryginalne) układu czyli kompozycyi, konturów osób i struktur nie wyszukana naturalność, draperyów i perspektywy doskonałość. Miłośnik całego ogółu w każdym obrazie dostrzeże harmonijną natural-

[1]) Pszczółka Krakowska rok 1821.

ność ciżby natłoku ludzi; charaktery tak całkowitéj postawy jak i twarzy historycznych rozmaitego stopnia aż do prostego ludu, bez żadnego pożyczania jednych od drugich, z łatwością do podziwienia wykonane... [1]).

Sąd więc o utworach malarstwa nie zmienił się pod wpływem szkoły i był on ten sam co przed laty dwoma, gdy piszą o rysunku młodego Stattlera według gliadiatora Borghezych, który nadesłał z Rzymu: „we względzie obszerności (sic) wielkiego posągu zachował proporcyę na mniejszą nieco skalę w swoim rysunku, i działaniu muszkułów umiał nadać ruch i życie. Rok dopiero znajduje się w Rzymie a już nam przysłał Adama z kaplicy Syxta“.

Na obudzenie rzeczywistego pojęcia sztuki nie płynął nawet pobyt w Krakowie „kawalera Thorwaldsena“ on jednak pokazywał co jest dziełem sztuki w Krakowie; i dzieła Stwosza zaćmiły jego baczne oko, ale nie nauczyły Krakowian na co zapatrywać się mają. Jeśli tych kilku professorów nieumiało zaważyć w sądzie o sztuce, to jednak przyznać potrzeba, że założenie szkoły wpłynęło na rozdział w pracy malarskiéj; malarz portretowy lub ścienny: wyraz ten posługiwał do oznaczenia artysty lub rękodzielnika. W szkole jak twierdzono uczono na portretowych, w cechu pozostali malarze dekoracyjni; ci ostatni malowali jeszcze obrazy do kościołów. Malarstwo portretowe podniesione do wyższéj godności, stało się przystępném dla zamożniejszéj młodzieży przez założenie szkoły, i aby być malarzem niepotrzeba było terminować u majstra i kołysać mu dzieci, jak to bywało do téj chwili. Nie jest to zasługą pierwszych professorów szkoły, ale tych mężów, co pomyśleli pierwsi o jéj założeniu w Krakowie. Odtąd młodzież szlachecka wykształcona w szkołach, dobrze wychowana, poczęła się u nas w Krakowie oddawać malarstwu i rzeźbie, a przytém co uboższe a gnieżdżące się dotąd w cechu, gdy okazało wyższą zdolność, mogło znaleźć naukę w szkole.

Wierzonoż że nauka ta w kraju zdolną jest do wytworzenia artystów? myliłby się każdy któryby tak chciał twierdzić: wiary téj niebyło nawet między professorami. Brodowski w artykule pod tytułem szumnym „Myśl o założeniu Towarzystwa sztuk pięknych“ sam pisze w r. 1822, iż gdyby nie brakło obrazów do kopijowania, to doprowadzić będzie można wtenczas do pewnego stopnia doskonałości młodzież w sztuce tak, iż ta „z łatwością kiedyś będzie mogła cwiczyć się (sic) po zagranicznych akademiach“... [2]) Na inném miejscu piszą w r. 1821 o szkole z powodu wystawy robót uczniów,... „z tém wszystkiém spodziewać się należy, że z czasem wzniesie się szkoła tak, że z téj sionki udawszy się zagranicę, trafią do przedpokojów i dalszych apartamentów. Już do tego przetorował im drogę młody Stattler“... [3])

[1]) Pszczółka Krakowska, lipiec 1821 k. 190. [2]) Tamże 1822.
[3]) Tamże r. 1821 k. 145.

Wiary w skutek nauczania w krajowéj szkole nie mieli sami nauczający, nie miała jéj publiczość, bo nie znali celu sztuki, a zagranica przedstawiała im gotowe rezultaty usiłowań, których tam jak twierdzono z łatwością nabyć było można. Urządzenie szkoły, brak wzorów wywoływało téż czasami ostre zdanie w pismach publicznych, ale nikomu na myśl nawet nie przychodziło kusić się o poprawienie złego. Zarzuty przeciw szkole pokazały się w r. 1821 w Gazecie krakowskiéj, obrońca jéj w inném pismie stara się przekonać czytelników, że zakład ten nie może się nazywać szkołą, bo szkoła, pisze on „to dom obszerny z salą okrągłą, z góry oświeconą, w któréj na podstawie żywy model w posturze przez nauczyciela ustawionéj stoi a uczniowie w okoł siedzą sposobiący się do malarstwa z papierém i ołówkiem, drudzy za niemi do snycerstwa z gliną na tablicy i dłutkami. Nauczyciele obchodzą wszystkich i poprawiają....“ daléj opowiada autor, jak widziałby tam ciekawe zbiory antyków i obrazów.... ale tutaj w Krakowie daleko do tego....“ Naiwne to pojęcie akademii sztuk pięknych za granicą, mogło było przy małych środkach być w krakowskiéj szkole urzeczywistnioném.

O użyciu modelu żywego nikt tu jednak nie pomyślał, bo jak twierdzimy byliśmy jeszcze w sztuce w epoce Stanisława Augusta i po za nią nie przetarło się jeszcze światło postępu. Były to czasy w których nieumiano odróżnić nauki sztuki od rysowania i malowania: kto malował był malarzem, zarówno kopista jak twórca oryginalnych pomysłów pędzla.

Polem popisu szkoły były wystawy urządzane przy końcu roku, dają nam one miarę nauki szkolnéj, raczéj pokazują że nieumiano jéj odróżnić od amatorskiéj zabawy, bo napróżno w relacyach owoczesnych szukamy wspomnienia o jakowych studyach. Stały antyki w odlewach gipsowych a poprzestawano na rysunku z rysowanych wedle antyków głów i figur, które zakupywano do uczniów akademii wiedeńskiéj: toż samo było i co do modelu żywego. Zresztą obchodzono się bez wykładów prespektywy, boć wolno było samemu professorowi Peszce robić tu błędy nie do darowania dzisiejszemu uczniowi.

Czytamy w opisie wystaw z r. 1821 i 1822 o rysunkach panien Konopczanek prywatnie u professora Brodowskiego uczących się, których prace „wzbudzają podziwienie;“ o bitwie pod Samossierą rysowanéj tuszem przez Jana Głowackiego; jakiś Wasilewski wystawił winogrona olejno malowane i inne owoce, podług sławnéj pani Feydeau i nocną sztukę (?). Panna Józefa Szopowicz nazwaną jest: rzadkiéj wolności w rysunku, osobliwie landszaftów, a p. Jan Biżański od najpierwszych zagranicznych artystów nie odstępuje w sposobie tuszowania; robi téż próby litografowania.... Tenże recenzent odnośnie do rzeźby pisze o sławnych popiersiach senatora Grodzickiego i s. p. hrabiego Stadnickiego tak dokładnych „iż ich każdy poznawał“ a roboty Teodora Stachowicza dały dowód (płaskorzeźba), że dłutem się-

gnie ojca (sic).... co ma znaczyć, że dorówna pracom malarskim Michała Stachowicza.

Moglibyśmy wiele przytoczyć dowodów z pism peryodycznych krakowskich, jak aż do roku 1830 zadowolnionym był ogół publiczności z tych wystaw szkolnych, a zatém i nauczania, jak cieszono się landszaftami, które robili uczniowie; o tém że to są kopije nic nie uczące, wiedzieli tylko ci do których światło sztuki z zagranicy trafiło. Jedynie zarządu wina, że z tego smutnego stanu szkoły nie wyprowadził dodaniem wyższych naukowych sił. Próżno usiłuje wprowadzić jakowyś ład kurator generalny zakładów naukowych Józef Załuski; w r. 1826 rzeczy stały niezmiennie aż do r. 1831 to jest do śmierci professora Peszki. Kurator Załuski mianował tylko nauczyciela anatomii artystycznéj oraz perspektywy Jana Nepom. Briańskiego, który właśnie z Wiednia powrócił, gdzie się kształcił w akademii sztuk pięknych.

Cały ten pierwszy okres szkoły od roku 1818 do 1831 nie przyniósł tych rezultatów, jakich się od szkoły, dosyć dobrze jak naówczas uposażonéj, spodziewać można było. Młodzież zamożniejsza opuszczała szkołę szukając gdzieindziéj rzetelnéj nauki, bo wiedziała, iż tutaj po za kopijowanie lichych dzieł daléj nie zajdzie; pozostawało co uboższe i cisnęło się pod protekcyą panów professorów. Stały w szkole odlewy antyków, mógł być na zawołanie model żywy, były przyrządy rysunków akademickich, ale z tego nieumiano korzystać i wolano bawić się kredą lub pędzlem. O studyum nagiéj figury, była tylko wtedy mowa, gdy zjeżdża do Krakowa jaki „Herkules północny" taki Franck lub Lebenier, bo wtedy kosztem rządu pozuje w szkole dla professorów Brodowskiego i Schmelzera; Peszka nigdy się tém nie zajmował: to było przeciwne naturze jego talentu.

Jedynym uczniem tego ostatniego był Józef Kurowski, który mu pewną przyniósł sławę; znanemi w Krakowie są artyści Cholewicz i Nidźwiecki również jego uczniowie; professor Wojnamowski biegły rysownik starożytności krakowskiéj przeniósł się wcześnie od Peszki do Warszawskiéj szkoły sztuk pięknych. Byłyż te pierwsze lata szkoły bez korzyści dla rozwoju sztuki w Krakowie? nie przyniosłyż one choćby źdźbła do tego wieńca jaki uwiła sobie szkoła w dzisiejszym jéj zamierzonym rozwoju? Nic bowiem nie ginie w naturze, nic nie ginie w jéj obrazie to jest w sztuce, więc i pierwsza epoka sztuki przyniosła coś w rezultacie. Tém jest obudzenie pewnego życia artystycznego przez wyprowadzenia sztuki z cechu, przez odrobinę wprowadzonéj wiedzy artystycznéj, a co najwięcéj przez obudzenie zamiłowania do obrazów narodowéj treści. Odtąd młodzieniec bez wstydu jaki przynosiło cechowe malarstwo, oddawać się mógł artystycznemu już zawodowi w Krakowie.

II.

1831 — 1850.

Świat sztuki, zarówno jak poezyi słowa powstaje w młodzieńczych nowych kształtach i poczyna porywać serca i dusze społeczeństwa, przemawiając formami jasnemi dla ogółu, czerpanemi na nowo ze źródeł wiedzy, z przyrody i arcydzieł przeszłości. Romantyzm w całéj wykwita pełni, kiedy się poczyna druga epoka Krakowskiéj szkoły sztuk pięknych. Walka klassyków z romantykami zwycięsko przeprowadzona przez wieszcza nieśmiertelnego w Warszawie, głuchym odgłosem dochodzi dopiero do starego grodu, co przespał, przedrzymał chwilę walki na polu sztuk plastycznych, był, jak widzieliśmy równie obcym wszelkiemu postępowi formy i ducha. Nic téż nieuchodzi bezkarnie, więc i ta druga faza szkoły ciągnąca się do roku 1850, będzie musiała być epoką ciężkich prób i usiłowań; poruszy też same zadania, z których szczęśliwego rozwiązania już powszechnie świat korzystał. Chwile szkoły od roku 1830 do 1850 przedstawić muszą na podstawie klassycyzmu rodzący się romantyzm, jeżeli chcemy mieć prawo do własnéj rodzimej sztuki, bo jednemi drogami dąży ona do doskonałości, jakkolwiek tło narodowe może być inne.

Szkoły narodowe francuzka i niemiecka występują w malarstwie na widownią świata, pozostawiając w tyle tych, co siedząc u źródła artystycznéj wiedzy, nie umieli w zdobyczy wieków widzieć wzorów odrodzenia się. Mówimy tu o Włochach nowożytnych. Artysta co miał w Krakowie torować drogi ku odrodzeniu się sztuk pięknych był nowo mianowany zastępcą professora po śmierci Peszki, pan Wojciech Korneli Stattler Krakowianin. Epokę drugą szkoły świata nazwać można, jak niżéj zobaczymy epoką professora Stattlera, a słusznie zarazem czasem niewoli w Instytucie technicznym.

Słusznie przewidywać należało w chwili założenia szkoły w Uniwersytecie, że posady sztuki dotyczące, nie potrafią uzyskać u zarządu równéj przynajmniéj z innemi opieki. Ale ażeby znalazła się opieka rozumna, znająca potrzeby i wymagania sztuki, potrzeba było aby choć trochę znalazło się w niéj miłości połączonéj ze znawstwem. Tego szczęścia nie zyskała szkoła w radzie Uniwersyteckiéj, ani u rektorów pierwszych. Wszakże mogła nie być obojętną władzy, dezorganizacya szkoły wynikła ze złego rozkładu pracy professorskiéj. Pierwszym rektorem który zwrócił baczne oko na niedostatki moralne szkoły był zasłużony nauce i Uniwersytetowi a niedosyć uznany dotąd D-r Aloizy Estrejcher. Syn artysty malarza nie mógł być obojętnym widzem nieładu w szkole; uczony, podróżujący często po stolicach Europy miał dobre pojęcia, czém sztuka urosła w te czasy.

Zwiększenie liczby professorów szkoły i wprowadzenie porządku w prowadzeniu nauki miało być podstawą téj zamierzonéj reorganizacyi; obie sprawy niewymagające powiększania budżetu szkoły, bo to wychodziło z zakresu władzy rektora.

Ponieważ statut dozwalał przyjęcia do grona professorów artystów utalentowanych, przeto rektor Estrejcher powołał na professorów nadzwyczajnych honorowych Jana Nepomucena Głowackiego i Józefa Sontaga nauczyciela rysunków, jednego z Liceum św. Anny, drugiego z Liceum św. Barbary w Krakowie. Głowacki odznaczył się już wtedy jako peizażysta, wróciwszy z Wiednia gdzie się kształcił; Sontag drezdeńczyk niemiec był portrecistą niezłym, a głównie litografią się trudnił: pierwszy u nas rysował na kamieniu. Nie mieli oni pełnić obowiązków nauczycielskich w szkole, gdyż posady te były bezpłatne, ale powiększać grono w razie sądu konkursowego, lub dla wygotowania projektów odnośnych do szkoły.

Właśnie chodziło teraz rektorowi Estrejcherowi o podobny projekt statutu wewnętrznego urządzającego, tę instytucyą, a nieposiadając wiedzy coby należało na ulepszenie w rozkładzie nauk zaprowadzić, zażądał od wszystkich professorów wskazówek odpowiednich. Było obyczajem wtedy składać podobne myśli na piśmie, a być może że drogę tę uważano za jedynie prowadzącą do celu tam, gdzie niemożna przypuszczać zgodnego porozumienia się na zebraniu wspólném.

Rada wielka Uniwersytetu wezwała w roku 1831 z dnia 21 czerwca i z daty 17 kwietnia 1832 r. a więc po dwakroć professorów szkoły do złożenia projektów.

Znamy dwa z nich tylko, to jest professorów Brodowskiego i Stattlera, zdaje mi się że w owe czasy nie żył już professor rzeźby Józef Schmelzer wiedeńczyk, ktory po Riedlingerze objął posadę. Znając pojęcia Brodowskiego, łatwo domyśleć się, że projekt nie odstąpił od nich daleko, zresztą nie jest to projekt urządzenia szkoły, ale raczéj ogólnikowy program, co i z czego w szkole téj uczyć. W żadne wyznanie wiary artystycznéj nie wdając się professor ten, każe rysować ze wzoru Rafaela Mengsa (zapewne mowa tu o Morghenie co sztychował antykowe głowy i figury znakomicie); co do wyrazów twarzy z Chodowieckiego (!!) a gdyby jego dzieł nie było, można nabyć, radzi, zastąpić go litografiami Boilla ówczesnego artysty paryzkiego. Co do głów cieniowanych, mają służyć rysunki z Rafaela Urbino (czyje?).

Z gipsu, mają uczniowie rysować „sławnych filozofów, cesarzy rzymskich; osteologii i mitologii uczyć się z figury Fischera (sic) a powtarzać to z pamięci, następnie z natury przy lampie modelu i *poprawiać* go wedle antyków. Wspomina o draperyach, o szkicach kompozycyi, o wykładzie perspektywy i historyi świętéj.

To wszystko miało być projektem organizacyi szkoły, światłem dla rektora mającego najlepszą wolę zaprowadzenia systemu w samowolném dotąd nauczaniu. Ale od Brodowskiego więcéj żądać nie było można, gdy brakło mu jak wspominaliśmy, stosunków ze sztuką po świecie.

Miał je nowy zastępca professor malarstwa pan Wojciech Korneli Stattler, który świeżo powrócił z Rzymu, gdzie bawił od roku 1819 a może nawet wcześniéj tam się udał. Była to nadzieja miasta, ten

młodzieniec obdarzony zdolnością, w stolicy nieśmiertelnéj sztuki, uczący się u najpierwszych mistrzów, a otoczony opieką najwznioślejszych postaci swego czasu. Każda nowa praca jego, choćby studencka nawet, nadesłana do rodzinnego miasta, wzbudzała wysokie dla imienia Stattlera poszanowanie; nierozumiano ich, ale przeczuwano więcéj, że mają prowadzić do wzniosłego celu.

Pozostawił nam obecnie w Warszawie żyjący czcigodny profesor miłą pamiątkę stosunków swoich z artystami i miłośnikami sztuki w Rzymie, w tych szacownych notatkach ogłoszonych w *Kłosach* na rok 1874, zatytułowanych: „Wspomnienia niedawnéj przeszłości." Są one żywém odbiciem postaci osób, z któremi zetknął się artysta; ale nie każdy czytający dostrzeże wpośród anegdotycznych szczegółów, jakiemi trudy dobijał się autor artykułów świadomości sztuki. Uczeń Lampiego, Peszki a nawet Brodowskiego, przeniósł się do Rzymu nie będąc przygotowanym do tego co go tam czekać miało. W pośród tylu arcydzieł przeszłości, tylu rozpoczętych dopiéro dróg odrodzenia, przy świetnéj jeszcze reprezentacyi szkoły Dawidowskiéj przez genialnego Camucciniego i akademików francuzkich bawiących w Rzymie z jednéj, a z drugiéj strony usiłowaniach kolonii niemieckiéj w kierunku romantycznym, musiał młody umysł pragnący światła sztuki, rzucać się na to wszystko, nie wiedząc czego się trzymać.

Zapalony zwolenik wielkiego stylu Camucciniego, studyujący posągi starożytne, rozczytujący się w pracach Winkelmana, dochodzi za głosem Grafonarego i niemieckich odrodzicieli sztuki do przekonania, że cała wielkość sztuki leży w prawdzie formy i ducha, że w sobie natchnień, w naturze otaczającéj kształtów i kolorytu do odziania myśli obrazu szukać należy.

Stosunki późniejsze z kolonią poetów polskich w Rzymie, w owe czasy, które tak wiernie opisuje znakomity nasz poeta Odyniec w listach drukowanych w piśmie warszawskiém *Kronika Rodzinna*, otworzyły do reszty Stattlerowi świat poezyi romantycznéj, który miał przenieść do malarstwa. Z tego urósł wielbiciel doskonałości rzeźby starożytnéj, czciciel malarzy włoskich epoki odrodzenia i ich arcydzieł niezrównanych; poeta szukający w głębi duszy obrazów, ale z niedosyć jasném pojęciem różnicy między poezyą słowa a plastyki, jedném słowem wyszedł artysta ogromnie wyrobiony, późniejszy autor „Machabeuszów" które to dzieło będzie zawsze świadectwem odrodzenia się sztuki w kraju naszym na tle wysoce poważném i należeć musi do dziejów sztuki.

Ramy niniejszéj rozprawy nie dozwalają mi bliżéj określić cech artystycznych, jakiemi odznaczały się prace nowego professora szkoły; powiemy tylko, że naturą ich być musiało, że ogółu publiczności Krakowskiéj zadowolnić nie umiały, ale dla szczegółowych umysłów były one pociechą wielką.

Projekt do urządzenia Akademii sztuk pięknych w Krakowie, w dopełnieniu reskryptu Wielkiéj Rady Uniwersytetu, na wezwanie

JW. Rektora Aloizego Estreichera, przez Wojciecha Kornelego Stattlera; taki jest tytuł broszury wydanéj u Czecha, 1832 roku. Myśli więc jego znane być mogą publiczności, pozwolę sobie jednak podnieść kilka o nich uwag i streścić je pokrótce.

Są rzeczy dzisiaj powszechnie znane, które powtarzać byłoby śmiesznością; ale miały one swoje czasy, w których były nowością, były piérwszy raz wypowiedziane dla nieświadomych. Porównanie twórczości artystycznéj z twórczością poety, wskazanie poetyczności jako celu sztuki, jak to uczynił na wstępie rzeczonéj broszury, stawiało poraz piérwszy w Krakowie malarstwo jako wynik natchnień wzniosłych, a pojmowano je dotąd jako rzecz wykonania. Ostréj téż poddaje krytyce cały owoczesny systemat nauczania w krakowskiéj szkole, i występując surowo przeciw kopiowaniu niedołężnych obrazów, stawia za jedyną możebną drogę przy braku zasobów artyzmu, studyum natury „bo tą drogą szli wielcy mistrze."

W rozwinięciu dalszém projektu autor widocznie nie ma na myśli zorganizowania szkoły, ale przeprowadzenie więcéj swoich zasad nauczania. W ogólnych zarysach skreśla sposób wykształcenia artysty na podstawie studyów z natury, w rozkład nauki i pracy professorskiéj nie wdaje się i o tém zapomina.

W zasadzie chce on, aby każdy z uczniów szukał we wzorach natury środków wykonania tak, jak gdyby sztuka dopiéro rodzić się miała, a praca pokoleń nie była znaną. Akademią dzieli na 3 klassy, żąda aby do piérwszéj z nich przychodzili uczniowie po ukończeniu liceum, zupełnie poświęceni sztuce.

W klassie téj piérwszéj rozpoczynają kopiować kontury głów i części ciała, daléj przedmioty z natury rysować mają ołówkiem, badając zasady cieniowania. Zaraz potém przechodzą do malowania téj saméj martwéj natury, a uczeń „nabędzie władzy wykonywania ręką, cokolwiek myśl jego utworzy i jéj podyktuje" (kar. 15).

W klassie drugiéj uczeń przechodzi do rysowania głów z antyków, rekomenduje do tego professor głowy Jowisza Otricoli i Aleksandra W., jako świeżo z całą dokładnością odlane staraniem jego na oryginałach w Rzymie; poczém przechodzi do malowania żywéj natury, głowy starca brodatego, w śród czego professor ma sposobność mówienia o duszy malującéj się w twarzy człowieka. Wykład anatomii dopełni wiedzy uczniów, a zakończy rysowanie żywego człowieka w nagiéj postaci. Wyszedłszy z téj klassy, zdaniem autora „portrecistą staje się uczeń."

W ostatniéj klassie uczniowie przez użycie tego portretu głów i całych figur, dochodzą do prób własnych kompozycyj a dopełniają wiedzy wykłady o poezyi i historyi sztuki.

W projekcie widać reprezentanta romantyzmu, ale sam projekt jest znów więcéj programem nauki, niż określeniem, coby należało robić, ażeby w szkole zaprowadzić porządek nauczania, rozdział pracy między professorów i porządny kierunek studyów.

Z uwag professorskich nie korzystał też już więcéj Aloizy Estreicher, przeprowadziwszy reformę o tyle, iż zarząd szkoły czyli dyrekcyą utworzył właściwszą, przeznaczając jednego z professorów wydziału filozoficznego na stałego dyrektora szkoły, usunął się. Statut urządzający szkołę jest dziełem smutném, zszywaném z tych różnych programów; podpisał go komisarz rządowy przy instytutach naukowych, w chwili kiedy o wyniesieniu już szkoły z uniwersytetu zapadła stanowcza uchwała.

Statut z daty 17 października 1833 roku składa się z 20 artykułów: artykuł 1-y opiewa, że szkołę składają nauczyciele wyższego rysunku (Brodowski), malarstwa (Stattler), jako też nauczyciel niższego rysunku przy technice (sic). Artykuł 4-y daje plan nauk dla każdego z tych nauczycieli. Nauczyciel rysunku niższego [1]) mający obowiązek uczenia w Liceum św. Barbary, ma uczyć rysunku geometrycznego, rysunku sprzętów w kopiach i z natury tak w konturach jak i cieniowane, zarówno jak i części ciała ludzkiego i nauka o proporcyach ciała „wedle reguł powszechnie przez wszystkie akademie przyjętych, miar posągów greckich a przez wielu autorów opisanych."

Nauczyciel wyższego rysunku ma uczyć, jak rysować figury człowieka w częściach i całości, tak w konturach jak szczegółowém cieniowaniu z wyjaśnieniem „anatomiczném i za pomocą nauk perspektywy i optyki (sic)" to wszystko najprzód ze wzorów sztychowanych, potém z odlewów gipsowych, a w końcu z modelu żywego *płci męzkiéj*, a w zimie przy lampach. W końcu uczniowie rysować mają draperye na lalce ułożone.

Nauczyciel malarstwa przeprowadzi uczniów do malowania przez kopiowanie z obrazów, a w braku wzorów poda za wzór naturę martwą, tłumacząc uczniom zasady użycia farb olejnych. Potém składać z tego mają obrazki, co poprowadzi ich do malowania krajobrazów z natury. Następnie stanie za wzór żywa natura całkowitego człowieka lub części, co „ma nauczyć portretowania." Zamknie się naukę obrazem z dwóch osób złożonym i poda drogę do kompozycyi. W ciągu roku wyłoży professor zasady anatomii, perspektywy, optyki; zarówno jak wiadomości o chemicznym składzie farb.

Sesye professorskie, miały się wedle statutu tego odbywać co miesiąc a uczniowie pracować codziennie od 8 do 12 godziny; obowiązkiem asystenta było utrzymywać spokój między uczniami i czuwać nad całością wzorów.

Statut przepisuje w końcu skład sądu konkursowego o nagrodę lub stopień i imię artysty albo w końcu o posadę professora w szkole. Do sądu tego wchodzą professorowie rysunku wyższego, malarstwa, komisarz naukowy, dwaj uproszeni znawcy, dziekan wydziału filozoficznego i jeden z professorów tegoż.

Takiéj treści pismo przesyła Hübner owoczesny komisarz naukowy professorowi Brodowskiemu i Stattlerowi do zastosowania się.

[1]) Jan Nepomucen Bizański.

Rzeźbiarstwo nie doczekało się reorganizacyi, bo skasowaną właśnie wtedy była ta posada po zaszłéj śmierci professora Józefa Schmelzera w roku 1832.

Nie mogłem znaleźć w aktach uniwersyteckich daty powołania tego professora, któremu zdolności osobistych odmówić nie można. Znalazłem tylko ślad, że w r. 1829 pod datą 21 maja wzywano jego poprzednika do powrotu z Wiednia; zdaje się przeto że Wiedeńczyk Józef Schmelzer był początkowo zastępcą Riedlingera.

Kierunek nauczania Schmelzera nie był odmiennym od kolegów swoich, kopiowano i odlewano z gipsu, biust był ostatnim wyrazem nauki. Lauvasson, Wawrzecki, Galli młodszy, który jakiś czas zastępował professora i dzisiejszy professor rzeźbiarstwa p. Henryk Kossowski byli uczniami jego.

Sławnym w dziejach szkoły jest konkurs na opróżnioną posadę professora, należy to jednak do tych zaściankowych anegdot, które w poważnéj pracy nie wspominają się. Antoni Schimser ze szkoły wiedeńskiéj i Tatarkiewicz ubiegali się o palmę zwycięzką, a gdy ostatniego uznał sąd, senat skasował posadę i obu pogodził,

Tak stały rzeczy, gdy w roku 1833 zjechała do Krakowa komissya od trzech opiekuńczych dworów, delegowana do reorganizacyi Rzeczypospolitéj, a głównie jéj instytucyi naukowych. Nieuszły bacznego oka komissyi niesnaski w gronie professorów sztuk pięknych, i bądź że chciała uniwersytet od nich uwolnić lub też stosowniejsze zdaniem swém wynaleźć pomieszczenie, postanowiła znieść szkołę przy uniwersytecie, a professorów jéj przenieść do zamierzonego dopiero instytutu technicznego. Reskrypt komissyi reorganizacyjnéj z d. 1 września 1833 r. D. G. S. między innemi opiewa: „oprócz nauczyciela rysunku w szkole techniczéj i w Liceum ustanowioną być ma osobna szkoła malarska i wyższego rysunku (sic) z dwoma professorami. Nauczyciele szkoły malarstwa i wyższego rysunku obowiązani są uczyć co tydzień godzin 12 bezpłatnie a każdemu służyć będzie wolny przystęp do tego instytutu... podpisano Pfliegel, Forstenberg, Tęgoborski.

Nie jasne pojęcie o zakładach techniczych, tém więcéj o zakładzie który nieistniał jeszcze w Krakowie, mogło podać tak zgubny zamiar; jeżeli bowiem jak wykazaliśmy powyżéj, szkoła sztuk pięknych nie znajdowała w uniwersytecie odpowiedniego miejsca, tém mniéj stosownem być mogło tworzenie jéj w instytucie, tak odrębne mającym stanowisko, a niemal wprost przeciwne sztukom pięknym. Rektor uniwersytetu reprezentował też tak wysoką władzę, iż rzeczywisty miłośnik sztuki na tém stanowisku mógł wykołatać nieraz opiekę szkole, opieka ta skończyćby się musiała, gdy na naczelników szkoły dyrektor niższéj instutucyi był przeznaczonym. Nastąpiło też to w zupełności we dwa lata późniéj w r. 1835.

Jakkolwiek reskryptem owym zamiar rektora Aloizego Estreichera został sparalizowany, niemniéj jednak uniwersytet zajmował się szkołą i nie spieszył się z jéj wygnaniem. Snać sztuki piękne nabywały w Krakowie prawa obywatelstwa, sejm daje fundusz professorowi

rysunku w giminazyum Janowi Głowackiemu dla kształcenia się zagranicą w malarstwie, znany artysta a dziś wysłużony pełen sławy professor warszawskiéj szkoły sztuk pięknych Rafał Hadziewicz osiada w Krakowie wracając z Paryża, a Krakowianin Piotr Michałowski świeci sławą rysownika po za domem. Uniwersytet zarządza też w r. 1834 konkurs na obsadzenie posady professora malarstwa, którą prof. Stattler dotąd zastępczo zajmował.

Zadanie konkursowe stanowiło wówczas wykazanie się świadectwami i odbycie próby artystycznéj wprawy i bogactwa fantazyi. Trzej ubiegający się kandydaci p.: Stattler, Hadziewicz i Bizański mieli odmalować w 6 godzinach pół figury nagiego człowieka z natury i zrobić szkice kompozycyjną. Konkurs ten w swoim czasie wywołał wiele hałasu, jak twierdzą, zdanie delegowanych do sądu przechylało się na stronę Hadziewicza, rzecz cała przenieść się miała następnie do senatu, a tam uznano professorem Wojciecha Stattlera. Nie wchodząc, o ile owe mniemania słusznemi są lub nie, to pewno że posada ta należała się właśnie autorowi projektu reorganizacyi szkoły, o którym wyżéj pisaliśmy; on jeden mógł pokierować młodzieżą, wychować ją w kierunku rzeczywistego artyzmu. Prof. Hadziewicz przyniósł z sobą wszelkie warunki malarstwa historycznego francuzkiego co do techniki, pędzla koloryt świetny, płynne malowanie, pełne efektu; były to zawczesne doskonałości: przeznaczeniem sztuki w Krakowie było dobijać się wprawdzie tych zasług ale przeszedłszy przez trudy. Tę drogę trudów pracy własnéj narodowéj na polu sztuki stworzył niezawodnie prof. Stattler, a swoim systemem napozór suchym i nudnym przeprowadził odrodzenie sztuki krakowskiéj. Oto dlaczego nieubliżając wysokiemu talentowi prof. Hadziewicza, uważam wybór prof. Stattlera na nauczyciela malarstwa, jako ręką Opatrzności nad szkołą polską kierowany. Z Hadziewiczem na czele szkoła krakowska, może więcéj wydałaby artystów przed rokiem 1840, ale czy jéj owoce byłyby tak dojrzałe, bałbym się twierdzić stanowczo; to jednak pewno, że on jeden mógł przeflancować malarstwo francuzkie na ziemię naszą. Sztuka nie rodzi się formą doskonałą ale naprzód świeci myślą, okrytą w niedołężną szatę; myśl plastyczna dojrzewa, gdy liście formy dopiero się rozwijają: biada gdy kwiat wyrośnie, a woń jeszcze nie spotężniała, wtedy sztuka jest igraszką pędzla lub dłuta.

Nominacya rzeczywistego professora malarstwa w osobie Stattlera, nie zmieniła zresztą w niczém stanu wewnętrznego szkoły, minęły czasy w których dobra wola mogła wyzyskiwać dla szkoły wyższą opiekę; czasy to były panowania kommisarzy przy instytutach naukowych, owego ministeryum oświecenia, które nie rade podwładnym dozwalało głosu, choćby doradczego. To pewna iż w gronie uczniów nastąpił rozbrat, obozy dwa zwolenników professorów Stattlera i Brodowskiego dały się widzieć i odróżnić, pierwsi i drudzy spoglądali na siebie z zaciętością godną lepszéj sprawy. Rzemiosło jednak które dawało chleb, u jednych, a wymarzony ale nieurzeczywistniony artyzm

drugich, nie mogły zadowolnić wymagań rozbudzonéj poezyą romantyczną imaginacyi społeczeństwa. Czasy to były wielkich poetów naszych.

Przeszkody z jakiemi spotkał się professor Stattler u wstępu do szkoły, zwiększyć się jeszcze miały przeniesieniem szkoły a raczéj dwóch już jéj tylko professorów do tak nazwanéj techniki. Postawienia nauki sztuk pięknych pod kierunek dyrektora téj ostatniéj, zlanie professorów niegdyś uniwersyteckich z gronem które w końcu miało na celu kształcenie realne nie dosyć jeszcze jasno określone, przeszkody te musiało wywołać. Ale taka była wola komissyi reorganizacyjnéj, więc dłużéj zostawać szkoła sztuk pięknych w uniwersytecie nie mogła. Przeniesienie to nastąpiło r. 1835, a zaznaczyło się ubytkiem liczby uczniów, do czego przyczyniły się również okoliczności polityczne powszechnie znane. Prof. Stattler stracił wtedy kilku z takich, którzy bliżéj sercem ku temu co wzniosłe zapowiadali godnych przedstawicieli usiłowań jego. Dość wspomnieć tu Felicyana Łobeskiego autora obrazu „Jeremiasza w jarzmie“ znanego z litografii, który umarł we Lwowie około 1855 r. pozostawiwszy piękne prace literackie na polu sztuki.

Jeżeli skromném było pomieszczenie szkoły sztuk pięknych w gmachu przy ulicy Grodzkiéj, własnym, to w technice było stokroć smutniejszém. W trzech salkach na drugiém piętrze w gmachu na Gołębiéj ulicy, niegdyś koszarach, gnieździć się musieli ze zbiorami szkoły professorowie rysunku i malarstwa. Scisk i hałas nieodłączny od szkoły wydziałowéj rzemieślniczéj, która obok kursów właściwych techniki w tymże gmachu się mieściła, nie odpowiadał w zupełności potrzebie sztuki, do tego sale źle oświecone, wąskie, niskie a puste nie mogły usposabiać do pracy. Smutniejszém jeszcze było zasiadanie professorów sztuki na sessyach w sprawach instytutu dyscyplinarnych, bo zgromadzenie professorów tych nie istniało więcéj dla siebie; złe nie mogło iść daléj. Kommisarz rządowy Hübner zażądał też pod d. 27 maja 1835 roku od dyrektora techniki Kosickiego, projektu do urządzenia szkoły i wskazał statut rady wielkiéj z r. 1833.

Niemożna wiele żądać od ludzi, którym wszystko dane prócz wzniosłości ducha miłości do sztuki; mogą oni nie na jedném polu być czynni pożytecznie, krzątać się gorliwie, ale do organizatorów instytucyi sztuki nie dorośli. W ciasném kółku rzemieślniczych wyobrażeń o sztuce pozostawieni, nie umieją wznieść się po nad przepisy porządku. Tak było odnośnie do pierwszego dyrektora techniki, był nim Ludwik Kosicki, niegdyś professor Liceum św. Barbary w Krakowie, znany filolog. Niemając jasnego pojęcia o technice, gromadził on pod swą władzę wszystko co się dało: drukarnią, litografią, warsztaty stolarski i tokarski, muzykę, szkołę wydziałową i handlową.

Wydać się to dziś może śmiesznem ale tak było; malarstwo było u Kosickiego równie dobrém jak inne rękodzieła, dla niego też łatwą była odpowiedź na żądanie komissarza rządowego. Ludzie tego rodzaju wyszukują sobie doradców swéj miary, którzy przy téj sposo-

bności radzą dla siebie; usłużny doradca podyktował projekt urządzenia wewnętrznego szkoły w ten sposób, iż wilk był syty i owca cała jak to mówią. Statut ten najlepiéj świadczy o ciasném pojęciu nauki sztuki u wielu artystów tego czasu. Wedle projektu tego przygotowanie pierwsze do nauki sztuki odbywa się w szkole wydziałowéj i kursach dwu pierwszych techniki. Wystarczyć ma na to professor rysunku technicznego, który przez to staje się zarazem professorem szkoły sztuk pięknych. Wedle projektu na kursie I i II szkoły technicznéj ma być wykładana teorya perspektywy, anatomii artystycznéj, teorya światłocieniu i proporcyi ciała ludzkiego; było to zdaniem projektującego dostateczném dla tych, którzyby mając chęć oddania się sztuce o technikę zawadzili, ależ wszyscy uczniowie techniki artystami być nie mieli! Wprawdzie projekt przypuszcza i z innych zakładów uczniów do malarstwa lub rysunku wyższego, byleby skończyli 4-ą klassę Licealną lub 1-y kurs techniki, ale to z łaski tylko.

Professorowi malarstwa przydzielono w tym projekcie, który w dalszym ciągu jest powtórzeniem statutu z r. 1833, wykłady historyi sztuki, i historyi kostiumów, sprzętów, użycia broni i obyczai (sic).

Do sądu konkursowego o posadę należeć mają: professor architektury w technice, professor rysunku w gimnazyum św. Anny i trzej professorowie niższego i wyższego rysunku malarstwa w szkole sztuk pięknych, pod przewodnictwem dyrektora techniki.

Cóż smutniejszego jak zmuszanie ucznia do szukania początków nauki sztuki w szkole technicznéj, a jednak tak być miało; projekt ów zatwierdzonym został: inna rzecz czy się przyjąć mógł i jakiekolwiek wydać owoce. Pisać o kierunku w wychowaniu pokolenia artystów w téj epoce szkoły, kiedy żywioły ją składające w żaden sposób zlać się z sobą nie mogły, jest rzeczą niemożebną. Szkoła jako instytucya wspólnych usiłowań ku jednemu celowi przestała istnieć już dawno; wolno téż nam tylko wskazać jak ten lub ów professor zajmował uczniów swoich, zamknięty w salach przeznaczonych mu do nauki.

Katedry niższego i wyższego rysunku nie miały i nie mogły mieć przeznaczenia dostarczania przygotowanych uczniów professorowi malarstwa; system nauczania rysunku był tak tutaj na przeszkodzie jak zupełna nieświadomość nauczających o celu nauki. Rozdanie wzorów litografowanych uczniom bez wyboru, szerokie teorye o pomiarkach czyli proporcyach głowy w sześciu położeniach, trochę ważnych szczególniéj tajemnic użycia krédki i wiszora: wszystko to więcéj ogłupiało jak wznosiło umysł przygotowując do zawodu artystycznego. A jednak takich artystów z sali rysunkowéj Instytutu technicznego wychodzić musiało wielu, skoro dyrektor techniki zarządza w roku 1840 wystawę rękodzielniczą i sztuki i rozdaje nagrody, a nawet patenta na artystów.

Zdolność do kopjowania rysunków nie jest zawsze oznaką talentu artystycznego, jeżeli celem artyzmu jest tworzenie obrazów, niemoże téż i najsumienniejsze kopjowanie zaprowadzić daléj jak do rękodzieła. Jeżeli dotego uczeń ślęczy dnie całe nad kładzeniem kropek

i krések a zapomina nawet o przedmiocie, który ma przed oczyma i jego ogólnym rysunku, możnaż nazwać, że uczy się artystycznego pisma? badawczość będąca podstawą sztuki wyrabiaż się w uczniu tą drogą idącym? Lata téż mijają przy takiéj nauce, co w końcu prowadzi najdaléj do zakładu litograficznego. Dyrektor Kosicki stał przy tym sposobie nauczania rysunku; professora Stattlera pojęć rozumieć nie mógł, jak nie rozumiał czem sztuka i dokąd rzeczywista jéj nauka prowadzić miała. Chętnie téż znajdowały się fundusze na zakupno lichych wzorów głów Julliena, a brakło pieniędzy na żywe modele dla sali professora Stattlera.

Najmniéj dawała oznak życia sala professora Brodowskiego, brak uczniów stał temu na przeszkodzie, a więcéj jeszcze ociężałość, która z wiekiem przyszła u niego. Kopjowano po staremu obrazy galeryę szkolne stanowiące, lub rysunki owe aktów akademickich wiedeńskich. Z papierów w archiwum Uniwersytetu przechowanych widać, że miał zamiar Brodowski urządzić rysunek z antyków przy oświeceniu wieczorném, podobno i to nawet przyszło do skutku.

Szkoła Brodowskiego gasła powoli, w ostatnich latach swoich liczba uczniów ograniczyła się do pięciu; najcelniejszy między niemi Siffert zastępował professora słabego, który téż w roku 1838 przeniesionym zostaje na stan spoczynku, a posada zwinięta, jako bezpotrzebna w obec usiłowań professora rysunków w technice. Jakoż professor techniki Bizański objął sale antyków i tam kilku ze swych umieścił uczniów. Brodowski należał do ludzi obdarzonych wrodzonemi zdolnościami, ale zanadto mało posiadał wyższego uczucia i wykształcenia artystycznego, żeby mógł być kierownikiem młodzieży. Bezmyślna wprawa w śmiały rysunek, przy pewnéj pogardzie prawdy natury, obojętność na piękność linii i pewien niepokój duszy, były powodem rzucania się jego w różne malarstwa rodzaje, w żadnym z nich nie potrafił wyrobić sobie jakiegokolwiek znaczenia.

Obraz Chrystusa oddającego klucze św. Piotrowi w kościele krakowskim, św. Piotra którym zastąpił podobnéj treści obraz Czechowicza, Herkules zabijający hydrę i kilka portretów w zbiorach szkoły sztuk pięknych, świadczą że obcym był zupełnie ruchowi sztuki europejskiéj swego czasu. Zasługą jego na dziś jest to, że umiał skrzętnie pozbierać rysunki z przeznaczonych na zburzenie zabytków budownictwa dawnego Krakowa, że patrzył na życie ludu i dawał słabe obrazy przeszłości. Miano go za dzielnego rysownika swego czasu, dziś możemy tylko twierdzić, że był śmiałym a uczył lekkomyślności w sztuce.

(Dokończenie nastąpi).

PRZYCZYNEK

DO STUDYÓW NAD PODANIEM O TWARDOWSKIM.

NAPISAŁ

Ernest Swieżawski.

Zajmując się zbadaniem i określeniem wzajemnego wpływu i zobopólnego przetwarzania się wyobrażeń pogańskich i chrześciańskich, w tak zwanéj literaturze kopalnéj czyli ludowéj, przyszedłem z kolei rzeczy do ustalenia bytu, zakresu i formy literackiéj, (że tak powiem), endosmozy między legendami o N. Maryi Pannie, a podaniami lechicko-pogańskiémi o Marzannie. W ciągu téj pracy znalazłem takie wskazówki szerzenia się czci Matki Boskiéj w XII-tém stóleciu, iż łatwy nastręczał się domysł, że dopiéro w wspomnianém stóleciu powyższa cześć nad Wisłą i Wartą na dobre, nietyle może nawet rozprzestrzeniła się, sił nabrała, ile rozpoczęła.

Wprawdzie pieśń „Bogarodzica" ma przyznawany byt wcześniejszy; wszelako u kronikarza z pierwszéj połowy XII wieku (Gallus, ks. II, rozd. 28) znajdujemy dowód, że dopiéro w wyprawie na Kołobrzeg Bolesława III, poraz pierwszy odprawiono *Officium sanctae Mariae* i odtąd nadal tego nabożeństwa niezaniechano.

Do tego świadectwa przybyły mi z kroniki Wincentego (ed. Bielowski II, s. 406, 414) szczegóły, dowodzące co najmniéj wielkiego uwielbienia w XII wieku dla N. Maryi Panny. Tak np. przy wzmiance o zapadnięciu się w ściek w Erfurcie, dowódzców wyprawy niemieckiéj w r. 1185, kronikarz zauważa, iż to się stało „za tajemniczém bóstwa zrządzeniem." Poniższy zwrot do Kazimierza II, wyjaśnia kogo tém bóstwem być rozumié: „Zważ Kazimierzu, coś winien *Stwórcy i Matce Jego*, którym nietyle obronić cię, ile *rozsławić* tém cudem się podobało." Możnaby nawet wnosić z tego „rozpromienienia" (irradiare) chwały Kazimierza przez cud ów, że Bogarodzica wywdzięczała się jakoby tym sposobem za cześć sobie świadczoną w rodzie Krzywoustego. Ród ten słynął niejako, promieniał chwałą czcicieli Maryi, Matki Bożéj.

Tenże kronikarz daléj nam donosi, że gdy Włodzimierz Jarosławicz dopuścił się gwałtu na kobiétach i dzieciach w Haliczu „w dzień Wniebowzięcia Matki Boskiéj"... „*z téjto przyczyny* ów sprawca zbrodni został wygnany przez Kazimierza." Tu znowu ubliżenie N. Maryi Pannie ściąga kaźń z ręki potomka pierwszego Jéj czciciela w Polsce.

Zauważmy też, że sam Krzywousty założył kościół pod wezwaniem Panny Maryi w Sieciechowie (Monumenta Bielow. II, s. 518); jego wdowa wielkie czyni ofiary Maryi Dziewicy i św. Janowi (ibid. I, XXVI, n. 1). Aleksander biskup płocki pod temże wezwaniem funduje świątynię w Płocku (ibid. II, s. 335) i w Czerwińsku w r. 1124 (Lelewel, Pol. W. Śred. II, s. 460, n. 36), Mieszko III w r. 1145 w Lędzie (Cod. Rzyszcz. et Muczk. I, n. 1), Dunin przyjaciel Krzywoustego na Szlązku dwa: jeden na Górce sobotniéj w r. 1108, drugi we Wrocławiu w r. 1139 (Mosbach Piotr syn Włodzimierza, str. 3, 5); trzeci podobno on także w Czerwińsku, istniejący już w r. 1155 (Cod. Rzyszcz. I, 8); czwarty w Sulejowie, uposażony w r. 1150 i 1176 [1]) przez Kazimierza II (Cod. Rzyszcz. I, 57, 11); piąty w Strzelnie, którego tablica konsekracyjna ma wizerunek ś. Anny, przynajmniéj Matki, jeżeli nie saméj Wielbionéj Dziewicy Maryi, i nadpis: „Ciebie jakoś życzyła tym darem, Piotr czci" [2]). Daléj probostwa w Mstowie i pod Kaliszem ś. Wawrzeńca miał ten Piotr Hugo, dwuimienny syn Włodzimierza, Dunin założyć i zbudować, dopełniając cyfry siedmiu klasztorów, które na pokutę miał wznieść i uposażyć (Biel. l. s. l. II,, 520).

Zważywszy, że z siedmiu tych fundacyj, większość odnosi się do wsławienia imienia Matki Boskiéj, przekonywamy się, że i Dunin do téj saméj patronki się zwracał, co dostojny jego przyjaciel i krewny. Okoliczność ta zwiększając prawdopodobieństwo naszéj hypotezy, że szczególniéj w XII wieku, Bogarodzica zaczęła przychodzić do wysokiego uznania w Polsce, otwiera zarazem drogę do wykrycia czasu powstania opowieści o Twardowskim, przez analizę składowych jéj części.

Ta analiza znajduje punkt wyjścia w fakcie zauważonym przez W. A. Maciejowskiego. Mówi on w swém „Piśmiennictwie polskiém" (II, 233), że lud *anachronicznie* opowiadał, jakoby Godzinki do Matki Boskiéj, Kantyczki, które na cześć Maryi i Jezusa ułożył, wybawiły Twardowskiego od śmierci, aczkolwiek już na kilka wieków przedtém znano te pieśni. (W istocie jak to z Gallusa podaliśmy, już Bolesław Krzywousty na wyprawie pod Kołobrzegiem „postanowił" *Officium S. Mariae*). Badacz wspomniany uważał, że lud pomieszał dwie bardzo odległe od siebie epoki. Pomimo jednak że zacytował odnośny ustęp z Gallusa, przecie sądził że raczéj przygoda Kacpra Twardowskiego opisana przezeń w 1628 r. p. t.: „Pochodnia miłości bożéj z pięciu strzał ognistych" dała powód ludowi do przypisania jego imiennikowi autorstwa godzinek [3]). Jakkolwiek więc M. anachronizm przypuszczał, wszelako za źródło jego niepoczytał wieści z XII, lecz z XVII wieku.

Opowiada mianowicie szanowny autor, że Kacper Twardowski w swym poemacie, daje obraz ponuréj nocy: „wtém poeta spostrzega czarta, i słyszy, jak tenże wzywa swych towarzyszów, aby wypadłszy

[1]) Właściwie 1186 r. por. Przew. Nauk. Lit., 1875 r., III, 579, n. 3.
[2]) Łepkowski, O zabytkach Kruszwicy i t. d. s. 182—184.
[3]) Piśmien. pol. IV, 635.

z piekielnych jaskiń, kusili rymopisa i ku upadkowi go przywiedli. Wnet wybiegają okropne poczwary, by uczynić wezwaniu zadosyć; lecz poeta wezwał pomocy N. Panny i Aniołów śś., a czarci ustąpili. Ten szczegół rzuca światło na pogadankę ludu o Twardowskim czarnoksiężniku, (*którego z Kacprem pomieszano*), kuszonym i uwiedzionym od czarta, a za przyczynieniem się Bogarodzicy, na któréj cześć składał wiersze, uwolnionym z jego mocy."

Przyznając, że szanownemu badaczowi zawdzięczamy pomysł śledzenia składu podania o Twardowskim, z pomocą analogii faktów historycznych, i że jego cytaty z Gallusa był punktem wyjścia dla całego dalszego studyum o Twardowskim, przecie zaraz musimy zaoponować przeciw jego teoryi o związku przygód dwu tych Twardowskich. Właśnie rozpoczęcie nabożeństwa do Matki Boskiéj przez Krzywoustego Bolesława, uwielbienie N. Panny przez Dunina widoczne w obiorze Jéj imienia na nazwy swych fundacyj, a łączące się z jego pokutą za niehistoryczny zabór skarbów duńskich, i wskazówki kroniki Wincentego o rozgłośności czci Téjże w XII w., nakazują i podaniowego twórcę owego *Officium S. Mariae*, cofnąć w czasy historycznego ich krzewiciela w Polsce. Raz tak odniósłszy Twardowskiego w czasy Krzywoustego i Dunina, znajdziemy mnóstwo faktów historyograficznych, które dadzą się może objaśnić hypotezą, że w chwili gdy spisywano dzieje Dunina, już istniało podanie o Twardowskim, i odrębne te dwa cykle wzajem się plątały, przerabiały i wynaturzały, pod wpływem imienia i roli Maryi. Dane u Maciejowskiego téj hipotezie nie przeczą.

Powieść Kacpra Twardowskiego z r. 1628 o porwaniu go do piekła i uratowaniu się wezwaniem N. Maryi Panny, istotnie właściwą jest podaniu o Twardowskim. Nieidzie jednak zatém, by dwa te epizody z życia czarodzieja przytrafiły się dopiéro poecie; owszem, rozważając opisy przygód Dunina w kronice Wincentego, w tak zwanéj Bogufałowéj i w innych, znajdujemy ślady tych zdarzeń dawniejsze, i co najwyżéj, możemy twierdzić, że udział Matki Boskiéj w ratowaniu czarodzieja z piekieł, był znany w XII i w XVII wieku.

Inaczéj zresztą ten sam autor rozumował w „Piśmiennictwie polskiém" a inaczéj w „Polsce aż do pierwszéj połowy XVII w. i t. d." porównywając ustępy podania Twardowskiego z wypadkami dziejowemi. Znalazłszy wprawdzie [1]) w dziele Albrychta Stanisława Radziwiłła p. t. „Discurs nabożny z kilku słów wzięty o wysławieniu N. P. Bogarodzicy Maryi w Wilnie 1635" (roz. 5 § 3), oraz w Górnickiego „Dworzaninie" 1566 r. o odmłodzeniu się Hiszpana jakiegoś przez pocięcie, w te lata dopiéro odnosi początek wieści o takiémże się odmłodzeniu czarodzieja. Bo twierdzi, że gdy te gadki o odmłodzeniu w 1566 i 1635 gruchnęły, lud je „zastósował" zaraz do Twardowskiego. Twierdzi jednak następnie ten sam badacz (Piśm. pol. I, 131—2), że w r. 1623 Possel Joachim w swém dziele Compendium, spisał pogadanki biegające o Twardowskim, jak podszedł w Bydgoszczy szlachcica marnotrawcę,

[1]) Piśm. pol. I, 257—258.

i Zygmuntowi Augustowi pokazał cień Barbary (z lat 1550 i 1570). Ustęp o tłuczeniu garnków przez rzekomego ucznia Twardowskiego, podany w dziele Górnickiego (ed. Turow. 162), a dotyczący niby prawdziwego żartu z czasów Zygmunta Starego (1506—1548), p. Maciejowski wraz z wiadomością, że w XV wieku uczono w Krakowie czarnoksięztwa, uważa za dowód, iż do XV wieku tylko da się doprowadzić istnienie Twardowskiego. Tak mniemał w Piśmiennictwie.

W „Polsce", dziewięciu laty wcześniejszéj, uważał (t. IV. s. 381—382) że przygoda z garnkami była znaną historycznie w wieku XIV, na Szlązku, w XVI wieku przypisywano ją Sowizdrzałowi, i owemu uczniowi Twardowskiego. Zobaczymy jednak, że to jest fakt dawniejszy. Ratowanie się Godzinkami, które wyszły najprzód w Wenecyi 1474 r. (IV, 404—405) odnosi go już do końca XV lub początku XVI wieku, nie zaś do czasów Kacpra Twardowskiego. Wzmianki zaś w podaniu o Twardowskim czynione o różnych miejscowościach, w których czarodziéj ten działał, są zdaniem autora wskazówką czasu, kiedy te miejscowości z różnych przyczyn stawszy się głośnemi, późniéj wplecione zostały w klechdę o czarodzieju (str. 401). Dlatego więc miano mówić, że Twardowski dał byt kopalniom w Olkuszu, rozkazał odwrócić kamień przy Pieskowéj skale, przenieść inny pod Czerwińskiem, wykopać staw w Knyszynie, bo każdy fakt głośniejszy, bez względu na istotnego jego sprawcę, kłaść lud przywykł na karb ulubieńca swego Twardowskiego. Wywód ten błędnym pono nie jest. Ale w takim razie, piérwsza wzmianka Olkusza, jak mi dotąd wiadomo, pochodzi nie z czasów Elżbiety Łokietkówny, ale z 1257 r. (Cod. Dipl. III, Bartosz. 75); do tego więc czasu wypada odnieść i istnienie podań wtrącających Olkusz w sferę działań czarodzieja. O ile więc trzy miejscowości pozostałe, głośne dopiéro wypadkami XV i XVI wieku, opóźniają byt do tego czasu Twardowskiego, o tyle wzmianka Olkusza w życiu jego, posuwa dawność czarodzieja tego do połowy XIII wieku. Obok tego zachodzi pytanie, czy Czerwińsk tylko dla grobu Konrada Ziemowitowicza (jak chce pan Maciejowski) był głośnym. W cytowanym tu już z Lelewela rękopisie witowskim (gesta cronicalia) mamy wzmiankę o budowie kościoła w Czerwińsku 1124 r., i nadto mamy potwierdzenie posiadłości klasztoru tamtejszego w 1155 r. przez papieża Adryana IV. Z téj przeto epoki może tém łacniéj pochodzić głośność Czerwińska, ile że upuszczenie kamienia przez czarta może symbolizować walkę nowéj wiary z dawną czcią pogańską, uważaną za dzieło i cześć czarta. Tym sposobem sięgamy z Twardowskim, autorem Godzinek, już w wiek XII, w czasy blizkie chwili, kiedy Krzywousty rzeczywiście zaczynał je śpiewać.

Pan Maciejowski jest jeszcze śmielszy.

Niebawem spostrzega (Polska IV 393—394), że Rusini przygody swego bohatéra Aleszy Popowicza z Tugarynem czarnoksiężnikiem wydarzone za Włodzimierza W. zastosowali do Twardowskiego [1]) tak, że

[1]) Sacharow: Pieśni ruskaho naroda V, 91, Ruskija skazki 1820, I, 169.

Twardowski z wieku XV przechodzi w X i IX stólecie. Gdy zaś pan Maciejowski twierdzi, że „do rzędu ściśle narodowo-polskich baśni należą same tylko powiastki o stosunkach czarnoksiężnika z szatanem" (IV 403), takowe zaś historycznie wyśledzić się dają już w wieku VI [1]) (Piśm. Pol. I, 232), więc do tego czasu należałoby odnieść samego Twardowskiego. Wniosek ten konieczny jest, wedle „Polski," choć przeczy mu uwaga „Piśmiennictwa," że „wszystko co się o Twardowskim nie da stwierdzić historycznie, i co się zda być utworem wyobraźni ludu, rodzime jest i na polskiéj powstało ziemi" (I, 233). W skutek tego „bogobojność, dobro powszechne, figlarność" stają się celem Twardowskiego, wedle sz. autora Piśmiennictwa i Polski.

Z tego obrazu badań W. A. Maciejowskiego, który najwięcéj dla podań o Twardowskim uczynił, łatwo może czytelnik wywnioskować, że teorya analizowania tych podań z pomocą dziejów musi się wspierać *implicite* na hipotezie istnienia pewnego cyklu podań o czarodzieju tym, *niezależnie* od historycznych analogii. Kronikarskie pojedyńcze wskazówki i klechda o Twardowskim spisana 1837 (Klechdy I, 182, 210) najprzód przez K. Wł. Wójcickiego, o ile tamtym podobne szczegóły posiada, *mogą* być istotnie z sobą w stosunku genetycznym. *Mogły* się przyczepić dowolnie do imienia Twardowskiego, atoli każdy przyzna, że to przyczepianie się, jako dzieło jednostek myślących i czujących, musiało się odbywać według pewnych zasad logicznych i psychicznych. Twory literatury ludowéj nie są potworem bezkształtnym, bezmyślnym; nie są igraszką gorączkowéj wyobraźni.

Powiedziałem to już w wyjątku z mych rozpraw mytograficznych, p. t.: „Parę słów o Krakowiakach" (Pamiętnik Kielecki, 1871); dziś to z jeszcze większą pewnością i wiarą powtarzam, ciągle znajdując dowody w mych poszukiwaniach, że to *w nas*, jak słusznie uważali Czarnoski i K. Kozłowski, leży wina niezrozumienia tych tajemnic. *My-śmy* zgubili klucz, u ludu bardzo może długo przechodzący tradycyą, z pokolenia w pokolenie; odnajdujemy go przez naukę, która w tych *disjecta membra poetae* szuka *a priori* nieco, śladów—myśli, zasady.

Podobieństwa zatém wszelkie, wykryte przez pana Maciejowskiego w kronikach i w klechdzie o Twardowskim, właśnie opierają się na fakcie *obecnie* o tém czynionych wniosków, kombinacyj, upodobnień, rozróżnień..... Z pewnością *twórcy* téj klechdy tak samo postępowali jak pan Maciejowski. Żaden z szczegółów kronikarskich nie przywarł do Twardowskiego bez jakiéjś przyczyny; my ich nie znamy, może ich nie poznamy nawet, ale tylko przypuszczając, że ludzie myślący stworzyli klechdę o Twardowskim, że więc do istniejących już danych lub wywnioskowanych mniéj więcéj ściśle, dodawano podobizny historyczne, możemy poznać téj klechdy genezę, rozwój i początek. Pan Maciejowski kolejno cofając się za świadectwami analogij kronikarskich,

[1]) Mówiąc nawiasem, dzieło Hrozwity z X niby wieku, mówiące o tém, jest elukubracyą pono Celtesa Konrada.

doszedł do wieku IX po Chrystusie. Obłuskując niejako ziarno podania o Twardowskim z późniejszych jego naleciałości, jądra czystego nie dobył, bo szukając tylko podobizn z dziejów po łacinie zapisanych, nie dotknął jeszcze podobizn literatury ludowéj, bądź teraz, bądź dawniéj na papier przeniesionych. W téj zaś literaturze ludowéj ukryte są wskazówki mytycznego, nie historycznego, Twardowskiego, t. j. takiego, jakiego właśnie tu poszukujemy. Pomijając tę literaturę, zakryto sobie jedyną drogę wykrycia, czemu np. powieści o odmłodzonym Hiszpanie w w. XVI i XVII mogły się przyczepić do Twardowskiego? czemu tłuczenie garnków znane w XIV i XV wieku jako niezależny od czarodzieja wypadek, z nim się skojarzyło w klechdzie XVIII wieku? czemu przygoda Kacpra Twardowskiego z XVII wieku tak żywo tęż klechdę przypomina? i t. d.

Z temi podobiznami przyjdzie bardzo daleko sięgnąć.

Zaczynamy od punktu, w którym spotykają się podania o Dunine z podaniami o Twardowskim, to jest mianowicie zbadamy, jaką rolę w obu tych podaniach odegrywa cześć Matki Boskiéj,—w XII wieku, jak świadczy Gallus i Wincenty, szczególniéj rozszerzająca się. Właśnie w tym punkcie moje studya o wzajemnym wpływie wyobrażeń pogańskich i chrześciańskich w literaturze ludowéj przeszły do owych podań, jako nowego przykładu zamiany bożyszcza pogańskiego Marzanny w N. Maryą P.

Z tego téż względu, niniejszy ustęp o Twardowskim, jako wyjątek z większéj całości musi pominąć a raczéj zbyć tylko ogólnikami tezę, któréj za jeden z licznych dowodów służył. Stawiamy tylko jak najzwięźléj twierdzenie, że jeszcze za Długosza (*Liber beneficiorum* II, 462—463) było wiadomém, iż lud prosty, w piérwszej dobie wiary (*in primordio fidei*) Ś. Maryą zwał Ś. Marżą. Dodatek ów kronikarza o chwili, w któréj Maria brzmiała Marża, nasuwa domysł, że nietylko czysto-fonetyczne zjawisko tu zaszło. Długosz znający pogańskie bóstwo i matkę zbóż zwaną Marzanną i Dziewanną, owym dodatkiem *in primordio fidei* wskazał, że lud dlatego N. Maryą P. nazywał Ś. Marżą, że Bogarodzica (Mariana) zdawała mu się być ową dawną Marzaną. Marzana ta, topiona w środopoście, w niedzielę marzaną,—zwana morem, śmiercią, zimą,—a zarazem będąca źródłem roślinności, matką natury twórczéj,—łączy w sobie przymioty wody. Woda, morze, deszcz jest synonimem martwoty, zwłaszcza gdy zwrócimy uwagę na charakter niszczący morza, na przymiot dészczu zimowy (w strefie zwrotnikowéj), morzący życie wegetacyjne ubiegającego roku. Odwrotnie dészcz rozważany w wiośnie, morze żywiące żeglarza i pomorzan, budzą wyobrażenie płodności, twórczości w wodzie. Przez połączenie się téj Marzany z N. Maryą P. powstało zjawisko, jasne dla wszystkich etnopsychologów, że atrybuty piérwszéj stały się przymiotami drugiéj, a rola często bardzo niestosowna i ubliżająca Bogarodzicy,

jaką jéj każą odgrywać pieśni ludowe i podania, jest tylko spadkiem odziedziczonym przez bóstwo chrześcijańskie po pogańskiém.

Praca więc krytyczno-umiejętna, dążąca do oddzielenia dwu tak różnych żywiołów w typach naszéj czci chrześciańskiéj, ma nawet doniosłość nietylko literacką.

Tak zapatrując się na podaniową rolę P. Maryi, znajdziemy piérwsze wrota do zagadkowéj powieści o Duninie i Twardowskim. Dunin jest osobą historyczną katolikiem; z jego dziejami przeto może łączyć się N. Marya P. (czyli Ś. Marża). Twardowski jest mytem i ma do czynienia tylko z Marzaną, czyli Marżą. Tu zadziérguje się piérwszy węzeł między dziejami XII wieku, a mytem, który jako zjawisko atmosferyczno-kosmiczne, *wcielił się* przed wieki, i dopiéro w owym wieku spotkał się z podobizną swą historyczną.

Wyraz Marża, bez względu na istotne jego znaczenie, przedstawia niejakie podobieństwo do morza. Następnie, w pieśni jednéj serbskiéj P. Marya wydaje świętym klucze niebieskie, skwary letnie, pszenicę, wino, pastwiska i wody [1]). W Łużycach, koło Kottmarberg zjawia się Mara (kobieta w bieli) o północy, a gdzie stanie rosną trawy, kwiaty się rozwijają..... W Rosenthal zjawia się w tym samym charakterze P. Marya [2]), o któréj pieśń białoruska na Ś. Jan nuci: gdzie Marya się kąpała, trawa się rozściełała [3]). W Czechach na śmiertną to jest marzaną niedzielę, nucą pieśni, w których imiona Morzeny i Maryi wymieniają się, a zapytana Marya o klucze, odpowiada, że je oddała ŚŚ. Janowi i Jerzemu do nieba i raju. Ś. Jan otwiera zaś ziemię, by trawa rosła zielona, czerwona róża i fijołek modry [4]).

Na Ukrainie opowiadają, że piérwsza żona Adama była kwiatem, a gdy pojął drugą Ewę, owa piérwsza będąca kwiatem wciclonym, stała się N. Maryą P. [5]). W jednéj pieśni litewskiéj jest mowa o ziemi matce, kwiatów rodzicielce [6]).

Najwyraźniej przeto, w różnych stronach Ś. Marza jest ziemną matką, matką roślinności. Warunki w jakich się to odbywa uwydatnia owa studzienka lub topiel w jakiéj nurzają Marzanę, i zkąd sprowadzają nowe lato, maik czyli gaik. Woda ta sprowadza obudzenie się przyrody, wegetacyi; dészcz powołuje do życia matkę ziemię. To téż w dolnych Łużycach mówią (Sagenbuch I, 66, 68), że Murawa pojawia się gdy słońce świeci, a dészcz pada, co Podhalanie (Zeiszner str. 171 n. 195) wyrażają:

Deszczyku, oléj mnie!
N. Panno, osusz mnie!

---

[1]) Zmorski P. l. serbsk. I, 97. [2]) Haupt Sagenbuch der Lausitz 1862 I, 10, II, 56, 181. [3]) Baraszczewski Szlachcic zawalnia I, 10. [4]) Erben Prostonar. česke pisňe a říkadla 1862 str. 57. [5]) Rulikowski Op. Pow. Wasilkowskiego, str. 176—7. [6]) Kraszewski, Litwa I, 323, 326.

W pieśniach czeskich Marya pytana gdzie tak długo była, odpowiada, że w studni ręce myła, zameczek zamykała, listeczkiem odmykała. Wyraźnie więc ze studzienki dobywa skarby wiośniane, a nowa roślinność zjawia się w postaci darów wodnych, darów Moreny, morza.

Skoro tak się rzecz ma, zważmy następne szczegóły podane bądź przez Gallusa, bądź przez Wincentego, bądź tak zwanego Bogufałę i przez lud. Gallus opowiadając o wyprawie Krzywoustego, w czasie któréj rozpoczęto nie używane dotąd nabożeństwo do P. Maryi, czyli niejako stworzono dla Polaków Godzinki, czy tam Kantyczki, donosi także, że również po raz pierwszy ciż Polacy ujrzeli morze. Na widok morza utworzono pieśń, a w niéj dawnym wyprawom i zdobyczom lądowym przeciwstawiano przygody i łupy nadmorskie.

Ojcowie ścigali jelenie, kozły i dziki;
Ci łowią morskie potwory i skarby wodne. (*opes aequoreae*).

Zestawienie to jest ciekawe: Godzinki do Bogarodzicy tak spotykają się z darami wodnemi w jednym rozdziale Gallusa kroniki (II, 28), jak Marya z Marzaną w pieśniach ludowych. Ten sam stosunek znajdujemy w podaniu o Twardowskim. Wiemy doskonale, że gdy czuł się zgubionym, ułożył pieśń do Ś. Marży, a ta go uratowała. Nie dość na tym związku, którego znajdziemy poniżéj rzeczywistą przyczynę w historyi Dunina; Twardowski w właściwém świetle rozważony, łączy się bardzo ściśle z wodą. Podanie czyni go nietyle twórcą rudników srebra w Olkuszu, ile raczéj sprawcą ich zalania wodami rzeki Białki. Koło Wysokiego Mazowieckiego jest karczma we wsi Mystki Rzym, słynna porwaniem czarodzieja; płynie tam strumień, który z jego woli świeżo trysnął (Gazeta Polska 1870 r. N. 20). Na Podlasiu jego inicyatywie przypisują początek stawu czechowskiego, (Bibl. Warsz. 1867 III, 145), podobnie jak knyszyńskiego. Koło Nekli w powiecie szredzkim w W. K. Poznańskiém staje grobla z woli Twardowskiego, (ibid. 1864, I, 281), podobnie jak w Wiślicy, gdzie czarodzieja ksiądz zastępuje (Siemiński Podania i legendy N. 43). Pobyt nawet jego w żupach Bochni i Wieliczki, nie tyle z duchem stróżem skarbów wnętrza ziemi (jak chce W. A. Maciejowski. Polska IV, 389—390) ile z odwieczną, morską (?), wodną naturą tych kopalni soli, licować się zdaje.

Wiemy jeszcze jeden szczegół.

Wedle klechdy, Twardowski tłukł garnki żonie a u Górnickiego uczeń rzekomy Twardowskiego przekupkę do tego namawia: Sowizdrzał w Berlinie i Bolko Ziembicki († 1341) czynią to w sposób zrozumialszy. Kupują od mleczarek nabiał, każą go zlać w jedną kadź i potém gdy mleczarki kwapią się z garnkami rozebrać z kadzi mleczywo, w pośpiechu i tłoku, garnki się tłuką. Tu garnek zestawiony jest z mlekiem, tłuczenie piérwszych sprowadza rozlew drugiego, a według pojęć staro-indyjskich: dészcz to mleko krów niebieskich, i dlatego mówią u nas: gdy słońce świeci a dészcz leci, że czarownica masło ro-

bi, bo pamiętano, że dészcz to mleko niebieskie, z którego kiérznia użytkować może. Bicie przez dyabła żony, to jest czarownicy dészcz i grady sprowadzającéj (Kolberg, Kujawy, cz. I, 102), odpowiada biciu garnków żoninych przez czarodzieja.

Razem wszystko wzięte, potwierdza stosunek Twardowskiego do wody; już więc mytycznie Twardowski ściśle się łączy z moreną, z morzem, z wodą, z Marżą. Jak nateraz nie wchodzimy w badanie czy ten związek od początku pojawił się w téj formie. Byt jego nam wystarcza. Nareszcie co do podań o Duninie, widzimy, że współczesny Ortlieb (Bielow. Mon. II, 3) opowiada o okupie wielkim, jaki Dunin wymusił na synu zdradnie pochwyconego przez się Wołodara ruskiego. Za to i inne przestępstwa miał „papież *lub* miejscowi biskupi" kazać mu te skarby rozsypać na miłosierne uczynki, a między innemi pokutujący Dunin miał wznieść aż 70 kościołów. Późniejszy Bogufał (Mon. Biel. II, 520) o tyle zmienia podanie Ortlieba, że Dunina wystrycha na Duńczyka, skarby ruskie czyni własnością króla duńskiego i każe Duninowi spławiać je z za morza, wreszcie wątpliwość co do miejsca i znaczenia osób od których zawisło naznaczanie pokuty znosi, na korzyść Rzymu i wielkiego penitencyaryusza.

Mosbach dowiódł że duńskość Piotra Dunina nie ma żadnéj podstawy historycznéj; dla nas, imię Dunina, i przydomek jego i jego skarbów duńskiego pochodzenia (u t. z. Bogufały) przywodzi na myśl zwyczaj Słowian nazywania wszelkich wód Dunajami. Ztąd Don, Dźwina (Duna), Dunaj (Ister), a podobno tak samo zwał się i Dniepr piérwotnie. Zaczém skarby duńskie są właściwie skarbami wodnemi, podobnie jak nie inne jest znaczenie skarbów ruskich (rus, rusło,.....). Tym sposobem Piotr Dunin staje się porywcą skarbów morskich, wchodzi w stosunek z Moreną, z Marżą.

Ponieważ Twardowskiemu tenże stosunek jest także właściwy, ztąd wynika splecenie obu podań, i wymiana wzajemna różnych szczegółów.

Wiemy, że Dunin wznosił świątynie, przeważnie Ś. Marży, a przynajmniéj w wieku szczególniéj czczącym Ś. Marzę, budował takowe. Na gruncie wspólności skarbów morskich między Duninem a Twardowskim, nabożeństwo piérwszego do Bogarodzicy z odcieniem pokuty przeszło na postać drugiego. Dość było do tego, aby zaśpiewanie piérwszy raz kantyczek spółcześnie ze zdobyczą skarbów morskich (patrz wyżéj) poszło w ślad nabożeństwa Duninowego do Ś. Marzy, i związało się z Twardowskim, jako jego pomoc. Zaprzedanie się czarodzieja dyabłu wypływa z przekonania, że skarbów strzeże nieczysty, i że utratą duszy ich nabycie trzeba okupić. Twardowski jako pan skarbów (wodnych), ile że człowiek, musiał do nich przyjść cerografem.

Tą drogą jeśli się nie mylimy, Twardowski przyszedł do czczenia Ś. Marzy, natchniony pokutą, więc obawą potępienia, piekła; a następnie do chwały twórcy Kantyczek. Odwrotnie powieść o Duninie zbogaciła się nie jednym szczegółem z podania o Twardowskim.

A przedewszystkiém wzmianki o papieżu i Rzymie w życiu Dunina nie mają żadnéj podstawy a są bardzo właściwe w przygodach czarodzieja. Prócz wspomnianych Rzymów, jest jeszcze w Wielkopolsce, w powiecie wągrowskim, karczma tego imienia i użytku (Bibl. Warsz. r. 1864 I, 281), także w guberni półtawskiéj koło miasta Łubna (Polska, Maciejowski IV 392), pod Sandomierzem, piérwotny (Bandtke J. S. Dzieje nar. pol. 1835 II, 75); wreszcie ksiądz z Wiślicy (u Siemińsk.) jedzie na drzwiach kościelnych do Rzymu prawdziwego ratować papieża, którego szatan kusi. (Czy to o papieżu Sylwestrze II mowa?) Ten wyraz „Rzym" w podaniu o Twardowskim odejmuje téj postaci wszelką cechę historyczności. Rzym ten bowiem jest przeróbką owych Rzymian (cum Romanis) z jakimi u Mateusza Cholewy walczy Grakus (Krakus, Trut). Silono się na dziejowy wykład ich; nie jest mi jednak wiadomém, czy mój domysł, wyrażony już w Encyklopedyi Mniejszéj Orgelbrandów (voce Grakus i Lud polski, ustęp literatura ludowa), że ci Romani są rachmanami był już przez kogo wypowiedziany lub zbity. Rachmani, wielkanoc rachmańska, albo nawska [1]) jest wielkanocą nieboszczyków, jak to wyrazy nawije (u Nestora) Nua (bóstwo śmierci w Gnieźnie u Długosza) indyjski devas śmierci Naçus, greckie *νεκυς* i *νεκρος*, polskie nieboszczyk wskazują. Wyraz rachman u Górnickiego rochmonny łagodny [2]), u Maciejowskiego łupieżczy [3]) albo sądownik normański, jakoby rachimburgi, hiszpańscy ricos hombres [4]), u Afanasjewa brachmanów oznacza. Być może raczéj że rachman, u Mateusza romani, są w związku z rękawką, to jest ze stypą pogrzebową Krakusa [5]), i z rakwią (trumną)? Rachmani, po łacinie Romani, po polsku znów przełożeni Rzymianie, są nieboszczykami, trupami, światem zmarłych, z jakiemi przychodzi walczyć Krakusowi. Dlatego Alesza Popowicz walczy z trupem, w którym się Twardowski schował (Mac. Polska IV 393). Dlatego w Rzymie kończy się życie czarodzieja. Podanie o Krakusie, z którego dobyci są rachmani, romani, rzymianie, i Rzym, wyjaśnia nam téż odmłodzenie czarodzieja; gdyż jak Krakus wracając z ukrycia zimowego (Karwacyi, Erytryi greckiéj, Vritri indyjskiéj) odzyskuje blask (Liguryą) piérwotny, t. j. zwyciężywszy śmierć (rachmanów) wraca do życia, tak i Twardowski pozornie ginie i odmłodzony zmartwychwstaje. Godzi się tu przypomnieć, że Nestor pod rokiem 1074 (6582 Biel. I str. 742 nast.) donosi o pustelniku Izaaku, który przez 2 lata niby umarły, bez jadła i napoju, głuchy i niemy, leżał na łasce przyjaciela. Po tym czasie przyszedł do siebie, ale jak dziec-

---

[1]) Opis pow. Wasilkowskiego, str. 159, Kłosy 1873 N. 430, str. 206 i N. 431 str, 223.

[2]) Dworzanin ed. Tur. 25 zwierzę rochmonne v. dzikie.

[3]) Z arabskiego rachanan. Dzieje pierwot. 577.

[4]) Hist. Pr. Sł. ed. 2 t.III, str. 335 § 282, str. 180 § 164.

[5]) Łepkowski Przegląd trad. narod. str. 49.

ko musiał przyzwyczajać się do chodzenia, brania pokarmów i t. d. „Odżywszy jął udawać błazna, stroić figle, dokazywać sztuk dziwnych, albowiem miał władzę nad czartami „jak nad muchami.." Nie sąż to istotne odmłodziny Twardowskiego? Poczęści i walka w Rzymie z czartem, z piekłem, kończy się odmłodzeniem czarodzieja, bo śmierć ustępuje przed życiem w przestrzeni zawieszonego. Pewną analogią w dziejach Dunina przedstawia odzyskanie straconych języka i oczu, odzyskanie światła!

Odwrotnie, Twardowski u Dunina zapożyczył się ciekawym a zagadkowym wypadkiem w karczmie Rzym, w którym niemowlę ochrzczone występuje na scenę, jako narzędzie obrony czarodzieja, porwaniem do piekła zagrożonego przez czarta. Dobrowolna umowa co do Rzymu, jako miejsca, gdzie czart będzie mógł porwać Twardowskiego, zostaje haniebnie przez tegoż pogwałcona. Raz broni się porwaniem na ręce czystego dziecięcia, drugi raz Godzinkami. Wynalazek ostatnich urosł z powieści Gallusa i t. p. Co do pierwszego wykrętu, ślad jego znajdujemy w dziejowém życiu Dunina. Wojewoda ten Krzywoustego udając wygnańca, pojechał do Wołodara; przyjęty gościnnie, *trzymał mu syna do chrztu*, i za to wszystko wywzajemnił mu się zdradzieckiém porwaniem. Fakt ten historyczny, podanie o Twardowskim, przyjęło mało co zmieniwszy, w treść swoję. Znamię najwyższego pobratania się Dunina ze swym gospodarzem przeszło w pokrywkę zdrady czarodzieja, która téż cechuje całą akcyą jego prototypu dziejowego na Rusi.

I porwanie Twardowskiego z grona rachmanów (nieboszczyków) czyli z Rzymu (Romene litewskie)? ma odpowiedni choć nieźródłowy i niejedynie podobny ustęp w powieści o Duninie. Wedle Wincentego, porwanie Wołodara przez Piotra dokonywa się w ten sposób [1]), jak „gdyby orzeł porwał kurę;" towarzysze zaś Wołodara „jak pisklęta okryły się cieniami piekieł (*umbrae Orci*) zamiast skrzydłami kwoki." Tak więc, w tekscie kronikarza niebrak rachmanów, Rzymu, (piekła) a uosobnienie Dunina w orle, nadaje mu coś podobieństwa do powietrznego wędrowca, jakim w ostatnich chwilach życia zostaje Twardowski. Tu mamy ślad zetknięcia się, pono ostatni, żywotów czarodzieja i wojewody, i wzajemnego przeobrażenia. Wytknęliśmy bowiem, jak w nabożeństwie do ś. Marzy i stosunku do Marzy i morza, jak w posiadaniu skarbów wodnych, jak w miejscu i osobach ostatniej walki, w środkach obrony, a nawet i w sposobie zniknięcia z tego świata: historyczny Dunin i podaniowy Twardowski zgadza się. Pokazaliśmy równoległość wersyj kronikarskich i pojedyńczych momentów powieści ludowéj; także pożyczki wzajemne obu zaznaczyliśmy. Nie udowodniliśmy jednakże, żeby Twardowski był dawniejszy od Dunina, i zaledwośmy doszli do wieku XII w śledzeniu owego mytu. Jedna zaledwo część, o Rzymie, przez swój związek z Rachmanami Krakusa, wykazuje swój byt staro-

[1]) Monum, Biolow. II 353.

żytniejszy, gdyż jeżeli się nie mylimy, powieść o bohaterze imionodawcy Krakowa sięga czasów staro-indyjskich i dla sanskrytologów z tą (lubo niejedyną) powieścią odkrywa się wdzięczne zadanie poszukiwania na polu starożytności wedyjskich, najprostszéj formy naszych podań. Przykłady studyów szczęśliwych Stejnthala, Wojciecha Kuhna, Mannhardta, Maksa Müllera i tylu innych badaczy etnopsychologii (Völkerpsychologie) robią nadzieję, że używając ich metody, umiejętnie wypróbowanéj, stwierdzić się da może domysł, a raczéj duch domysłu Kucharskiego, (Bibl. Warsz. 1854 II 163 voce Indye), że indyjski Traetona to jest prototyp naszego Truta (Kruka). Odkryjemy tym sposobem, że Wedy nie są polskiém dziełem, jak Babilon nie jest babiem łonem; nie będziem torturować języka fenickiego, celtyckiego i t. p. aby z rodaków naszych tak teraz dziejowo zubożałych, tak w życiu niezaradnych, choć w mrzonce naukowéj zrobić praojców wszystkiego i wszystkich. Ale przekonamy się za to, że staro-indyjska kultura jest i dla wszech słowiańskiéj, i dla jéj odrośli, różnoludowych i różnoszczepowych cywilizacyj pierwotnych: komentarzem i uzupełnieniem w miejscach zębem czasu i ludzi uszkodzonych.

Daleka to wprawdzie wędrówka od Twardowskiego, aż do tych zabytków wedyjskich. Zaledwo téż do nich dojdziemy, i nieśmiało tylko do nich zakołaczem. Nie mieliśmy bowiem dotąd możności zapoznać się z témi źródłami inaczéj, jak przez pośrednictwo bądź wspomnianych badaczy bądź np. streszczeń [1]). Wszelako niewidząc poprzedników, spróbuję choć zbłądzić. Może choć błędy powołają specyalistów do czynu, bo zawsze krytyka łatwiejsza..... Autor się zaślepia, jak ojciec; krytyk znów widzi często więcéj jak ojczym, jąk świekra, owa „głowa wężowa.“ Z tych dwu nadmierności, w pośrodku wykwitnie prawda.

Główną przeszkodą w ustarożytnieniu Twardowskiego zdaje się być jego nazwisko, a raczéj forma jego. Końcówka *ski* zdaje się tylko przez lapsus calami Szajnochy [2]) wbrew cytowanym źródłom z 1382 r. przeniosła się do wieku Kaźmierza Sprawiedliwego. Zjawia się jakiś Nedzwedzki na donacyi tego księcia Wichtrydowi uczynionéj, ale w układzie aktu wspomnianego, w dacie (1183)? i t. d. są ważne przeciw jego wiarogodności zarzuty [3]). Nawet wiek XIV dużo przykładów téj końcówki *ski* niezdaje się dostarczać. Najwięcéj ich znalazło się na akcie w 1382. Poznan Konarski *de Sambiczyn* z r. 1348 i 1354 [4]). Seczesław zwany Konarski z 1336 [5]) a tym bardziéj, Sdislaus Conarski Krakowski wojski [6]) w 1228 roku należą dotychczas do przy-

---

[1]) Por. Bibl. Warsz. 1866, ustępy z Wed przez Krasnosielskiego.

[2]) Jadw. i Jagieł. 2 t. I, str. 40, por. notę.

[3]) Lelewel Pol. W. Śred III, 134 Okolski Orbis Polonus II, 110.

[4]) Cod. Tinec. str. 95, Cl. Tumbae, str. 57, 55.

[5]) Mon. Med. Aevi Patrokoński, I, 204, Nr. 159.

[6]) Cl. Tumb- str. 6. U Helcla Star. Pom. Pr. pol. II, str. 331, Nr. 2221, por. Nr. 2271, 2272 i t. p. znajdą się nazwiska szlacheckie na *ski*

kładów wyjątkowych. Częstsze są nazwy od posiadłości; np. de Pstroschicze alias de Jurzikowicze, Paszko Szlodzey de Biskupice, który pisze się też de Pilchowice (Helcel St. P. P. P. II. str. 139, Nr. 930, str. 119, Nr. 709, str. 151 Nr. 1020, str. 137 Nr. 913).... Mamy też zaraz przykład jak herb służy za nazwisko, bo Złodziéj jest proclama (godło, ztąd klejnot) znaku strzały z orlim ogonem, (ibid str. 290 Nr. 1991), W r. 1253 jest Wojciech syn Komesa Mikołaja Godule (Mon. Med. Aevi I Nr. 36), a Goduła lilii jest opisem herbu Mozgawa (Helcel l. s. l. Nr. 1346). Roku 1376 znany jest Mikosz de Gosicze, zwany Momot, i Jaśko z Tarnowa zwany Czemerz [1]); Momot zaś jest zawołaniem herbu Biberstein (Helcel 2428 II str. 368).....

Najczęstsze są nazwy od posiadłości wzięte np. de Jurewice np. lub od ojca Boguszyc i t. p., w wieku XIII, który to zwyczaj w XVI i XVII wieku uległ ważnéj zmianie. Kromer (Polska ed. Syrok. 1853 str. 57) donosi, że za jego czasów szlachta jęła tworzyć sobie nazwy od swych majętności, dodając końcówkę *ski*. Jeżowski w dziele Oekonomika z 1532 r. [2]) poczytuje tę końcówkę za szlachecką, gdy *icz* mieni być cechą gminu, aczkolwiek *icz* w XIII wieku było nobilis.

Zaczém, po formie nazwiska sądząc epokę Twardowskiego, należałoby go najrychléj do (połowy) w. XV, lub do początku XVI odnosić. Maciejowski znalazł Twardowskiego kanonika poznańskiego w akcie z r. 1441 (Piś. pol. I, 231 n. 1). Wszelako przypuszczać się godzi, że w téj epoce Twardowski uległ tylko uszlachceniu, bo tego pojęcia czasu wymagały, a nazwa jego jest dawniejszą. Mickiewicz, wplatając wszędzie przygody własnéj miłości (Poraj i Maryla), pomieszcza w pierwszéj części Dziadów piosenkę o zaklętym młodzieńcu, w głaz przemienionym. Zmiana ta następuje w skutek patrzenia się w zwierciadło; zjawia się Twardowski, a jak go Mickiewicz przezywa „rycerz z Twardowa“ i znając czar zwierciadła, chce stłuc je i młodzieńca wyzwolić. Czy powieść ta o kamienieniu patrzących się w zwierciadło Twardowskiego, (będące w Węgrowie), a przez strzaskanie onego wyzwolonych, została wziętą z ust ludu przez poetę, nie wiemy stanowczo. Mamy jednak przykłady, że urywki z literatury kopalnéj, np. o Madeju, bardzo charakterystyczne, zkądinąd nieznane, przechowały się w dziełach autora Dziadów, i professora literatury słowiańskiéj. „Rycerz z Twardowa,“ więc sam tytuł, nie jest może wzięty z ust ludu, ale jest tą razą prawdziwém natchnieniem, widzeniem prawdy nawet przez poetę. Z téj bowiem formy de Twardowo (niejako), lud utworzył Twardowskiego w wieku XV; jestto forma trzynastowieczna,

---

z XV w.. Myli się jednak str. 139, Nr. 930 ze wsi tworząc nazwisko na *ski* w notce wbrew tekstowi (nie Nr. 707. ale 709 na str. 119).

[1]) Cl. Tumb. Nr. 89.

[2]) Maciejowski Polska II, 191, i Wójcicki Bibl. Star. Pisarzy polskich Tom II.

a źródła jéj szukać możemy zarówno w nazwie miejscowości, jak i w godle rycerza z Twardowa.

W istocie, ów młodzian z Dziadów kamienieje na widok zwierciadła Twardowskiego; pałka Herkulesa, odwrócona cięższym końcem do góry w Pieskowéj Skale, kamień w Czerwińsku, Krzemionki pod Krakowem, gdzie była szkoła czarodzieja—jako przedmioty „twarde," dziwnie godzą się z „twardością" nazwiska istoty, która je rozsławiła. Należy téż zważyć, że w wieku XIII spotykają się imiona od téjże (przynajmniéj na pozór) własności fizycznéj utworzone. Tak np., w roku 1255 występuje przy boku Bolesława księcia Krakowa i Sandomierza kleryk „Twardosław" imieniem, pisarz aktów (Nakielski Miechovia 174), w roku następnym tytułujący się już podkanclerzem, i w téj godności, ile mi wiadomo, trwający do 1279 r. (Rzyszcz. Cod. dipl. I 111), a może i późniéj.

Obok tego w literaturze ludowéj spotykamy niejakie wzmianki bądź o kamienieniu, bądź o kamieniach. Zobaczmy o ileby się one nadawać mogły do objaśnienia początku imienia Twardowskiego, którego po tém, cośmy dotąd o nim mówili, za postać historyczną trudno uważać. Zaczem i uciekanie się do wyjaśnienia mytologicznego razić nie powinno. Kiedy nie z historyi to może z meteorologii lub innych tego rodzaju zjawisk, jakieś światło padnie na naszego czarodzieja początek i znaczenie.

Najprzód godzi się wspomnieć o przykładach skamienienia, jakie podają biografowie ś. Ottona Bamberskiego [1]) w XII wieku. Wszystkie one wynikają z odbywania żniw w czas świąteczny; z tego jedni pisarze czynią niedzielę, inni (Herbord) podają nadto za dzień przygody uroczystość Ś. Wawrzyńca i Wniebowzięcia N. Maryi P.. Ostatni szczegół stanowi przyczynek do szerzenia się czci Bogarodzicy nad Wisłą, w XII wieku. Kiedy bowiem Ebbo piszący (1151—1159) zna tylko jeden wypadek skamienienia w niedzielę zaszły, Herbord spisujący dzieje apostoła około 1158 r. już trzy z niego zrobił, i jeden odniósł do N. M. P., zapewne na zasadzie ustnéj tradycyi.

W tém kamienieniu uderza ciekawa okoliczność: ona zdarza się w mieście pomorskiém „Kamień". Byłżeby jaki związek między nazwą miejsca kary, a kaźnią świętokradzców? W każdym razie fakt się dokonywa wśród dopiéro co nawróconych pogan słowiańskich; i apopleksya dotykająca żniwiarkę przy pracy odbywanéj w czasie mszy (ku południu) mogła być wytłumaczoną przez samych Pomorzan na zasadzie ich dotychczasowych wierzeń. Ktoś śledzący we wszystkiém rozumnéj przyczyny, ujrzałby i tu pewien odcień, w tych wierzeniach, spowodowany naukami apostoła Ottona. Mianowicie, mógłby sądzić, że kamienna bezwładność, którą w gaju Semnonów przybierali czciciele bóstwa, ilekroć, potknąwszy, się upadali w obrębie świętego

[1]) Ebbo II, 6, Herbord II, 23, III, 29, Mnich preflig. II, 14, (Mon. Bielow. II, 40, 85, 122, 136).

gaju (Tacyt, Germania 39) pewną analogią stanowi do skamienień świętokradźców kamińskich. Semnon, wchodził do gaju spętany, aby zewnętrznie tym sposobem objawił uznawaną przez się wyższość bóstwa i jego potęgę. Gdy upadł, wytaczano go po ziemi, bo mu niegodziło się podnieść; rozumiemy dlatego, żeby wstając, objawił swą własnowolność, przeciwienie się bóstwu, które go o upadek przywiodło, a któremu, niby pogański wykonawca zasady *perinde ac cadaver*, w moc zupełną, spętany dobrowolnie się oddał, wchodząc do świętego gaju (bugaju?). Zgodnie z takiém pojęciem rzeczy i Kętrzyński w swéj rozprawie po niemiecku pisanéj o Lechach (Die Lygier 1868 str. 90), bardzo stósownie twierdzi, że cały ten obyczaj dowodzi wiary Semnonów, iż są dziećmi ziemi (*semeno* po sanskr.), że, mówiąc zgodnie z potrzebą naszéj hypotezy, pochodzą z kamieni, owych kości rodziców (np. Deukaliona i Pirry). Dla tego mniemam, że porażenie nagłe świętokradczych neofitów na Pomorzu wspiera się z jednéj strony na owych pogańskich wyobrażeniach bycia kamieniem (*respective* nieruchomym trupem) w gaju bóstwa; z drugiéj strony symbol czci dla bałwana zmienia się w znak kary za przestąpienie czci Boga pod wpływem chrześciańskich, świeżo rozszerzonych pojęć.

Starcie dwu wiar na tém polu nie mogło lepszego sobie miejsca obrać jak w „Kamieniu" (czy tylko przypadkowo, czy umyślnie miasto to obrane?).

Pamięć o tém kamienieniu, jako najwyższéj czci formie u Słowian, dochowała się w niektórych pieśniach miłosnych i weselnych, lub też w podaniach, które wszakże już tylko z stosunkiem dwu płci związek mają. Tak np. w Bajarzu Glińskiego (I 109—128) jest powieść, która [1]) prozą odtwarza szczegóły pieśni znanéj p. t. „Przemiany." Wszelako proza ma szczegół w Przemianach niespotykany, ale objaśniający inne pieśni. Mianowicie w powieści owéj u Glińskiego, dziewica uciekająca z lubym przed pościgiem nieprzyjaciół, zmienia się w biały kamień (kamienieje), pod warunkiem byleby jéj towarzysz kobiéty nie pocałował. Pieśń weselna czerwonoruska u Wacława Zaleskiego (Pieśń l. pol. w Galicyi 1833 str. 40 N. 131) opowiada o pannie młodéj, iż pod postacią przepiórki siedzi na górze, wśród zielonego barwinku. By ją złowić, kolejno probują starosta, drużba i chorąży (weselni). Każdy z nich mówi:

Mój konyk syweńki
Na kamiń ne stupyt
Kaminia ne włupyt

Udaje się to tylko panu młodemu. Dla tego też w jednéj kołomyjce (str. 181 N. 1), nie bez głębszego znaczenia, pyta kochanek lubéj (po rusku):

[1]) Waryant jéj u Niemcowy Bożeny p. t. Szuryna król i Otoljenka (Slovańske pohadky a povesti 1857 str. 61—75) szczególniéj charakterystyczny w tém podobieństwie.

Oj ty góra kamienno, czemu się nie łupiesz [1])
Oj powiedz mi dziewczę prawdę, w kiem się kochasz?...

a w krakowiaku (u Żegoty Pauli pieśń l. pol. w Galicyi 1838 str. 232 N. 54) śpiewa się:

Rozstąp się kamieniu na cztery połowy,
Lepsza jedna panna niźli cztery wdowy.

W znanéj pieśni „Jaś konia poił, Kasia wodę brała" (Lud Kozłowskiego str. 33 N. 4) napotykamy bezsens pozorny, jasny, gdy będziem pamiętać o powyższych kamienieniach i rozkruszaniach się. Kawaler pannie kupuje: *kamienicę*, bawełnicę, pierścionek,

w Warszawie dómecek ktokolwiek wyłupa...

Mniemam, że w tych wszystkich wzmiankach o kamienieniu dziewic kochanych, o ich rozkruszaniu, tkwią nietylko przyrodoznawcze porównania serca nieczułego do kamienia, ale i ślady dawnych wyobrażeń religijnych. Przejście bóstw w kobiety, a kultu pierwszych w miłosne zaloty do drugich, tém jest prawdopodobniejsze, że już najdawniejsze wzmianki o kapłanach bóstw słowiańskich, bądź przedstawiają nam ich „w szacie kobiecéj" (muliebri ornatu Tacyt w Germanii 43), bądź téż nawet przed posągiem bóstwa stawią *posąg* ofiarnicy (Masudy rozdział 64). Z wyrazów kobieta (kob' augurium) znaczącego wedle P. R. Ławrowskiego czarownicę, znachorkę *(incantantrix*, jak kobnik augur) i dziewica (div, deus) dawniéj już na drodze etymologii wnoszono kapłański, do jasności (bhaga, Bóg) światem rządzącéj zbliżony, charakter słowianek w pogaństwie.

Gdyby to było prawdą, czyżby to dziwić mogło bardzo jako zamiana nieloiczna, niepsychiczna, że kobiéta z pośredniczki zrobiła się z czasem patronką, z czczącéj czczoną, z kapłanki samém bóstwem? A właśnie na téj przemianie opieramy naszą hypotezę, że w pieśniach ludu o miłości, weselach i t. p. trafiające się skamienienia, rozkruszenia i t d., łączą się z formą kultu u Semnonów, wyżéj wspomnianą.

Twardowski, jako czarodziéj, mający do czynienia z kamieniami, tak w nazwie jak w czynie, mógłby co najmniéj za jednego z takich Semnonów uchodzić, zwłaszcza, że można wywołać tam czarownika, gdzie wbijając kij osinowy, od *kamienia* cień padnie (Gliński Bajarz I 188 do 202); że więc wszędzie kamień łączy się z czcią pogańską, z czarodziejstwem.

Powiedzmy nawiasem, że kamienienie, obrzędowo lub miłośnie pojęte, łączyć się mogło (przynajmniéj w XII w. gdy myt o Twardowskim zmącony został przez dzieje) z wyobrażeniami o wodzie, których nasz czarodziéj szczególniejszym także być się zdaje stróżem. W wieku właśnie XII, u Nestora znajdujemy najdawniejszy ślad przysłowia, późniéj tak często używanego w pieśniach miłosnych:

---

[1]) Por. Żeg. Pauli pieśni l. rusk. w Galicyi 1839, I, str. 107 N. 9.

Tak jak w kronice owéj, Włodzimierz W. klnie się, 985 r., że wtedy zerwie pokój, gdy kamień pływać pocznie a chmiel grzązną (Biel. Mon. I, 627), podobnie w pieśniach ludowych kochanek mówi do opuszczonéj:

Puszczaj kamień po téj wodzie,
Jak ten kamień będzie pływał,
Wtenczas będę u cię bywał....

albo się téż skarży:

Ciężko kamieniowi, co pod wodę gwocha;
Jeszcze temu ciężéj, kto się w kim zakocha.

Bądź co bądź jednakże, jedna jest rzecz jasna, że Twardowski z kamienia Semnonów (jako sam czarodziéj, kapłan), wziąć mógł nazwisko, choćby łączność kamieni z wodą jak nateraz ciemną i zagadkową, w jego akcyi, pozostała. Nie rościmy bowiem sobie pretensyi do rozstrzygnięcia kwestyi znaczenia i składu podań o Twardowskim, ile raczéj chcielibyśmy poruszyć ją z innego stanowiska i wywołać, na tém nowém polu, dyskusyą umiejętną.

W śledzeniu początku nazwiska Twardowskiego, jeszczeby się jedna droga otwierała; ale w takim razie, to cośmy dotąd mówili o związku „kapłana" Twardowskiego z obezwładnianiem się czcicieli bóstwa tamtejszego, w bugaju Semnonów, alboli téż w Kamieniu 1124 r., co wygląda na nową wersyą powieści Tacyta, należałoby uważać tylko za objaśnienie możliwe powodu, dla jakiegoby inna, dawniejsza forma imienia tego kapłana w uściech ludu przemieniła się w „Twardy."

Tak np. lud opowiada, że św. Wojciech wygnał z Rudy w Wieluńskiém sroki (Siemieński N. 65); za powód jednak tego wypadku podaje szczegół, który wyraźnie jest tylko kalamburem z nazwiska owych ptaków. W gruncie zaś rzeczy, podanie o wygnaniu srok jest przekręceniem innego podania (Grajnert, Biblioteka Warszawska, 1859 III 82), że gdy węże lazły św. Wojciechowi do kielicha, (t.j. przeszkadzały krzewieniu się chrześcijaństwa), apostoł je zaklął w kamień. Wąż, to smok legiendowy, którego Czesi „szarkanem" zowią; a sroki rudzkie to są szarkany owe, których lud nie rozumiał, przekręcił na nazwę podobnych z brzmienia do szarkanów srok, i wymyślił potém kalamburową przyczynę ich wygnania.

Podobnie stać się mogło z Twardowskim, którego imię dawniejsze Tvashtri gwoli atrybucyom jego jeszcze pogańskim, gwoli wypadkom tężenia apoplektycznego (u żywociarzy Ś. Ottona) świętokradzców, i kamienienia czcicieli bałwanów w Kamieniu (1124 r.)—zostało „twardém", gdy lud nie rozumiał téj dawniejszéj nazwy Tvashtri. Kiedy jakiś czarnoksiężnik na Rusi 1071 r. zapowiadał, że przez pięć lat Dniepr będzie wstecz płynął (Nestor str. 723) a Kunop, inny cudotwórca biesowski, sam chodził po wodzie (ibid. str. 729 w Biel. Mon.) a nadto coś wiedziano o kamieniach po wodzie płynących; mogło się ludowi zdawać, że

Tvashtri był czarnoksiężnikiem; chodząc po wodzie dokonywał rzeczy równie niezwykłych jak kamień pływający po niéj. Wtedy może dodano nawet do Tvashtrego dziejów niezależne dotąd szczegóły o zwierciadle, o pałce Herkulesa, kamieniu pod Czerwińskiem i t. d. i stworzono nazwę „twardy.“ Oto mniéj więcéj prawdopodobna etymologiczna dedukcya ludowa owego imienia nowożytnego z dawnego. Dedukcya ta, ta fałszywa etymologia mogła nastąpić w czasie między istotném niby wydarzeniem się owych sztuk czarodziejskich na Rusi a chwilą ich spisania przez Nestora, spółcześnie zaś z zetknięciem się u nas dziejów z mytem w podaniu o Twardowskim w Polsce i na Rusi zarazem.

Starożytna bylina o Aleszy Popowiczu i Tugarynie Żmijowiczu, późniéj zmieniona w powieść o tymże Aleszy i Twardowskim wystawiła zupełnie inaczéj stosunek ziemianina do czarta, jak powieść o Twardowskim. Tugaryn jest sam czarodziejem, synem smoka; trzy sążnie wysoki, zieje ogniem z gardła, dym miece uszami, ma skrzydła papierowe. Spotyka się w Kijowie u W. K. Włodzimierza i księżny Apraksyny z Aleszą Popowiczem z Rostowa. Przy uczcie, Tugaryn połyka po całym bochnie chleba, po czaszy napoju mierzącéj półtrzecia wiadra, pożéra łabędzia zastawionego przed księżną.

Nieczestno u kniazia za stołom sidit,
Bo kniahinie sobaka ruki w pazuchu kładet,
Ciełujet wo usta sacharnyja,
Tebie kniaziu nasmiechajetsia.

Alesza powiada, że on psa i krowinę równie jak Tugaryn nienasytą, schwycił za ogon i wyrzucił na dwór. Następuje wyzwanie, i nazajutrz walka tém pomyślniejsza dla Aleszy, że Tugarynowi w skutek deszczu skrzydła zmokły i musiał bić się na ziemi tylko.

Walka ta o względy (jakoby) księżny Apreksiejewny przypomina nieco, może nieautentyczny, szczegół o kochankach pani Twardowskiéj. Ważniejszym jest szczegół, że przeciwnik Tugaryna przybiera strój „kaleki.“ W podaniu o Madeju (u Wójcickiego) Twardowski wyraźnie zwany jest „kulawym“ Twardowskim; w takiéj postaci zjawiają się Boruta, imiennik łęczyckiego stróża skarbów, które chciał wykraść czartowi, ale piętę stracił; kucharka w Krysztoforach, tegoż samego losu doznająca, strzelec słowacki goleń sobie w końcu wyrywający dla zasycenia smoka z piekieł go wynoszącego, tracą pięty, stają się kulawi jak Alesza, jak Twardowski. Ponieważ Tugaryn spadł z nieba, niezdolen utrzymać się na zmokłych skrzydłach, prawdopodobnie okulał także.

Do téj kolekcyi chromych należy dodać greckiego bogów kowala i kunstmistrza Hefajstosa. Potwornie brzydki, miał okuléć, gdy go Zeus z nieba zrzucił na ziemię, a miał za żonę Wenus, z piany morskiéj powstałą! (Marzanę?).

Nasz Twardowski nie jestże równie nieszczęśliwym jak Hefajstos ze swą żoną, i jak on kulawym? Czyż nie zostaje w ścisłym związku Twardowski z wodą, z któréj Marża i Venus powstają? Kowalem jak

grecki bożek, nasz czarodziéj nie jest, ale sztuki jego za kowalstwo staną. Wiemy tylko że Hefajst, oraz Tugaryn spadł z nieba, a o Twardowskim wieść niesie, że z Rzymu (z pośród rachmanów) nieśli go czarci do piekła; wtém zaczął nucić Godzinki, i zawisnął między niebem a ziemią. Zaiste, jak na piekieł drogę, to dziwny jéj kierunek ku słońcu. Ten kierunek zdaje się właśnie wskazywać, że nasz Twardowski, (Tvashtri indyjski bogów płatnerz i kowal?) leciał w końcu swego życia ku obłokom dla tego, że tam była jego pierwotna ojczyzna.

Właśnie kulał dlatego, że spadł z nieba; a zwyciężył zasadzkę rachmańską, bo wrócił do nieba.

Zestawiliśmy wyrazy Tvashtri, Tugaryn, Twardowski [1]) bez chęci uznania ich za tożsamość fonetyczną, jakkolwiek może filologia umiejętna udowodni, że źródłem wszystkich jest pierwiastek sanskrycki „tu" (facere) lub jemu podobny. W takim razie, może i Targitaos, niby scytyjski, syn Zeusa i córki *rzeki* Berezyny [2]) do téj saméj rodziny będzie należéć, ile że jego synom spaść miały z nieba narzędzia władzy. Były tak gorące, że je dopiero dostał najmłodszy, ostatnio po nie sięgający, a zdaniem Marcinkowskiego (Nowosielskiego) jak w baśniach słowiańskich, głuptas. Był to pług, (Ceres-Dziewanna Marzana, nauczyła ludy orać) jarzmo, siekiera (sagarin, mówi grecki oryginał) i czara. Są to więc właściwie nie znaki władzy, ale godła początkującéj cywilizacyi, która z nieba tak synom Targitaosa, jak jemu samemu życie, przychodzi, zastępując upadek naglejszy ich osób z wysokości na wzór Hefajsta. Rodzina zaś ta Targitaosa (Tugaryna, Twardowskiego, Tvashtri?) dziwnie słowiańską się okazuje: czy końcówki imion synów jego (ξαῖς) oznaczają książę, jak chce Afanasiew, pozwolę sobie wątpić. Widzę za to, że po odrzuceniu tych sufixów dziwnie starożytnych, zostaną imiona, dobrze słowiańskim znane podaniom:

(Herodot	Lejpo	Harpo	Kola(k)
(Konstanty Porfirogenita)	Lobetos	Chrobatos	Klukas
(Nestor)	Łybed'	Choryw	. . . . .
(Kosmas)	Libusza,	. . . . .	Krak

Tak więc ostatecznym rezultatem niniejszego, jest co następuje: przypuszczam najprzód, przy teraźniejszym stanie mych wiadomości o Twardowskim, że jego imię oraz pojęcie o niem ulegało w ciągu wieków różnym zmianom, których charakter był dość różnorodny. Za najdawniejsze uważałbym indyjskie Tvashtri i pojęcie twórcy (tu facere) grotów niebieskich dla Indry (światła). Są to niejako najdawniejsze, z Azyi przez Słowian przyniesione, a w spólne wszem Aryom wyobrażenia. Ponieważ błyskawica wśród na-

[1]) Forma twardy, twardnieć ma waryanty prowincyonalne kargnąć, kargol, stwargnąć (twaróg?)

[2]) Herodot IV, 8—10.

wałniczych chmur powstaje, rozświeca nagle pomrokę, w jakiéj blask nieba zostaje ukryty, czyli razi Ahi Dahakę (węża, smoka, zgubnego, gdyż takim sobie chmurę Indowie [1]) wyobrażają) i Vritri (ukrywacza blasku to jest obłok czyli obwłok). Już więc w fizycznem wyobrażeniu Tvashtri leżała antyteza między światłem a cieniem oraz myśl zapaśnika ciemności. Snadnie więc tak Tvashtri (Twardowski) błyskawicy twórca, jak Krak (Trut, Traetona?) i w świecie moralnym zwyciężają zło, śmierć..... walczą z rahmanami. Czy ten wyraz rahman ma związek z Angri majniusem, nie umiem powiedzieć; gdyby tak było, antyteza Tvashtri do królestwa zła i ciemności tém byłaby wydatniejszą. Zendzki tylko charakter Angri majniusa przeczyć może dedukcyi rahman z niego. Drugim *etapem* kronikarsko źródłowym dla Twardowskiego jest znany z Herodota na pięć wieków przed Chrystusem Targitaos syn światła (Zeus, Div) i wody (córki rzeki). Już ta genealogia dziwnie do natury indyjskiego Agni zbliża Targitaosa, bo Agni zwany jest bykiem spłodzonym w mokrém łożu (błyskawicą), jest synem związku światła elektrycznego i wody ukrytéj w nawałnicy. W Rigvedzie wzywają Agni by zachował ludzi od grzechu przez oświatę, zmężnił do czynu i życia, wytępił wrogów, dał skarby i wesele; Agni przeto jest zadatkiem cywilizacyi. W Grecyi Prometeusz uchodzi za podobnego twórcę życia społecznego, u nas będzie nim Targitaos, ojciec trojga dzieci, których imiona jako słowiańskie powtarzają się w źródłach X i XII w., i dotąd żyją w uściech Słowian.

W bylinach ruskich Tugaryn, zdaje się być nową formą (z X wieku? po Chr.) Targitaosa i Tvashtri. Lotność zachował jako pamiątkę po błyskawicznéj swéj naturze, smocze skrzydła i miano Żmijewicz po obłokach, z których wylata, ale jeszcze silniéj jak Targitaos wiąże się z ziemią, bo skrzydła ma papierowe, więc sztuczne. Obżarstwo i jurność w tym człowieku (podobnie jak rozpusta Krakusa, przez którą śmierć ponosi) odnoszą się do niszczącéj i twórczéj zarazem siły Agni, błyskawicy, podobnie jak ogień i dym Tugarynowy. Z kroniki Nestora widzimy przybywające w XI wieku szczegóły o odżyciu po 2 latach śmierci, o chodzeniu po wodzie, może stosunek z kamieniami. Podstawą związku tych obrębnych wypadków z czarodziejem jest najprzód jego czarodziejstwo, a następnie świadomość że ogień ginie, ale może téż powstać z nową siłą z ukrycia swego, że bije w skały, kamienie (?). Rodzi się imię Twardowskiego, z Tvashtri, Tugaryna, Targitaosa, umiejscowia się w Polsce przez Dunina historycznego [2]).

Szczegół dotąd nieuwzględniany, a wskazujący błyskawiczny początek Twardowskiego, występuje jako jego kulawość, bo błyskawica bywa połamaną (po sanskr. kyu) oraz jako powrót Twardowskiego do nieba. Pająk, jego towarzysz, w znaczeniu smoka (jak w Pajęcznie)

---

[1]) U Słowian por. np. Żeg. Panlę. P. L. Rusk. w Gal. II 17 czorna hadyna sjiła sonce. [2]) Właściwszą jest forma Dónin—ale bez dowodów nie chciałem jéj używać.

wzięty, jest może śladem wodnistości, wśród jakiéj rodzi się błyskawica. Być może że i kijowski grodotwórca i imionodawca, jest też nawet z nazwy błyskawicą (kyn?). W każdym razie Kujawy wyglądają z nazwy na ziemię błyskawic, których wspomnienie dochowały nam kroniki polskie w legendzie o zjedzeniu Popiela i Mieszka 1238 r. przez myszy (błyskawice, jak objaśnia Grohman). Boruta łęczycki, nie od boru sosnowego tak zwany, bo sosna na ługach (ztąd Łęczycy miano) podmokłych nierośnie, ale Bor-uta od sanskr. bhar (?) widnego w bhuranju, greckim *Φορονευς*, Feronii łacińskiéj t. j. bóstw ognia, od szybkich *φερόμενοι* pochodzi i też lotny grot nieba oznacza, którego ma cechę: kulawość. Iskrzycki, to inny krewny tegoż samego rodu. Nie zapominajmy też, że wedle Bahorek Maleko (cyt. u Maciejowskiego w Piśm. Pol. I 135 u. 3) rodzina łęczycka Łaskich zmienia się delegacyjnie co roku w wilkołaka. A wilkołaki to nowy dowód czci ognia w Łęczyckiém, bo to są luperci hirpini starowłoscy. Do pokrewieństwa przyznają się baby-jędze, nazwę swą wywodzące, jak Indra, z sanskryckiego indh (palić).

W pokaźném więc gronie ognistych krewniaków, nasz Twardowski błyskawicą się zjawia, nie jest więc czemciś rzadkiém, wyjątkowém. Chodzi o to, by dyskusya umiejętna usunęła wątpliwości, niespostrzeżone sprzeciwieństwa i t. p. a myt o Twardowskim wyjaśni się.

Wypadałoby całość zamknąć stosunkiem naszego Twardowskiego do Fausta Marlowa, Goetego, książek ludowych, Manfreda, Bajrona i t. d., rozbiorem utworów literackich, które tę postać wzięły sobie za temat jak np. Zielińskiego, Wójcickiego, Kamińskiego, Szujskiego, Korsaka, Grozy..... Wreszcie rzecz najwłaściwiéjby się zakończyła wyjaśnieniem historyozoficznem postaci Twardowskiego, który bądź co bądź należy do tych podań, w jakich, zdaniem Moraczewskiego objęty i cudownie przepowiedziany charakter narodu.... W istocie, ileżto prawdy tkwi w tym obrazie czarodzieja, zawieszonego między niebem a ziemią! Pajęczą wspomnień nicią związany z ziemią, cały tonie gdzieś w lazurach poezyi i marzenia, a ziemia?... Ziemia toczy się z jego kolebką i zmienia wedle praw Przedwiecznego: kto przychodzi na ucztę życia bez szaty godowéj, rzucą go w ciemności.

Rzekłbyś druga Zosia z Dziadów! urodzona po 1795 r., drugi Adam praojciec, wygnany z Raju, a ziemi niechętny! Odkładam tę część ostatnią do czasu, gdy sam lub przez innych upewnię się, że powyższe wywody spoczywają na umiejętnéj podstawie. Dziś są jeszcze hypotezą, z którą jednak mniemam, choćby ze względu na chęć szczerą znalezienia prawdy, specyalna wiedza, nie koncept dziennikarza, winien się rozprawić. Praca moja uczciwa, ta czy inna, przynajmniéj nagrody w uczciwéj, choćby ostréj krytyce ma prawo się spodziewać.

Warszawa, 27 maja 1875.

KRONIKA ZAGRANICZNA,

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Wilhelm Machaut, Truwer XIV wieku: Księga Voir-Dit, wierszowany jego pamiętnik.—Wystawa rzeźb: Młodość, Gloria Victis, Dziewica Orleańska.—Rzeźby religijne i rodzajowe. Wprowadzony żywioł galski: Brennus z winogradem.—Młody Gal z gałązką jemioły.—Nasi rzeźbiarze. Pomnik Teofila Gautier, dłuta Cypryana Godebskiego.—Zbiór prawnych zwyczajów u południowych Słowian, p. Bogisioza.—Studya słowiańskie p. Leger.—Rozbiór „Zemsty za mur graniczny.“—Hortensya Cornu.—Rodzina alzackich emigrantów, na stałym lądzie Australii.—Teatr berliński w ciągu dwóch lat ostatnich. Dramat Miłość za miłość.—Teatr francuzki: Babunia, komedya p. Cadol.—Wieża Babel—Oratoryum Rubinsteina.—Las: symfonia muzyczna pani Granval.—Miłość afrykańska, opera komiczna p. Paladithe, libretto Legouvego.—Literatura i Historya p. Littré.—Andresina, Kobiéta bez Boga, powieść p. des Essarts.—Młody Brown, powieść Murraya.

Co powiedzą czytelnicy nasi, wielu przynajmniéj, widząc na czele kroniki, imię poety i to jeszcze z wieku XIV-ego? Poezya i wieki średnie! godziż się pisać o tém? Kogo to dziś zajmuje? zapyta wielu. Są tacy, odpowiemy, a to nie tylko między pedantami niemieckimi, ale i wśród Francuzów! oni przecież bądź co bądź, dają światu inicyatywę na polu naukowo-literackiém.

Towarzystwo bibliografów w Paryżu, ogłosiło w tych czasach, według rękopismu XIV wieku, księgę poety Wilhelma Machaut, pod tytułem *Voir-Dit.* Tytuł ten, niepodobny do przetłumaczenia, musi zapewne znaczyć: *Opowiadam com widział.* Jest to pamiętnik wierszem, ogarniający trzy lata z życia poety i to życia wewnętrznego; historya to miłosnych jego uczuć, spisana na żądanie Peronelli z Armantière, która szczęśliwa iż zdołała opanować serce zawołanego *retoryka*, pragnęła unieśmiertelnić się jak Beatryca i Laura de Novi.

Księga ta obszernych rozmiarów, obejmuje oprócz czterdziestu sześciu listów (pisanych prozą) Machauta i Peronelli, wielki poemat złożony z dziewięciu tysięcy wierszy, w formie opowiadania, przeplatany mnóstwem Ballad, Rondeletów, Tryoletów i t. p., w których oboje kochankowie objawiają wzajemną miłość. Ważny to pomnik, tak pod względem słownikarskim jak historycznym: z jednéj strony wyświetla niesłychane bogactwo poetycznych form, zatraconych dziś we Francyi, pod wpływem greckiego klasycyzmu; z drugiéj strony, daje żywy, lubo cząstkowy obraz średniowiecznego społeczeństwa, w całéj prawdzie i prostaczéj nieogładności, w całéj żartkości młodzieńczych popędów, prowadzących zbyt często na bezdroże.

Oprócz tych dwóch względów, tak ważnych dla lingwisty i historyka obyczajów średniowiecznéj Europy, imię Machauta ma dla nas jeszcze osobne a ważne znaczenie historyczne. Ten sławny Truwer, przez lat trzydzieści był dworzaninem króla czeskiego, Jana Luxemburczyka; walczył z tym królem, przeciwko litewskim i pruskim poganom. W poemacie który poświęcił późniéj Karolowi królowi Nawarry, wymienia miasta Kraków i Wrocław, wspomina téż Menodagle (zapewne Miedniki) gdzie, jak mówi, król Jan ogniem i mieczem *nawrócił* sześć tysięcy pogan. Machaut świadczy, jako sam był na owych godach.

Car present fui à cette fête,
Je les vis de yex de ma tête.
(Widziałem on dzień godowy,
Oczyma własnéj méj głowy).

Ale żywiéj jeszcze niż Machaut walczący w obozie krzyżackim przeciw Litwinom, obchodzi nas tenże sam Machaut, w kilkanaście lat późniéj uczestniczący w innych, prawdziwie sympatycznych nam godach w Krakowie u stołu Wierzynkowego! Był tam ów sławny Truwer, w orszaku piotra Luzignan, króla Cypru i Jerozolimy. Pierwszą o nim wiadomość zawdzięcza kraj nasz ś. p. Aleksandrowi Przezdzieckiemu, który w roku 1868 zdawał sprawę przed naukowém Towarzystwem Krakowskiém, z ciekawego swego odkrycia.

Wilhelm Machaut, w ostatnim poemacie swoim, *Zdobycie Aleksandryi*, w którym opisuje przygody Piotra Lusignan, walki jego krzyżowe, tryumfy a nakoniec śmierć w Cyprze z ręki spiskowych, poświęca długi ustęp podróżom tego króla po Niemczech, po Czechach i Polsce, w celu otrzymania posiłków na wojnę przeciwko Saracenom. Opowiada jak w Pradze przyjmował go Karol IV cesarz rzymski, syn i następca Jana. Przyrzekł on królowi cypryjskiemu, iż napisze do dwóch potężnych królów: polskiego i węgierskiego, wzywając ostatniego z nich na zjazd do Krakowa. W Polsce panował Kazimierz Wielki, w Węgrzech siostrzeniec jego Ludwik. Wyjeżdża Karol IV wraz z królem cypryjskim; przebywają na Szlązku Wrocław, Głogów, Lignicę, w Wielkopolsce Poznań i Kalisz, w końcu stawają u bram krakowskich, dokąd królowie wychodzą przeciwko nim okazując im cześć wielką. „Szalony byłby, mówi Truwer, ktoby pytał jakie tam spotkało ich ugoszczenie, ile tam było chleba, mięsa, pieczywa, ptastwa rozmaitego, ryb i zwierzyny, jak wspaniała posługa! Dość powiedzieć, że nie zarzucić nic, tak hojnemu przyjęciu! Nastąpiła potém wielka narada (parlament) i zgodzili się wszyscy, aby dać pomoc cypryjskiemu królowi. Cesarz obiecał wspierać czynnie tak słuszną sprawę, napisać do Ojca Świętego, rozesłać listy po różnych książętach i grodach. Król węgierski przyrzekł dać swobodne przejście wojskom, a gdy wybije godzina, przyjść w pomoc mieniem i osobą. Król polski zapewnił również współdziałanie: po naradzie nastąpiły turnieje; królowie walczyli w szrankach, nikt

jednak nie zrównał królowi Cypru: onto otrzymał wieniec, on w oczach Truwera najświetniejszą był gwiazdą krakowskich godów.

Nie przyszło wcale do owéj krucyaty, tak gorąco upragnionéj przez Piotra Lusignan. Kto czytał w szkicach Szajnochy piękny ustęp: *Wojna o cześć Królowéj*, teu wié, że opowieść Machauta nie jest prostym wymysłem poetycznym. Pierwsi mocarze ówczesnéj Europy, skłóceni chwilowo płochém słowem, jakie Karol IV wyrzekł przeciw Elżbiecie, matce Ludwika a siostrze Kazimierza, przyszedłszy potém dó pojednania, zebrali się w stolicy Piastów. Radzili tu społem o owéj krucyacie, chcąc obrócić na chwałę krzyża, siły nagromadzone przeciw sobie, z powodu obrażonéj czci niewieściéj. Różne powody stanęły na przeszkodzie wielkiemu przedsięwzięciu, szczególniéj śmierć króla Jana. Gody krakowskie rozsławione w świecie przez Wilhelma Machauta, ten jedynie przyniosły pożytek, że, jak mówi Długosz, „zasłynęło godnie imię króla Kazimierza, i rozniosło się odtąd po wszystkich krajach i wszystkie téż państwa katolickie i barbarzyńskie, brzmiały odtąd sławą wspaniałości dzieł jego."

Wilhelm Machaut z innéj jeszcze strony ma prawo do naszego współczucia. Równie biegły muzyk jak poeta, był on w swoim czasie ważnym działaczem, w wyrobie jedności cywilizacyjnéj ludów europejskich. Tu występuje już, nie jako dworzanin króla Czech albo Cypru, lecz jako geniusz torujący nowe drogi w świecie ducha. Zasługę jego w tym kierunku podjęło Towarzystwo bibliografów francuzkich. „W ciągu trzydziestoletniego pobytu przy królu czeskim, mówi wydawca Paulin Paris, Machaut pilnie badał muzykę i pieśni ludów, w pośród których przebywał, a za powrotem do kraju, wzbogacił melodye francuzkie nowemi akkordami i wielką liczbą pięknych symfonii; słowem, stworzył szkołę śpiewu na nowych prawach, oswobodziwszy ją z więzów odwiecznéj rutyny."

W pięćset lat po Machaucie, nasz genialny Szopen, postawił nowy, olbrzymi krok na téjże saméj drodze, wyrywając znów sztukę muzyczną we Francyi z klasycznych więzów, i wprowadzając do niéj bogaty żywioł melodyj ludowych z nad Wisły, jak Machaut wprowadził go niegdyś z nad Wełtawy. Widać ztąd że melodya słowiańskich plemion była oddawna ożywczą krynicą, w któréj Francya odradzała własny geniusz, ilekroć szkolne pęta nazbyt go krępowały.

Wszystkie powyższe względy dały nam pobudkę do zajęcia się francuzkim Truwerem. Ten, który był osobiście na godach Wierzynkowych, który patrzał na oblicze Kazimierza Wielkiego i głosił po świecie jego sławę, nie mógł być dla nas obojętną postacią. Odczytaliśmy więc cały jego poemat, napisany językiem XIV w., dalszym może od dzisiejszéj francuzczyzny, niż zabytki mowy polskiéj z czasów Mazowieckich książąt do naszego dzisiejszego języka. Gdyby nie glossaryusz dodany w końcu dzieła, trudno byłoby nam, równie jak i zwykłym czytelnikom francuzkim, dobrze zrozumieć rzeczy. Poemat *Voir-Dit*, poświęcony wyłącznie historyi zakochanego serca, nieszukać w nim wspomnień z dwóch dalekich podróży nad Wisłę. Ostatnią z nich odbył poeta z królem Cypru,

w lat kilka późniéj, jak to widać z zestawienia dat samych. Gody krakowskie odbyły się w roku 1364; księgę zaś Machauta, *Voir-Dit*, pisaną z dnia na dzień pod wpływem miłosnych przygód, odnoszą wydawcy do 1362 r. Nie wątpimy że Towarzystwo bibliografów paryzkich, wyda z kolei inne poemata Machauta, a między nimi owo *zdobycie Aleksandryi*, obejmujące tyle ważnych dla nas szczegółów. Nim to nastąpi, warto poznać tę ciekawą i niezwykłą osobistość, jak się przedstawia w wierszowanym swoim pamiętniku.

Wilhelm Machaut przebywał w mieście Reims, gdzie posiadał kanonią, taką zapewne jaką miał u nas Jan Kochanowski, a w Avignonie Petrarka, nie obowiązującą do święceń duchownych. W bliskości Reims w Szampanii, mieszkała młoda panna Peronella d'Armantiere, sierota po ojcu, zaniedbana przez matkę, która po śmierci męża weszła w powtórne związki. Bogata dziedziczka rozporządzała samowolnie tak majątkiem jak i osobą swoją, czytywała z upodobaniem stare kroniki i romanse, tworzyła nawet ballady i rondelety, spisywała je a nawet podkładała pod muzykę. Piękna, pełna wyższych zdolności, wyobraźnią miała bujną, umysł rozmarzony. W liczbie dworzan Peronelli, był niejaki Henryk, pełniący obowiązki sekretarza. Utrzymywał on ścisłe związki z Machautem, wielbił jego geniusz poetyczny, powtarzał jego niezliczone pieśni i ballady. Opowiadał pani swojéj jak Machaut długo opiewał wdzięki szlachetnéj jednéj pani, jak uleczony z dawnych uczuć, podróżował po świecie, zwiedzał dalekie kraje; jak dziś złamany trudami, niewidomy na jedno oko, przebywa w niedalekiém mieście Reims, gdzie dyktuje sekretarzom, dziwnie piękne pieśni i poemata.

Głowa panienki zapala się z dniem każdym; tęsknota ogarnia ją, pieśń Truwera jedyném dla niéj ukojeniem: niebezpieczny to środek! Ogień przykładany do rany, rozjątrza ją coraz to bardziéj. Dnia jednego bierze na bok sekretarza i prosi aby pojechał do Reims, odwiedził Wilhelma i zapytał go, czyby nie chciał rozpocząć z nią poetyczno miłosnéj korrespondencyi. Na początek posyła tryolet własnego utworu. Henryk podejmuje się poselstwa. Za przybyciem do Reims, zastaje Machauta cierpiącego na podagrę. Poeta słucha jednak z najwyższém uniesieniem pochwał, jakiemi sekretarz opisuje młodą panią swoją.

To karbunkuł, co tajemno
Połyskuje nocą ciemną;
To on szafir niezrównany,
Co miłości leczy rany.
To gwiazdeczka ona złota,
Co rozprasza mrok żywota;
To z mórz wschodnich droga perła,
Królewskiego warta berła.
To różyczka woniejąca,
Nie wystarczy lat tysiąca,

By określić słowy memi
Ten nieznany cud na ziemi!

Obraz ten zapala wyobraźnią poety, tryolet panienki pochwyca go za serce. Przytaczamy go cały.

Nie widziałam cię na oczy,
Ale sercem kocham stale;
Zatopiona w twojéj chwale,
Smutek myśli moje mroczy,
Bo nie widzę cię na oczy,
Lubo duszą kocham stale!
Ciebie uczcić świat ochoczy,
Bo ty świecisz mu wspaniale;
Niechże smutna się pożalę,
Że nie widzę cię na oczy,
Lubo duszą kocham stale!

Machaut odpłaca tryolet balladą, którą Peronella odbiera uszczęśliwiona z rąk posła. Wkrótce Machaut odbiera list zapieczętowany zielonym lakiem. Po pierwszym następuje wkrótce dugi. Poeta ciężko był chory kiedy go otrzymał; od dni kilku nic nie jadł, nocy trawił bezsenne. Słowa nieznajoméj leczą go niby ożywczy kordyał. Zobaczmy jak miłość działała na średniowiecznych poetów. Machaut patrzy z roskoszą na dwa listy:

Ich widok serce mi pieści,
Westchnąłem razy trzydzieści;
Potém, głód mnie straszny chwyta:
Niosą jadło,—jem do syta.
Domownicy patrzą radzi,
Potém drzymka nie zawadzi:
Dowód zdrowia oczywisty!
Ja na sercu kładę listy,
Zaczém przeszła druga doba:
Odleciała precz choroba.

Rad szczérze z odzyskanego zdrowia, poeta sypie strzeliste ballady na cześć pani swojéj; dodaje do nich cudne melodye, na wzór tych, jakich nasłuchał się w Pradze czeskiéj, na dworze króla Jana. Zniechęcony do życia, w skutek bolesnych przygód i zawodów, pogląda znowu w świat z miłością i nadzieją. Wymownie opisuje chorobliwy stan duszy własnéj, nim odżył pod słodkim wpływem zbudzonych świeżo uczuć.

Moja pani cuda czyni!
Dzielny duszą, krzepki ciałem,
Przez nią dwakroć zmartwychwstałem.

Byłem niemy, byłem głuchy,
Pierś mi zmarła od posuchy;
Kiedy spojrzę, ścieżka pusta:
Nieme serce — martwe usta!
O niewiasty nie dbam wcale,
Ani zganię, ni pochwalę;
Wszystko męczy mnie i nudzi,
Radbym uciec gdzieś od ludzi;
Do polotu zwisły skrzydła,
Nawet sercu miłość zbrzydła.
Byłem jak on pień zmurszały,
W trzęsawisku zgrzęzły cały,
Co się dźwignąć już nie pragnie:
Rad że gnije w stęchłém bagnie!

Machaut odzyskuje z każdym dniem zdrowie i twórczy polot ducha. Odbiera coraz nowe dowody miłości: to złoty pierścień, to malowawany wizerunek pani swojéj. Zachwyca się cudnym wdziękiem młodego jéj oblicza. Widok portretu napełnia go radością, a zarazem budzi w nim smutne myśli. Machaut oddawna przeżył kwiecistą młodość, znany już światu jako Truwer od lat z górą trzydziestu! Dojrzały w lata, drobny wzrostem, chorowity, niewidomy na jedno oko, lęka się stanąć w oczy ukochanej. Ciężka to będzie próba! to téż biédny poeta odwłóczy ją jak może. To się wymawia niezupełném jeszcze zdrowiem, to obawą drużyn rozbójniczych, które wyległy z zamorskiéj Anglii i zalewają Szampanią. Tak upływa tydzień za tygodniem, panienka radaby poznać czarodzieja, radaby posłyszeć z ust jego ową pieśń cudotwórczą, która pochwyciła i związała jéj serce.

Machaut posyła tkliwe ballady i tryolety: oto jeden na próbę.

Gdziebądź powiodę okiem czy uchem,
Ku tobie zawsze myśl moja bieży;
Tyś ją okuła twardym łańcuchem,
Niby w warownéj trzymasz mnie wieży.
Jam twój niewolnik pokorny duchem,
W rozkoszy serca, w łzach i żałobie,
Myślą wybiegam ku tobie!

Prędzéj policzyć gwiazdy w przestworzu,
Kiedy noc czarna ziemię ogarnie;
Prędzéj policzyć kropelki w morzu,
W pustyni piasek, ziarno po ziarnie;
Niż wypowiedzieć mój ból i trwogę.
Jak kwiat bez rosy więdnieję marnie,
Bo ciebie widzieć nie mogę!

Panienka czyta z roskoszą poświęcone jéj ballady i tryolety, im bardziéj zachwyca się niemi, tém goręcéj pragnie ujrzeć poetę. Zniecierpliwiona zżyma się, w końcu wątpi. Machaut odpowiada na jéj wymówki, zalewając się krwawemi łzami, „wiedz o tém, pisze w liście, iż serce moje osadzone w tobie, jak dyament w oprawie złotéj; wiara moja spoczywa na twojéj, jak zamek na opoce!“ Wyznaje wreszcie rzeczywisty powód swéj trwogi. „Jam mały, dziki, daleki od dworskiéj ogładności, brak mi urody, coby ucieszyła oczy twoje! Jeżeli cię to jednak nie odstręcza, przysięgam, że ani Lancelot nie kochał lepiéj Geniewry, ani Parys Heleny, ani Trystan Yzelty, niż ja cię kochać będę!

—„Przybywaj! odpisuje panienka, jam nie ukochała w tobie krasy lica, lecz piękną sławę twoją!“

Odwłóczyć dłużéj niepodobna. Machaut zdobywa się na wielki krok; posyła naprzód gońca, aby utorował mu drogę, i zaćmił oczy ukochanéj na jego własne niedostatki. Tym gońcem, poemat o Morfeuszu, sławny już w świecie, przezwany *Fontanną miłości.*

Następuje wreszcie spotkanie. Machaut przybywa do ogrodu, drży jak liść, lica mu pobladły. Powiernik ukrzepia go jak może.

—„Nie trwóż się mistrzu! mówi, przecież cię nie ugryzie!“

Panienka ukazuje się w końcu. Odprawia służebne, pozostaje sam na sam z poetą. Zachwycony Machaut, pochłania okiem wiotką jéj kibić, jagody białe, lekkim ożywione rumieńcém, białą jéj sukienkę, złoty łańcuch na szyi.

Postać Truwera przypada do myśli panience. Nie zraża jéj ani wiek trzykroć przechodzący jéj lata, ani skaza na oku, ni wzrost jego maleńki.

— Przyjacielu, rzecze, jam nie sroka, co ma tylko piórka jaskrawe, i głos krzykliwy: mam serce, i to oddaję całkiem tobie. Gdybym mogła wyjąć je z piersi, złożyłabym je w rękę twoją, abyś je z sobą zabrał.

Machaut słucha oczarowany. *Likwor* z pod serca, poszedł mu do oczu, i gęstemi kroplami spłynął mu na oblicze.

Po tkliwém powitaniu, poetka zaplata koronę z róż, fijołków i konwalii, uwieńcza nią poetę. Machaut zawiera z nią jak mówi, kontrakt miłosny: obiecuje spisywać w osobną księgę, każde słowo jakie z nią zamieni, każdy list, każdą posłaną lub otrzymaną balladę, każdą myśl poświęconą jéj w oddaleniu, aby przekazać późnym wiekom, pamięć ich wzajemnéj miłości. Taki był początek owéj księgi *Voir Dit*, ogłoszonéj dziś drukiem.

Rozstają się uszczęśliwieni. Uczucia ich rozbudzone poznaniem, dają pobudkę do coraz nowych tryoletów. Goniec krąży bezustannie pomiędzy Reims a zamkiem Armentiere, przynosi coraz nowe listy i wiersze. Machaut pisze do ukochanéj:

Słodka pani! gdyś ty ze mną,
Drży mi serce, drżą mi nogi;
W myśli tuman, w oku ciemno,
Słodka pani! gdyś ty ze mną.
Chciałbym stąpić... lecz daremno,
Niby w ziemię wrosły nogi;
Słodka pani! gdyś ty ze mną,
Moje serce pełne trwogi!

Poetka odpowiada na tenże ton, ale miłość inaczéj snać oddziaływa na jéj serce; młodsza i mniéj doświadczona niż Machaut, jaśniejszém okiem patrzy w przyszłość.

Przyjacielu! gdym przy tobie,
W sercu mojém radość szczera;
Przepominam o żałobie,
Przyjacielu, gdym przy tobie,
Zbiega smutek w téjże dobie:
Już mi w oku łza nie wzbiera.
Przyjacielu! gdym przy tobie,
W mojém sercu radość szczera!

Po pierwszém spotkaniu następuje drugie i trzecie. Nie myślimy iść w ślady za parą zakochaną. Powiemy tylko, że czytając drobiazgowy opis ich miłosnych przygód, przyszły nam na myśl słowa Prudona o pani Georges Sand: „Nie wiedziała poetka że ta artystyczna wolność która ją łudzi, prostą jest swawolą, nie idealną wcale. Zbłąkała się zaufawszy poetom, tym najniebezpieczniejszym przewodnikom, jakich napotkać można pomiędzy ludźmi.“ Dodamy jednak na obronę biédnego Machaut, że on odgrywał raczéj bierną rolę. Inicyatywa szła zawsze od pięknéj Peronelli.

Poetka oddaje Truwerowi wszystkie skarby swych uczuć, powierza mu jak mówi symbolicznie, złoty klucz od serca i czci swojéj, mianuje go podskarbim. Miłość ich przestaje być wreszcie tajemnicą dla świata. Wielcy panowie dworscy zamiłowani w poezyi, nalegają na panienkę o ballady i tryolety Machauta. Godziż się kryć światło pod korcem? Panienka zadowolona w miłości własnéj, radaby szczerze pochlubić się niemi, ale co Truwer powie na to?

— Pragnę, pisze do niego, aby świat cały wiedział ile cię kocham. Chlubię się miłością twoją! Nie ma w świecie szczęśliwszéj odemnie kobiety! Dziękuję za to po sto razy na dzień, Bogu, Wenerze i Kupidynowi!

Truwer przystaje, próżność przemaga nad rozsądkiem. Pieśni przebiegają z rąk do rąk... Potrzeba oględności... Schadzki kochanków musiały ustać w końcu. Posłańce tylko roznoszą coraz nowe listy i tryolety.

Tak przetrwało lat kilka. Biédny poeta żyje samotnie w Reims. Wierny przyrzeczeniu, zapisuje co dnia w księdze sto wierszy. „Nie-

chajże świat po stu leciach, mówi jeszcze o miłości naszéj.“ Jestem, pisze, podskarbim twego serca; strzedz go będę jak oka w głowie! nikt mi go odebrać nie zdoła! Nic téż nie zmieni uczuć moich.

Wprzód świat ujrzy wszelkie dziwy,
Lilja zrodzi się z pokrzywy;
Bursztyn w różę się przemieni,
Owoc wzrośnie z pod korzeni,
Nim dla ciebie ukochana,
W sercu mojém zajdzie zmiana!

Strzeliściéj jeszcze odpowiada na to poetka. Słowa jéj bardziéj obmyślane, przesadniejsze, więcéj w nich sztuki, niż uczucia płynącego wprost z duszy:

My na wieki połączeni!
Nim się serce moje zmieni,
Słońce żarem swych promieni
Już nie przedrze chmur.
Zorza nieba nie zrumieni,
Księżyc drogi swe przemieni;
Łąka wyschnie bez zieleni,
I bez liścia bór.
Czarna ziemię noc ocieni,
Jękną ludzie upragnieni;
Na dnie krynic i strumieni
Zbraknie czystych wód!
Złomy opok i kamieni
Runą z grzmotem po przestrzeni,
Nim się serce moje zmieni,
Świat niech skona wprzód!

Znała jak widać poetka sławny hymn Laktancyusza: *Dzień on sądu, dzień straszliwy!* i wybuch gwałtownéj boleści poety gallo-rzymskiego, nad konającą Romą, dokroiła do pieśni miłosnéj.

Na dobie było to *Dies irae*: uczucia Peronelli gasły z dniem każdym. Z pod pióra jednak wybiegały przyrzeczenia tak wierszem jak i prozą. W jednym z ostatnich listów pisze jeszcze: „Ani Dydona Eneasza, ani Biblis Caunusa, ani Medea Jazona, ani Helena Parysa, nie kochała jak ja ciebie!

Ale nie złapać starego wróbla na plewy! Machaut za wiele miał doświadczenia, aby pod tym nawałem brzmiących a pustych słów, nie wyczytać zmiany w drogiém mu sercu. Żali się téż w naiwny sposób: „Od miesiąca, pisze, więcéj niż przez trzydzieści nocy, nie miałem snu na oczach.“

Jeżeli zmordowany zaśnie na chwilę, dręczące sny odbierają mu spokój. Obraz panienki, który ma na ścianie, staje mu niby przed oczyma. Cóżto? przemieniła sukienkę? miała błękitną a teraz przyoblekła zieloną? Kolor zielony znaczy nowość! Odwróciła główkę, nie patrzy na niego jak zazwyczaj. Biédny Machaut, zrywa się z łoża o północy, zapala świecę, biegnie do obrazu! wszystko na nim jak było, i sukienka błękitna, i wzrok ku niemu obrócony. „Morfeusz ladaco, zażartował sobie ze mnie," powtarza w duchu cokolwiek spokojniejszy.

Krótki to spokój. Dręczące myśli powracają z nową gwałtownością. I czemużto listy jéj tak krótkie? czemużto goniec tak dawno już nie przybył? Księga zapełniona ledwie w połowie, a tu wątek co chwila się urywa. I cóż w niéj pisać? poeta napróżno smaży głowę! czepia się rozmaitych przedmiotów; parafrazuje przemiany Owidyusza, potrąci niekiedy i o publiczne sprawy, powtarza rozmowę jaką miał we śnie z królem. Ilekroć zwróci myśl ku swéj pani, oko jego pochmurza się, widzi otwartą przepaść, co wnet pochłonie jego piękne nadzieje. Ilekroć spojrzy na wizerunek, boleść przepełnia mu duszę. Zdejmuje go wreszcie ze ściany, chowa do skrzynki, zamyka na klucz jedyny skarb jaki mu jeszcze został. Zielona sukienka dręczy go na jawie i we śnie, smętne téż poświęca jéj zwrotki.

Jam cię niestety, ukochał tak szczerze,
Gonię cię myślą od ciebie daleki;
Łzami spalone zbrzękły mi powieki,
A tyś mi droga nie dotrwała w wierze!
Dziś me nadzieje przepadły na wieki,
Odmieniasz serce z sukienką zmienioną:
Zamiast błękitnéj obłóczysz zieloną!

Przeklęte oczy że ciebie widziały,
Przeklęty dzień ten i godzina owa,
I twoja piękność i zwodnicze słowa,
Mój dziwny obłęd, i miłosne szały;
Przeklęte losy co mnie uplątały,
Gdy zmieniasz serce z sukienką zmienioną:
Zamiast błękitnéj obłóczysz zieloną!

Przeczucia spełniły się niestety! Przyjaciel kołacze w progi Machauta. Zaufany to powiernik Peronelli z Armantière. Z jéj polecenia oświadcza poecie, że odtąd nie wolno mu widywać pięknéj pani, ani nawet pisywać do niéj listów. Z niezbyt jasnych słów powiernika, snadno odgadnąć że Peronella zaręczona a może poślubiona już z innym. Biédny *podskarbi* pozostał przy tytule: skarb jego zabrała obca ręka!

Serce poety wzbiera żalem. Na zapytanie co każe powiedzieć pięknéj pani, wyrzuca z piersi długo tajoną gorycz. Oto polecenie jakie daje powiernikowi. Skracamy je więcéj niż o połowę:

Ile razy świat szeroki
Przedeptały ludzkie kroki,
Ile dźwięków z ranną rosą
Po przestrzeni dzwony niosą;
Ile razy gdzie krew ciecze,
Wali topór, godzą miecze;
Ile wiosną na dolinie
Traw i ziółek maj rozwinie;
Ile kłosów dzwoni w polu,
Ile zliczysz w nich kąkolu;
Ile śpilek zimą rośnie
Na zielonéj w boru sośnie;
Ile wody kropel w morzu,
Ile gwiazdek na przestworzu;
Ile rybek skacze w wodzie,
Buja ptasząt na swobodzie;
Ile jabłek rodzą sady,
Słodkich jagód winogrody;
Ile z oczu łez pociekło,
Ile ofiar liczy piekło;
Ile kości ziemia grzebie,
Ile duchów czystych w niebie,
Ile muszek w ciągu lata
Pobrzękuje w okół świata;
Ile w słodkich ułud chwile
Kłamstw i przysiąg brzmiących mile,
Zwodniczemi zbiegło usty;
Ile westchnień z piersi pustéj;
Zlicz te wszystkie miliony:
Tyle w duszy méj strapionéj,
Milionów dziś się mieści,
Kolców, szydeł i boleści!

A powiernik na to rzecze:
—Przez Bóg żywy, stój człowiecze!
Bym dociągnął rzecz do końca,
Muszę zacząć z brzaskiem słońca.
Do wieczora bluzgać słowy,
A nie powiem i połowy;
Chcę ci przecie służyć szczerze:
Bądź zdrów, miły mój Truwerze!

Tak się zakończyła miłość Peronelli z Armentiere i Wilhelma Machauta, odgrzebana dziś z prochu niepamięci przez bibliofilów francuzkich. Imię Peronelli *przepadłoby* bez wieści, gdyby go Machaut nie pomieścił w anagramie przy końcu wierszowanego pamiętnika.

Książka ta ciekawa dla lingwistów i psychologów, jakeśmy wyżéj powiedzieli, nie może przecież zająć czytelników, którzy szukają przyjemności w literaturze. Język chropawy i niewyrobiony, zbytecznie utrudza czytanie. Glossaryusz tłumaczy wprawdzie przestarzałe wyrazy, ale same zwroty dziś już nieużywane, czynią wątek trudnym do pochwycenia.

W zeszłéj kronice mówiliśmy o obrazach z tegorocznéj wystawy Paryzkiéj; dodajemy dziś słówko o rzeźbie. Kiedy wszedłszy do oszklonego ogrodu na Polach Elizejskich, ogarnęliśmy wzrokiem te setki grup, posągów i popiersi, tak cudnie odbijających na tle zielonéj murawy, pod cieniem palm i rozkwitłych azalei, zdawało nam się że jesteśmy w zaklętym świecie duchów; mimowoli przyszła nam na myśl sławna definicya Mickiewicza, iż rzeźba najwyższym jest objawem sztuki, gdyż ona jedna może przedstawiać *duchy*, w formie, w jakiéj według tradycyi wszystkich ludów, cudowne widma przedstawiają się niekiedy oczom śmiertelnych. Czém jest sztuka? pyta nasz wieszcz natchniony: to widzenie nadziemskie, przyobleczone w formę! Czem talent artystyczny? ta nitka łącząca myśl artysty ze światem niewidzialnym! Czémże chwila natchnienia? na to inny poeta, autor Maryi, wymowną daje odpowiedź:

Drgnęła nić, którą serce do nieba związane,
I kropla słodkiéj rosy upada na ranę!

Zbyt wysokie zaprawdę kryteryum dwóch wieszczów naszych, abyśmy na jego miarę, mogli oceniać ogół rzeźb wystawionych w tym roku. Większość artystów idealizuje zapewne materyą, ale w sposób w jaki idealizowali ją Grecy, szukając w doskonałości formy ziemskiego tylko piękna. Są przecież i tacy, w których sercu drga tajemnicza nić i sprowadza z nieba ową rosę, ożywiającą spiż lub marmur pod dotknięciem ich ręki.

Na czele tych wybranych stoi niewątpliwie p. Chapu. Cudnie piękna *Młodość* jego dłuta, uważana powszechnie za perłę tegorocznéj wystawy. Ta *Młodość* w postawie dziewicy, pełnéj natchnienia i zapału, z głową podniesioną wstępuje na piedestał kolumny, prawą rękę wyciąga w górę, trzyma w niéj gałązkę bluszczu i wieńczy nią popiersie bohatérskiego Regnaulta, wielkiego malarza poległego pod Busenwalem. Ani popiersie, ani kolumna nie wykonane dotąd; mimo to wszystkich oczy zwracają się z zachwyceniem na tę *Młodość*, w któréj artysta uosobił Francyą, odrodzoną po klęskach, pełną wiary, miłości i nadziei.

Panuje niemniéj na wystawie prześliczna grupa Merciera: *Gloria Victis*. Podziwialiśmy już w roku zeszłym ten utwór w gipsowym odle-

wie. Dziś wykonany ze śpiżu, wspanialéj się jeszcze przedstawia. Jakże wymowny ten konający młodzian w objęciach sławy, szczęśliwy że wytoczył krew w świętéj sprawie, że tą krwią okupił cześć narodu; że Francya patrząc na wysilenia własnych synów, powiedzieć może dziś to co wyrzekła pod Pawią: „*Wszystko stracone oprócz honoru!*"

Z równą potęgą uczucia, młody artysta Fremiet wykonał posąg Joanny d'Arc. Zwycięzka dziewica w hełmie i pancerzu, klęczy na płycie kamiennéj ze złożonemi do modlitwy rękoma; gałązka bluszczu zatknięta za hełm, świadczy o świeżym jéj tryumfie. Na jéj natchnionem obliczu odbija głęboka pokora połączona z niezłomną wiarą.

Po raz drugi Fremiet odtwarza postać bohatérki. Widzimy już od roku wykonany jego dłutem, konny posąg Joanny na placu Pyramid, w miejscu gdzie przed czterema wiekami odniosła cudowne zwycięztwo. Wielu krytyków powstawało zbyt lekkomyślnie na ten utwór, prawdziwi jednak znawcy przyznają mu wysoką wartość. Z pomiędzy licznych rzeźbiarzy, którzy odtwarzali dłutem tę wielką postać dziejową, sam jeden Fremiet pamiętał, że Joanna d'Arc żyła w XV wieku. Ztądto nadał posągowi archaiczny charakter, nie przypadający do smaku estetykom, którzy poza obrębem klassycznéj szkoły greckiéj, nie pojmują artystycznego piękna!

W obec takich utworów sztuki jak powyższe, Francuzi powtarzają *sursum corda*, podnoszą głowę z otuchą, patrzą w przyszłość spokojném okiem:

I kropla słodkiéj rosy upada na ranę!

Z pomiędzy znacznéj liczby religijnych przedmiotów uderza ogromem i wspaniałą prostotą, symboliczny posąg religii, dłuta p. Bourgeois, przeznaczony na fronton do kościoła sorbońskiego. Zwraca niemniéj uwagę Chrystus na krzyżu p. Thomas: tors szczególniéj wykonany po mistrzowsku. Bardzo téż piękny anioł z koroną cierniową w ręku, p. Pascal. Wspomnimy tu jeszcze śliczną grupę p. Lenoir, nagrodzoną złotym medalem: przedstawia św. Sebastyana przypartego do pnia dębu, z utkwioną w piersi strzałą. Anioł spływający na obłoku, trzyma palmę nad głową męczennika.

Zarzucaliśmy francuzkim malarzom, że przepomnieli staro-galskich tradycyj; rzeźbiarze nie zasługują na ten zarzut. P. Talhuet, w wielkim posągu marmurowym, przedstawia Brennusa wprowadzającego winną latorośl do Galii. Pogromca Rzymian stoi w śmiałéj postawie, jednę rękę oparł na włoczni utkwionéj w ziemię ostrzem, w drugiéj trzyma gałązkę winogradu. Tors nagi, skóra zwierza przewieszona przez ramię spadająca poniżéj kolan, nadaje mu dziką i butną postać.

Niemniéj charakterystyczny młody Gal, dłuta p. Baujault. Według starożytnego obyczaju, ten kto piérwszy dostrzegł rozkwitłą świe-

żo jemiołę, uważany był jako wybraniec bogów: Druidowie przyjmowali go do grona swego. Młody Gal prawą nogą nastąpił na gruby korzeń dębu, w lewéj ręce trzyma sierp, prawą podnosi tylko co odciętą jemiołę. Sam pomysł prawdziwie poetyczny nagradza małe uchybienia dłuta, które łatwo przebaczyć młodemu rzeźbiarzowi. Bodajby ta jemioła tryumfalnie ukazana Druidom, przemówiła do artystów francuzkich i ukazała im bogate krynice poezyi wytryskające ze staro-galskich podań!

Pomijamy rzeźby mitologiczne; nie zatrzymamy się nawet nad Perseuszem z odciętą głową Meduzy, pana Tournois, który ściąga poklaski krytyków, zamiłowanych w klassycyzmie greckim. Z przedmiotów starożytnych zajęła nas więcéj statua Arystotelesa w młodzieńczym wieku, dłuta p. Desgeorges. Chłopiec siedzi z pochyloną głową, wspartą na lewéj dłoni, oczy wlepił w pargaminowy rękopism rozpostarty na kolanach. W prawéj ręce spuszczonéj ku ziemi, trzyma blaszaną kulę, gdyby sen zmorzył młodego myśliciela, kula spadając w naczynie metalowe, rozbudzi go swym brzękiem. Całość wykonana pięknie, w dziecięcych rysach odbija myśl głęboka. Za tę pracę artysta otrzymał drugi medal.

Popęd do przedmiotów rodzajowych, objawia się zarówno w rzeźbie jak w malarstwie. Najwyżéj tu postawimy grupę p. Delaplanche zwaną *Education maternelle*. Młoda matka z głową obwiązaną w chustkę na sposób wiejski, siedzi na prostéj ławie z elementarzem w ręku, pokazuje litery czteroletniéj dzieweczce. Powaga w rysach matki stanowi sprzeczność z figlarną miną dziecka. Piękna ta grupa przed dwoma laty, wystawioną była w odlewie gipsowym, dziś wykuta z marmuru, doprowadzona do naturalnych rozmiarów, okazuje się w całéj piękności.

Do rodzajowych należy także grupa p. Falguièra: *Szwajcarya przyjmująca armią francuzką*. Matrona szwajcarska z obliczem poważném i szlachetném, podtrzymuje młodego żołnierza, napół omdlałego ze znużenia i trudu. Całość rzewna i prawdziwie wymowna. Miasto Tuluza nabyło tę grupę; ofiarowało ją Szwajcaryi w hołdzie szczeréj wdzięczności.

Niemniéj zajmujący ów chłopak przywiązany do drzewa za nogę i za ramię, napół odarty z odzieży. Podczas wojny 1871 roku, mówi napis, włościanie (Alzacyi), którzy nie chcieli wydać współbraci swoich, chwytani przez pruskich ułanów, przytroczeni do drzew umierali na mrozie. P. Destreez oddał z niepospolitym talentem rysy nieszczęśliwego, skurczone od zimna i boleści.

Dwa pomnikowe posągi uderzają oczy ogromem. Jeden z nich sławnego Jakóba Coeur mieszczanina wieku XV, który dorobiwszy się ogromnego majątku, oddał go na potrzeby Francyi trapionéj najazdem angielskim. Piękny ten pomnik dłuta Prioula, przeznaczony do miasta Bourges, kolebki wielkiego patryoty. Drugi pomnik sławnego Champol-

liona, który przekazał światu klucz do czytania hieroglifów, otoczony godłami egipskiemi, wykonany bardzo pięknie przez Bertoldego. Nie wiemy dobrze jego przeznaczenia.

W niesłychanéj liczbie popiersiów, uderzył nas szczególnie wielki biust arcybiskupa Darbois i niemniéj piękny prezydenta Bonjeau, nieszczęśliwych ofiar komuny. Ostatni przeznaczony do dźwigającego się z gruzów pałacu sprawiedliwości.

Kilku rzeźbiarzy włoskich przysłało prace swoje na wystawę. Torelli z Florencyi wykonał posąg Torquatta Tassa w młodych latach, przybranego według mody XVI wieku. Ugo Zanoni, Medyolanczyk przedstawił pod tytułem *Nauka* i *praca*, młodą dzieweczkę wiejską z pończochą w ręku, z oczyma zwróconemi w roztwartą książkę. Najważniejszą ze wszystkich prac włoskich, jest grupa Bersaghego wyobrażająca córkę Faraonową, nad kołébką ocalonego Mojżesza. Prace te przyjęte były obojętnie, jakoż w rzeczy saméj, daleko im do téj wytworności jaką podziwialiśmy w rzeźbach mistrzów włoskich, na międzynarodowéj wystawie 1867 roku. Zdaje nam się jednak, że krytyka niesprawiedliwą okazała się w tym roku dla Bersaghego. Przyczyną tego może być okoliczność, że ten mistrz wykonał w tymże czasie wielki posąg konny Napoleona III-go, na który Lombardya złożyła 190,000 franków. Pomnik ten z napisem: *Oswobodzicielowi Włoch*, ma wkrótce ozdobić ogród publiczny w Medyolanie.

Z ziomków naszych, trzech tylko umieściło rzeźby swoje na wystawie paryzkiéj: p. Boryczewski z Wilna, piękne popiersie hrabiego S., p. Teodor Rygier z Warszawy, Najświętszą Pannę z Dzieciątkiem Jezus, płaskorzeźbę marmurową pełną zalet; p. Grabowski rodem z Angers płaskorzeźbę gipsową *St. Esperence.* Żałujemy szczerze iż aniołki pana Brodzkiego zbyt późno nadeszły z Rzymu, byłyby niewątpliwie przyczyniły się do ozdobienia wystawy, jak prześliczne dzieciątka w 1864 r.

P. Cypryan Godebski nie nadesłał nic, wiemy jednak że mistrz ten bynajmniéj nie spoczywa. W tych właśnie dniach pomieszczono na cmentarzu Montmartre, wspaniały pomnik grobowy, wykonany jego dłutem, poświęcony pamięci Teofila Gautier, zmarłego niedawno poety i estetyka. Na wielkiéj płycie granitowéj, stoi sarkofag z marmuru karraryjskiego. Muza smętna i zadumana siedzi na tymże sarkofagu, wsparta o medalion poety. Wykonanie prześliczne, co zaś do pomysłu nie wszystkich zadawalnia ta pogańska muza na grobie chrześcijańskim. Trudnoż przecież obwiniać o to artystę; Gautier sam podał przed śmiercią myśl do monumentu. Artysta nasz wykonał tę wielkę pracę, odmawiając wszelkiego wynagrodzenia. Tak szlachetna bezinteresowność zdziwiła i ujęła Francuzów.

W téj chwili p. Godebski pracuje nad pomnikiem dla Juliusza Janin. Nie znamy jeszcze planu, sądzimy jednak że krzyż zastąpi tu grecką muzę; wiadomo że Janin szczerym był chrześcijaninem.

Umarła niedawno w blizkości Paryża jedna z najznakomitszych pisarek francuzkich, pani Hortensya Cornu, wdowa po słynnym malarzu zmarłym przed kilku laty. Pani Cornu, zbyt głęboko była uczona, aby imię jéj mogło znaleźć powszechny rozgłos. Nie występowała zresztą nigdy w własném imieniu, ale i pseudonym jéj *Sebastyan St. Albin* nie większą znalazł popularność. Ludzie jednak prawdziwéj nauki, znali i oceniali znakomitą erudytkę, członkowie *akakemii napisów* wzywali ją na swoje posiedzenia, zasięgali jéj rady, używali jéj silnego wpływu na wprowadzenie reform naukowych.

Przeciwnicy sami cesarstwa, jak na przykład Renan, przyznaje, że od roku 1860, po nieprzyjaznych dla poważnéj nauki czasach Ludwika Filipa, nastąpiło we Francyi odrodzenie. Postęp objawił się szczególniéj na polu krytyki historycznéj i nauk filologicznych. Poza obrębem lekkiéj literatury, utworzyła się wysoka powaga naukowa. Minister Duruy sprawcą był owych reform, duszą ich była pani Cornu.

Ta niepospolita kobiéta urodziła się w Paryżu, w roku 1809. Matka jéj pani Lacroix była damą dworu królowy Hortensyi i nieodstępną towarzyszką. Królowa trzymała do chrztu dziewczynkę, któréj dano téż imię Hortensya. Młodsza o rok od Ludwika Napoleona, mała rówieniczka chowała się z nim razem, dzieliła z nim zabawy a następnie nauki. Podczas wykładu professorów dwoje dzieci siedziało przy jednym stole, spisywało razem notaty, odpowiadało na pytania. Cisza i samotność w domu królowéj czyto w Arenembergu czy w Augsburgu, usposobiała małą Hortensyę, do skupienia się w myśli własnéj i do korzystania z udzielanych jéj nauk.

W pierwszéj młodości panna Lacroix przebywała częstokroć na dworach panujących książąt niemieckich, zjednała sobie szczególniéj względy księżny badeńskiéj Stefanii, spokrewnionéj z królową Hortensyą. Byłato w Niemczech świetna epoka literackiego rozkwitu; wpływ ten musiał oddziałać na młodą Francuzkę i rozwinąć wrodzone jéj zdolności. Więcéj jeszcze oddziałał na nią kilkoletni pobyt w Rzymie, w témto ognisku sztuk pięknych, dzięki niezmordowanéj wytrwałości, zdobyła ową erudycyę, jaką przyznał jéj świat naukowy.

Podczas pobytu w Rzymie Hortensyi Lacroix, kształcił się tam w szkole francuzkiéj, pełen talentu malarz, Sebastyan Cornu, uczeń Flandrina. Młoda erudytka poznała i zaślubiła artystę, który miał wkrótce zasłynąć, jako jeden z pierwszych malarzy religijnych we Fracyi. Powrócili razem do Paryża. Pani Cornu wystąpiła wówczas na literackiém polu, okrywając imię swoje pseudonymem. Wydała nasamprzód przekład ballad i pieśni ludowych w Niemczech (1841), następnie dzieło w dwóch tomach, pod tytułem *Goete i Bettina*. Pisała oprócz tego, do rozmaitych pism i przeglądów. Najważniejszą jéj pracą były rozprawy naukowe o sztuce włoskiéj w XVIII wieku, zamieszczone w Nowożytnéj Encyklopedyi Didota. Zebrała liczne materya-

ły do ikonografii. Zamiarem jéj było szczególniéj wypracować historyę krucyfiksu; niewiadomo o ile praca ta posunięta została.

Wyrwana z dawnych stosunków, oddalona od towarzysza pierwszéj młodości, pani Cornu utrzymywała z nim jednak stałą korrespondencyą, przyklaskiwała z całéj duszy utworom literackim Ludwika Napoleona; ogłoszone przezeń *Idee Napoleońskie*, odpowiadały zupełnie jéj przekonaniom: „Czego nam pragnąć dla Francyi? pisał młody wygnaniec, oto, rządu odpowiedniego naszym potrzebom, naszéj naturze! potrzebą naszą równość i wolność, z natury naszéj musimy być gorącymi promotorami cywilizacyi"! Słowa te znajdowały szczery oddźwiek w jéj sercu, podczas kiedy książę przebywał w twierdzy Ham, pani Cornu pomagała mu z daleka w pracach historycznych, przesiadywała po całych dniach w bibliotece publicznéj, wypisywała dla niego rozmaite dokumenta, dostarczała mu wszelkich książek jakich zażądał. Późniéj po pamiętnym zamachu grudniowym 1851 r., kiedy Ludwik Napoleon został cesarzem, pani Cornu szczera republikanka, zerwała z nim wszelkie stosunki. Po kilku latach jednak zbliżenie znowu nastąpiło; wówczasto wpływ światłéj kobiéty na umysł cesarza, pokazał się prawdziwie zbawiennym. Za ministra Duruy, wprowadzone zostały szkolne reformy, z których Francya zbiera dziś obfite owoce.

Tak w literaturze jak w sztukach pięknych, pani Cornu trzymała się ściśle klasycznych tradycyj. Wykarmiona wzorami starożytnych i włoskich mistrzów z epoki odrodzenia, troskliwém okiem patrzała na nowy zwrot, przeczuwając nadużycia szkoły romantycznéj i konieczne jéj następstwo, przewagę realizmu nad ideałem. Nowa teorya *sztuka dla sztuki, literatura dla literatury*, znajdowały w niéj nieprzebłaganą przeciwniczkę. Tak w literaturze, jak w sztuce, widziała przedewszystkiem, potężne siły, popychające społeczeństwo na drogę postępu. Ktokolwiek we Francyi trzymał pióro lub pędzel, powinien był pracować, nasamprzód dla chwały i pomyślności kraju swego; przez Francyą zaś, na pożytek ogólny cywilizacyi świata.

Działalność jéj zakończyła się z początkiem wojny. Odtąd nie widziała cesarza. Zamieszkała z mężem w bliskości Wersalu. Cornu umarł złamany klęskami Francyi. Pani Cornu uczuła boleśnie stratę męża, z którym przeżyła czterdzieści lat, w prawdziwéj miłości i zgodzie. Odtąd życie jéj było wolném konaniem. Trawiła ostatek dni, w zupełném odosobnieniu od ludzi, przywiedziona niemal do ubóstwa. Po śmierci, Francuzi podnieśli ze czcią jéj pamięć, oddając hołd zasługom téj prawdziwie wyższéj kobiéty.

W liście pisanym do nas przez professora Aleksandra Chodźkę, znaleźliśmy ciekawe szczegóły o wydaném niedawno dziele pana Waltazara Bogisicza, Raguzanina z rodu, professora prawodawstwa porównawczego ludów słowiańskich, w Uniwersytecie Odeskim. Obszerne

to dzieło o prawie zwyczajowém u południowych Słowian, wydane zostało w Zagrzebiu, kosztem tamecznéj akademii. Posyłamy ten wyjątek z listu szanownego korrespondenta naszego, w mniemaniu że zająć może uwagę, nie jednego z naszych czytelników.

„Czarnogórski Władyka Mikołaj postanowił w roku 1873, spisać statut praw dla Czarnogórców; do ułożenia tegoż statutu powołał uczonego Bogisicza. Mieli już Czarnogórcy próbę niejakiéj kodyfikacyi; byłato mieszanina kilkadziesięciu artykułów, pożyczonych przez Raguzę z prawa rzymskiego, a późniéj z kodeksu Napoleona. Ale obok tego istniały prawa zwyczajowe, które lud umiał na pamięć i któremi się rządził. Otóż więc, że te miejscowe prawa, podobne z małemi odmianami, u wszystkich Słowian południowych, Bogisicz wpadł na myśl zebrania ich razem w jedno ciało. Podróżował zatem po różnych stronach, dotarł nawet do Kaukazu, zbierał zwyczaje, przysłuchiwał się sądom prostego ludu, spisał nareszcie około dwa tysiące pytań, które rozesłał po krajach południowo-słowiańskich. Wezwał do pomocy uczonych i prostaków, a dla zachęty zbieraczy, obiecał darować swoją publikacyą, każdemu ktoby odpowiedział na dziesięć pytań. Te odpowiedzi, opracowane i przyłączone do własnych spisów Bogisicza, utworzyły księgę złożoną z 712 stronic.

„Aby uporządkować rzecz jak należy, Bogisicz rozdzielił swoje pytania, według systematu prawodawstwa rzymskiego, nadawszy im ogólny tytuł: *Zbiór dzisiejszych prawnych zwyczajow u Poludniowych Słowian.* Dzieło ma i tytuł łaciński: *Collectio consuetudinum juris apud Slavos meridionales etiamnum vigentium.*

Pod działem prawa prywatnego są odpowiedzi na 505 pytań, tyczących się gałęzi wewnętrznego prawodawstwa. Bardzo ciekawe szczegóły o urządzeniu rodzin słowiańskich, określona tak zwana *Zadruga*, czyli gmina, rządząca się sama przez się wybieranemi z łona swego starszynami: orzą, sieją, rzną razem; wszystko należy do wszystkich, a rada gminna udziela każdéj rodzinie według jéj potrzeb. Znajdujemy tu jeszcze obrzędy i zwyczaje przy weselach. Jak się urządza dziedzictwo? Jak się kupuje i sprzedaje własność gminna i prywatna? granice i kopce, warunki pracy i służbę robotników; zwyczaje przy zawieraniu ugod i t. p.

„Drugi dział *prawo publiczne*, obejmuje odpowiedzi na 151 pytań. Objęte w nich: dzierżawa, podatki, własność gminna i osobista, procedura karna, niezmiernie ciekawa, pełna moralności i mądrości. Ważne bardzo szczegóły dotyczące *prawa publicznego wewnętrznego*: sądy i stosunki ojca do syna w obliczu prawa, żony do męża, świadkowie; różnica jaką lud czyni pomiędzy zbrodnią a grzechem; kradzież i wynagrodzenie za nią; skarb dziewiczéj cnoty, pijaństwo i włóczęgostwo, krzywoprzysięstwo i t. p.

„*Prawo publiczne zewnętrzne*, wyświetla pojęcia ludów słowiańskich o narodach obcych; określone tu: dobra wiara, granice, poszanowanie cudzéj własności, stanowisko brańców wojennych płci obojéj.

Jedném słowem, dzieło Bogisicza obejmuje mnóstwo szczegółów etnograficznych, nadzwyczaj ciekawych dla nas Słowian.

Oto kraje z których Bogisicz zbierał odpowiedzi: Tracya, Serbia, Bośnia, Hercegowina, Dalmacya, Banat, Syrmia, Slawonia, Kroacya, a nawet niektóre krainy Kaukazkie, gdzie spotykał podobieństwo praw miejscowych ze słowiańskiemi".

Oryginalna to i nadzwyczaj ważna publikacya, jak widzimy z listu szanownego professora. W żadném społeczeństwie europejskiém nie poddano dotąd na tak szeroką skalę, praw zwyczajowych pod kryteryum prawa rzymskiego, jak to uczynił pan Bogisicz. Pragniemy jak najprędzéj poznać się z całością téj pracy. Autor przyłączając odpowiedzi na zadane przez siebie pytania, oznacza naturalnie miejscowość, zkąd jakie odpowiedzi były mu nadesłane. Tu dopiero okaże się po raz pierwszy, w jakich to mianowicie stronach przeważa indywidualizm cechujący głównie cywilizacyą wszystkich ludów Aryjskich, w jakich znów przeważa patryarchalizm demokratyczno-komunistyczny, którego odbiciem jest owa *Zadruga*, szeroko jak widać rozbierana przez uczonego Raguzanina. Po raz pierwszy dopiero, krytyka porównawcza cywilizacyi ludów, znajdzie dostateczne żywioły do wykazania, w jakim stosunku owe urządzenia kumunistyczne, praktykowane w niektórych miejscowościach u Słowian południowych, zostają do komunizmu stanowiącego zasadniczą cechę, ludów uralsko-semityckich. Komunizm musiał istnieć i u aryjskich ludów, naprzykład w czasie wędrówek ludu pod wpływem zewnętrznych okoliczności, gdy grożące im niebezpieczeństwo zmuszało ich do ścisłego skupienia; lecz dla ocenienia, czy w danych plemionach przeważają skłonności patryarchalno-komunistyczne jak u ludów uralsko-semitycznych, czy indywidualizm jak u ludów cywilizacyi rzymskiej, potrzeba wziąść na uwagę instytucye kierujące narodami w długim szeregu wieków. Właśnie ciż sami Serbowie, którzy dziś rządzą się w części prawami *Zadrugi*, wydali z siebie kodeks cara Duszana, nacechowany wyrobem pojęć indywidualnych, w duchu prawa rzymsko-germańskiego. Dzieło pana Bogisicza wyjaśni niemniéj ważną kwestyę, co do wpływu prawa rzymskiego na tych Słowian, którzy wychowani byli w ciągu tylu wieków, pod bezpośrednim wpływem Rzymu, jak naprzykład Raguza kolebka autora, Dalmacya, słowem cała starożytna Illirya.

A oto mamy przed sobą inną publikacyą, dotyczącą nas jeszcze bliżéj: mówimy o książce pana Leger p. t. *Etudes Slaves*. Jakaż to różnica tych dwóch prac! Pan Bogisicz ograniczył się badaniem Słowian południowych, w ich prawnych zwyczajach; pan Leger zaś, jak zwykle tak i teraz, objął cały świat słowiański! W poważném dziele pana Bogisicza, uderza sama już wysoko uczona metoda, sam punkt wyjścia. Jeżeli się w czém myli, jeżeli go zwiedli niekiedy ci, których odpowiedzi drukuje, to przecież daje on swoję pracę, jako prosty, surowy ma-

teryał, bez pretensyi, bez oświadczenia z góry, że ma na widoku cel praktyczny, odpowiadający natychmiastowym potrzebom politycznym; pan Leger, wprost przeciwną obrał drogę. W dawniejszych rozprawach swoich, a szczególniéj w roku 1871, wypowiedział jasno, że sądy jego o Słowiańszczyznie, mają cel czysto praktyczny. W *Revue des Cours litéraires*, z 8 lipca 1871 r. rozbierając idee prawa u Niemców i u Słowian, mówi najwyraźniéj: „*Minęły czasy oględności! w oczekiwaniu przyszłego odwetu, nauka francuzka powinna dziś strugać strzałę z każdego drzewa i szukać sprzymierzeńców, gdziekolwiek napotkać ich może!*"

Takie to pobudki, wcale nie naukowe, kierowały dawniéj piórem p. Leger, takie nim dziś kierują. Nie my pierwsi zwracamy na to uwagą.

„Życzliwi przyjaciele, pisze p. Leger, w ostatniéj książce swojéj, skłaniali mnie częstokroć, abym skupił wszystkie siły, do jakiegoś ważnego dzieła, w którém mógłbym przedstawić syntezę moich poprzednich badań. Nie tracę nadziei, że kiedyś podejmę wielką pracę, na polu historyi, filologii, albo literatury. Dotąd okoliczności nie dały mi dosyć czasu, ani spokoju do jéj przedsięwzięcia. Nie brak mi materyałów. Jeżeli nie będę mógł ich spotrzebować, pragnę przynajmniéj ciągnąć daléj seryę owych studyów słowiańskich. Prowadzone bez przerwy, będą one kiedyś stanowiły *repertorium* ciekawe do badania dla tych, którzy zajmują się historyą polityczną i moralną plemienia, długo zapoznanego, a które trzyma w ręku przyszłość Europy i naszą!"

A więc p. Leger przyznaje sam, że pisma jego nie są ściśle naukowemi. I zkądże ta pretensya, aby „ci którzy zajmować się będą historyą polityczną i moralną ludów słowiańskich, budować mieli na nich swoje w przyszłości teorye?" Z jednéj strony pan Leger, pochlebia Słowianom, głosząc że od nich zależą losy Europy, i cóż ztąd kiedy z drugiéj strony, odbiera Słowiańszczyznie całą jéj przeszłość historyczną, skoro zaprzecza stanowiska jakie zajmowali w dziejach ludzkości Polacy i Czesi i inne narody tego szczepu! Zkądże rękojmia naukowa w autorze, który wyznaje sam, że gotów wystrugać strzałę z każdego drzewa, stosownie do potrzeb czasu i okoliczności?

W owych studyach słowiańskich znajdujemy jedyny ustęp poświęcony literaturze polskiéj. Pan Leger zbywa mimochodem, szkołę Mickiewicza i Krasińskiego, któréj podobało się jak mówi, pomięszać fantazyę Byronowską, z wyrażeniem osobistych walk i boleści. Autor pana Tadeusza, autor Irydyona, to Byroniści i nic więcéj!!

Francya, utrzymuje p. Leger znała tylko poetyczną (to jest Byronowską) stronę literatury polskiéj; należało jéj dać poznać stronę humorystyczną gieniuszu polskiego. Tę to stronę wykazuje w rozbiorze komedyi. *Zemsta za mur graniczny.*

„Fredro, mówi autor, zaciągnięty do armii Napoleona, przebywając w Paryżu w roku 1814, zbadał francuzkie teatra, co spowodowało jego wokacyą. Za powrotem do kraju egzemplarz Moliera, kupiony przypadkiem u żydka wędrownego, odkrył mu nieznane dotąd tajemnice sztuki (str. 255)." Mógł zapewne Fredro kupić Moliera od jakiegoś księgarza wędrownego, niepodobna jednak przypuścić aby zbadawszy teatra paryzkie na miejscu, nie miał wiedzieć o tym olbrzymie francuzkiéj komedyi. Wiedział o nim Fredro bez wątpienia; wprzód jeszcze nim go wypadki wojenne zagnały do Francyi. Znał także utwory Franciszka Zabłockiego, przezwanego słusznie Molierem polskim. Mocno przekonani jesteśmy, że gdyby nawet nie opuszczał kraju, i nie badał sceny paryzkiéj, byłby i tak został jednym z pierwszorzędnych komedyo-pisarzy, nietylko kraju, ale i wieku swego.

Pan Leger z pomiędzy wszystkich komedyi Fredra, wymienia trzy tylko, jako najsympatyczniejsze: *Damy i Huzary*, *Odludków i poetę*, *Zemstę za mur graniczny*; o *Geldhabie*, o *Cudzoziemszczyznie*, o *Ślubach panieńskich* ani słowa, jak gdyby te genialne utwory nie istniały. W przekonaniu naszém, ogólne, choćby treściwe wystudyowanie ośmnastu komedyi, lepiéjby dało poznać Francuzom naszego wielkiego komika, niż rozbiór szczegółowy jednéj sztuki, i to najtrudniejszéj do zrozumienia dla cudzoziemców z przyczyny cechującego ją ściśle ducha narodowego, co właśnie stanowi dla nas najwyższą jéj wartość.

Obok rozbioru, krytyk tłumaczy całe sceny, ale w przekładzie nikną owe dosadne rysy, owa świeża barwa, charakteryzująca mowę starych ojców naszych. Nigdzie ani przysłowia, ani tych słów, kipiących życiem, skrzydlatych, a tak dziwnie malowniczych przy całéj treściwości, jakiemi szczyci się przecudowny nasz język. Niech kto chce przetłumaczy ten ustęp:

Tak mi się tam w dobrą chwilę
Nawinęła słodko, mile,
Dała zézek, umizg taki,
Żém posunął w koperczaki;
Ona daléj w ceregiele,
Ni siak, ni tak, tędy siędy,
A ja sobie coraz bliżéj,
Śród chichotek, śród gawędy,
Bliżéj, bliżéj... cmok nareszcie!
A! zrobiłem wstyd niewieście:
Jak alkiermas wskroś spłonęła,
Mnie konfuzya ogarnęła,
Tak, że wziąwszy zapas nogi,
Chciałem drapnąć za trzy progi!

Cały Cześnik odmalowany w tych kilku rysach. Pan Leger, cofając się przed podobieństwem, opuścił ten i temu podobne ustę-

py; opuścił też Papkinowskiego krokodyla, opuścił co najważniejsza, ów prześliczny czterowiersz, tak prawdziwie dramatyczny, tak czysto narodowy, kiedy Cześnik na widok wroga w domu swoim, porywa za karabelę, a potém z rąk ją puszcza:

Nie wodź mnie na pokuszenie,
Ojców moich Wielki Boże!
Wszak gdy wstąpił w progi moje:
Włos mu z głowy spaść nie może!

Ustęp ten nie wzmiankowany nawet, należy on przecież do najcharakterystyczniejszych w téj pięknéj komedyi a nie nasuwał zbyt wielkich trudności w przekładzie.

Śmiesznie brzmi po francuzku rejent, przetłumaczony wprost na *regent*; właściwiéj byłoby użyć wyrazu *notaire*. Rejent uważany tylko we Francyi w znaczeniu zarządcy państwa.

Typ Cześnika, powtarzamy, zrozumiały wyłącznie dla nas, jak typ Falstaffa Szekspirowskiego, tak niesmaczny czy to w polskim, czy w francuzkim przekładzie, zrozumiały tylko dla Anglików.

Zobaczmy teraz jak krytyk na str. 256 ocenia arcydzieło. „Komedya lekka, zbliżona do komedyo-opery (!!), przypominająca na przemiany Marivaux i Skribego, zalecająca się może więcéj szczegółami, niżeli treścią samą.“

I cóż wynika z całego sądu p. Leger o polskiéj literaturze? Oto, że szkoła Mickiewicza była naśladowniczą, że Fredro uczeń sceny francuzkiéj, przypomina wymanierowanego Marivaux, który zostawił po sobie pamięć w wyrazie *Marivandage*, oznaczającym ckliwo wyszukaną gadaninę! Wartoż było na takie Marivandage, poświęcać aż czterdzieści ośm stronnic swojéj książki?

Boleść z utraty Alzacyii i Lotaryngii, gorącemi zgłoskami odbiła się tak w literaturze jak w sztuce francuzkiéj. Trudnoby wyliczyć wszystkie obrazy i rzeźby, wszystkie powieści i ulotne poemaciki, któremi Francuzi wypowiadają skargę rozżalonego serca. Na ostatniéj wystawie obrazów, uważaliśmy ładny obrazek Biarda, przedstawiający wygnańców alzackich w dziewiczych lasach. Myśl do obrazu wzięta zapewne z wybornéj książki p. Dubarry, która tylko co wyszła z druku p. t. *Rodzina emigrantów alzackich* na stałym lądzie Australii. Z prawdziwą przyjemnością przeczytaliśmy tę książkę, godną upowszechnienia a nawet przekładu. Młodzież znajdzie w niéj mnóstwo ciekawych szczegółów, o nieznanéj dotąd części świata, skreślonych w sposób niemniéj żywy i zajmujący jak przygody Robinsona Cruzoe.

Garstka Alzatczyków i Lotaryngów, złożona z dwódziestu osób, między któremi widzimy i kobiety i niedorosłe dziewczęta, puszcza się do Australii, wielkim żaglowcem Franklinem. Są wpośród nich

cieśle i rolnicy, jest grajek flecista, i nauczyciel wiejski Daniel z młodą żoną. Ten ostatni w liście do rodziców, opisuje przygody dalekiéj wędrówki. Zrazu wszystko idzie pomyślnie, poza przylądkiem Dobréj Nadziei zmienia się rzeczy postać. Okręt miotany burzą, rozbija się o skały. Wygnańcy wyrzuceni na wulkaniczną wyspę Amsterdam, innym, szczęśliwie napotkanym statkiem płyną daléj do Cap York: tu wysiadają na ląd. Wkrótce wyparci przez ludożerców Papuasów, kierując się według gwiazd i mapy, uchodzą ku południowéj stronie kraju. Trzymiesięczna ich podróż, to brzegiem morza, to znów dziewiczym lasem, pełna przygód wybornie obmyślanych; tysiące niebezpieczeństw grozi co chwila śmiałym wędrowcom: tu jadowite węże, tam straszniejsi tubylcy, ułaknieni krwi ludzkiéj. Dzięki rewolwerom, karabinom ocalonym z rozbicia, docierają do rzeki Murray; ztamtąd drogą żelazną jadą do wspaniałego miasta Melburne.

To miasto istniejące ledwie od lat czterdziestu, liczy dziś 200,000 mieszkańców; okazałością i życiem przypomina Paryż i Londyn. Cała południowa Australia wzrasta i zakwita, w równie zadziwiający sposób. Przed dwódziestu laty nie było tam ani śladu dróg żelaznych, dziś długość linii wynosi dwa tysiące kilometrow. Ową pomyślność zawdzięcza kraj z jednéj strony zupełnemu samorządowi: Wielka Brytania panuje tu ale nie rządzi, parlament złożony z dwóch izb, odmieniany co lat pięć, włada wyłącznie losami kraju. Z drugiéj strony, źródłem bogactwa powszechnego są ogromne kopalnie złota, przechodzące ważnością sławne miny Kalifornii.

Autor podaje ciekawą statystykę tego kruszcu, wydobytego z łona ziemi, od początku czasów historycznych. Niektórzy uczeni utrzymują, że w epoce starożytnéj, dawne kopalnie dostarczały złota, wartości ośmiu milionów franków, inni podnoszą cyfrę do dwudziestu. Od początku zaś ery chrześciańskiéj do dni naszych, wartość nowo wydobytego, wynosi pięćdziesiąt miliardów. Stosunek srebra mniéj więcéj odpowiedni. Ekonomista Mac Culloch utrzymuje, że procent jeden na sto, ginie rokrocznie w skutek rozbicia okrętów i manii zakopywania pieniędzy, właściwéj ludom wschodnim. Azya i Afryka nie oddają nigdy złota ani srebra w ilości odpowiedniéj napływowi. Według wiarogodnych obliczeń, dwa miliardy leżą zagrzebane w państwie marokańskiém, téj ostoi dawnego korsarstwa; nierównie więcéj kruszcu zagrzebali Chińczycy.

Sama Australia dostarczyła dotąd złota w wartości czterech i pół miliardów, według prawdopodobnego obliczenia. Kopalnie wzdłuż pasma gór Błękitnych zamykają w sobie jeszcze do pięćdziesięciu miliardów.

Nasi wędrowcy alzacko-lotaryngscy, dzięki opiece komitetu w Melburne, znaleźli pracę w tych złotodajnych kopalniach. Nie porwani jednak gorączkową chciwością złota, skoro podwoili mały kapitalik jaki przynieśli z kraju, zakupiwszy żyzny obszar ziemi, pobudowali dom-

ki, zajęli się hodowlą bydła. W téj nowéj Alzacyi prowadzą życie zgodne, spokojne i pracowite, w oczekiwaniu lepszych losów.

„Kiedy wieczorem po całodziennéj pracy — mówi narrator — chwytamy w płuca rzeźwiące tchnienia łąk tutejszych, rozmawiamy o tobie Francyo, i nieraz zalewamy się łzami, na myśl o klęskach, które nas popchnęły zdala od ojczystego gniazda.

„Wówczasto M. chwyta ligawkę, wygrywa pieśń bojową i łzy osychają nam z powiek; dreszcz przebiega wskróś serca, i przed okiem naszém przesuwają francuzkie bataliony, pełne wiary i zapału, niezwyciężone, jak to niegdyś bywało. Bębny grzmią, trąby dzwonią na hasło; szeregi nasze pędzą w cwał, uderzają na Niemców po krwi i trupach, zatykają trójbarwny sztandar na lewych brzegach odzyskanego Renu!

„To sen niestety! ale ten sen rozpogadza nam dusze, łagodzi boleść rozłączenia, budzi w sercach niezłomną wiarę w przyszłość. Chwila jeszcze, a to co dziś snem, jutro będzie rzeczywistością!"

Teatr berliński usiłuje gwałtem otrząsnąć się z wpływów francuzkich a iść naprzód o własnych siłach. Krytycy dodają bodźca autorom, głosząc, że dziś przyszła doba prawdziwego rozkwitu sztuki dramatycznéj w Niemczech zjednoczonych nierozerwalnym węzłem. Według nich, epoka Lessinga, Goetego i Schillera, była tylko przedświtem rannym, po którym słońce zaświeci w pełnym blasku. Słońce to nie wschodzi dotychczas! Krytycy, zawiedzeni w nadziejach, zżymają się, obrzucając szyderstwem każdy nowo pojawiający się utwór. Wywarli szczególniéj gniew swój, przeglądając repertuar teatrów berlińskich, z ciągu 1874 roku. Z tego przeglądu pokazuje się, że na cztery-sta przedstawień, sześćdziesiąt ledwie poświęcono nowym, oryginalnym sztukom. Było ich wszystkich sześć: z tych dwie tylko: *Pomyślny los* p. Lindau, i *Stary Szwed* Brachfogla, doczekały się piętnastu reprezentacyi. Cztery inne: *Realiści* Wicherta, *W Szarlottenburgu* Ringa, *Dwie próby* Rosena i *Syrena* Mozenthala, upadły po drugiém lub trzeciém przedstawieniu.

Zwrot do klassycyzmu objawia się żywo w Berlinie. Naliczono w ciągu zeszłego roku, do stu przedstawionych utworów klassycznych, bądź oryginalnych, bądź w tłumaczeniu. Z ich liczby wyłączony zupełnie Molier i sławni francuzcy tragicy; a przecież literatura niemiecka, oddawna ich sobie przyswoiła. Szekspir zato wielkiéj używa wzięłości między Niemcami, którzy od czasów krytyka Gerwinusa, widzą w jego utworach tryumf geniuszu germańskiego.

W tym roku takież samo ubóstwo. Z pomiędzy kilku nowych sztuk, odegranych świeżo w Berlinie, krytyka najwyżéj ocenia dramat Spielhagena p. t.: *Miłość za miłość*. Powtarzamy treść w kilku słowach. Rzecz dzieje się za czasu wojen Napoleońskich, w początkach tego wieku. Fritz Elbeck, zapalony nienawiścią ku Francuzom, zaciąga się do wolnego oddziału majora Schill'a. Ujęty w niewolę wraz

z przyjacielem swoim Bernardem, młodym teologiem, wywieziony został do jednéj z dalekich fortec francuzkich, gdzie miał przebyć lat cztery. Szczęśliwszy Bernard ratował się ucieczką.

Krewni Fritza, nie odbierając żadnéj o nim wiadomości, opłakali go w przekonaniu że umarł. Otarli wreszcie łzy dosyć bogatym spadkiem: w końcu zapomnieli o nim zupełnie. Narzeczona Szarlotta, obrała Bernarda za powiernika swych łez i udręczeń; Bernard płakał z nią razem. Codzienne pogadanki o Fritzu, miały dla nich wielki, zbyt wielki nawet urok. Skończyło się na tém, że zostawili w pokoju umarłego, a poprzysięgli sobie żywą miłość. Dzień ślubu już naznaczony; w wigilią dnia tego powraca Fritz do domu. Wszystko tu inaczéj jak było! Co krok spotyka nowy zawód. Zdradzony przez kochankę i przyjaciela, wątpi o świecie całym. Jakby na domiar, ciotka, która odziedziczyła po nim spadek, patryotka saska, oddana całą duszą Napoleonowi, podejmuje hojnie Francuzów, w tym właśnie domu gdzie Fritz się urodził i wychował. Było to w 1813 roku, na kilka dni przed bitwą Lipską. Biedny Fritz który uciekł z fortecy, przybywa pod zmyśloném nazwiskiem; ukrywa się między swemi jak obcy; Szarlotta ani słyszéć o nim nie chce: nowa miłość wyrugowała go całkiem z jéj serca. Wściekły z gniewu wyzywa Bernarda na pojedynek. Spotkanie ma nastąpić, kiedy komendant francuzki uwiadomiony o wszystkiém, aresztuje nieszczęśliwego.

Tu nagle dramat zmienia się w komedyę. Fritz, uderzony wdziękiem Elmy, młodszéj siostry Szarlotty, która w niebytności jego wyrosła z dziecka na dorodną panienkę, budzi w niéj wzajemne uczucie. Elma usiłuje uwolnić więźnia; daremne chęci! czujne oko komendanta, zakochanego w niéj także, nie dozwala spełnić zamiaru! Wtém uderzyły działa: bitwa pod Lipskiem zakończa rzecz najpomyślniéj. Bernard z oddziałem landwerów wpada tryumfalnie do zamku, Francuzi rejterują... Obie pary stają przed ołtarzem.

Przedmiot to raczéj do powieści, niż do utworu dramatycznego. Mimo wadliwego założenia; *Miłość za miłość*, zdobyła żywy poklask. Huk dział zwycięzkich pod Lipskiem, zagłuszył niedostatki dramatu. Radość na widok upokorzonych Francuzów, rozbroiła krytykę i rozbudziła patryotyczny zapał w społeczeństwie berlińskiém.

Dyrekcya teatrów, skazawszy na ostracyzm Moliera, Kornela i Rassyna, zmuszoną jednak była dla materyalnych korzyści, wbrew pociskom krytyków, przyjąć do repertuaru, niektóre sztuki nowszych francuzkich pisarzy, szczególniéj Skribego i Dumasa ojca: *Wiktorya Theater*, przedstawia téż z niesłychaną okazałością „podróż na około świata.“ Rzecz dziwna, że sprawozdawcy berlińscy, mówiąc o téj sztuce i o wywołanych przez nią oklaskach, przemilczeli zupełnie o francuzkiém jéj pochodzeniu.

Ludowe teatrzyki, mianowicie Wallner Theater, zawdzięczają niesłychaną wziętość swoją grubym farsom, w którym tak zwani *Franco-zen-frezery* rzucają najjadowitsze pociski w rodzaju Kladeradacza, na

pokonanych sąsiadów, z wielką uciechą siedzącéj nad kuflem piwa publiczności, ale z krzywdą zdrowego smaku. Mówiliśmy niedawno o jednéj z tych fars utworu sławnego kompozytora, Ryszarda Wagnera.

W teatrach francuzkich stagnacya w téj chwili, jak bywa zwykle podczas upałów letnich. Niekiedy połyśnie jakiś błędny ogniczek i natychmiast zagaśnie, gdy tymczasem dwie wielkie sztuki, któremi chlubi się słusznie tegoroczny repertuar: *Córka Rolanda* i *Podróż około świata*, ściągają bezustannie tłumy. Nie omyliliśmy się bynajmniéj, zapowiadając im wielkie powodzenie. *Córka Rolanda* odgrywana kilka razy tylko na tydzień, przez wzgląd na artystów, ma jeszcze przed sobą długą i świetną przyszłość. Twórca jéj pan Bornier, mianowany został jednomyślnie głównym sekretarzem Towarzystwa autorów dramatycznych. Nie wątpimy, że akademia francuzka uwieńczy piękne jego dzieło.

Podróż w około świata doczekała się już dwustukilkudziesięciu przedstawień: dyrekcya zmuszoną była odnowić do gruntu kostiumy i dekoracye. Dochód z téj sztuki przyniósł jéj przeszło dwa miliony franków. Tak bezprzykładny tryumf, dodał otuchy zwolennikom uczciwego teatru, którzy pracują nad ugodnieniem sceny i usunięciem z niéj skandalicznych widowisk. Żadna półświatowa komedya Dumasa, nie może pochlubić się tak niesłychaną wziętością.

Z pomiędzy komedyi przedstawionych w ciągu wiosny zasługuje na uwagę sztuka pana Cadol, pod tytułem *Babunia* (la Grand Maman), grana w Teatrze francuzkim. Sztuka ta podobała się ogólnie; zarzucają tylko niewłaściwość tytułu, gdyż w rzeczy saméj ta Babunia jakkolwiek sympatyczna, nie odgrywa tu głównéj roli. Oto treść w kilku słowach:

Poważna matrona, markiza de Trois Etoiles, ma jedyną córkę zaślubioną z hrabią de Briac. Małżonkowie pobrali się przed dwudziestu już laty, lecz pożycie ich nie było nigdy szczęśliwém. Od lat wielu mieszkają z osobna; postanowili nakoniec rozłączyć się w sposób urzędowy. Hrabia, nowy don Juan, od początku związków zraził ku sobie młodą żonę. Hrabina, pełna uczucia godności osobistéj, wychowana przez matkę w surowych zasadach, nie postawiła nigdy kroku na fałszywéj drodze; młodość jéj przeszła bez skazy, ale w skutek ciągłego targania, charakter jéj stał się cierpkim i opryskliwym. Zamiast przywiązać do siebie męża słodyczą i przebaczaniem uraz, odstręczyła go zazdrością, która z czasem zmieniła się w nieprzebłaganą niechęć.

W chwili gdy się rozpoczyna rzecz, jedyny syn hrabiostwa Armand, wyrosł już na dorodnego młodzieńca. Pokochał on piękną Alicyą Castel, córkę wysokiego urzędnika w sądownictwie, i nawzajem pozyskał miłość panienki. Młodzieniec wyznaje uczucia swoje przed babką, błaga aby go oświadczyła rodzicom Alicyi, którzy przybyli właśnie do jéj domu. Stara Markiza odpowiada łagodnie, że nie ma prawa prosić o rękę panny, rzecz ta bowiem należy wyłącznie do rodziców. Armand słysząc to, uczuł przykrą stronę położenia swego. Surowy

sędzia nie pozwoli zapewne na związek córki z młodzieńcem, którego rodzice nie umieli uszanować świętości domowego ogniska, którzy rozpoczynają właśnie gorszący proces o rozłączenie.

Kochająca babka, korzystając jednak z okoliczności, wyrzekła słowo za wnukiem, ale dumna pani Castel ani chce o nim słyszeć. Hrabina de Briac, na prośby Armanda, przybywa do matki, oświadcza sama syna: pani Castel milczy pogardliwie, sędzia odpowiada sucho: „Zaczem dam stanowczą odpowiedź, czekam na odwiedziny pana hrabiego."

Hrabia nie przybywa; choćby chciał przyjechać, nie może, w chwili rozpoczętego procesu. Armand w rozpaczy, postanawia opuścić kraj, wybiera się w daleką podróż. Nowa okoliczność ożywia jeszcze dramat. Młodzian wyzwał na pojedynek, jakiegoś awanturnika, który szarpał cześć matki. Byłto przyjaciel ojca, towarzysz zwykły jego zabaw.

Hrabia de Briac, dowiaduje się o tém w chwili gdy Armand przybył do niego na pożegnanie. Uniesiony gniewem na potwarcę, wydziera szpadę z rąk syna, staje do pojedynku: obowiązkiem jego jak mówi, pomścić znieważoną sławę małżonki.

W ostatnim akcie, kiedy rodzina Castel bawi jeszcze w domu staréj Markizy, drzwi się nagle otwierają, wchodzi hrabia lekko raniony, podając rękę żonie. Ostatnie wypadki przywiodły ich do upamiętania. Pogodzili się szczerze, zaniechali procesu: szczęśliwy Armand otrzyma rękę Alicyi.

Komedya wybornie odegrana, przyjęta była z żywym oklaskiem. Myśl w niéj zdrowa, uczucia prawdziwe, charaktery oddane wiernie, wszystko to wyłącza tę sztukę z liczby wielu gorączkowych i skandalicznych utworów, dzisiejszego repertuaru paryzkiego.

Świat muzyczny w Paryżu, zajęty wielkim koncertem Rubinstejna. W sali dawnéj Opery włoskiej, orkiestra złożona z dwóstu siedemdziesięciu artystów, wykonała pod dyrekcyą kompozytora, słynne oratoryum *Wieżę Babel*, która za Renem znalazła taki rozgłos.

W Niemczech *Wieża Babel* przedstawianą bywa jako opera: kostiumy i dekoracye dodają sztuce nie małego uroku. W Paryżu muzyka zastąpić musi wszystko, i wyrazić sama przez się całą akcyą. Oto treść biblijnego libretta:

Robotnicy spoczywają zmordowani. Bursa rozbudza ich i nagania do pracy: znoszą cegłę i cement, przytaczają bryły kamienne. Kotły syczą na ogniu, młoty uderzają w żelazo. Tymczasem spełnia się cud przed oczyma ludu. Młody Abraham, wychodzi żywy z płomienistego pieca, kędy wtrącił go Nemrod, doprowadzony do szału, śmiałemi jego pogróżkami. Każde plemię przypisuje cud bogu swemu. Osobne chóry śpiewają pieśń dziękczynną. Jedni sławią Baala, drudzy Molocha, inni Astartę. Wybrany lud opiewa chwałę Jehowy. Ocalony pasterz, pełen ducha bożego, usiłuje znów poniżyć szaloną pychę króla.

Spotyka go na wałach Babilonu. W końcu Nemrod pokonany proroczemi słowy, korzy czoło przed Bogiem Abrahama.

Lud śpiewa z królem pieśń dziękczynną. Aniołowie powtarzają z góry, Hozanna; szatani tymczasem obchodzą w otchłaniach piekielnych, tryumf ducha ciemności.

Następuje katastrofa. Pioruny biją w olbrzymie dzieło pychy ludzkiéj. Potworna wieża, wstrząśnięta w posadach, wali się z niesłychanym łoskotem. Wicher dmie, lud przerażony upada na kolana, poddając się bożym wyrokom. Skazany na wędrówkę po świecie, rozdziela się na trzy główne plemiona, każde z nich śpiewa chór oryginalny i charakterystyczny. Potomkowie Sema i Chama intonują hymny wschodnie, pieśń Jafetydów przypomina melodye wszystkich ludów europejskich. Chóry dają się słyszeć opodal za kulisami, gdy tymczasem przyrząd optyczny ukazuje widzom wędrówkę trzech wielkich ludzkich plemion.

Oratoryum wiele straciło pozbawione w Paryżu wszelkiéj wystawy. Abraham we fraku, dziwnie jakoś wyglądał, nie lepiéj Nemrod, w białym krawacie z ufryzowaną głową. Niektóre też ustępy wydały się zbyt długie i nużące. Inne za to sceny, jak chwila gdy pioruny druzgocą wieżę, sprawiły wrażenie na słuchaczach. Chwalą szczególniéj trzy charakterystyczne chóry, rozchodzących się plemion.

Na téjże scenie dawnéj Opery włoskiéj, odegrano w tych czasach poemat liryczny *Las*, utworu pani de Granval. Nie piérwsze to już dzieło kompozytorki francuzkiéj. Piękna symfonia religijna *Stabat Mater*, śpiewana w Wielkim tygodniu po kościołach, rozgłosiła już imię jéj w paryzkim świecie muzycznym. Nowy a prawdziwie poetyczny utwór *Las* z librettem układu saméjże pani Granval, dał poznać talent jéj z nowéj zupełnie strony. Kompozytorka umiała odczuć tajemniczą poezyę lasu, tak bogatą i urozmaiconą w swych objawach. Wyraziła ją z uroczystą powagą, w modlitwie porannéj kmieci wyrębujących drzewo w lesie, z naiwnym wdziękiem w duecie wiejskiéj dzieweczki i zakochanego młodziana; z całém bogactwem fantazyi, w chórze boginiek leśnych, pląsających po murawie w piękny ranek majowy, nakoniec z niepospolitą siłą w burzy rozpasanéj nad lasem. Finał świeży, pełen harmonii, jak pogoda wieczorna po skwarach i uraganach dziennych, godnie uwieńcza dzieło.

Wielu psychologów utrzymywało i utrzymuje dotąd, że kobiécie brak twórczéj siły do kompozycyi muzycznych. Dotychczas w rzeczy saméj kobiéta nie puszczała się na to szerokie pole, zostawiając je do uprawy gieniuszom wyłącznie męzkim. Ciekawi jesteśmy czy świetna próba pani de Granval, zniszczy zakorzenione uprzedzenia, czy też uporczywi teoretycy, uważać będą zdolną kompozytorkę, jako pojedyncze fenomenalne zjawisko.

Skoro zabłąkaliśmy się w świat muzyczny, powiedzmy jeszcze słówko o nowéj dwuaktowéj sztuce, odegranéj w teatrze Opery komicznéj, pod tytułem: *Miłość afrykańska.* Kilka miesięcy naprzód, dzienniki prawiły o niéj cuda, publiczność oczekiwała jéj niecierpliwie, z tą bowiem operetką łączą się trzy niepospolite imiona: najprzód samego kompozytora pana Paladilhe, który za dawniejszą pracę otrzymał nagrodę szkoły rzymskiéj; potém pana Légouvé, najsympatyczniejszego z akademików francuzkich, autora Medei, który ułożył libretto dźwięcznym i potoczystym wierszem: nakoniec imię zmarłego akademika Merimego, którego dramatyczny obrazek posłużył za tło do owego libretta. Mimo tych trzech tak świetnie połączonych imion, *Miłość afrykańska* słabo odpowiedziała powszechnym nadziejom; jakby usprawiedliwiając nasze przysłowie: „Gdzie wiele przygotowań, tam nic z dyalogu.“

Pomysł w rzeczy saméj bardzo dziwny, rzecz wyjaśniona z początku, musi koniecznie stracić urok.

Scena odbywa się w Cannes, pod słoneczném niebem Prowancyi. Zamieszkał tu z rodziną hrabia Beaulieu miłośnik pięknéj przyrody, zwolennik artyzmu w rozmaitych jego objawach. Nie jest to przecież rozkołysany marzyciel, umie on pogodzić idealizm z rzeczywistością. Uprawia kwiaty, poi się ich zapachem, a przytém wysyła je koszami do Paryża i spienięża za brzęczącą monetę. Pan Légouvé miał tu niewątpliwie na myśli znanego w literaturze Alfonsa Karr, który posiada w Nicei przepyszny ogród, z którego bukiety rozchodzą się po wszystkich europejskich stolicach. Hrabia Beaulieu szczęśliwy z zawodu jaki obrał wyraża tę radość w piosence:

Jam posłuszny wyższéj sile,
W ten zaklęty przybył świat,
Chciałem zostać krótką chwilę,
A przebyłem dziesięć lat.

Błogo płyną tu dni moje,
Czar się słodki w życie wsnuł;
Istna pszczółka serce poję
Słońcem, rosą, wonią ziół.

Nic nie mąci naszéj zgody,
Z pszczółką krążym tu i tam;
Ona z kwiatów zbiera miód:
Ja za kwiaty złoto mam!

Hrabina, zawołana gospodyni, uprzyjemnia życie poetycznemu i praktycznemu zarazem mężowi. Oboje lubią towarzystwo, raz po raz wyprawiają baliki i rauty, urozmaicone zwykle jakąś artystyczną niespodzianką. W chwili gdy myślą o nowéj zabawie, szczęśliwy traf przychodzi im w pomoc. Przybywają do domu dwaj przyjaciele,

w przejeździe z Rzymu: Paweł, artysta muzyk i Rajmund uczeń akademii sztuk pięknych; ten ostatni ma z sobą młodziuchną żonę Margaretę. Goście opowiadają wesoło przygody artystycznéj wędrówki, spotkanie z bandytami i t. p.; wreszcie od słowa do słowa, Margareta napomyka hrabiemu, że Paweł skomponował operę: *Miłość afrykańską*, że partycyą a nawet kostiumy wiezie w szkrzynce podróżnéj. Uszczęśliwiony hrabia, znalazł niespodziankę, któréj tak bardzo pragnął.

Drugi akt jest wprawdzie niespodzianką dla gości zaproszonych na wieczór do hrabiego, ale zapowiedziany z góry, nie jest nią dla widzów w teatrze. Muzyka wygrywa maurytańskie melodye, scena przedstawia spiekłe żarem piaski Afryki. Wpośród palm i kaktusów odgrywa się najstraszniejszy dramat. Śniady Maur z czarniejszym jeszcze Beduinem wydzierają sobie odaliskę. Jeden drugiemu zatapia sztylet w piersi. Morderca w zabitym poznaje przyjaciela, uniesiony rozpaczą tenże sam sztylet podnosi na kobiétę, główną przyczynę zbrodni.

Jeszcze jéj nie ugodził, kiedy hrabia Beaulieu zrzuciwszy kaftan czarnego niewolnika, wpada nagle na scenę.

— Dość tego!—woła ze śmiechem—wieczerza już gotowa.

Prolog, powtarzamy, zepsuł rzecz całą. Nie pojmujemy dlaczego autor libretta nie zachował rozwiązania na koniec sztuki. Chciał być do zbytku oryginalnym i popsuł cały effekt. Kompozycya muzyczna podobała się jednak, wiele artystek obsypano oklaskami.

Akademik Littre, naczelnik szkoły pozytywistycznéj we Francyi, wydał pod tytułem *Literatura i Historya*, artykuły pióra swego rozprószone po rozmaitych dziennikach i przeglądach. Część drugą historyczną składają rozprawy o buddyzmie indyjskim, o ekonomii politycznéj u starożytnych Rzymian i t. p. Do dzieła literackiego należą krytyki, przekłady poezyi Szyllera, nakoniec tak zwane przez autora *kawałki wierszem* (morceaux en vers).

Krytyka Littrego ma właściwy sobie charakter. Jettto uczona argumentacya, oparta na lingwistyce, naukach ścisłych i fizycznych wywodach. Ciemno tu jak w lesie, duszno i chłodno razem, a przedewszystkiém nudno! Określając różnice w literaturach, autor stawia jako kryteryum, geometryczne prawidła filozofii pozytywnéj. W rozwoju umysłowym danego plemienia, widzi on przyrodzony fenomen, obwarowany prawami koniecznemi. Myśl rozwija się według niego, na tychże samych zasadach, jak dąb wyrasta z porzuconéj w ziemię żołędzi. Miłość natury rozbudza się w ludziach, zdaniem Littrego, w miarę jak nauka oznacza związek człowieka z innemi jestestwami, jak wyjaśnia to co było dotąd tajemnicą.

Gdyby tak było w rzeczy saméj, owe *kawałki wierszem* autora, byłyby nacechowane tą miłością, wypływającą z wiedzy o pokrewieństwie z małpą, żabą albo wymoczkiem, bo i któż poznał lepiéj od niego, ową genealogią, tak zaszczytną dla rodzaju ludzkiego, bo sięgającą głębiéj w łono wieków, niż wszystkie znane dotąd genezy. Nie szukać

jednak iskierki miłości w tych wierszowanych sentencyach. Zimny doktor z nieprzebłaganym skalpelem w ręku, wszystko dyssekuje i rozbiera, doświadczenia anatomiczne czyni nawet na własném ciele, stygnącém od starości: kończymy dosłownie przełożonym czterowierszem:

Ciekawa i ucząca to anatomia,
Kiedy człowiek, gdy życie o zmierzchu się chyli,
W głąb swéj własnéj istoty, wzrok badawczy wpija,
Czując, jak ustępują siły w każdéj chwili.

Między powieściowemi utworami zwrócił uwagę romans pana des Essarts p. t. „*Andresina, kobiéta bez Boga.*“ Szalone wybryki téj kobiéty, wtrącają do grobu nieszczęśliwego męża i własną córkę; stary ojciec jéj umiera ze zgryzoty. Wolnomyślna, nienawistna społeczeństwu, spada ze szczebla na szczebel, aż nakoniec stacza się w przepaść. Zostaje „petrolezą,“ ginie na barykadzie w roku 1871. Smutne sceny tych czasów, oddał autor z całą prawdą. Do najciekawszych należy obraz meetyngu, na którym uliczne emancypantki rozprawiają nad tytułem nowego dziennika, ich własnego organu. Jedne dają mu tytuł *wykrzyk*, drugie *westchnienie kobiét*. Rzecz poprowadzona z wielkim talentem.

W Londynie poruszyła niesłychanie świat arystokratyczny, powieść Granwilla Murrey p. t. *Młody Browne*. Autor w pełném życia obrazie zestawił wszystkie zdrożności społeczne, jakie wypłynąć mogą ze ścisłego zastósowania praw istniejących. Do tych należy naprzód nietykalność majoratów, powtóre nadzwyczajne koszta, jakich wymaga wszelka sprawa sądowa. Z tąd wypływa to samo, co u nas tak dobitnie określono przysłowiem: „Prawo jakoby pajęczyna, bąk przebije się przez nią, mucha uwięznąć musi.“ Jest może przesada w nagromadzeniu bezkarnych zbrodni w jeden obraz, szczegóły jednak nie wychodzą za obręb prawdopodobieństwa. Arystokracya angielska dotknięta do żywego, wybucha dziś gniewem na zuchwałego autora, jutro jednak pomyśli o reformie. Wiadomo ile ran społecznych zagojono w Anglii, dzięki powieściom. Marrey poszedł drogą wytkniętą przez Dickensa.

DAWNA
RZECZPOSPOLITA DUBROWNICKA,

ZARYS JEJ DZIEJÓW URZĄDZENIA I PIŚMIENNICTWA.

PRZEZ

Kazimierza Pułaskiego.

(Dokończenie).

III.

Wszystko cośmy dotąd mówili, jasno wykazuje w jak ścisłych związkach stał w Dubrowniku żywioł słowiański z włoskim. Ciągłe stosunki Włochów z dawną Raguzą, Dubrowczan z Wenecyą, handel i polityczne związki lub wreszcie religijne stosunki z Rzymem, wzmacniały te związki i otworzyły drogę wpływom włoskiéj kultury, które musiały wszechwładnie zapanować na świeżéj jeszcze i nieuprawnéj niwie słowiańskiéj. Owa kultura włoska wszelkiemi środkami wpływała na słowiańską ludność Dalmacyi: nauką, religią, sztuką, organizacyą społeczną, obyczajami, cywilizacyą i wytwornością bytu. Skutkiem tych wpływów było zatarcie starosłowiańskich tradycyj i wyrobienie wręcz odrębnéj cywilizacyi, na wręcz przeciwnych opartéj podstawach.

Już przy końcu XIV i w ciągu XV stóleci, oświata włoska, zaszczepiona na gruncie dalmackim obfite wydała owoce, a dużo uczonych włoskich, sprowadzonych do Dubrownika, szerzyło tam nową kulturę zachodnią, która w owéj porze na stopień tak wysoki wzniesioną była we Włoszech. Między wielu innemi, *Jan z Rawenny* uczeń słynnego Petrarki, professor wymowy i kanclerz Padewski, długi czas był professorem w Dubrowniku i sekretarzem senatu (w latach 1370—1400). W 1434 roku Filip de Divertis de Quartigianis, rodem z Lukki, doktor *artium* i professor retoryki, wezwany był także do Dubrownika, gdzie czas dłuższy przebywał. Ów potężny i nagły ruch naukowy i artystyczny, zwany odrodzeniem, niemało przyczynił się do rozbudzenia oświaty w Dalmacyi a szczególniéj w Dubrowniku. Swobodna ta Rzeczpospolita, powiada Dr. Raczki w jednym ze swych studyów literackich [1]), leżąca pomiędzy dwoma światami Wschodem i Zachodem, wcześnie przyłączyła się do tego ruchu umysłowego, który w XV wieku odrodził grecką i rzymską oświatę. Z jednéj strony uczestniczyła rozbudzeniu klassycznych nauk we Włoszech, z drugiéj znów, przyjmowała

[1]) W czasopiśmie: *Starine* Tom IV str. 155.

pod swe skrzydła Komnenów, Laskarysów, Paleologów, Kantakuzenów i innych znakomitych Greków, szukających w nich schronienia przed mieczem tureckim, a przynoszących im odrodzoną starą kulturę grecką.

Z owéj téż epoki dużo zaznaczyć można znakomitych Chorwatów, którzy zasłynęli nauką i wysokie piastowali dostojeństwa i godności. Na świetnym jeszcze dworze Matyasza Korwina, który zgromadził obok siebie uczonych ludzi swojego kraju, równie téż jak i cudzoziemców, spotykamy między piérwszymi dostojnikami państwa i wojewodami, najprzód Mikołaja Iloczkiego, późniéj tytularnego króla bośniackiego, Emeryka i Stefana Zapoliów, Damiana Horwata Litwańskiego, Junia i Maryana Giorgiczów z Dubrownika, Frankopanów i wielu innych. Wśród dostojników kościelnych i doradzców króla, piérwsze miejsce trzymali dwóch Janów i Władysław Vitezowie ze Sredny.

Śmiało przyznać można, iż Chorwaci wiele się przyczynili do rozszerzenia oświaty w Węgrzech. Już piérwsze swe naukowe wykształcenie otrzymał król Matyasz od Jana Vitezy ze Sredny, syna ubogiego szlachcica z Krzyżowackiéj Żupanii, gdzie leżało miasto Sredna. Uczony mąż ten (ur. 1400, † 1472) wykształcony we Włoszech, rozprzestrzeniał nauki w Węgrzech (jak świadczy Marcin Galeotti w dziele swém: *De homine*), gdzie podówczas taka panowała ciemnota, że najbogatsi magnaci madziarscy jak np. wojewoda siedmiogrodzki Stefan Batory, Władysław Rozgony, Władysław Orszàg i wielu innych, nawet imiena swojego podpisać nie umieli. Jan Vitezy dosięgłszy godności arcybiskupa Ostrogońskiego, pilnie się zajął zakładaniem szkół i bibliotek, równie jak synowiec jego Jan młody Vitez biskup Vesprymski. Za ich namową król Maciej założył sławną swoją bibliotekę w Budzie, przy któréj bibliotekarzami byli: Feliks z Dubrownika i Piotr Zamanjicz także Dubrowczanin. Przy uniwersytecie zaś, obok wielu znakomitych professorów z obcych krajów sprowadzonych, znajdowało się także dwóch Dominikanów, uczonych teologów z Dubrownika, Serafin Bunicz i Tomasz Bazelicz.

W innych także krajach spotykamy pod tę porę dużo uczonych Dubrowczan i Dalmatyńców. I tak Jakóba ze Spletu Dominikanina, który wykładał teologię w Rzymie (około 1445 roku), Maryana Bondenelicza professora teologii w Paryżu, a potém sekretarza papieża Syxtusa IV, Leonarda Tralasicza z Dubrownika, rektora i professora teologii w Padwie w 1480 roku i wielu innych. Również głośnéj sławy teologicznéj używał Tomasz Osoranin, zwany także *Illireus*, który przebiegłszy całą Europę, wszędzie głosił wiarę katolicką, za co dostał od stolicy apostolskiéj przydomek: *Clipeus Papatis* i *Clipeus Religionis Catholicae*, a we Francyi zwany był *le Saint homme*. Długi szereg znakomitych mężów uczonych z Dubrownika i Chorwacyi, a którzy słynęli w owéj epoce, wylicza p. Kukulewicz-Sakczyński

w swém wybornem studyum o Marku Maraliczu i jego epoce [1]), my zaś wspomnimy tu jeszcze uczoną Chorwatkę, Katarzynę Frankopankę, wdowę po magnacie węgierskim Gabryelu Perenya, która otaczając się uczonymi, na dworze swoim zgromadzała wszystkie współczesne znakomitości swojego kraju. Z jéj polecenia przełożone na język węgierski listy św. Pawła, drukowane były w Krakowie 1533 (pod tytułem: *Az zent Pal lewelay magyarnyelnen*). Jak wszędzie tak i tutaj drukarstwo pomyślnie oddziałało na rozwój oświaty. Pomiędzy drukarzami chorwackimi piérwsze miejsce zajmuje Andrzej Paltaszycz, Kotoranin [2]), który w roku 1473 założył swą tłocznią w Wenecyi, najprzód w spółce z Dobryczem z Dubrownika a potém oddzielnie. Piérwszą jednak drukarnię dzieł chorwackich głagolskich założył w Senii, Jerzy Senianin 1507 roku.

Literatura narodowa dubrownicka rozwinęła się głównie w drugiéj połowie XV wieku, i chociaż w innych także miastach dalmackich znajdziemy pod tę porę wielu pisarzy i poetów chorwackich, to przecież Dubrownik jest zawsze siedliskiem oświaty i piśmiennictwa całego kraju. Przedewszystkiém piérwsze miejsce trzyma tutaj poezya i dramat, inne działy piśmiennictwa mniéj bogato są przedstawione; wielu z poetów dubrownickich pisało także dzieła innéj treści, jak to daléj widzieć będziemy. Już w drugiéj połowie XV wieku, ogromną znajdujemy liczbę poetów dubrownickich, piszących bądź w języku narodowym, bądź téż po włosku albo po łacinie; często zaś jeden i ten sam pisarz kolejno we wszystkich trzech językach pisał swe utwory. Dramat szczególniéj, jak to już mówiliśmy, nadzwyczaj troskliwie był uprawiany. Professor Pavicz wylicza dwudziestu ośmiu pisarzy dramatycznych i sto szesnaście sztuk mniejszych lub większych rozmiarów [3]) począwszy od 1450 roku aż do ostatnich lat niezależnéj egzystencyi Rzeczypospolitéj Dubrownickiéj. Tak jednak jak cały ustrój i urządzenia społeczne i wszystkie objawy życia publicznego, tak samo i piśmiennictwo dubrownickie znajdowało swe wzory w sąsiedniéj Italii. Wzory te stanowiły albo odrodzony klassycyzm grecki i rzymski, albo téż nowsza literatura włoska, tak wspaniale rozwijająca się pod tę porę. Wszystkie téż arcydzieła starożytne i utwory włoskich pisarzy starannie piśmiennictwu swemu przyswajali Dubrowczanie. I tak, Wetranicz tłumaczy Hekubę Eurypidesa; Złotaricz, Elektrę Sofoklesa i Metamorfozy Owidyusza, Bunicz, Anakreona i Horacego, Hektorowicz, *De remedio amoris*, *Owidy-*

---

[1]) *Stari pisci hrvatski* I. Pieesma Marca Marulica, skupio Jvan Kukuljevic Sakciński (U Zagrebu 1869), wydawnictwo akademii polud. słowiańs. w Zagrzebiu. Znaczną część tego tomu zajmuje rozprawa: *Marko Marulić i njegova doba* (I—LXXVII).

[2]) Patrz Sakcińskiego: Slovnik umietnikah.

[3]) *Armin Pavic.* Historija Dubrovačke drame, izdala Jugost. Akad. znanosti i umietnosti (U Zagr. 1871).

usza; również liczne były przekłady Wirgiliusza, Katulla, Tybulla, Propercyusza, Marciala; słynny poeta dubrownicki Marko Marulicz tłumaczy Petrarkę, Sodtanowicz, Tassa i t. d. W ten sposób tak jak we Włoszech i innych krajach, tak samo i tutaj „odrodzenie" nadaje właściwy sobie charakter piśmiennictwu dubrownickiemu, skutkiem którego był ów smak wytworny i upodobanie form starożytnych lub też współczesnego romantyzmu włoskiego. Epopeja zapożycza swe prawidła u greckich i rzymskich pisarzy; pieśni erotyczne, miłosne (*Pisme ljuvene*) do których tak korzystnie naginał się narodowy język Dubrowczan, śpiewny i miękki, były naśladowaniem sonetów i kanconów Petrarki; dramat wreszcie, wytworzony ze średniowiecznych *representazione* kościelnych, kształcił się i wyrabiał tak samo i w ten sposób jak nowy dramat włoski, pastorale i komedya ludowa. Każdy z tych działów poezyi mając przedstawicieli swoich w starożytnym klassycyzmie, wybitne miał cechy piérwszych mistrzów swoich. I tak Anakreon, Tybullus, Katullus lub Horacyusz służyli za prawidła dla pieśni erotycznych, dla eposu historycznego brano żywcem stare formy helleńskie, a wytworzona w epoce rycerskiéj, prawidłowa epopea romantyczna, któréj głównym i najwyższym przedstawicielem był Ariost, łączyła w sobie dawne surowe prawa greckich mistrzów z nowszym duchem czasu i charakterem szwaleryi średniowiecznéj. Co się wreszcie tyczy dramatu, który w Grecyi najwyższym był objawem kultury poetycznéj, skażony chwilowo i zepsuty w rzymskich saturnaliach, lecz rychło potém zwrócony znów ku piérwszym wzorom, następnie zmieniony na *misterya* chrześciańskie, ulubioną był formą poezyi dubrownickiéj; w niéj też celowali Dubrowczanie i teatr ich był piérwszym teatrem słowiańskim, choć podstawy onego i cały układ zewnętrzny, a poniekąd i treść sama, częściéj zapożyczone były w powyżéj wzmiankowanych wzorach, rzadziéj zaś w życiu słowiańskiém i staro-słowiańskich tradycyach.

Nie piszemy bynajmniéj historyi piśmiennictwa chorwackiego [1]) w właściwém znaczeniu tego wyrazu; lecz dla uzupełnienia tylko obrazu życia politycznego, społecznego i umysłowego dawnéj Rzeczypospolitéj Dubrownickiéj, podajemy zarys jéj piśmiennictwa. Atoli mimo właściwéj sobie i całkiem odrębnéj cechy, piśmiennictwo to ma tyle węzłów łączących z poblizką literaturą chorwacką innych miast dalmackich, że mowiąc o niéj niepodobna nakreślić pewnéj linii demarkacyjnéj; granice bowiem geograficzne i polityczne bardzo często nie odpowiadają granicom kultury umysłowéj. Owoż i tutaj toż

[1]) Najnowsze dzieło w tym zakresie jest nie ukończona jeszcze praca *V. Jagicza: Historya Knjizevnosti naroda hrvatskoga i serbskoga. Knjiga prva Starodoba* (*U Zagrebu 1867*); tu także należy cytowane wyżéj dzieło professora Pavicza, liczne dzieła Kukulievicza, i dużo oddzielnych artykułów w czasopismach: *Rad Jugost Ak.* (1767—1873, I—XXV) i Starine (1869—1873, I—V), oba wydawane przez akademią zagrzebską.

samo ma miejsce, tém bardziéj, iż węzłem łączącym te miasta była jedność narodowości i języka, a jeśli losy polityczne i urządzenia społeczne rozdzieliły je, to przecież w całym ciągu dziejów, w ogólnym na nie poglądzie, odrzuciwszy mniéj znaczące szczegóły, znajdziemy zawsze jedność przeznaczeń dziejowych i jedność historycznego rozwoju. Wielu poetów składających piśmiennictwo dubrownickie, było rodem z innych miast dalmackich: Splet, Kottaro, Szybennik i inne miasta dostarczyły wielu znakomitych pisarzy zaliczonych w rzędzie dubrownickich: sam Marko Marulicz (nie mówiąc o wielu innych), a który nowy kierunek dał kulturze narodowéj, był rodem ze Spletu, nie sposób więc jest mówić wyłącznie tylko o pisarzach dubrownickich; do grona ich wejść także muszą dalmatyccy, których kierunek, treść i forma utworów w niczém się nie różnią od pisarzy dubrownickich.

Właściwe piśmiennictwo dubrownickie rozpoczyna Marko Marulicz (1450—1524), dawniejsze zaś zabytki pochodzące z nader odległéj epoki, a obejmujące korrespondencye z sąsiedniemi ludami słowiańskiemi, wszelkiego rodzaju umowy, układy i traktaty lub wreszcie dawne pomniki prawodawcze, wyszukiwane w dawnych archiwach miejscowych i pracowicie rozpatrywane przez dzisiejszych pisarzy chorwackich, w nie wielkiéj są liczbie. Najdawniejsze z nich podobno, a niedawno odkryte (zapewne w późniejszych odpisach), pochodzą z lat 1030—1044 [1]), jeszcze zaś dawniejsze zniszczone być musiały w 1024 roku podczas pożaru, w którym znaczna część miasta spłonęła; między innemi wspominany przez latopisów dubrownickich pod rokiem 831, traktat przyjaźni i związku zawarty przez Dubrowczan z jakimś banem trawuniskim. Pisma te ciągną się aż do ostatecznego upadku Serbii i Bośnii [2]). W XV dopiéro wieku, Dubrownik i Dalmacya przyjąwszy cywilizacyę Zachodu, rozwijają własną literaturę we wszystkich jéj gałęziach. Teologia, filozofia, matematyka i astronomia, filologia, historya, geografia i prawo, medycyna i nauki przyrodzone, jedném słowem wszystkie gałęzie nauk mają swoich przedstawicieli. Kukuliewicz w cytowanéj już powyżéj pracy, wylicza liczne grono pisarzy chorwackich we wszystkich działach, są to jednak suche tylko zapiski bibliograficzne, do których odsyłamy czytelników, przechodząc do historyi poezyi dubrownickiéj.

„Początek dubrownickiéj, chorwackiéj literatury, powiada professor Pawicz w swéj historyi dubrownickiego dramatu, znajdujemy w Splecie; piérwsi pisarze są: Marko Marulicz i jego przyjaciele, Papalicz, Martynczycz, Natalicz, Bożiczewicz i Matulewicz, którzy jednak stoją w obec Marulicza, jak uczniowie względem nauczyciela. Starszych pisarzy i dzieł ich nie znamy i nie mamy o nich wiadomo-

[1]) Kukulevicz: Archiv IV, 326.

[2]) Obszerniéj patrz *Jagieza*: Književnost I, 141 i następne.

ści, gdyż to co powiada Lukavicz, że Dubrowczanie jeszcze przy końcu X wieku opiewali w pieśniach czyny swoich bohatérów, odnosić się musi do pieśni ludowych, nie zaś do piśmiennictwa." Bez wzorów tedy, bez przykładów, rozpoczął Marulicz pisać swe poezye w języku narodowym, stan zaś polityczny Dalmacyi i Dubrownika nie sprzyjał bynajmniéj rozbudzeniu piśmiennictwa. Odwieczna walka z Turkami, powiada Kukuliewicz, z rozmaitém prowadzona powodzeniem, ciągłe spory rodów szlacheckich, kłótnie z sąsiadami bośniackiemi lub weneckiemi, a jednocześnie niechęć i bunty ludu, oto są główne piętna owéj epoki. Od kiedy Turcy zajęli Carogród (1453) i pokonali Serbią, Bośnią i Chercogowinę, olbrzymia ich potęga zwróciła się ku Węgrom, Wenecyi i Niemcom, a Chorwacya najwięcéj wystawiona na ich pociski, zaledwie przy życiu utrzymać się mogła, rzadko otrzymując posiłki od swych chrześcijańskich sąsiadów; przeciwnie nawet, często się zdarzało, iż gdy Chorwaci bronili swoich wschodnich granic od Turków, Wenecyanie bruździli po stronie zachodniéj.

Mimo to jednak, piśmiennictwo w zadziwiający sposób rozwijać się poczęło. Dualizm języka, który wszechwładnie pod tę porę na całym Zachodzie panował, chorwackich także pisarzy na dwa obozy rozdzielił. Klasycyzm łaciński i język narodowy toczyły walkę ze sobą, w któréj pierwszy długo był zwycięzkim. Po łacinie pisano dla mędrców i erudytów, dzieła poważne, naukowe, poezye w formie klasycznéj; w języku narodowym dla ludu i kobiét. Wartość dzieł jednych i drugich przeważała szalę na korzyść łaciny. Przykład szedł z Włoch, przejętych na wskroś czcią dla starożytnego klasycyzmu; u Chorwatów także pisano więcéj po łacinie niż w języku narodowym, a w poęzyi kierunek ten widoczniejszym był przez formę jaką nadawano utworom poetycznym. Po łacinie pisano epopeje, ody, elegie i epigramata, w języku narodowym układano pieśni liryczne i miłosne lub pobożne, dramata a niekiedy i satyry, choć tych ostatnich jest najmniéj w literaturze dubrownickiéj. Ztąd łatwy podział poetów i ich utworów: rozpocznijmy od łacińskich.

Najznakomitszymi owego czasu łacińskimi poetami chorwackimi, których sława i rozgłos szeroko się rozszerzyły, byli Jan Liudicz (1434—1472) i Eliasz Criewicz (1463—1520).

Pierwszy z nich Liudicz, był synem prostego stolarza, umarł biskupem w Zagrzebiu. Wykształcony na uczelniach włoskich uczeń Jana Gwarina, w ścisłych zostawał on stosunkach z najznakomitszymi mężami włoskimi, pisał elegie i epigramata stylem klasycznym, z wielką erudycyą i wzniosłym duchem poetycznym.

Drugi Eliasz Crievicz, ulubieniec kardynała Aleksandra Farnèse (potém papieża Pawła III) rodził się w Dubrowniku, gdzie téż i umarł [1]). Rozpocząwszy studya w ojczystém swém mieście, daléj

[1]) W roku zeszłym D-r Raczki napisał obszerne studyum o Crieviczu w Czasop. Starine, IV; 155—200.

je prowadził w Rzymie, dokąd pod tę porę tłumnie zdążała młodzież dubrownicka, aby słuchać wykładów znakomitszych mistrzów, aby podziwiać geniusze wiedzy sztuki, aby wreszcie roznosić daléj odrodzoną starą kulturę, która świat cały przeobrazić miała pod względem wyobrażeń moralnych i politycznych, pod względem wiedzy i sztuki. W Rzymie Crievicz uczęszczał najprzód do słynnego kolegium, założonego przez papieża Eugeniusza III, potém zawarłszy przyjazne stosunki ze znakomitymi uczonymi włoskimi, oddał się cały studyom nauk klasycznych i w tak młodym wieku zasłynął przez swe utwory poetyczne, że w ośmnastym roku życia (podług Raczki'ego w 22) ukoronowanym został poetą łacińskim na Kapitolu. Sława jego szeroki rozgłos miała, a gdy powrócił do Dubrownika, z największą czcią był witany. Pisał elegie, hymny, epigramata i t. d.

Inni poeci łacińscy z Dubrownika byli: Jakor Buszicz (ur. 1534), który w formie klasycznéj epopei opisał życie Chrystusa. Wuk Bobalicz (1470), Piotr Menczetycz (1489), Angiejo Martinicz († 1520), Nikola Reticz (około 1500), który pisał także po włosku i kilku innych. Z Kotaro zasłynął był Ludwik Paskwalicz († 1550), uwieńczony poetą na Kapitolu, a którego pieśni miłosne drukowane w Wenecyi pod tytułem *Rime volgari* (1549) nadzwyczaj wysoko cenione były.

Mijamy innych mniéj głośnych poetów łacińskich, a przechodzimy do poetów, piszących w języku narodowym, większe przedstawiających zajęcie. Porównywając jednak jednych i drugich, pierwszym oddać trzeba pierwszeństwo. Wykształcenie i ogłada łaciny, wytworne formy stylu, raz na zawsze przyjęte, wreszcie bogate wzory klasyczne, przy liczniejszém gronie czytelników, to wszystko ułatwiało poetom łacińskim z Dubrownika drogę już znaną i utorowaną. Przeciwnie zaś, poeci piszący w języku narodywym, którym brakowało wzorów, prawideł, zwalczać musieli liczne trudności, naginać język nie wyrobiony jeszcze, tworzyć dopiéro formy i przepisy. Nadto poeci chorwaccy pisali dla małego kółka czytających, składającego się nieraz z samych tylko przyjaciół; utwory ich najczęściéj w rękopismach zostawały, a o sławie i uznaniu i mowy być nie mogło. Z tych więc powodów nie dziw, że do niedawna jeszcze wiele utworów poetów chorwackich zupełnie nie znanymi były.

Dubrownik i Splet przodowały w tym ruchu literackim Dalmacyi i o obu tych miastach powiedziećby można to, co o Dubrowniku śpiewał Jan Vidal w XVI wieku:

Dubrownik gród świetny i sławy szerokiéj,
Łask swoich Bóg jemu udzielił obficie.
Dubrowczan obdarzył i prawem i prawdą,
Wszelkiego udzielił bogactwa i mienia.
Sława jego rozgłośna i wszędzie on słynie,
Chorwaci koroną miast swoich go zowią.

Pierwszy poeta, który rozpoczyna długi szereg pisarzy narodowych był Marko Marulicz (ur. 1450 † 1524). Jednocześnie prawie pojawiają się także: Szyszko Menczetycz (1457—1501), Giore Drżycz (około 1460), Marco Vetranicz (1482—1576), Hanibal Luczicz († 1530) i Piotr Hektorowicz (1486—1572).

Marko Marulicz pochodził ze staréj szlacheckiéj rodziny chorwackiéj, pierwsze nauki odebrał w Splecie, potém wedle przyjętego zwyczaju, udał się na wyższe studya do Padwy, gdzie głównym jego nauczycielem był Picentini, szczególniéj w języku greckim. Inni jego nauczyciele byli: Polla Fizmianus, Fideo Acciaveni i J. Jenesio. Młody Marko rychło znaczne zrobił postępy, biegłym był szczególnie w łacinie, filozofii, poetyce i wymowie. W 22-im roku życia, w imieniu studentów padewskich witał dożę weneckiego Nikola Marcelia znakomitą mową, która w podziw wprawiła słuchaczy.

Jak długo przebywał Markulicz w Padwie i kiedy do ojczyzny powrócił nie wiadomo, szczegóły bowiem jego życia są mało znane. Skromny i cichy, prowadził on życie samotne, oddając się praktykom religijnym; dużo się modlił, pościł i hojnie wspierał ubogich. Wszystkie też pisma jego noszą cechę głębokiéj pobożności. W podeszłym już wieku czas dłuższy przepędził w Rzymie, gdzie zbierał starożytne napisy; potém chcąc zupełnie usunąć się od świata, zamieszkał w monasterze „*u głuhoj dolini*“ niedaleko Spletu. Po dwuletnim tam pobycie, powrócił do domu, gdzie dożywszy sędziwego wieku, umarł 1524 roku.

Dzieła Marulicza pisane prozą, rozdzielić się dadzą na teologiczne, filozoficzne i historyczne. Tu należy *Evangelistazium* dzieło osnute na trzech przedmiotach: wierze, nadziei i miłości; drugie, stanowiące jakoby encyklopedyę nauk moralnych (*De institutione bene beate vivendi*) dużo razy tłumaczono na wiele języków, okazuje iż autor znał dokładnie nie tylko Pismo Święte, lecz greckich i łacińskich pisarzy a głównie historyków kościelnych; daléj *Regum Dalmatiae et Croatiae geste*, oraz *Inscriptiones Salonitanae antiquae*, nie mówiąc o wielu pomniejszych. Poezye jego łacińskie obejmują hymny, ody, pieśni heroiczne, epigramaty, napisy nadgrobne; przedmiot do nich brany zwykle z Pisma Świętego lub żywotów świętych. Jeśli zaś polot poetyczny nie wszędzie jest utrzymany, za to klasyczne formy układu i stylu nadzwyczaj piękne.

Z utworów poetycznych Marulicza, pisanych w języku narodowym, najprzód wymienić należy „*historyę Judyty*“ i „*historyę Zuzanny*“. W obu tych pieśniach przedmiot wzięty z Pisma Świętego, opisany gładkim potoczystym wierszem; forma poematów epicznych zachowana, nie wszędzie jednak jednostajnym jest duch poetyczny, choć nie brak miejscami pięknych i wzniosłych ustępów, które zjednały autorowi nazwę „boskiego poety“ jaką obdarzył go współczesny mu Ariost. Tak np. w modlitwie Judyty przed zabiciem Holofernesa piękne są ustępy:

Boże! daj niech spełnię, co jest godném Ciebie,
Łaski swéj nie odmów, pokrzep sługę twoją;
Strach odemnie odejm, dźwignij rękę moją!
Niechaj spełnię dzieło, które myśl ma płodzi,
Niech się Ciebie boją, ludy i narody!...
Teraz, teraz pada Twój gród Jeruzalem,
Wybaw nas z niewoli, wybaw lud Twój, Panie,
Niechaj ci upadną, co się wywyższają,
Pokój daj cierpiącym, co się poniżają!...
I we dnie i w nocy będę chwalić Ciebie,
Gdy z Twoją pomocą spełnię dzieło wielkie...

Z głową Holofernesa Judyta wracając do miasta, stanąwszy przed bramą, woła do swoich:

Otwórzcie! otwórzcie! teraz Bóg jest z nami!
Otwórzcie! otwórzcie! bo Bóg wszechmogący
Swój naród wybawił, Swą pomoc udzielił,
Nieczystych ukarał, nas łaską obdarzył.

W szóstéj pieśni godną uwagi jest mowa Eliakima wielkiego kapłana świątyni do Judyty!

Oprócz powyższych pieśni większych rozmiarów, Marulicz napisał dużo drobnych poezyi pobożnych a także przełożył wierszem z łacińskiego, „*Nauki mądrego Katona*". Kto był rzeczywiście autorem tego utworu niewiadomo, pewném jest tylko że w VIII już wieku ogólnie był znanym. Jako piękne prawidła i przepisy życia moralnego: „Nauki Katona" rozpowszechnione były na całym Zachodzie i na wszystkie języki tłumaczone, przekład zaś chorwacki Marulicza był już drugim, gdyż pan Kukuliewicz wynalazł rękopism głagolicki z 1468 roku w prozie pod tytułem: „*Knige Kata mudroga.*"

W zbiorze pieśni Marulicza (wydanym przez Akademię południowo-słowiańską w Zagrzebiu), znajdujemy jeszcze dużo innych pieśni, pisanych zawsze w duchu pobożnym, o Chrystusie i Przenajświętszéj Dziewicy, dla któréj nasz poeta szczególne miał nabożeństwo; dalej „*Męka Chrystusowa*" i „*Naśladowanie Chrystusa*" w którém przedstawiony jest chrześcijański cel życia. Dwie zaś innego rodzaju pieśni: „*Tużenie grada Hieruzolima*" i „*Modlitva saprotiva Turkom*" uważać się mogą za historyczno-polityczne, w których autor dobitnie przedstawia smutny stan Chorwacyi, gnębionéj przez Turków. Z głębokiém przejęciem i rozpaczą woła poeta:

Wszechmocny Boże! który światem rządzisz,
Gniew Twój od nas odwróć, zlituj się nad nami!
Wstrzymaj swe karanie, spójrz na wierny naród,
Co ciągle gnębiony turecką przemocą.

Wsie, sioła i miasta w płomieniach pożarów,
Mężowie i żony w więzach prowadzeni,
A dzielni junacy przez wroga pobici....
Następują na nas, trwoga nas przejmuje,
Już naród Twój ginie, a tyś Go odstąpił..
A oni nas więżą, pędzą do niewoli,
Na nic nie zważają, ni na Twoją wiarę.
Ale ty o Boże! grzechy nam odpuścisz,
Niech lud Twój nie ginie, okaż zmiłowanie;
Łaski Swéj nie odmów i złam miecz pogański,
I nie daj zatracić ostatęk chrześcijański.

Tego rodzaju utwory wszędzie się pojawiły w owéj epoce: wszelkiego rodzaju pisma, odezwy, wiersze i t. d. wzywały Chrześcjan do powszechnéj walki z niewiernemi. Zamierzana i zawsze przygotowywana wyprawa powszechna na Turków, była na porządku dziennym: papieże wybierali składki i daniny, władze świeckie zgromadzały wojska, poeci opiewali grozę i obawę wzniecone w Europie przez potęgę wielkiego Solimana, wszyscy widzieli konieczność oporu. W Polsce jednéj mniéj może pisano, lecz brano się do rzeczy, a sąsiedzi chrześcijańscy, okrom obietnic i przyrzeczeń nie wiele się troszczyli czy przyległe kraje słowiańskie będą w stanie oprzeć się nawale tureckiéj. Ta pieśń Marulicza, to skarga całego narodu na ucisk i klęski jakich doznawał, napróżno kołatając nieraz o pomoc i wsparcie. Tenże sam Marulicz napisał był pierwéj list do papieża Adryana VI, w którym opisując smutny stan Dalmacyi, zagrożonéj przez potęgę turecką, przytem niedostatek obrony, wystawiał niebezpieczeństwo, grożące Węgrom, Wenecyi i całym Włochom i błagał papieża, aby wezwał ludy chrześcijańskie do wspólnéj obrony. Ale głos jego był głosem wołającego na puszczy, tak jak wielu innych przed nim i po nim.

Ostatni wreszcie dział poezyi Marulicza, obejmuje pieśni humorystyczno-satyryczne. Rodzaj ten średniowiecznéj komedyi znany był we Francyi i we Włoszech pod nazwą: *frottola*, *farsa*, *contrasto*, *sottie*, *farce*, w Polsce zaś rozpowszechniony został w pierwszych latach XVI wieku, w tym jednak rodzaju nie wiele pisał Marulicz. Do tegoż działu zaliczymy tak zwane „*prikazanja*“ z tą tylko różnicą, że te ostatnie zakrawają na poważniejszy już dramat. We Włoszech zwano je *Rapresentazioni*, *Festa*, *Commedia Spirituale!* w Niemczech *geistliche Schanspiele*, gdyż przedmiot do tych najpierwszych przedstawień scenicznych, wzięty był z Pisma Świętego, życia świętych i t. d. Ze względu na przedmiot, utwory te zwano *Misterja*, jeśli przedstawiały życie Chrystusa i mękę Jego, *Miracoli*, *Stoia*, *Esempio* jeśli przedmiotem ich były czyny lub męczeństwo świętych. Sztuki te przedstawiane były ludowi na placach publicznych przed kościołami, czasem w obecności królów, na uroczystościach narodo-

wych i t. d. Tak np. podczas wesela Zygmunta Augusta z Elżbietą przedstawiono na zamku krakowskim „*komedye i maszkary*.“ O ile wiémy, pierwsze tego rodzaju przedstawienie miało miejsce w Polsce w 1506 roku. W tym jednak rodzaju Marulicz mało pisał. Jego „*Historje św. Panucije*“ i dwie drugie sztuki są przekładem z włoskiego.

Współczesny Maruliczowi, Szyszko Menczetycz (Mensius), pochodził z jednéj z najznakomitszych rodzin dubrownickich, pierwotnie z Rzymu przybyłéj. O życiu jednak Szyszka żadnych prawie szczegółów niema; Kukulewicz i Ljubicz powiadają, że przez lat siedem czy ośm stałe chował uczucia dla jakiejś Laury Dubrownickiéj i wszystkie swe pieśni miłosne dla niej układał; nie wiadomo jednak kto była owa opiewana przez Menczetycza piękność, a może nie jednéj składał hołd uwielbienia w swych rymach, gdyż spotykają się w wierszach jego imiona: Kata, Katarina, Katarinica, Marya, Mandalena, Margeta, Nika, Pera i t. d.. W każdym razie pieśni Menczetycza, dźwięczne i giętkie, niekiedy silne i namiętne, a zawsze pełne prawdziwéj poezyi i uczucia, są najpiękniejszym objawem poetycznéj twórczości Dubrowczan.

Giore Drżycz zostawił dużo pieśni miłosnych z téjże saméj epoki. Tyle tylko wiemy o nim, że nieszczęśliwa miłość dla młodziutkiéj córki Menczetycza, znagliła go wstąpić do klasztoru; pieśni jego tęskne i rzewne opłakują smutne jego losy i zawiedzione uczucie.

W innym rodzaju zasłynął pod tę porę Mavro Vetranić Cvavčie (ur. 1482, † 1576), także patrycyusz Dubrownicki. W młodym wieku wstąpiwszy do klasztoru Benedyktynów, był ich opatem około 1520 roku, ale potém opuściwszy swój klasztor, zamieszkał w jakimś monasterze na odludnéj wysepce na morzu, gdzie pustelnicze wiódł życie, zachowując tylko piśmienne stosunki za swymi przyjaciołmi i daléj prowadząc swe prace literackie. Oprócz poezyi pisał także traktaty teologiczne, moralne i t. d. Odgłos jednakże wielkich wypadków współczesnych, które wstrząsły światem całym, dochodził do pustyni Vetranicza. Reforma kościoła, groźne wzmagania się potęgi tureckiéj, za rządów Mahometa i Solimana II, odkrycie Ameryki przez Kolumba, wszystko to wspomina Vetranicz w pismach swoich, rozbierając ważność zaszłych wypadków, i znaczenie ich dla dziejów ludzkości. Umarł w późnym wieku, 1576 roku.

Vetranicz zostawił cztery dzieła dramatyczne. Oprócz Hekuby Eurypidesa, tłumaczonéj z przekładu włoskiego, napisał *Ofiarę Abrahama*, *Zmartwychwstanie Chrystusa* i *Czystą Zuzannę*.

W *Ofierze Abrahama* poeta ściśle się trzymał podania Pisma Św.. Jest to już zupełny dramat, znacznie wyżéj stojący od współczesnych „*prikazanji*“ a rozpoczynający długi szereg utworów dramatycznych poetów dubrownickich. Znakomicie tu jest oddany charakter matki Sary, jak również pokora i posłuszeństwo sługi bożego

Abrahama. Boleść matki za synem wybornie odmalowana, wprawdzie Sara nie wie że ojciec prowadzi syna na ofiarę, Abraham zataił to przed nią, ale przeczucie matki odgaduje coś złowrogiego, gdy wśród ciemnéj nocy Abraham każe jéj budzić Izaaka, aby szedł z nim razem na górę ofiarną. W czwartym akcie napróżno sługi pocieszają Sarę, boleść jéj jest niepocieszona, a dyalog znakomicie piękny; jest to raczéj monolog, bo nie zważając na obecnych przemawia sama do siebie, do syna nieobecnego:

O! drogi mój synku! duszyczko kochana!
Prześliczny jelonku z nad łąki zielonéj,
Kto ciebie przepłoszył i z matką rozdzielił?
Orle złoto-pióry! dokądeś uleciał,
Kto w serce matczyne srogi strzał wymierzył?
Pawiu pozłacany! gdzieś zaszedł, zabłądził?
Już mija dzień trzeci, jak matka samotna.
Mój siwy sokole! pociecho jedyna
Cóż matkę ukoi, jéj serce utuli?
Jastrząbku wesoły! na Boga mi powiedz,
U jakiéj dąbrowy, gdzie jesteś w téj chwili i t. d.

Równie też piękna jest modlita Abrahama (w I akcie), gdy przyszedłszy z Izaakiem na górę ofiarną, spełnić ma smutną ofiarę. Lekkość wiersza i piękność języka odznaczają ten utwor Vetranicza; najmniéj też tu jest próżnych retorycznych deklamacyi, które znajdujemy w drugich dwóch dramatach, wyżéj wymienionych, a znacznie słabszych. Z innych jeszcze utworów poetycznych Vetranicza, zasługuje na wzmiankę poemat *Remeta,* w którym opisuje swe życie samotne na wyspie, i *pielgrzym* (Pelegrin), w którym maluje kraj rodzinny, Dubrownik i inne miasta. Wreszcie ostatnią jego pracą była *Italia*, gdzie występując jako patryota włoski, pragnie dla kraju tego swobody, sławy i niepodległości.

Do pierwszego tego okresu poezyi Dubrownickiéj doliczyć jeszcze potrzeba Luczicza i Hektorowicza; pierwszy za przedmiot do swego poematu *Robinja* wziął walkę Chorwatów z Turkami, a w poemacie *Pochwała Dubrownika* wychwala swój gród rodzinny. Drugi, Piotr Hektorowicz, w poemacie swym „*Ranij*“ posiłkował się już poezyą ludową.

Drugi okres poezyi narodowéj dubrownickiéj, w którym dosięgła najwyższego stopnia rozwoju, tak pod względem form zewnętrznych, jak też pod względem wewnętrznéj wartości, rozpoczyna Czubranowicz a kończy Gundulicz, obok nich zaś widzimy liczne grono innych poetów; wymienimy tutaj główniejszych z pomiędzy nich:

Andrzéj Czubranowicz (zmarły około 1550 roku), ogromną zjednał sobię sławę poematem komicznym Cyganka *(Jedjupka)*, który niezmierne miał powodzenie, współczesny mu zaś Mikołaj Nalesz-

kowicz (1510—1586), naśladowca i wielbiciel Tassa, oprócz siedmiu komedyi i dwunastu dramatów, pisał pieśni erotyczne, nadzwyczaj wysoko cenione podówczas. Maryan Darżycz (1520—1580) napisał także kilkanaście sztuk dramatycznych, z których najlepszą być miała komedya *Tirena*. Wspomnieć tu jeszcze należy o Diuku Ranjina (1536—1607), który czas jakiś piastował godność rektora Rzeczypospolitéj, oprócz przekładów z Marcyala, Tybulla, Propercyusza i innych poetów starożytnych, zostawił dużo pieśni miłosnych, które odznaczają się gładkością wiersza i czystością języka. W tymże samym rodzaju odznaczył się także Dinko Zlataricz († 1610), tłumacz Aminty Tassa, i Elektry Sofoklesa.

Najznakomitszym jednak poetą dubrownickim owéj epoki był Jan Gundulicz (1588—1638), bo potomek znakomitéj rodziny dubrownickiéj, z któréj kolejno było czterech rektorów Rzeczyplitéj, a potém jeden z wnuków naszego poety walczył w szeregach Sobieskiego pod Wiedniem. Gundulicz wykształcony na uniwersytetach włoskich, rozpoczął swój zawód przekładem „Jerozolimy wyzwolonéj" Tassa, w którym podziwiać należy harmonią i melodią wiersza. Oprócz wielu sztuk dramatycznych (Ariadna, Porwanie Prozerpiny, Galatea, Diana, Armida i wiele innych), najwięcéj cenioną była jego epopeja *Osmanida*, któréj przedmiotem była wojna Polski z Turcyą w 1621 roku [1]). Z dwódziestu pieśni, składających ten poemat, dwie zaginęły i późniéj dorobione były przez jego wnuka. Inny poemat Gundulicza: *Łzy marnotrawnego syna*, również wysoko był ceniony; z poematu tego dajemy tu ustęp w przekładzie hr. Leona Potockiego.

Kiedym niestety, porzucił dom drogi,
Kraje, pustynie, zwiedzałem;
Wszędzie rozkoszy szukałem!
Znalazłem smutek, gorycz i jad srogi:
Gdy niebo dotąd się chmurzy,
Pozostałem jak drzewo ścięte wśród burzy.

Mojego życia chwile są świadkami,
Co świat? co są jego dary?
Wszędzie niewinne ofiary!
Tam każden uśmiech płacić trzeba łzami,
Tam pociecha zdradę mieści,
I wśród szczęścia gotuje lub śmierć lub boleści.

Gdy pocałunkiem upaja i truje,
Uściskiem życie odbiera,
Zasłużoną chwałą zdziera;
Co było trwałém, niweczy i psuje,

[1]) Obszernie o Gunduliczu i jego dziełach patrz Bibl. Warsz. z 1841 roku, tom IV str. 265; tamże znajduje się w przekładzie polskim ustęp z 9-éj pieśni *Osmana*.

Różne kształty na się bierze,
Jak to powietrzem tylko karmiące się zwierzę [1]).

Tak nieraz w życiu bez trwogi, bojaźni,
Z całego serca ufamy,
Bo jeszcze tego nie znamy
Co to pochlebstwo, co pozór przyjaźni!
Że przyjacielska dłoń szczera,
To samo dzisiaj ściska, co jutro rozdziera.

Tak i ocean wśród ciszy, pogody,
Wabi żeglarza z nad brzegu;
Niechaj go uchwyci w biegu:
Wnet go okrąża wskroś słonemi wody,
A bałwanów wściekłość wrząca,
Przepaść pod nim otwiera i w przepaść go wtrąca.

Od czasow Gundulicza aż do ostatnich lat istnienia politycznego Rzeczypospolitéj dubrownickiéj nie znajdujemy już równie znakomitych poetów, i piśmiennictwo dubrownickie chyli się do upadku. Chwilowo podtrzymuje je jeszcze Junius Palmoticz (1606—1657), który oprócz wielu sztuk dramatycznych, opartych na tradycyach starożytnego klassycyzmu, napisał także kilka utworów, których przedmiot wzięty był z życia narodowego; i tak: tragedyę *Pawlimir*, dramat *Zaptisława* i kilka pomniejszych. Inni współcześni poeci dubrowniccy byli: Jakób Palmotycz († 1680), który napisał poemat *Dubrovnik ponovljen*, na pamiątkę trzęsienia ziemi, 1663 roku, które zniszczyło znaczną część Dubrownika; Władysław Minczeticz; Piotr Kanawalewicz autor pieśni na cześć Jana Sobieskiego; Jan Gundulicz, Mauro Orbin i wielu innych; żaden z nich jednak nie wyrównał swym poprzednikom.

W pierwszych latach XVIII stólecia zasłynął w poczyi dubrownickiéj Ignacy Dżiordżicz (zmarły 1737 roku), odznaczający się nadzwyczajną erudycyą i niezwykłą płodnością pióra. Pisał on po łacinie, po włosku, w języku narodowym i zostawił mnóstwo rozmaitego rodzaju utworów poetycznych. I następców jego godzien uwagi jeden tylko pisarz dubrownicki, Andrzéj Kaszicz-Mioszycz (zmarły 1760 roku), zbieracz podań i tradycyi ludowych. W formie poetycznéj przedstawił on całą historyę narodu, podania jego, tradycye i wspomnienia, i wydał pod tytułem: *Razgovor ugodni naroda slovinskogo*. Dzieło to miało kilkanaście edycyj, i nadzwyczaj wysoko jest cenione. Od czasów Kaszicza znajdujemy w Dubrowniku samych tylko tłumaczy i kompilatorów, lub od czasu do czasu jakąś pracę oryginalną, po większéj części w zakresie religijnym.

---

[1]) Kameleon.

Wszystko to jednak wyrównać nie może dawniejszym utworom poetów dubrownickich. Upadek wreszcie Rzeczypospolitéj, ostateczny cios zadał piśmiennictwu dubrownickiemu, które tak świetnych miało przedstawicieli w XVI i XVII stóleciu.

Żyliñce, 27 kwietnia 1874.

FILIP KALLIMACH [1].

PRZEZ H. ZEISSBERGA.

Z niemieckiego przełożył K. P.

I.

Filippo Buonaccorsi da Gemignano, zwany *Callimachus*, urodził się 2 maja 1437 roku w *San Gemignano* we Florenckiém, zkąd téż mylnie Florentczykiem nazywany bywa. Jak sam powiada, rodzina jego pochodziła z Wenecyi. Ojciec jego nazywał się *Piero d'Angiolo di Cristoforo di Neri Buonaccorsi*, a trzej bracia, *Francesco*, *Ettore* i *Matteo*, z których pierwszy, w biografii przezeń napisanéj, nazywa się hrabią (*conte*), mówcą i poetą. W rozmaitych swych pismach autor nasz nazywa się jeszcze „*de Thebaldis;*" niektórzy mniemają, iż matka jego z tego domu pochodziła. Zresztą rodzina Buonaccorsich zdawna znakomitą była w S. Gemignano. *Angelo Coppi*, który w 1535 roku pisał kronikę rodów szlacheckich w S. Gemignano, uważał *Bazochich* za jeden ze znakomitszych rodów, ci zaś być mieli późniejszemi Buonaccorsi.

W młodocianym wieku znajdował się Filip Buonaccorsi w Rzymie, w szkole Pomponiusza Laeta, gdzie oddawał się naukom humanitarnym i gdzie przezwany został Kallimachem, ze względu może na jego talent liryczny. W szkole téj spotkał się z Platin'em, znanym autorem Historyi papieży, a który zalecił go kardynałowi Ja-

---

[1]) Podajemy czytelnikom Biblioteki Warszawskiéj życiorys Filipa Kallimacha wyjęty z obszernego dzieła p. H. Zeissberga: *Die polnische Geschichtschreibung des Mittelalters*, uwieńczonego przez Towarzystwo księcia Jabłonowskiego w Lipsku (23 marca 1872). Autor znany już z kilku innych gruntownych prac w zakresie historyi i literatury polskiéj, przedstawia tu w oznaczonéj epoce historyą dziejopisarstwa w Polsce, życiorysy znakomitszych historyków, oraz dzieł ich krytyczny rozbiór. Wybrany ustęp o Kallimachu, opracowany na podstawie rękopismów znajdujących się w bibliotekach włoskich, po raz pierwszy przez H. Zeissberga zużytkowanych, przedstawia wiele ciekawych a nieznanych szczegółów o włoskim przybyszu, którego imię tak ściśle jest zączone z przeważnemi faktami dziejów polskich z końca XV wieku.

Przyp. Red. Bibl. Warsz.

kóbowi Piccolomini i reverend. dom. Ravennas. Potém jednak między Platin'em i Kallimachem nastąpiło nieporozumienie dla przyczyn nam nieznanych.

Duch pogański, który panował w szkole Pomponiusza, i mrzonki polityczne, wymierzone przeciwko papieżowi Pawłowi II, tak nieprzyjaźnie usposobionemu dla humanizmu, zmusiły go do prześladowania rzymskiéj akademii. Pod pozorem sprzysiężenia przeciwko niemu, członkowie jéj, podczas karnawału 1468 roku, zostali uwięzieni i pod sąd oddani. Nie naszém jest zadaniem roztrząsać szczegóły téj katastrofy, dotąd niewyjaśnionéj, takowa albowiem z tego tylko względu przedstawia dla nas zajęcie, iż w liczbie oskarżonych znajdował się także Kallimach. Udział jednak jaki przyjął on w téj sprawie, dokładnie znanym nie jest, i nie jesteśmy w stanie go rozjaśnić, ani z podań niezupełnie wiarogodnego a współczesnego mu Michała Cannesiusa, który napisał życie Pawła II w duchu nader stronniczym, ani ze świadectw Platin'a, który był w liczbie oskarżonych akademików, ani wreszcie z samych pism Kallimacha, które ze względu na wmieszanie go w tę sprawę, z wielką oględnością używać należy.

Kallimach znajdował się w liczbie tych, którzy przez ucieczkę uniknęli więzienia, i szczęśliwszym był od swych towarzyszów Petrejusa, który powtórnie był schwytanym i Pomponiusza, który z Wenecyi do Rzymu dostawiony został. Platina, Pomponius Laetus, Petreius i inni akademicy, a także bracia i krewni Kallimacha, wszyscy byli uwięzieni i badani.

Platina w „Życiu Pawła II“ obszernie opisuje swoje uwięzienie i wysłuchanie. „Przyprowadzono mnie, opowiada on, przed Pawła, który zaledwie mnie zobaczył, zapytał: „Jakto? więc ty śmiałeś przeciw mnie spiskować z Kallimachem?” na co ja w poczuciu mojéj niewinności odpowiedziałem, że żadnych z nim nie miałem stosunków. W najwyższym stopniu oburzony, groził mi torturami i śmiercią, jeżeli nie wyznam wszystkiego; wystawiłem mu więc powody, dla których uważałem Kallimacha niezdolnym do tego, o co go posądzano, gdyż nie posiadał potrzebnéj energii, wymowy, odwagi, rozumu, środków, stronników, broni i pieniędzy. Miał bowiem mało rozumu, lubił sypiać dłużéj jak P. Lentulus, a z przyczyny tłustego żołądka, leniwszym był od L. Crassusa. Zresztą nie był biskupem, mogącym utorować sobie drogę do pontyfikatu przez zamordowanie Pawła. Bo i rzeczywiście, cóż mógł zrobić Kallimach? do czego się ośmielić? Czy z językiem i kułakiem gotował się do walki? Czy dla przeprowadzenia tak wielkiego występku miał gotowych już ludzi, któremi mógł się posługiwać? Z pewnością że nie, a towarzysze jego ucieczki, Glaucus i Petrejus innymi także nie byli.“

Z ustępu tego widocznem jest, co też w dalszym ciągu swego opowiadania, sam Platina przyznaje, że gorzka nieprzyjaźń poróżni-

ła go z Kallimachem. W zupełnéj jednak sprzeczności z powyższém podaniem, znajdują się inne tegoż Platin'a świadectwa: „Któż mógłby uwierzyć, pisał on w liście do kardynała Bessarion, że głupie mrzonki jednego Kallimacha, któremi gardziliśmy i które wyśmiewaliśmy, mogły nas wciągnąć w takie nieszczęście? Biada nam nieszczęśliwym, którzy dla czyjéjś głupoty i szaleństwa pokutować mamy, i za to żeśmy nie wykryli mrzonek tego głupca, będziemy teraz torturowani i więzieni.“

Gdy więc Platina przy badaniach był torturowany, Kallimach i Petreius uchodzili z Rzymu.

„Przyznaję, opowiada sam Kallimach w późniejszym swym liście, pisanym do wojewody sandomierskiego Dersława z Rytwian, iż wówczas w Rzymie rozeszły się były fałszywe wieści, żem uknuł spisek na życie papieża; lecz jednocześnie gdy uwiadomiono go o tém i ja także przestrzeżony byłem. Przerażony ogromem niezasłużonego oskarżenia, zrazu ukryłem się był, ale widząc iż sprawa ta przybierała coraz większe rozmiary, uciekłem potajemnie do Apulii. Papież nie mogąc mnie znaleźć, kazał mego brata a później przyjaciół moich uwięzić, wszystkie moje papiery i wszystko co miałem zabrać. Gdy naprożno mego brata i drugich poddawał torturom, a od żadnego z nich nic wydobyć nie mógł, wówczas aby nie być oskarżonym o lekkomyślne postępowanie, wszystkich ich zatrzymał w więzieniu na Engelsburgu. Jednocześnie, aby mnie schwytać, wysłał za mną Kaspra Chilicusa z kilku siepaczami. Ten ostatni zastał mnie w Trani w Apulii, nic jednak wymódz nie mógł od miejscowéj władzy. Ztamtąd udałem się na dwór króla sycylijskiego. I tam także przyjechał on za mną, żądając abym był uwięziony. Gdy jednak otrzymać nie mógł tego co żądał, wyjechał do Rzymu zapowiadając iż papież użyje chociażby klątwy nawet, a zmusi króla aby mnie wydał. Gdy wreszcie po wysłuchaniu mego brata i moich przyjaciół, przekonał się papież, że podejrzenia jego nieuzasadnione były, zaprzestał dalszych poszukiwań i więcéj już sprawy téj nie podnosił. Nic o tém nie wiedząc, popłynąłem do Grecyi, najprzód do Krety, a potém do Cypru, dokąd wraz ze mną przybyły wieści o całéj mojéj sprawie. Na Cyprze przebywał pod tę porę biskup biraceński (*episcopus byracensis*), legat papiezki, któremu poleconém było zawarcie układów względem małżeństwa między królem wyspy a córką despoty Peloponezu. Legat ten natychmiast zażądał od króla abym mu był wydany, król jednak, dbały o swoją godność, nie chciał tego uczynić; legat przyrzekał mu nawet koronę królewską, dotąd odmawianą. Co więcéj, na przyszłość zabronił mu nawet w swéj przytomności mówić o mnie, przyrzekł mu tylko, że wydali mnie ze swego państwa, i wyznaczył mi termin, w ciągu którego dokąd zechcę mogę wyjechać. Wówczas udałem się na wyspę Chios, którą po kilkodniowym pobycie opuściłem, gdyż nie wiedząc jeszcze jaki obrot weźmie sprawa moja we Włoszech, chciałem zna-

leżć pewne schronienie, gdziebym mógł żyć spokojnie i bezpiecznie. W ten sposób przybyłem do Konstantynopola. Tutaj od podróżnych, przybywających z Włoch, dowiedziałem się że brat mój i krewni moi oddawna już wypuszczeni są na wolność, a majątek mój zwrócony, i że bezpiecznie powracać mogę, na co też pozwolenie wysłane było za mną do Cypru. Myślałem tedy o powrocie do ojczyzny, gdyż zwyczaje i obyczaje ludzi, wśród których żyć musiałem, w wysokim stopniu były mi przeciwne. Wreszcie przybyłem do waszego kraju (do Polski), ażeby raz już Włochy opuściwszy, więcéj jeszcze krajów poznać, wasz zaś zajmuje nie ostatnie miejsce wśród innych."

Jakkolwiek krótkim był pobyt Kallimacha na wyspie Chios, to przecież poraz pierwszy doznać tam musiał przyjaznego przyjęcia. Ślad jego pobytu na téj wyspie zachował się w nadzwyczaj ciekawym rękopiśmie, który niedługo potém spisany został, a obecnie znajduje się w bibliotece laurentyńskiéj we Florencyi. Rękopim ten spisał w 1473 roku w Chios Mikołaj Ugolinus. Zawiera on między innemi poezye Kallimacha i innych osób mających stosunki z Ugolinem, jak np. Marka Antoniusa Romanusa, tego samego zapewne, który w Rzymskiéj akademii miał nazwę *Asclepiades*, i schroniwszy się na wyspę Chios, zmarł tam w młodym wieku, mniéj więcéj w czasie, w którym powstał nasz rękopism; znaduje się w nim bowiem żałośna pieśń Kallimacha na śmierć przyjaciela. Oprócz tego znajdujemy tu także cztery listy Kallimacha, pisane jak się zdaje z Konstantynopola do Baptysta Pacteriusa, który w tymże czasie przebywał na wyspie Chios. Nie wielki ten zbiorek poezyi, otwiera wiersz Kallimacha do Franciszka Ugolina, przy końcu zaś drugi, takiż sam znajduje się. Ten Franciszek był zapewne krewnym Mikołaja, który ten zbiór ułożył, i jeden drugiemu polecił był Kallimacha. W pierwszéj z tych dwóch pieśni, najpiękniejszéj może ze wszystkich, jakie napisał Kallimach, w pięknych obrazach maluje on przygody, które jak drugi Ulisses w ciągu swéj wędrówki doznał, oraz przyjacielskie pożegnanie, gdy postanowił udać się aż nad brzegi Tanaïs. Jest to ta sama pieśń, którą potém zmieniwszy cokolwiek i dodawszy dokończenie swéj podróży, Kallimach przypisał ukochanéj swéj Fanii.

Z obu tych pieśni, do Franciszka Ugolina i do Fanii, mniéj więcéj przynajmniéj, obliczyć możemy czas pobytu Kallimacha w Konstantynopolu i przybycia jego do Polski. W pierwszéj powiada on, że po dwakroć już rolnik orał i zasiewał pola, od kiedy Kallimach opuścił brzegi Lawinii. W drugiéj zaś wspomina o „poczwórnych orance i żniwach." Że zaś Kalimach na początku 1468 roku z Rzymu uciec musiał, zatém przebywał w Konstantynópolu w drugiéj połowie 1469, a przybył do Polski zapewne w pierwszéj połowie 1470, a drugą pieśń ułożył w 1471 roku.

Oprócz przyczyn swojéj podróży do Polski, które wyłuszcza sam Kallimach w powyżéj przytoczonym liście, to jest powszechnéj

współczesnych humanistów żądzy podróży i wiedzy, Jovius powiada że Kallimach wiedząc o nieprzyjaznem usposobieniu króla Kazimierza względem papieża Pawła II, spodziewał się znaleźć opiekę na dworze jego, a Brutus dodaje, że przyczyną tego nieporozumienia było stanowisko papieża w kwestyi czeskiéj, nieprzychylne królowi. Niemniéj także do podróży jego do Polski i to także przyczynić się musiało, że znajdował się tam Ainolfs Tedaldi, krewny Kallimacha, a jak się zdaje, kupiec, do niego też nasz poeta udał się najprzód.

Niewiadomém jest w jaki sposób Kallimach dostał się na dwór arcybiskupa lwowskiego Grzegorza z Sanoka, zapewne w skutek polecenia humanistów miejscowych. Do Lwowa przywiązało go wkrótce serdeczne uczucie dla wspominanéj przezeń we wszystkich pismach Fanii Swentocha. Nic jednak o niéj nie wiemy, oprócz tego co sam Kallimach o niéj wspomina. Wychwala on nietylko jéj bogactwo, ale także szlachetne pochodzenie. W historyi Władysława III, przezeń napisanéj, wymienia on jéj dziada Leszka Bobricius (=Bobrek) i wraz z Grzegorzem z Sanoka zamieszcza go w rzędzie polskich magnatów, którzy towarzyszyli Władysławowi w jego pochodzie do Węgier. W wierszach Gallusa, nazywa ją „Bobritia."

Mimo jednak iż gościnność, przyjaźń i miłość tak mu się uśmiechały, dnie smutku i niepewności jeszcze nie skończyły się były dla naszego wędrowca. Na sejmie w Piotrkowie, który w dzień św. Szymona i Judy (28 października) 1470 roku otwarty został, przybył Aleksander, biskup Forlijski, poseł papieża Pawła II, głównie w celu załatwienia spraw czeskich; jednocześnie, pod pozorem iż Kallimach uknuł był spisek na życie papieża, zażądał wydania jego. O przebiegu jednak układów, które w skutek tego prowadzone były w Piotrkowie, niedość jasne mamy wzmianki w pismach Kallimacha; z nich tyle tylko wyrozumieć można, że postanowienie sejmujących, którzy pragnęli zjednać sobie papieża w sprawie czeskiéj, nie nader było pomyślném dla oskarżonego.

Ale Kallimach w obec burzy, która nad głową jego zbierała się w Piotrkowie, jak sam się wyraża, znalazł pewne i bezpieczne schronienie u Grzegorza z Sanoka. Rychło potém znajdujemy go w małém miasteczku Dunajowie, zwykłém miejscu pobytu biskupa. Ztądto (w Sobotę Wielkanocną 13 kwietnia 1471 r.) napisał on memoryał do Dersława z Rytwian, najbardziéj wpływowego magnata a który na sejmie piotrkowskim nie był, lecz nie długo po zamknięciu go, wraz ze Stanisławem Ostrorogiem powrócił z poselstwa do cesarza Fryderyka.

Kallimach w liście tym powiada, iż wyrok piotrkowski nadto był surowym, gdyż wyrzeczony został bez wysłuchania go, bez widzenia go nawet. Przeciwko oskarżeniu uknucia spisku na życie Pawła II, broni się w ten sposob, w jaki tłumaczył go Platina przed papieżem. Tak wielkie przedsięwzięcie tęn tylko mógłby zamierzyć, ktoby miał środki ku temu, lub połączył się z ludźmi, którzyby niemi rozporzą-

dzali. Żyli wprawdzie jego ojciec i bracia, ale nie posiadali ani władzy, ani potęgi, któreby mogły wzniecić obawę papieża, a on sam jako człowiek prywatny, tak ograniczone miał stosunki, że nikt mu nic zazdrościć nie mógł. Ztąd byłoby nierozsądném mniemać iż chciał zająć miejsce zrzuconego papieża, lub też objąć świecką władzę nad Rzymem. Jeśli zaś znajdzie się kto, co rzeczywiście tworzyłby zamiar podobny, byłoby to nie do przebaczenia, gdyż w ten sposób wzniecanoby spory w świecie chrześcijańskim, i Włochy, które teraz łączyły się przeciwko wspólnemu nieprzyjacielowi chrześcijaństwa, na nowo pogrążone być mogły w wojnie domowéj.

Państwo polskie, przez rezolucyą sejmu piotrkowskiego, narażało się na śmieszność, gdyż sam papież, zważając na jego nieszkodliwość (Kallimacha), nie przykładał już wagi na wypełnienie swego żądania. Zresztą do króla sycylijskiego przybywał nuncyusz papiezki, żądając jego wydania, tutaj zaś i tego nawet nie było. Przytém, jeżeli chciano zadość uczynić żądaniu jego nieprzyjaciół, to należało wydalić go z kraju równie swobodnie jak przyjechał był, przez co i honor i wzgląd na Stolicę Apostolską nienaruszone pozostałyby. W miejscu zaś tego, bez wysłuchania uznano go winnym. Wrazie nawet, gdyby rzeczywiście był winnym, stosowniejszémby było dla godności państwa wyjednać dlań przebaczenie, zwracając w ten sposób papieża na drogę, którą postępować winien zastępca Chrystusowy na ziemi. Nikt prawie z Polaków papieża nie widział, słyszeli tylko o nim; wiedzą że jest namiestnikiem Bożym, że ma pełną władzę nad duszami, i mniemają że jest nadziemską istotą bez wad i ułomności, jedném słowem wolną od wszelkich kolei, jakim ulegają ziemskie rzeczy. Gdy jednak zrozumieją, że i on także podległy jest wszelkim namiętnościom, że nieubłaganie dąży do spełnienia swéj zemsty, to może zmienią swe poglądy i przekonają się, że raczéj najsurowszym jest tyranem. Uwagi te wprawdzie nie znajdą uznania u legata i jego stronników, gdyż nadto są zaślepieni przez namiętność. Zadośćuczynienie ich żądaniom byłoby początkiem coraz większych wymagań Stolicy Apostolskiéj.

Polska jest krajem potężnym, wielkim i wolnym, Polacy pamiętać powinni aby kraj swój w takim stanie następującym pokoleniom zostawili, w jakim odziedziczyli go po przodkach, i przedewszystkiém starannie unikać mają wszelkiéj służebności. Inni także królowie nie tyle przez litość dla niego, jak przez chęć utrzymania swéj niezależności, odmawiali jego wydania. Jeżeli zaś tak poważne i światłe zgromadzenie, bez rozpatrzenia nawet całéj sprawy, wbrew wszelkim prawom, swobodnego i wolnego człowieka wyda na żądanie Stolicy Apostolskiéj, to przewaga władzy papiezkiéj wzniesie się niezmiernie. Papieżowi nie chodzi o niego, ale następstwa owego wydania nader ważne być mogą. Zresztą sam papież uznał już jego niewinność, uwalniając z więzienia jego braci i krewnych, i jemu samemu przesyłając do Cypru pozwolenię powrotu do kraju. Co się wreszcie tyczy robionych mu zarzutów, iż uciekł do Sułtana turec-

kiego, z którym miał się jakoby znosić, to łatwo widzieć jak zarzut podobny jest bezzasadnym. Kallimach kończy wreszcie swój pamiętnik prośbą, ażeby Dersław, w osobistéj jego sprawie bronił godności państwa i zagrożonéj jedności Włoch, a nawet całego świata chrześcijańskiego.

Pismem tém Kallimach dotknął drażliwéj strony nietylko samego Dersława, ale także licznéj partyi, która usilnie pragnęła niezależności od kuryi rzymskiéj. Sam nawet król skłaniał się ku niéj. W skutek więc tego wynikł przychylniejszy dla Kallimacha pogląd na jego sprawę, tém bardziéj iż groźny przeciwnik jego, papież Paweł II zmarł w tymże czasie (28 lipca 1471 r.). Za następcy jego Sykstusa IV, który odznaczał się wysokiém wykształceniem umysłowém, zupełny nastąpił przewrót. Akademia odżyła na nowo, Pomponius Laetus i Platina znów do swych godności powrócili.

Dla Kallimacha także lepszę czasy nastały. Wprawdzie rok cały dosyć smutnie przeżył on w domu biskupa w Dunajowie, ale ścisłą z nim przyjaźń zawarł, tak że z przyjemnością potém wspominał te chwile. „Grzegorz wyprzedzał zwykle, opisywał potém Kallimach, wszystkie moje pragnienia, chcąc osłodzić moje nieszczęście. Obcował on ze mną poufaléj niż wiek i stan jego pozwalały mu na to: w częstych przechadzkach lub za stołem długie wiódł rozmowy, do późnéj nieraz nocy przeciągające się; wszystko robił abym żadnego niedostatku nie uczuł, i w czułych troskach, często Fauniolę do swego stołu zapraszał, wiedząc iż ona była największą pociechą w moich utrapieniach. Z początku los mój zdawał mi się tak ciężki i przykry, iż sądziłem że lepiéjby mi było gdybym był umarł albo nigdy do kraju tego nie przyjeżdżał.“

Inne jeszcze wspomnienie tych czasów towarzyszyło mu w późniejszéj epoce jego życia: jestto przydomek „*Experiens*“ który sam sobie nadał, wspominając z goryczą przebyte w młodości swéj smutne koleje losów.

Jako dowód iż położenie naszego Kallimacha wkrótce się polepszyło, winniśmy zauważyć, iż w letnim semestrze 1472 r., zapisał się jako *scholar* na Uniwersytecie krakowskim. Zresztą sposób w jaki odsuwał czynione mu zarzuty i bronił się przeciwko nim, zwrócił nań szczególną uwagę króla, który mianował go nauczycielem łaciny swoich synów. Jeżeli pod tym względem nie mylném jest podanie pewnego rękopismu, który niedługo późniéj spisany został na żądanie wdowy po Kazimierzu, Elżbiety, to Kallimach jeszcze przed śmiercią Pawła II powołany został na dwór królewski; według bowiem tego świadectwa, w naukach jego Władysław także miał brać udział, wiadomo zaś iż ten ostatni odjechał do Czech 25 lipca 1471 r. wybrany królem przez stany państwa. Że zaś tegoż roku drugi syn królewski, podobnież wezwanie otrzymał od większości stanów węgierskich (1 października), zatém najmłodsi tylko synowie króla, Jan Albert i Aleksander, pobierać musieli nauki od Kallimacha.

Na nowém tém stanowisku, Kallimach ścisłe miéć musiał stosunki z dotychczasowym nauczycielem i dozorcą młodych królewiczów, Długoszem. Błędném jest mniemanie, iż Długosz w swéj Historyi polskiéj nigdzie nic o nim nie wspomniał. Wprawdzie raz jeden tylko znajdujemy o nim wzmiankę, lecz nader zaszczytną dla Kallimacha. To zaś milczenie Długosza bynajmniéj nas dziwić nie powinno, gdyż o wszystkich innych znakomitościach literackich swojego czasu, albo nie wspomina zupełnie albo bardzo mało. Z drugiéj zaś strony, w pięknym wierszu Kallimacha, w którym chciał uczcić Długosza, posiadamy pewien dowód iż obaj mężowie wzajemnie wielki ku sobie mieli szacunek. Te ich stosunki przyjazne nie zmieniły się nigdy, chociaż, jak to daléj widzieć będziemy, w poglądach ich politycznych znaczna zachodziła różnica, tak samo jak spór literacki nie był w stanie naruszyć przyjaznych stosunków Zbigniewa Oleśnickiego i Eneasza Sylwiusza. W dalszym ciągu naszéj pracy przekonamy się nawet, że nieraz Kallimach za podstawę własnych pism i utworów, brał podania Długosza, dodając do nich tylko formę zewnętrzną. Stosunki te z Długoszem zbliżyły Kallimacha do młodego Zbigniewa Oleśnickiego, którego wujowi-kardynałowi, Długosz przypisał swoję Historyą polską. Ścisła przyjaźń jaka zawiązała się między włochem i tym mężem znakomitym, odsunęła nawet wszelkie między nimi współzawodnictwo.

Kallimach skorzystał z okazyi nominacyi Zbigniewa Oleśnickiego (dotąd scholastyka krakowskiego) na podkanclerza koronnego (1472), pisząc doń list z powinszowaniem, który nie poruszając stosunków konkretnych, wykazuje obowiązki nowego urzędu w sposób humanistyczno-konwencyonalny. Poniżéj podany będzie drugi list Kallimacha do tegoż Zbigniewa Oleśnickiego, w którym rozpatrywane są najważniejsze kwestye ówczesnéj polityki polskiéj. W ogóle Kallimach szybko wciągnął się w te nowe stosunki i zespolił się z niémi, głównie dlatego, iż dążył do porozumienia między Polską i swoją ojczyzną, opierającego się na jednakich interesach i celach.

Usiłowaniom tym pomagała głównie polityka Wenecyi, która zawarłszy przeciwko Porcie związek z szachem perskim Usun-hassanem, oraz z władcą Karamanu, szukała także połączenia z północnemi państwami. W tym celu kilkakrotnie przyjeżdżali do Polski posłowie Rzeczypospolitéj, a chociaż cel bezpośredni ich poselstwa osięgniętym nie był, to jednak następowało pewne zbliżenie obu państw. Z szeregu tych stosunków, zwracamy głównie uwagą na te, do których łączy się imię Kallimacha, przytém zaznaczyć wypada, iż udział jaki brał w tych negocyacyach sam nam opowiada. Pomiędzy wielu innemi stworzono wówczas w Wenecyi dość dziwaczny plan, ażeby z współudziałem sąsiedniego państwa polskiego, zjednać Tatarów do uczestniczenia w wojnie przeciwko Osmanom. Na początku 1474 r., jechał w tym celu Ambriosio Contarini, przez Polskę do Persyi, otrzymawszy jak świadczy sam Kallimach, z porady Ber-

narda Giustiniano polecenie, ażeby w Polsce u Kallimacha powziąć dokładniejsze wiadomości o Tatarach. Contarini, ciągnie daléj Kallimach, oddawszy mu listy, z któremi był wysłany, daléj jechał z dodaną mu eskortą królewską, a Kallimach przyrzekł że wypełni żądanie Giustiniana i wkrótce piśmiennie obszernie mu odpowie. W tym więc celu naradzał się on z kilku znakomitymi mężami, między innymi z Piotrem z Bnina, późniejszym biskupem władysławskim; wreszcie, całę tę sprawę przełożył królowi. W tych jednak naradach, większość okazała się przeciwną obmyślanym planom. Wedle nich bowiem, nie należało pobudzać do wojny tak dzikich plemion, gdyż przez to większe jeszcze można było wywołać nieszczęście i kroku tego żałować potém, tak samo jak Grecy, którzy Turków z Azyi sprowadzili. Piotr z Bnina radził, ażeby dokładnie wykazać Wenecyanom powody, dla których uważano ich plany za niemożebne, i przekonać ich o niebezpieczeństwie takowych. Tak więc z uznaniem króla, Kallimach ułożył pismo, które, chociaż officyalnego charakteru niemiało i zdawało się zawierać osobiste tylko przekonania jego, wątpić jednak nie można, że przedstawionę było królowi. Pisał on tutaj że zasługi królów polskich dla wiary chrześcijańskiéj, wolne są od wszelkich podejrzeń. Co się zaś tyczy Tatarów, mówił iż rozmaite są onych plemiona. Giustiniano nie wymienia które z tych plemion użyćby można, czy zamieszkujące Azyę czy Europę, czy też na granicy obu tych części ziemi osiadłe hordy. Tatarzy krymscy od czasu upadku Kaffy (1475), nadto są bezsilni, ażeby módz korzystnie walczyć z Osmanami, a hordy żyjące między Europą i Azyą, wezwane na pomoc, musiałyby przechodzić przez kraje polskie, które przez to narażone być mogły na wielkie niebezpieczeństwo. Inny więc plan podawał Kallimach, zapewniając w ten sposób korzystniejsze dla Wenecyan stanowisko względem Turcyi. Wedle więc rady jego, Wenecyanie powinni doprowadzić do pojednania między cesarzem i królem Maciejem węgierskim, a wówczas połączona z niemi Polska pomyślnie przeciw Turcyi działaćby mogła.

Jakikolwiek w tych naradach brał udział Kallimach, cała ta sprawa miała czysto prywatny charakter, z którego granic nie wyszła, co z tego względu jest widoczném, iż ani wydana dla Ambrożego Contarini instrukcya (11 lutego 1474 r.), ani też relacya polska, nie wymieniają nawet imienia Kallimacha. Contarini wspomina tylko, że w Lublinie (= Lunberli), widział czterech synów Kazimierza i „znakomitego mistrza który ich uczył,“ nie wymienia go jednakże. Przypuszczać tedy można, iż ustną tylko instrukcyę mieć musiał od rządu Rzeczypospolitéj. O istnieniu samego projektu ażeby Tatarów do wojny przeciwko Osmanom wciągnąć, wątpić nie można. Zresztą projekt ten nowym nie był. Już Zbigniew kardynał, w liście do Kapistrana uważa, że król dobrze zrobi, jeśli psów przez psy, Turków przez Tatarów pokona. Pośrednio potwierdza to przedstawienie Kallimacha i to, że W. książe moskiewski zatrzymałbył posła weneckiego

Giovanni Battista Trevisano, który udał się był do Rossyi w celu namówienia Tatarów do napadu za Dunaj, uczynił zaś to przez obawę aby Tatarowie przeciwko niemu nie zwrócili się.

Niedługo potém nadarzyła się Kallimachowi sposobność pierwszego dyplomatycznego poselstwa. Powód do tego dała pokojowa propozycya, którą Mahomet II przesłał Kazimierzowi (15 marca 1478 roku), i którą ten ostatni, nie zmieniając swego stanowiska jako król chrześcijański, zamierzał zużytkować przeciwko Maciejowi swojemu przeciwnikowi; Kallimach tedy z podwójném poleceniem wysłany został do Włoch: najprzód poleconém mu było odciągnąć Wenecyą od projektów tatarskich, następnie udać się do Foligno, gdzie u papieża Sykstusa zebrał się był kongres posłów książąt włoskich dla naradzenia się w kwestyi tureckiéj i przedstawiwszy propozycye pokojowe Porty, żądać aby odebrano królowi Maciejowi subsydya, które brał od Wenecyi i innych państw pod pozorem wojny z Turcyą, a które obracał na wojnę z cesarzem i Czechami. W Wenecyi tyle zdziałał Kallimach, że nietylko odjęto subsydya Maciejowi, lecz postanowiono, iż legat papiezki wysłanym doń będzie, aby dopilnować zwrócenia summ już wypłaconych. W tym duchu zawiadomić miano posła rzeczypospolitéj w Rzymie, a tymczasem król polski tak długo mógłby ociągać się z ukończeniem pokoju, aż ujrzałby jaki skutek mieć będzie połączenie całych Włoch przeciwko Turcyi. W kwestyi tatarskiéj, Wenecya postanowiła wysłać do Polski nowego posła w osobie Bartolomea Brando, zwłaszcza że w owym czasie połączenie z Tatarami prawie bezpośrednio zawarte już było, i chodziło tylko o przyzwolenie Polski na ich przechód. W Polsce rozmaicie zapatrywano się na propozycye Wenecyi; niektórzy z otoczenia królewskiego okazywali oburzenie w skutek tych wymagań, mogących wywołać groźne dla Polski niebezpieczeństwa i składali całą winę na Kallimacha, który w Wenecyi niedostatecznie wedle ich zdania, występował przeciwko planom tak niekorzystnym dla nich. Inni znowu, między niemi biskup władysławski, okazywali większą przychylność żądaniom Wenecyi, w mniemaniu, iż należało nie opuścić sposobności korzystnéj walki przeciw Porcie. Król skłaniał się także ku tym ostatnim i chodziło tylko o wynalezienie środków, zapewniających bezpieczeństwo dla kraju w razie przechodu dzikich hord. Tymczasem Kallimach nadjechał z Rzymu. Powtórzył on był papieżowi polecone mu zlecenie w kwestyi subsydyów. Że propozycya ta zadawalniała państwa, które przyrzekły były owe subsydya, zatém mimo protestacyi weneckiego obrońcy, postanowiono nie posyłać ich nadal Maciejowi. Kallimach powróciwszy do Polski starał się wykazać iż jegoto pracą wymuszone było to postanowienie. W późniejszém jednak piśmie, przyczynę owego postanowienia przyznawał on i słusznie zawiści państw włoskich względem Wenecyi.

W Polsce raz jeszcze przemawiał on za sprawą wenecką. W obec zarzutów, iż przechód Tatarów przez kraje polskie wielce

niebezpiecznym być się zdawał, proponował Kallimach, ażeby Tatarów zachęcić do napadu na Azyę. Przez to podwójna korzyść byłaby odniesioną, gdyż najprzód niebezpieczeństwo, o którém tyle mówiono, byłoby usunięte, a powtóre potęga turecka w samém jéj ognisku byłaby zachwianą. Tymczasem Wenecyanie mogliby obsadzić wszystkie miejsca w Europie, które Turcy musieliby opuścić, aby oprzéć się Tatarom, a w razie zwycięztwa, korzyść Europy chrześciańskiéj ogromnąby była.

Atoli Kallimach zapóźno wystąpił z temi projektami, które tak jak wiele innych, łatwiéj obmyślanymi niż wykonanymi były. Śmierć Usun-Hassana (1478), w skutek któréj potęga perska rozdrobniła się między jego synów: odpadnięcie i opieszałość dotychczasowych sprzymierzeńców Wenecyi, długi, w które wciągnęły ją długoletnie wojny przy wątpliwém powodzeniu; to wszystko przymusiło ją do zawarcia pokoju z Mahometem II, który téż podpisany został w Konstantynopolu 26 stycznia 1479 roku.

Gdy przez czas jakiś Wenecya zajętą była wewnętrznemi sprawami, Kallimach ciągle usiłował nadać polityce tego państwa kierunek pomyślny dla Polski. W ten sposób mógł być pewnym iż dyplomatyczne jego służby niezbędnemi będą dla króla.

Dla dokładnego zrozumienia celów, które sobie zaznaczył Kallimach, koniecznem jest bliżéj rozpatrzéć stosunki Kazimierza do króla Macieja węgierskiego, którym wyłącznie prawie poświęcona jest polityka polska 1479 r. Ciągłe poróżnienie obu królów trwało jeszcze w tym roku. To zaś tém trudniejszém było do usunięcia, gdyż było ono następstwem nader ważnych okoliczności. Kazimierz nie wyrzekał się bynajmniéj rozszerzeń swojego domu do Węgier i Czech, które wynikały w skutek małżeństwa jego z Elżbietą córką cesarza Alberta II. Co się tyczy Czech, dosięgnął on swoich zamiarów; w stosunku zaś do Węgier, upornie przy nich obstawał. Dlatego więc jak to już wyżéj powiedzianém było, wysłał on najmłodszego syna Kazimierza, jako pretendenta do Węgier i tylko niepewna nadzieja powodzenia była powodem, iż gdy w 1478 roku malkontenci magnaci węgierscy wysłali tajemnie posła do Kazimierza, zachęcając go do nowój do Węgier wyprawy, król go bez odpowiedzi odprawił. Z losów Podiebrada, mógł Maciej widzieć swą przyszłość, tém bardziéj iż szczęście skłaniało się ku stronie Władysława. To téż w 1478 r. zawarł on z nim pokój, zmniejszając w ten sposób liczbę swych nieprzyjaciół; jednocześnie zawierał traktat z mistrzem zakonu, który odmawiał hołdu królowi polskiemu, oraz wchodził w stosunki z biskupem warmijskim Mikołajem von Tüngen.

Obecnie było dwie drogi dla usunięcia nieporozumienia między obu państwami. Najpiérw przez pośrednictwo papieża, który dotąd tak widocznie wspierał Macieja, a powtórnie zjednawszy sobie sprzymierzeńców jego, zmusić w ten sposób do zaniechania nieprzyjaznego względem Polski stanowiska.

Przeciwko piérwszemu planowi, Kallimach podał w 1479 roku memoryał do Zbigniewa Oleśnickiego, wówczas biskupa władysławskiego; pismo to rozpatrzymy tutaj w pobieżnym przeglądzie.

Są tacy, mniema Kallimach, którzy radzą wysłać powtórnie roztropnych posłów do papieża; tymczasem spodziewać się nie można aby ktokolwiek u cesarza, u doży i u papieża cóś więcéj wymódz był w stanie, od tych którzy piérwéj z nim razem spraw polskich bronili. Nic bowiem takiego nie zaszło, coby tą razą nadzieję większego powodzenia usprawiedliwić mogło. Propozycya pokoju od Turków zmusza rozpocząć jednocześnie z Turkami i z papieżem układy, przez co u jednych i u drugich wzbudzi się podejrzenie. Przeto należy porozumiéć się dokładnie z tym, kto nie wystąpił jeszcze otwarcie jako nieprzyjaciel, a przyjaźń jego mądrze spożytkowana, byłaby w stanie czynione dotąd błędy naprawić. Nie słusznym zaś jest zarzutem, iżby owa propozycya pokojowa nadto była ogólnikową. Czyż on (Turek) miał powiedziéć: chcę zabrać Węgry albo chcę Niemcy lub Italię spustoszyć, a ty tymczasem siedź spokojnie i nie wspieraj ich ani radą, ani czynem. On podał tylko propozycyą, a rzecz jest Polski, najkorzystniéj ją dla siebie zużytkować. Nie byłoby rzeczą roztropną, pogardliwie odrzucić tę propozycyą, bo na przyszłość zostawałby tylko oręż, którego łatwo jest wyciągnąć ale trudniéj z godnością i sławą włożyć do pochwy. Przykład Czechów, którzy z Maciejem pokój zawarli niczego nie dowodzi; do pokoju tego Czesi nie dążyli, lecz sam Maciej i on tak długo zachowywać go będzie, aż upadną przyczyny dla których obecnie potrzebował go. W ogóle nie należy nadto ufać Maciejowi, on bowiem więcéj myśli o zdobywaniu nowych posiadłości niż o zabezpieczeniu posiadanéj już własności. W piérwszym razie, może zyskać sławę i zdobycze swe rozszerzyć, gdy zaś byłby zagrożonym, liczyć może na pewną pomoc i obronę z nim razem zagrożonego chrześciaństwa. Nadto pokój który zawarł z Czechami, bynajmniéj stanu rzeczy nie zmienił. Do pokoju tego zmusiły go brak pieniędzy wyczerpanych w skutek wojny austryackiéj, obawa buntów zostających na żołdzie a niepłatnych żołnierzy i wreszcie chłodny współudział państw włoskich. Któż jednak zaręczyć może, iż skoro te trudności usuniętemi zostaną, on znowu za oręż nie weźmie? Ale przypuściwszy nawet, że Maciej pragnie pokoju, to w przyszłości mimowoli wojnę przyjąć musi. Maciej zawdzięcza łasce papiezkiéj całą swoją wielkość, przypuściwszy zatém iż z Czechami pokój utrzyma, to jednak zechce wdzięczność swą okazać zasłużonym dlań księżom, których całą dążnością jest przezwyciężyć i pokonać religijne wyobrażenia Czechów, jeśli nie siłą przekonania, to siłą oręża. Zatém pokój z nim nie przedstawia żadnéj rękojmi trwałości. Ale przypuściwszy chociażby, że ten pokój trwałym nawet być może, to pozostawi w jego ręku korzyści z posiadanych obecnie krajów i znacznych summ pieniężnych, które w przyszłości użyje na uzbrojenie wojska przeciwko nam. Możnaby wpra-

wdzie zarzucić: co to szkodzić może, jeżeli pokój na pewien przeciąg czasu jest zabezpieczonym? Tymczasem uspokójmy Prusy, wyjaśnimy nasze stosunki względem Turków i Włochów, zjednamy dla siebie papieża, a także król czeski będzie miał czas wypocząć. Na to znów można odpowiedzieć, że nie należy zostawiać czasu Maciejowi ażeby mógł stać się silną podporą i opieką dla zakonu. Z Turkami wprawdzie nie można na pewno wdawać się w układy, te jednak jako pozór tylko, nadzwyczaj są pożądane. Pozór podobny, nie mógłby długo utrzymać się i nie byłby w stanie powstrzymać wybuchu wojny z Maciejem. Toż samo powiedzieć można o Włochach, którym nie należy zostawiać czasu, aby doznane rany zagoić zdołali. Papieża się nie zjedna, gdyż on z własnego przekonania działa przeciwko Polsce. Prośby i wezwania są już wyczerpane, innych teraz należy szukać sposobów, o których piérwéj ustnie objaśniał. Król czeski nie wypocznie podczas pokoju, lecz tylko upomną się u niego o obietnice, które uczynił był wstępując na tron. Od papieża nic więcéj wymódz nie można, od tego co on już otrzymał w roku zeszłym, mianowicie, że posiłki pieniężne wstrzymane zostały. Jakkolwiek trudno to było otrzymać, trudniejszém jednak byłoby wyrobić, aby te summy przysłane były do Polski. To zaś ostatnie postanowienie dlatego dotąd wykonaném nie było, gdyż przesyłki pieniężne zależały od zobowiązania do wojny (przeciw Turkom). Dlaczego zaś wszystkie inne żądania dotąd bez skutku zostały, wyłożył on Zbigniewowi. Teraz ograniczyć się należy, aby obu tych postanowień ściśle się trzymać. To zaś najłatwiéj osięgnąćby można za pomocą układu z Wenecyą, którą on mimo osławienia przez złych i głupich ludzi, zjednał dla zamysłów Polski. Względem Włoch, połączenie z Wenecyą jest dostateczne, należy tylko wysłać tam posła, do czego on sam chętnie się ofiaruje; poseł ten powinien być także u cesarza, aby i tego pozyskać. Przytém czasu tracić nie należy, gdyż nieprzyjaciel nie przestaje być czynnym we Włoszech. Przez oziębłość i opieszałość zmusi się Wenecyan do związku z całemi Włochami. Wreszcie Kallimach prosi biskupa, aby te jego uwagi na sejmie objawił. Nikt, kończy on, silniéj odemnie nie pragnie pokoju, gdyż wojownicze dążenia sprzeciwiają się moim skłonnościom i zdolnościom.

Kilka jednakże lat przeszło, nim Kallimach znalazł pożądaną sposobność do dyplomatycznego poselstwa do Wenecyi. Syn Mahometa II, Bajazet II (od 1481 roku), odnowił zrazu, jak się zdaje ową propozycyę pokojową, około któréj wiązała się cała dyplomatyczna działalność Kallimacha. Gdy jednak przez zawieszenie broni, zawarte z Maciejem (1483 r.), zapewnił się z téj strony, wpadł on w 1484 r. do Bessarabii i wziął szturmem Kilię i Białogród, dwa miasta, które zaliczano do Mołdawii. Stefan, wojewoda mołdawski był przez to zmuszony uznać zwierzchnictwo korony polskiéj, tak długo odrzucane i w 1485 r. w Kołomyi złożył hołd Kazimierzowi, w skutek czego, siły polskie oczyściły tę prowincyę od Turków aż do obu

tych fortec. W tymże czasie, to jest przy końcu 1485 r., Bajazet odnowił przymierze z Polską, do czego przymuszony był tak przez powodzenie oręża polskiego, jak niemniéj także przez wybuch wojny egipskiéj. I teraz znowu przedstawiał królowi Kallimach, jak sam opowiada, iż stosowna chwila nadeszła, aby zająć całe Włochy, albo téż zachęcić Wenecyę do wojny, mającéj na celu wygnanie Turków. Należałoby posłów tureckich z pomyślną odpowiedzią odprawić, a jednocześnie wysłać do Wenecyi swych posłów, w celu zachęcenia Rzeczypospolitéj do przyjęcia pośrednictwa między Polską i Bajazetem. Wenecya bowiem wielkie ma znaczenie u Turków, którzy bez wątpienia, z obawy iżby się nie poróżnić z obu państwami, przystaną na układ, gdy zażądają od nich zwrócenia Mołdawii, Lycostomum i Monacastrum, obu portów, które niedawno zajęli. Jeśli zaś Wenecya na to nie przystanie, to zachęcać trzeba Rzeczpospolitę aby teraz, gdy żadnéj innéj wojny nie prowadzi, wspólnie z Polską wystąpiła przeciwko nieprzyjacielowi i tak już upokorzonemu, przytém należy dać jéj nadzieję, że Tatarzy wpadną w kraje Pontu. Aby zaś Turków bardziéj jeszcze zatrwożyć, należy także cesarza do układów tych wciągnąć i nakłonić go, iżby wymógł na Wenecyi posiłki przeciwko Maciejowi. Naturalném następstwem tych negocyacyj byłoby, iż Maciéj z obawy Wenecyi odstąpiłby od swych zaborczych dążności, albo uległby w nierównéj walce: w obu razach, zwycięstwo świata chrześcijańskiego niewątpliwémby było.

Kazimierz przyjął te wnioski i przyłączył Kallimacha do poselstwa, które, składając się z dwóch znakomitych magnatów polskich, około kwietnia 1486 r. z Polski wyruszyło. W Kolonii posłowie zastali cesarza, który ze swych krajów dziedzicznych przez króla Macieja wygnany, przybył; tam był po odbytéj niedługo pierwéj (5 kwietnia), koronacyi jego syna Maxymiliana na króla rzymskiego. Cesarz przystał na propozycye posłów i przyłączył do nich jako pełnomocników swoich biskupa trydenckiego Jana Hinderbacha, Bernharda, Pergera i Jerzego Ellecheri. Także syn cesarza Maxymilian dodał ze swéj strony Bernarda Polemusa.

W dalszéj drodze, posłowie spotkali w Padwie wysłańców Wenecyi, którzy jechali z powinszowaniem dla króla rzymskiego. Byli to Hermolaus Barbarus i Dominicus Trevisanus, z których pierwszy w imieniu Rzeczypospolitéj, piękną mową powitał przybywających. W Wenecyi, poselstwo doznało także nadzwyczaj świetnego przyjęcia. Atoli odwlekały się układy, stanowiące cel ich przybycia, gdyż doża Marco Barbarigo ciężko był zachorował. Posłom cesarskim Signoria objawiła, że niedługo przedtém zawarli pokój z Maciejem, nie mogą zatém na nowo wojny z nim rozpoczynać. Gdyby jednak cesarz wystąpił przeciwko niemu w sposób stanowczo sprawę rozstrzygający, nie braknie mu na ich poparciu. Pośrednictwa miedzy cesarzem i Maciejem przyjąć nie chcieli, zapewne dlatego, jak słusznie domyśla się Kallimach, iż odpowiadało to ich interesom, aby Maciéj zatru-

dniony był wojną, która przeszkadzała mu do nieprzyjaznych względem Wenecyi przedsięwzięć. Atoli Signoria okazała gotowość przyjęcia pośrednictwa między Polską i Turcyą.

Trzy dni po otrzymaniu téj odpowiedzi, posłowie odjechali z Wenecyi. Kallimach tylko pozostał tu jeszcze dwa miesiące, aby doczekać się odpowiedzi posła weneckiego z Konstantynopola, do którego Signoria przyrzekła pisać w sprawie polskiéj. Tymczasem umarł doża, i Kallimach obecnym był na wspaniałym jego pogrzebie. Widok stowarzyszeń, które na nim występowały w swych różnorodnych ubiorach, dał pochop Kallimachowi zwrócenia się do malarza Giovanni Bellini, który wówczas był przełożonym bractwa San-Marco, w celu bliższego rozpatrzenia tych stowarzyszeń i ich znaczenia. Z wielu innymi także znakomitymi mężami, zawarł Kallimach ścisłe stosunki podczas pobytu swego w Wenecyi, i tak z Markiem Dandolo, synem Andrzeja, znakomitym prawnikiem, z Piotrem Contareno Adorni, autorem znanéj Historyi Wenecyi, z Antonim Leonardico, geografem i wielu innymi. Na pogrzebie zmarłego doży miał mowę Paolo Pisano. Pochwały jakie zjednał sobie przez to, dały powód do dysputy, która w mieszkaniu Kallimacha między wielu uczonymi miała miejsce, a dotyczyła w ogóle wymowy, w szczególności zaś rozwoju jéj we Włoszech. Kallimach powiada że dysputę tę później opisał i wydał. To pismo atoli, dotąd odnalezioném nie było.

Gdy po dwóch miesiącach, oczekiwana odpowiedź z Konstantynopola nie przychodziła, Kallimach nie mogąc już dłużéj czekać, postanowił odjechać do Polski, uprosiwszy Signorią aby za nim odesłano listy jeśli nadejdą.

Przez czas jednak długi żadnéj nie miano wiadomości i król polski postanowił odnowić na dwa lata pokój z Turkami. Ponownie tedy poselstwo powierzoném było Kallimachowi, który w towarzystwie okazałego orszaku z wiernym swym sługą Nicolo, wyruszył w podróż w 1487 roku. Instrukcye, z jakiemi Kallimach pojechał do Konstantynopola, są nam nieznane; tyle tylko wiadomo, iż zawarte zawieszenie broni zostawiło Turków w posiadaniu obu twierdz nadgranicznych. W następnym jeszcze roku nie zaniechał Kallimach projektów swoich, jak to widzieć się daje z listu jego pisanego w 1492 r. do biskupa Jana IV, z którym jednocześnie przesłał opis układów prowadzonych z Wenecyą. Przytém wyraża tam nadzieję, że państwa północne pojednają się i sprawę chrześcijaństwa za własną przyjmą.

(Dokończenie nastąpi).

AKADEMIA UMIEJĘTNOŚCI

W KRAKOWIE.

Dnia 15 czerwca r. b., zastępca protektora Akademii umiejętności w Krakowie hr. Alfred Potocki, zagaił drugie doroczne jéj posiedzenie następującemi słowy: „W imieniu Jego Cesarskiéj Wysokości, Najdostojniejszego Protektora, mam zaszczyt, zagajając dzisiejsze posiedzenie Akademii umiejętności powitać was panowie! I w tym roku Akademia wszelkich starań dołożyła, aby podnieść naukę i umiejętność, i dlatego to panowie z prawdziwém zadowolnieniem spojrzéć możecie na dokonane prace w ubiegłym roku. Wdzięczne uznanie waszéj pracy gorliwéj możecie panowie spostrzedz także i w żywym udziale, jaki między naszymi współobywatelami, którym na rozszerzeniu umiejętności zależy, ta instytucya znalazła, a w tém leży właśnie rękojmia, że poważne badania Akademii w dziedzinie nauki i umiejętności, w coraz dalsze koła rozchodzić się będą. Miejmy niezachwianą nadzieję, że tak jak dotąd i w przyszłości Akademia, wypełniajac na polu nauki wzniosłe swoje zadanie, stanie się godną najwyższych łask Najjaśniejszego Pana, jakie od powstania jéj, tak obficie na nią spływały."

W odpowiedzi na powyższą przemowę, prezes Akademii dr. J. Majer zabrał głos, z którego podajemy ważniejsze ustępy: „Jak w historyi politycznéj zmieniają się godła, gromadząc około siebie siły pochopne do spełniania odpowiednich im zamiarów; tak w historyi nauk od czasu do czasu występują hasła, nęcące jeśli nie blaskiem prawdy, to przynajmniéj urokiem nowości, jeśli nie rzeczywistéj to przynajmniéj pozornéj, dzielące pracowników na obozy wrogie, bo przekonane, że każdy zdobył dla siebie wyłączny przywilej prawdy, w moc tego przekonania postępujące z czołem wysoko wzniesioném, i dlatego niezdolne dostrzedz tego, co obóz drugi mógłby miéć w sobie rzeczywiście dobrego.

„Jaką praca ta była ostatecznie w roku upłynionym nauczy pogląd, którego skreślenie było zadaniem kolegi sekretarza generalnego. Uwagi powyższe niech posłużą za tło do tego obrazu; do nich się téż ograniczam, zmuszony zajmować się nietyle dokonaną pracą, ile raczéj warunkami mającemi wpływ na jéj rozciągłość i postęp.

„Takiemi dziś jeszcze do przesytu powtarzanemi hasłami stał się dawny eksperymentalizm w formie pozytywizmu i w porównaniu z dawniejszym zeskromniały metafizycyzm. Zaciekłość stronnicza, tłumiąc trzeźwiejsze z obu stron poglądy, doprowadzała do tego, że z jednéj strony dosyć było ująć w rękę mikroskop, zajmować się doświadczeniami, sprawdzaniem dawnych, dostarczaniem nowych faktów, choćby najwięcéj dla nauki przydatnych, żeby być zgoła odsądzonym od czci naukowéj, jeśli tylko nie było zarazem zagłębień

przechodzących zakres doświadczalny, bo sięgających aż po ostateczną przyczynę. Z drugiéj znowu strony, dosyć było przyznać jakieś prawa apryorycznym badaniom rozumu, a nawet pokusić się tylko o uogólnianie zdobytych już faktów celem docierania do ich piérwotnego źródła, aby sobie zjednać pogardliwe nazwisko metafizycznego marzyciela.

„A cóż mówić o prawdzie wśród tych sprzecznych obozów? O! nie lękajmy się o nią! Jednostronność musi doprowadzić do tego, że idącym jéj śladem grunt chwiać się zaczyna pod nogami, i chcący niechcący po daremnych wysileniach, muszą oglądać się za inną pomocą. Tak w obec stwierdzonych faktów, metafizycy ujrzéć musieli konieczność liczenia się z niemi i ograniczania przez to samopas wybujałych zapędów rozumu; zwolennicy przeciwnego obozu uderzą czołem, jeśli zdobyta rozumem ogólna zasada rozświeci pojedyńcze fakta i światłem z téj wysokości rzuconém, jaśniéj stawi przed oczy cel i kierunek dalszych usiłowań. Powiedział niegdyś Szyller o przyrodnikach i metafizykach:

Słusznie się nienawidzicie,
Na związek jeszcze zarano;
Prawda, gdy się rozdzielicie,
Dopiéro będzie poznaną....

„Czy wielki poeta dziś jeszcze to orzeczenie uważałby za słuszne, powiedzieć nie umiem; samo jednak uznanie owego związku za przedwczesny, dowodzi, że widział on jego możność, jeżeli nie konieczność w przyszłości. Stosując to do naszych obozów, mamy przekonanie, że już nie od dziś objawu tego zaprzeczyć nie można. Padają systemata poczęte i wyległe z czystéj rozumowéj abstrakcyi, dumnie lekceważące wypadki drogą ścisłych doświadczeń i spostrzeżeń zdobyte; gdy znowu z drugiéj strony, pracownicy na polu doświadczeń szukają światła uogólniającego rozumu, przekonani, że szczegółowe wypadki ich badań, dostarczają koniecznego materyału, lecz w swém odosobnieniu prawdziwéj umiejętności stworzyć nie zdołają.

„Na tém to skrzętném uwzględnianiu a oględném kojarzeniu kierunków, sprzecznych napozór, bo różnych w metodzie, zmierzających wszelako do jednego celu, polega konieczna swoboda umiejętnego badania i pożądana na tém polu harmonia działania; taką to cechę, tuszymy sobie, miała i miéć będzie praca naszéj Akademii. Żeby ją jednak zrobić wydatniejszą, dłuższego potrzeba czasu, niż tego dozwala dotychczasowe istnienie.

„Co do środków zewnętrznych, otrzymała Akademia ze strony państwa w roku zeszłym zasiłek odpowiedni stale tym tytułem wprowadzonéj do budżetu pozycyi. Toż samo rozumieć można o rocznym zasiłku ze strony gminy miasta Krakowa.

„Ze strony kraju: uchwała sejmu z r. 1873 przyznająca Akademii roczny zasiłek w ilości 10,000 złr., w roku ubiegłym pierwszy raz

w wykonanie wprowadzona, posłużyła do takiego stopnia podwyższenia pozycyi budżetu, iż przy téj jedynie pomocy Akademia była w stanie dokonać tylu publikacyi, ile ich w roku zeszłym dostarczyła, nie bez wielkiego nakładu pracy i kosztów.

„Ze strony obywatelstwa obu części Galicyi, z wyjątkiem jedynego objawu najżyczliwszéj chęci, w skutku jednak dotąd wątpliwego, środki były w r. z. nietylko nie przymnożone, ale boleśnie wyznać, przynajmniéj do jakiegoś czasu uszczuplone zostały. Życzliwość ową zawdzięczamy ś. p. ks. Pękalskiemu, który kodycylem swoim z dnia 9 stycznia 1873 r. zapisał na fundusz Akademii wierzytelności, wynoszące razem przeszło 3,000 złr., o które jednak spór sądowy jeszcze za życia testatora rozpoczęty, dotąd ukończony nie został.

„W myśli wspierania niezamożnéj młodzieży tutejszego uniwersytetu, doszła w r. zeszłym po długich przewodach prawnych uzyskana, i prawie do $^1/_3$ części obniżona reszta summy 5,000 rs., legatem ś. p. M. Konarskiego z Odessy na powyższy cel przeznaczonéj. Jedną część téj należytości spłacił dłużnik bez jéj uszczuplenia jeszcze przed 13-tą laty ówczesnemu Towarzystwu Naukowemu.

„Środki i pomoce naukowe Akademii wzmogły się w r. zeszłym znakomicie w zbiorach fizyograficznych i w bibliotece, gdy tymczasem przybytki do zbioru starożytności były bardzo nieznaczne. Na pierwszém miejscu wspomnieć nam tu przychodzi o wzbogaceniu muzeum fizyograficznego znakomitém, bo przeszło 1,000 okazów obejmującym zbiorem zoologicznym. Zbiór ten niegdyś przez Kazimierza hr. Wodzickiego ofiarowany uniwersytetowi, przez ten, zgodnie z wolą pierwotnego właściciela i zezwoleniem ministerstwa, odstąpiony został Akademii, w słusznem przekonaniu, że jego topograficzne znaczenie więcéj się zgadza z zadaniem naszéj komissyi fizyograficznéj, niż z potrzebą systematycznéj nauki w uniwersytecie, znajdującéj właściwą pomoc w jego zamożnym gabinecie zoologicznym.

„Biblioteka Akademii, prócz niewielu nabytków z własnego funduszu, jako niezbędnéj pomocy w przedsięwziętych pracach, otrzymała przeszło 1,000 dzieł z ofiar prywatnych, między któremi kilkaset z daru p. Waltera kupca i obywatela tutejszego. Podniosło to liczbę dzieł, którę dotychczas posiada, blizko do 13 tysięcy egzemplarzy.

„Akademia pomna, że bez oparcia się na tych zdobytych wszechstronną pracą naukowych pomocach, postęp byłby niepodobny, zwróciła uwagę na źródło, które aczkolwiek własnego jéj zbioru wzbogacićby nie mogło, niemniéj przecie stawszy się dla niéj dostępne, byłoby nader wielką pomocą dla nauki dziejów ojczystych. Źródłem tém znakomitém i w swym rodzaju jedyném w Polsce, są zbiory Władysława księcia Czartoryskiego. Do niego udał się zarząd Akademii z prośbą o sprowadzenie ich do Krakowa, a przynajmniéj o częściowe użyczanie do użycia w miarę zachodzącéj potrzeby. Zbiory księ-

cia sprowadzone też będą do Krakowa, nad który według własnych jego wyrazów, nie mógłby znaleźć miejsca odpowiedniejszego. W stosunki weszła Akademia w roku zeszłym z 26-u Towarzystwami i Akademiami, do których dodając dawniejsze, liczba ich wynosi obecnie przeszło siedemdziesiąt.

„Kończąc ten pogląd na zasoby naukowe i materyalne środki Akademii, nadmienić winienem, że brak miejsca przy rozszerzającym się zakresie czynności i wzrastających naukowych zbiorach, których obecne umieszczenie ma z konieczności raczéj pozór składu niż systematycznego uporządkowania, oddawna uczuwać się dawał. Gdy więc dom dotychczasowy, z którym zawsze łączyć się będzie wdzięczne wspomnienie trudu, poświęcenia i ofiary ś. p. kasztelana Wężyka, potrzebie wystarczyć nie mógł, Akademia zmuszona była nabyć dom sąsiedni. Niepomału przyczyniło się do tego przekonanie, że bez niego obejść się nie potrafi; że zaś nie dokonawszy tego gdy się zdarzała sposobność, po przejściu téj posiadłości w inne ręce, warunki jéj nabycia stałyby się daleko uciążliwszemi. Użyła ona w tym celu części swego żelaznego funduszu; nie mogąc naruszać reszty, przebudowanie całego nabytego domu w sposób odpowiedni potrzebie, widzi się zniewolona odłożyć na później.

„Otóż treściwy pogląd na jedną stronę warunków naszéj działalności. Drugą stronę stanowią, jak się wyżej wyraziło, własne siły wewnetrzne przedstawiane przez członków powołanych do grona Akademii. W zeszłorocznem sprawozdaniu nadmieniłem, z jakiém upragnieniem oczekiwała Akademia zatwierdzenia członków zagranicznych. Nastąpiło to rzeczywiście dekretem Najjaś. Pana z dnia 30-go kwietnia 1874 roku, wszakże nie w téj zupełności, w jakiéj przedstawiła ich Akademia. Trudności co do zatwierdzenia niektórych, dotąd nieszczęściem usunięte być nie mogły.

„Nie obeszło się w r. z. bez bolesnéj straty w gronie Akademii. Kiedy z kolei o niéj mówić mi przychodzi, pomny obecnego zadania, do tego jedynie okresu ograniczyćbym się powinien. Jakże wszelako nakazać sercu milczenie, gdy boleśnie dotknięte świeżemi razami, szuka ulgi w objawie uczucia, które je przepełnia? Jakże nie wspomnieć o świeżéj mogile, która pokryła zwłoki ś. p. Józefa Kremera, jednego z pierwszych powołanych do naszego grona, dyrektora wydziału, założyciela i przewodniczącego komissyi filozoficznéj, wytrwałego pracownika na polu nauki, którego prawie już zastygająca ręka dzierżyła jeszcze pióro, jednoczące z wytwornością głębokość, a niech mi będzie wolno powiedzieć, życzliwego kolegę z czasu ławy szkolnéj i życia w obozie, w zawodzie nauczycielskim i akademickim? Jakże nie wydać westchnienia na wiadomość o ledwie zastygłych zwłokach ś. p. Karola Libelta, filozofa, estetyka, obywatela w pełném znaczeniu tego wyrazu, do głębi serca dobrem kraju przejętego, równie z Kremerem niezmordowanego pracownika na polu nauki, i równie z nim głośnego imienią, bo wdzięcznie od-

brzmiewającego, jak daleko sięga zakres polskiéj mowy? Dwie to zaiste gwiazdy znikłe tak współcześnie z horyzontu nauki, jak jednéj nocy nikną jedna po drugiéj spadające gwiazdy! Jakże wreszcie nie wspomnieć o cichym w zawodzie swoim pracowniku ś. p. Adamie Aleksandrowiczu, nadzwyczajnym członku Akademii?

„Z pomiędzy członków czynnych zmarłych w r. z., zakończył pracowity żywot ks. Augustyn Theiner, członek zgromadzenia oratoryanów w Rzymie. Postawiony na straży najważniejszych źródeł do dziejów kościoła, gromadził on wiadomości z wytrwałością, jaka mimowoli przywodzi na myśl słynną w swoim czasie skrzętność i pracowitość oratoryan i benedyktynów. Poświęcając swą pracę różnym gałęziom historyi, pozostawił też źródła, które na długo zasilać będą uprawiających różne jéj epoki. Jak dalece źródła te zlewają się też z naszego kraju historyą, dopomagając do jéj rozjaśnienia i uzupełnienia, poświadczą obecni na tém polu pracownicy, poświadczą i ich następcy w dalekiéj przyszłości.

„Z kategoryi członków nadzwyczajnych straciliśmy Hipolita Seredyńskiego i Andrzeja hr. Zamoyskiego.

„Oto jest obraz błogich i bolesnych zdarzeń dla Akademii w ciągu ubiegłego roku. Kończąc rzecz moją, wyrażam serdeczną podziękę tobie zacna publiczności, za życzliwy udział okazany nam zgromadzeniem się w tym naszym przybytku. Sąd publiczny nie może być nam obojętny nie w osobistym, lecz publicznym interesie: przychylny, zrodzi błogie poczucie dopełnienia obwiązku; nieprzychylny, uczyni nas oględnymi, ale nie chwiejnymi na drodze, jaką przed sobą widzimy. Wytrwałość będzie naszém hasłem, a za nią, da Bóg, pójdzie i uznanie.“

Po przemowie prezesa, sekretarz Akademii D-r Szujski odczytał obszerne i szczegółowe sprawozdanie z prac nadesłanych Akademii, działalności komissyi, darów i wydawnictw. Ku końcowi tego przeglądu, dającego obraz szybkiego rozwoju Akademii, prof. Szujski rzucił kilka poglądów na stosunek Akademii do kraju; zdobywa ona już sobie uznanie za granicą, lecz w otoczeniu najbliższego społeczeństwa natrafia na zimną atmosferę. Po zajmujących szczegółach i pięknych myślach, zawartych w odczycie p. Szujskiego, odczyt hr. St. Tarnowskiego „O pośmiertnych pismach kasztelana Wężyka,“ uzupełnił posiedzenie, wzbudzając powszechne zajęcie. Członkowie Akademii, tak miejscowi, jak zamiejscowi, zgromadzili się niemal w komplecie. Naprzeciw estrady, zajętéj przez zastępcę protektora prezesa i sekretarza zasiedli dr. Zyblikiewicz, prezydent miasta, delegat namiestnictwa szambelan Bobowski i inni zwierzchnicy władzy; publiczność obu płci zgromadziła się licznie.

Ułamek „Tragedyi żebraczéj"

z 1552 roku.

Wiadomo, że oddawna rzadkie inkunabuły polskie zwracały na siebie uwagę uczonych i miłośników przeszłości. Przedmiot ten i dziś budzi zajęcie. Że praca podobnego rodzaju acz zmudna, może oddać w pewnym zakresie przysługę literaturze ojczystéj, nie widzimy potrzeby udowadniać, a natomiast dzielimy się wiadomością o znalezionym przez nas ułamku w okładzinach księgi pisanéj w różnych czasach (rozpoczętéj 1559 r., skończonéj 1777), a zawierającéj, oparte na powadze prawa magdeburskiego niektóre akta wójtowskie b. miasta, a dziś osady Krzyżanowic położonych w gubernii Kieleckiéj, powiecie Pinczowskim.

Nie myślimy przeceniać ważności tego odkrycia, ale widzimy się w obowiązku oznajmić, że po skrzętném przeczytaniu dzieł niektórych źródłowych bibliograficznych jak: Janockiego, Bandtkiego „*Historya drukarń krakowskich*," Lelewela „*Bibliograficznych ksiąg dwoje*," Hieromina Juszyńskiego „Dykcyonarz Poetów Polskich," Wójcickiego „*Teatr starożytny* w Polsce" (2 tomy) i tegoż autora, „*Biblioteka starożytnych pisarzy polskich*" (6 tom.), żadnéj wzmianki o rzeczonéj książce nie znaleźliśmy, choć w przytoczonych dziełach, a szczególniéj w Janockim i Lelewelu rzadsze inkunabuły polskie wymieniono. Ułamek ten składa się z trzech kartek in 8-o minori. Na piérwszéj kartce mieści się tytuł:

Thragedya żebracza, nowo
uczynyona
Wybiyano w Krákowye
przez Łazárzá Andrysowicá
Roku 1552.

Na odwrotnéj stronie kartki tytułowéj znajduje się drzeworyt, wyobrażający osoby w pochodzie. Druga kartka, zawierająca przedmowę i dedykacyą całkiem uszkodzona; z pozostałych ułamków odczytać można, że wzmiankowana tragedya dedykowaną była uczonemu Andrzejowi Trzeciewskiemu, autorowi wielu dzieł prozą i wierszem pisanych, sekretarzowi króla Zygmunta Augusta. Na pozostałych dwóch następnych kartkach znajdują się wiersze, które tu dosłownie, w dzisiejszéj pisowni przytaczamy:

Argument.

Posłuchajcie wszyscy mało,
Co się mnie widzieć przydało:
Widziałem jednego roku,

Przed Częstochową w *Potoku*, [1])
Wszystko zuchwałe żebraki,
Zgromadzone jako szpaki,
Przespiecznie tam poczynali,
Nikogo się niewstydali;
Nabożeństwo porzucili,
Godowali, dobrze pili,
I wójta sobie wybrali,
Trzeci pieniądz mu składali.
Pytałem ich zkądby byli,
A na co się zgromadzili.
Odpowiadali mi śmiele:
„Byliśmy gdzie i ty, w kościele,
Idziemy z gór, drudzy z dołu,
Zeszliśmy się tu to społu.
Chodząc do tej miłej *święci*, [2])
Gdzie co dadzą przebóg *wzięci*,
Ieśliby nas podarował,
Będzieć każdy z nas dziękował,“
Ali wnet po małej chwili,
Wesele sobie stroili;
Z gospodarzem się zmówili,
Piwo wszystko zakupili,
Tam wszystko po woli mieli,
I byli hojnie weseli.
Trafił się kupiec z przygody,
Zwiódł z nimi swar, miał *złe gody*;
Przestraszyli go cepami,
Byli wszyscy i z babami;
Był tam w strachu w *wyelgyey* męce,
Bo nań były gęste ręce,
Ale ich dojeżdżał słowy,
Miał na nie język gotowy.
Temi je pobudził na *sye*,
Musiał *pirzchnąć na zad zasye*,
Gdy mu oczy suto *pyaskyem*,
Za *ssyyę* dano *pocyaskyem*.
Rozmaicie go ćwiczyli,
Wacek [3]) wzięli, kijmy bili;
Tak baby jako dziadowie,
Poczynili znaki w głowie.

---

[1]) Mowa o Potoku Złotym, własności hr. Krasińskiego, w gubernii Piotrkowskiej, powiecie Bendzińskim.

[2]) Święcie—ia, święte miejsce.

[3]) Wacek, worek, torba, kaleta.

Jam spokojem w kącie siedział,
Co miało być, dobrzem wiedział;
Wolałem tak uledz cało,
Niźliby się w łeb dostało.
Słysząc takie rozmawianie,
Uczyniłem to spisanie,
Na *Tragedyą* wystroił,
Co ten kupiec z dziady broił!

Persony które rozmawiają

Wójt		Wyrywant
Dygudey,		Pędziwiatr,
Gospodarz,		Zyszka,
Kupiec		Kłysz,
Pisarz,		Wilkołek,
Szczudło,	Trzy	Mitiana czarow(nica)
Parzychost,	baby	Magora czarow(nica)
Dygudey,		Sambura, pani
Toboła,		młoda,
Gołba,		Panna.

Act Pirwssy,

Wójt mówi ku towarzyszom.

„Nuże bracia posłuchajcie,
Coście poczęli konajcie;
Niechaj k'nam przyjdzie pan młody,
Chceli nam wystroić gody,
Aby swój umysł objawił,
Coby się każdy przyprawił.

Wójt mówi.

Samo się nam dobrze wodzi,
Kiedy społu chodzą młodzi,
Będzieć wszystko dwornie, strojnie,
Jedno nalewajcie hojnie.

Przytoczony ułamek zasługuje na bliższą uwagę z dwu przyczyn: raz z powodu drukarni, w któréj tę „tragedyą“ wytłoczono, powtóre dla swéj starożytności w rocznikach dziejów polskiéj dramaturgii. Co do pierwszego punktu, rzecz się tak ma: wszystkie książki, wytłoczone w drukarni Łazarzowéj [1]), (a więc i ułamek rzeczonéj

[1]) Drukarnia Łazarzów otrzymała nazwisko od piérwszego jéj założyciela *Łazarza Andrysowicza* i istniała pod tą firmą według Lelewela (str. 181 tom I, Bibliografii: ksiąg dwoje) przez 97 lat. Żadna podówczas drukarnia, mówi w dziele swém Lelewel i w piękności i liczbie wydrukowanych dzieł i w ich ogromie nie wyrównywała oficynie Łazarzów. Ubiegać się może o wielką chwałę z najpierwszymi podówczas w Europie typografiami. P. A.

tragedyi) według twierdzenia Janockiego, pod względem wartości bibliograficznéj należą do wielce poszukiwanych. Dlatego téż, o ile nam się zdaje, Lelewel w dziele „Bibliograficznych ksiąg dwoje“ przytaczając rzadsze dzieła polskie (tom I, str. 133—161), szczególniejszą zdaje się zwracać uwagę na książki, z Łazarzowéj oficyny pochodzące. Co się zaś tyczy drugiego punktu, to dość nadmienić, że dyalogi komiczne, do których i wspomniona tragedya należy, pod tę właśnie porę drukiem zaczęły być ogłaszane.

ks. Władysław Siarkowski.

KORRESPONDENCYA.

Do redakcyi Biblioteki Warszawskiéj.

W rozmaitych pismach została umieszczona mylna wieść, jakoby szkoła nasza zamkniętą została. Szkoła w ogóle nie została zamkniętą. Nakazem naczelnego prezesa W. Ks. Poznańskiego wydalić się miało z niéj kiku professorów i znaczna liczba uczniów. Wykonanie tego rozkazu przecież w skutek starań podjętych w ministerstwie, ztamtąd telegraficznie wstrzymaném zostało.

Donosząc to upraszam szanowną redakcyę o łaskawe sprostowanie téj mylnéj wieści, w części redakcyjnéj, z nadmienieniem, że wykłady półrocza zimowego rozpoczną się dnia 15 października r. b.

Z poważaniem

Dyrekcya Wyższéj Szkoły Rolniczéj Imienia Haliny

Żabikowo, 3 lipca 1875 roku. *d'Au.*

PIŚMIENNICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

Pisma Towarzystwa ekonomistów austryackich. Kwestya waluty. Referat D-ra Teodora Hertzki [1]). Wiedeń, u Manza, 1875. Str. 60.

Niedawno zawiązane w Wiedniu Towarzystwo ekonomistów austryackich, na pierwszym swoim zjeździe rozbierało rozmaite kwestye, ekonomicznem położeniem kraju wywołane. Kwestye te przedstawili członkowie Towarzystwa, którzy mieli je sobie oddane do referatu. Referaty ogłoszono drukiem.

Zjazd odbyty w Wiedniu zastanawiał się nad kwestyami podatkowemi, kredytowemi, celnemi i taryf dróg żelaznych. Przedstawili je zebraniu pp. Biliński, Hertzka, Höfken, Hübeck, Wirth i inni. Z prac tych najwięcéj ogólnego zajęcia wzbudza referat D-ra Hertzki o kwestyi waluty. Zamierzyliśmy dać go poznać czytelnikom Biblioteki, uzupełniając wiadomościami z innych źródeł zaczerpniętemi.

Austrya, tak jak większa część państw europejskich, zmuszoną bywała niejednokrotnie uciekać się do nadmiernego pomnożenia znaków obiegowych dla zaradzenia gwałtownym potrzebom finansowym. Pierwszy okres wojen z Rzeczpospolitą francuzką i Napoleonem, spowodował w ciągu lat kilkunastu wypuszczenie tysiąca sześćdziesięciu milionów złotych austryackich w bankocetlach. Tak znaczna ilość monety papierowéj uległa obniżeniu swojéj wartości do sześciu za sto. Nie znaleziono na to innéj rady nad ogłoszenie bankructwa. Patentem z roku 1811, zredukowano wartość bankocetli na $^1/_5$ część, czyli na 20 za sto; wymieniono je nie na gotowiznę, lecz na inne papiery zwane wykupnemi (*Einlösungsscheine*). Gdy wszakże wojny toczone w latach 1813—1815 pociągnęły za sobą zwiększenie ilości papierów wykupnych z dwustu dwunastu na pięćset dwadzieścia ośm milionów, i te papiery spadły w kursie do czwartéj części imiennéj wartości. Po przywróceniu pokoju założony został bank Austryacki w roku 1816, mający za jeden z celów mu naznaczonych, przywrócenie normalnéj cyrkulacyi w Austryi. Powierzono bankowi wycofanie z obiegu einlösungsscheinów, co miał dopełnić płacąc za nie swojemi biletami lub gotowizną, według żądania zgłaszających się o wymianę. Wymianę uskuteczniano po kursie z początku chwiejnym, w roku 1820 na 40 za sto stale oznaczonym. Operacya ta stale przeciągnęła się aż do

[1]) Po niemiecku, tytuł w oryginale brzmi: „Schriften der Gesellschaft oesterreichischer Volkswirthe. Die Valuta-frage. Referat von D-r Theodor Hertzka.

piątego dziesiątka bieżącego stólecia. W obiegu pozostała tylko gotówka i bilety bankowe. Gdy wymiana tych ostatnich na gotowiznę odbywała się bez trudności, przyjmowane były w obiegu na równi ze srebrną, a nawet jako dogodniejsze przy większych wypłatach, zyskiwały mały nadatek [1]). Zaświadcza to Tęgoborski w swojém dziele „O finansach austryackich" (str. 98—99 wydania niemieckiego). Twierdzeniu tego autora jako współczesnego i posiadającego dobre źródła informacyi, dajemy pierwszeństwo przed przeciwném twierdzeniem D-ra Hertzki, który na stonnicy 48 swojéj broszury pisze, że w owym czasie banknoty w obiegu publicznym zaledwie istniały i służyły tylko do obrotów bankierskich.

Cóżkolwiekbądź Austrya około roku 1848 cieszyła się przywróceniem normalnego stanu swojéj waluty. Ilość wypuszczonych przez bank austryacki biletów zwiększała się stopniowo, ale nie przeszła przyzwoitéj miary.

Wypadki przecież lat 1848 i 1849 (wojna włoska, powstanie węgierskie) wtrąciły znowu Austryę w otchłań papierowéj cyrkulacyi, z któréj aż dotąd wydobyć się nie może. Finanse austryackie i przed rokiem 1848 nie były w świetnym stanie; zachwianie się pokoju zwichnęło stanowczo ich równowagę. Rząd począł znowu wypuszczać papierową monetę. Bank czas jakiś starał się wprawdzie utrzymać wymianę biletów swoich na srebro, lecz po wyczerpaniu dwóch trzecich części swego zapasu gotowizny, zmuszony był (22 maja 1848 r.) zawiesić wymianę. Następstwem tego był spadek wartości obiegowéj biletów, spadek, który różne przechodząc koleje, trwa po upływie lat dwudziestu siedmiu.

Zastanawiając się nad zmianami, jakim w ciągu tego czasu uległ stan cyrkulacyi w Austryi, znajdziemy że w dwóch peryodach, obok biletów bankowych, wypuszczane były w tym kraju i papiery skarbowe. Miało to miejsce naprzód w latach 1848 do 1852. W ostatnim roku przywrócono znowu wyłączność obiegu biletów bankowych. W roku 1866 powrócono do systematu podwójnéj emissyi bankowéj i skarbowéj i ten systemat utrzymuje się dotychczas. (Bilety jedno, pięcio i pięćdziesięcio-guldenowe są skarbowe).

Zwracając następnie uwagę na łączną wysokość cyrkulacyi i stan nadatku, ku czemu posłużyć może zestawienie cyfr przez pana Hertzkę w tablicach 1 i 21 podanych, znajdziemy, że okolicznością głównie wpływającą na wysokość cyrkulacyi austryackiéj i na jéj cenność czyli

[1]) Przewodnik naukowy i literacki za rok 1874, I, wydrukował artykuł p. Kubali p. t.: „Mieszczanin w XVII wieku." Są w nim wyciągi z księgi sklepowéj Jana Markowicza kupca korzennego w Krakowie. Markowicz na oznaczenie ażja używa wyrazu nadatek; zamiast płacić ażjo, pisze nadawać (str. 408). Uznając te wyrazy za właściwe, sprobowałem w niniejszym artykule wprowadzić je na nowo w użycie. Lindo w Słowniku swoim, powyższego znaczenia wyrazów: nadatek i nadawać nie zamieścił.

na wysokość ażja, były w tym okresie wypadki wojenne. Każda wojna albo prowadzona przez Austryą, albo nawet zagrażająca jéj tylko, pociągała za sobą zwiększenie ilości znaków obiegowych i zniżenie ich kursu w stosunku do srebra. Od tego prawidła jeden tylko znaczniejszy postrzegamy wyjątek. W roku 1868 wypuszczenie znacznéj ilości papierów zwiększając wysokość cyrkulacyi, obniżyło jéj kurs bez wpływu zewnętrznych okoliczności. Lecz i ten wypadek lubo wydarzony w czasach niezakłóconego pokoju uważać można za skutek jakkolwiek nie bezpośredni, wojny austryacko-pruskiéj, prowadzonéj w r. 1866.

Drugą uwagą nastręczającą się z przejrzenia tablic wykazujących stan obiegu i nadatku jest, że po każdém zwiększeniu się tych obojga, następowała epoka, w któréj przy stosunkowo ustalonym pokoju, kurs papierów dążył do podwyżki, a to bez stanowczego względu na okoliczności, czyli i o ile zmniejszyła się równocześnie ilość biletów będących w obiegu. Widocznie cyrkulacya lubo z początku nadmierna, po niejakim czasie układa się do równowagi z potrzebami społeczności, które tak sobie przyswaja nadmiar cyrkulacyi, jak organizm obce sobie żywioły z czasem chłonie i trawi.

Zgodnie z powyższemi postrzeżeniami możemy odróżnić w stanie cyrkulacyi austryackiéj od roku 1848 do 1874 pewne okresy poczynające się zawsze zwiększeniem cyrkulacyi i spadkiem jéj wartości, a w dalszym swoim przebiegu wykazujące polepszenie się waluty; czasami zaś, lubo nie zawsze i zmniejszenie się ilości znaków obiegowych. Trwa to aż do następnego kryzysu, przyczem nie od rzeczy będzie wskazać na ten patologiczny symptomat, że przy każdym nowym kryzysie, cyrkulacya wykazuje cyfry rosnące w porównaniu z cyfrą, do któréj doszła w kryzysie poprzednim.

Okresy cyrkulacyi austryackiéj od roku 1848 przyjmujemy następne:

Pierwszy okres od rewolucyi lutowéj (1848) do wojny wschodniéj (1854).

W tym okresie cyrkulacya pod wpływem ówczesnych wypadków wzrasta do 255 mil. (1850). Następnie zniża się stopniowo do 188 milionów. Zaburzenia czerwcowe 1848 r. w Paryżu; wojna z Węgrami (1849); zatargi z Prusami (1850), podnoszą do 17%, 22% i 33% ażjo, które następnie spada do 6½%, 7% i 8%.

Drugi okres od wojny wschodniéj (1854) do wojny włoskiéj (1859).

Pod wpływem uzbrojeń i obaw wywołanych wojną wschodnią, ilość znaków obiegowych zwiększoną została prawie o 200 milionów; ażjo doszło w roku 1854: 27,75%. Odtąd pomimo iż cyrkulacya co do ilości trwa w mierze, przedstawiając tylko małoznaczące różnice; ażjo stopniowo zmniejsza się aż do końca 1858 r. Nawet przesilenie handlowe z r. 1857 podniosło ażjo tylko do 8%. Jak wiadomo zamierzono z rokiem 1859 wrócić do normalnych warunków cyrkulacyi, otwierając kassę wymiany, gdy przemówienie Napoleona III na przy-

jęciu noworocznem 1859 r., zapowiadając wydaną następnie w kwietniu t. r. wojnę, obaliło przywróconą już prawie równowagę cyrkulacyi austryackiéj. Rozpoczyna to trzeci okres trwający od 1859 do wojny prusko-austryackiéj w roku 1866.

Porównywając poprzedni kryzys roku 1854 z kryzysem 1859 r., znajdziemy że w ostatnim roku zwiększenie cyrkulacyi nie było tak znaczne co w pierwszym. Wyniosło bowiem tylko 80 milionów zamiast 200. Pomimo tego, spadek kursów był i znaczniejszy i trwał dłużéj niż w kryzysie kampanii krymskiéj. Ażjo w roku 1859 podane jest przez D-ra Hertzkę tylko na 20,62%, lecz w roku następnym wzrasta do 32,25%, a w roku 1861 nawet do 41,25%. Tak silne było wstrząśnięcie, któremu uległa Austrya skutkiem wojny włoskiéj! Odtąd w latach 1862—1866 starano się skutecznie o zmniejszenie wysokości cyrkulacyi, co zaniedbaném było w poprzedniéj epoce pokojowéj, od 1854—1859. Cyrkulacya spadła o przeszło 120 milionów, czyli do 351 milionów. Wynosiła zatém przeszło o 30 milionów mniéj, niż w roku 1858. Ażjo zeszło w końcu 1865 roku do 8,32%; wynosiło 4% więcéj niż w końcu 1858 r.

Czwarty okres rozpoczyna wojna prusko-austryacka w roku 1866. Okres ten trwa do wojny prusko francuzkiéj w roku 1870. Przebieg tego okresu nie jest tak normalny co dwóch poprzednich. Dzieli się on na dwie połowy. W pierwszéj, po nastąpionéj podwyżce ażja, zwykłą koleją rozpoczyna się jego spadek, lecz spadek nie trwa do końca okresu, ale tylko do sierpnia 1868. Zwiększenie cyrkulacyi z powodu potrzeb skarbowych daje w tym czasie powód do nowego zwiększenia nadatku. Zwiększenie cyrkulacyi w roku 1866 wynosi 148 milionów, lecz wzrost jéj nie kończy się z tym rokiem. Widzimy cyfrę prawie o 50 milionów wyższą w roku 1867 a rok 1868 podnosi cyrkulacyą o nowe 134 miliony, tak że ogólna jéj ilość przewyższa 682 miliony. Ta okoliczność przerwała—czego cyfry przez pana Hertzkę podane dostatecznie nie uwydatniają—rozpoczęte już zniżenie ażja, które przeszedłszy w r. 1867 24%, spada do 1 sierpnia 1868 r. do procentów 11. Odtąd poczyna się nowy wzrost nadatku, który w marcu 1869 r. przechodzi 24% a potém znowu spada.

Piąty okres rozpoczyna wojnę prusko-francuzką w latach 1870/1. Pod wpływem téj wojny ażjo doszło 31% i stało ciągle wyżéj 20%. Dopiero w latach 1872,/3/4 zniżyło się stopniowo do 5%, pomimo że ogólna wysokość cyrkulacyi w tym okresie czasu wzrastała (w roku 1873 doszła swego maximum około 703 mil.). Rok 1874 przedstawia cyfrę o 70 mil. niższą. Cyrkulacya wynosi już tylko 630 mil; zawsze więc jest wyższą niż w roku 1869, niż w jakimkolwiek z lat, rok ten poprzedzających, oprócz 1868.

Peryody przez nas odróżnione w stanie cyrkulacyi austryackiéj od 1848 do 1875 różnią się od podanych przez p. Hertzkę (s. 13). Odstąpiliśmy od jego układu z namysłem, uzasadniając nasze postąpienie powyżéj zamieszczoném wyjaśnieniem. Układ p. Hertzki ma za

podstawę lata kalendarzowe. Lecz wypadki wpływające na stan kredytu, nie trzymają się kalendarza, nie następują zawsze z początkiem roku, ani też wpływ ich nie kończy się z jego upływem. Jeżeli skutkiem tych wypadków ażjo wznosi się nagle i peryod jego wzrostu nie trwa roku całego, peryod ten znika w przedstawieniu p. Hertzki. Ztąd rozpoczyna on np. z rokiem 1854 peryod zniżenia się ażja; tymczasem wybitną cechą finansową tego roku było właśnie podniesienie się ażja. Nie zwracając dość bacznéj uwagi na podniesienie się ażja uprzedzające jego spadek, p. Hertzka nie wskazuje żadnéj prawidłowości w przebiegu różnych faz, które przechodziła cyrkulacya austryacka, ani też nie odnosi tych faz do istotnych ich przyczyn. Nie było to wprawdzie jego głównem zadaniem, niewłaściwe jednak przedstawienie okoliczności ubocznéj, ujęło dokładności jego szacownéj z innych względów pracy.

Praca ta spowodowana długo trwałym chorobliwym stanem cyrkulacyi austryackiéj ma za punkt wyjścia różnice istniejące w zapatrywaniu się na konieczność przywrócenia normalnego stanu cyrkulacyi, co jedni za rzecz naglącą uważają, inni zaś skłonni są puścić w odwłokę.

Ostatni na uzasadnienie swego zdania przywodzą, jak p. Hertzka nadmienia, cztery następne uwagi: 1-o, że obniżony kurs papierów obiegowych w Austryi działa tak samo jak cło ochronne przeciwko konkurencyi zagranicznéj; że w obecnéj chwili kiedy stosunki produkcyi ulegają w Austryi przesileniu, niebezpiecznémby było tę ochronę usunąć; 2-o że przywrócenie normalnego obiegu zmniejszyłoby ilość środków obiegowych, co pociągnęłoby za sobą zwyżkę stopy procentowéj, a to znowuż wpłynęłoby niekorzystnie na produkcyą: 3-o, że dla przywrócenia normalnego obiegu wypadłoby zaciągnąć znaczną pożyczkę, któréj koszt nadwerężyłby równowagę i tak już utrzymać się nie dającą finansów austryackich; że uciekać się do tego środka nie ma potrzeby, gdy ażjo stopniowo się zmniejsza i można się spodziewać zupełnego wyrównania kursów bez jakiejbądź operacyi finansowéj; 4-o, że w obecnych okolicznościach łatwo mogłaby nastąpić potrzeba pomnożenia ilości biletów obiegowych skarbu, a tak ofiary ekonomiczne i finansowe jakieby poniesiono dla przywrócenia normalnego obiegu okazałyby się nadaremne.

Odparciu tych czterech zarzutów poświęcił p. Hertzka swoją rozprawę.

Najobszerniéj rozszerzył się nad zarzutem pierwszym, którego rozbiór zajmuje dwie trzecie części i rozprawy.

Pan Hertzka przyznaje, z pewném jednak ograniczeniem, że ażjo na papierach działa jako środek ochronny dla przemysłu krajowego. Ceny towarów będących przedmiotem handlu wywozowego układają się do równowagi na targu świata w stosunku do złota lub srebra, a gdy te szlachetne kruszce zyskują nadatek w jakim kraju, ceny towarów idą w tym kraju w górę, w przecięciu o całą wysokość ażja.

Natomiast ceny towarów w handlu detalicznym lub niemających bezpośredniego związku z handlem zagranicznym, do których należą pierwsze potrzeby życia i płaca robotników, doznają wprawdzie także wpływu obniżenia się wartości papierów; lecz wpływ ten daleko wolniéj skutek swój na nie wywiera, niż na cenę towarów będących przedmiotem handlu zagranicznego. Opóźnienie to w pochodzie cen jest jeszcze większe co do płacy robotników niż co do cen pierwszych potrzeb życia. Ztąd wynika że producenci przemysłowi w chwilach spadania waluty czyli podniesienia się ażja, mają istotnie z początku pewną korzyść, bo za wyrób swój biorą ceny wyższe, odpowiednie podniesieniu się ażja. a przeciwnie za pierwsze potrzeby życia i za najem robotników płacą przez pewien czas po cenach dawniejszych.

Ale chwilowa ta korzyść jest więcéj niż wyrównaną w razie odwrotnym, t. j. przy podniesieniu się waluty czyli zniżeniu ażja. Jeżeli ceny pierwszych potrzeb życia i płace robotników nie zdążają na równi z cenami towarów będących przedmiotem handlu zagranicznego za postępem ażja, to naodwrót zniżenie się cen przedmiotów pierwszego rodzaju wolniéj jeszcze następuje w skutek zniżenia się ażja, niż ich pochód zwyżkowy.

Pan Hertzka twierdzi nawet, że płaca robotników w Austryi zwiększa się wprawdzie skutkiem wzrostu ażja, ale nie spada wcale skutkiem jego zniżenia. Pan Hertzka przypisuje to zjawisko ekonomiczne brakowi rąk do pracy w Austryi, skutkiem czego łatwiéj jest robotnikom korzystać ze sposobnéj chwili jaką nastręcza wzrost ażja, dla otrzymania podwyżki płacy, niż pracodawcom obniżyć tę płacę w razie zmienienia ażja (str. 38). Wygórowana cena pierwszych potrzeb życia i płacy robotników, niekorzystnie oddziaływa na produkcyą krajową, zwłaszcza tam gdzie spotyka konkurencyę zagraniczną. Ztąd p. Hertzka stawia wniosek, że chwianie się waluty uszkadza jak najmocniej produkcyą krajową, a tak upada zarzut, iż przywrócenie równowagi cyrkulacyi mogłoby zaszkodzić produkcyi.

Wywody swoje tu w streszczeniu przywiedzione, p. Hertzka popiera szeregiem tablic cyfrowo wykazujących stosunki z wywodami temi związek mające.

P. Hertzka dowodzi naprzód (tabl. 1), że cena waluty wyższa lub niższa, nie wywierała stanowczego wpływu na handel zagraniczny, gdy stosunek przywozu do wywozu okazuje się być niezależny od stanu ażja.

Dalsze tablice (2—20) ułożone według najrozmaitszych kombinacyi rachunkowych wykazują ten rezultat, że ceny w Austryi podniosły się w ciągu ostatnich lat 26 w daleko wyższéj mierze niż za granicą, a to nietylko co do różnych gatunków zboża, lecz i co do innych przedmiotów i że ta zwyżka cen, licząc je na srebro, głównie miała miejsce w czasach polepszenia się waluty papiérowéj, a była daleko mniéjsza w czasie spadania waluty.

Porównywając ceny austryackie z zagranicznemi, p. Hertzka wyłączył ceny zboża dlatego, że uznaném jest powszechnie a szczegółowo wykazaném przez pana Laspeyres, iż skutkiem ulepszonych komunikacyi, ceny zboża dążąc do urównoważenia się, zwiększyły się więcéj w krajach wywożących zboże niż w krajach potrzebujących przywozu, w Anglii nawet spadły. Zrobimy tu przecież uwagę, że gdy inne prócz zboża przedmioty, przez pana Hertzkę do porównania stawione należą do płodów surowych, ulepszenie komunikacyi nie pozostało i na ceny tych przedmiotów, bez ważniejszego wpływu, lubo nie w takim może stosunku jak co do zboża.

Ceny zagraniczne stawiane do porównania przez p. Hertzkę, który w tym punkcie użył w części za podstawę pracy p. Karola Strasburgera i wyraża się z uznaniem o tym naszym ekonomiście, pochodzą z Niemiec, Szwajcaryi, Anglii, wyjątkowo z Francyi t. j. z krajów wyżéj w rozwoju przemysłowym stojących niż Austrya. Wypadek porównania byłby pełniejszy, gdyby p. Hertzka zwrócił był uwagę i na ceny spółczesne w krajach na równi lub mniéj od Austryi rozwiniętych. Jego wniosek o większym wzroście cen przy spadku srebra niż przy zwiększeniu się jego wartości w stosunku do papiérów, polega na zestawieniu cen przecięciowych w ciągu przyjętych przez niego peryodów spadania i podnoszenia się ażja. Wykazaliśmy powyżéj dlaczego ustanowienie tych peryodów uważamy za niedokładne; wpływa to niekorzystnie na pewność osiągniętych rezultatów.

Rzuca następnie p. Hertzka wątpliwość, czyli owe fenomena zwyżki cen nienależałoby przypisać nieurodzajom, podwyższeniu podatków i prowadzonym wojnom raczéj, niż chwianiu się waluty (s. 33).

Aby wątpliwość tę rozstrzygnąć p. Hertzka podaje ogólny pogląd na urodzaje w Austryi w różnych latach, porównywa je z poprzednio podanemi stosunkami cen równoczesnych i przychodzi na téj podstawie do wniosku (str. 34), że wypadek żniw nietylko nie wyjaśnia dostatecznie fluktuacyi cen, ale nawet stoi z temi fluktuacyami najczęściéj w najwyraźniejszéj sprzeczności. Co do podwyższenia podatków p. Hertzka jest zdania (str. 34— 36), że podwyższenie ogólne podatków nie wpływa na ceny; nakładanie podatków na szczególne przedmioty, czyni je droższemi, lecz z takich przedmiotów tablice p. Hertzki objęły tylko piwo, którego ceny rzeczywiście podniosły się znaczniéj niż inne, co jednak dokładności ogólnego twierdzenia nie osłabia. Zresztą największa zwyżka cen przypada właśnie na lata, w których podatki nie były podwyższane. Wpływ wojen okazuje się także małoznacznym i dla wytłumaczenia fenomenu zwyżki cen nie wystarcza (str. 36—37)

Tak więc trzy inne, niż fluktuacya waluty okoliczności, mogące wywrzéć wpływ na podniesienie się cen, nie okazały się stanowczemi.

Nie zaprzeczając wynikom starannych badań p. Hertzki, nie pominęliśmy nastręczających się nam wątpliwości, które w przyjęciu wniosków p. Hertzki doradzają, zdaniem naszém, wielką ostrożność. Zgadzamy się z nim na to, co zresztą dawno ekonomiści już utrzymywali,

że ceny przedmiotów handlu zagranicznego okazują większą wrażliwość na stosunki waluty niż artykuły piérwszych potrzeb życia i płace robotników; ale właśnie ze względu na tę okoliczność nie można zaprzeczyć trudnościom, jakie towarzyszą przywróceniu normalnéj cyrkulacyi. Ztąd w przywiedzeniu do skutku téj reformy zwracać należy większą baczność na czasowe i miejscowe stosunki, niż tego potrzebę p. Hertzka przypuszczać się zdaje.

Drugi zarzut przeciw natychmiastowemu przywróceniu równowagi cyrkulacyi polega na przypuszczanym wpływie téj operacyi, na podwyższenie się stopy procentowéj.

P. Hertzka zarzut ten odpiéra przywodząc głównie: że chwianie się waluty odstręcza kapitały zagraniczne od napływu do Austryi, gdzie nadto, jak niekorzystny kurs wekslowy dowodzi, pieniądze mają mniejszą wartość niż zagranicą; zatamowanie zaś przypływu obcego kapitału przyczynia się do podwyższenia stopy procentowéj (str. 51).

Trzeci zarzut przeciw przywróceniu normalnéj cyrkulacyi polega na przywiedzeniu, że operacya finansowa potrzebna dla dopięcia tego celu obciążyłaby skarb austryacki znacznym wydatkiem, którego nie zdaje się zachodzić potrzeba, gdy kurs papiérów w ostatnich czasach ciągle się podnosi i dąży do wyrównania ze srebrem.

P. Hertzka odpowiada na to, że faktyczne przywrócenie równowagi cyrkulacyi t. j. zniknięcie nadatku, gdyby nawet, co jest wątpliwém, spodziewać się go można, nie zaradziłoby złemu, niedając żadnéj rękojmi, że przy najmniejszém wstrząśnieniu cyrkulacya znowu się nie zachwieje. Trzeba więc użyć środków stanowczych, wycofać z obiegu wszystkie bilety skarbowe, jako niewymienialne na srebro. Koszt pożyczki w tym celu zaciągnąć się winnej, p. Hertzka oblicza na 13 mil. gulden. rocznie; mniema przecież że skarb zyskałby przez ustanie ażja $3^1/_2$ mil. rocznie na opłacie procentów od długu krajowego w srebrze płatnych; $2^1/_2$ mil. zyskałby skarb na zakupach materyałów, których ceny spadłyby, jak p. Hertzka mniema o całą wysokość ażja. Podzielając nawet to przypuszczenie, znajdziemy zysk sześciu mil. osiągnięty kosztem 13 mil. wydatku. Popierając swoje zdanie p. Hertzka, dodaje, że skarb zyskałby wysokość ażja na całości swoich wydatków a przedewszystkiém zabezpieczyłby się przeciw znaczniejszym stratom, jakie go spotkać mogą w razie nowego podniesienia się ażja.

Jest nieco prawdy w tych twierdzeniach, sądzę jednak, że p. Hertzka zbyt różowo rzeczy widzi, kiedy na końcu swojéj broszury stawia tezę, że skarb przywracając równowagę waluty, bezpośrednio ztąd korzyść odniesie (str. 60). Kto wpadł w jamę, ten rzadko bez szwanku z niej wydobyć się zdoła.

Nakoniec zarzut czwarty, że nadaremnie byłoby przywracać równowagę cyrkulacyi wczasach tak niepewnych jak nasze, gdy lada chwila nastąpić może potrzeba nowych emissyi papierów, p. Hertzka odpiera przywiedzeniem, że właśnie z tego powodu, iż wypuszczenie papierów obiegowych przez skarb jest lekarstwem w ostatnich razach, po-

trzeba możność użycia tego lekarstwa zapewnić przywracając równowagę cyrkulacyi w czasie pokoju.

Broszura p. Hertzki, jakkolwiek nie podzielamy wszystkich jego poglądów, zasługuje na uwagę, szczególniéj ze względu na bogaty materyał nagromadzony w licznych tablicach. Każdy zwolennik nauki ekonomicznéj z pożytkiem i przyjemnością odczyta rozebraną przez nas pracę. *F. Z.*

Ostatnie chwile księcia wojewody (Panie Kochanku). Z papierów po Glince spisał J. I. Kraszewski. Warszawa 1875. Nakład Gebethnera i Wolffa. W drukarni J. Jaworskiego, (w 12-ce str. 195).

Żadna z najznakomitszych postaci mężów XVIII stólecia, od czasów konfederacyi Barskiéj, nie była tak popularną w całym narodzie jak książe Karol Radziwiłł, zwany *Panie Kochanku.* Litwinów uwielbienie dla niego niemiało granic, jak koroniarze znowu z upodobaniem powtarzali jego dykteryjki i dowcipy, bądź jego własne, bądź na rachunek Pana Kochanku wytworzone.

Zaprawdę oryginalna to była postać tego, jak starzy Polacy nazywali *panosza*, który utrzymywał na swoim koszcie sześć tysięcy nadwornego wojska, całą Litwą trząsł i ogromne bogactwa posiadał.

Pamięć księcia Karola z przeszłego wieku w żywém słowie podana, przechowała się długo i w pierwszéj połowie naszego stólecia: odżywił ją Henryk Rzewuski w *pamiątkach Soplicy*, a w ostatnich latach J. I. Kraszewski coraz częściéj nam ją przypomina, już to w drobnych utworach dramatycznych, już w zajmujących opowiadaniach. Powab jaki ma nasz ulubiony pisarz do téj postaci, łatwo możemy wytłumaczyć tém, że najmłodsze lata dziecinne przepędził w Białéj, w szkołach wówczas istniejących, gdy zamek Radziwiłłowski powoli szedł w ruinę, ale wszystkie jego zakątki pełne były wspomnień wielkiego magnata.

Te wspomnienia studenckich czasów tém silnéj odżywiają się w każdym, im bardziéj w lata sędziwe zachodzi.

J. I. Kraszewski, pod godłem na czele położoném:

„*Sicut vita*
Mors ita."

rozpoczyna opowiadanie *Glinki* o księciu *Panie Kochanku.* Zbliżały się widocznie ostatnie chwile jego życia. „Okrutnie się zmienił, sposępniał, znudniał, stał się milczącym, ponurym, obojętnym na wszystko. Bywało siądzie na krześle, ręce na brzuchu splecie, palcami nabrzękłemi kręci, głowę na piersi zwiesi, sapie i milczy."

Dodajmy do tego, że Bóg go największém kalectwem dotknął, bo ślepotą.

Z Nieświeża jechał teraz do Biały. W Sławatyczach odpoczywa dni kilka. Tu Glinka z urywanych słów księcia dostrzega, że go jakaś tajemna troska gniecie. Poplątane wspomnienia z lat dawnych od czasów konfederacyi Barskiéj z późniejszemi zdarzeniami, odpędzał ze swéj pamięci. Ale wśród nich, jak kamień ciężyło widmo niewieście: z trwogą słyszał nieraz wymówione słowa:

— A widziałeś ją? Taka piękna jak i była, taka dumna i nieubłagana. Nie przebaczyła mi *Panie Kochanku!* nie! czekać muszę i dusza nie wyjdzie z ciała aż mię ona rozgrzeszy!

Kiedy Glinka téj spowiedzi pana swego słucha, i imię jakiejś *Felisi* zachwycił we śnie jego wyszeptane, uprosił starszego dworzanina łowczego Wiśniowskiego, który oddawna był w służbie księcia, ażeby mógł go w tém objaśnić.

Łowczy rozpoczyna swą opowieść od hulaszczych lat młodych *Panie Kochanku*, kiedy w okolicy Nieświeża wszystko przed nim drżało, gdy nie znał hamulca swoim zachciankom i namiętnościom burzliwym i po całéj Litwie znano go z tych wybryków nieraz krwią oblanych.

W Słuczczyźnie mieszkał szlachcic niemajętny ale starego rodu, Mikołaj *Wojżbun* a tytuł nosił wojskiego, mający jedynaczkę cudnéj urody, zaręczoną z chorążym kawaleryi narodowéj Tomaszem Dulembą. Cała okolica brzmiała pochwałami piękności córki pana wojskiego; mówiono téż o tém w Nieświeżu, a Wołodkowicz ciągle kładł w uszy księciu o jéj wdziękach i powabach.

Raz w czasie wieczornéj pijatyki, wzięto na zęby Wojżbunównę, a ciągle powtarzano, iż ten książęcy kąsek szlachcicowi się dostanie, a książe, wówczas *miecznik* zżymnął się i krzyknął:

— Milczałbyś *Panie Kochanku*, przecię to nie po ślubie a choćby i tak było, jakbym zechciał...

Wołodkowicz się roześmiał i wyrzekł:

— Nie wszystkiego chcieć można...

— Milcz! zawołał książe groźno, ja tego, *Panie Kochanku*, nieznam... co nie można.

Zapamiętał dobrze Radziwiłł swoje słowa, a kiedy dworzanie o urodzie panny Wojżbunówny nie zaprzestawali mu podszeptywać, powziął zgubny zamiar, poznania jéj, i zmuszenia do wzajemności dla siebie. Dowiedziawszy się gdzie ją zobaczyć może, pod pozorem więc łowów wybrał się do kniei, i obóz rozbito w miejscu niedalekiém od kościoła parafialnego, do którego *Rabka Czerwona*, dziedzictwo Wojżbuna należała. Książe przebrany z łowczym Wiśniowskim wcisnął się w kąt zacieniony.

Właśnie naprzeciwko nich, w pierwszéj ławce siedziała z ojcem Wojżbunówna. „Ojciec stary, siwy, figura poważna; choć koło niego ubogo było, na senatora wyglądał. Szaraczkowo zawsze się nosił, jak

to starzy Litwini byli nawykli, w makowym kontuszu. Głowa łysa, włosów już na niéj mało co; krésa przez czaszkę od pałasza taka, że małoby się w niéj palec nie schował. Znać za młodu rąbać się lubił. Obok niego klęczała córka: choć malować taka w niéj krasa, słuszna bardzo... szykowna, wejrzenie śmiałe, oczy czarne, usta dumne. Patrzała w dużą książkę rozłożoną przed nią i wzroku prawie nie odwróciła od niéj przez całe nabożeństwo. Wojski téż ręce, w których *koronkę* trzymał, złożywszy, napamięć pacierze odmawiał. Książe się wpatrzył w pannę tak, że o modlitwie zapomniał: przez całą *summę* oka z niéj nie spuścił i po *supplikacyach*, ludzie już wychodzili, a on jeszcze patrzał na nią. Gdy się pospólstwo do drzwi ruszyło, przebrał się przez lud drogę sobie torując młody i piękny mężczyzna, w mundurze kawaleryi i *submitował się* ojcu i pannie. Stary go uśmiechem przywitał, a Wojżbunówna rękę mu podała i razem z kościoła wyszli. Za nimi i *Panie Kochanku* z Wiśniowskim się wysunęli niepostrzeżenie. Wózek niepoczesny, parą koni zaprzężony a raczéj *kałamaszka* stała, czekając na nich: młody Dulemba dosiadł konia, i tak razem do Rabki pociągnęli."

Panie Kochanku zadumany i milczący wrócił do myśliwskiego obozu.

Nie taił się z głębokiém wrażeniem, jakie młoda i piękna jedynaczka wojskiego na nim zrobiła. Odtąd szukał wszelkich sposobów ażeby ją mógł widzieć i rozmawiać. Zręcznie uchwycił kilka razy sposobność spełnienia swych życzeń, ale gdy w młodéj dziewicy znalazł chłodne przyjęcie, dumę, a nawet wstręt do swéj osoby, co zobaczył gdy Wojżbuna nawiedził i sucho odprawiony został, inne wziął szalone postanowienie, ażeby ją porwać z domu rodzicielskiego. *Panie Kochanku* doznał w tych odwiedzinach zniewagi, gdy usłyszał słowa palące starego szlachcica:

— Słuchaj ty, mieczniku litewski, ty co swojemi szałami poczciwe gniazdo kalasz, młokosie ty opętany, jeśli się nogą ośmielisz stąpić na mój grunt, tak mi Boże dopomóż i Najświętsza Męko Jego, jak psu w łeb ci strzelę!

Nie długo *Panie Kochanku* spełnił powzięte postanowienie i z tłumem dworzan podpiłych i przyjaciół swego domu, napadł dwór Wojżbuna; wyłamano bramę, a gdy ranny stary szlachcic nurzał się we krwi własnéj, gdy córka odważna daremnie go ratować chciała, porwaną została i uwiezioną.

Po tygodniu w którym książe branki swojéj nie odstępował na odległym folwarku, niewiadomo jakim sposobem Wojżbunówna uciekła. *Panie Kochanku* wrócił do Nieświeża, ale wielce zmieniony i smutny. Tymczasem wieści nadeszły że ojciec z córką schronili się do Wilna i tam zamieszkali. Okrzyk zgrozy i oburzenia na gwałt szanowanemu szlachcicowi zadany, wzniósł się po całéj Litwie. Zuchwały panek, teraz trawiony zgryzotą, z trwogą oczekiwał wytoczenia procesu ze strony wojskiego. Opuścił go zwykły dowcip i *dykteryjki*

Radziwiłła. W téj niepewności zostawał, ani się uspokoił wiadomością o odpowiedzi Wojżbuna starego, gdy się z ran wyleczył, kiedy go adwokaci namawiali na rozpoczęcie sprawy:

— Nie do sprawiedliwości ludzkiéj, ale do Bożéj się uciekam! Nie pozwę Radziwiłła przed trybunał inny, tylko na sąd ostateczny przed Tego sędziego, co wszystkich nas sądzić będzie na Józefatowéj dolinie. Po co mam pozywać, łba mu nie zetną, a córki méj wstydu, moich utrapień i krwi wylanéj nie wynagrodzi mi niczem: na toby całéj Radziwiłłowszczyzny niestało. Nie żądam od niego nic. Bóg pomścić umié. Nie poszanował mojego dziecka, nie będzie miał dzieci.... umrze bezpotomnym!

Słowa te zaciążyły na możnowładcy, jakby klątwa Boża, tém więcéj, że uczuł prawdziwą miłość do Felicyi Wojżbunówny. Wysłał więc swego przyjaciela i towarzysza najazdu nieodstępnego Wołodkowicza wraz z łowczym Wiśniowskim i piętnastu tysiącami dukatów w złocie, ażeby za spalony dwór i napad wynagrodził, a przyniósł mu starca i jego córki przebaczenie, bo nie miał spokoju ani we dnie ani w nocy.

Wołodkowicz spełnia polecenie, staje przed Wojżbunem ofiaruje złoto. Usłyszawszy to wojski, w uniesieniu zerwał się z pięściami ściśniętemi z łóżka i począł rękami rzucać:

— Pieniędzmi! pieniędzmi chce mi płacić ten Krezus obrzydły! zakrzyczał; u was się wszystko na dukaty redukuje: cześć, poczciwość, rany, łzy, spokój, wstyd, honor: wszystko! Znikczemniali magnaci nauczyli was wszystko sprzedawać i za wszystko brać pieniądze; alem ja jeszcze się rodził wtedy, gdyśmy inni byli!

Rzekł i pokazał drzwi posłom Radziwiłła.

Wśród téj rozprawy z ojcem nadeszła córka, a widząc upór Wołodkowicza, zaczęła zachęcać starca, ażeby opuścili skromne swoje schronienie. To zmusiło zuchwałego przyjaciela księcia do opuszczenia ich progów.

Daremne były dalsze jego zabiegi, ażeby zyskać przebaczenie: *Panie Kochanku* kazał pieniądze złożyć w klasztorze, ale z nich grosza Wojżbun nie dotknął. W kilka lat, pod pozorem łowów, Radziwiłł z Wiśniowskim oddzieliwszy się od orszaku myśliwych, zajechał do odbudowanego dworu w Rabce. Tu zastawszy złamanego wiekiem starca, błaga o przebaczenie i w pokornych słowach prosi o rękę jego córki. Ojciec odsyła do niéj możnego zalotnika; Felicyi oczy zapałały:

— Jabym miała rękę oddać temu, co mi cześć odjął! zawołała, nigdy! W sercu, zamiast poszanowania i miłości, mam wzgardę i nienawiść, która w nie wrosła, któréj nigdy wyrwać nie potrafię. Nie żoną byłabym, ale nieprzyjacielem domowym i mścicielem honoru mojego. Nie! nigdy! Zapóźno mości książe, dziś to wygląda na urągowisko.

Daremnie *Panie Kochanku* zanosi rzewną prośbę, w słowach miękkich i kornych; spotyka gniew, zawziętość, a gdy błaga o przeba-

czenie za napad i porwanie, pełną goryczy otrzymuje odpowiedź zakończoną temi słowy:

„Niech ci Bóg przebaczy, ja nie mogę, chybabym cię konającym widziała“!

Złamany i poniżony, prawie bez pamięci opuszcza dworek Wojżbuna. Pomimo to wszakże pamięć Felicyi coraz droższą stawała się dla wielkiego pana, który teraz dopiéro przekonał się, że te dary *fortuny* jakie mu los udzielił, nie zawsze i nie wszędzie mają swoją potęgę i znaczenie.

Stary wojski umiera, córka Rabkę przedaje i znika. Daremnie w Nieświeżu pragną zachwycić jakichkolwiek wieści: przepadła jak kamień w wodę. Po wielu latach gdy Wiśniowski zachorzał w Wilnie, w Siostrze miłosierdzia Maryi poznaje, lubo wielce zmienioną, piękną Felicyę. Powiedział o tém księciu, który polecił klasztor hojnie opatrzyć ale pod warunkiem ażeby ona o tém nie wiedziała.

Stare to dzieje które opowiedział Glince łowczy Wiśniowski. Książe coraz z sił opadał, gorączka go trawiła; czasami humor dawny wracał i wtedy bajki różne opowiadał, jak o Warszawie, która według niego przed potopem już istniała. Wreszcie dał rozkaz do wyruszenia w drogę, aby się coprędzéj do *Biały* dostać.

Zamek w niéj obszerny i wspaniały otaczały wysokie ziemne wały, przerosłe drzewami i głębokie fosy, które zasilała rzeka *Krzna*, tuż poza ogrodem miejscowym płynąca. Wielka puszcza, blisko trzy mile długa i obszerna z dziewiczemi kniejami, pełna była grubego zwierza. Nie brakło tu łosi, jeleni, sarn, niedźwiedzi i dzików, a liczne stada wilków, nieraz postrachem napełniały całą okolicę.

Zamek piętrowy, tak na dole jak na piérwszém piętrze miał sale wielkie i liczne komnaty ozdobne. W oficynach po lewéj stronie, były jeszcze liczne mieszkania dla gości. Podwórze rozległe, z którego i sam gmach i warowna brama z wieżycą okazale się przedstawiały.

Książe jakby przeczuwał swój zgon bliski, osowiał i wzdychał ciężko, a z sił coraz więcéj spadał; ale się nieco uspokoił gdy poczuł że już jest „na swoich śmieciach.“

Doktor nadworny widząc potrzebę ciągłéj troskliwéj opieki nad chorym, będąc sam strudzony, jak i ulubieni dworzanie przyboczni, poradził, ażeby przy księciu posadzić siostry zakonne, które w pobliżu zamku miały swój klasztor. Wysłany Glinka, stanął przed panną starszą, która zaraz wezwała siostrę *Maryę* do pomocy śpiesząc do księcia. Na to imię zwrócił dworzanin na nią uwagę i domyślił się w niéj Wojżbunówny. Potwierdził ten domysł i łowczy Wiśniowski, lękając się spotkania z chorym panem.

Stanęły obie zakonnice przy jego łożu, i tu *Panie Kochanku* dowiedział się że jego ukochana *Felicya* stoi przy nim. Prosił o jéj rękę, a gdy drżąca siostra podała mu ją, pochwycił i poniósł do ust.

„— Siostro Maryo, począł książe, siostro Maryo! Bóg tak zrządził, abym bez twojego przebaczenia na świat lepszy nie odszedł. Bo-

gu miłosiernemu chwała na wysokościach. Przyszła ta godzina, o któréj proroczo mówiłaś w Rabce: o przebaczenie proszę!

Milczenie było straszne i długie. Wojżbunówna oczy sobie zakryła, zbierała myśli, ust otworzyć tak rychło nie mogła; aż powoli jasnym i wyraźnym głosem rzekła:

— Niech ci tak Bóg przebaczy, jako ja przebaczam!.

Odetchnął książe wojewoda, rękę którą trzymał do ust przycisnął i westchnął puszczając ją.“

Po komunii i przyjęciu Sakramentów, z różańcem *Sierotki* Radziwiłła, i uśmiechem na ustach zakończył życie *Panie Kochanku.*

Taką jest treść opowieści J. I. Kraszewskiego, zaprawdę mistrzowskiém piórem skreślonéj. Utwór ten do najpiękniejszych tego pisarza należy. Jeżeli Henryk Rzewuski wybornie nam księcia *Pana Kochanku* zcharakteryzował w paru obrazkach, w chwilach pohulanki sejmikowéj, J. I. Kraszewski przedstawia tę postać w szerszym daleko obrazie, w ostatnich dniach życia, gdy ślepotą dotknięty, złamany chorobą, śpieszy z gorączkową niecierpliwością do ulubionego zamku w Biały, ażeby w nim zasnąć na wieki.

Zatrzymaliśmy się dłużéj nad tą opowieścią, raz dla wysokiéj wartości artystycznéj, powtóre, dla wierności malowidła do najdrobniejszych szczegółów księcia *Pana Kochanku,* który w dziejach Rzeczypospolitej XVIII stólecia przeważną grał rolę, i był w niéj najpopularniejszą jak mówiliśmy postacią, górującą po nad wszystkiemi magnatami polskiemi.

Bogacz największy w dawnéj Polsce, hojnością i rozrzutnością zmarnował olbrzymią fortunę; burzliwych namiętności, gotowy do spełnienia gwałtu, niewahał się w uniesieniu rozlewać krew niewinną i urągać się prawu, a obok tego, gdy ochłonął, czuł niesprawiedliwość wyrządzoną i starał się ją naprawić, bo mu jego serce samo i sumienie gorzkie robiły wyrzuty. Kochał kraj, ale nic dla niego pożytecznego uczynić nie umiał; miał porywy szlachetne, ale były bezowocne. Stał z godnością w opozycyi, która mogła zbawiennie wpłynąć na losy narodu, ale w niéj działać, ani nią kierować nie umiał. Pan pięciu tysięcy wsi i 1290 miast i miasteczek, miał z nich rocznego dochodu do czterdziestu miljonów złotych polskich, nie rachując intrat jakie dać mogły ogromne puszcze i nieprzejrzane lasy, z wyrobów dziegciu i smoły, klepek i gontów, masztów i budulcu okrętowego; lecz zabronił sam tego, ażeby zwierza niepłoszyć, i mieć na zawołaniu książęce łowy, w gronie przyjaciół i gości.

Wszyscy współcześni panowie gasną przy nim, a głośny Mikołaj Potocki, znany powszechnie pod imieniem *Pana Kaniowskiego*, w pieśni nawet ludowéj nieraz wspominany, wygląda nikczemnie, z okrutnych zaś postępków i pastwienia się nad słabszemi, obudza jedynie wzgardę.

Panie Kochanku góruje po nad wszystkiemi, nietylko bogactwy, ale humorem i dowcipem; dykteryjki jego dotrwały naszych czasów, imię jego pleśnią niepamięci u nas nie zaszło, gdy w stolicy dawnéj

ordynacyi, w Nieświeżu i okolicach, pamięć tego możnowładzcy już zupełnie się zatarła.

W skróconéj treści podaliśmy tylko opowieść naszego autora; nie możemy jednak zapomnieć głębokiego wrażenia czytając ustęp, gdy w majaczeniu gorączkowém przypomina sobie dawne wypadki swego życia i jakby w jasnowidzeniu przeczuwa upadek swego domu. Byłato wróżba niedaremna: wraz z jego zgonem rozpoczął się ten upadek, a Bóg, jakby za grzechy, pierwszy gromym swoim rozpoczął ruinę wspaniałego zamku w Biały, który w całości trwał jeszcze i czekał tylko na przybycie nowego pana. Nadciągnęła straszna burza, piorun uderzył w lewe skrzydło zamkowe, zerwał część dachu i obalił kawał grubéj ściany. Wtedy okazał się od strony ogrodu i rzeki, w tym wyłomie ozdobny w piękne rzeźby salon, a ulubiony *Pana Kochanku*. Od téj chwili upadek gmachu się rozpoczął. Nie było ręki, ażeby czuwała nad nim, a nie wielkiego wymagało nakładu żeby wyłom wspomniany naprawić. Ale lud zaczął uważać uderzenie piorunu, jako wolę wyższą do zagłady zamku. Wyważono drzwi, zaczęto nocami wynosić sprzęty, obrazy i kosztowne zabytki, które opisuje J. I. Kraszewski. Stary burgrabia nie mógł zaradzić téj napaści, zawsze w pomroce wieczornéj wykonywanéj. W krótkim czasie, nagie tylko ściany pozostały z ozdobnemi rzeźbami i marmurowemi kominkami. I te wydarto, a gmach niedawno tak okazały, przedstawiał smutną ruinę. Dziś i mury rozebrano do szczętu, miejsce tylko zostało gdzie wznosił dumne wieżyce.

Obok wizerunku księcia Karola, wydatnieją tu postacie starego Wojżbuna i pięknéj jego córki Felicyi, która przy nieporównanych wdziękach, hart duszy ojca przechowała i w całym majestacie godności niewiasty polskiéj jaśnieje. Oryginalną jest figura burgrabiego zamku bialskiego, *Napiórkiewicza*, z którym *Glinka*, autor tego niby pamiętnika, zwiedza cały gmach i poznaje mało znane dzieje rodu Radziwiłłów jak i zamknięte zawsze sale i komnaty zamkowe.

Wszystko w téj opowieści a raczéj *powieści historycznéj* oddycha życiem i prawdą, a czytelnik przeniesiony w tamte czasy i miejsca, widzi je dokładnie, słyszy tę mowę zmarłych, czuje gorące słowa gasnącego *Panie Kochanku* i nieraz z nim razem boleje.

Postać i rola jaką odegrał on za swego żywota, pamięć jaką po sobie zostawił, godna byłaby oddzielnéj wyczerpującéj monografii. Materyały po temu są bogate. Oprócz wielu wspomnień rozrzuconych po dziełach z czasów Stanisława Augusta, już w naszym okresie mamy obszerny życiorys *Pana Kochanku* skreślony przez Edwarda Kotłubaja w szacownéj jego pracy: „*Galerya Nieświeżska portretów Radziwillowskich*“ (Wilno 1857 r.) oraz nadzwyczaj zajmujący: „*Pamiętnik o księciu Karolu Radziwille* pisany podług archiwum nieświeżskiego. Rękopism ze zbiorów Wiktora hr. Baworowskiego“ (Lwów 1864 r.). Do charakterystyki zaś jego posłużyć dobrze mogą tak wspomnienia

H. Rzewuskiego, jak w *Starych gawędach i obrazach* podane i opowiadanie powyższe J. I. Kraszewskiego. *K. Wł. W.*

Jedlnia, w niéj kościół i akta obelnego prawa, przez ks. Józefa Gackiego. Radom. W drukarni Jana Kantego Trzebińskiego, 1874 r. (w 8-ce str. 278).

W zeszycie majowym r. b. naszego pisma podaliśmy sprawozdanie o monografii wsi *Paczołtowice*, przez Józefa Louis. W niéj już wyraziliśmy nasze zdanie o ważności i potrzebie kronik naszych wiosek, które nieraz bogaty przynoszą plon do dziejów rolnictwa i gospodarstwa narodowego. Nie powtarzając więc raz wypowiedzianych myśli, ograniczymy się na podaniu treści nowéj monografii Jedlni, przez znanego i zasłużonego dobrze badacza przeszłości krajowéj.

Autor podzielił pracę swoją na trzy działy: w *piérwszéj* podaje wspomnienia dziejowe o Jedlnie, w *drugiéj* opisuje kościół w niéj będący; w ostatniéj mówi o *aktach prawa obelnego w Jedlni.*

Dawna to wieś w gubernii Radomskiéj położona: wspomina o niéj Długosz w księdze XI *Dziejów.* Władysław Jagiełło często tu przemieszkiwał gdy wracał z Litwy do Korony i zapusty w niéj przepędzał. Najsłynniejszą stała się Jedlnia od r. 1430 przez statut w niéj ułożony, mocą którego zebrani panowie i liczne rycerstwo, przyrzekli jednego z królewiczów po zgonie ojca na następcę przyjąć.

Ogromna puszcza jedlińska pięć mil długa, a trzy mile szeroka, gdzie gruba zwierzyna żyła swobodnie, wabiła nie mało króla do téj wioski. Dotąd za Jedlnią ku Kozłowu jest knieja *meszne*, gdzie *mechy* czyli niedźwiedzie miały legowiska. Jeżeli w starém Mazowszu, w puszczach Kurpiowskich kwitnęło gospodarstwo *bartne*, czyli chów pszczół dzikich po lasach, Jedlnia słynęła także z bartnictwa. Po całéj puszczy okolicznéj z jakich tylko chcieli sosen, włościanie tworzyli barcie i rzadki ktoby tu ich *nie dział* i *obłazić* po bartnym powrozie nie umiał.

Sosnę poczytywano za własność królewską, lecz ją *wydziać* czyli barć zrobić, *zatworzyć* czyli przygotować, pszczół, kiedy osiadły, od ich wrogów pilnować, na wiosnę ratować, w jesieni umiejętnie podebrać, a na zimę zaopatrzyć należało do bartnika, za co też brał trzy części miodu a czwartą (*quartam*) oddawał do królewskiego dworu.

Liczna gromada bartników rządziła się prawem *obelném*, które znaczyło toż samo co prawo *bartne*. Ks. Gacki w trzeciéj części swéj monografii, podaje obszerne wypisy podług rękopisu zachowanego z prawa obelnego w Jedlni.

Kto podał myśl zgubną komisyi przychodów i skarbu Królestwa Polskiego, wytępienia w lasach rządowych gospodarstwa bartnego

nie wiadomo: błachy pozór niebezpieczeństwa pożaru z powodu używania węgli rozżarzonych przy *podkurzaniu* pszczół dzikich przez bartników dla podbierania miodu, był podstawą do wydania reskryptu z d. 22 grudnia 1836 roku, którym polecono zawiadomić bartników, że każdy włościanin może ściąć drzewo bartne i odpiłowawszy z niego pieniek z pszczołami, takowy z lasu wywieźć bezpłatnie.

Był to piorun zniszczenia dla gospodarstwa bartnego. Włościanie tak tu jak w osadach Kurpiów na Mazowszu z osłupienia przeszli w rozpacz. Od tylu wieków barcie po puszczach i lasach istniały, a pożaru nie było, bartnicy nawykli do tego *bożego robaka*, który im tyle korzyści przynosił, ze łzami w oczach obchodzili swoje knieje, załamywali ręce i darli sobie włosy z głowy. Takiéj rozpaczy byliśmy sami świadkami w osadach Kurpi na Mazowszu.

Zaczęto spełniać wydany rozkaz, powalano odwieczne sosny z barciami: sam ich upadek zabijał setki rojów i zaledwie lichy procent ocalał z tysiąców barci leśnych, a i te przeniesione do ogródków wiejskich wkrótce pomarniały! Sosny spuszczone popłynęły do Gdańska; większą ich część gdy pokupu nie było, budulec i masztowiny piłowano i rąbano na sążnie opałowe, ażeby tylko sprzedać!

Rok 1838 można zapisać w dziejach naszego gospodarstwa, jako ostatni kres zaciekłego wyniszczenia w granicach Królestwa Polskiego bartnictwa leśnego. Wieki na to pracowały, jedna prawie chwila, takie prawdziwe bogactwo ludu, tak w Mazowszu jak i w puszczy jedleńskiéj zabiła! Pozostały jedynie jako pamiątka ustawy bartnicze, i język który podobnie jak flisowska terminologia na rzekach, wyrobił się w puszczach i kniejach nieprzejrzanych okiem. Dla badacza dawnego prawa polskiego, *akta prawa obelnego w Jedlni* stanowić mogą wielce ważny materyał.

Mnóstwo w téj szacownéj monografii znajdujemy szczegółów mało znanych lub nie znanych dotąd badaczom. Tak włościan Jedlni, proboszczowie miejscowi uważali za własność kościoła i starannie zapisywali w metrykach, który ochrzczony był *ex sanctuario*, *subditus ecclesiae;* lecz nawzajem włościanie ci po śmierci proboszcza pozostałość uważali za swoję i jak puściznę grabili: oprócz tego pozostały jako zabytki praw zwyczajem tylko dawnym uświęconych tak co do spadku po ojcu i matce, jak i do wiana panny młodéj. Autor przywodzi tu nie mało rysów charakterystycznych i przesądów miejscowego ludu, jak obrzędów weselnych, a obok tego zwraca uwagę na wydatne zmiany jakie zaszły od roku 1858. Rzecz to najżywotniejsza dla nas i z tego powodu cały ten ustęp dosłownie przytaczamy.

„Każde wesele dawniéj oprócz jadła, piwa i kosztu na dwóch najmniéj muzykantów, wymagało około 60 garncy gorzałki w domu panny młodéj i tyleż w domu pana młodego. Bo dotąd po jednym ślubie bywają tu dwa wesela, osobne u rodziny pana młódego a osobne u rodziny panny młodéj. U obojga znajdują się sąsiedzi, przyjaciele, krewni, powinowaci, rodzice chrzestni, zwani tu *pan ojciec* i *pa-*

ni matka, jako też kumowie, z któremi się do chrztu trzyma, a których tu więcéj szanują jak swojaków. Ale dzisiaj, we środę to jest po ślubie, jest kawa, obiad, piwo, tańce i czysta herbata kosztem żeniących się; nazajutrz to jest we czwartek, wszystko toż samo, tylko piwo kosztem składanym zaproszonych gości. Na *prząbabę* teraz nowa mężatka zaprasza do domu tylko rodziców swoich i mężowskich i częstując ich u siebie daje dowód, że jest już prawdziwą gospodynią.

„Do roku 1860 na całą wieś ledwie dwa kożuchy liczyłeś. Siwą sukmaną z lekkiego swéj roboty nie dość sfolowanego sukna, bez podszewki, bez guzików, ledwie pasem włóczkowym do ciała przyciągniętą, obchodził się zimą i latem każdy gospodarz. Reszty ubrania dostarczało własne nie bielone płótno. Szyja i piersi zawsze były obnażone. Ozdóbką u dzieci do lat ośmiu: krajka opasująca koszulę a u wyrostka już w sukmankę odzianego czerwona tasiemka zawiązująca koszulę pod szyją. Dziś nie masz domu gdzieby nie było tołuba i pomniejszych kożuszków. Sukmany wprawdzie jak wprzód, ze swojéj wełny, ale zrobione porządnie ze stanem i zapięciem. Dziecko jeszcze chodzić nie umie, a już je ubierają w kamizelkę, daléj w *spancerek*, a do szkoły już idzie w sukmance. Starsi i młodsi na szyi miewają szaliki. Do pokrycia głowy zwykle służy *kaszkiet* sukienny z daszkiem, a u poważniejszych czapka z siwym baranem.

„Kobiéty wprzód za najpyszniejszy ubiór miały na lato perkalowe *odziewadło* i *rańtuch* muślinowy, a na zimę wełnianą *pstruchę*. Z sukna kupnego, w kaftanik i *przyjaciółkę* ubierały się tylko zamożniejsze, a najbogatsze świeciły lisami, na głowę zaś zawiązywały chustki białe *niklasowe*, a niektóre ponsowe zwane *francuzkiemi*. Dziś wszystkie ubierają się latem w gorsety, mając na ramionach i na głowie chustki *szalinowe*, w zimie zaś stroją się w kaftany różnych materyi watowe albo w szuby lub katanki podbite futrem baranków lub lisów. Do ślubu zawsze jeszcze ubierają głowę panny młodéj w massę wstążek, spuszczających się pękiem na plecy.

„Dawniéj nie znalazłeś we wsi ani jednego szybowanego wozu, dziś wszystkie co do jednego, nawet wołowe, są kowane. Brony wszędzie żelazne. Dawniéj do kościoła ledwie na Boże Narodzenie i na Wielkanoc kilku lub kilkunastu przyjeżdżało, reszta przybywała pieszo; teraz w każdą niedzielę ze wszystkich wsiów pełno furmanek pod kościołem.

„Dobytku teraz ma więcéj komornik niż dawniéj gospodarz, bo każdy swój grunt doprawia pilnie i znawozi, do czego służy siano, zakupywane na łąkach lepszych lub u włościan innych parafii. Dawniéj nie starano się o dobre konie, bo takie bezustannie zabierano na podwody, mało dbano o dobre woły, bo takie do najcięższego gruntu wypędzano za pańszczyznę."

Z dalszego ustępu widzimy, że gdy przedtém w czasie zapust cała wieś szalała i „topiła się w gorzałczaném pijaństwie," od 1858 roku młodzież wiejska nie w karczmie ale w swoich domostwach bawi

się przy szklance piwa, pod okiem swych krewnych. Rzadko widziano w kościele ażeby kto trzymał książkę do nabożeństwa, teraz ledwie jest kto, coby jéj nie miał. W chatach zamożność widoczna, naczynia kuchenne i sprzęty domowe w dostatniéj liczbie i ozdobniejsze; w izbie czystość i porządek, a w miejsce przylepianych obrazów częstochowskich na ścianę, obecnie wiszą w ramkach roboty stolarskiéj.

Jakaż to uderzająca różnica, w życiu, zamożności i potrzebach włościanina. Pocieszającą jest nie mało podana przez autora wiadomość, że starsi wiekiem niemający sposobności chodzenia do szkoły, od młodszych uczą się w wieczory zimowe czytać, przekonani o potrzebie téj nauki.

Z dawnych zwyczajów i obrzędów pozostało wiele starożytnych w Jedlni, jak palenie ogni sobótkowych w wigilią i w dzień św. Jana; o wielu mamy tu zajmujące wspomnienie, których się żywa pamięć dotąd przechowała w tradycyi. *R.*

Gramatyka języka francuzkiego, na podstawie języka polskiego, opracował J. A. M. Borski, nauczyciel języka francuzkiego w c. k. Akademii technicznéj, lektor tegoż języka w Uniwersytecie lwowskim. Lwów, nakład Gubrynowicza 1875 r.

W obecnéj książce otrzymujemy bodaj czy nie po raz pierwszy wykład teoretyczny języka francuzkiego, oparty na podstawie naszego, wolny od przesadnych zachceń gramatyki powszechnéj, (jakiemi obałamucał młode umysły Noel i Chapsal), ale zato wyczerpującéj najistotniejsze właściwości formy i składni francuzkiéj. Przez opuszczenie definicyi, zostawiając je komu należy, autor miał czas i miejsce na wyłuszczenie tych punktów, o które uczącemu się idzie przedewszystkiém. Przez całe dziełko, obok kursu głównego przeprowadzony jest i odmiennym odznaczony drukiem kurs dopełniający. Takie poprzedzenie subtelności językowych zarysem ogólnym, przedstawiającym naturę języka w liniach prostych, uważamy za nader pedagogiczne.

Biorąc za podstawę język krajowy, nasz autor w żadnym dziale nie schodzi z téj podstawy, co również zasługuje na uznanie. Tak np. w dziale o *wymawianiu* ostrzega, iż Polacy spółgłoskę *s* przed *y i* zmiękczają, co jest wadliwém.

Naukę autor p. Borski nader stosownie skrócił wyrzuceniem tego, czego istotnie nie było. Tak np. deklinacyę sprowadził do zmiany rodzajniku, usunął dawno zarzucone czasy przeszłe dwuskładowe.

Starannie też i praktycznie opracował p. Borski składnią. Metodę syntaktyczną p. Borskiego pokazujemy dla próby w teoryi użycia czasów.

„Powiedzieliśmy że *imparfait* wyraża stan, współczesność (czasy dokonane, czynność szybko spełnioną). Ztąd po czasie przeszłym w zda-

niu głównem używa się *Imparfait*, wszakże (§ 630) może tu stać i *Présent*, jeżeli czynność podrzędna odbywa się istotnie w chwili, w której mówimy. „*Il prétendait que son frère* est *un homme de génie.*“ Wyrażone zaś przez Imparfait, słowo być (*que son frère était*) mogło dać do myślenia, że brat już nie żyje“.

Co do użycia czasu warunkowego po spójniku *si*, jakoby wbrew ogólnéj zasadzie (§ 632 dodatek) zrobilibyśmy szanownemu autorowi uwagę, że to *si* nie jest już spójnikiem warunku, lecz *cząstką pytającą*.

Za ważną zaletę poczytujemy panu Borskiemu, że w przykładach na składnią, w któréj właśnie zawiera się duch mowy, nie zatrzymał się wyłącznie na stereotypowym okresie Ludwika XIV i wieku XVIII, jak jego poprzednicy, lecz wprowadza i język współczesny: Thiers'a, W. Hugo, Lacordairéa, i t. p. Gorąco zalecamy tak uczącym jak i uczącym się niniejszą pracę p. Borskiego. *F.*

Bibliografia Polska XV—XVI stólecia. Zestawienie chronologiczne 7200 druków w kształcie rejestru do bibliografii, tudzież spis abecadłowy tych dzieł, które dochowały się w bibliotekach polskich, przez K. Estreichera. Wydanie Akademii Umiejętności, staraniem komissyi bibliograficznéj. Kraków, czcionkami drukarni c. k. Uniwersytetu Jagiellońskiego. 1875 r. (w 8-ce str. XVI—226).

Obok wydawnictwa ogromnych rozmiarów *Bibliografii polskiéj* Karola Estreichera, z XIX stólecia, któréj już pierwszy zeszyt trzeciego tomu mamy, niezmordowany pracownik w oddzielnéj książce ogłosił spis dzieł z dwóch pierwszych wieków, od chwili pojawienia się wynalazku druku.

Każdy ze studyujących bliżéj dzieje literatury krajowéj, oceniać musi wysoką wartość takiéj bibliografii, bo ona, rzec można stanowi główny i jedyny materyał, z którego dopiero można osnuwać te dzieje dalekiéj przeszłości. Jakkolwiek taki katalog niewiele może nauczyć podając jedynie tytuł, format, objętość i rok wydania, ułatwia jednakże niezmiernie prace badaczowi, bo wskazuje nasamprzód plony i obfitość duchowéj pracy narodu w określonym zakresie, i jéj skarbiec, który rozpoznać i ocenić należycie, ma za główne zadanie. Prócz tego wskazuje wszystkie gałęzie nauk, które uprawiano, przewagę jednych nad drugiemi, zkąd łatwo wybadać kierunek myśli, uczuć i potrzeb umysłowych zgasłego pokolenia. Samo zestawienie cyfr wydawnictw, czyż nie jest nawymowniejszym dowodem ruchu umysłowego społeczności każdéj? Karol Estreicher w dwóch tych wiekach podaje liczbę druków na 7200, kiedy w całéj Słowiańszczyznie głuche panuje milczenie oprócz Czechii. Nie powątpiewamy że znajdzie ich się daleko więcéj,

gdy właściciele księgozbiorów zechcą bliżej rozpatrywać zabytki piśmiennictwa, jakie potrafili zdobyć i od zatraty uchować.

Niedosyć że mamy w téj książce spis abecadłowy druków polskich, które się dochowały w zbiorach bibliotecznych; ciekawy w końcu znajdujemy tu wykaz druków na każdy rok przypadających. Gdy od roku 1455 do 1474, od jednéj książki do trzech widzimy druków, już w roku 1573 przenosi setkę a lata od 1584 do 1590 wykazują cyfrę poważną 1112 dzieł, a od 1591 do 1600 wychodzi 1180 z pod prassy.

Wydawca sam należycie ocenia wartość swéj pracy.

„Pierwszy raz zebrane w takiej liczbie druki, mnogością swoją silniéj przemawiają za tém, czego dowodzono na innéj drodze. Oświecona Polska staje tutaj w pełni sił umysłowych swoich, oświata jéj niezaściankowa lecz europejska. Europa cała pisała i mówiła językiem szkolnym naukowym, to jest po łacinie, Polska cała pisze i mówi językiem naukowym to jest po łacinie. To nie wada jéj, to jéj zasługa. Cudzoziemcy uczeni nieustannie napływają do niéj i odpływają, biorąc udział w pospolitéj pracy umysłowéj, a każda kwestya naukowa, religijna i społeczna, poruszona na kończynach świata owoczesnego, przewija się, przerabia i przetrawia w wielkiém laboratoryum ducha narodowego w Polsce. Prawda faktu tego w obec książki przemawiającéj suchemi datami i cyframi, już więcéj zaprzeczyć się nieda.“

Myśli téj poparcie znadujemy w pomienionéj książce, bo K. Estreicher, podaje w niéj druki zagraniczne z XV wieku, nawet te które napozór żadnéj z polską oświatą styczności nie mają, to jest druki tłoczone przez drukarzy Polaków, np. w Hiszpanii, dla poświadczenia, że chociaż nie pozostały obfitsze z téj epoki ślady drukarstwa u nas na miejscu, jednakże drukarze polscy szli już w zaraniu druku z Polski, niosąc dobrodziejstwo nowego wynalazku w obczyznę, że zatem sztuka ta, nie była Polsce obcą, że być musiała i była w Polsce uprawianą. W XVI stóleciu Polska liczyć mogła setkę drukarzy i niemniejszą liczbę uczonych zagranicznych zjeżdżających do niéj, lub z nią w styczności naukowéj będących.

Tu także pomieścił wydawca dzieła *Erazma z Roterdamu*, *Melanctona*, *Sigoniusza*, i wielu uczonych obcych, które jakkolwiek nieodnosiły się osnową swoją do naukowości polskiéj, lecz mężowie ci dzieła tu wymienione, przypisywali Polakom. „Ztąd wniosek łatwy (mówi K. Estreicher) że cała oświecona Polska w XVI wieku, pozostawała w nieustannych związkach ze światem uczonym europejskim, że każde drgnienie żywsze, we Włoszech, Niemczech i Francyi, kończynami życia swego dosięgało Polski; że ogólny ruch oświaty europejskiéj był ogólnym ruchem jéj oświaty, że Rzeczpospolita polska łączyła się związkami ducha, z rzecząpospolitą uczonych całego ówczesnego świata.“

Książka o któréj mówimy wymagała niemało pracy, i wielu badaczy. Wydawca nie zataja ich zasług w tém dziele; największe zaś położyli ś. p. Jan Szlachtowski, który materyały nagromadzone przez

K. Estreichera odnoszące się do XV i XVI w., wydzielił z wieku XVII i XVIII, ułożył alfabetycznie i krytycznie ocenił. Ale zmarł przedwcześnie mąż ten prawdziwéj nauki w listopadzie 1871 r. Sekretarz akademii J. Szujski zaniemógł obłożnie. Umysł jego czynny, nieumie próżnować i w chwilach największych boleści. Z kartek po Szlachtowskim ułożył dla swego użytku, w celach zebrania materyału dziejowego chronologiczne zestawienie 4000 druków. Układ ten pokazawszy się nadzwyczaj praktyczny, przyjętym został przez K. Estreichera, który go powiększył, uzupełnił, i w téj formie jak widzimy go na początku Bibliografii polskiéj wydrukował.

W obszernéj przedmowie autor podaje nam szczegółowe wiadomości o przygotowawczych pracach tego dzieła, i pojedynczych bibliografach, co do niego przyłożyli rękę, zanim się ułożyło w całość wydaną.

Na czele téż jéj, z nietajoną pociechą ducha, pisze te słowa:

„Otrzymujesz wyrozumiały czytelniku książkę niepozorną, za którą tęsknili od lat wielu bibliomanowie, historycy literatury, nauczyciele polskiéj literatury, zbieracze bibliotek, mężowie pracy poważnéj, zgoła wszyscy, dla których nieobojętną jest i historya i literatura nasza“ [1]).

Za godło położył tego dzieła wiersz z Kalderona:

„*Człowiek przepada, żyje gromada.*“

A jak mówi dobre naszego ludu przysłowie:

„*Gromada to wielki człowiek.*“

W tém téż dziele praca jednostek daje obraz wymowny powstania i rozpowszechnienia drukowanych książek dla ogółu, gdy w poprzednim okresie, myśl wyższa, spowita w rękopiśmienne foliały, uwięziona w bibliotekach zamożniejszych rodzin, spoczywała niedostępna dla społeczności.

Zwolna pracą nieustanną a wytrwałą K. Estreichera, wzbogaca się literatura nasza zbiorami bibliografii z różnych epok. Dzieło, o którém mówimy, stanowi początek: *Bibliografia* XIX stólecia, koniec wydawnictwa; brak tylko XVII i XVIII, ale i potemu przygotował niezmordowany badacz, obfite materyały, które się ciągle uzupełniają, z krytycznym przeglądem. Za lat kilka, gdy bibliografia naszego

[1]) Kiedy ostatnie arkusze druku tego dzieła przesyłał nam Karol Estreicher, w załączonym liście z Krakowa z d. 30 kwietnia r. b. pisze z wyraźną a szlachetną radością: „Bibliografia XV i XVI wieku jako treściwy rejestr będzie złotą książką dla czerpiących z niéj: nie wątpię o tém, pomimo że wiele tam nieuniknionych błędów w przekręcaniu nazwisk. Już teraz czynię poprawki i dopełnienia; a ileż ich urośnie, gdy rzucą się do książki szperacze. Nie każdy jednak zrozumie, że w te kilkanaście arkuszy wsiąkło wiele lat uciążliwych studyów, i tyle dobréj chęci tylu pomocników. A jakież to rzuca światło na naszą oświatę! Jest to zresztą książka w swoim rodzaju, bodaj jedyna w literaturze bibliograficznéj.“

okresu wyjdzie w całości, rozpocznie się druk dwóch poprzednich wieków. Wtedy będziemy mieli dokładny *Inwentarz* duchowy tego skarbca narodowego, w który każde stólecie dorzucało złotą *przędzę swych myśli i swych uczuć kwiaty.* *K. Wł. W.*

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE,

NAUKOWE, LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

WARSZAWA.

Lipiec 1875 r. — Nakładem redakcyi *Kroniki Rodzinnéj* wyszły: „*Wspomnienia o Adamie Mickiewiczu, opowiedziane najmłodszemu bratu przez Maryę Górecką,*" (Warszawa 1875 r., w 12-ce str. 78). Rzewna to a pełna zajęcia opowieść, malująca wiernie poetę wśród kółka rodzinnego, przy domowém ognisku i w gronie bliższych przyjaciół domu. Stanowi ona ważny przyczynek do życiorysu Mickiewicza i dopełnia wydaną *Korrespondencyą*, oraz wyborne *Listy z podróży* A. E. Odyńca.

— *Rocznik Towarzystwa Osad rolnych i przytułków rzemieślniczych za rok 1874.* (Wydawany staraniem zarządu Towarzystwa. Warszawa 1875 r. w 8-ce str. 128 i 162). Jestto trzeci z kolei *Rocznik* od chwili zawiązania się pomienionego Towarzystwa: obejmuje okres półtora roku, t. j. od d. 1 lipca 1873 r. do 31 grudnia 1874 r. Dzieli się na dwie części: pierwsza obejmuje: „Sprawy Towarzystwa warszawskiego Osad rolnych i przytułków rzemieślniczych," druga: „Wiadomości o Zakładach dla poprawy nieletnich."

— W dalszym ciągu „*Systematycznego kursu nauk,*" który wychodzi nakładem księgarni Stanisława Arcta w Lublinie, ogłoszoną została: „*Pedagogika*, obejmująca zasady i metody moralnego, fizycznego i naukowego wychowania dziatek, ze szczególnym względem na potrzeby wychowania domowego. Wyłożył August Jeske." Warszawa 1875 r. (w 8-ce str. 352). Wydawnictwo tak użyteczne dla każdéj rodziny, zasłużonego doznało przyjęcia. Drukowane w 2,000 egzemplarzy już wyczerpane zostało i nowa edycya przygotowaną zostanie.

— *Wspólka wydawnicza księgarzy warszawskich*, stosownie do ogłoszonego prospektu, regularnie po dwa zeszyty na miesiąc ogłasza *Dzieła Szekspira.* O publikacyi téj już mówiliśmy w poprzednich zeszytach naszego pisma. Mamy już dziewięć zeszytów, które obejmują w tłumaczeniu Stanisława Koźmiana, dramata: *Król Jan* i *Król Ryszard II*; w przekładzie Józefa Paszkowskiego *Król Hendryk IV*, w przekładzie L. Ulrycha: *Król Hendryk V*, *Król Hendryk VI*, część pierwsza, i *Król Hendryk VI*, część druga.

— Nakładem księgarni Gebethnera i Wolffa opuścił prassę drukarską: „Pamiętnik Babuni.“ Dziełko poświęcone dorastającéj młodzieży, przez Władysławę z Rogozińskich Izdebską, autorkę „Wieczorów z Babunią.“ Nakładem tejże księgarni wyszedł tom drugi pism lekarskich Dr. T. Chałubińskiego: „Zimnica.“

— Pani Józefa Kamocka b. nauczycielka gimnazyum żeńskiego i niższych zakładów naukowych w Warszawie, wydała w obszernym tomie *Teoryę stylu polskiego*. (Warszawa. 1875 r. Z drukarni Instytutu głuchoniemych i ociemniałych, w 8-ce str. 273). Dzieło to jako podręcznik, zarówno w zakładach żeńskich jako i wychowaniu domowém, nie małe może oddać usługi.

— Nakładem księgarni Michała Glücksberga księgarza i wydawcy czasopisma: „Bluszczu“ wyszło dzieło p. n. „*Niewiasta polska w początkach naszego stólecia*“ (1800—1830), przez K. Wł. Wójcickiego. (Warszawa 1875 r., w 12-ce str. 348).

— *Albumu Jana Matejki* zeszyt drugi już wykończony i w obieg puszczony został. Trzeci obejmie najnowsze wielkich rozmiarów utwory genialnego malarza. Najpierwszy z ksylografów polskich *Jan Styfi* warszawianin, zaczął rytować do ostatniego zeszytu większy obraz, podług własnoręcznego rysunku samego mistrza.

— Tygodnik Illustrowany dał nam piękny portret i wielce podobny *Karola Forstera* zasłużonego pisarza i wydawcy, z krótkim życiorysem.

— We wsi *Siemkowicach* powiecie wieluńskim odkryto na polach, przy drodze obszerne cmentarzysko, zapełnione urnami glinianemi. Oprócz kości przepalonych i popiołu, dotąd żadnych innych zabytków nie znaleziono. Może skrzętne badania dalsze potrafią je odkryć.

— Nakładem redakcyi *Niwy* wydaną została komedya Edwarda Lubowskiego, w czterech aktach, p. n. *Nietoperze*. (Warszawa. 1875 r. w 8-ce str. 75). Przedstawiona na scenie warszawskiéj w początkach r. b., doznała świetnego przyjęcia.

— W Wilnie, drukiem Józefa Zawadzkiego wydaną została: „*Chronologia* czyli nauka podziału czasu, zastosowana do zrozumienia i ułożenia sobie kalendarza” (1875 r., str. 67) przez Antoniego Odrowąża Kamińskiego. Wiadomości tu zebrane są ciekawe i pożyteczne: czytelnik może nabrać wyobrażenia bliższego o kalendarzu i jego układzie.

— *W Odessie*, czcionkami drukarni słowiańskiéj Józefa Bukowieckiego, wyszła *tragedya* w pięciu odsłonach: *Julian odstępca* przez R. S. (nakładem autora, w 8-ce str., 65).

— *Nieboska komedya* Zygmunta Krasińskiego, ogłoszoną została r. b. w przekładzie rossyjskim w czasopiśmie w Moskwie wychodzącém p. n. *Ruski Wiestnik*. Równocześnie prawie w tygodniku czeskim: *Lumir*, ogłoszono kilka większych wyjątków z tego poematu dramatycznego, tłumaczonych przez Fr. *Żherskiego;* przypominamy, że w tym języku pobratymczym, przed kilkunastą laty wyszedł w Pradze,

tegoż poety piękny przekład *Irydiona*, poprzedzony uczoném studyum o Zygmuncie Krasińskim.

— *Monografia Lublina*, przez Władysława K. Zielińskiego, w dwóch tomach, ukończoną została. Tom pierwszy obejmuje: Opis szczegółowy wszystkich istniejących, zniesionych i rozebranych kościołów, gmachów; szczegółową historyę ulic i kamienic, zakładów, pomników, przedmieść i folwarków należących do wójtostwa lubelskiego, cmentarzy, bram i murów miejskich.

Tom drugi zawiera: Historyę szczegółową miasta Lublina; spis biskupów chełmsko-lubelskich i lubelskich; wojewodów, kasztelanów, starostów lubelskich, marszałków i wice-marszałków trybunału lubelskiego, oraz wykaz wszystkich dyplomów, nadań, erekcyi i t. d. odnoszących się do historyi miasta.

W opisie miasta trzymał się autor porządku ulic, podając monografią każdéj niemal kamienicy.

Oprócz tego niejako dzieło oddzielne a uzupełniające tę monografią stanowić będzie *Dyplomataryusz Lubelski*, obejmujący przeszło 600 dokumentów zachowanych bądź w oryginałach, bądź w kopiach wierzytelnych, bądź w oblatach tylko, a odnoszących się do praw miasta Lublina, erekcyi kościołów i klasztorów, przywilei nadanych osobom prywatnym, a mającym styczność z dziejami Lublina, cechom, gminie izraelskiéj, zgromadzeniom, bractwom, i t. d. Najdawniejszy dokument w tym Dyplomataryuszu pomieścić się mający pochodzi z 1317 roku.

— Wiadomo z dziejów literatury naszéj, jakie zasługi położył na niwie polskiéj ś. p. Edward hr. Raczyński. Wykryty w tych czasach nieznany zupełnie utwór muzyczny, skomponowany przez niego, daje poznać iż w młodości swéj był zamiłowany także w muzyce i posiadał talent kompozytorski.

Po ostatnim rozbiorze kraju, ojciec Raczyńskiego wezwał Antoniego Wejnerta muzyka nadwornego króla Poniatowskiego, na kapelmistrza do Rogalina, gdzie tenże artysta przebywał od r. 1795, blizko do r. 1805 ucząc przytém na fortepianie tak Edwarda jak i Atanazego Raczyńskich. Obecnie w papierach Antoniego Wejnerta wynaleziono marsz skomponowany na orkiestrę przez Edwarda. Utwór ten oddano do Instytutu głuchoniemych i ociemniałych, aby po ułożeniu na sam fortepian, wychowańcy niewidomi mogli go dać poznać publiczności. Byłoby bardzo pożądaném, iżby go także wylitografowano w zakładzie instytutowym.

— Znane są Zenona Fisza, piszącego pod pseudonymem Tadeusza Padalicy, wydane w Wilnie 1856 r. *Opowiadania i krajobrazy* w 2-ch tomach, z których jeden najwyborniejszy obraz p. n. *Zosia Żytkiewiczówna* podaliśmy w Bibliot. Warsz. z r. 1855. Obecnie niektóre z tego dzieła szkice Ukrainy wyszły w przekładzie rossyjskim w Kijowie.

— Już dawniéj w naszém piśmie mówiliśmy, że p. Jan Karłowicz przygotowywa do druku dużo kompozycyi Moniuszki, dotąd jeszcze nie wydanych. Obecnie coraz nowe utwory się wynajdują i liczba ich tak dalece już urosła, że wystarczy na kilkaset stronnic druku. Wkrótce druk się rozpocznie. Teraz właśnie znaleziono ciekawy utwór Moniuszki. Jest to komedyo-opera w jednym akcie pod tytułem: *Biuralíści*, napisana w r. 1832. Wtedy Stanisław miał lat 13 i był w 4-éj klasie gimnazyum mińskiego. Cała partytura, złożona z sześciu numerów, dochowana jest w całości. Podobnie młodocianego utworu kompozytora *Halki*, jeszcześmy dotąd nie posiadali.

— „Raj Utracony" Miltona, przełożony na język rossyjski, używa ogromnego powodzenia. Robią jego tanie wydawnictwa ludowe, i teraz właśnie wyszła w Moskwie taka edycya w 7,200 egzemplarzach.

— Pan B. Dybowski napisał dzieło pod tytułem: *Beiträge zur näheren Kentniss der in das Balkai-See vorkommenden niederen Krebse aus der Gruppe der Gammariden*, które wydane zostało kosztem rossyjskiego Towarzystwa entomologicznego w St. Petersburgu. Jest to owoc kilkoletnich poszukiwań odbytych przez p. Dybowskiego, przy pomocy p. Godlewskiego w wodach Bajkału; p. Dybowski dużo pracy i nie mało własnego grosza poświęcił na ten cel.

Gamarusa, w potocznéj mowie zwanego raczkiem, znano w Bajkale 6 gatunków; pp. Dybowski i Godlewski urządziwszy stosowne przyrządy, sięgali do głębokości 1,373 metr. i znaleźli nowych gatunków 95 i odmian 26.

Do dzieła dołączono 14 tablic kolorowanych rysunków, dokonanych przez pp. Wrońskiego i Zienkowicza. Trzy piérwsze tablice wykonane w Paryżu. dają dokładne pojęcie o prawdziwym artystycznym smaku pomocników p. Dybowskiego; tém większa szkoda, że pozostałe 11-cie, zakład litograficzny w Lipsku wykonał niedbale i przez to odebrał pracom p. Zienkowicza rzeczywistą artystyczną ich wartość.

Prace p. Dybowskiego w świecie uczonym uzyskały powszechne uznanie, my zaznaczymy tu jeszcze jedną zasługę: miłość nauki i niczém niezłamaną energią pracy. Autor osiadł nad brzegiem Bajkału w pustyni, bez książek specyalnych, ze szczupłemi funduszami; obmyślił i wykonał odpowiednie przyrządy, sięgnął do nieznanéj dotąd głębokości w wody Bajkału, zebrał obfity materyał, opisał i podzielił na gatunki.

Dzieło o którém mówimy zawiera tylko część prac dokonanych przez p. Dybowskiego.

— Nie tak to dawne czasy, kiedy w Warszawie a nawet w całém Królestwie był piérwszym i jedynym Karol Beyer, znany archeolog i numizmatyk, który otworzył zakład dagerotypów, a następnie fotografii. Obecnie zakłady fotograficzne warszawskie zyskały sobie

w całym świecie rozgłos zasłużony, nadto stały się one jakby rodzajem metropolii, z któréj uzdolnieni młodzi adepci sztuki rozchodzą się po całym świecie, zakładając na własną rękę pracownie i nadając swym firmom wyrobione imiona.

W obecnéj nawet chwili, polskie firmy fotograficzne reprezentowane są we wszystkich niemal większych miastach Europy, nie sięgając już do innych części świata, gdzie zapewne także ich nie brak.

Z głośniejszych firm znane są: w Paryżu hr. Ostroróg (Walery); w Londynie Maleszewski, w Brukselli Staszak, w Medyolanie Strzębosz; w Mentonie Ostroga, w Moskwie Konarski i wiele innych. Wszystko to są firmy znane z doskonałości swych produkcyi pod względem sztuki, również z zasobów materyalnych, jakiemi dziś rozporządzają.

— Towarzystwo sztuk pięknych w Krakowie odbyło w pierwszych dniach lipca r. b. swoje doroczne posiedzenie. Przewodniczący ks. Marceli Czartoryski zagaił je przemową, w któréj wspomniał o stracie, jaką Towarzystwo poniosło przez śmierć trzech członków dyrekcyi: Makowskiego, Januszkiewicza i Kremera, na miejsce których nowo wybrany został jeden tylko hr. Stanisław Tarnowski, ponieważ w r. z. skutkiem wejścia do dyrekcyi trzech członków z grona artystów, komplet etatem przepisany został wyjątkowo przekroczony. Połączenie dokonane w r. z. między Towarzystwem bratniéj pomocy artystów i Towarzystwem sztuk pięknych, dobre wydało owoce Liczba akcyi wzrosła z 2,904 do 3,312; dochód z wstępu na wystawę wynosił 2,544 złr., to jest przeszło dwa razy więcéj niż w r. z. Przychód ogólny doszedł do cyfry 19,419 złr. 90 ct., z czego zakupiono dzieł sztuki za 10,239 złr. Fundusz Towarzystwa powiększył się o 1,000 złr. i wynosi obecnie 6,375 złr. Jako premium rozdana będzie członkom reprodukcya obrazu Matejki „Kazanie Skargi," wykonana w Warszawie. Zaliczek i pożyczek zwrotnych udzielono artystom w kwocie 1,800 złr.; na nagrody konkursowe uczniów szkoły sztuk pięknych 220 złr.

— Na konkurs dramatyczny krakowski (rok 1875/76) przeznaczyli: hr. Franciszek Łubieński 300 złr., hr. Jan Zamoyski 200 złr., a dawniéj już hr. Artur Potocki przeznaczył corocznie 200 złr., na cały czas istnienia obecnéj dyrekcyi.

— Nakładem księgarni i wydawnictwa „ Czytelni ludowéj," wyszedł w Krakowie (1875 r.) „Illustrowany Przewodnik po Krakowie i jego okolicach." Wydanie ozdobne, ryciny litografowane i drzeworyty ładne, druk wyraźny, obok treści pełnéj rozmaitości i dokładnego planu Krakowa, zalecają to dzieło. Jest tu wszystko opisane, co tylko podróżnego w Krakowie zająć może: kościoły, zamek, groby królów, pałace, stare domy, a opisane dobrze i krótko. Część informacyjna jest bardzo obszerna. Okolice również dokładnie opisane, jakoteż zakłady kąpieli mineralnych w całéj Galicyi. Nie wątpimy, że każdy

udający się do Krakowa, zaopatrzy się w tę książkę. Kraków pod wielu względami daje wzór i dobry przykład innym miastom i życzyćby należało, ażeby którykolwiek z księgarzy wszedł w ślady i wydał również dokładny „przewodnik po Lwowie," którego brak wszystkim do tego miasta przyjeżdżającym czuć się daje.

— Nakładem tejże drukarni wyszedł „Najnowszy i najpierwszy wykład snów, oraz najnieomylniejszy sposób wygrania na każdéj loteryi, spisany dla pożytku grających, przez Kazimierza Góralczyka." Jestto książka, którąby należało rozpowszechnić po wszystkich chatach, kuchniach i przedpokojach. Przeciwko przesądowi używa autor jego własnéj broni i skutecznie go zwalcza. I tak: jeżeli się komu śni młyn, jestto ostrzeżenie, że kobiéty przez gadatliwość swoję nabawią się kłopotu, a mężczyzn sen taki ostrzega, aby niepotrzebnych kłótni nie wszczynali. Żyd rzemieślnik, dobrego przyjaciela znaczy, a lichwiarz zapowiada wroga, który dybie na to, aby ojcowizny pozbawić. Do tego są dołączone powiastki, mające na celu powstrzymanie od rujnującéj gry na loteryi.

— Trąba obrzędowa górników wielickich, rodzaj tak zwanych u Niemców *Trinkhörner* lub *Wilkomów*, liczy się do nader cennych wyrobów złotniczych z XVI-go wieku. Jestto róg bawoli, okuty srebrnemi obręczami, podtrzymywany przez postać Herkulesa wyrobioną ze srebra. Na skówce wyryty rok 1534, orzeł Jagielloński, wąż Sforcyów, oraz herby Bonarowa i Ogończyk; z czego jasne, że za królowania Zygmunta i Bony w r. 1537, ową trąbę obrzędową sprawił górnictwu wielickiemu Seweryn Bonar, kasztelan sądecki, żupnik, którego żona Kościelecka z domu, Ogończykiem się pieczętowała. Wyrób nader piękny, ozdobny, w stylu odrodzenia. Zabytek ów podziwiano, ceniono, cieszono się nim; więc w licznych reprodukcyach artystycznych upowszechniano jego wizerunek. Tak np. p. Karol Beyer fotografował róg wielicki w *Albumie krakowskiéj wystawy starożytności;* Towarzystwo naukowe krakowskie zyskało jego geometryczny rysunek; Muzeum wileńskie piękną akwarellę; w kalendarzu zaś krakowskim dano drzeworyt. Wreszcie gdy zarząd salin posłał ów klejnot górników wielickich na wystawę powszechną, tam zwrócono nań uwagę. W *Mittheilungen*, organie komisyi konserwatorskiéj wiedeńskiéj (Tom XVIII z r. 1873 str. 312), ukazał się drzeworyt rogu wielickiego, wykonany wybornie w ksylograficznym zakładzie państwa. To zyskanie szerszéj sławy, było dla naszego zabytku nieszczęściem. Niedawno bowiem, gdy go po skończonéj wystawie odesłano z Wiednia do Wieliczki, dzienniki galicyjskie rozniosły niefortunną wiadomość, że róg zaginął. Spodziewać się należało, że prokuratorya zrobi użytek z tych doniesień. Gdy przecież sprawa w milczeniu tonąć się zdawała, sądził professor Łepkowski, że zarówno traktowanie rzeczy z urzędu jako i jawność, są w tym razie konieczne; a zatém *ex privata diligentia* udał

się do pana Adama Gorczyńskiego konserwatora zabytków pomnikowych (na obwody Wadowicki i Bocheński) z życzeniem, aby na miejsce pojechał, o fakcie zaginięcia tak cennego zabytku się przekonał i uczynił co mu z urzędu zrobić wypada. Dowiadujemy się, że pan A. Gorczyński jeździł do Wieliczki, gdzie się przekonał, iż róg górników wielickich rzeczywiście został skradziony, o czém przesłał raport do komisyi centralnéj konserwatorskiéj, doradzając, aby oprócz śledztwa, zarządzono nadto rozesłanie po zbiorach europejskich wizerunków naszego zabytku. Oczywista bowiem, że go skradziono nie dla zysku, jaki przynieść mogły skówki srebrne, ale w celu sprzedania do zbiorów publicznych zagranicznych, lub zbieraczom prywatnym, którzy się na wystawie wiedeńskiéj w wartości owego zabytku rozpatrzyli. Sądzimy więc, że oprócz władz policyjnych i sądowych, oprócz górników i mieszkańców Wieliczki, nadto i podróżnicy nasi zwiedzający zbiory europejskie, przyczynić się mogą do odszukania zaginionego rogu, témbardziéj, że zarządzone śledztwo, dotąd okazało się bezskuteczne.

— Wydział krajowy galicyjski ogłosił konkurs na projekt budowy gmachu sejmowego. Nagród premiowych jest cztery: 4,000 guldenów, 2,500 i dwie po 1,500. Sędziów zamianuje wydział krajowy; mają do nich należeć: dwaj członkowie wydziału i czterej architekci z pomiędzy znaczniejszych a nie biorących w konkursie udziału. Projekta winny być nadesłane do wydziału krajowego przed dniem 31 grudnia r. b., potém przez dni czternaście wystawione na widok publiczny będą, poczem sędziom do ocenienia oddane. Koszt całéj budowy gmachu sejmowego i wydziałowego nie ma przechodzić 500,000 guldenów. Zgłaszającym się architektom da wydział wszelkie wyjaśnienia, program budowy, plany gruntu na którym gmach ma stanąć.

— W auli uniwersyteckiéj we Lwowie odbyła się habilitacya doktora Stanisława Smolki, w pierwszych dniach lipca r. b. Przedstawił on w treściwéj prelekcyi, jak po upadku Ottokara i jego myśli politycznéj stworzenia państwa słowiańskiego nad Dunajem, Habsburgowie, w celu tak dynastycznym jak i politycznym, ubiegali się o ten kawał ziemi słowiańskiéj. Mieli oni jednak do walczenia z niemałą opozycyą narodową w Węgrzech, która niejednokrotnie bądźto kogo ze swego łona na tron wynosiła, bądź téż udawała się do potężnych podówczas Jagiellonów, jedynych naturalnych przeciwników Habsburgów. Jagiellonom jednak nie udało się utrwalić sobie tron węgierski, a walka między Ferdynandem II a Zapolyą, ostatnim kandydatem narodowym, rzecz całą rozstrzygnęła. Na tém zakończył doktor Smolka swoją prelekcyę.

— Cztery akwarelle Grottgera znajdują się w zbiorze p. Juliana Kołaczkowskiego we Lwowie, autora „Słownika rytowników polskich.“ Jedna przedstawia „Spacer na Kahlenbergu pod Wiedniem,“ druga „Polowanie na lisy,“ trzecia „Posąg Matki Boskiéj,“ czwarta „Cztery konie cugowe wjeżdżające do dworu.“

— We Lwowie, za upoważnieniem namiestnictwa, zawiązało się Towarzystwo drukarzy, pod nazwą: „Ognisko", mające na celu przedewszystkiém wzajemne kształcenie się za pomocą odczytów, wykładów i t. p., a wreszcie zabawę. Instytucya ta dla „żołnierzy myśli" może być z wielkim pożytkiem.

— W Pomorzanach w Galicyi, zmarły niedawno dziedzic, hr. Pruszyński, posiadał bogate i dobrze uporządkowane archiwum rodzinne, zawierające wiele ciekawych aktów historycznych z XVI-go wieku, a nawet i z dawniejszych czasów. Za życia nie dozwalał nikomu przystępu do tych zbiorów, a po śmierci jego, spadkobiercy sprzedali całe archiwum handlarzom na centnary, po 5 guldenów!

— Towarzystwo przyjaciół nauk w Poznaniu odbyło dnia 1 lipca r. b. półroczne swoje posiedzenie. Najprzód oddano hołd pamięci Libelta, prezesa Towarzystwa, a vice-prezes pan Stanisław Koźmian, zdał sprawę z czynności zarządu w ubiegłém półroczu. Jednym z ważniejszych tego sprawozdania szczegółów było znów wspomnienie o Libelcie, jemu to bowiem Towarzystwo winne było początkowanie najpomyślniejszych swych przedsięwzięć i ich spełnienie, np. jubileusz Kopernikowy, pomnożenie znakomite zbiorów Towarzystwa, oraz pozyskanie po długiém tułactwie własnéj dla nich siedziby, dzięki przyjaźni jaka śp. Libelta łączyła z ś. p. Sewerynem Mielżyńskim. Dr. Kazimierz Szulc zdał sprawę z czynności wydziału historycznego, który przygotował do druku ważne prace, jak: „O stopniu cywilizacyi Słowian pogańskich" (jest tam i rozprawa o autentyczności kamieni mikorzyńskich); „O kandydaturze duńskiéj na tron polski po śmierci Wiśniowieckiego;" sprawozdanie o dziele Dr. Kętrzyńskiego p. t. „O narodowości mieszkańców Prus Wschodnich za czasów krzyżackich;" „O ruinach na ostrowie lednickiego jeziora;" „Najnowsze zabytki średniowiecznéj polszczyzny." Prócz tego na żądanie Akademii krakowskiéj, jeden z członków Towarzystwa przyjaciół nauk poznańskiego, zajął się ułożeniem słownika nazw miejscowości w księztwie Poznańskiém i Prusach Zachodnich, na niemieckie nazwy zamienionych. Słownik ten wkrótce wyjdzie z druku. Wydział historyczny powiększył się o kilkunastu członków, przez przyjęcie podanych kandydatów. Sprawozdanie z czynności wydziału lekarskiego, okazuje między innemi, że założono czytelnią medyczną liczącą obecnie 13 członków miejscowych i 3 zamiejscowych; dzieł abonuje się 11. Fundusz czytelni powstaje ze składek członków i 30 tal. rocznéj subwencyi z kassy Towarzystwa, do którego biblioteki przychodzą dzieła z czytelni. Wydział lekarski liczy członków 49. Sprawozdanie z wydziału nauk przyrodniczych donosi o rozprawach Dr. Kusztelana: „O fizykalnym wpływie lasów na atmosferę i powierzchnię ziemi," i Dr. Kudełki z Żabikowa: „O azotowém pożywieniu roślin wyżéj uorganizowanych." Zbiory Towarzystwa znacznie się pomnożyły a wzrosłyby więcéj jeszcze, gdyby znaleziono fundusz na sprawozdanie zaofiarowanych przedmio-

tów. Zbiór rycin liczy numerów 14,000, obrazów 540. Książki jeszcze nie są skatalogowane.

Pod koniec posiedzenia przyjęto wniosek zarządu następujący: „Prawomocność wyboru nowych członków uskutecznionego przez wydział, wymaga potwierdzenia zarządu, a ewentualnie wolnego zebrania.“ Zakończono posiedzenie wybraniem na prezesa p. Stanisława Koźmiana, dotychczasowego vice-prezesa. Vice prezesem obrany został Dr. Matecki, dotychczasowy skarbnik, na skarbnika wybrano Dr. Władysława Żebińskiego. Prezydował ogólnemu zebraniu Dr. Niegolewski.

— Badanie rozwalin na ostrowiu lednickim pod Gnieznem, przypomina się ciągłemi rozprawami i nieustanną polemiką naukową. Studya te rozpoczęli: Edward Raczyński, Lelewel i Przeździecki; dziś zajmują się niemi w Poznańskiem przeważnie Dr. Kazimierz Szulc i Zakrzewski. Teraz w czasopiśmie „Warta“ (N. 48) ukazała się znów praca hr. Albina Węsierskiego p. t. „Czem był ostrów lednicki.“

— Teatr polski w Poznaniu otwarty został dnia 21 czerwca r. b. Krótka jego historya jest taka: Brak stałego budynku teatralnego ciągle się dawał przykro uczuwać ludności polskiéj w Poznaniu; szukano przytułku u Niemców, nareszcie „Gazeta Toruńska“ rzuciła myśl założenia stałego teatru polskiego. W grudniu r. 1869 założono komitet odpowiedni, zaczęto zbierać składki, dawać bale, koncerta, przedstawienia amatorskie i fundusze rosły tak dalece, że już 14 kwietnia r. 1870 na radzie specyalnéj rzucono stałe podstawy projektu wybudowania teatru. Zawiązano Towarzystwo komandytowe akcyjne, dla zebrania potrzebnéj kwoty i napisano dlań statut. W kilka miesięcy wybuchła wojna, bieg spraw teatru polskiego uległ zwolnieniu, ale już w końcu tegoż roku 1870, w moc nowo uchwalonego przez rząd prawa o spółkach akcyjnych Towarzystwo komandytowe teatralne przemieniło się na spółkę akcyjną Uchwalono zebrać 60,000 tal., po tal. 50 na akcyę, płatnych w dziesięciu ratach; a gdy p. Bolesław Potocki podarował na rzecz teatru ogród, przyszły teatr nazwano „Teatrem polskim w ogrodzie Potockiego w Poznaniu.“ Nazwa ta pozostała teatrowi i teraz, mimo że ogród Potockiego uznany za mniéj dogodny, sprzedany został, a zakupiono pod budowę obszerny plac z domem za 45,000 tal. Kapitał zakładowy postanowiono podnieść do 100,000 tal. Dnia 9 kwietnia 1873 roku położono kamień węgielny pod budowę gmachu, mającego stanąć według planów budowniczego Hebanowskiego. Mimo nieustających kłopotów finansowych, budowa teatru postępowała dość szybko. Oprócz wpłat na akcye składano datki pod nazwą *marek* (nowo ustanowiona w Prusach moneta); takich marek wpłynęło 13,000. Dyrektorami otwartego już teatru są pp.: Grabowski, Żebiński i Kusztelan.

Widowiska inaugurowano komedyą Józefa Korzeniowskiego *Wąsy* i *Peruka;* obraz z żywych osób „obrona Trębowli“ zakończył widowisko. Ceny miejsc następujące: krzesło w lożach parterowych

i piérwszego piętra, po 4½ marek (cała loża 18 marek); miejsce na balkonie 1-go piętra po 4½ marek; krzesło 2½ marek, w lożach 2-go piętra marek 1½; po tyleż miejsce na balkonie 2-go piętra. Parter kosztuje 75 fenigów, amfiteatr 50, jaskółka (paradyz) 25.

— Kółka włościańskie w W. Ks. Poznańskiem, nabierają coraz większego znaczenia. Do 37 istniejących w r. z. przybyło w tym roku 22. Zebranie walne delegatów odbyte niedawno w Poznaniu, sprowadziło ich 200 przeszło, nawet z najodleglejszych stron Księztwa; którzy przybyć nie mogli, usprawiedliwili listami swoją nieobecność. W r. z. było ich tylko 70. Na zebraniu tém byli téż redaktorowie trzech pism wychodzących w Poznaiu, oraz „Gazety Toruńskiéj" i „Gospodarza," które to ostatnie pismo przyjęte zostało na tém zebraniu za organ kółek włościańskich. Uchwalono wypracowanie projektu petycyi do sejmu prowincyonalnego o utworzenie Towarzystwa kredytowego dla włościan; postanowiono wybrać Towarzystwo ubezpieczenia dla gospodarstw włościańskich od gradu, oraz wydrukować i rozesłać kółkom włościańskim rozprawę p. Rivolego „O wychowaniu młodzieży rolnéj włościańskiéj." Między delegowanymi było dużo włościan, ale ci mały dotąd biorą udział w obradach, zdając się na inteligencyę.

— „Kollokacya," jedna z najlepszych powieści Korzeniowskiego, wydaną została świeżo w Gnieźnie w tłumaczeniu niemieckiém, pod tytułem *Der Dorfadel.*

— W r. 1873 rada Towarzystwa historyczno-literackiego w Paryżu, przystępując do wyznaczenia zwykłego dwuletniego konkursu, zwróciła uwagę swoją, na liczne bardzo w ostatnich latach i mnożące się ciągle wydawnictwa dokumentów i materyałów historycznych w języku rossyjskim. Pamiętna na to, że dokładna znajomość przeszłości osiąga się jedynie przez poznanie, zestawienie i porównanie różnostronnych i nawet sprzecznych z sobą źródeł, opowiadań i świadectw, umyśliła ze swojéj strony wskazać polskim badaczom historycznym, to nowe dla poszukiwań ich pole i dlatego za przedmiot do konkursu obrała i ogłosiła następujące zadanie:

„Zdać sprawę z wydawnictw historycznych bądź opracowanych, bądź źródeł, przynoszacych nowe fakta lub spostrzeżenia do historyi polskiéj XVI, XVII i XVIII wieku, a ogłoszonych w ciągu ostatnich lat dwudziestu, w Kijowie, Moskwie i Petersburgu. Ocenić stronę naukową tych wydawnictw."

Termin wyznaczony upłynął i nie otrzymało pomienione Towarzystwo, ani jednéj rozprawy odpowiadającéj na ogłoszone zadanie. Tymczasem w ciągu ubiegłych dwóch lat ostatnich, nietylko rozpoczęte piérwéj wydawnictwa historyczne rossyjskie, utrzymały się na dawnéj stopie, ale jeszcze rozszerzyły się znacznie, a niejedno nowe do nich przybyło. Szczególniéj materyały od czasu panowania Katarzyny II-éj do Aleksandra I-go, takich dochodzą rozmiarów i takie na tę epokę rzucają światło, że już żaden poważny pisarz, mówić o niéj nie będzie miał prawa, niepoznawszy tych świadectw. Przy całéj ważno-

ści swojéj, wydawnictwa te potrzebują krytycznego ocenienia i opracowania, ażeby z tego surowego materyału prawdę wydobyć, sądy sprostować ze spokojem bezstronnym.

Żądana praca w języku polskim ma wynosić od 12 do 15 arkuszy druku. Autor najlepszéj rozprawy otrzyma 1,800 franków w złocie nagrody. Termin ostateczny do nadsyłania najpóźniéj oznacza się do dnia 1 marca 1876 roku.

Nadsyłać należy pod adresem professora historyi Uniwersytetu Jagiellońskiego Józefa Szujskiego w Krakowie. Rękopism powinien być przysłany bezimiennie i opatrzony godłem wybraném przez autora, a tóż samo godło ma się znajdować w liście zapieczętowanym, który autor do rękopismu dołączy.

— Skwapliwie zwykliśmy zapisywać każdy czyn przynoszący zaszczyt imieniu polskiemu i dlatego uważamy za rzecz właściwą wspomnieć o odznaczeniu, jakie świeżo spotkało jednego z naszych młodych lekarzy w południowéj Francyi. Dnia 18 czerwca b. r., rada municypalna miasta Clćon-Andran, w departamencie de la Drôme, po odbytéj sesyi udała się in corpore, z proboszczem i merem na czele do dra Leona Deputowskiego i wręczyła mu adres, podpisany przez wszystkich miejscowych notablów, w którym dziękując czule za oddane przez lat pięć usługi, pełne rzadkiego poświęcenia się i miłości chrześciańskiéj, ofiaruje mu bezpłatnie, przez czas pobytu w tém mieście, apartament w starożytnym zamku, będący dzisiaj własnością municypalną.

— Dnia 11 kwietnia r. b. grano w Chicago w Ameryce, komedyą z amerykańskich obyczajów, napisaną przez panią T. Samolińską p. t. *Emancypacya kobiet*. Autorka była zarazem aktorką. Na teatr zjeżdżano się o mil kilkanaście do Chicago. Zeszli się prócz Polaków, Czesi i Niemcy. Wszystkie siedzenia zajęto, a nawet ganki i przejścia. Pan J. Rychter z Louisville o 600 mil od Chicago przybył umyślnie na teatr. „Gazeta Chicago" zapewnia, że teatr polski ma tam już ustalone swoje utrzymanie.

W témże mieście wychodząca „Gazeta Polska" rozpoczęła w odcinku druk romansu, którego autorem jest ksiądz Klawitter Polak, proboszcz z Bloss-Bourgha w Pensylwanii.

— Stan dziennikarstwa czeskiego w obecnéj chwili, tak przedstawia nam korrespondent do „Gazety Warszawskiéj: „Główne organa staroczeskie są: *Politik*, wychodzący w języku niemieckim pod naczelną redakcyą p. Skrejszowskiego i *Pokrok*, którego redaktorem jest p. Ottokar Zeithammer, były professor, od r. 1861 wpływowy członek sejmu czeskiego. *Politik* istnieje od r. 1862, *Pokrok* od r. 1868. Głównym organem Młodych są *Narodni Listy*, własność braci Juliusza i Edwarda Gregrów; głównym współpracownikiem jest Sladkovsky, odpowiedzialnym redaktorem Barak, „Marat" czeski. Wychodzi daléj przeważnie katolicki dziennik *Czech*, który w politycznych kwestyach idzie za Starymi; *Czech* nie jest, jak to twierdzą często dzienniki wie-

deńskie, organem kardynała Schwarzenberga, lecz utrzymywany przez niższe duchowieństwo. W społecznych kwestyach po stronie Starych, w kwestyi wstępu do ciał parlamentarnych zgadzający się z Młodymi, *Posel z Prahy*, istniejący od lat 15; bardzo trudne ma stanowisko, jak wszystkie środkowe stronnictwa. Mały dzienniczek *Brousek*, wydawany przez Skrejszewskiego, wielkie oddaje sprawie narodowéj usługi.

Co do niemieckich dzienników, oprócz urzędowéj *Gazety Prazkiéj*, istnieje *Bohemia* od lat 48 i *Tagesbote aus Böhmen* od lat 28. *Bohemia* wprawdzie stoi po stronie centralistów, ale umiarkowana na kształt *Posla*, głównie rozszerzenie swe zawdzięcza wiadomościom potocznym i felietonom. *Tagesbote* jest organem osławionego Cassina niemieckiego i odznacza się pruskiemi tendencyami. Jako tygodnik wychodzi *Beobachter*, organ niemieckiéj części duchowieństwa.

Pomiędzy licznemi pismami illustrowanemi; *Svetozor*, wydawany przez dra hr. Skrejszowskiego, brata Jana; odznacza się tak pod względem literackiéj treści, jako też pod względem mistrzowskich rycin.

Niemal wszystkie miasta czeskie mają już osobne organa publicystyczne. I tak staroczeskie stronnictwo posiada w Pilznie *Plzenskie Listy*, w Budziejowie *Budivoj*, w Szlanie *Svornost*, w Kolinie *Korunę Ceską*, w Chrudimie *Posla z Vychodnich Czech*, w Taborze *Tabor* i t. d.

Młodzi mają dzienniki w Pilznie, Raudnicach, Melniku, Szlanie, Przybramie i t. d. Tu w Pradze wydają przegląd literacki *Osveta* i tygodnik socyalistyczny *Budoucznost*."

— W piśmie norymberskiém „Anzeiger für Kunde der deutschen Vorzeit," znajdujemy artykuł o restauracyi grobów królewskich na Wawelu, które piszący niejaki E. P. wspaniałemi zowie, pobudzając redakcye pism illustrowanych niemieckich, ażeby się zajęły wyobrażeniem i upowszechnieniem w drzeworytach trumien królewskich: *będących istotnemi dziełami sztuki*."

— W chromolitograficznym zakładzie Lemerciera w Paryżu, wychodzi w przepysznéj *edition de luxe:* „Herbarz starodawnéj szlachty, podług heraldyków polskich, z dopełnieniem do czasów obecnych." Zeszyt pierwszy już ukazał się i zawiera genealogię kilkunastu rodzin. Tekst obszerny jest polski;herby chromolitografowane.

— Jerzy Rathlef wydał w Dorpacie zajmującą dla historyków Litwy rozprawę niemiecką p. t: *Stosunek Zakonu Kawalerów Mieczowych do biskupów krajowych i miasta Rygi w wieku XIII i w pierwszéj połowie XIV.* (Das Verhältniss des livländischen Ordens etc.).

— W Saksonii w Małym Budziszynie (Klein-Bautzen) odkryto zeszłej jesieni w pewnym kościele Biblię wydrukowaną w Moguncyi przez Guttenberga, pomiędzy 1450 a 1456 rokiem. Księga ta wydrukowana jest częścią na papierze, a częścią na pargaminie. Była ona podarowana temu kościołowi w 1677 roku i przeleżała lat 200 z innemi księgami kościelnemi, uważana za rękopism. Biblię tę kupił teraz pewny Anglik za 450 fst. (około 3,000 rubli).

— H. W. Stoll obrazy z życia staro-greckiego (*Bilder aus d. altgriechischen Leben*), Lipsk. 1875.

Autor nader żywemi barwami odmalował żywot heleński: 1) homeryczny, 2) w okresie od Homera do wojen perskich, w 3) i 4) księdze wysuniętemi zostały na pierwszy plan Ateny od czasu wojen perskich. Dzieło to zewszechmiar jest godne zalecenia młodzieży kształcącéj się w kierunku humanitarnym.

— Edda dawniejsza w przekładzie i objaśnieniach (*d. aeltere Edda uebersetzt und erklaert*). Odczyty Ad. Holtzmanna (36 arkuszy w wielkiéj 8-ce). Jestto, jeżeli się nie mylimy, po raz pierwszy dokonany przekład dosłowny Eddy, która zawiera w sobie złożone w formę pieśni, podanie mitologiczne, jako osnowę dla skaldów. Pieśni te sięgają po za czasy wielkiéj wędrówki narodów, i rozeszły się następnie na Północ do Skandynawii. Kapłani i wyższe rodziny germańskie (podług zdania autora), nie chcące uznać władzy Haralda, przeniosły je do Islandyi.

Odczyty Holtzmanna zawierają wielki poczet faktów, w których badacze podań znajdą nie jedną skazówkę do mitu słowiańskiego.

— Z ostatnich sprawozdań literackich (w Niemczech) dowiadujemy się o wyjściu w czwartém, znacznie rozszerzoném wydaniu książki p. n. *Der polnische Parnass* (1875 r. Lipsk.), z zarysem historyi literatury polskiéj i wiadomościami biograficznemi.

— Z powodu zbliżającéj się rocznicy urodzin wiekopomnego filozofa *Herbarta*, który wytworzył w niéj kierunek indywidualizmu realistycznego, (urodził się w Oldenburgu r. 1776); zamierzono wystawić mu pomnik w mieście rodzinném. Jako przyczynek do ofiar, na ten cel podejmowanych, wydaną została „rzecz o zasługach Herbarta w sprawie filozofii. (*Joh. Fried. Herbart's Verdienste um die philos.* Oldenburg 1875). Jestto nie obszerny, ale pouczający traktat o dziejowém stanowisku wielkiego myśliciela.

Szególniejszy nacisk kładzie tu autor (*Thilo*) na podniesienie psychologii do godności nauki.

„Herbart odarł filozofię z poetyczności. Herbart zrzekł się pewnych kategoryi na rzecz *wiary*, zostawiając jéj prawo mówienia, tylko o tém co ona wié; metafizyka *Herbarta* wiele zrobiła dla nauki przyrodzenia."

— *Zarysy* i *Studya* (Essays and Studies), p. Al. Karola *Swinburne*. (Londyn 1875). Imię Swinburna jest dziś najpopularniejsze w literaturze angielskiéj. Znakomity poeta w swoich „Zarysach i Studyach" występuje jako krytyk i estetyk. Z dwóch więc względów zasługuje na uwagę wspomniane dzieło. Najprzód znajdujemy w niém wyborną ocenę nowoczesnych poetów nietylko tych, którzy przyjęli z nim wspólne godło w sztuce, (Morris, Rossetti); lecz w ogóle wszystkich, którym świat przyznaję palmę, bez względu na indywidualny kierunek (Arnold, Browning, Tennyson, W. B. Scott i t. d). Niemniéj ważnemi są „Zarysy i Studya" ze względu, iż zawierają pogląd artystyczny

na istotę sztuki, wypowiedziany głęboko, wymownie i to przez poetę, jak dziś, najgłośniejszego na cały obszar piśmiennictwa angielskiego.

— Długo oczekiwany dramat nestora wieszczów angielskich *Tennysona*, wychodzi nareszcie na widok publiczny p n. *Królowa Marya* (Queen Mary) i zawiera życie Maryi Tudor od jéj wstąpienia aż do śmierci, z głównemi scenami panowania.

— Z dzieł historycznych angielskich zasługują na uwagę *Epoki Dziejów* (Epochs of History, The Houses of Lancaster and York) przez I. *Gairdner*. Londyn 1875.

Autor prowadzi opowiadanie dziejów od wstąpienia na tron Ryszarda II-go a kończy na śmierci Ryszarda III-go, zamykając właśnie je chwilą, kiedy o tron ubiegać się zaczęły dwie współzawodniczące rodziny: York i Lankaster. Chaotyczna ta doba, gdzie trudno pochwycić główną nić, została jednak przedstawioną przez autora w sposób nader zajmujący. Szczególniéj podziwiamy umiejętne przedstawienie tych oscylacyi, pomiędzy parlamentem a koroną, w których ważyły się losy idei politycznéj państwa angielskiego. Opowiadanie wojen z Francyą prowadzone jest ożywczo i jasno. Przytém autor dołączył dwie mapy, specyalnie wyjaśniające postępy oręża angielskiego. Dzieło to zalecamy czytelnikom, pragnącym poznać najwybitniejsze stacye téj wiekowéj rywalizacyi.

— *Fusang or discovery of America by the Chinese Budahist priests.* „*Fusang*, czyli odkrycie Ameryki przez chińsko-buddyjskiego kapłana" w V wieku.

W znanéj powszechnie encyklopedyi chińskiéj noszącéj tytuł: *Wan-chien-tung-kaon*, znadujemy rozdział, w którym z całą powagą postawiony jest fakt, że około r. 499, kapłan buddyjski Hwui-Shin doniósł, iż właśnie wraca do Chin z kraju zwanego Fusang, imię którego ma pochodzić od nazwy drzewa (tegoż imienia), rosnącego w nim. Podług domniemania Lelanda, drzewo *fusang* ma to być „wielki aloes" a krainą nawiedzoną przez budystę chińskiego, Meksyk. (Athenaeum, 1875 str. 617).

— *Historya starożytna pomników* (Ancient History of monuments). Egipt p. Birch'a, Assyrya p. Smith'a.

Historya obu wymienionych państw, czyta się z wielkiém zajęciem, témbardziéj, że zastosowanemi tu zostały odkrycia Layarda, Loftusa, Rawlinsona i innych znakomitych badaczy. Obok historyi politycznéj prowadzoną jest i przyznać należy, prowadzoną świetnie milcząca historya pomników. Birch słusznie utrzymuje, iż na czwartéj dynastyi egipskiéj (około 2,200 lat przed Chrystusem) sztuka u Egipcyan dosięga szczytu doskonałości. Najważniejszą rękojmią ważności pracy Smitha jest to, iż sam on osobiście miał znakomity udział w owych kopalnych poszukiwaniach, które rozpoczęte przed laty czterdziestu, dotąd jeszcze z zapałem są prowadzone na zwaliskach świata assyryjskiego.

† Dnia 31 maja r. b. zmarł w Krakowie w 85 roku życia ks. biskup ***Józef Grzegórz Wojtarowicz.*** Był on synem włościanina z Szönwaldu. Ukończywszy nauki szkolne w Tarnowie, a studya teologiczne w Wiedniu, otrzymał doktorat ś. teologii. W r. 1840 mianowany biskupem tarnowskim, słynął z świątobliwego życia i dobroczynności jako wzór kapłana chrześcijańskiego. Wszystkie dochody swoje rozdzielał między ubogich. W roku 1856 złożył godność biskupią i wiódł do śmierci żywot cichy przy kościele św. Floryana na Kleparzu; pomimo podeszłego wieku zachował świeżość umysłu i wielką gorliwość w sprawach kościoła i wiary. Była to piękna postać pasterza, który dobrowolnie zamienił godność biskupią, na zakonny niemal żywot.

— Dnia 10 czerwca r. b. zakończył życie ***Maryan hr. Czapski*** w Więckowicach w Wielkiém Księztwie Poznańskiém. Jest on autorem znakomitéj wartości dzieła wydanego u J. K. Żupańskiego p. n. „*Historya powszechna konia*,“ w trzech dużych tomach.

— Dnia 1 lipca r. b, w kościele tyńskim Najświętszéj Maryi Panny w Pradze czeskiéj, odbyło się z rana nabożeństwo żałobne za ś. p. ***Libelta i Kremera.*** Libelt który uczestniczył w odbytym zjeździe słowiańskim 1848 r. w stolicy Czechii, pozostawił w niéj licznych wielbicieli i przyjaciół. To też dzienniki czeskie wszelkich odcieni poświęciły mu nader pochlebne i przyjacielskie wspomnienie pośmiertne.

— Dnia 6 lipca r. b. zakończył życie w willi swojéj pod Dreznem ***Karol Aleksander Hoffman,*** członek Akademii Umiejętności w Krakowie, pisarz z niepospolitym talentem i historyk. Urodził się na Mazowszu 1798 r. Ukończywszy wyższe nauki w Uniwersytecie warszawskim na wydziale prawa, był redaktorem i wydawcą czasopima *Polska Temis*, poświęconego rozwojowi nauki prawa. W dziennikarstwie polskiém zajmuje *Temis* poważne stanowisko, Niemałe rzucił światło na dzieje krajowe z pierwszéj połowy naszego stólecia. Pisał i w języku francuzkiém. Z historycznych prac największych rozmiarów jest dzieło: „Historya upadku domu Sobieskich,“ w znacznéj części drukowane w *Gazecie Polskiéj* za redakcyi J. I. Kraszewskiego. W Paryżu 1839 r. ogłosił *Vademecum polskie*, w którém zużytkował swe wiadomości zebrane na urządowaniu w *Banku Polskim* i dał nam nader cenne szczegóły do historyi finansów polskich. Osiadłszy w Dreznie, opisał to miasto i jego okolice; dziełko to wyszło w Warszawie 1858 r. Był współpracownikiem „*Słownika polsko-francuzkiego i francuzko-polskiego.*“ Był on mężem słynnéj Klementyny Tańskiéj. Był nadto znakomitym akwarelistą, nietylko przez rodaków, lecz i przez niemców wysoko cenionym. Pogrzeb zmarłego odbył się w Dreznie dnia 10 lipca r. b. Na cmentarzu przemówił J. I. Kraszewski i złożył wieniec laurowy na jego grobie.

OD REDAKCYI.

Bezimiennemu czytelnikowi Biblioteki Warszawskiéj w Stopnickiém:

Ilość nadesłanych rękopismów, przypuszczać dozwala, że dłuższy termin naznaczonym zostanie.

Sprostowanie. W zeszycie lipcowym na r. b., na stron. 180 w wierszu 33, zamiast *Paulina z Lamzów Wilkońska*, czytać należy: *Paulina z Lauczów Wilkońska.*

W zeszycie sierpniowym r. b. str. 298 wiersz od dołu 12 zamiast wojnę *prusko-francuzką*, czytaj: wojna *prusko-francuzka*; str. 300 wiersz 20 zam. *zmienienia*, czytaj: *zniżenia.*

Zestawienie przedmiotów zawartych w 136 tomach Biblioteki Warszawskiéj z lat 1841—1874. Przez Karola Estreichera. W Krakowie, w drukarni Leona Paszkowskiego. (W 8-ce str. VII, 319). Na czele redakcya w treściwym zarysie podaje w tym spisie bibliograficznym, wiadomość o piérwotnym zawiązku swego pisma i piérwszych założycielach, a zarazem o powiększoném gronie współredaktorów aż do roku bieżącego. Wydanie całe odbito w 500 egzemplarzach. Autor tak mozolnego dzieła w przedmowie pisze o swéj pracy: „Oddawała mi ona od lat dziesiątka nieustanną przysługę, a widząc jéj praktyczną dogodność, oddałem ją chętnie na użytek redakcyi Biblioteki, wyrażając tém życzliwość moją pismu, które uznaję za stojące na czele wszystkich publikacyj literackich polskich, dzierżące zawsze z godnością pióro dla pożytku oświaty krajowéj, najstarsze w dzisiejszéj rzeszy pism, a zarazem najchętniejsze w przygarnianiu mężów istotnéj pracy i talentu."

Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa. Cena egzemplarza rs. 1, kop. 50 (złotych 10).

Redakcya Biblioteki Warszawskiéj.

Redaktor odpowiedzialny **K. Wł. Wójcicki.**

Wydawca *Józef Berger.*

W drukarni J. Bergera, w Warszawie przy ulicy Elektoralnéj Nr. 14

Дозволено Цензурою. Варшава, 15 Іюля 1875 года.

WYCIECZKA DO MONGOLII.

PRZEZ

Ludwika Niemojowskiego.

Ze wszystkich prowincyi, obszerne państwo niebieskie składających, Mongolia najmniéj jest znaną. Pomimo traktatu zawartego w roku 1860 z rządem rossyjskim, a otwierającego granice Chin dla poddanych imperium: nader mała liczba podróżnych udaje się w te dzikie i niegościnne strony. Dwa są tego główne powody: najprzód brak wszelkich dróg do kumunikacyi służących, a powtóre niedostateczny rozwój handlowy. Co do pierwszego, kraj ów górzysty, zarosły nieprzebytemi tajgami czyli pustyniami leśnemi, poprzerzynany tysiącem mniejszych lub większych rzek, utrudnia niesłychanie przenoszenie się z miejsca na miejsce; co zaś do drugiego Sajańcy, Uranchajcy i Uranchuty zamieszkujący tę prowincyą, są plemionami wyłącznie koczującémi, trudniącémi się pasterstwem, polowaniem i rybołówstwem; handel więc z niemi ogranicza się na wymianie surowych produktów, które oddają za najniezbędniejsze w życiu codziennem przedmioty. Religia panująca jest budyjska, chociaż napływowa ludność mandżurskiego pochodzenia, zamieszkująca nieliczne miasteczka, wyznaje wiarę Konfucyusza.

W roku 186... zwiedziłem część północną Mongolii w towarzystwie księcia A., który miał polecenie zbadać dokładnie miejscowość, ażeby przy zaprojektowaném otworzeniu nowego punktu granicznego w Tasztypie, zapewnić komunikacyę handlową z Pekinem w prostéj linii; dotychczasowy bowiem dowóz herbaty, idąc na Kiachtę, drogą niezmiernie długą, przyczynia się znacznie do powiększenia kosztów transportu. Trzydzieści kilka osób, wraz z wojskową eskortą składało nasze grono; minąwszy Tasztyp, osadę położoną na granicy geograficznéj z Chinami, podróż nasza z każdym dniem stawała się uciążliwszą. Żaden opis nie jest w stanie dać wyobrażenia o rozmaitego rodzaju trudnościach, z jakiemi na każdym kroku przychodziło nam walczyć, ażeby módz dostać się w głąb tych dzikich obszarów. Od samego Tasztypu, góry Sajańskie jeżąc się w niezliczonych załomkach olbrzymich skał, stanowią naturalną a napozór nieprzebytą zaporę. Nie ma tam ani dróg ani też drożyn, są tylko ścieżki przez stada dzikich kóz wydeptane, a stanowiące labirynt niepodobny bez pomocy dobrego przewodnika do przebycia. Ścieżki te raz wieszają się nad przepaściami, drugi raz znowu zapuszczają w wąwozy i doliny. Konie mongolskie przyzwyczajone do stąpania po tych zawieszonych na kilka tysięcy stóp nad poziomem, środkach komunikacyi, idą wolno,

REDAKCYA BIBLIOTEKI WARSZAWSKIEJ

ostrożnie, ze schylonemi ku ziemi łbami, jak gdyby szukały bezpiecznych miejsc na postawienie nóg; jeźdźcy znowu przeciwnie, wznoszą głowy do góry, niby goniąc wśród wyżyn niebieskich za natchnieniem, a rzeczywiście w celu odwrócenia wzroku od niezgłębionych przepaści, mogących sprowadzić zawrót głowy a z nim i nieuchronny upadek. Podróż podobna ma w sobie coś uroczystego, poważnego; jeźdźcy puściwszy wolno lejce rumakom i powierzając swe życie instynktowi zmyślnego zwierzęcia, suną długim szeregiem jeden za drugim, w najgłębszém milczeniu. Najbardziéj towarzyskiego usposobienia człowiek traci wtedy ochotę do rozmowy, do wymienienia z drugimi swych myśli; najweselszego charakteru wędrowiec staje się ponurym, posępnym, skupiającym swe wrażenia w sobie. Grożące ciągle niebezpieczeństwo życia i obawa strasznéj śmierci, zaglądającéj co chwila w oczy, jest tego powodem. Jedne osunięcie się żwiru lub kamiennego łomu, jedno fałszywe stąpnięcie konia, ot i wszystko skończone! Człowiek wraz z niosącym go na swym grzbiecie wierzchowcem staczają się w niezgłębioną przepaść; słychać tylko krzyk przeraźliwy, powtórzony przez echa gór, huk osuwających się w głębiny głazów ze spadającemi ciałami ofiar i znowu cicho dokoła... a ludzie składający karawanę, którzy bez narażenia na oczywistą zgubę, nie mogą ani na chwilę wstrzymać się w pochodzie, jadą daléj westchnąwszy tylko za duszę nieszczęśliwego towarzysza.

Przebywanie dolin naraża podróżnych na innego znowu rodzaju niebezpieczeństwa; wszystkie one bowiem poprzerzynane są mnóstwem rzek nader bystrych i głębokich. Do dostania się z jednego brzegu na drugi, służą małe łódki nie kierowane wiosłami ani téż sterem, lecz poprzywiązywane do ogonów końskich. Podobnych łódek znajduje się zwykle po kilkanaście wraz z końmi do téj usługi przeznaczonemi, w pobliżu rzek które wypada przebywać; każda zaś z nich może pomieścić w sobie najwięcéj dwóch lub trzech ludzi. Koń ciągnący wątły statek spełnia zazwyczaj swoje zadanie nader akuratnie. Zmyślność zwierzęcia połączona z jego niezwykłą siłą, sprawiają, iż przeprawa nie pociąga najczęściéj za sobą smutnego wypadku; trafia się jednak, iż zbyt silny prąd wody, uniósłszy biédne stworzenie, pogrąża je wraz z łódką i tymi, którzy się na niéj znajdują w zdradliwych nurtach wody.

Minąwszy pasmo gór Sajańskich, ujrzeliśmy przed sobą niezmierny step bujną zarosły trawą, zdający się nie miéć granic ni końca. Roślinność tu jest nader bujną: łodygi ziół sięgające wyżéj głów końskich wstrzymują pochód; koryta zaś wijących się w różnych kierunkach rzek, które wyżéj opisanym sposobem przebywać trzeba, są powodem ciągłego powtarzania się wspomnianych niebezpieczeństw. Od czasu do czasu spotkać można koczujące bandy Mongołów, otoczonych licznemi stadami koni, wielbłądów, bydła i owiec. Rysy twarzy członków tego plemienia są odrażającéj brzydoty, ubiór ich zbliżony do stroju chińskiego, składa się z długiéj opończy opatrzonéj stanem niżéj bioder, obu-

wia z zakrzywionemi do góry końcami i szerokich kapeluszy z podniesionemi skrzydłami. Głowy wszyscy mężczyzni golą bez wyjątku, zostawiając tylko na środku czaszki kosmyk włosów, stanowiący rodzaj warkocza. Kobiéty są jeszcze brudniejsze i jeszcze bardziéj odrażającéj powierzchowności. Zatrzymując się kilka razy na dobę w pobliżu ich aułów dla odpoczynku i powzięcia języka, zdziwieni byliśmy pokorą i usłużnością, jakie ci ludzie nam okazywali; znając z opisów ich niegościnność, nienawiść do Europejczyków, jako téż zakorzenioną z dawnych czasów chęć do rozboju i rabunku, nie mogliśmy z razu pojąć owych przyjaznych objawów. Przed kilkoma zaledwie miesiącami przebywająca rzeczone stepy, karawana minusińskiego kupca Wasiłkowa, napadniętą i wymordowaną została, a Wasiłkow straciwszy cały swój zapas towarów, cudem zaledwie zdołał uratować życie; z jakiéj więc przyczyny okazywali się oni teraz względem nas tyle potulnymi i dobrodusznymi? Zastanawiając się jednak nad różnemi postronnemi okolicznościami, odgadliśmy powód téj zmiany: jedynie liczna i dobrze uzbrojona eskorta, trzymała na wodzy zbójeckie skłonności tych ludzi i nadawała im pozory życzliwości, która w gruncie rzeczy była im zupełnie nieznaną. Kupiec Wasiłkow miasto wziąść dla osłony transportu oddział wojska, otoczył się uzbrojonymi krajowcami, a ci w chwili napadu opuścili go nikczemnie. Wiedząc o tém wszystkiém, okazywaliśmy się nader ostrożnymi w stosunkach z koczującemi plemionami Mongolii, nieprzyjmując grzeczności ofiarowanéj w jurtach i nieodłączając się ani na chwilę od naszych obrońców.

Wspomniałem powyżéj, iż Uranchajcy trudnią się wyłącznie pasterstwem, myśliwstwem lub téż rybołówstwem. Rolnictwo zajmuje ich mało, nie dlatego ażeby ta bogata w roślinną rodzajność ziemia nie była w stanie dać odpowiednich plonów, ale z powodu wyobrażeń jakie ów naród dawniéj wojowniczy a dziś łupiezki zachowuje o najważniejszéj gałęzi rozwoju pomyślności krajowéj. Rolnictwo mają oni za trud ubliżający godności człowieka i stawający w sprzeczności z legendami, jakie o bohatérskich czynach swych przodków wtedy, gdy Mongolia stanowiła jeszcze potężne haństwo, w swéj pamięci zachowali. Tu i owdzie widzieć można niewielkie łany zasiane jęczmieniem i prosem i to stanowi jedyny objaw ich prac agronomicznych. Żyta i pszenicy nie sieją wcale; gdy zaś jarzyny dojrzeją nie zrzynają ich nigdy sierpami ani téż kosą, ale wyrwawszy razem z korzeniem suszą na słońcu, poczém używają kopyt końskich do odłączenia ziarna od słomy. W ogóle jednak, mało używają oni roślinnych pokarmów; żywią się wyłącznie mięsem, a pokarm podobny przyczynia się zapewne do rozwinięcia ich zwierzęcych skłonności i wrodzonego okrucieństwa. Konie stepowe są niewielkie, krępe lecz szybkie w biegu i nader wytrzymałe; owce dwustrzyżne z grubą wełną, podobne zupełnie do pośledniejszych gatunków europejskich, ale bydło za to odznacza się niezmiernym wzrostem, muskularną siłą i potężnymi rogami. Olbrzymie kształty wołu mongolskiego, każą mniemać, iż rassa ta jakkol-

wiek przerodzona, pochodzi od zaginionego zupełnie gatunku wołu pierwotnego (*bos primigenius*), tém bardziéj iż szczątki tego nieistniejącego już dziś okazu, bywają od czasu do czasu wykopywane w północnych stronach Mongolii.

Po przebyciu stepów rozpostartych za pasmem gór Sajańskich, spotyka się znowu jako nieprzebytą zaporę tajgę czyli pustynię leśną. Jest to część téj saméj olbrzymich rozmiarów tajżnéj przestrzeni, która bierze początek we wschodniéj Syberyi poza Minusińskiem, a dosięga dwiema odnogami Persyi, Tybetu, a nawet podobno i Indyi Wschodnich. Całą zachodnią stronę mongolskiéj prowincyi pokrywają owe lesiste obszary, do których wnętrza żaden człowiek dostać się nie zdołał, odnoga zaś tamująca nasz pochód, stanowiła nader małą stosunkowo, bo zaledwie paręset wiorst rozmiarów wynoszącą cząstkę tych puszcz niezmiernych. Pomimo tego jednakże, należało ją okrążyć w kierunku wschodnim, cedry bowiem które tam rosną od wieków, nietknięte siekierą ani toporem, tworzą niewzruszoną ścianę, niby mur olbrzymi ręką przyrody zbudowany, z widniejącemi tu i owdzie wązkiemi szczelinami, dającemi przechód dzikim zwierzętom, jakie się w tych niedostępnych tajnikach ukrywają.

Zbaczając pomimowoli z wytkniętego kierunku, przedłużyliśmy czas trwania naszéj podróży o jakie kilka tygodni. Skutki téj przymusowéj zmiany dały nam się wkrótce we znaki: po kilku dniach zabrakło zupełnie zapasów żywności. Głód w połączeniu z trudnym do opisania skwarem, osłabił już i tak wycieńczone siły; jurt Uruchajców nigdzie w tych pustyniach spotkać niebyło można, a krzemienisty nierówny grunt tamował pochód naszych wierzchowców. Wtedyto mieliśmy sposobność podziwiać przemyślność i zręczność składających naszą eskortę kozaków: ludzie ci sprytni z natury umieją sobie dać radę w każdéj okoliczności. Wyprówszy, w chwilach odpoczynku karawany, grube nici z płócien do objuczania koni poprzednio służących, potworzyli z nich naprędce rodzaje sieci, w które łowili w napotkanych rzekach nalimy, sterlety i okonie. Złowione ryby wraz z ubitą od czasu do czasu zwierzyną stanowiły całe nasze pożywienie, ale szczupły zapas soli i zupełny brak masła sprawiły, iż pokarm ów nawpół surowy nie odznaczał się wybrednym smakiem; dla łaknących jednak był on prawdziwém dobrodziejstwem. Kiedy już mowa o nader prostych środkach rybołowczych, przytoczę jednę okoliczność, o jakiéj późniéj dopiero dowiedziałem się, a która dowodzi niezmiernéj obfitości ryb w jeziorach i rzekach Mongolii. Uranchajcy przekładając mięso końskie nad wszelkie inne pokarmy, bardzo rzadko i to tylko, gdy ich głód do tego przymusi, zajmują się połowami na swoją wyłączną potrzebę: czynią oni to więcéj w widokach handlowéj zamiany z Europejczykami, niżeli dla własnego użytku. Sposób jednak jakiego te samorodne dzieci pustyni do dokonania rzeczonéj czynności używają, zadziwia swoją prostotą. Wkładają oni na gwóźdź zakrzywiony i przytwierdzony do długiéj żerdzi, kawałek mięsa; zagłębiają ów kij

w wodę a po chwili wyciągają na brzeg olbrzymiego nalima lub sążnistego tajmenia. W kilka miesięcy potém, gdyśmy już powracali z Mongolii, probowałem kilkakrotnie tego środka, i zawsze połów szczęśliwym uwieńczony został skutkiem.

Okrążywszy tajgę, dostaliśmy się znowu w kraje górzyste, krzemieniste, najeżone mnóstwem skał śpiczastych: tu i owdzie widzieć było można ślady wygasłych przed wiekami wulkanów. Na szczęście jałowa ta przestrzeń poprzedzielaną jest pokrytemi bujną roślinnością dolinami, dającemi obfity karm koniom, i wydzielającemi z łona ziemi zdroje źródlanéj wody dla spragnionych podróżnych. W takich dolinach najwięcéj spotkać można Obon, czyli starożytnych cmentarzy przedhistorycznych, i swastików (talizmanów kamiennych); dawne te pamiątki, opisane już obszernie i szczegółowo przezemnie, są coraz liczniejsze, obfitsze i ciekawsze, w miarę posuwania się ku południowi. W wnętrzu niektórych Obon znajdowaliśmy całe uzbrojenia misternie ze stali wykute przedwiekowych mongolskich wojowników; pomimo jednak najszczerszéj chęci posiadania takowych, niepodobna było ich zabrać ze sobą, czyn bowiem podobnego przywłaszczenia, uważany przez miejscowe plemiona za świętokradztwo, mógłby nader smutne następstwa za sobą pociągnąć.

Kilkakrotnie, w czasie trwania wycieczki mojéj po Mongolii, miałem sposobność przekonać się, ile wszystkie nasze mappy były niedokładnemi. Naczelnik wyprawy posiadał w tece swojéj nader szczegółową kartę téj prowincyi i podług niéj wycieczką kierował; tymczasem nietylko odnoga tajgi tamującéj nasz pochód nie była na niéj oznaczoną, ale następnie dostawszy się w nowe pasmo gór spotkaliśmy nader obszerne, bo 3 do 4 wiorst obwodu mające, jezioro, którego nawet śladu na mapie geograficznéj nie było. Jezioro to położone pomiędzy stromymi granitami skał, prawie na dnie przepaści, a przez to samo zasłonięte ze wszystkich stron kamiennemi ścianami od panujących w tych krajach wichrów, odznacza się zupełnym i bezwarunkowym spokojem wód. Powierzchnia jego, niby gładka zwierciadlana tafla, nigdy najmniejszym powiewem wietrzyka nie zmarszczona, pozwala najdokładniéj widzieć co się w głębinach dzieje, a głębiny te rojają się nieprzeliczonemi myriadami ryb. Szczupaki i tajmenie dochodzą tam obudzającéj podziw rozmiarami swymi wielkości. Niezwykła czystość i przejrzystość wody, zasilanéj bezprzestannie podziemnemi źródłami przyczynia się do zbadania jednym rzutem oka tych tajników. Od pasterzy pasących stada kóz nad brzegami jeziora, dowiedzieliśmy się, że ono nosi nazwę Dżenataj-Kul. Tymczasem podług geograficznych wskazówek, tego nazwiska jezioro powinno znajdować się o jakie kilkaset wiorst niżéj na południe, daleko za punktem połączenia dwóch Jenisejów. Punkt ten na którym zbudowano pierwszą stałą osadę północnéj Mongolii, jest zarazem najpierwszą miejscowością, w któréj pojawia się jakiś cień władzy sprawowanéj przez Uranchajskiego Noina (patryarchę). Formalności towarzyszące przeglądaniu paszportów,

zazwyczaj bywają nader długie i nużące dla podróżnych; Noin bowiem, człowiek prosty, nieumiejący nawet dobrze czytać, nietylko długo syllabizuje przedstawione sobie dokumenta [1]), ale w dodatku, ażeby pokazać swoją czynność, obarcza każdego drobiazgowemi a częstokroć nader dziwacznemi zapytaniami, na które nieraz trudno stosowną znaleźć odpowiedź. Przymusowe zatrzymanie się w osadzie Li-fa-li, przy połączeniu dwóch Jenisejów położonéj, wynagrodzone zostaje przez wspaniały widok gór otaczających wspomnioną miejscowość. Strome ich kształty mają w sobie coś przerażającego, budzącego niezwykłe wrażenie podziwu i zachwytu. Wszystkie góry są olbrzymiéj wysokości, wysokie, spiczaste, a skały zawieszone na ich szczytach zdają się w każdéj chwili grozić oderwaniem i zarazem przytłoczeniem swym ciężarem drobnéj osadzie. Karawana nasza zostawiwszy poza sobą wspomnianą miejscowość, posunęła się daléj w kierunku południowym. Podróż z Li-fa-li do Dżyndżyliku, pierwszego miasteczka mongolskiego od granic Syberyi, jeszcze większe jak dotąd przedstawia trudności do przebycia. Jedyny środek kommunikacyjny, ścieżka zwieszona nad niezgłębioną przepaścią, jest w wielu miejscach przerwaną szerokiemi szczelinami, przez które konie są zmuszone przeskakiwać.

Trudno opisać grozę i mimowolny przestrach, jakie są udziałem najmniéj nawet wrażliwego na niebezpieczeństwa podróżnego, w czasie dokonywania tych napowietrznych skoków przez wdrożone do podobnych cwiczeń wierzchowce. Zmyślne nawet zwierzęta, pomimo nabytéj wprawy, czując że życie ich zależy od mniéj lub więcéj pewnego rzutu, gdy staną nad brzegiem owéj szczeliny, dwa lub trzy łokcie czasami szerokości mającéj, strzygą uszami i drżą na całém ciele z przestrachu. Nigdy jednak nie należy przynaglać ich użyciem ostrogi do przebycia przeszkody. Podobny postępek odejmując koniowi własną jego energię, pociągnąłby za sobą oczywistą zgubę nieostrożnego jeźdźca.

Po dwóch tygodniach podobnéj podróży, a raczéj ciągłych ekwilibrystycznych cwiczeń, góry jakie przebywać trzeba są mniéj strome; potém stopniowo ustępują miejsca porosłym cedrowym lasem pagórkom; nareszcie w rozkosznéj dolinie widnieje miasteczko Dżyndżylik.

Miasteczko to na sposób chiński zbudowane, z zakrzywionymi u góry dachami domów, z wybiegającemi wysoko śpiczastemi iglicami pagód budyjskich [2]), po raz pierwszy od chwili rozpoczęcia podróży naszéj przypomniało mi zewnętrznymi swemi kształty, iż znajdujemy się w prowincyi stanowiącéj część państwa niebieskiego; dotąd bowiem

---

[1]) Paszporty do Mongolii wydawane bywają przez nadgraniczne władze Syberyi, w języku mongolskim.

[2]) Wieżyce pagód budyjskich ozdobione są ostro zakończonemi iglicami: symbol ten ma oznaczać modlitwę wiernych, wznoszącą się w prostym kierunku do nieba, (przyp. aut.)

przebywając puste lub zrzadka zaludnione koczującemi plemionami Uranchajców obszary, nie dostrzegliśmy oprócz ubiorów niektórych Mongołów, przejmujących powoli obyczaje chińskie, żadnego łącznika wiążącego myśl naszą z wyobrażeniem, jakie utworzyliśmy sobie o krajach mandżurskich. Dżyndżylik posiada przeszło cztery tysiące mieszkańców; wszyscy oprócz osób do składu administracyi rządowéj należących, lekarza i kilku kupców, są pochodzenia mongolskiego. Władzami administracyjnemi, sądowemi i policyjnemi zawiaduje mandaryn mianowany przez rząd mandżurski; pomocnikiem zaś jego jest mongoł, ustanowiony na lat trzy przez wybory ogółu i niepobierający żadnéj stałéj pensyi. Dwie pagody budyjskie, szkoła elementarna, w któréj uczą czytać i pisać po mongolsku i plac targowy, ot i wszystko. Miasteczko niechlujne, uliczki wązkie, nieczyste, pełne brudu i śmieci, nie dają zbyt wysokiego wyobrażenia o porządku wewnętrznym téj pierwszéj nawpół chińskiéj osady, w północnych częściach mongolskiéj prowincyi położonéj. Jaskrawe farby, jakiemi pomalowane są niektóre domy, przez urzędników i kupców mandżurskich zamieszkane, wyróżniając się wybitnie na tle ogólnego opuszczenia, jeszcze więcéj rażą kontrastem.

W Dżyndżyliku miała się zakończyć nasza wycieczka, lecz ponieważ mandaryn zawiadujący tą częścią okręgu, zależny jest we wszystkich swych urzędowych czynnościach od Uliasutajskiego Chian-Tschung'a, rządzącego całym okręgiem, zmuszeni byliśmy po kilku dniach przebytych na próżnych reklamacyach i zdających się nie miéć końca tłumaczeniach, udać się daléj na południe do stolicy prowincyi, miasta Uliasutaju. Nieznający Chińczyków, przybliżonego nawet wyobrażenia powziąć nie może, jak oni, szczególniéj gdy piastują jakąkolwiekbądź władzę, są nieznośnymi we wszelkich urzędowych stosunkach. Nie objawiają nigdy wręcz swojéj myśli, nie dają najmniejszego objaśnienia; lecz starają się za pomocą jakiéjś dziwnéj a przez nich tylko praktykowanéj retoryki, zagmatwać najprostszą w świecie kwestyę. Mandaryn Dżyndżyliku zamiast wprost powiedzieć naczelnikowi naszéj wyprawy, iż to czego żądano przechodzi jego atrybucye, plątał niemającymi żadnego związku z istotą rzeczy wywodami sprawę, i dopiéro po dwóch czy trzech dniach bezpożytecznych gawęd, można było z wszystkiego co powiedział, ten wyciągnąć wniosek, iż chcąc zamierzony cel osiągnąć, należało udać się do stolicy okręgu. Grzeczność także owego mandaryna okazała się nader interesowaną. Nie chciał on na żaden sposób zezwolić, ażebyśmy stosownie do powziętego poprzednio zamiaru zakwaterowali w mieszkaniu rossyjskiego kupca Piotra Afanasiewa, lecz przymusem prawie umieścił wszystkich w swoim domu, a pomimo tego iż przysmaki jakie nam dawano zupełnie wstrętne dla podniebienia europejskiego schodziły nietknięte ze stołu, i jedyném naszém pożywieniem były szaszłyki (rodzaj pieczeni), przyrządzane przez biegłego w sztuce kucharskiéj kozaka z eskorty, chciwy mandaryn wylikwido-

wał przy odjeździe znaczne koszta, poniesione przez niego na utrzymanie karawany.

Ponieważ dalsza nasza podróż z Dżyndżyliku do Uliasutaju, nie przedstawiała nic tak dalece zajmującego, a kraj jaki przebywaliśmy stanowił stepową płaszczyznę zarosłą bujną trawą, wśród któréj napotkać było można od czasu do czasu auły koczujących Uranchajców; przystąpię odrazu do opisu wrażenia, jakie wywarł na mnie widok drugiego z rzędu, co do rozmiarów i ilości mieszkańców, miasta mongolskiego. Pierwszém z nich bowiem jest Ugri, stolica Mongolii, gdzie się koncentruje cała administracya prowincyi. Uliasutaj zaś jest naczelnym grodem okręgu, a co więcéj ma wielkie znaczenie jako główna chińska forteca w tych stronach. Smutne zaiste wyobrażenie o potędze wojennéj państwa niebieskiego daje widok owéj fortecy. Na wpół zasypane rowy, palisady utworzone z ostrokołu i wały z ziemi usypane, na których stoją ciężkie, z trudnością dające się poruszać armaty, stanowią jedyne środki jéj obrony. Jedna polowa baterya, a w ostatnim nawet razie atak na bagnety wyćwiczonego w sztuce wojennéj wojska, dałyby w krótkim przeciągu czasu radę tym słabym zaporom. Natomiast ceremonie odbywające się przy wpuszczaniu przybysza do obronnéj miejscowości, są w stanie zniecierpliwić każdego podróżnego, nieprzywykłego do drobiazgowych czynności urzędników chińskich. Formy owe nie mają innego celu, jak pokazanie barbarzyńcom (to bowiem miano nadają mandżury wszystkim bez wyjątku Europejczykom) potęgi swéj władzy. Przy jedyném wejściu do fortecy stał posterunek złożony z kilkunastu żołnierzy i jednego oficera. Pierwszy raz w życiu miałem sposobność oglądać regularne wojsko chińskie: wszyscy żołnierze, składający ów oddział, przybrani byli w różnokolorowe opończe; szerokie słomiane kapelusze, z pod których wyglądały spadające ku ziemi warkocze, chroniły ich głowy od promieni słonecznych. Uzbrojenie ich składało się z ciężkich skałkowych karabinów, i krótkich zakrzywionych pałaszy; ładownice w kształcie woreczków skórzanych wisiały na szyjach. Piersi oficera który niemi dowodził, pomimo iż tenże nader nizką zajmował rangę w hierarchii wojskowéj, pokryte były najdziwaczniejszemi orderami, powiększéj części wyrobionemi ze stali a przedstawiające głowy smoków, słonie i różne allegoryczne godła. Oficer ów objaśnił nas za pomocą tłumacza, iż wpuścić karawany do miasta nie może bez poprzedniego odwołania się do swego naczelnika; ten znów przybywszy, po długiém oczekiwaniu powtórzył mniéj więcéj to samo i odesłał pod eskortą do wyższego od siebie mandaryna, który osądził za stosowne znieść się z komendantem placu. Jedném słowem wodzono nas przez kilka godzin po różnych dekasteryach, nim nareszcie wydano pozwolenie na piśmie, ogromną opatrzone pieczęcią, pobytu w fortecy. Nauczeni nabytém w Dżyndżyliku doświadczeniem, nie przyjęliśmy ofiarowanéj przez mandarynów gościnności, lecz zakwaterowaliśmy u prawosławnego duchownego ojca Aleksego, na-

der uprzejmego starca, który podejmował podróżnych z prostą i niewyszukaną grzecznością [1]).

Ponieważ z powodu zupełnéj nieznajomości mojéj języka chińskiego, dotychczasowe czynności, jakie przy wyprawie wypełniałem okazały się niepotrzebnemi: użyłem, mając wolny czas, kilku dni pobytu naszego w Uliasutaju na obejrzenie miasta i obznajmienie się, o ile tylko ograniczone chwile przebywania tamże karawany na to pozwoliły, z obyczajami miejscowymi. Ludność tego grodu dochodziła wówczas do 20,000 dusz, tak Mongołów jak i Mandżurów; wszyscy bez wyjątku mandaryni, znaczniejsi kupcy i bogatsi obywatele są rodowitymi Chińczykami, niższéj zaś hierarchii urzędnicy, pomniejsi kramarze, wyrobnicy, pochodzą z miejscowych plemion. Język chiński używany przez pierwszych i mongolski będący mową drugich, mieszając się ze sobą tworzą istny chaos, tak że skutkiem tego zespolenia dwóch narodowości, utworzyło się tam pewne zupełnie odrębne narzecze. Znając język mongolski nie mogłem częstokroć w rozmowie z prostym ludem dojść wątku gawędy, z powodu mnóstwa mandżurskich zwrotów i wyrażeń, jakie się do ich mowy wkradły. Samo miasto, posiadające kilka pagod budyjskich, dwie świątynie dla wyznawców Konfucyusza i jeden dom do praktyk szamańskich służący, przedstawia się lepiéj aniżeli Dżyndżylik, chociaż domy są po większéj części budowane z cedrowego drzewa, a tak zwany pałac Chian-Tschung'a ma pozór ogromnych wojskowych koszar. Jedynym szczegółem ujawniającym władzę tego potentata (zależnego znowu od naczelnego mandaryna prowincyi, zamieszkałego w Ugri) jest niezliczona liczba służby, żołnierzy i drobnych urzędników, snujących się ciągle około jego rezydencyi. Mówiono mi nawet, iż ten ciągły ruch nie wypływa bynajmniéj z rozgałęzionych czynności administracyjnych, ale jest po prostu wynikiem woli Chian-Tschung'a, który pragnąc okazać tym sposobem swoję potęgę, rozkazał ażeby ile można najwięcéj osób kręciło się ciągle około jego mieszkania. Owego dygnitarza zdarzyło mi się spotkać niesionego w odkrytéj lektyce przez yetasów (niewolników). Wszyscy mieszkańcy, nawet wyższéj hierarchii mandaryni z zawieszonymi na szyi orderami, padali plackiem na ziemię, na widok tyle znakomitéj osobistości; oprócz tego, niektórzy celem okazania wielkiéj pokory i czołobitności, posypywali leżąc po bokach ulicy ogolone swe głowy piaskiem, a wszyscy bez wyjątku drżeli z przerażenia i strachu. Uliasutajski Chian-Tschung jest niezmiernie otyły, rysów twarzy grubych i pospolitych, wzrok

[1]) Ojciec Aleksy w pół roku potém zginął okrutną śmiercią, po wzięciu fortecy Uliasutaju przez wojska Tajpingów. Cała mandżurska załoga i trzecia część ludności w czasie szturmu wymordowaną została. Tajpingi zdobywszy miasto, nałożyli haracz na mieszkańców i uprowadzili dobytek i inwentarze. Gdy opuścili Mongolią, została po nich ruina i pożoga. Szczegóły téj katastrofy opisane potém w dziennikach rossyjskich, przynieśli uciekający przed nią do Syberyi, kupcy rossyjscy, zamieszkali przedtém w Uliasutaju. (przyp. aut.)

ma przygasły, głowę kiwającą się od nadmiernego używania opiatycznych substancyi.

Obrzydliwy ów nałóg, którego waleczne dawniéj pokolenia mongolskie nie znały wcale, napłynął powoli z Mandżuryi od czasu podbicia haństwa przez Chińczyków. Wyznać jednak należy, iż tylko wyższe klassy mieszkańców Uliasutajskich, mandżurskiego pochodzenia, poddają się tyle szkodliwéj dla zdrowia namiętności. Prosty lud bowiem poprzestaje dotąd na przykrym w smaku, lecz również odurzającym zmysły arianie, czyli rodzaju wódki z kobylego mleka wyrabianéj.

Będąc wraz z innemi osobami, do otoczenia księcia A. należącemi, zaproszonym do kilku znaczniejszych domów, miałem sposobność rozpatrzyć się bliżéj w obyczajach i sposobie życia mieszkańców Uliasutaju. Wszędzie w sposobie przyjęcia widnieje zbytek połączony z najzupełniejszym brakiem komfortu europejskiego. Nie mówię już o kosztownych i wyszukanych potrawach, które dla każdego z nas stawały się wstrętnemi, ale o niedostatku tego wszystkiego co jest zwykle w Europie uważaném za niezbędnie potrzebne w codziennem życiu. I tak np. do stołu nie podają ani nożów ani też widelców, ale kawałki mięsa rozrywać należy palcami, a co najwięcéj, pożywać je, włożywszy poprzednio na rodzaj drewnianych patyczków. Gospodarz pragnąc uczcić gościa, wybiera sam z półmiska najwybredniejszy kąsek, i ująwszy takowy w palce, pakuje do ust konsumenta. Zadaniem licznéj służby, krążącéj bezprzestannie około stołów, jest oprócz ciągłego poruszania powietrza olbrzymiemi wachlarzami, bezprzestanne zachęcanie gości do jedzenia: każdy z zaproszonych ma za sobą podobnego egzekutora, który natrętnie przymusza biesiadników do wypełnienia przyjętych na siebie obowiązków, to jest do spożycia jak największéj ilości pokarmów. Co chwila zdaje się, iż ów nieubłagany reprezentant chińskiéj gościnności schwyci za gardło, i na wzór pana domu, pocznie własnemi rękami kłaść do ust znajdujące się na półmiskach jadło; szczęściem jednak kończy się wszystko na powtarzającym się bezustanku wykrzykniku: tschi! tschi! tschi! (jédz! jédz! jédz!). Ponieważ zaś każdy z usługujących (a ich liczba odpowiada ilości zaproszonych osób) wykrzykuje, bez przerwy donośnym głosem, wspomniony wyraz, ztąd powstaje trudny do opisania wrzask i hałas, trwający od samego początku aż do końca uczty. Gwar ów zastępuje rozmowę, która nigdy w czasie przyjmowania posiłku pomiędzy zaproszonemi a gospodarzem nie ma miejsca. Kobiety, zwłaszcza młodsze wiekiem, nie są przypuszczane do grona biesiadników. Mają one oddzielne pomieszkanie, odrębną niewieścią służbę, osobną zupełnie a regulaminem zasad Konfucyusza uprawnioną normę życia. Stosowanie się do przepisów nieśmiertelnego prawodawcy i filozofa, bywa częstokroć tak drobiazgowém, tak literalnie pojmowaném, iż wyradza pewne zwyczaje nierozumiałe z razu dla nieprzyzwyczajonego do podobnych objawów Europejczyka. W jednym z rozdziałów księgi Li, przez Konfucyusza napisanéj, a stanowiącéj przepisy dla zachowania się płci żeńskiéj, powiedzianém jest po-

między innemi, że „drzwi pokoju sypialnego młodéj dziewicy, powinny być ukryte przed okiem mężczyzny.“ Otóż Chińczycy biorąc tę przenośnią w czysto zmysłowém znaczeniu, maskują w budowie domów wchód do komnat swych córek tak dokładnie, iż najwprawniejszy wzrok nie jest nigdy w stanie rozróżnić ukrytego pomiędzy sztukateryami i makatami wejścia do mieszkania dziewic. Wyjąwszy jednak chwil na przyjęcie posiłku przeznaczonych, kobiety chińskie mogą znajdować się w towarzystwie mężczyzn, choćby ci byli nawet cudzoziemcami; o ile przecież z ogólnych oznak osądzić mogłem, wykształcenie ich na niższym daleko stoi stopniu, niżeli wykształcenie męzkiéj ludności kraju. Mowią mało, nie dla braku śmiałości, lecz z powodu niemożności utrzymania rozmowy o jakimkolwiekbądź przedmiocie, a na zadane zapytania odpowiadają najczęściej bezmyślnym śmiechem, stanowiącym u nich stereotypowy środek omijania szkopułów z prowadzenia towarzyskiéj pogawędki wyniknąć mogących. Chód ich jest ciężki, niezgrabny; nadzwyczajnie zaś ciasne i niewygodne ubranie, za pomocą którego miejscowa moda kaleczy od niemowlęcych lat życia drobne ich nóżki, sprawia iż przy każdém stąpnięciu maluje się na twarzach mieszkanek państwa niebieskiego wyraz cierpienia i boleści; przymusowa znowu stagnacya i brak ruchu, czynią je nadzwyczajnie skłonnemi do przedwczesnéj otyłości.

Umeblowanie salonów chińskich podobném jest do zwykłych upiększeń domów europejskich. Niczego tam nie brak: ani wygodnych kanap na sprężynach, ani różnokolorowych o jaskrawych barwach obić, ani ogromnych zwierciadeł, ani wreszcie portyer aksamitnych lub adamaszkowych Zbytkowym szczegółem jednak, w którym najwięcéj lubują się mieszkańcy państwa niebieskiego są malowidła rozwieszone po ścianach. Obrazy te najczęściéj na blasze, porcelanie lub drzewie malowane, przedstawiają najróżnorodniejszy zbiór papug, kiosków, postaci ludzkich, mandarynów z parasolami i pagod, a wszystko to uszeregowane jest na jednym planie tak, że przedmioty najbardziéj oddalone i najbliższe, jednakowe zupełnie posiadają rozmiary. Gdym pewnego razu zwrócił uwagę jednego z kupców chińskich na ten brak perspektywy w malowidłach, on przejęty miejscowemi wyobrażeniami nie mógł mnie zrozumieć.

— Czyliż podobna, mówił, ażeby ludzie którzy są mniéj więcéj zbliżeni do siebie wzrostem, okazywali się raz małymi, drugi raz znowu wielkimi, stosownie do tego, w jakiém oddaleniu od siebie stoją?

— Ależ oni równi są co do wysokości; odległość tylko sprawia, iż się wydają być mniejszymi. Spojrzyjcie na tego człowieka, który tam idzie daleko, rzekłem wskazując przez okno, jakże on wydaje się być malutkim w odległości?

— To też właśnie w tém rzecz, iż się tylko wydaje być małym, a rzeczywiście jest naszego wzrostu. Malarz nie powinien przedstawiać tego co się wydaje, ale to co jest; inaczéj byłby kłamcą, a kłamstwo poniża sztukę.

I pomimo najszczerszéj chęci, nie mogłem w żaden sposób przekonać go o prawach perspektywy.

Niektóre z obrazów malowane bywają na tkaninie z ryżowéj słomy i nie są oprawne lecz zwinięte na dwóch drewnianych wałkach, które oglądający kręci od góry do dołu, mając tym sposobem przed oczami cały szereg illustrowanych postaci, będących ze sobą w pewnym związku, i stanowiących wyraźnie jakąś epopeję z chińskiego życia wyjętą.

O cywilizacyi i przemyśle państwa niebieskiego, wychowaniu publicznem, medycynie, doskonałości fabryk porcelany, hodowli jedwabników, irrygacyi łąk, uprawie herbaty, budownictwie i rolnictwie, pisałem już przed pięcioma laty obszernie (zobacz Tyg. Illustrowany z r. 1870 Nr. 128, 149 i 155); lecz ponieważ przytoczone szczegóły dotyczą wyłącznie właściwéj ojczyzny Mandżurów, a celem niniejszego artykułu jest naszkicowanie chociaż pobieżne saméj Mongolii, pominę takowe milczeniem, przechodząc do rzeczy najmniéj może znanéj, a które dla oryentalistów mogłoby stać się niewyczerpaném źródłem do zbadania historycznéj przeszłości tych krajów, służącém.

Chcę mówić o literaturze mongolskiéj. Czyliż podobna, powie może nie jeden z moich czytelników, ażeby kraina ta nawpół dzika, zaludniona po większéj części plemionami koczującemi, mogła posiadać własną literaturę? Tak jest jednakże. Że w środkowych prowincyach państwa niebieskiego, stanowiących właściwe Chiny, kwitnie peryodyczne i książkowe piśmiennictwo, wszystkim wiadomo. W samym Pekinie oprócz dzieł różnéj treści i zakroju, wychodzi kilkadziesiąt dzienników sprawom bieżącym poświęconych; druga także stolica państwa Nankin, również jak i znaczniejsze prowincyonalne miasta cieszą się znacznym rozwojem literackim. Ale tam są szkoły, zakłady naukowe; wykład San-ghu (ogólnéj wiedzy) pomimo swéj wadliwości przyczyniając się nie mało do rozpowszechnienia wszelkiego rodzaju umiejętności, podtrzymuje zamiłowanie nauk; obeznanie się zaś z zasadami Konfucyusza wyradza pewne filozoficzne pojęcia. Tymczasem Mongolia tego wszystkiego nie posiada. W stolicy jéj Ugri i w drugorzędném mieście Uliasutaju znajdują się wprawdzie dwie wyższe szkoły, ale w nich wszystkie przedmioty wykładane bywają w języku mandżurskim. Mongolska mowa pozostawszy narzeczem prostego ludu, zeszpecona napływem chińskich zwrotów i wyrażeń, ma nader szczupłe szranki nie tylko do stopniowego wyrobienia się, ale nawet do zachowania pierwotnéj swéj czystości. Oprócz tego rzeczony język jest ubogim, określenia szczególniéj tyczące się wrażeń umysłowych przedstawiają niezliczone trudności do zwalczenia, brak właściwych denominacyi tamuje wybitność i zrozumiałość myśli, a jednak pomimo tych wszystkich przeszkód, w Mongolii znaleźć można powieściopisarzy a nawet poetów! Że nikt dotąd o literaturze Uranchajców nie wspominał, dziwić się nie można. Najprzód, jak już wyżéj powiedziałem, prowincya ta jest zakątkiem ziemi najmniéj może znanym na kuli

ziemskiéj; powtóre, brak zupełny drukarni mongolskich sprawia, iż nieliczne utwory tamtejszych autorów znane są zaledwie szczupłéj garstce przyjaciół piszącego; nakoniec, i to rzecz najważniejsza: mandżurskie władze bardzo niechętnie patrzą na podobne objawy, i przez to samo zmuszają poświęcających się zawodowi literackiemu ludzi, do starannego ukrywania swych prac.

Szczęśliwym zbiegiem okoliczności jestem jednym, być nawet może jedynym z mieszkańców staréj naszéj Europy, którzy mieli sposobność nie tylko poznać utwory poetów uranchajskich, ale nawet odpisać i przetłumaczyć niektóre z nich. Rzecz tak się miała. W czasie dwutygodniowego blizko pobytu naszego w Uliasutaju, pozyskawszy zaufanie niektórych mieszkańców, dowiedziałem się od nich o istnieniu tych nader ciekawych dokumentów. Mając raz o tém wiadomość użyłem wszelkich możliwych środków do zbliżenia się z czczonym i szanowanym powszechnie wierszopisarzem mongolskim Dżen-lully, starcem siedemdziesiąt blizko lat wieku liczącym. Dżen-lully, kupiec z profesyi, pomimo swéj starości cieszy się jeszcze czerstwém zdrowiem i rzadką przytomnością umysłu. Pamięć posiada on wyborną i przez to samo przechowywając w swéj głowie, niby w księgozbiorach i archiwach, zasłyszane przed laty podania i legendy, mające związek z starożytną historyą hańshwa, osnuwa na nich poetyczne swoje utwory. Wszystkie one bez wyjątku nacechowane są tęsknotą za ubiegłymi czasy. Starzec, potępiając zniewieściałość dzisiejszych pokoleń, stawia przed oczy współczesnych, niby widma przeszłości, olbrzymie kolosy dawnych wojowników, pomiędzy którymi pierwsze miejsce zajmuje pokryta mrokiem ubiegłych stuleci, lecz potężna nieprzekwitłą nigdy sławą postać Dżingishana. Poezye te jednak mają ujemną stronę: w żadnéj z nich dostrzedz nie można odblasku trój-promienia cnót chrześcijańskich, nadziei. Dżen-lully budaista, biadając nad teraźniejszością nie jest zdolnym umocnić ducha zniechęconych przez wskazanie im owéj jasnéj drogi, na kresach któréj widnieje przyszłe odrodzenie się materyi; gdyż przed zamglonym jego wzrokiem staje zawsze ostateczny wynik nauki mędrca Szakya-Muni t. j. Nirwana. Szczęście, miłość, duchowe rozkosze są mu nieznane: bogi nawet, to istoty negatywne niezdolne w niczém pomódz człowiekowi: wszystko co go otacza jest bólem i zwątpieniem. W samym zarodku życia wyrasta przesyt i zniechęcenie, w przyszłości zabitą jest nazawsze ożywcza nadzieja: koniec stanowi zwycięztwo, a śmierć sama objawia się umierającemu jako anioł oswobodziciel. prowadzący go do zagłady i nicości. Pomimo jednakże tych usterków, wypływających z zasad wiary pieśniarza, pomimo nawet ciągłego łamania się z przeszkodami, jakie ograniczone środki mongolskiéj pisowni na każdym niemal kroku piszącym stawiają, utwory mongolskiego barda odznaczają się potęgą myśli, barwnością słowa i nieograniczoném uczuciem przywiązania do strupieszałych już i rozpadających się w gruzy pamiątek przeszłości. Są one pisane na dłu-

gich zwitkach papieru tuszem chińskim, a następnie zwijane na okrągłe wałki bambusowe: żadnego z nich farba drukarska nie tknęła.

Zaufanie, jakie we mnie od piérwszéj chwili poznania położył stepowy poeta, pozwoliło mi obeznać się ze wszystkiemi jego dziełami; pomimo jednak znajomości narzecza mongolskiego nie byłem w możności z powodu niesłychanych trudności, jakie przedstawia ta uboga mowa przełożyć wybitniejszych prac Dżen lully. Kilkadziesiąt zaledwie wierszy zachęcającéj do czytania księgi o Bogdo-Gesser-Hanie, udało mi się przetłumaczyć niemal dosłownie na język polski; ten więc krótki wyjątek, odpowiedniemi opatrzony objaśnieniami, jako dopełnienie niniejszego artykułu, czytelnikom moim podaję. Jest on następujący:

Księga o Bogdo-Gesser-Hanie.

Księgę o Bogdo-Gesser [1]) pisali magowie,
Na kartach owéj księgi przeszłość nasza leży:
Dziś wszystko co minęło ań patryarchowie,
W żywém słowie stawiają przed oczy młodzieży.
Księga w prochu spoczywa, a starców przestrogi,
Są jakoby szum wiatru co huczy po kniei;
Rozumieją go łowcc i myśliwskie bogi:
Dla tłumów to czcze echa zwodniczych nadziei.
Zniknęły czasy, w których dzielny Uruchaniec [2])
Miasto siecią się bawić, rzek badać głębiny,
Sięgał okiem sokolém na step naszych kraniec,
Gdzie się roją Mandżuryi zniewieściałe syny;
Ród papuzi [3]) drżał przed nim, wiedział że za górą
Tajkas, żyją olbrzymy niezwalczone w boju;
Wiedział że ich ramiona skryte wilczą skórą,
Zdołają ciężar wojny podźwignąć bez znoju;
Wiedział, że z ich sajdaki nie zrosły się strzały,
Że cięciwy u łuków wiecznie naprężone;
Że tengri [4]) wśród jurt ojców, z nimi zamieszkały,
Daje im w czci rodzinnéj potężną osłonę.

---

[1]) Księga mongolska o Bogdo-Gesser-Hanie, znana powszechnie przez oryentalistów niemieckich wydaną została w Petersburgu w roku 1836 przez professora Szmidta.

[2]) Uruchańcy, plemię mongolskie zamieszkujące na północy Chin. Nazwą tą jednakże mianowani bywają wszyscy protoplaści Mongołów.

[3]) Papugami nazywają przez pogardę ludy mongolskie Mandżurów (Chińczyków), z powodu ich jaskrawych ubiorów.

[4]) Tengri, duch przodka, opiekujący się potomkami swoimi. Wiara w ciągłą obecność Tengri, jakkolwiek czerpiąca swe źródło w szamanizmie, zachowuje się dotąd pomiędzy niektórymi wyznawcami budyjskiéj wiary, szczególniéj gdy ci jak Mongoły, należą do koczowniczych a zatem mniéj cywilizowanych plemion.

Nie było wtedy Ulii [1]) na stepie dziewiczym,
Od czarnego Turanu [2]) po Sajańców lody [3])
Słynęła nasza horda duchem wojowniczym;
Sam Budda ją nad wszystkie ukochał narody,
Na głos lamy [4]) w pagodach nikt nie został głuchym;
Z Obon [5]) szła nam nauka, z walk bogactw nadzieje,
A koło modlitw ciągłym poruszane ruchem,
Nie rdzewiało w swych osiach, tak jak dziś rdzewieje [6]).
Ród olbrzymów złowionych zwierząt mięso jadał;
Nie była strawą ryba lub roślin korzonki,
Dla groźnych, z których każdy dźwięk trąby przekładał
Nad piszczałkę Surgana [7]) lub nad Zigów dzwonki [8]).
Bajarze [9]) dzisiaj zmilkli, zgasło żywe słowo

---

[1]) Ulia, skrócenie Uliasutaju, fortecy przez Chińczyków przed dwoma wiekami zbudowanéj, a stanowiącéj dziś główny gród mongolski, wśród którego rezyduje mandaryn zarządzający prowincyą.

[2]) Turan, sławne państwo Scytyjskie, o którym mówi historyk Justyn: „*non minus praeclara initia, quam imperium habuit.*“ Znajdowało się wprawdzie nad morzem Czarnem, lecz wszystkie ludy zamieszkujące północno-zachodnie części Azyi, a zatem i koczujące plemiona Kiryisów o których tu mowa, były zwane tém ogólném mianem przez mongolskich i mandżurskich pisarzy.

[3]) Sajancy, nieliczne plemię zamieszkujące góry Sajańskie na granicach Mongolii i Syberyi. Część tych plemion zostaje obecnie pod panowaniem Rossyi.

[4]) Lama, duchowny budyjski.

[5]) Obona, starożytny grób szamański. Podobnych Obon mnóstwo rozsianych jest po Syberyi, Mongolii i północnych prowincyach państwa niebieskiego. Obony są różnéj wielkości, zawsze w kształcie równoległoboków. Wewnątrz ich znajduje się pieczara, w któréj spoczywają kości zmarłych; obok tychże złożone narzędzia wojenne i myśliwskie, jako też ozdoby niewieście, jakich zmarli za życia swego używali. Na powierzchni ziemi usypaną mogiłę otaczają ustawione dokoła spiczaste kamienie.

[6]) Jestto maszyna służąca do modlitwy wyznawcom Budaizmu. Kształtem podobna do katarynki, ma wewnątrz chwytacze, które za poruszeniem korby, podrzucają do góry karteczki z wypisanym wyrazem: „*Om*“ czyli westchnienie do Boga. Każdy budaista posiada w swojej jurcie lub domu podobną maszynę, któréj mechaniczne kręcenie uważa za odbycie pacierzy. Pobożni stawiają nad drogami publicznemi dla użytku wiernych owe skrzynki.

[7]) Surgan, muzykant stepowy.

[8]) Zig, trefniś żywiony kosztem auły, ubrany dziwacznie, w czapce opatrzonéj dzwoneczkami; obowiązkiem jego jest rozweselać wszystkich swoimi konceptami. Osobistość ta bywa zawsze dobrze karmioną i stosownie odziewaną, lecz moralnie obudza ona u wszystkich członków auły ogólną pogardę.

[9]) Po mongolsku „Tscheng-ata.“ Wyrazu tego niepodobna w żadnym razie jedném nazwaniem przetłumaczyć. Tscheng-ata jestto człowiek, który, znajdując się w pierwszym peryodzie używania opium, wpada w ekstazę

Opowiadań jurtowych wśród wieczornéj ciszy.
Patryarcha rodziny jest w aule głową,
Po za aułą już głosu jego nikt nie słyszy.
Nie wyszukasz w Nirwany cieniach nieprzebytych [1])
W zwłok spalonych popiele, ani w Obon pleśni,
Téj myśli co do czynów wiodła znamienitych:
Ona jest, ale martwą wzgardzili rowieśni!
Jeśli jednak chcesz zlać się z duchem czcią brzemiennym
Twoich ojców i poznać blask dawnéj potęgi,
To wzgardziwszy w swych jurtach jadem Hatchi [2]) sennym,
O Bogdo-Gesser-Hanie czytaj święte księgi.

Z SIEDMIOLETNIÉJ WOJNY.

OPOWIADANIE HISTORYCZNE.

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

Tom drugi.

I.

Piękny i ciepły jeszcze był dzień dziewiątego września 1756 roku, ale w świetném i ożywioném zwykle Dreznie, panowała cisza jakaś dziwna i złowroga. Trudno było rozpoznać

---

nie milczącą jak to zwykle miewa miejsce, ale czyniącą go wyjątkowo rodzajem improwizatora. Tschung-ata, będąc w podobnym stanie, chodzi od jurty do jurty i opowiada historyę przeszłości. Dzieje są utworem podnieconéj narkotykiem wyobraźni; słuchacze zaś wierzą święcie jego słowom. Wyraz: bajarz, który w braku odpowiedniéj nazwy w tłumaczeniu położyłem, nie określa dokładnie téj osobistości.

[1]) Nirwana, nicość, wieczne zapomnienie. Podług wyobrażeń wyznawców budaizmu, życie jest ciągłém cierpieniem; najwyższą zatem nagrodą za cnotliwe czyny człowieka staje się po jego śmierci nirwana, czyli zupełna zagłada jestestwa.

[2]) Hatchi, opiatyczna substancya, najwięcéj używana przy paleniu fajek.

co ją spowodowało, choć na piérwszy rzut oka widać było, iż się działo lub przyjść miało coś nadzwyczajnego. Mało było ludzi w ulicach, zato pilnie wpatrując się, dostrzedz mogło ciekawe oko: na wieżach kościoła Św. Krzyża i P. Maryi, na świeżo dokończonéj katolickiéj nadwornéj kaplicy, ludzi, którzy kryjąc się, przez okna i z za gzymsów spoglądali ciekawie na okolicę.

Pałac Brühlowski stał zamknięty, a ciżba która się zwykle około niego kręciła, znikła była zupełnie; od ogrodu i arsenału tyłami wywożono paki, które wozami szły na Pirnajskie Przedmieście. W oknach pozamykane były okiennice i zapuszczone zasłony. Na zamku stała jeszcze na straży gwardya królewska, zajmująca główny odwach i inne zwykłe swe stanowiska; ale na ponurych twarzach żołnierzy malowało się jakieś niezrozumiałe uczucie i obawa. Najmniejszy hałas wywoływał z okien głowy ciekawe.

Drzwi kościoła katolickiego przy zamku, téj wspaniałéj, świeżo dokończonéj budowy, na któréj szczytach stali na straży Święci Pańscy, były otwarte..... Z uroczystą powagą na chórze organy się odzywały modlitwą tęskną, powolną, pełną głębokiego uczucia; tęsknić się zdającą ku niebiosom i temu pokojowi, którego świat dać nie może.

Śpiew towarzyszył organom, a przed wielkim ołtarzem, w którym królowało arcydzieło Rafaela Mengsa, stał kapłan sprawujący świętą ofiarę. Loża w prawo była otwartą, firanki jéj rozsunięte; w oknie jéj zakwefiona klęczała królowa Józefina, za nią młodsze jéj dzieci, rodzina i dwór. Z głową spuszczoną zdawała się płakać modląc, niekiedy załamane ręce nad głowę podnosiła ku niebu, a po chwili opadały bezsilne na bogato oprawną księgę.

Organ grał ciągle pieśń swą błagalną i uroczystą.

W ogromnym kościele mała zaledwie kupka osób nabożeństwu była przytomną, tuląc się przy filarach. Niektórzy klęczęli zatopieni w modlitwie, inni stali pogrążeni w myślach. Przez okna, aż ku środkowi kościoła, wpadał szeroki pas światła, jak gdyby słońce chciało promieniem lepszéj nadziei pocieszyć strapionych.

Wtém, wśród przestanku gdy organ umilkł na chwilę, wśród ciszy dobiegł aż tu z ulicy szmer głuchy i daleki okrzyk. Do barona Spörken, który stał w drugiéj loży dworskiéj, przysunął się zdyszany paź królewski.

— Prusacy idą! Prusacy wchodzą! Prusacy.....

I uszedł żywo.

Królowa drgnęła, jak gdyby przeczuła tę chwilę i to słowo. Właśnie kapłan od ołtarza odwrócony, ukończywszy ofiarę, z twarzą ku loży, krzyżem świętym dawał błogosławieństwo: Józefina podniosła się. Pomimo niemiłych i ostrych rysów nie pięknéj twarzy, w postawie iéj i ruchu znać było córkę cezarów. Powolnie, przyklęknąwszy raz jeszcze, posunęła się na korytarz.

Tu ją napotkał baron Spörken.

Spojrzała nań pytająco: schylił głowę milczący.

O krok daléj stał Pater Guarini w sukni swéj duchownéj, z rękami założonemi na piersiach; głowę miał spuszczoną, twarz smutną ale spokojną.

Królowa z dziećmi nie odezwawszy się słowem do nikogo, pytać nie chciała aby się niedowiedzieć zbyt wcześnie—poszła korytarzami i gankami do zamku. Za nią pociągnął dwór w posępném milczeniu. Już tu zalatywały głosy z ulicy, bo ulice przed chwilą puste wypełniały się ludem, a protestancka ludność miasta witała Prusaków, jako współwyznawców. Przypominano sobie, że w czasie piérwszego zajęcia Drezna, Fryderyk uczęszczał czasem do protestanckich zborów, a nie pamiętano lub niewiedziano tego, że je zarówno jak katolickie kościoły wyszydzał i ośmiewał.

Lud zresztą, każdéj zmianie przyklaskuje łatwo, bo nie ma lekkomyślniejszego nic nad zbiorowisko a tłum, który słowu i wrażeniu, jak morze wiatrom rozkołysać się daje.

Po tylu widowiskach w operze, do któréj ulica przystępu nie miała, po *Re pastore* i *Eciuszu* granych dla dworu, nadchodził dzień widowiska dla ludu. I napawała się ciżba upokorzeniem od Boga zesłaném tym, przed któremi wczoraj zmuszoną była padać na twarze. Pięćset osób występowało dla króla w operze, tu kilkadziesiąt tysięcy Prusaków, grało dla ludu dramat krwawy.

Wołano zewsząd: Prusacy! idą Prusacy! ale wojsk tych widać jeszcze nie było; postrzeżono je z wież ciągnące ku miastu bezbronnemu, którego załoga z resztą wojsk wyciągnęła do obozu pod Pirną. Bronić się nie było komu i nie przydałoby się na nic. Fryderyk nie wypowiedział wojny, zajmował Saxonię, szydersko prawiąc o własném i jéj bezpieczeństwie. Napróżno po dwakroć pisał król do niego, odpowiadał mu że jest i będzie jego najlepszym przyjacielem, a tymczasem wojska pruskie szły coraz daléj, zalewały kraj, zabierały kassy, wymagały prowiantów, chwytały ludzi i postępowały sobie jak w zawojowaném państwie.

Fryderyk cynicznie szydził z Augusta III-go, dla którego oświadczał się z uszanowaniem; o Brühlu nie mówił wcale, nie mógł wyrzec jego nazwiska; nazywał go: ten.... Konia tylko na którym jeździł, Brühlem nazywał. Był to najgorszy ze wszystkich. Wojska saskie wedle planu zakreślonego, usiłując się połączyć z austryackiemi, wszystkie wyciągnęły do obozu pod Pirną. Dnia trzeciego września, Brühl *chwilowo*, jak mówił, dla rozrywki obejrzenia wojsk, skłonił króla i królewicza starszego aby wyjechali do obozu. Augustowi III-mu towarzyszyło w téj przejażdżce pięćdziesiąt koni, piérwszy minister, który wiedział pewnie, że nierychło powróci do Drezna, miał ich z sobą sto dwadzieścia.

Król najmocniéj był przekonanym dotąd, iż Fryderyk może go odwiedzić w jego stolicy, ale się jéj zająć nie odważy. Przeciwko Brühlowi nawet utrzymywał z uśmiechem, że Frytz nie jest znowu tak zły człowiek, tylko na nieszczęście niedowiarek trochę i bezbożnik.

Ostatniego dnia jeszcze poseł angielski Stormont, ofiarował Brühlowi pokój od króla pruskiego, pod warunkiem aby Saxonia rozpuściła wojska swe i ogłosiła się neutralną. Ale Brühl podrażniony i związany już słowem z Austryą i Francyą, od których pobierał pensyą za swe usługi, pewien iż plany mocarstw przeciwko Prusom, spełnić się muszą, odrzucił. Rutowski dowodził obozem pod Pirną, generał Wied obozował pod Nollendorf, a przednie jego czaty dochodziły wedle planu do Peterswalde.

Tym samym gościńcem wspaniałym, który Brühl zbudował do granicy czeskiéj, na urągowisko i groźbę napisawszy na słupach, że to był *Gościniec wojskowy* (Heerstrasse) i on i pułki saskie wyciągnęły na swe leże.....

W ulicach coraz większe roiły się tłumy, wszystko co wczoraj jeszcze kryło się lękając prześladowania, wybiegało teraz pewne nietylko bezkarności, ale opieki. Żywioły te krajowe, co się tulą po kątach nieśmiejąc na dzienne światło pokazać, rachując na łatwe zdobycze w mętnéj wodzie, na zemstę niepoczciwą, na grabież zdradziecką, na posługę ohydną, wybiegły wszystkie jak męty w potrząśniętém naczyniu. I widać było ludzi i twarze, jakie rzadko świat razem zebrane ogląda; wszystkie wyrzutki społeczne, chciwe swojego dnia, a raczéj swéj chwili zwycięztwa krótkotrwałego. Przelęknąć się było można tych oczu krwawych, tych ust spalonych, tych łachmanów brudnych, tych rąk grabieżliwych i drżących... które się już wyciągały po łupy...

— Idą, idą!—rozchodził się szmer w tłumie.

A każdy nicpoń, który długie lata chował złość w sercu, żywił zemstę, uśmiechał się tym Prusakom, któremi się miał posłużyć.

— Idą, idą!—gorączkowo, urywano powtarzała ciżba: —idą! idą!!

Zdala głuchy grzmot jazdy i brzęk broni dochodził, ale nic widać nie było.

Na zamku dwór i królowa trwali na modlitwie przed obrazem; zapalone świece.... na klęczkach wszyscy... cisza... z ulicy czasem jakby wybuch stugębnego stłumionego krzyku słychać było:—idą, idą!

Z pałacu na Taschenbergu, jeden z katolickich kapelanów dworu, przesuwał się mimo protestanckiego kościoła Św. Zofii na zamek. W progu zboru stało duchowieństwo protestanckie. Pastor z szyderskim uśmiechem, podjął biret z głowy i kłaniając się zawołał:

— Adieu! bywajcie zdrowi! panowanie wasze skończone!!

Mnóstwo scen podobnych odegrywało się wszędzie; to téż duchowieństwo katolickie w tym dniu zamknęło się na zamku prawie całe, a ci co mieli nieprzyjaciół i lękali się zemsty, szukali przytułku...

Ze dworu Brühla, z tych kilkuset osób co go otaczały, jedni z nim pociągnęli do Pirny, drudzy się rozpierzchnęli przed burzą: garść niemych i przybitych na straży pałacu została.

Do ostatniéj godziny nie chciał minister wierzyć zajęciu Drezna; przykład Karola XII ubezpieczał go nareszcie w obec głośnych odgróżek Fryderyka: trzeba się było poddać oczywistości. Zapóźno uczynił to minister i ze swych skarbów mało co już mógł ocalić. Wszystko prawie rzucał na pastwę mściwemu nieprzyjacielowi.

Król ze starszym synem wyjechał, królowa oświadczyła że zostanie, że się nie ruszy krokiem, że zniesie wszystko co jéj losy gotują, ale nie ustąpi. Mówiąc o Fryderyku zapalała się, oczy jéj płonęły, ręce drżały, miotała się i modlitwa nawet ukołysać wzruszenia jéj nie mogła.

Oczekiwanie straszniejsze nad wszystko, nużące trwało długo.

Prusacy otaczający już Drezno ciągnęli powoli, jakby te męczarnie oczekiwania przedłużyć chcieli.

Naostatek w ulicach rozległy się krzyki i tentent, a na zamku królowa podniosła się z przed obrazu, przeżegnała i stanęła jak skamieniała, bezmowna, blada.

Przybliżył się O. Guarini.

— Najjaśniejsza pani—rzekł—módlmy się do Ducha Św. aby nas natchnął męztwem i stałością. Są to dary Jego. Dni próby długo trwać nie mogą....

Baron von Spörken wszedł do sali blady.

Królowa nań spojrzała.

— Mów— rzekła.

— Dwanaście batalionów piechoty i trzy szwadrony jazdy zajmują miasto—rzekł stłumionym głosem.—W téj chwili piérwsze posterunki gwardyi rozbrajają. Opór był niepodobieństwem.

— Niech się stanie wola Boża.

— Szwajcarami obsadzają zamek. ..

Królowa nie odpowiedziała nic.

— A Fryderyk?—zapytała po chwili.

— Nie ma go, przybędzie jutro; wolał na spełnione przyjechać wstydząc się tego co czyni.

W téj chwili popłoch z ulicy przenosić się zaczął do zamku.

Obszerne dziedzińce jego wypełniły się tymi, którzy pod skrzydłem królowéj szukali opieki. Na tym podwórcu jak salon flizami kamiennemi wykładanym, gdzie się niegdyś odbywały świetne karuzele i maskarady za Augusta Mocnego, kędy się paliły ognie brylantowe i brzmiały muzyki; ciżba przestraszona, ludzie z węzełkami mienia o którego się całość obawiali, cisnęli się teraz, szukając w cieniu, w załomach niedojrzanego schronienia.

Królowa wyglądała oknem i łzy płynęły jéj po twarzy, choć rysy zdawały się nie poruszone, i jakby od bólu stężałe.

Co chwila ktoś wpadł z wieścią.....

— Zajmują magazyny wojskowe—wołał jeden....

— Wypróżniają arsenał... rozbierają broń....

— Zabierają kassy....

— Pięczętują dykasterya i archiwa.

Królowa zwróciła się żywo.

Archiwum sekretne, archiwum o którego pochwycenie chodziło najwięcéj Fryderykowi, aby nim wojnę usprawiedliwić, znajdowało się na zamku, klucz jego miała królowa.

Baron Spörken wszedł, zabawił chwilę i stanął nieśmiejąc się odezwać.

— Archiwum?—zapytała królowa.

— Pieczętują je—rzekł generał.

W piérwszéj chwili rzuciła się królowa, jakby chciała biedz na obronę jego, ale się powstrzymała.

— Baronie—rzekła—jeśliby gwałtu użyć chciano, muszę i powinnam o tém wiedzieć; pójdę sama: stanę... Niech się poważą podnieść rękę na mnie, niech mnie zabiją.

Hrabina Brühl, która towarzyszyła królowéj, zżymnęła się i zawołała:

— Nie będą śmieć!

— N. Pani—odparł Spörken—na wszystko przygotowanym być potrzeba, dla króla pruskiego nie ma świętego nic: nic nie poszanuje.....

— Nie będzie śmiał—zawołała Brühlowa—bo gdy nadejdzie chwila zemsty, wié że jest nieuchronną; naówczas nie będzie téż dla niego litości ani poszanowania.

Wszyscy milczeli. Baronówna Nostitz, piękna Pepita stała u okna z twarzą w ogniu i piersią wzdętą; zdawała się jedną z tych bohatérek, którym tylko oręża brak w dłoni, aby się z nim rzuciły przeciw tłumowi. Coś rycerskiego pałało w jéj oczach.

Nie śmiała mówić co myślała.

W główce jéj grało. Zapusty trwały długo, pokuta i post przychodzą! Szaleliśmy nad przepaścią i otwarła się przed nami. Któż nas ocali gdy my się sami nie umiemy bronić, gdyśmy dobrowolnie do kajdan wyciągnęli ręce. A! gdybym była mężczyzną!! gdybym była mężczyzną! Sparła się na oknie i bezmyślne wejrzenie w dziedziniec rzuciła. Nagle rumieniec jéj bladości ustąpił, głowa się pochyliła, brwi zmarszczyły; drgnęła..... Przypatrywała się bacznie, coraz baczniéj.

Podwórze zajmowali w téj chwili Szwajcarowie i Prusacy. Pomiędzy niemi kręciło się kilku po cywilnemu ubranych. Zdawało się jéj, że oczy ją mylą: poznała w jednym z tych kawalera de Simonis. Szedł obok tłustego Béguélina, który rozmawiał ze swymi ziomkami.

Myśl jakaś dziwna błyskawicą przebiegła znać po jéj główce, zadumała się ponuro, ruszyła, wróciła na miejsce i poruszyła raz jeszcze.....

Nikt nie zważał na nią.

Drzwi były blizko. Posłuszna téj myśli, któréj się oprzeć nie mogła, piękna Pepita wybiegła. Wschody stały puste, nikt z dworu i otoczenia królowéj nie ważył się wyjść z jéj pokojów, ona jedna miała to męztwo. Z wierzchołka wschodów spojrzała w dół. Szwajcarowie obsadzali warty.... nieopodal stał Simonis.

Schyliła się Pepita, oczy jéj zaiskrzyły się.

— Kawalerze de Simonis—zawołała głosem drżącym.

Max podniósł głowę i postrzegłszy piękne dziewczę, drgnął rękę podnosząc do kapelusza.

— Tu, do mnie—odezwała się—dwa słowa.

Zawachał się Szwajcar, ale głos i twarz dziewczęcia tak były nakazujące, taką miały siłę i potęgę, że się oprzéć nie mógł. Puścił się więc na wschody, nastrajając twarz pół zdziwioną, napół smutną. Stanąwszy przed Pepitą, oprócz jakie-

goś poruszenia ust, które głosu nie wydały, nie umiał się zebrać na nic.

Dziewczę w całym blasku piękności swéj, którą gniéw czynił jeszcze dziwniejszą, majestatyczniejszą może, przybliżyło się do niego.

— Panie de Simonis—zawołała porywczo—moja stryjenka ocaliła was, gdyście byli w niebezpieczeństwie, jéj winniście życie; ja wam przyrzekam wdzięczność królowéj, moją, skarby, złoto, w przyszłości dostojeństwa, wszystko czego zażądacie, ale musicie przejść w służbę *moją*.

Simonis się zmieszał.

— Tak jest, moją! tak! Pochwyciła go za rękę oburącz oglądając się dokoła, chociaż wschody i korytarze były puste. —Jam wyczytała z waszych oczów, że serce macie dobre, choć zbłąkane myśli, choć niepewne chęci; ja was od was samych chcę ocalić, ja wam wskażę szlachetną drogę, służbę nieszczęściu, nie niewolę siły. Jesteście wolni kawalerze de Simonis, możecież lepszy uczynić użytek ze swobody waszéj nad poświęcenie jéj sprawie zacnéj przeciw uciskowi najniegodniejszemu.

To mówiąc cisnęło jego dłonie, śmiałe dziewczę; paliło go oczyma: nagliło.

— Te ręce które cisną dłoń waszą—dodała—nigdy nie dotknęły męzkiéj dłoni, nawet brata; te usta które was proszą, nigdy o nic nie prosiły nikogo, oprócz Boga.

Idzie mi o kraj mój, o królowę, dla nich chcę i muszę was zyskać. Rodzina moja majętna, własne mienie wam oddam a sama pójdę do klasztoru, uczynię was bogatym. Wszak nie pragnęliście niczego innego nad to przyjmując służbę prusaka. Panie de Simonis, odpowiedzi! na Boga! odpowiedzi.....

Max milczał. Spadło to na niego tak, jak od wyjazdu z Berlina ciągle niespodziane nań gromadziły się niebezpieczeństwa i pokusy. Piękność Pepity, jéj śmiałość, uczucie czyniły na nim wrażenie, któremu oprzéć się nie mógł. Radby był uciec, widząc przed sobą zawikłanie nowe, nowe groźby na przyszłość. Baronówna go nie puszczała.

— Pani—rzekł—daj mi się pani namyślić; ja nie wiém: ja nie mogę.....

— Na to namysłu nie potrzeba—odparła Pepita—pan musisz mi służyć, a ja daję panu słowo uroczyste, jeśli chcesz stwierdzam je przysięgą (tu rumieniec na twarz jéj wytrysnął): poświęcenie wasze opłacę poświęceniem bez granic!

Słowa te nie przebrzmiały jeszcze, gdy Simonis oszalały schylił się do jéj rąk i gorąco je całując, zawołał:

— Rozkazuj pani!

Pepita odetchnęła, odstąpiła kilka kroków; po krótkim namyśle odwagi jéj zabrakło.

— W téj chwili—rzekła ciszéj—mam jedno tylko: zachowaj pan dawne stosunki, nie zrywaj z nikim. Niech wszystko zostanie jak było. A dziś wieczór u stryjenki; rozumiesz mnie pan...

Simonis skinieniem tylko odpowiedział, baronówna znikła.

Przez chwilę stał niemogąc oprzytomnieć, zbierał myśli, niedowierzał rzeczywistości; sam siebie pytał, czy takie szczęście prawdą być może. Obok tego całe niebezpieczeństwo położenia na myśl mu przyszło. Zmieszany stał jeszcze, gdy u dołu ujrzał Beguélina, który szukać się go zdawał. Zbiegł więc żywo ze wschodów ku niemu.

— A cóżeś tam waćpan robił?

— Pannę znajomą zobaczyłem...

Szwajcar ruszył ramionami pogardliwie.

— W takiéj chwili o pannie myśléć, a to trzeba być takim młokosem jak waćpan. Chodźmy ztąd. Nie ma tu co robić. Sądziłem że Król J. M. dziś przybędzie, dlategom się stawił. Bądź cobądź, przykra rzecz patrzéć na to co się tu teraz dzieje.

I boczną bramą ku kaplicy wyprowadził Simonisa w ulicę, która i z téj strony pełną była ciekawych tłumów. Przez most przeciągały wojska, wrzawa u wjazdu nań i ścisk był ogromny. Niekiedy szyderski śmiech zakręcił się w powietru i zmilkł.

Ztąd widać już było straże postawione przy pałacu Brühla.

— No, jutro zobaczymy tu piękne rzeczy—rzekł Beguélin—bo że mu król Jegomość nie daruje i że mu peruki przewietrzy, za to ręczę.

Rozśmiał się, ale wnet zwrot myśli ku sobie wywołał westchnienie i dodał pocichu:

— Połowy séra mojego nie sprzedałem, a co zostało... *kaput!*

I ręką machnął.—Kto mógł przewidzieć że się to tak rychło stanie...

Simonis tu go pożegnał. Przyszło mu na myśl, ażeby pójść podziękować staréj baronowéj i skierował się około pałacu Brühla, ku Nowemu Rynkowi.

Tu ludu mniéj było; przeciągały małe kupki, poglądając w okna i jakby smakując tylko w myśli małego rabunku. Pałac słynął ze swych skarbów. Ale straże pruskie zajmowały podwórza i wnijścia. Przechodząc tędy zdala, usłyszał Simonis głos jakiś wyświstujący wesołą piosenkę. Było coś tak niezwyczajnego w téj wesołości wśród powszechnego smutku i w takiéj chwili trwogi, że Simonis szukać zaczął winowajcy oczyma, gdy głos ten zbliżył się ku niemu i ogromna silna dłoń uderzyła go po ramieniu. Obejrzał się: pan Ksawery Masłowski siedział na baryerze przed pałacem.

— A! niechże cię Szwajcarze przeklęty—zawołał—obawiałem się, czyś karku nie skręcił, lub żeby cię nie zapakowali gdzie do komórki. Stój, gadaj co się z tobą działo...

Simonis zatrzymał się, witając go i dziękując.

— Widzę żeś cały i śmiało teraz używasz świeżego powietrza—dodał Masłowski—bardzo się cieszę. Ale mi się należy za podarte prześcieradła, żebym wiedział co się z tobą stało. Mów!

Simonis przysiadł się przy nim na baryerze.

— Nie chciałem ani was ani siebie wystawiać na niebezpieczeństwo. Blumli się odgrażał—rzekł—wolałem uchodzić.

— Dokąd?—zapytał Masłowski.

— W chwili, gdym się z okna spuścił poszarpawszy ręce, patrz, że jeszcze znać—mówił daléj—w téj chwili wcalem niewiedział co zrobić z sobą. Miałem adres dany mi do Serba mieszkającego nad Elbą, ale w przeznaczeniu znać mojém było, żebym się do niego nie mógł dostać.

— E!—więc gdzieżeście ten czas przesiedzieli.

Simonis się zarumienił mocno.

— Wyszedłszy od was przez ogród...

— I przez mur—poprawił Masłowski.

— Dostałem się na dziedziniec domu, przez którego bramę otwartą trzeba było przejść, aby się wydobyć na ulicę; zdawało mi się że trzeba to spełnić żwawo, aby mnie jak złodzieja nie pochwycono. Puściłem się więc kłusem przez bramę, gdy z drugiéj strony wchodziła do niéj właśnie kobiéta, którą, w pędzie niemogąc się zatrzymać, potrąciłem. Krzyknęła mocno ze strachu. Poznałem w niéj pannę Doris, moją towarzyszkę podróży z Berlina.

— Masz waćpan widoczne szczęście do starych bab— przerwał Masłowski—bo oto druga; wszak Brühlowa chciała waćpana wziąć za sekretarza. Widoczna to wskazówka Opatrzności, abyś się podżyłych pilnował, bo co przeznaczone, to nie minie. Już teraz odgaduję, że Doris, któréj los rzucił cię w objęcia, musiała ocalić...

— Coś podobnego—rzekł Simonis—nie puściła mnie, pókim się jéj nie wytłumaczył, czegom tak uciekał. Piąte przez dziesiąte wykłamałem się nie dobrze, bo coś już była o mnie i o mojéj ucieczce od Miny zasłyszała. Uparła się być moją zbawczynią i przez te dni uchodziłem za jéj brata.

— No, to jeszcze nic—odparł Masłowski—gorzéjby było, żebyś musiał za męża uchodzić. A teraz co myślisz?

— Nie wiem jeszcze; a wy?—zapytał Simonis.

— Ja? do obozu pod Pirnę hrabia Brühl brać mnie z sobą nie życzył, zostałem tutaj. Wcale się nie gniewam, to mi wszystko jedno, a mam satysfakcyą patrzeć jak się te szołdry jeść będą. Nasza ekscellencya, lękam się, żeby nie rychło chyba dostała pozwolenie powrotu do pałacu. Prusacy zabierają się tu gospodarować na dobre. Dalipan zabawne... Spojrzał obojętnie na Simonisa, i swą piosenkę poświstywać zaczął, a potém odezwał się:

— Masz już waćpan mieszkanie? bo spodziewam się, że u Doris nie zostaniesz dłużéj?

— Będę je miał dzisiaj.

— Na przypadek potrzeby, zawsze moje na usługi wasze. Fuchsowa bardzo dobra kobiéta i drugiéj pościeli dostarczy.

Z tém się pożegnali. Simonis nic nie mówiąc, poszedł do kamienicy baronowéj. Zdala już widać było okna drugiego piętra pootwierane i staruszkę w czepcu, przypatrującą się jak

z głównego odwachu przed jéj oknami, pruscy żołnierze ściągali resztki nieszczęśliwéj gwardyi saskiéj; tłum ludu i tu stojący opodal, w milczeniu się temu przyglądał.

Jeszcze niemiał czasu dostać się na drugie pięto, gdy stara Gertruda, zapewne z rozkazu swéj pani, otworzyła mu drzwi, witając go ręką i uśmiechem.

— Pańskie zawiniątko na strychu w całości: nic nie zginie...

W progu stała baronowa z twarzą promieniejącą. Simonis w rękę ją pocałował.

— Cieszę się, że waćpana widzę całym i zdrowym, teraz już jesteście zupełnie bezpieczni. Ale mi mój Serb kazał odpowiedzieć, gdym się o was pytać posyłała, że tam u niego aniście byli. Lękałam się bardzo.....

Kawaler wytłumaczył się, iż znalazł przytułek u przyjaciela, nic nie mówiąc o przyjaciółce. Staruszka go posadziła przy sobie.

— Jutro przyjeżdża nasz król... Choć to faworyt mojéj poczciwéj hrabiny de Camas, choć sprzyjam mu, choć go od tych Sasów wolę, co tylko hulać i swawolić umieli, a lud ze skóry drzéć; choć się ucieszę, że im da naukę: ale mi królowéj żal trochę i tego niedołęgi króla, który może i teraz jeszcze nie wié co z nim robią. A Brühla, żałuję tylko, że nie pochwycił go Fryderyk... ha! ha!

Staruszka pokręciła głową.

— Prusacy zajęli miasto, nie było go komu bronić; choć do baletu nigdy nie brakło ludzi!

Gderząc tak przez chwilę pani Nostitz, przypomniała sobie, że Simonis nie miał pewnie mieszkania.

— Zajmijże swój pokój na trzeciém piętrze i niech ci Gertruda da klucze, a wieczorem przyjdziesz do mnie.

Zaproszenie było bardzo na rękę: myślał bowiem, jak spełnić rozkaz pięknéj Pepity, któréj obraz miał ciągle na myśli. Do wieczora było wprawdzie daleko, Simonis jednak był tak zmęczony i tak się potrzebował namyśléć, co daléj pocznie, że cały ten czas, porządkując w mieszkaniu i leżąc wyciągnięty, przebył, niepostrzegłszy jak przebiegł. Gertruda zastukała do drzwi.

Trochę poprawiwszy stroju, zamyślony Max zszedł do baronowéj. Pepity wzrok powitał go w progu. Stała czarno ubrana i wejrzeniem dała mu znać, ażeby się nie wygadał przed staruszką. Przywitała go tak, jakby się wcale dnia tego nie widzieli. Baronowa oszczędzając synowicę, draźliwéj nie wprowadzała rozmowy: pytała tylko o królowę.

— Wiem—odezwała się Pepita—że nasza pani przyjaciół nie ma, że jéj charakter nigdy się nie dozwolił przypodobywać ludziom i szukać jéj względów, ale dziś, dziś któż jéj nie pożałuje! W tém wszystkiém nie ma jéj winy najmniejszéj, a dla niéj, nad nią ciąży najstraszniejsza pokuta! Modli się i płacze!

— I gniewa—dodała baronowa.

— Któżby jéj tego nie przebaczył?—zawołała Pepita—córka cesarska niewolnicą brandeburskiego margrabi, królowa dwoch państw, na łasce tego żołnierza.

Stara baronowa westchnęła.

— Tak—rzekła smutnie—gdy się wielkie dzieło sprawiedliwości dokonywa i niewinni porwani są burzą: gdy dęby padają, gniotą kwiaty, co kwitły pod nimi.

— Jestże to dzieło sprawiedliwości?—zawołało dziéwczę.

— Tak—odparła staruszka—patrzały na to oczy moje, gdy szalał August Mocny, nie szanując ani rodziny, ani wstydu, ani ludzkich łez; gdy mu się bóstwo jakieś śniło i Jowiszowe miłostki. Zostawił po sobie niedołężnego syna, a wychował dlań opiekunów w Brühlach. Spełnia się na dziecku, na co ojciec zasłużył.

— Ale kochana stryjenko—poczęła gorąco Pepita—to tylko próba, to chwila i przesilenie. Pan nasz ma królestwo drugie, w którém znajdzie schronienie; pan nasz ma sprzymierzeńców potężnych i ukarze to zuchwalstwo. To nie kara Boża, to próba: my z niéj wyjdziemy zwycięzko!

Spójrzała na Simonisa, który milczał pożerając ją oczyma: czekał on na przyrzeczoną mu rozmowę; nie jego rzeczą było myśléć o tém gdzie i jak ona odbyć się może. Pepita miała dosyć odwagi i przebiegłości by nastręczyć sposobność. Wcale téż po niéj nie widać było obawy, ani wahania. Zdawała się być swego pewną.

W chwili gdy baronowa poszła do drugiego pokoju otulić swego Fidela do snu w jego koszyku, Pepita zbliżyła się żywo do Simonisa.

— Przed dziewiątą pożegnaj pan stryjenkę, zejdź na dół i czekaj na mnie przy mojéj *porte-chaise*.

Simonis skłonił głowę, baronówna odeszła od niego prędko.

O naznaczonéj godzinie, choć staruszka wstrzymać go usiłowała, Simonis wyszedł na stanowisko. Lektyka już czekała przed kamienicą.

Wkrótce potém zbiegła Pepita i wsiadła do niéj, rozkazując ludziom iść powoli ku zamkowi. Max towarzyszył jéj, stanąwszy przy oknie, które było spuszczone.

— Panie de Simonis—zaczęła Pepita—nie wymagałam od was przysięgi, choć sama mu ją złożyłam. Nie zacięży mi ofiara żadna, bylem ocaliła moją królowę, mój kraj. Nieprzyjaciela który nas, urągając się wszelkiemu prawu zagarnął bezbronnych, godzi się odpierać wszelkimi środkami. Nie mamy żołnierzy, my kobiety, chytrością, podstępem, orężem jaki nam Bóg dał, opierać się i walczyć będziemy. Waćpan jesteś moim, prawda? jesteś moim? ja na niego rachować mogę?

— Pani—zawołał Simonis—dosyć było twojego słowa ażeby Szawła Pawłem uczynić. Pani wiesz co możesz: któżby ci się oparł?

Pepita się uśmiechnęła smutnie.

— Niestety!—rzekła—jakżeż to okropne; pan mnie nie znasz, tylko z téj odrobiny nędznego blasku jaki mi młodość nadaje. Pan nie wiesz, czyś aniołowi dał duszę, czyś się szatanowi zaprzedał! Mój Boże, dlaczegoż ja w panu zamiast tego zaślepienia we mnie, nie mogę natchnąć szlachetniejszego uczucia, litości dla uciśnionych, miłosierdzia dla tego nieszczęścia, dla téj królewskiéj niedoli.

— Pani możesz mi natchnąć wszystko, bo jéj słowa mają potęgę.

— Dość; dość—przerwała Pepita—muszę téj potęgi używać, bo innéj nie mam siły; ale użyję jéj, aby was podnieść, podźwignąć! Panie Simonis, wyście nic nie winni, ja wiem; wyście wzrośli w tych przekonaniach, że możecie, że powinniście zaprzedać się pierwszemu lepszemu dla chleba i dla przyszłości.

Niestety, wasi ziomkowie służą tak po całym świecie: biédni! To było we krwi u was, ale wam Bóg dał, spodziewam się duszę szlachetną, którą rozbudzić tylko potrzeba, aby uczuła, iż człowiek nie jednym chlebem żyje, ale sumieniem i cnotą.

Podała mu rękę przez okno. Simonis ją pocałował. Zawstydzony był, milczący.

— Chciałabym was szeroką, jawną, jasną poprowadzić drogą; niestety, nie czas. Nieprzyjaciel—mówiła daléj—wpędził nas w te wąwozy ciemne, w których się bronić musimy. Jesteś pan i zostaniesz w obozie nieprzyjaciela, ale dla nas, abyś nas ostrzegał, abyś działał. Musisz moją sprawę poślubić dla mnie.

— Rozporządzaj pani i bądź pewną że będę jéj wiernym.

— Będę mówić obrzydliwym językiem—odezwała się Pepita—ale raz muszę i to powiedzieć: nie stracicie na poświęceniu się waszém. Fryderyk głodem morzy swoje sługi, my przyjaciół obsypiemy złotem, choćbyśmy sami nędzę cierpieć mieli. Tam nie dosłużyłbyś nic, tu spodziewać się możesz wszystkiego.

— Dosyć mi będzie—gdy pani...—rzekł Simonis.

Pepita nakazała mu milczenie.

— Na te oświadczenia zawcześnie—rzekła—czekaj pan, aż mnie poznasz. Jestem tyranem....

Wtém przerwała nagle.

— Jutro przybywa król! jutro, wiem pewnie, odegra się scena z królową naszą. Nie wiem jak się ona skończy, nie wiem jakie będą plany nadal. Poznaj się pan z generałem von Spörken: on nam jest oddany cały.

— Nie mogę go szukać—rzekł Simonis—ani się jawnie zbliżyć do niego.

— Tak, ale możesz pan być zakochanym we mnie—odparła Pepita—kompromituj mnie jak chcesz. Dla mnie możesz przyjść do zamku, a znajdziesz barona. O tém nikt w świecie wiedzieć nie będzie.

Mówili jeszcze chwilę, gdy Simonisowi Masłowski na myśl przyszedł z zazdrością swą i uwielbieniem dla pięknéj Pepity: rozśmiał się. Na zapytanie baronównéj, opowiedział jéj o Polaku, malując jego charakter i dziwactwo.

— Gdyby się na takiego wartogłowa spuścić można— zawołała Pepita—mógłbyś go pan użyć dla nas.

— Nie sądzę — rzekł Simonis—dla niego ta tragedya jest komedyą tylko, któréj się obojętnie zdala przypatruje i czyni sobie z niéj zabawkę.

Pepita zamyśliła się trochę.

— Wszelkiéj broni używać trzeba—rzekła—któż wié!

Lektyka zbliżała się do zamku, u którego bramy stali szwajcarowie. Straż przyszła zajrzéć, a Simonis odezwał się do swoich ziomków ażeby przepuścili porte-chaise, co téż natychmiast spełniono.

Pepita podała mu rękę.

— Nim się umówimy o inne miejsce..... u stryjenki wieczorem. Jeśli będę potrzebowała was, u Gertrudy zostawię książkę; w książce między kartami wklejoną będzie karteczka. Baczność i wierność....

Raz jeszcze pochyliła się ku niemu:

— Masz pan pieniądze?—spytała.

Simonisowi przykro się zrobiło.

— A! pani—rzekł szybko—starczy mi ich na długo: wcale nie potrzebuję.

Lektyka znikła w ciemnych podwórcach zamkowych.

II.

Młodość tylko szczęśliwa i starość zobojętniała, są tak obdarzone, że wśród rozgorączkowania powszechnego, wśród klęski i niepokoju, zachowują: pierwsza lekkomyślność swą, druga odrętwienie. Nie było może w całém Dreznie drugiego człowieka, któregoby mniéj obchodził gwałtowny ten wywrot i niespodziana zmiana, jak pana Ksawerego Masłowskiego. Śmiał się i powtarzał: „niech się niemcy tłuką, a mnie to co obchodzi? Zawsze ich trochę mniéj będzie!" Lamentującéj pani Fuchsowéj śmiał się w oczy i ramionami ruszał, co ją zdumiało i rozgniewało prawie. Zobaczywszy Simonisa na chwilę się nim zajął, lecz gdy odszedł, na myśl mu przyszła piękna baronówna. Był to jedyny wyjątek w całym tym kraju, dla Ma-

słowskiego nie obojętny. Gdyby, broń Boże, Polką była, śmiertelniebym się w niéj zakochał, ale ojciec człowiek słowny—nie mam ochoty leżéć na kobiercu. Korciło go to jednak, że Szwajcar znowu pewnie do staréj baronowéj się wniesie i koperczaki będzie stroić.

Trzeba sumienia niemieć, żeby na to pozwolić—mówił w duchu, siedząc na baryerze przed pałacem Brülowskim i przypatrując się piechocie pruskiéj, która po marszu nie osobliwie wyglądała.—Gdybym przynajmniéj mógł mu przeszkodzić!

Dla pana Ksawerego dosyć było pomyśléć, aby się wziąć do roboty.

Taki kuglarz, co z sumieniem tu przyjechał jak drugi z małpami na pokaz, żeby taką śliczną pannę bałamucił: a niedoczekanie jego. Trzeba się o tém bliżéj przekonać.

Jakoż, *dictum*, *factum*, pobiegł natychmiast, kryjąc się pod kamienicami za Simonisem. Zobaczył, jak wszedł do domu baronowéj, a że dworska lektyka, która właśnie zaniosła baronównę Pepitę, odchodziła, przyczepił się do tragarzy, ażeby ich rozpytać.

Będąc na dworze Brühlowskim, Masłowski codzień prawie i to po kilkakroć biegał na zamek, znał całą służbę i nie było człowieka, z którymby w dobrych nie był stosunkach. Lubiono go za jego wesołość, a potrosze i za pieniądze, którymi rzucał chętnie; łatwo mu więc było zaczepić znajomych tragarzy.

— Słuchaj Hans—rzekł do jednego—kogożeście to nosili do staréj baronowéj? przysięgnę, że pannę frejlinę Pepitę.

— Zgadłeś pan—odparł Hans—a jużci wolimy ją nosić, niż jutro może tego króla, co nam tu takiego piwa nawarzył.

— Ale jego nosić nie będziecie—zawołał Masłowski—ten albo konno albo pieszo, nigdy inaczéj i nigdy bez kija. Nawet konia gdy chce popędzić, wali go laską między uszy [1]) a tak samo i generałów. Dostałoby się i waszmościom.

Tragarze zamilkli. Niebezpiecznie było o tém mówić, mając już Prusaków w mieście.

— He! Hans, miałbym jeszcze się o co popytać—dodał Masłowski.

[1]) Historyczne.

— A co?—odwracając się odezwał tragarz—byle nie o tego króla...

— Nie. Czy panna baronówna kazała wam przyjść po siebie?

— Rozumie się—odpowiedzieli oba razem— o dziewiątej.

— Hans! mógłbyś spocząć i dostać dukata!

— Jakim sposobem?—spytał tragarz.

— Bardzo prostym—a mówił chłodno napozór Masłowski—któż z was nie wie, że my Polacy jesteśmy szalone pałki. Czasem się nam zachciewa, niewiedzieć czego. Pewnieście słyszeli, jak mój jeden kolega najął sobie niemca i konno na nim jeździł po rynku. No to cóżby dziwnego było, gdybym ja zechciał sprobować ponosić lektykę: wezmę suknią waszą, Hans, i pójdę z lektyką wieczorem po pannę.

Hans oczy wytrzeszczył.

— Oho! oho!—zawołał kręcąc głową—czego to się waści zachciewa! Chcesz z tyłu pewnie iść i pannie coś szeptać do ucha. Baronówna poskarży przed królową, królowa powie marszałkowi, marszałek da wiedzieć starszemu, a starszy kijem wytrzepie.

— Daję na to słowo że tego nie będzie—rzekł Masłowski.

— I to za dukata?—dodał tragarz.

— Dam dwa.

Hans zamilkł, bo drugi już odwrócił głowę i chciał targu dobić.

— Zgoda—rzekł pierwszy.

— A tobie żebyś milczał, dukata także.

Umowa na tych warunkach łatwo została zawartą: Masłowski niewymownie był z niéj rad.

Stało się tedy, że gdy wieczorem Simonis odebrał rozkaz iść przy *porte-chaise* i prowadził rozmowę z piękną Pepitą po francuzku, dosyć głośno, bo się oboje nie lękali być zrozumianymi przez tragarzy, pan Ksawery wszystko wysłuchał.

Nie jeden raz zadrgała lektyka, bo się chłopak zżymnął i ochota go brała okrutna przeszkodzić, odepchnąć, zdusić, szczęśliwego rywala. Niestety! nie mógł się tego dopuścić. Wysłuchał nawet, jak Simonis mówił o nim, jak go Pepita war-

togłowem nazwała i t. d. Byłby może w pierwszym impecie poleciał za kawalerem de Simonis i popełnił niedorzeczność jaką, ale suknie tragarza i obietnica dana Hansowi, zmusiły go odejść spokojnie od ganku do izby, w któréj swoje odzienie zostawił; miał więc czas ochłonąć i namyślić się.

Żal mu było szlachetnego dziewczęcia, które w rozpaczy chcąc ratować kraj i królewską rodzinę, rzucało się w grę tak niebezpieczną. To co słyszał z rozmowy, jakkolwiek trzpiotem był, trafiło mu do serca. Ten najemnik tego nie zrozumié!— mówił w duchu—ale że ma szczęście, to niewątpliwa. Taka śliczna panna!

Gdy rozpłaciwszy się i ubrawszy, wyszedł Masłowski z izby, zamiast odrazu na ulicę, skierował się ku podwórzom zamkowym. U bram stała straż Szwajcarów, która się nie mieszała wcale do tego, kto wchodził i wychodził; miała tylko polecenie powozów i pak żadnych, oraz tłómoków z zamku nie wypuszczać. Na rozległych a teraz ciemnych podwórzach, dużo jeszcze było ludzi lękających się Prusaków, rabunku i nocnych nieprzyjaciela ekscesów.

Generałem komendantem z ramienia pruskiego mianowany był Wylich; wprawdzie objeżdżał on miasto i mówił o utrzymaniu porządku, lecz na to nie bardzo się spuszczać było można. Ze strony saskiéj, minister wyjeżdżając, zostawił umocowanych do zarządu krajem, stolicą i interesami: hrabiego Loss, Stammera i Głobiga, trzech wicekrólów; ale tych władza była tak jak żadna: słuchał ich kto chciał, kto nie chciał nie słuchał. Było to więc jakieś bezkrólewie, którego się obawiać każdy miał prawo. Na zamek zbiegli się najwierniejsi słudzy i poszlakowani o jawną niechęć ku Prusakom. Rodzaj obozu znajdował się w dziedzińcu. Wiele ubogich przeniosło się tu za wiedzą i pozwoleniem królowéj, z małém mieniem, z dziećmi; ze wszystkiém, co unieść mogli. Wełniane kołdry porozkładano na ziemi, w latarkach paliły się świeczki, karmiono niemowlęta, głodni posilali się chlebem. Starzy leżeli już i spali obojętni na to co ich spotka, inni gwarzyli pocichu. Widok dziedzińca wielkiego był zaprawdę osobliwy, jak czasu oblężenia lub wojny. Tłum ten w ciemności, w mroku mruczał i poruszał się, nieśmiejąc głośniéj odzywać, aby go niewypę-

dzono. Gdzieniegdzie promyk latarki rozświecał twarze powiędłe, zlęknione, kupkę łachmanów, stos worków, a światło słabe z okien zamkowych, nieco oddalonych, niedając rozpoznać téj massy ruchawéj, fantastycznie tylko gdzieniegdzie coś z jéj głębi wydobywało. Pomiędzy rodzinami, które się tu schroniły, było kilka z tych, co niedawno pod opieką królowéj wiarę chrześciańską katolicką przyjęły i z Mojżeszowego wyznania do niéj przeszły. Ci neofici lękali się swoich współbraci i ich zemsty.

Królowéj z wieczora dano znać o tém, a że wielce zawsze była troskliwą o los nawróconych, właśnie gdy panna Nostitz od baronowéj przybyła na zamek, poleciła swojéj służbie, by jedzenie i okrycie wyniesiono dla jéj protegowanych.

Pepita zwykle do podobnych czynności bywała delegowaną, dla śmiałości swéj i znajomości języków. Zawołano ją i teraz nim z siebie zrzuciła nakrycie, dano jéj za towarzyszkę pannę hrabiankę Frohsdorf i jednego szambelana, i w chwili, gdy Masłowski wchodził na to podwórze, ujrzał zdala ze wschodów spuszczające się poselstwo dobroczynne, przed którém nieśli pochodnie dwaj pachołkowie dworscy.

Z gromady ludzi instynktowo podniosło się i przybiegło, co było biédniejszego. W koszach przygotowany chléb i inne zapasy żywności rozdawać zaczynano. Korzystając z tego, Masłowski się przysunął. Znano go dobrze, wmieszał się więc niepostrzeżony między dworskich i ze śmiałością sobie właściwą, potrafił docisnąć się do Pepity.

Zdziwiła się zobaczywszy go baronówna.

— A waćpan tu co robisz?—zapytała.

— Właśnie nie mam nic do roboty i to mnie trapi—odparł Masłowski—jestem prostym spektatorem. Hrabia Brühl z sobą mnie wziąć nie chciał, w pałacu pustki, więc się kręcę po mieście.

Pepita popatrzyła nań jakoś badająco; Masłowski śmiało téż do oczów jéj pięknych zaglądał.

— Z tego próżnowania—dodał ciszéj—przyszła mi aż fantazya sprobować nosić lektykę i miałem to szczęście być jednym z tragarzy, którzy przed chwilą panią od stryjenki tu odstawili.

Zarumieniła się i wyprostowała sztywnie, hardo Pepita.

— I nie wahałeś się waćpan podsłuchiwać rozmowy?— odezwała się.

— Byłem zmuszony do tego—rzekł Masłowski—a cieszę się bardzo, iż się tak stało, bo mogę panią przestrzedz, że gra z takim jegomością jak Simonis i bardzo niebezpieczna i wątpię, by się na co przydała.

Niezmieszany Masłowski, mimo gniewnego spojrzenia baronówny mówił daléj.

— Rozumiem to bardzo, iż w podobnych razach nadzwyczajnych, tonący się brzytwy chwyta; ale brzytwa nikogo nie uratowała. Ludzie, co dwom służą, zdradzają obu.

— Waćpan mnie podsłuchałeś, to nie pięknie—odezwała się zmieszana panna—lecz ufam że mnie nie zdradzisz: toby było ohydne.

— Żaden Polak nigdy nie zdradził nikogo—rzekł Masłowski—robimy głupstw wiele, ale w zdrady się nie bawimy nigdy: na to jest dosyć innych, takich, jak Simonis, awanturników.

W téj chwili przyszło na myśl pannie Nostitz, że i o Masłowskim była mowa, zarumieniła się znowu i podchwyciła żywo:

— Toś waćpan słyszał co o nim mówiono?

— Ani słówka nie straciłem—kłaniając się rzekł pan Ksawery—pani mnie nazwałaś wartogłowem, jeśli się nie mylę.

Mimowolnie rozśmiała się baronówna.

— Możem na to zasłużył—zawołał Masłowski—ale gdyby mnie szczęście spotkało takie jak Simonisa, a! pani, głowę bym się postarał zamienić, ażeby go się stać godnym.

Wejrzenie zapłaciło śmiałemu chłopcu.

— Nie pochwalasz pan pewnie, żem Szwajcara zobowiązała do służby królowéj?—spytała.

— Nie ufam mu—krótko rzekł Masłowski.—Pani go chyba możesz innym, niż był uczynić.

— Rzecz nie do poprawienia—szepnęła Pepita.

Masłowski spojrzał ku niéj i westchnął.

— Zazdroszczę mu!—rzekł—bardzo zazdroszczę. Pani mi żal, lecz kiedy mnie los do sekretu przypuścił, pozwól pani, abym się i ja przydał na co. Ja się obowiązuję pilnować go,

a jeśli spostrzegę najmniejszy krok podejrzany, no, to go zadławię.

Baronówna nieznacznie wyciągnęła rękę ku niemu, nie mówiąc nic.

— Będę jego opiekunem—rozśmiał się Ksawery — pani mi zaufać możesz; nie żądam za to nic, oprócz uśmiechu i wejrzenia dobrego, bo gdy pani spojrzysz na mnie (tu się za piersi pochwycił) cieplej mi w duszy!

To mówiąc zdjął kapelusz, skłonił się i nim panna Nostitz odpowiedziała mu, zniknął w tłumie. Baronówna stała długo oglądając się, rozmyślając, trochę na siebie gniewając, plany układając różne, aż gdy jadło rozdane zostało i tłum się rozchodzić zaczął, wróciła na pokoje.

Mało kto téj nocy zasnął w Dreźnie. Na zamku czuwano do dnia: mieniała się służba, a w mieście mimo pruskich patrolów, włóczyli się téż ludzie ciekawi i nie jedno okno do rana było odemknięte. W wielu z nich widać było światło, bo przy świetle ludzie się bezpieczniejszymi czuli. Z brzaskiem dnia, chorobliwe jakieś życie zaczęło się rozbudzać.

Na ratuszu zgromadzeni panowie radni miasta, spali na krzesłach w perukach i paradnych strojach, nie śmiejąc, na wypadek wszelki, rozejść się do domów. Prusacy coraz czegoś nowego się domagali. Dnia pierwszego zaraz zapowiedziano, że miasto będzie miéć obowiązek dostarczania komissowego chleba dla wojska, a raczéj mąki, drzewa, ludzi i pieniędzy, gdyż Prusacy woleli sami pieczywa pilnować, aby im tam czego do niego nie namieszano. Nad Elbą kazano na łące dwadzieścia kilka pieców budować.

Gdy dniéć zaczynało i panowie rajcy i co było urzędników, którzy się spodziewali zostać przed króla powołanymi, gotowali się wystąpić, bo wiedziano że Frytz wstawał rano i mógł nocując niedaleko, co chwila ich zaskoczyć. Najmniejszy tentent po bruku, wszystkich ciągnął do okien.

Na mieszkanie dla króla wyznaczono pałacyk hr. Moszyńskiéj, który już od wczoraj był wyprzątnięty. Chciano go czémś dla przypodobania się królowi przyozdobić, ale generał kwatermistrz rozśmiał się, ruszył ramionami i dużo z tego, co

było, powyrzucać jeszcze kazał.—Nam to niepotrzebne—zawołał—my żołnierze nie baby i J. K. Mość żołnierzem jest też.

Jeszcze przed przybyciem króla, od strony Pirny i obozu, gościniec i wszystkie komunikacye zostały odcięte i silnie obsadzone. Od téj chwili Brühl, król, dwór, niemogli już ani listu odebrać z Drezna, zostawał im Koenigstein na schronienie.

Gdy około dziesiątéj rozległy się wołania: „król! król!" co żyło puściło się naprzeciw, ażeby go zobaczyć. Drezdeńczycy oddawna nawykli do przepychu otaczającego majestat pański, stanęli osłupieli.

Ranek był chłodny.

Fryderyk jechał na Brühlu, to jest na najgorszym swoim wierzchowym koniu, w starym mundurze, w butach zabłoconych, okryty płaszczem poszarpanym, z laską nieodstępną w ręku, przygarbiony nieco, z głową na jedno ramię zwieszoną. Z pod trójgraniastego zrudziałego kapelusza, którego pióra nie w najlepszym były stanie, widać było tę twarz posępną, oczy bystre i usta szyderskie, uśmiechające się bez wesela, na zimno. Pomimo, że wchodził jak zwycięzca, że mu się nic tu opierać nieśmiało, jechał raczéj gniewny i zniecierpliwiony niż uradowany i tryumfujący. Widać było na czole troskę, w wejrzeniu niecierpliwość i niemal gniew. Spoglądał, jakby szukał tylko powodu by wybuchnąć. Za nim nieco staranniéj poubierani dwaj adjutanci, kilku generałów i urzędników. Generał Wylich mianowany komendantem, który był na przedmieście wyjechał dla spotkania Fryderyka, w pewném oddaleniu, tuż za królem jechał, jakby rozkazów wyglądał. O miasto, o drogę, nie potrzebował się rozpytywać król, bo je znał dobrze, bo nie pierwszy raz tu był gościem nieproszonym, a poraz pierwszy, przybył tu przed laty z ojcem i wywiózł ztąd pierwszą fantazyę dla Formery i coś nakształt pierwszéj miłości, rychło straconéj, dla Orzelskiéj.

Fryderyk jechał powoli, stępem, czasem głowę podnosił, popatrzył gdzieś pogardliwie i znowu ją spuścił obojętnie; na żółtéj twarzy jego wcale widać nie było, aby to zajęcie stolicy domu panującego daleko starszego od dynastyi, którą Fryderyk reprezentował, czyniło na nim jakie wrażenie. Wchodził tu widocznie jako żołnierz, nie jako król, a na urągowisko boleśne, włożył pod niebieski mundur ciemno-szafirową wstęgę

Orła białego, niby dla uczczenia króla polskiego, od którego ją miał. Gwiazda czasem się z pod płaszcza starego ukazywała. Nikt nie wiedział, dokąd król się ma udać, gdy stanąwszy na chwilę w rynku, gdzie cała gromada radzców miasta w perukach, wyszła na jego spotkanie, zaledwie spojrzawszy na tych dostojnych panów, którym i głową nie kiwnął, konia skierował ku zamkowi.

Przodem już pobiegli dworscy, stojący na straży, dać znać królowéj, która ubrana czarno, blada jak trup, z usty drżącemi, stała wśród dam swoich. Między niemi była i hrabina Brühlowa.

Głuche milczenie panowało w zamku. Króla poprzedził szmer tłumu, co go otaczał i gonił za nim. Szwajcarowie stojący na warcie krzyknęli: cały odwach rzucił się z bębnem dla oddania honorów królowi; głosy straży doszły aż do pokojów Józefiny. Fryderyk wjechał zamyślony w bramę i aż na drugim stanął dziedzińcu. Spojrzał na ten tłum, co się tu był wczoraj schronił, coś poszeptał adjutantowi i z konia zszedł.

— Wylich—zawołał—gdzie tajne archiwum?

— Tu w zamku, Najjaśniejszy Panie: trzy pokoje zajmuje; wczoraj je opieczętowano: straż stoi u drzwi i pod oknami.

— U kogo klucze?

— U królowéj JMości.

— Idź waćpan odemnie, pokłoń się N. Pani i proś ją o klucze. Powiedz że ja ich żądam.

Generał Wylich wbiegł szybko na wschody, Fryderyk powoli spierając się na lasce, szedł także ku górze z flegmą i obojętnością, któréj w istocie nie miał, ale ją uznał za potrzebną. Dwór królowéj cały był przy niéj zgromadzony; etykieta surowsza niż kiedykolwiek, choć Józefina nigdy o niéj nie zapominała. Generał Wylich musiał się przez szambelana zameldować w. ochmistrzyni i czekać. Dano mu postać umyślnie. Nareszcie szambelan przyszedł z oznajmieniem, że królowa JMć prosi go.

Trzy sale w których cały fraucymer i dwór był zgromadzony, przechodzić musiał stary żołnierz, nie zdając się tą okazałością wcale zmieszanym. W gabinecie królowa siedziała w fotelu.

Generał skłonił się nizko.

— N. Pan król Fryderyk II, pan mój miłościwy, rozkazał mi złożyć uszanowanie W. Kr. Mości i prosić jéj o klucze od sekretnego archiwum.

Była chwila milczenia: królowa zerwała się z krzesła, chciała mówić; słów jéj brakło.....

— Powiedz waćpan swojemu królowi, że jestem tu u siebie, w domu, w stolicy mojéj, na mojém zamku; że nikt mi nie ma prawa rozkazywać: że kluczów mu nie dam. Wszedł gwałtem, niech gwałtem dokona, to co nim zaczął....

Wylich się zmieszał nieco, skłonił głowę.

— Spełniam rozkazy mojego króla – rzekł — odniosę mu odpowiedź; lecz lękam się ażebyśmy nie byli zmuszeni istotnie.....

— Możecie być zmuszeni—zawołała królowa wyciągając rękę—która drżała widocznie jak jéj głos, możecie być zmuszeni nietylko drzwi łamać, ale mnie od nich odciągnąć, ale mnie królowéj, mnie córce cesarskiéj, mnie.... (tu na chwilę znowu głosu jéj zabrakło) mnie odtrącić, mnie zabić!!

Powiedz mu to

I królowa na fotel padła.

Wylich skłonił się i wyszedł powoli.

Fryderyk oparty na lasce czekał na niego u żelaznych drzwi sekretnego archiwum, oczyma dzikiemi rzucając dokoła. Zaledwie się ukazał, krzyknął:

— Masz klucze?

— Królowa ich wydać nie chce. Niedosyć na tém, kazała mi powiedzieć, że sama osobą swą gotowa bronić nietykalności własności swojéj.

Fryderyk nie odpowiadając ani słowa, pogardliwie obrócił się ku drzwiom i z całéj siły uderzył w żelazne ich blachy laską, którą trzymał w ręku.

— Wyłamać drzwi!—zawołał—ślusarzy... Wylich, natychmiast; ja mam tu jeszcze dosyć do czynienia. Czekać nie lubię: niech on o tém pamięta.....

Gdy z jednéj strony świta króla rzuciła się natychmiast po rzemieślników i narzędzia potrzebne do odbicia archiwum, z drugiéj w korytarzu stojący dworacy królowéj, natychmiast oznajmić jéj pobiegli o tém.

Fryderyk stał niecierpliwiąc się widocznie. Znalezienie ludzi i rzemieślników łatwém nie było, żaden ślusarz drezdeński nie dałby był się wziąć do tego, nawet najstraszniejszą groźbą: uciekali i kryli się wszyscy.

Musiano więc gwałtem zabrać narzędzia, obcęgi, młoty, sztaby, a żołnierzy pruskich użyć do téj roboty. Zaledwie piérwsze uderzenie słyszéć się dało, gdy w końcu korytarza ukazała się biegnąca królowa, w rozpuszczonych szatach, z rozpłomienionym wzrokiem, straszna gniewem, niema ze wściekłości. Na widok jéj wpadającéj między żołnierzy, ludziom młoty wypadły z rąk, stanęli jak osłupieli. Józefa rzuciła się na żelazne dzwi, osłoniła je sobą, rozpostarła ręce, położyła się płacząc na nich.

Fryderyk który stał o kilka kroków, patrzał na to obojętnie chwilę; krew mu po twarzy przebiegła i znikła, wyciągnął laskę ku Wylichowi:

— Słyszysz—zawołał—dwóch grenadyerów niech weźmie królowę, waćpan jéj będziesz towarzyszył do jéj pokojów i postawisz straż przy nich.

Generał osłupiał i zawahał się.

— Słyszy on!—krzyknął król podnosząc kij—słyszy on: rozkaz spełnić natychmiast [1])!

Gdy Wylich oniemiały i drżący zbliżył się ze dwoma żołnierzami i majorem Wangenheimem do królowéj, krzyk się wyrwał z jéj ust okropny, bolesny, a drugim jęknął cały jéj dwór przerażony. Płacz, wołanie, przekleństwa, wrzawa stała się straszliwa. Królowa Józefina osunęła się omdlała, a dwaj żołnierze napół martwą ponieśli ku jéj pokojom. Za nią cisnęły się tłumem kobiéty szlochając i ręce łamiąc.

Fryderyk stał blady i wcale nieporuszony tą sceną, drgała mu twarz szyderstwem, straszném zimnem, które przejmowało nawet tych co nań patrzéć codzień byli przywykli. Laskę podniósł:

— Łamać drzwi!!

Żołnierze wzięli się żywo do kruszenia zamków i zawias, jedni drugich starali się wyprzedzić i pospieszać, a w miarę

[1]) Ściśle historyczne wszystko. Zobacz Vechse, i Chronik der K. S. Residenz, t. Dresden, Życie Fryderyka i t. p.

jak ta robota postępowała, Fryderyk się do drzwi przybliżał. Gdy ostatnia zapora pękła i brzęcząc na ziemię opadła, a żołnierz podważywszy drzwi otworzył je z uśmiechem, król piérwszy pospiesznie wszedł do archiwum.

Na środku piérwszéj sklepionéj izby, stały właśnie przygotowane do wywiezienia paki, zawierające dyplomatyczne depesze, których część Mentzel był wydał do Berlina. Król gorączkowo, tak gwałtownie dobijał się do tego archiwum, obiecując sobie w niém znaleźć, coby wojnę i postępowanie jego usprawiedliwiło [1]). Wiedział przez zdrajcę Mentzla, że paki te do Polski uwieźć miano. Ostatniego dnia nie było na to czasu, a nazajutrz obóz w Pirnie, król i Brühl zostali odcięci.

Fryderyk niedługo zabawił w archiwum, paki natychmiast kazano wywozić do pałacu Moszyńskich, a dwóch kancelistów pod przewodnictwem radzcy wyznaczonego, pozostali dla przejrzenia reszty. Straż stała u drzwi.

W pół godziny potém, Fryderyk z oczyma zaiskrzonemi radością któréj nie taił, śmiejąc się wyszedł z archiwum, przebiegł żywo korytarz i na wschodach będąc kazał sobie podać konia.

— Batalion żołnierzy!— zawołał do Wylicha—za mną....

Drugą bramą zamkową wychodzącą ku katolickiemu kościołowi wyjechał król. Z tąd już widać było gmachy pałacu Brühlowskiego. Wszyscy odgadli że ku niemu teraz Fryderyk się uda. Batalion żołnierzy zciągnięty z obwachu, stał w Georgenthor w pogotowiu. Król skinął aby szedł za nim. Za żołnierzami szła ciżba milcząca. Brühlowski pałac był zamknięty, lecz na widok przybywającego króla, szwajcar w paradnéj odzieży, z buławą, przy szpadzie, na oścież drzwi otworzył. Fryderyk szepnął coś i skinął, kilku żołdaków rzuciło się na nieszczęśliwego stróża i odarło go natychmiast do koszuli. Przestraszony pobiegł gubiąc perukę, w dziedziniec.

Na wschodach stojąca garstka sług, widząc to zemknęła. Król zsiadłszy z konia, z całą swą świtą i żołnierzami wszedł na piérwsze piętro nie spotkawszy nikogo. Przez przedpo-

[1]) Niezupełnie znalezione papiery, odpowiedziały oczekiwaniom. Na nich się opiera wydany wkrótce: *Memoire raisonné sur la conduite des Cours de Vienne et de Saxe.*

kój pusty, śmiejąc się wpadł do ogromnego salonu, całego w zwierciadłach, porcelanie i atłasach. Był to apartament, w którym pierwszy minister przyjmował nieraz książąt panujących, posłów wielkich mocarstw, gdzie ugaszczał Richelieugo. Wspaniałości jego dziwili się dworacy króla francuzkiego nawykli do wersalskich przepychów. We wszystkich razem wziętych zamkach i pałacach króla Fryderyka, nie było połowy tego bogactwa, wykwintności i smaku. Gdziekolwiek spoczęło oko, spotykało cudowne dzieła kunsztu, które na rozkaz pana stały się rzemiosłem, aby dogodzić fantazyi królika. Nie jeden talent któryby arcydzieła mógł tworzyć, rozproszył się na te tysiące drobniuchnych, misternych ozdób, zlanych tak w jednę całość, jakby tchnienie jedno, jeden człowiek, jedna wola stworzyła je jedném słowem.

Fryderyk spojrzał z pogardą i rozśmiał się, kijem który trzymał w ręku, uderzył w ogromną szybę zwierciadlaną: prysnęła w kawałki [1]). Było to hasło.

— *Zum Ausraümen!* (Uprzątnąć)—zawołał król zwracając się do swoich żołnierzy—*Zum Ausraümen!*

Niepodobna odmalować skutku tego rozkazu, który w mgnieniu oka stał się czynem. Żołnierze z okrzykiem ogromnym, z dziką radością rzucili się na salon i pokoje.

Brzęk tłuczonych zwierciadeł, łamanych sprzętów, wyciąganych szuflad, chwytanych zégarów, śmiechy, wrzawa rozległy się po cichym pałacu. Służba Brühla pierzchnęła, nie było na obronę nikogo, nie było ktoby w imieniu sztuki, w imieniu pracy, upomniał się o rozbijane posągi i zrzucane na ziemię obrazy.

Król siadł na chwilę w fotelu i patrzał a słuchał, widać było że się zemstą nasycał, że ją pił z rozkoszą, że mu tego jeszcze było mało. Oczyma wodził po zniszczeniu i śmiał się.

Batalion piechoty, któremu się te łupy dostały, nie starczył na uprzątnienie nagromadzonych tu bogactw, potrzeba mu było dodać drugi do pomocy. Zrzucano, spiesząc dopókiby rozkaz nie został odwołany, sprzęty oknami w ulicę, wydzierano obicia, rwano firanki. W miarę jak to dzieło zniszczenia postępowało, szał opanowywał żołnierzy, część ich dobrała się

[1]) Historyczne.

do kilku tysięcy butelek wina najprzedniejszego w piwnicy i hulała pijąc zdrowie Fritza w dziedzińcu. Okrzyki dochodziły do uszu króla... Generałowie stali jakoś oniemieli i posępni, mieli trochę żalu; właściwie ta gratka tak piękna, im się nie téj gawiedzi należała.

Zostawał ogród a w nim biblioteka i galerya, najdrogocenniejsze zbiory, których się nie godziło dawać na łupy zemście chwilowéj. Jeszcze chwila a żołdactwo byłoby się rzuciło na nie; niebezpieczeństwo było wielkie, szczęściem obfita piwnica obroniła bibliotekę: nie chciało się opuszczać jéj, dopókiby wszystko zabrane i wysuszone nie było.

Gdy się to działo, a król siedział jeszcze, kijem okutym dziurawiąc wysadzaną misternie posadzkę, człowiek blady, przelękły, trzęsący się cały, w czarnéj sukni, wszedł do zbużonéj sali i strwożony stanął u drzwi.

Król spojrzał nań.

— Kto on jest!— zakrzyczał.

— Bosza, Włoch, N. Panie, dozorca biblioteki, galeryi, ogrodu, N. Panie!

Włoch kłaniał się i jąkał.

— Czegóż on chce ten dozorca?

— N. Panie— wyciągając ręce z rozpaczą—przybyłem błagać go o ocalenie ogrodu, biblioteki, galeryi; N. Panie....

— Żołnierze mają to sobie darowaném, to nie moje. Co mi dasz? Co im dasz....

Bosza się zająknął.

— N. Panie, oddam co mam: cały mój majątek....

— A wieleż jego majątek wynosi?

— Nie mam nad dziesięć tysięcy talarów....

— To mało.

Włoch ukląkł, Fryderyk się rozśmiał.

— Eh! *Canaillen Bagase*, dawaj te 10,000 talarów, tu zaraz mnie... i niech cię dyabeł bierze [1]).

Skinął król na adjutanta.

— Ogrodu żeby mi nie tknięto!

Bosza pobiegł po pieniądze.

---

[1]) Historyczne.

Jeszcze żołdactwo hulało po pałacu, gdy król ze świtą poszedł się przypatrzéć ruinie. Stawał co chwila i przyglądał się z gniewem, śmiał się, szczątki potrącając nogami i dobijając je kijem.

Cały szereg sal przeszedł tak, aż do tych dwu, gdzie cała niemal garderoba Brühla w przepysznych szafach się znajdowała. Lecz szafy te stały teraz otworem, suknie podarte walały się po podłodze, a na urągowisko półtora tysiąca peruk ministra złożono w stos ogromny w pośrodku sali; żołdactwo obeszło się z niemi tak nieprzyzwoicie, iż do niczego już nigdy służyć nie mogły.

Fryderyk stanął nad temi perukami zadumany.

— Osobliwsza rzecz — zawołał — żeby człowiek co nie miał głowy, mógł tyle peruk potrzebować [1]).

Dowcip królewski homerycznym powitano śmiechem.

Najmniejszego kątka nie pominąwszy i przekonawszy się że wszystko było dosyć porządnie uprzątnięte, król zszedłszy zwolna do drzwi głównych, głośno zawołał:

— Podać mi Brühl'a!

Siadł na koń i zwolna pojechał do pałacu Moszyńskich.

Ulice długo jeszcze potém przedstawiały widok, jaki rzadko się trafia. Rozpuszczony żołnierz, na wózkach, na rękach, na plecach, niósł, wlókł, dźwigał co mu się dostało z Brühlowskiego pałacu. Niektórzy staczali walki o pochwycone sprzęty, które się kończyły zniszczeniem ich, ażeby się ani jednemu ani drugiemu nie dostały. We drzwiach, w dziedzińcach, po ulicach odegrywały się sceny, które przestrachem przejmowały mieszkańców. Nawet otoczenie króla uczuło to, że scena z królową, a późniéj „uprzątnięcie" pałacu nie mogły im zjednać ani sympatyi kraju, ni przyjaciół w Europie. Lecz Fryderyk II miał w téj chwili całą niemal Europę przeciwko sobie, a z jéj uczuć dla siebie żartował. „Wolałbym sto tysięcy dobrego żołnierza, niż najlepszych przyjaciół i wielbicieli."

W mieście wieść o wypadkach na zamku i o Brühlowskim pałacu, ostudziła znacznie zwolenników pruskich. Przyczyniły się do tego kontrybucye, żywienie wojska i wszelkiego rodzaju zabory. Tegoż dnia kassy uprzątnięte zostały także.

---

[1]) Historyczne.

Z temi smutnemi wieściami potajemnie wysłała królowa zaraz do obozu w Pirna zaufanego człowieka, który jako świadek naoczny, ustnie miał donieść o wypadkach. Urzędnicy pozostali sprawowali obowiązki swoje, ale w istocie drżąc oczekiwali tylko na los jaki im zgotowano.

Hr. Loss, Stammer i Globig dla osobistego bezpieczeństwa siedzieli na zamku. Zdawało się że ich król może kazać wezwać do siebie, cały więc dzień w mundurach i przy szpadach, w perukach, z kapeluszami pod pachą, spoglądając po sobie milczący przebyli, za każdém drzwi otworzeniem przewidując posła.

Zjawił się on w istocie w postaci oficera, który zaprosił ich do generała Wylicha, a raczéj iść im do niego kazał.

Hr. Loss ruszył się z powagą, towarzysze poszli za nim.

Wylich przyjął ich z fajką w zębach, stając nad papierami, które trzech kancelistów wygotowywało.

Spojrzał tylko na wchodzących.

— N. Pan kazał mi waćpanom oświadczyć, że ministerstwo jest rozwiązane. Dopóki my tu jesteśmy, wcale go nie potrzeba; urzędnicy niżsi niech spełniają swe obowiązki, a wyższy nad niemi nadzór, aby to szło porządnie, do nas należy.

— Jednakże—odezwał się hr. Loss.

— Nie ma tu żadnego *ale* ani *jednakże* u nas—przerwał grubijańsko Wylich.—Po żołniersku: komenda i posłuszeństwo.

W Saxonii nie było porządku, zdzierstwo i marnotrawstwo do najwyższego stopnia; my to się postaramy w karby wprowadzić. Dopóki my tu i dopóki N. Pan dla własnego bezpieczeństwa zmuszony jest zajmować Saxonię, nikt tu rozkazywać nie ma prawa. Inne rozporządzenia późniéj nastąpią.

— Kłaniam się!—rzekł Wylich.

Trzej vice-królikowie stali niemi.

— Kłaniam się—powtórzył generał.

Spojrzawszy po sobie, mieli już odchodzić, gdy Wylich się odezwał:

— Hr. Loss i panów będę jeszcze potrzebował dla naradzenia się, choć to może dziś zawcześnie.

Sejm w Polsce się zbliża, król JM. August III, zapewne zechce nań pospieszyć, żeby choć jeden się nie zerwał. Niech

mu panowie dadzą znać, że do Polski pasporta gotowe i konie na przeprzęgi.

— Kłaniam się!—dokończył.

Znowu tedy zabierali się wychodzić, gdy Wylich pyknął, dym puścił i odezwał się:

— Ale, ale, tę gawiedź co darmoby chléb jadła: śpiewaków, muzykantów, operę, balet, trzeba do dyabła rozpuścić. Pieniędzy na nich nie ma, bo te co są my musimy wziąć. Słuchać ich też i bawić się niemi nie będzie komu! Królowa nie zechce się rozrywać, nasz król nie ma czasu, a August III wyjedzie do Polski.

I znowu dodał:

— Kłaniam się!

Hr. Loss poszedł już żywo ku drzwiom, aby go już więcej nie odwoływano.

Wylich spojrzał za niemi tylko i do kancelisty obracając się dodał:

— Pisz waćpan: kurfirstowska kamera wyda drzewa dla piekarzy, sążni.....

Więcéj już vice-królikowie nie posłyszeli, bo się drzwi zamknęły.

Poszeptali pomiędzy sobą i cicho udali się na zamek.

W mieście tego dnia tłumno było jeszcze, gwarno, lecz smutnie.....

Około pałacyku i ogrodu Moszyńskich stały gromady ciekawe. Po południu generał Wylich oświadczył magistratowi i przedniejszym mieszkańcom, iż powinni pójść się pokłonić królowi.

Kto mógł wymawiał się od zaszczytu tego, lecz radzi nieradzi panowie urzędnicy miejscy i wskazane osoby znaczniejsze, musiały powdziewać suknie, przypiąć szpady i ciągnąć w pokorze do pałacu, który król zajmował.

Osób przeszło dwadzieścia wielce poważnych, *honoratiores*, którzy nie spodziewali się ażeby ich jaka owacya spotkać mogła zjawiły się, szeregami idąc u drzwi, w których stał adjutant.

Wpuszczono ich niezwłocznie.

Król w wytartym mundurze i tych samych butach w których go widziano z rana, siedział z jednym z generałów u stołu,

na którym rozłożone były karty Saxonii i Czech. Niedaleko od niego rozbite paki wzięte z archiwum i wyjęte z nich tomy ogromne, leżały w nieporządku. Charcicę trzymając na kolanach, bo ta mu i na wojnie towarzyszyła, w kapeluszu na głowie król przyjął deputacyą. Wstał tylko do niéj wkrótce i kij wziął do ręki:

— A co mi oni powiedzą?—spytał.

Milczenie panowało długie. Burmistrz Führich chrząknął raz, odchrząknął raz drugi, mruknął coś, poprawił się i nic nie powiedziawszy umilkł.

— Hm?—spytał Fryderyk, a potém sam zaczął:—Byłem zmuszonym postępowaniem tego człowieka, dla którego zbyt mam wielką wzgardę, abym imię jego wymówił; zająć Saxonię i stolicę. Bezpieczeństwo moje wymagało tego. Nie mogło być inaczéj... Mam dowody w ręku że spiskowano przeciw mnie. Króla JM. szanuję wielce, on nic nie winien... Tymczasowo niech jedzie do Polski, my się tu bez niego obejdziemy.

Deputacya stała milcząca.

Król począł kijem wskazywać osoby i kazał sobie mówić imiona, nazwiska i tytuły.

— Spodziewam się—rzekł w końcu—że oni rozum miéć będą i zachowają się uczciwie i spokojnie, jeżeliby zaś komu do głowy przyszło ze mną wojnę prowadzić, damy sobie z nim rady. Infamisów i kanalii odprawię do Spandau i Kistrzyna. Niech oni sobie idą, każdy do swojéj roboty, ja także mam o czém myśléć.....

Nastąpiły ukłony. Król na te nizkie pochylenia, grzbiety i peruki, których końce po plecach biegały, popatrzywszy z wyrazem najwyższéj pogardy, gdy się drzwi za niemi zamknęły, odezwał się do generała Quintus'a Jeiliusa:

— *Canalien Bagage!* a jakie to podłe i nikczemne. Nie ma jednego któryby mnie w łyżce wody nie chciał utopić, i nie ma jednego coby śmiał pisnąć słowo....

Plunął stukając laską o podłogę.

— Generale, wprowadzić szpiega, który miał dać informacyą o obozie pod Pirną; trzeba ich zabrać, bo nam ludzie się przydadzą!!

(Dalszy ciąg nastąpi).

SPOŁECZNOĆŚ

WARSZAWY

W POCZĄTKACH NASZEGO STÓLECIA.

(1800—1830).

PRZEZ

K. Wł. Wójcickiego.

„Twarze, którem z dzieciństwa ukochać przywykał,
Dłonie, co mnie pieściły, głos co mnie przenikał,
Gdzież są? Zgasły, przebrzmiały, zmieniły się,
[starły!"

A. Mickiewicz. (Dziady).

I.

Charakterystyka mieszkańców Warszawy.—Ludzie z ostatnich lat XVII wieku.—Niewiasty polskie.—Dawna tradycya.—Gawęda.—Poezya ówczesna.—Wymowa.—Warstwa społeczna z epoki Stanisława Augusta.—Literaci z tegoż okresu.

Warszawa w zewnętrznéj postaci, w rozkładzie swoim i zabytkach starożytnych murów i kamienic, przez dwadzieścia kilka lat z górą, zachowywała cechy średniowiecznego grodu i do dziś dnia ich nie straciła, tak w *Starém-Mieście* jak pobocznych ulicach i dawnych świątyniach Pańskich.

Inną koléj losu przeszła jéj społeczność.

W piérwszych latach tego okresu, od 1800 do 1830 r., uderzała na pierwszy rzut oka rozmaitość mieszkańców Warszawy i snujących się postaci po ulicach, po ogrodach, albo na uroczystościach religijnych w czasie processyi *Bożego Ciała*, obchodu *Grobów* w Wielki tydzień świąt *wielkanocnych*; lub téż po za miastem na odpustach, tak w *Czerniakowie*, jak na *Bielanach*.

Społeczność ówczesna kilka miała wydatnych odcieni. Pierwsze miejsce zajmowało owe stare już pokolenie, pamiętające jeszcze czasy Augusta III, króla Leszczyńskiego, a między temi znajdowałeś i takich, którzy znali Karola XII, bo wiek sędziwy, długoletność, nie były taką osobliwością jak teraz. Stóletni starcowie gę-

sto się przewijali, nietylko po dworach wiejskich, ale i w murach saméj Warszawy [1]).

Pokolenie to odznaczało się wybitnie, tak postacią jak mową i wyobrażeniami. Według pojęcia tych sędziwców, nauka i książka przystawała jedynie księdzu jezuicie; dla szlachcica dosyć tego, czego się w szkołach wyuczył, a po dworach panów doświadczeniem i otarciem douczył. Literaturę ich całą składał *kalendarz*, *Nowe Ateny*, kilka kronik polskich, *Herbarz Paprockiego* lub *Niesieckiego* i *Volumina Legum*.

Zastęp ten składał się z szanownych starców, zasłużonych w kole obywatelskiém: byli pomiędzy niemi sławni rębacze, którzy zdobyli sobie imię w zapasach sejmikowych, niemało między niemi liczyłeś palestrantów z trybunałów piotrkowskiego i lubelskiego. Uprzejmie i serdecznie gościnni w domach i dworach swoich, w surowym rygorze chowali dziatwę własną; często sami stanowili małżeństwo, synów i córek niepytając o ich uczucia bynajmniéj, posłuszeństwo też bez granic dzieci ku rodzicom, ułatwiało wielce te ugody familijne, przez które przyjacielskie rodziny łączyły się w ścisłe pokrewieństwa ogniwa. W tém poważném pokoleniu, które już śmierć dziesiątkowała w moich oczach, nie zasłyszałeś o żadnéj sprawie rozwodowéj; święta zgoda, miłość i braterstwo wiązało je silnemi ogniwami. Rodziny, krewniacy, trzymali się za ręce pod hasłem: „jeden za wszystkich, wszyscy za jednego.“ Nieść pomoc w nieszczęściu, w niedoli podeprzeć, chudego pachołka zapomódz, to przez ożenienie z dobrém wianem, to chudobę zasilić na nowe gospodarstwo, były to rzeczy powszechne, codzienne. Sędziwe matrony odznaczały się pobożnością bez dewocyi, prawdziwą wiarą Bożą, miłością bez granic w przywiązaniu do męża i dzieci. Wiele zachowywało zwyczaj starodawny, nazywania małżonków swoich *panami*, jak ci nawzajem swoje żony *panienkami* albo *dzieweczkami*.

Święte to były niewiasty! Ile razy myślą zabłąkam się w tamte czasy, zaraz stają przed oczyma postacie owych niewiast, pełnych

---

[1]) W młodych latach u Orłowskiego, handlującego drzewem a mieszkającego pod zamkiem warszawskim widziałem akwarellę, arkuszowego formatu, w któréj był przedstawiony cesarz Napoleon I, w orszaku marszałków, jak rozmawia ze starcem po polsku ubranym i podaje mu rękę. Był to *Nowakowski* przedstawiony cesarzowi jako towarzysz chorągwi królewicza Jakóba Sobieskiego, która była na wyprawie wiedeńskiéj pod buławą króla Jana III. Oswobodzenie Wiednia nastąpiło we wrześniu 1683 r. a przedstawionym został Napoleonowi w końcu 1806. Upłynęło więc 123 lat: gdyby jako towarzysz husarski miał tylko lat 15, dożyłby przeto 138. Cesarz wyznaczył mu pensyą 3,000 franków i Nowakowski pobierał ją jeszcze przez lat dwa, bo w początkach 1809 r. umarł. Matka ojca mojego a babka moja, żyła lat 106 i sześć miesięcy. Pomiędzy Kurpiami żył bartnik pszczół dzikich, który podług pewnych dat w całéj czerstwości ciała i umysłu w 120 roku umarł i pochowany został na cmentarzu w Myszeńcu.

słodyczy i miłości chrześcijańskiéj. Zaprawdę, mógł je każdy uważać za rzeczywistych aniołów-stróżów przy domowych ogniskach. Oneto wpajały w serca dziatwy swojéj, najszlachetniejsze uczucia, czystą wiarę, on drogi skarbiec a niewyczerpany na ciąg całego żywota, potrzebę poświęcenia i dźwigania z pokorą krzyża po światowym gościńcu. Jako matki, łagodziły surowe obejście i groźne ojców, tuliły dziatwę strapioną, a na osłodzenie ich cierpień gdy które Bóg dotknął, miały łzy do podziału i słowo Boże na pocieszenie w strapieniu, boleści, czy żalu. Jako żony, były dla mężów nieposzlakowanéj wierności i poświęcenia, towarzyszki ich prac i trudów życia, ciche, łagodne, a łzawe, krzątały się przy porządku domowym, a w wolnéj chwili słały gorącą modlitwę za tych, którzy się im przez serce przypominali! Naukę pisma obracały jéno dla napisania listu do *pana małżonka* i dziatwy, a czytały tylko Pismo Święte, modlitwy, albo księgę gospodarczą, pełną przepisów doświadczonych kucharskiéj sztuki, *sekretów* gospodarstwa niewieściego i przypraw lekarskich do *apteczki* domowéj. Życie ich pełne zajęcia, bez próżniaczéj chwili, upływało z dnia na dzień w pracy, modlitwie i poświęceniu dla swéj rodziny. Takie niewiasty musiały cześć obudzać i szacunek w mężach, miłość serdeczną w dziatwie, bo one wśród trudów codziennego żywota, nie przygaszały wzniosłych a szlachetnych uczuć serca, ani myśli wyższéj, bo jedne i drugie same rozumiały i wielbiły z zachwytem.

Ta szlachta, a dziatwa ostatnich lat XVII stólecia, zahartowana wychowaniem surowém w młodych leciech, nie troszczyła głowy naukami, nie wszystka nawet pokończyła szkoły, a jeżeli ich kobiéty nie odznaczały się kaligraficznem pismem, to i sami zgrubiałą ręką od szabli, strzelby, a często siekiery, nie bieglejsi byli w piśmie. Skoro wydostał się ze szkolnéj ławy i porzucił *Alwara*, nie wracał do ksiąg jak dopiéro w sędziwéj starości, kiedy nogi wymówiły posłuszeństwo; wtedy złamany wiekiem, brał znowu do rąk te same księgi kronik starych i herbarzy, które w dziecinnych latach tak ochoczo przeglągał dla samych jedynie drzeworytów. Szlachta téj generacyi, oprócz czasem zasłyszanéj jakiéj *Satyry Krasickiego*, pieśni nabożnych Karpińskiego i narodowych Kniaznina, nie znała, nie pojmowała nawet literatury tak zwanych *Stanisławowskich* czasów, ale zato miała swoją, *żywego słowa* literaturę, w któréj się skupiły wszystkie jéj żywioły. Było nią owe złote pasmo narodowéj *tradycyi*, z ust do ust przechodzącéj niepokalanie, coraz bogacąc się i urozmaicając w idące lata po sobie. Miałeś w niéj na czele podania historyczne, pełne życia i ognia wiersze, chociaż brakło im zewnętrznéj formy artystycznéj.

Tradycyi osnową była opowieść jakiego czynu, a czyn sam w sobie wzięty obwijał się w jedną poetyczną tkankę, jak jedwabnik we własną przędzę. W gwarnym, bojowym żywocie téj szlachty ojców i ich samych, nie brakło osnowy do *gawędy*, nie brakło i pieśni

i wzorów wymowy. To też, byle zjazd na uroczystość domową, rodzinną, albo ochoczym dla zabawy *kuligiem*, niebyło mowy między niemi o literaturze obecnéj ich czasom, alę zasiadłszy grono starców i dojrzalszych na uboczu, gdy młódź ochoczo hasała, radośnie, przy kieliszku wytrawnego węgrzyna rozpoczynało *gawędę* o przeszłych, ubiegłych latach. W onczas wychodziły na czoło, opowieści wypadków krajowych, a zaraz o ile który miał w nich udział, tu następowała wierna spowiedź przygód żywota, to w obozie, to na dworach panów, to na łowach, sejmikach, w domowych progach, albo na zjazdach w sąsiedztwie. Gdyby kto je umiał wiernie i dokładnie spisać, byłyby to drogocenne obrazy z zapadłéj już dla nas przeszłości, obrazy, które same prostotą swego wątku i treści, obudzałyby zajęcie i wywołały podziw; bo tak już wtenczas odskoczyliśmy od tego świata, w którym ci starcy żyli pełném życiem, że powszednie ich czyny olbrzymiały w naszych czasach i poetycznéj nabierały barwy.

Kiedy to piszę, wyobraźnia stawia mnie w te grona siwych starców, co zawodzą głośnym serdecznym śmiechem, lub głośnym łkaniem. Miły Boże! ileżto chwil rozkosznych w śród nich spędziłem, przytrzymywany jakimś urokiem, czarami opowieści, że i huczna kapela nie wabiła do tańca, choć nogi się rwały, i sen po nocach całych oczu nie sklejał!

Znaczenie poezyi zupełnie po swojemu starcy ci pojmowali. Kobiety miały ją w ludowych i nabożnych pieśniach a psalmach Dawida przekładu Jana Kochanowskiego, bo tylko to tłumaczenie przeszło w usta narodu; miały ją i w światowych piosneczkach co je panny śpiewywały. Treścią tych ostatnich była miłość, to oświadczyny zalotnika, to *rekuza damy;* szlachta, prócz takich światowych, śpiewała w podeszłym wieku codziennie nabożne pieśni w domu, drodze, młodsi w obozie: miała i historyczne, w których wspomnienia mięszały się z rzewną modlitwą do Boga. Pieśni te wiernie odbijały charakter tych rycerzy chrześcijańskich a rolników. Śpiewali i pieśni zwane *palestrankie*, naszpikowane gęsto łaciną, któréj i w innych nie zabrakło nigdy. Wiersz byle rymowy, aby jasno myśl malował, był już poezyą: co przemówiło do ich serca, to wdrażało się dobrze w pamięć. I tak być musiało w czasach ich młodości, kiedy życie samo ich było dla nich poezyą, a zaledwie miano czas, jakiś wypadek, jakie uczucie ująć w rymy proste, a dobrze rzecz oddające. Daleko wyżéj stała u nich *wymowa*, bo ona więcéj się splotła z ich życiem.

W domowych progach chrzciny, zaręczyny, wesela i pogrzeby, jąk w publicznem życiu sejmiki i sejmy, narady wszelkie w kole szlachty, w kościele czy obozie, wszędzie zgoła wymowa rej wiodła.

Nie mieli u nich poeci wielkiego miru, bo prawdziwych wieszczów nie było, a rymotwórstwo uważali, i słusznie za rozrywkę jeno próżniaczą. Mówca za to odbierał cześć i szacunek: jedna mowa wypowiedziana okrągłemi słowy, a trafnemi do serca i myśli, utrwalała

sławę mówcy, w *ziemstwie*, powiecie, ba nawet wcałém województwie. W wymowie tylko spoczywała owa potęga duchowa *słowa* pod którą miękły i tajały twarde nawet serca, co mogła wycisnąć łzę rzewną na męzkie surowe oblicze, i pobudzić do serdecznego śmiechu. Mowa potoczna téż onych starców, była potężnym zasobem do wymowy wyższéj. Bogata, pełna zwrotów poetycznych, dosadnych wyrażeń, malowniczych przysłów i przypowieści, posługiwała dzielnie, aby zręcznie użyta do owéj *wymowy* wyższéj, a serdecznéj, dziarskiéj i dosadnie rzecz oddającéj, na podziw słuchacy, a ku chwale mówcy!

Z tego zastępu starców szczątki jeno dotrwały w 1818—1820, mniéj dalęko niewiast. Zamożni chowali się po dworach swoich, ubożsi, dawniejsi dworzanie wielkich panów liczniéj przytulali się w murach Warszawy, niemając własnego gniazda: najliczniejszy zastęp u krewnych i przyjaciół dogorywał zwolna po dworach ziemiańskich pod nazwą *rezydentów*, patrząc na wielkie zmiany w około z modlitwą na ustach. Znikły téż niebawem i te resztki, pokładłszy się w mogiły obok ojców swoich.

Duch czasu i na to najstarsze pokolenie silnie oddziaływał. Jeżeli zatwierdzał uszanowanie dla rodziców i starców, stanął oporem co do samowolnego rozrządzania sercem i ręką dzieci. Chorągiew swobody rozwijał u progu domu, przy ognisku rodzinném. Coraz téż rzadsze tego przymusu bywały przykłady. Kiedy sędzia *Plichta*, rębacz hetmana Branickiego, zmusił córkę lubo kochała innego, do poślubienia jego wybrańca, ogół opinii przeciw takiemu nadużyciu władzy ojcowskiéj, głośno się oświadczył. Był to o ile pomnę jedyny i zaprawdę ostatni podobnéj samowoli przykład.

Drugą warstwę społeczności tak Warszawy jak i w kraju całym składali wychowańcy z okresu *Stanisława Augusta*, zwolennicy literatury francuzkiéj, co chciwie filozofią *Woltera i Encyklopedystów*, brali za pewnik ostatni rozumu i szczyt najwyższéj nauki.

Potężny to był zastęp, co przeważał w dawnéj Rzeczypospolitéj. Głównym rysem tego zastępu była *niewiara*, zaprzeczenie istnieniu Boga i nieśmiertelności duszy człowieka, a obok tego pogarda dla własnéj narodowości, szyderstwo ze wszystkiego, co ich ojcowie szanowali i czcili. Stary obyczaj krajowy nazwali *barbarzyństwem*, ochoczo zrzucali jak strój ojców, tak znienawidzili macierzysty język. Wkradła się w domy polskie lekkomyślność nieznana, zbytek wyuzdany, zepsucie obyczajów. Kanclerz Młodziejowski w *liście pasterskim* karcił rozwody, niesłychane w dawnéj Rzeczypospolitéj: w téj warstwie społeczności naszéj, teraz rozwody przestały być osobliwością. Zerwali pasmo narodowych tradycyi, które wiązało teraźniejszość z przeszłością. Pomimo tych stron ujemnych zachowali staropolską gościnność w domu, jak odwagę w potrzebie.

Rozpowszechniony język francuzki w kraju spowodował ruch większy handlu księgarskiego, a przytém rozwijał się i ruch książek polskich. Literaturę *Stanisławowskiego okresu*, co tak wybornie

odbijała czasy swoje, umiano na pamięć: młodzież szczególniéj połykała owe poemata, zagadki i wiersze Węgierskiego i Trembeckiego, wraz z rubasznemi utworami Naruszewicza, których się druk rumienił upowszechniać, tyle jeszcze poczciwego zachowano wstydu: pokolenie to było ostatniém ogniwem, co przechodziło z czasów panegiryków, w naśladownictwo literatury francuzkiéj.

Dużo pisano, rozwodzono żale na ten popęd do Zachodu, dziś gdy przeminął, widzimy że ruch taki był koniecznym, abyśmy po długiém naśladownictwie obczyzny, prędzéj trafili do pojęć literatury oryginalnéj, narodowéj. Nie my sami naśladowali francuzów, przez to naśladownictwo przeszły i inne narody.

Warstwa ta jak mówiliśmy wzięła przewagę w staréj Rzeczypospolitéj: wszyscy pisarze okresu Stanisława Augusta bili czołem temu naśladownictwu, lubo każdy po swojemu wedle sił i talentu; byli i tacy co daleko zostawili za sobą wzory, jak Krasicki, w satyrach, bajkach i listach, Trembecki w opisanych poematach, a głównie w komedyi *Syn marnotrawny* z Woltera; Zabłocki w komedyach, ale obok nich, co do liczby była większość po miejskich dworach i *zaściankach* ukryta, owéj szlachty, co żyła dawném życiem, w starym obyczaju, szanując tradycyę narodową, wraz z ubiorem, językiem, wiarą a pobożnością ojców. Ci przypominali pokolenie z czasów Saskich z tą różnicą, że zapoznawali się z utworami literatury krajowéj. Kiedy wielu z nich na bruku Warszawskim osiadło, znalazło tu życzliwe u mieszczan starych przyjęcie, bo łączyła ich jedna miłość do tego, co u lekkomyślnych ludzi szło w pogardę.

I na polkach dostrzegamy téż wydatną różnicę, w dwóch po sobie idących pokoleniach: pierwsze, przyjąwszy strój i obyczaj francuzki, wraz z lekkomyślnością i swobodą w obyczajach, tak daleką od owéj powagi i godności dawnych niewiast, utonęły sercem i myślą w literaturze francuzkiéj; drugie, przestawały na literaturze krajowéj i garnęły się do dzieł dobrańszych polskich, które ochotnie czytywały.

Pomiędzy temi dwiema warstwami społeczności gasnącéj, a ostatnią dorastającą, stanowili pośrednie ogniwa konfederaci barscy, wojacy z kampanii 1792 i 1794 roku, jak z Legii włoskich. Typowe to były postacie, które znikały powoli i do roku 1830 wygasły prawie do szczętu.

Trzecią a najmłodszą warstwę społeczności Warszawy, stanowiliśmy sami jako wychowańcy szkół pijarskich, Liceum warszawskiego, a następnie Uniwersytetu.

Zagasała w tym okresie świetna plejada literatów i towarzyszów *uczonych czwartkowych obiadów* na zamku króla Stanisława Augusta. Ozdoby tego stołu: Krasicki, Naruszewicz, Trębecki, Węgierski, Zabłocki, Wyrwicz, już nie żyli. Karpiński skruszył pióro i zamienił je na pług i siekierę rolniczą. Kniaznin, w spokojném obłąkaniu zgasł na łonie swego przyjaciela Zabłockiego, sławnego kome-

dyo pisarza, którego dotąd nikt jeszcze należycie nie ocenił. Powstały prawda nowe imiona, nowe talenta, na ozdobę tych pierwszych lat trzydziestu, które przyrosły do naszego okresu. Społeczność Wąrszawy, gdy miasto roszerzało swój obręb, zyskiwała coraz więcéj narodowego żywiołu, przez napływ i stałe osiedliny szlachty wiejskiéj ze wszystkich jéj warstw, zacząwszy od najzamożniejszych, do mających skromne mienie, albo téż w chudobie ostatniéj szukającéj powszedniego chleba w jego murach; przez ten nabytek, Warszawa przybierała coraz wyraźniejsze oblicze odzwierciedlające charakter całego narodu. Ztąd wierne malowidło społeczności Warszawy łączy się ściśle ze współczesnością ogólną, krajową.

Typowe postacie z kilku pokoleń zgromadziło w grono swoje *Towarzystwo Warszawskie Przyjaciół Nauk:* należy więc nam przedewszystkiém, bliżéj się przypatrzéć temu zgromadzeniu w ciągu jego trzydziestoletniego istnienia.

II.

Warszawa w pierwszym roku naszego stólecia. Stanisław Sołtyk. Pierwsze u niego zebrania Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Pierwszy tego zgromadzenia prezes Jan Albertrandi biskup Zenopolitański. Tadeusz Mostowski, jego zakład drukarski i wydawnictwo: „Wyboru pisarzów polskich." Patent króla pruskiego Fryderyka Wilhelma dany Towarzystwu Przyjaciół Nauk. Pierwsze lata tegoż Towarzystwa. Dar Staszica. Prace członków. Wojna. Zmiany. Księstwo warzawskie. Dekret króla saskiego. Biblioteka i gabinet mineralogiczny, muzeum starożytności i zabytków przeszłości. Rok 1809. Posiedzenie Towarzystwa d. 22 grudnia 1809 r., konkursa uwieńczone. Wyprawa 1812 roku. Pogrom i klęski.

Gród nasz jak kraj cały w ostatnich latach XVIII wieku, doznał niespodzianych ciosów.

Warszawa przestała być stolicą i przeszła pod panowanie pruskie, pomimo to do niéj jako miasta prowincyonalnego ciągnęły nawałem czeredy niemców, już brykami w konie zaprzężonemi, już wózkami przez psy ciągnionemi, na których wieźli cały swój dobytek i majątek. Gwar tak rozgłośny niedawno w zamku królewskim i po ulicach, dorazu zamienił się na grobową ciszę, gdy Stanisław August wyjechał na zawsze, a gdy dwór się rozbiegł na cztery strony świata. Cała arystokracya polska straciła swoje znaczenie i powagę: wszystkie urzędy od najwyższych stopni do ostatniego strażnika przy rogatkach miasta i stróża pałacu rządowego, sami Niemcy obsiedli. Prusy sypali *swemi* jakby z worka plew, i w zapasie trzymali mnóstwo jeszcze kandydatów, na każde skinienie. Pałace opustoszałe szły w ruinę, podwórza ich zarastały trawą. Cała społeczność Warszawy chroniła się za progi domowe, żyła wspomnieniem ciepłéj jeszcze przeszłości, napozór tak świetnéj, nie przeczuwając

że pod jéj błyszczącą oponą, już się roztworzyła mogiła, w którą dwór królewski wraz ze swym panem, biegną ochoczo, hulaszczo, jakby na ucztę wystawną.

Pierwszy rok naszego stólecia już pokazuje Warszawę miastem na sposób pruski urządzoném, bez handlu i przemysłu. Kupiectwo pozbawione napływu z całego kraju obywatelstwa, zubużało, nie jeden upadłość swą, bez własnéj winy, ogłosić znaglony; pozostali musieli ograniczyć swoją działalność do skromnych rozmiarów. Tych ratowali jeszcze ziemianie chwilowo przyjeżdżający do naszego miasta, u których grosza nie brakło, bo wysokie ceny zboża zamożność ich podniosły.

Z publicznych instytucyi został tylko *teatr narodowy* z twórcą swoim *Wojciechem Bogusławskim*, ale i przeciw niemu uderzyło stronnictwo zfrancuziałych polaków, które idąc za nierozważnym popędem z poprzedniego okresu, wszelkiemi siłami pragnęło scenę francuzką podnieść, wyszydzając własną.

Na szczęście znaleźli się ludzie z rozumem i sercem, którzy te szalone wybryki poskramiać umieli. Na czele tych stał *Stanisław Sołtyk*, który w domu swoim zgromadzał towarzystwo czysto polskie, przeciwne dążności eleganckiego świata pod wpływem francuzczyzny, którego głównem gniazdem i siedzibą był pałac *pod blachą*.

Sołtyk nietylko dla sceny narodowéj położył wielkie zasługi, ale podał myśl założenia *Towarzystwa Przyjaciół Nauk*, którą goszczący u niego literaci i zacni obywatele ochotnie a gorliwie podparli.

W dniu 16 lutego 1800 roku, odbyło się w domu Sołtyka pierwsze zgromadzenie, na którém ułożono listę osób, jako pierwszych założycieli tego Towarzystwa. Lista ta obejmuje nietylko mężów znanych z prac ogłoszonych drukiem, ale takich, którzy stanowiskiem swojém i znaną prawością charakteru, dawali rękojmię życzliwego popierania głównego celu, a tym celem wyłącznym było: „zachęcać ludzi naukom i piśmiennictwu oddanych do krzewienia i upowszechniania wiadomości użytecznych w języku narodowym, język ten udoskonalać i chronić go od zagłady.“

W rzędzie pierwszych założycieli widzimy: *Czackiego Tadeusza*, *Chreptowicza*, *księcia Czartoryskiego*, *Ignacego Krasickiego*, *Matuszewicza*, *Mostowskiego*, *Józefa Ossolińskiego*, *Ignacego i Stanisława Potockich*, *Aleksandra księcia Sapiehę*, *Walentego Sobolewskiego*, *Stanisława Sołtyka*, *Stanisława Staszica*, *Jana Woronicza i Stanisława Trembeckiego*, szambelana Stanisława Augusta i rozgłośnego imienia poetę. Następnie powołani zostali: biskup *Albertrandi*, *Franciszek Dmochowski* (tłumacz Iliady i Enejdy), *ks. Kamieński pijar*, *Franciszek Karpiński*, *S. B. Linde*, *ks. Józef Osiński*, *ks. Poczobut*, *Piramowicz i Jan Śniadecki*.

Kiedy zamknięto tymczasową listę i przyjęto ogólne zasady i przepisy postępowania, odbyło się pierwsze posiedzenie już za-

wiązanego Towarzystwa w dniu 23 listopada 1800 roku w bibliotece księży Pijarów (na ulicy *Długiéj*). Zasiadło tu grono czternastu członków i ci wybrali na prezesa *Albertrandego* biskupa zenopolitańskiego, znanego polihistora, sławnego erudyta. Ten w mowie swéj którą zagaił to posiedzenie, główną zwrócił uwagę na cel najważniejszy obok uprawy nauki: pilne strzeżenie macierzystego języka, który w pierwszym okresie rozwijającéj się literatury narodowéj, tak udoskonalony już w całém się swém bogactwie okazuje.

„Godna jest rzecz uwagi, mówił, że dzisiejszy Francuz piszący językiem *Marota*, a nawet *Amiota*, podałby się w pośmiewisko, albo przynajmniéj w podejrzenie, iż nie dla dzisiejszego pokolenia pracuje: Polak zaś w pismach swoich jak najbliżéj do Budnych, Górnickich, Kochanowskich i innych za pierwszych Zygmuntów żyjących autorów przystępujący, tém większéj dostąpiłby chwały, imby się im w pisaniu stał podobniejszy."

Obok tego podniósł myśl potrzeby odszukania i wydania dawnych zabytków piśmiennictwa polskiego, w części zapomnianych, a w części ukrytych po różnych księgozbiorach w kraju i zagranicą, a zarazem ogłosił pięć zadań konkursowych w przedmiotach: nauk wyzwolonych, wymowy, historyi, matematyki i historyi naturalnéj, wszystkie zastosowane do podań i potrzeb krajowych. Jednym z nich było:

„Oddając hołd winnéj pochwały Mikołajowi Kopernikowi, pokazać jak wiele winne mu były nauki matematyczne, mianowicie astronomia, w wieku w którym żył; z których poprzedników, jak wiele i jakim sposobem korzystał, i jak wiele mu są winne w czasie teraźniejszym."

Na zadanie to odpowiedział Jan Śniadecki znakomitą rozprawą *o Koperniku*.

W gronie pierwszych założycieli zasiadał Tadeusz hr. *Mostowski*, który dał się już świetnie poznać w poprzednim wieku jako mąż prawdziwéj nauki i wysokich zdolności. Syn wojewody mazowieckiego, nakładca i redaktor *Gazety narodowéj i obcéj*, pojął naglącą potrzebę, wśród ówczesnych okoliczności wprowadzenia jak najprędzéj w życie, myśli w łonie *Towarzystwa Przyjaciół Nauk* podjętéj, ratowania ojczystéj mowy. Celem ku temu najdzielniejszém było rozpowszechnienie dzieł pisarzy tak ze złotego wieku literatury z doby Jagiellonów, jak i zakresu tylko co zgasłego.

Postanowił przeto rozpocząć wydawnictwo utworów najcelniejszych pisarzów polskich, i potemu założył wielką drukarnię we własnym pałacu przy ulicy *Przejazd* i *Nowolipie*, (późniejszym gmachu ministerstwa *spraw wewnętrznych i policyi)*. Ogromny nakład na to poświęcił, bez myśli zwrotu. Sprowadził najlepszych zecerów i presserów z zagranicy, jak i najpiękniejsze czcionki z Paryża i Lipska i w tak kosztownéj drukarni rozpoczął pomnikowe wydawnictwo p. n. *Wybór pisarzów polskich*, które ukazało się już w roku 1803, w XI-tu przepysznych tomach.

Druk, papier, odbicie, odznaczały się szczególną starannością jako też i korrektą. Wizerunki pisarzów, których dzieła ogłaszał Mostowski, były rytowane na stali przez biegłego w Warszawie rytownika J. Ligbera.

Na czele tego wydawnictwa położył, i słusznie, dwa tomy poezyi Jana Kochanowskiego. W przedmowie swéj, rzuciwszy pogląd na smutne położenie kraju, po zapowiedzi że w téj publikacyi zamierza objąć utwory z dwóch tak odległych okresów, zamyka rzecz swoją temi słowy:

„Gdy porównaniu historycznemu podlegać mają dowcipu polskiego płody, z dwoistéj, a bardzo różnéj epoki; należy zatém dzieła jednego i drugiego czasu wydawać takie, jakie były, bez odmiany, wiernie, z wdziękami i wadami swemi. Wprawdzie możnaby, jak niektórzy chcieli, poprawiając błędy, skracając pisma, odświeżając wyrazy pisarzów dawniejszych, dać im dla teraźniejszych czytelników zabawniejszą postać; ale tym sposobem zatarta cecha wieku Zygmuntów, jużby nie okazała ani różnicy czasów, ani odmian istotnie w języku naszym zaszłych. Z uszanowaniem więc, zostawiam szaty właściwe Janowi Kochanowskiemu i innym dawniejszym pisarzom; zachowana jest ich ortografia, objaśniane tylko ile możności, słowa zaniedbane i mniéj zrozumiałe, wyrazami teraz używanemi.“

Widzimy z tego jak dobrze Mostowski pojmował obowiązki wydawcy tak pożytecznéj publikacyi; co do jéj zewnętrznéj strony, z całą skromnością na końcu swéj przedmowy mówi:

„Nie oszczędzałem starania, ażeby wykonanie niniejszego przedsięwzięcia, co do poprawności dzieł, piękności sztychów, liter i papieru, godne było pisarzów których wydaję i celu który sobie zamierzyłem, a ten jest, aby ta praca tak współczesnym jak potomnym, pożyteczną i miłą być mogła.“

W tym pierwszym roku wydawnictwa, wyszły z pod prassy, „w drukarni N. 646 na Nowolipiu:“ dzieła: Jana Kochanowskiego tomów 2. J. U. Niemcewicza tomów 2. A. Naruszewicza, Historyi polskiéj tomów 5. Tacyta kronika w przekładzie Kazimierza Kojałowicza tom 1. Dzieła Józefa Szymanowskiego i Kajetana Węgierskiego tom 1. Dwa lata następne 1804 i 1805 Mostowski prowadził tę publikacyę i wydał: Tom ostatni *Historyi Polskiéj* Naruszewicza; dwa tomy jego wierszy, oraz *Dyaryusz* i *Taurykę:* tłumaczenie Tacyta w czterech tomach i znakomicie skreślony przez tego wielkiego badacza: *życiorys Jana Karola Chodkiewicza.* Obok tego *Sielanki Polskie, Kroniki St. Orzechowskiego* i *Dzieje Łukasza Górnickiego;* naostatku *Życie Sławnych Polaków* w trzech tomach i na 26 tomie zamknął swoje wydawnictwo.

Pomimo jego okazałości, ceny nadzwyczaj umiarkowanéj, potrzeba było lat blisko czterdziestu, do wyczerpania téj edycyi: dziś ona stała się rzadkością bibliograficzną i ozdobą każdéj biblioteki [1]).

[1]) Tadeusz Antoni hrabia Mostowski, urodził się w Warszawie 1766 r.

W roku 1802 Fryderyk Wilhelm król pruski, odwiedził Warszawę, wcieloną do swego państwa, a gdy mu przedstawiono prośbę o udzielenie najwyższego pozwolenia, do zajmowania się *Towarzystwa* naukowemi pracami, w odpowiedzi, otrzymano urzędowy *patent* w następnych słowach:

„Król *Imć* pruski, bardzo mile przyjął dysertacye i mowy, które *Towarzystwo Przyjaciół Nauk w Warszawie*, złożyło mu przez swego prezesa Albertrandego biskupa Zenopolitańskiego pod datą 25 z. m. Daję więc poznać wspomnionemu Towarzystwu, swoje zupełne potwierdzenie, a będąc przeświadczony, iż nie ustanie w chęci zasługiwania się na jego protekcyę, z ukontentowaniem zapewnia je o niéj i przytem prosi Boga, aby je miał w swéj świętéj i godnéj opiece.

W Poznaniu 1 lipca 1802 roku.

Fryderyk Wilhelm.“

Dzieje tego Towarzystwa podzielić potrzeba na trzy wydatne okresy: *pierwszy* od 1800 do końca 1806; drugi obejmuje czas istnienia Księztwa warszawskiego od 1807 do 1815: trzeci i ostatni od 1815 do 1831. *W pierwszym*, miejscem zebrań publicznych była Biblioteka księży Pijarów, *w drugim*, otrzymało w darze od Stanisława Staszica dom jego na *Kanoniach*, położony obok bramy zamku królewskiego, *w trzecim*, już się przeniosło do wspaniałego gmachu na Krakowskiém Przedmieściu, które tenże Staszic, w miejscu po zburzonym kościele i klasztorze księży *Dominikanów Obserwantów*, własnym kosztem zbudował i pomienionemu Towarzystwu ofiarował.

Czynność wydatną rozwinęło Towarzystwo zaraz w piérwszych latach swego istnienia. Oprócz wydawnictwa Tadeusza Mostowskiego, powstał *Pamiętnik Warszawski* pod redakcyą *Franciszka Dmochowskiego*, męża wielkich zasług tak dla spraw krajowych, jak i na niwie literackiéj.

Prace podjęte przez pojedyńczych członków, wykończały się chętniéj i śpieszniéj, ażeby w obec Towarzystwa znajdowały właściwą ocenę. To téż prezes Albertrandi, na posiedzeniu publiczném 1802 r. już miał się z czém pochlubić, gdy przywodził obecnym na

---

Wysoko wykształcony w młodych leciech, już w zawodzie prawnym się odznaczył za Stanisława Augusta. Miał majętności we Francyi, które administrował rozumnie. Od 1802 r. zamieszkał w Warszawie. Po utworzeniu Księztwa warszawskiego 1812 r. mianowany ministrem spraw wewnętrznych okazał tak wysokie zdolności, że i po ogłoszeniu Królestwa 1815 r. pozostał w tych obowiązkach. Jemu należy wielka zasługa, że przy rozwoju przemysłu i fabryk, wiele miast wzrosło, lub powstało. Działalność jego wykazuje szczegółowo F. M. Sobieszczański w dokładnym życiorysie drukowanym w *Encyklopedyi Powszechnéj* S. Orgelbranda tom XVIII.

pamięć: z natchnienia Towarzystwa o napisanéj: *Nauce obyczajowéj dla ludu* przez księdza *Piramowicza*; o dziele księcia Aleksandra Sapiehy: *O miarach i wagach polskich. O gramatyce polskiéj* księdza *Kamieńskiego*, o *Słowniku* języka polskiego *S. B. Lindego*; o *Obserwacyach astronomicznych Jana Sniadeckiego*. Obok tego, mógł już wymienić rozpoczęte prace innych członków Towarzystwa: J. Kalasantego Szaniawskiego w *filozofii*, księdza *Zaborowskiego* w *matematyce*, Stanisława i Aleksandra *Potockich* w *architekturze*, generała *Komarzewskiego* w *mineralogii*, *Jundzilla* i innych w naukach przyrodzonych.

W tém szanownem gronie dostojnych mężów, skupiały się wszelkie prace naukowe ze wszystkich gałęzi, zespalali się z sobą pracownicy jedną myślą i uczuciem połączeni.

Spokój na horyzoncie politycznym sprzyjał tym usiłowaniom; z daleka tylko, od brzegów Sekwany dochodziły groźniejsze wieści.

Szósty rok już się kończył tego spokoju, gdy nagle od Zachodu zaczęła nadpływać gromami ciężarna burza. Kiedy mieszkańcy Warszawy z ciekawością chwytali na ucho podawane wiadomości drogą tajemną, prawdziwe, a prędzéj niż gazety dochodziły; pomiędzy urzędnikami pruskimi jakiś zaczął panować niepokój, a po nim i trwoga.

Nagle jak piorun spadła wieść o bitwie pod *Jena*, i rozbiciu całéj armii pruskiéj, a z nią całéj potęgi tego państwa lepionego z taką troskliwością. Klęska była tak straszna, że dwór Berliński musiał się zdać na łaskę i niełaskę sławnemu zwycięzcy. Dnia 14 października 1806 r. stoczoną była ta pamiętna w dziejach Europy walka, a w końcu listopada patrol dragonów francuzkich ukazał się na *Krakowskiém-Przedmieściu*. Dzień był śnieżny i wielkie błoto po ulicach, właśnie biegł do chorego doktor *Wolf* (ojciec Maurycego Wolfa, słynnego w naszych już teraźniejszych czasach lekarza), gdy usłyszał jak z tego patrolu zawołał głośno podoficer, patrząc z pogardą na nasze miasto:

— „I toż to Polacy mogą nazywać swoją ojczyzną?!"

Cicho i skrycie już wszyscy Prusacy uciekli na Pragę, a gdy Warszawa jak na skinienie rószczki czarodziejskiéj zajaśniała płomieniem illuminacyi, i łuna od niéj oświeciła to przedmieście zawiślańskie, drżąc ze strachu, teraz nie brykami ani wózkami, ale pieszo uchodzili z pośpiechem, aby tylko dostać się coprędzéj do granic swéj ojczyzny [1]).

---

[1]) Właśnie było w dniu tym w teatrze narodowym na Krasińskim placu widowisko, gdy usłyszano głos nadbiegłego z ulicy: „Francuzi! Francuzi!" W mgnieniu oka zarówno widzowie jak i aktorzy wybiegli na miasto, aby ujrzeć sławnych zwycięzców świata.

Zaraz w następnym roku ogłoszoném zostało *Księztwo Warszawskie*, a panującym w niém *Fryderyk August* król Saski.

Wielka armia francuzka przepłynęła jak huragan przez Warszawę, zostawiając po sobie ślady zniszczenia. Huk dział i wrzawy wojennéj powoli oddalał się od jéj murów. Dopiero w następnym roku, po organizacyi księztwa Warszawskiego, minister sprawiedliwości Feliks Łubieński wyjednał wpływem swoim u dworu Saskiego, nowy patent ustalenia Towarzystwa Przyjacioł Nauk, wydany w formie dekretu królewskiego w Dreznie dnia 30 kwietnia 1808, w dosłownéj osnowie:

„Fryderyk August z Bożéj łaski król Saski, książe Warszawski etc. etc.

„Cokolwiek do pomnożenia światła w narodach pieczołowitości naszéj powierzonych i do rozkrzewienia nauk pożytecznych pomagać jakimkolwiek sposobem może, nigdy niezdało się dalekiém, od baczenia i najwyższego wsparcia naszego. A kiedy do tego przystępuje jeszcze nadanie poloru wyborniejszego i obfitości zupełniejszéj językowi, w krajach panowaniu naszemu podlegających, użytemu temu językowi, który w całym życia naszego ciągu, nie był nam nigdy obojętnym; powinnością naszą być rozumiemy, całą zupełnością władzy naszéj do tego się przyłożyć, aby tak szlachetne zamiary skutku nie były pozbawione, ale owszem i pilnie utrzymane i troskliwie były do doskonałości przywiedzione. Przeto gdy do naszéj wiadomości doszło, iż *Towarzystwo Warszawskie Przyjaciół Nauk*, utworzone z szczeréj ochoty członków wybranych, które się z sobą wzajemnie połączyły tym jedynie umysłem, aby szczątki literatury swojéj narodowéj w całości utrzymywały, język rodowity, od niebezpieczeństwa zagłady zachowały, nauki wszystkie wytworne i gruntowniejsze podług przemyślnych wynalazków i potrzeb tego wieku wydoskonaliły, a przez nauki nowe dostatki językowi obmyśliły: w téj zaś wiadomości, gdyśmy dostateczniéj ugruntowani zostali rozpatrzeniem się w ustawach, które sobie toż Towarzystwo przyjęło i dotąd ściśle zachowuje, także przejrzeniem *Roczników* dotąd od Towarzystwa wydawanych a nam przedstawionych: osądziliśmy za rzecz słuszną przychylić się do żądania od członków tegoż Zgromadzenia, z głęboką uniżonością nam przełożonego, i dać im poznać skutków pomyślnych naszéj królewskiéj ku nim łaskawości. Dla czego *Towarzystwo Warszawskie Przyjaciół Nauk*, ze wszystkiemi weń wchodzącemi osobami w państwach naszych obecnemi, lub z jakiego względu do państw naszych należącemi, ile się w granicach ustaw swoich zachowują; tudzież ustawy te same i wszystkie własności ruchome i nieruchome tegoż Towarzystwa pod naszą królewską opiekę przyjmujemy i naszą najwyższą łaskawą protekcyę onemu zaręczamy, pozwalając nadto, aby pomienione Towarzystwo w pismach swoich, patentach, zaświadczeniach, pięczęciach, tytułu: *Towarzystwa Królewskiego Warszawskiego Przyjaciół Nauk*, używało, spodziewając się iż tego za-

szczytu tak użyje, jak wyroku onego zacność wymaga. Wzywamy oraz do tego Zgromadzenia należących i nadal należeć mających, aby z podwójną ochotą i gorliwością dążąc do celu sobie zamierzonego, dalszych się względów i łask naszych królewskich godnemi stawali.“

Tak zostawszy ustalone w nowo powstałém państewku, i pozyskawszy zaszczyt do skromnéj swéj pierwotnéj nazwy dodania tytułu *królewskiego* Towarzystwa, w oczach kraju całego podniosło się i stało się celem do składania ofiar na zgromadzające się zbiory naukowe w jego łonie.

W znak wdzięczności dla panującego, Towarzystwo Przyjaciół Nauk wybiło medal srebrny, wielkości dużego talara. Z jednéj strony jest popiersie króla Fryderyka Augusta z napisem: „Fryderyk August i książe warszawski,“ z drugiéj: „Fryderykowi Augustowi królowi saskiemu, piérwszemu książęciu warszawskiemu, Towarzystwo Królewskie Przyjaciół Nauk przez niego ustalone 1808“ [1]).

Pierwszy zakład biblioteki Towarzystwa był darem księcia *Aleksandra Sapiehy*, który ofiarował około 6000 ksiąg z własnego księgozbioru, i uczynił zapis na starostwie *Preny*, w posiadaniu jego będącém, kapitału stó tysięcy złpol., z którego procent po 5000 złpol. rocznie, ma być używany przez lat pięćdziesiąt na pomnożenie biblioteki.

Wdowa po słynnym doktorze Leopoldzie Lafontain'ie, cały księgozbiór, po większéj części dzieł lekarskich po swoim mężu ofiarowała i radca stanu Łuba, dzieł tysiąc kilkaset. Dary pojedyńcze, zarówno jak zakup coroczny z funduszu Sapiehy, pomnażał ten szacowny księgozbiór, dwa razy w tydzień dla użytku publiczności otwierany.

Gabinet mineralogiczny założony zbiorem samego Staszica, bogacił się zwolna ofiarami obywateli z różnych okolic kraju; nadto zaczęło się składać *Muzeum starożytności* krajowych i pamiątek z przeszłości, bo każdy co jaki drogocenny zabytek posiadał, ochoczo przynosił Towarzystwu z tém miłém przekonaniem, że obrócone to zostanie na korzyść ogółu. Generał Henryk Dąbrowski, będący członkiem tego Towarzystwa, obdarzył je pysznym darem, bo swoją zbrojownią w raz z wielą drogocennemi pamiątkami historycznemi.

Kiedy wciągu tych kilku lat Towarzystwo coraz się rozwijało, w roku następnym 1809, nowa a niespodziewana burza nadciągnęła, która wstrzymała jego prace, a wielu członków do opuszczenia Warszawy zmusiła. Jeden z nich Cypryan Godebski poeta-żołnierz stanął na czele swego pułku, aby w walce pod Raszynem życie oddać, w powstrzymywaniu armii austryackiéj: drudzy po kapitulacyi jakkolwiek zaszczytnéj miasta, jako członkowie rządu, za swemi chorągwiami poszli. Tryumf Austryaków był krótki, bo gdy Napoleon I-szy

---

[1]) Medal ten oglądaliśmy w pięknym zbiorze numizmatycznym b. professora, dziś emeryta p. Duchnowskiego w Kielcach.

pobił ich główną armię, książe Ferdynand musiał granice księztwa Warszawskiego jak najspieszniéj opuścić.

Warszawa oswobodzona od niemców oczekiwała zwycięzców. Towarzystwo Przyjaciół nauk przygotowało się do uczczenia ich godnie. Najgłośniejszy z poetów ówczesnych Ludwik Osiński miał poleconém napisanie wiersza odpowiedniego. Nazajutrz oznaczonym był dzień na ten obchód w Towarzystwie, a Osiński jeszcze nie miał nic zaczętego. Wyszedł pod wieczór więc na *Stare Miasto* w zadumie, i stanął pod murami *Ratusza*, co stał w rynku z czasów jeszcze udzielnych książąt Mazowieckich. Był to wieczór 21 grudnia, gwar ucichł dzienny, i tu spłynęło nań rzeczywiste natchnienie poetyczne. *Oda* którą nazajutrz melodyjnym swoim głosem wydeklamował, porwała i oczarowała wszystkich.

I zaprawdę, jest to najwznioślejszy utwór, opromieniony prawdziwą poezyą, jaki wyszedł z pod pióra Osińskiego.

Stanisław hr. Potocki odczytał *pochwałę walecznych*, co polegli w téj walce. Wymowny jego głos poruszył każdego. Dla uświetnienia tego obchodu, posiedzenie odbyte zostało *w Pałacu Saskim*, w kaplicy dawniéj królów Saskich. Rezydent francuzki *Serra*, członek honorowy Towarzystwa Przyjaciół Nauk, uniesiony ogólnym zapałem zaimprowizował wiersz w swoim języku, który grzmot oklasków wywołał. Posiedzenie zakończone zostało *marszem* Józefa Elsnera członka także tego Towarzystwa.

Słyszałem w wiele lat późniéj sędziwego wojownika co walczył we Włoszech, w San-Domingo i Hiszpanii, gdy przywodził sobie na pamięć to posiedzenie w dniu 22 grudnia 1809 roku Towarzystwa Przyjaciół Nauk.

— Tak byłem rozrzewniony, tak zachwycony, mówił, że pragnąłem umrzeć nieprzechodząc progu tamtéj sali. Dziś gdy przypominam sobie ów dzień, czuję się odmłodzonym.

W pośród rozwoju nowéj organizacyi księztwa Warszawskiego, wprowadzenia *Kodeksu Napoleona*, i podziału na departamenta, w śród ruiny obywateli ziemskich, na wydatki armii i spełnianie wymagań cesarza Napoleona I-go, nie było swobodnego czasu dla poświęcenia go naukom. Nie było i nieznano wówczas literatów z rzemiosła, bo każdy z piszących miał stałe obowiązki w służbie krajowéj, a wolne chwile wytchnienia, jedynie mógł pracy umysłowéj oddać: ztąd i Towarzystwo Przyjaciół Nauk statecznie i bez przerwy nie mogło dla nauki pracować; przerwy te powodowały wypadki ówczesne krajowe a nie ospałość członków pomienionego Towarzystwa. W saméj społeczności naszéj, mało było ochotników pióra: ztąd w całym ciągu lat trzydziestu na ogłaszane konkursa Towarzystwo tylko pięć nagród przyznało: z tych, *Janowi Sniadeckiemu* za rozprawę o *Koperniku*, doktorowi medycyny *Lernetowi* z Wilna za rozprawę

o *Morowéj zarazie;* doktorowi *Fijałkowskiemu* z Warszawy, za *Instrukcyę* ułożoną stosownie do pojęcia średniéj klasy mieszkańców, jak się mają zachować, aby nieuszkodzić zdrowia i życia: księdzu *Jakubowi Falkowskiemu* za założenie Instytutu Głuchoniemych i *Antoniemu Cyprysińskiemu* uczniowi Uniwersytetu warszawskiego medal srebny, za opis statystyczny obwodu Sandomierskiego.

Kilkakrotnie powtarzany konkurs w medalu tysiąca złp. wartości (bo dawanie pieniędzy uważano w ówczas za ujmę godności pisarza) za najlepszą tragedyę i podobnaż nagroda przez Ludwika Dmuszewskiego ofiarowana za najlepszą komedyę, bez skutku pozostały.

Nie dziwmy się téj nie ochoczości, ani na tragedyę ani komedyę: czas nie był u nas odpowiedni potemu, gdy dramat w życiu, ciągle z małemi się przerwami odegrywał. Zaledwo najazd austryacki odparto, i ucieszono się pożądanym spokojem w święta *Bożego-Narodzenia* 1809 roku; zaledwie rozpatrzono się w potrzebach kraju: we dwa lata Napoleon I-szy przedsiębierze nierozważną wyprawę do Rossyi 1812 roku, w któréj rozbitą została cała jego potęga, tak groźna Europie. Jeżeli przed rozpoczęciem jéj wielki zapał się pojawia z zaufaniem w geniusz cesarza-wodza: tém większa rozpacz i zwątpienie nastąpiły, po piorunowéj klęsce. Z armii Księstwa Warszawskiego, do 80,000 wynoszącéj, zaledwie kilka tysięcy wróciło. Dramat ten straszny, zakończył się rozpaczą i łzami. Literatura pod hukiem dział i salw ręcznéj broni umilknąć musiała!

Po długich chwilach osłupiałości i zwątpienia, zabłysło téż słonko przed naszemi wroty. Upragniony pokój zawitał, po ostatecznym upadku cesarstwa we Francyi, i osadzeniu na pustéj skale swiętéj Heleny bohatéra wieku; gdy na *kongresie wiedeńskim* utworzono Królestwo Polskie, cesarz Aleksander I-szy dekretem swoim zapewnił byt Towarzystwu Przyjaciół Nauk, który brzmi w słowach następnych:

„My z Bożéj łaski Aleksander I-szy Cesarz Wszech Rossyi, Król Polski etc. etc.

„Cokolwiek do pomnożenia światła w narodach pieczołowitości naszéj powierzonych, i do rozkrzewienia nauk pożytecznych dopomagać jakimkolwiek sposobem może, nigdy nie zdało się dalekiém od baczenia i najwyższego wsparcia naszego. A kiedy do tego przystępuje jeszcze nadanie poloru wyborniejszego i obfitości zupełniejszéj językowi polskiemu, tak wielkie mającemu podobieństwo z językiem w Cesarstwie Wszech Rossyi używanym, a który tém bardziéj zwraca na siebie troskliwość naszą, iż przy teraźniejszém przez nowe węzły połączeniu dwóch narodów, nowe ztąd pożytki, dla obu języków wyniknąć mogą; powinnością naszą być rozumiemy, całą zupełnością władzy naszéj do tego się przyłożyć, aby tak szlachetne zamiary skutku nie były pozbawione, ale owszem, istotnie utrzymane i troskliwie były ku doskonałości przywiedzione.

„Przeto, gdy do naszéj wiadomości doszło, iż Towarzystwo Przyjaciół Nauk, utworzone ze szczéréj ochoty członków wybranych, które się były z sobą wzajemnie połączyły, tym jedynie umysłem, aby szczątki literatury swojéj narodowéj w całości utrzymały, język rodowity od niebezpieczeństwa zagłady zachowały, nauki wszystkię i wytworne i gruntowniejsze podług przemyślnych wynalazków i potrzeby tego wieku wydoskonaliły, a przez nauki, nowe dostatki językowi obmyśliły; w téj zaś wiadomości, gdyśmy dostatecznie ugruntowani zostali rozpatrzeniem się w ustawach, które sobie też Towarzystwo przepisało i dotąd ściśle zachowuje, także przejrzeniem Roczników dotąd od Towarzystwa wydawanych, a nam przedstawionych: osądziliśmy za rzecz słuszną i przyzwoitą przychylić się do żądania od członków tegoż zgromadzenia z głęboką uniżonością nam przełożonego i dać im doznać skutków pomyślnych naszéj królewskiéj ku nim łaskawości. Dla czego *Towarzystwo Warszawskie Przyjaciół Nauk*, ze wszystkiemi weń wchodzącemi osobami, w państwach naszych obecnemi, lub z jakiego względu do państw naszych należącemi, ile się w granicach ustaw swoich zachowają, tudzież ustawy te same i wszystkie własności ruchome i nieruchome tegoż Towarzystwa, pod naszą królewską opiekę przyjmujemy i naszę najwyższą łaskawą protekcyę onemu zaręczamy, pozwalając nadto, aby pomienione Towarzystwo w pismach swoich, patentach, zaświadczeniach, pieczęciach, tytułu: „Towarzystwa Królewskiego Warszawskiego Przyjaciół Nauk używało."

„Spodziewając się, iż tego zaszczytu tak użyją, jak wyroku onego zacność wyciąga, wzywamy oraz do tego zgromadzenia należących i nadal należéć mających, aby z podwojoną ochotą i gorliwością dążąc do celu sobie zamierzonego, dalszych się względów i łask naszych królewskich godnemi stawali. Dan w Petersburgu d. 13/25 marca 1816 r."

(Dalszy ciąg nastąpi).

FILIP KALLIMACH.

PRZEZ H. ZEISSBERGA.

Z niemieckiego przełożył K. P.

(Dokończenie).

II.

Na początku 1490 roku, przypada poselstwo Kallimacha do papieża Innocentego VIII, który w dniu 24 sierpnia 1484 roku, po śmierci Syxta IV wstąpił na tron papiezki. Cel poselstwa tego był dwojaki, jak to widocznem jest z mowy Kallimacha do papieża. Najprzód zaleconém mu było odciągnąć Innocentego, który ustawicznie myślał o powszechnéj krucyacie przeciwko Turkom, od niewykonalnego planu

połączenia jednocześnie całego chrześcijaństwa przeciwko dziedzicznemu nieprzyjacielowi krzyża, a w miejsce tego wykazać korzyści, jakie mogłyby wyniknąć ze ścisłego połączenia papieża z królem polskim, który więcéj od wszystkich innych książąt przygotowanym był do wojny z Turkami. Jednocześnie Kallimach zużytkować miał zwycięstwo, które Jan Albert odniósł był świeżo nad Tatarami, ażeby otrzymać godność kardynalską dla szóstego i najmłodszego syna Kazimierza, który w 1488 r. przez kapitułę, biskupem krakowskim wybranym został. Że mowa ta Kallimacha do papieża miała miejsce w 1490 r., sam o tém wyraźnie powiada; że zaś na początku tego roku, to dowodem tego jest, iż wspomina w niéj o królu Macieju jako o żyjącym, wiadomo zaś iż Maciéj umarł 6 kwietnia tegoż roku; o zaszłych zaś w skutek jego śmierci, ważnych w wielu względach zmianach, nic nie wspomina.

W biograficznym tym szkicu, nie sposób jest rozszerzać się o szczegółach mowy Kallimacha do papieża, w ogólnych jednak zarysach streścimy ją tutaj.

Kallimach przedstawia tu najprzód, iż wszystkie przez papieży zamyślone przeciwko Turkom przedsięwzięcia, (wyjąwszy tylko planów Piusa II, których spełnieniu przedwczesna śmierć jego przeszkodziła), wykonanemi być nie mogły głównie w skutek przecenienia sił nieprzyjaciela, oraz dlatego, iż tworzono zawsze chimeryczny i niewykonalny plan połączenia w jednym czasie wszystkich książąt chrześcijańskich przeciwko Turkom. Obszernie o tém rozwodzi się Kallimach, wyjaśniając swe uwagi na podstawie tego co własnemi widział oczyma. Co się tyczy mniemania, że Turcya jest krajem ubogim i wyludnionym, że ani wojska, ani pieniędzy mieć nie może, ileby potrzebowała dla swojéj obrony, odwoływał się na to co sam widział, podczas swéj ucieczki na Trojańsko-Frygijskie wybrzeża, jak niemniéj także w czasie ostatniego poselstwa swego do Konstantynopola. „Nie chcę—powiada on tutaj—mówić o wielu stratach, które Turcy ponieśli niedawno od Usun-hassana w Mezopotamii, a w ostatnich czasach od sułtana (egipskiego) w Syryi, jak również o licznych klęskach doznanych od Karamanów w Cylicyi u stóp Taurusu i pod Candelorum, gdzie tylu ich zginęło nie tylko od miecza, lecz w skutek głodu, braku wody i innych dolegliwości; ci zaś co pozostali, bladzi i wychudli powrócili podczas pobytu mego w Konstantynopolu: wówczas wstydziłem się w duszy, że cała potęga wszystkiego chrześcijaństwa za niezwalczonych uważała tych, których jak naocznie się przekonałem, klimat nieprzyjazny zupełnie prawie zniszczyć był w stanie. Nie należy więc tedy pytać jak wielka jest ich liczba, lecz tylko czy istnieją jeszcze. Sam byłem w Azyi na długo przed nieszczęśliwą dla Turków wyprawą i wówczas już wszędzie tak wielki był brak ludzi, że w wielu miejscach troszczono się w jaki sposób oprzéć się w razie, jak się spodziewano, wtargnięcia Usun-hassana na Pontus i Bitynię. Troski te obawy zapewne zwiększyć się musiały po tylu dotkliwych klęskach. Nie uszło także

mojéj uwagi jak mało Turków w Europie mieszka. Nie tylko dawniéj ale i teraz gdy w sprawach wołoskich, jako poseł od króla polskiego do Turcyi jechałem, wzdłuż morza przez Niższą Mezyę i Tracyę nie znalazłem na méj drodze jako téż w powrocie przez środkową Tracyę i Wyższą Mezyę aż do Macedonii, żadnego miejsca, żadnego miasta, żadnéj twierdzy dostatecznie ufortyfikowanéj, do tego stopnia, że ci co je zakładali, nie przypuszczali chyba możebności jakiejkolwiek wojny. Ludność zaś tak jest tam małą, że gdy cudzoziemcy przyjeżdżają, chciwie zbierają się aby się im przypatrywać. Gdy jako pełnomocnik króla, w licznym orszaku przejeżdżałem tamtędy, młodzi i starzy, wszyscy z chat swoich wybiegali, aby nas oglądać. Przy téj okoliczności zauważyć mogłem jak ich jest niewiele, dziwiłem się także ich nędzy i niechlujstwu, wydawało mi się bowiem iż wychodzą nie z mieszkań ludzkich, lecz z brudnego więzienia, w podartych odzieżach, wychudli i wybladli, tak, że raczéj litość niż obawę wzbudzić mogli. Mając taki widok przed oczyma, tém bardziéj żądny byłem widzieć Konstantynopol, gdzie, ażeby w stosunku do wielkości miasta powiększyć ludność jego, na rozkaz sułtana, sprowadzono ludzi ze wszystkich stron państwa, iżby jeśli wojna w tych okolicach toczyć się będzie, ludzie pustki tylko za sobą zostawiali. Wyobrażałem więc sobie że tam dopiéro znajdę ludność, odpowiadającą obszarom, przez które przejeżdżałem. Także przyszło mi na myśl, że mnóstwo żydów ze wszystkich stron świata tam się ściągało. Wojska tureckie nigdzie za granicą kraju zajęte nie były, przypuszczałem tedy, iż wszystkie siły zbrojne około władzcy swego zgromadzone były. Wprawdzie niezupełnie omyliłem się w moich przypuszczeniach i chociaż zastałem tam bez porównania więcéj ludzi jak wszędzie w ciągu méj podróży, to jednak przechadzając się po ulicach, ten sam co i w podróży zastałem widok: wszędzie brudne łachmany, taż sama chudość twarzy i ciała; tylko w progu sułtańskiego dworu ruch się powiększa; również widziałem rękodzielników lepiéj odzianych wychodzących z fabryk i mieszkań swych, w każdym jednak razie ich liczba nie odpowiadała moim oczekiwaniom."

I tą razą także skutek mowy i poselstwa Kallimacha jest nam nieznany. Królewicz Fryderyk dopiéro 30 września 1493 r. mianowany został kardynałem, w skutek nowych starań jego braci Jana Alberta króla polskiego i Władysława króla czeskiego i węgierskiego u następcy Inocentego VIII, papieża Aleksandra VI. Kapelusz zaś kardynalski przesłany mu został dopiéro w 1495 r.

Śmierć Macieja króla węgierskiego, dała zupełnie inny kierunek najważniejszym sprawom politycznym owego czasu, zwróciła téż naszego Kallimacha na zupełnie inne pole. W liczbie kandydatów do tronu węgierskiego wystąpił Jan Albert, trzeci syn Kazimierza, (gdyż drugi także Kazimierz zmarł był w 1484 roku). Podanie Ludwika Tubero, że Kallimach, który teraz miał miejsce sekretarza u dawnego swojego ucznia, zachęcił go był do przyjęcia wezwania na tron, które mu przesłał Stefan Batory w imieniu nie licznego stronnictwa, potwierdza także elegia Kallimacha do swego krakowskiego przyjaciela Jana Miri-

ca, a o której niżéj mówić będziemy. Że Kallimach towarzyszył królewiczowi w jednéj przynajmniéj z dwóch nieszczęśliwych wypraw do Węgier, które przedsiębrał, aby swe roszczenia siłą oręża poprzeć, znajdujemy na to dowód w współczesném świadectwie. Niespokojny duch Jana Alberta, wkrótce po ukończeniu wyprawy węgierskiéj (1491), w skutek śmierci króla Kazimierza (7 czerwca 1492 r.), ku innym zwrócił się celom.

Następujące bezkrólewie nie nader pomyślném było dla Kallimacha. W liście do Lactantiusa Thedalda, datowanym z Wiednia 22 października 1492 r., pisał on: „Gdy przed niedawnym czasem osierocenie państwa, dało pochop moim przeciwnikom, bezkarnie przeciw mnie powstawać, a młodzi królewicze dostatecznéj obrony dać mi nie mogli, musiałem więc ustępować przed zawiścią i niebezpieczeństwem.“ Tym jednak razem nie długie było owe niebezpieczeństwo. W dniu 27 sierpnia 1492 r., Jan Albert obrany został królem polskim, pierwéj zaś jeszcze Litwini wybrali sobie na W. księcia, młodszego ucznia Kallimacha, Aleksandra.

Samo przez się widoczném jest, iż Kallimach wywierał wpływ stanowczy na czynności Jana Alberta, co też wymownie świadczą współczesne źródła. Jemu też przypisywane są rozmaite rządowe plany, maksymy i t. d. w formie pamiętników dla króla przeznaczonych a znajdywane w rękopismach.

Te tak zwane „*Rady*“ Kallimacha, są jednak często podawane w wątpliwość; nim więc rozbierać będziemy ich znaczenie, należy je bliżéj rozpatrzeć: najprzód koniecznem jest wyśledzić ślady wpływów, jakie Kallimach wywierał na panowanie Jana Alberta, a posiłkując się innémi źródłami, wykryć czy owe „Rady“ wchodzą do systemu politycznych wyobrażeń naszego autora.

Bezimienny jeden autor współczesny (1497—1512), przedstawiając nam w porównaniu do stawionego przezeń dla oppozycyi względem Polski, biskupa warmińskiego Mikołaja von Tüngen, w nader niekorzystném świetle następcę iego Łukasza Watzelrode z Torunia, powiada, iż był to mąż wielce uczony, lecz złych usposobień, a który najgorzéj odpłacił swe wyniesienie na stolicę biskupią, do czego zakon najwięcéj się przyczynił. „Gdyż—dodaje ów pisarz—wraz z innym równie nikczemnym zdrajcą, Włochem Filipem Kallimachem, doradzał on królowi żeby Wołochy i Podole siłą oręża zajął, a mistrzowi zakonu aby przywłaszczył sobie Prusy.“

Myśl tę jednakże nie pierwszy Łukasz Watzelrode podnosił, ani też Kallimach; już długo pierwéj, mianowicie w 1348 r., pogańscy jeszcze Litwini, którzy jednak pozornie chrześcijanizm przyjąć obiecywali, układając się z posłem cesarskim żądali, ażeby zakon przeniesionym został na pustynie oddzielające posiadłości tatarskie od ruskich i żeby w ten sposób bronił się od napadów Tatarów. Odtąd niejednokrotnie była mowa o przesiedleniu zakonu w inne okolicę, w bliskości Turków lub Tatarów, ażeby stosowniéj mógł odpowiedzieć swojemu

przeznaczeniu. Sam nawet Kazimierz, ojciec Alberta (około 1458 r.), miał na myśli osadzenie zakonu na Podolu. W 1463 i 1464 latach plan ten był odnowionym. Wkrótce po wyniesieniu Łukasza Watzelrode na biskupstwo warmijskie, między nim i zakonem powstał spór, wynikły w skutek pociągnięcia przezeń do odpowiedzialności podległego zakonowi kapłana. Spór ten znaczne przybrał rozmiary i biskup poruszył powyższą kwestyę.

Król Jan Albert przystawał na pierwszą część wspomnianego wyżéj planu, która być miała przygotowaniem dla spełnienia drugiéj. Że Kallimach doradzał wyprawę, którą król w 1497 r. do Wołoch przedsiębrał, oprócz innych, źródła polskie poświadczają także; z tego wynika, iż niezaprzeczenie działał on przeciw ogólnym dożnościom szlachty polskiéj, i wyprawa tak fatalnie zakończona, a przedsiębrana pod pozorem obrony kraju od Turków i wygnania ich z obu fortec przy ujściu Dunaju położonych, miała raczéj na celu zdobycie Mołdawii.

Nie naszém jest zadaniem roztrząsać szczegóły téj wyprawy; wyśledzić tylko chcemy udział jaki wziął w niéj Kallimach: dla tego kolejno przepatrzeć zamierzamy źródła odnoszące się do niéj, ażeby z ich świadectw módz do pewnego dojść wyniku.

Z pomiędzy źródeł polskich, najwcześniejszym jest Miechowita; opowiada on, że powszechnie oskarżano Kallimacha, iż zachęcił Jana Alberta do téj wyprawy, a Baltazar Behem ogólnie „złym poradom“ przypisuje to przedsięwzięcie. Dziwném jest że Wapowski, który wyprawę do Mołdawii obszernie opisuje i wspomina o śmierci Kallimacha, w kwestyi téj zupełne zachowuje milczenie. To zaś tém ważniejszém jest, iż Marcin Kromer, który posiłkował się nieraz tym ostatnim i okoliczności towarzyszące śmierci Kallimacha, podług tegoż źródła przytacza, dość obszernie mówi o oskarżeniach rzucanych na naszego humanistę. Inne znów źródło, lecz niestety niezupełnie szczere, znajdujemy we współczesném dziele: „*Elogia doctorum virorum*“ biskupa Pawła Joviusa, który opisawszy w krótkości dawniejsze losy Kallimacha, w ten sposób mówi: „Po śmierci Kazimierza, Kallimach znaczne wpływy posiadał u następcy jego Jana Alberta i w skutek tego taką nienawiść przeciw sobie wywołał, że oskarżając go iż spowodował klęskę wołoską i że doradzał królowi użycie środków tyrańskich w państwie, z dworu został wyrugowany. W złośliwy bowiem sposób doradził był, ażeby szlachtę która opierała się wypłaceniu żądanych summ pieniężnych i prowadzeniu wojny, wydać na sztych nieprzyjacielowi, iżby na przyszłość nikt nie pozostał dla obrony zagrożonéj wolności. Podczas gdy król zaledwie znieść mógł tęsknotę po nieobecnym, Kallimach niedługo przeżył swą hańbę i umarł w tém nawpół wygnaniu w jednéj wiosce sarmackiéj, u dawnego przyjaciela w ukryciu, tak że śmierć jego w tajemnicy trzymano i niepogrzebane zwłoki jego w piecu wysuszone, w szafie ukryte zostały. Gdy Albert dowiedział się o tém, kazał je sprowadzić do Krakowa i złożyć w kościele Trójcy Św. pod grobowcem ze spiżu.“

W tém podaniu Joviusa, tak jak we wszystkich jego szkicach biograficznych, zawiera się trochę prawdy a więcéj jeszcze fałszu. Że w Polsce niechętném okiem patrzano na tę wyprawę Alberta do Wołoch, powiedziało się już powyżéj; że jednak Kallimach w skutek klęski wołoskiéj do odpowiedzialności był pociągnięty i ze dworu wygnany, to tém jedném zbija się, że końca jéj nie dożył. Przypuszczać więc można, że Jovius miał na myśli prześladowanie, którego Kallimach miał doznać dawniéj jeszcze, zaraz po przybyciu swoim na dwór, a wspominając iż ukrył się był u „dawnego przyjaciela“ zapewne chciał mówić o Grzegorzu z Sanoka. Wszystkie te jednak szczegóły dowolnie układał Jovius, a owe prześladowanie Kallimacha, jako naturalne następstwo jego polityki, zdawało mu się koniecznem. Podanie o śmierci jego, którego bezzasadność tak łatwo wykazać, najzupełniéj jest zaprzeczone przez podany poniżéj list Ottaviana di Guecio. Relacya jednak Joviusa, przy wielkiém rozpowszechnieniu jego dzieła, przyjęta była przez wielu pisarzy. Znajdujemy ją u Liliusa Gregoriusa Gyralda z Ferrary, który dzieło swe: „Dwa dyalogi o współczesnych poetach“ przypisał księżniczce Renacie z Ferrary, i u Kromera. Ten ostatni jednak znacznie ją odmienił i przyozdobił.

Kromer przywodzi także że Kallimach, dla wpływu, jaki wywierał na królu, znienawidzonym został przez szlachtę polską; dodaje jednak iż oskarżano go że w pływów tych używał ażeby sprzedając urzęda wzbogacić się. I zarówno jak Jovius, powiada on daléj, że zarzucano Kallimachowi, iż doradzał królowi użycie środków tyrańskich. Wié on także o usiłowaniach szlachty, ażeby znienawidzonego ulubieńca królewskiego strącić z jego stanowiska, ale próby te inaczéj jak Jovius przedstawia, mówi bowiem: „....Zkąd zaprawdę, na niezmierną nienawiść u Polaków zebrało się było Kallimachowi, którą jednak przez bojaźń potęgi jego poniekąd pokrywano, aż jednego czasu, gdy on poselstwo imieniem królewskiém u Wenetów i u papieża odprawując, wrócić się do Polski nie zdał, wszystka ona nienawiść na wierzch wybuchnęła. Ale zaś znowu gdy się ten nawrócił, nie tak dalece utęchniona, jako potajona, dokąd jego żył, była (*Ed. Turows*).“ Widoczną jest rzeczą, dla czego tutaj Kromer opuszcza swe źródło. Kromer któremu odmówić nie można pewnego krytycznego poglądu, w stosunku szczególniéj do Długosza, poznać musiał jak bardzo w sprzeczności z historyą owych czasów było podanie Joviusa, szczególniéj gdy mówi o wygnaniu Kallimacha ze dworu. Zresztą świadectwo Kromera jest zupełnie dokładne i potwierdzone przez to co sam Kallimach powiada o swém poselstwie do Wenecyi w 1478 roku, tylko że owe usiłowania szlachty aby strącić Kallimacha przypadają nie za panowania Jana Alberta, lecz w dawniejszéj epoce, za czasów ojca jego. Z dodanych wreszcie u Kromera moralnych uwag przy końcu, a które powtarza także Stanisław Sarnicki, widoczném jest iż zużytkował powyższe źródło.

Za Kromerem idzie Bielski, tak jednak przedstawia sprawę, jak gdyby król z obawy szlachty pod pozorem poselstwa do Wenecyi, do papieża i innych królów, wysyłał go z kraju. Godném uwagi jest, że pod względem rad, które Kallimach miał dawać królowi, więcéj poinformowanym jest od swego poprzednika. „Byli tego zdania, cytujemy dosłownie Bielskiego, że on króla podwodził na szlachtę radząc mu, aby ją w srogości chował i nieodpuszczał żadnemu, gdy się który czego dowini, jakoż o mężobójstwo radził, aby je gardłem karał. Téż namawiał króla do tego, aby k'temu szlachtę przywiódł, iżby oni grunta swoje wszystkie królowi puścili, gdyż o nie wielkich trudności sami między sobą zażywają i ztąd morderstwa i zabijania między niemi bywają; a oni żeby od króla żołd pewny brali a w mieściech mieszkali, na co żeby konie chowali i sami zawżdy gotowi ku potrzebie wojennéj we zbroi na rozkazanie królewskie wsiadali, dozwoliwszy im tylko folwarków jakich małych miéć na wsiach swych, coby ich swym pługiem zorać mogli. A starostowie królewscy mieli płacić każdemu z onychże dóbr, gdy czas przyjdzie, wybrawszy czynsze od kmieci ich, z których da każdy rad dziesięć złotych płatu do roku panu, gdzie nie będzie nic robił. A tym obyczajem uszliby zwad i trudności domowych, tak około granic jako około zajma dobytków. K'temu w mieście mieszkując w rządzieby byli i karaby snadniejsza była, boby się urzędu obawiać musieli. Prawa zasię takie chciał miéć: aby dwanaście sędziów na nich siedziało, nakształt parlamentu, a przed nimy aby swą rzecz powiadał każdy po prostu bez wszelkiego nakładu, a sędziowie byli opatrzeni z skarbu pospolitego.“ W ten sposób Bielski opowiada o co oskarżano Kallimacha, kończy wreszcie: „Na wiele inszych rzeczy króla podwodził mówiąc: iż się tak z tą wolnością nigdy nieprzyjacielowi nieodejmiecie, jedno zawsze król u szlachty w niewoli będzie a szlachta u nieprzyjaciela tak będzie to jako niewieście nierządne królestwo zawżdy.“

W rzeczy saméj przechowało się pismo pod tytułem: „Rady Kallimacha“ którego treść słusznie da się porównać ze sławioném dziełem Machiawella. Tutaj w formie pamiętnika złożonego z 35 artykułów, podawane są rady królowi, których dążność zupełnie odpowiada zamysłom, o których przypuszczalny ich autor przez Joviusa, Kromera i Bielskiego oskarżonym był. Bez ogródek zalecone tu jest królowi zniesienie przywilejów udzielonych przez króla Ludwika, i wprowadzenie rządu absolutnego. Dwóch tylko lub trzech, jak można nie żonatych doradców, powinien król przypuszczać do tajemnéj swéj rady, senat zaś z surowém niedowierzaniem pilnować i w ciągłéj go utrzymywać niezgodzie. Zjazdy szlachty surowo powinny być wzbronione, a przez ciągłą gotowość do wojny, starać się odwrócić ją od spisków. Bogate rodziny szlacheckie, pod pozorem odznaczenia ich przez urzęda i godności, zachęcić do zbytku, którego następstwem będzie ich zubożenie, a urzędy państwa i dworu oddać uczciwym lecz dającym się powodować ludziom. Także stanowisko duchowieństwa nadto wielkiego znaczenia, powinno być zmienione, prawo appellowania do Rzymu zniesione, a na miejsce kanonicznéj elekcyi, prawo nominacyi przy kró-

lu zachowane, dochody biskupów zmniejszone i wreszcie kto szlachcicem nie jest, do wyższych godności duchownych dopuszczonym być niema. Opactwa rozdawać należy ludziom uczonym, których z korzyścią przy poselstwach i innych sprawach państwa używaćby można. Instytucya posłów ziemskich powinna być uchylona, przez co złagodziłby się smutny stan kmieci. Inne rady dotyczą finansów i dworu królewskiego. Ważniejszemi jednak od tych są wskazówki dotyczące polityki zewnętrznéj. Król niepowinien trzymać przy sobie brata Zygmunta, lecz dać mu Województwo Wołoskie, a drugiego brata Fryderyka osadzić w Prusach, zwłaszcza że rozchodziły się pogłoski, iż po śmierci mistrza zakonu, o wyniesieniu go na tę godność myślano. Przytém należałoby się strzedz księcia Mazowieckiego, który przy wyborze nieprzyjaźnie wpływałby. Należy tak działać, żeby w przyszłości w całém państwie jedno tylko było prawo i jeden król. Przeciwko niechętnym żywiołom wewnątrz kraju, potrzebnym byłby związek z królem węgierskim i W. księciem litewskim; opór ich złamaćby także można w ten sposób, żeby zgromadziwszy ich na wyprawę do Mołdawii i tajemnie porozumiawszy się z tamecznym wojewodą, zupełnie ich wytępić. Takie są sposoby wielkich monarchów.

Wszystko co te artykuły zawierają, łączném jest z podaniami przechowanemi z ówczesnéj epoki. O sprzedaży urzędów więcéj dającemu przez ludzi zaufanych, odpowiada ustęp Kromera, że Kallimach wzbogacił się sprzedażą urzędów, inne znów artykuły dotyczą ówczesnego prawodawstwa. Jakkolwiek to wszystko nie dozwala nam bezwarunkowo zaprzeczyć autentyczności tych rad, to przecież z drugiéj znów strony, język tutaj użyty z całą nieoględnością bardziéj na pamflet zakrawa, a którego bardzo prawdopodobnie przeciwnicy jego użyć mogli. Rażącą jest także ta okoliczność, że rady które według Bielskiego, Kallimach udzielił był, nie są zamieszczone w tych artykułach.

Szczęściem było dla Kallimacha że nie żył już w czasie gdy wyprawa wołoska przyjęła obrót tak fatalny dla Polski. Bo wówczas dopiero cała nienawiść długo wstrzymywana, groźnie wybuchnąć mogła, teraz zaś nad grobem jego była już bezsilną. Smierć zaoszczędziła mu dużo przeciwności, które inaczéj nieuniknionemi były. Nie ulega jednak wątpliwości, iż zarzuty, któremi potém pamięć jego obrzucono, byłyby łagodniéj przebrzmiały, gdyby nie łączono téj wyprawy z planami polityki wewnętrznéj, jak to wskazał sam jéj twórca.

Kallimach umarł 1 listopada 1496 roku, z zarazy, która w zimie tegoż roku przyszła z Węgier i Szląska, i rozszerzyła się w Polsce. Król ulubieńca swojego o ile mógł odznaczał; jeżeli to prawdą jest, że mimo iż był cudzoziemcem, zrobił go starostą gostyńskim, to jedna już ta okoliczność tłumaczy nam ową niechęć i zawiść szlachty polskiéj względem niego. W skutek swego stanowiska, Kallimach opływał w dostatki, bogactwa, i otoczył się owym pełnym wytwornego gustu, przepychem ówczesnéj epoki. Naturalną jest rzeczą, że u takiego człowieka księgozbiór był niezbędny. Ale w 1487 roku miał on nie-

szczęście, że cały dom jego z całą biblioteką spłonął. Benedictus Brognolus z Werony, dowiedziawszy się o tém nieszczęściu od wspólnego przyjaciela Antoniego Albertinusa, a potém z listu samegoż Kallimacha pośpieszył z przesłaniem mu kilku druków weneckich, gdyż ta strata przyjaciela niepowetowaną była, a wszystko inne król łaskawy łatwo mu wynagrodzi. Z drugiéj znów strony Marsilius Ficinus któremu także Kallimach uskarżał się nad swém nieszczęściem, pocieszał go w szczególny sposób, podług swych nowoplatonicznych wyobrażeń: Orfeusz wyśpiewał że z czterech żywiołów ogień jest najpotężniejszym i wszystkie inne rzeczy zamienić się weń muszą. Że zaś wszystko temu losowi jest podległe, to i boleść jego nad tą stratą ustać musi. „Światła szukałeś w księgach; patrz światłem stały się twe księgi. Przez ogień księgi pełne mądrości są w niebo wzięte, tak jak odwrotnie Prometeusz ogniem z nieba mądrość hartuje. Lecz co chcę ci przez to wyrazić? Że więcéj po śmierci jak podczas życia świecić będziesz.“ Przed samą śmiercią, Kallimach zebrał był nowy księgozbiór. Wizerunek jego, na pięknie zachowanym grobowcu przedstawia go nam siedzącego wśród swych książek, zajętego czytaniem i pisaniem.

W testamencie swoim, który jak się zdaje w 1496 roku zrobionym został, przekazywał on swoją bibliotekę, powóz i cztery konie bratu królewskiemu, kardynałowi Fryderykowi, samemu zaś królowi zapisał 4000 czerwonych złotych. W. Ks. Aleksandrowi suknie swoje a Zygmuntowi wszystkie sprzęty, oprócz puharu i czaszy, które zostawił konsulom miasta Krakowa; dla Collegium majus uniwersytetu zapisał srebrną miednicę z nalewką wartości przynajmniéj sto złotych, pod warunkiem jednak żeby nigdy zastawione nie były. Sto guldenów które temuż Collegium zapisał, użyte były na naprawę domu obok kościoła św. Anny. Spadkobiercami swemi mianował Kallimach synów swojego brata Franciszka, a syn drugiego brata miał otrzymać 2000 dukatów. Wykonawcami testamentu byli Jakób Mirica, notaryusz i kanclerz konsulów krakowskich, pewien Jakób Chosti i własny jego notaryusz Jan, który potém wstąpił do służby króla. Temu ostatniemu polecił on spalić wszystkie swe dzieła które dotąd wydanemi nie były; w czém téż wola jege spełniona była.

Pogrzeb Kallimacha opisał szlachcic florencki imieniem Ottaviano di Guecio de Calvani w liście do Lattanzia Tedaldi. „Przy obchodzie pogrzebowym, powiada on tutaj, zebrane było całe duchowieństwo, między tém biskupów czternastu. Ciało złożone na marach odziane było w materyalną suknię czerwoną, podbitą najpiękniejszym futrem sobolowym. U nóg stał krucyfix, a z boku leżało kilka książek. Obok karawanu postępowała służba, podług naszego zwyczaju ubrana w szaty sukienne, w liczbie dwunastu. Daléj szli Messer Mathias (Drzewicki), który dotąd był jego uczniem a teraz sekretarz królewski i wice-kanclerz państwa, daléj wszyscy doktorowie wszystkich fakultetów, rektor uniwersytetu, wszystka szlachta, która znajdowała

się w mieście, ogromna liczba uczni (do 15000), wreście niezmierna moc ludu. Pochowany został (w kościele dominikańskim), obok grobu Ainolfa Tedaldi, a jego wykonawcy testamentowi położyli nagrobek z bronzu, na którym było jego wyobrażenie naturalnéj wielkości, z napisem prozą, a na grobie na tablicy malowanéj również wyobrażony był Kallimach klęczący z dziecięciem przed Najswiętszą Panną, także naturalnéj wielkości z napisem wierszami, które ułożył Bernardino Galli z Zary, od lat ośmiu w tym kraju przebywający a obecnie w służbie u kardynała zostający. Umarł on tak po chrześcijańsku jak mało ludzi naszego czasu, przyjął św. Sakramenta z taką pobożnością i tak przykładnie, z tak słodkiemi wyrazami i takiemi łzami, że wszystkich do łez rozczulił, i śmierć jego nieodżałowaną była stratą dla państwa i jego przyjaciół."

Z powyżéj wspomnionego grobowca, zachowała się tylko tablica bronzowa z napisem w prozie. Jest on tu przedstawiony przy pulpicie do czytania w swéj bibliotece siedzący, a w ręku trzyma dyplom jako oznakę swego sekretaryatu. Tablica ta pierwotnie na ziemi leżała, lecz prawdopodobnie aby ją od zniszczenia ochronić, wprawiona została w ścianie. Pierwéj znajdowała się w kaplicy Różańcowéj, lecz po spaleniu kościoła wmurowaną została na chórze. Druga część grobowca z napisem wierszami, zaginąć musiała.

III.

Ściśle z opisanemi kolejami życia naszego autora połączone są wszystkie jego pisma. Cała literacka działalność Kallimacha rozdrabnia się w szeregu monografii, które w ścisłym będąc związku ze zmiennemi losami ich autora, przez nie także wywołane były. Tak z pism jego prozą najwcześniejsze: *Życie Grzegorza z Sanoka*, powstało z czysto osobistych pobudek. Ciepły pełen życia obraz jest Zbigniewa Oleśnickiego przypisany młodszemu, wówczas już biskupowi władysławskiemu. Że z drugiéj znów strony w piśmie tém Grzegórz z Sanoka, jako żyjący jest wspominany, przeto biografia ta napisaną być musiała między 1473 i 1477 latami, najprawdopodobniéj pod koniec tego okresu, gdyż jak wnioskować można, Kallimach przez dedykacyę pisma tego, które stosowniéj jeszcze samemu Grzegorzowi przypisane być mogło, miał na celu zapewnienie sobie nowego opiekuna. „Tobie przeznaczyłem to pismo, mówi on tutaj, ażebyś z niego mógł wymiarkować, że łaską swoją obdarzyłeś wdzięcznego człowieka, który choć w ten sposób, jak też i w każden inny, pragnie wyrazić ci swoją wdzięczność."

W rzeczy saméj wypełnił Kallimach swoje przyrzeczenie, gdyż w *Życiu kardynała Zbigniewa* pośrednio hołd oddawał synowcowi, który teraz właśnie (1480), na arcybiskupa gnieźnieńskiego był wyniesiony. Już w memoriale z 1479 roku, Kallimach prosi biskupa o przysłanie mu materyałów do życia kardynała, ażeby rozpoczęte dzieło daléj

prowadzić, gdyż niedokładne i głupie ma notaty. To jednak o co prosił przysłaném mu nie było, lub też żadnéj nie miało wartości, bo ze wszystkich pism naszego autora, jakie znamy, jest ono najsłabsze; błąka się on tutaj tak jak Enea Silvio a jeszcze bardziéj Erasmus Stalla w wyśledzaniu piérwotnych dziejów ludów północnych. To wszystko żadnego nie przedstawia zajęcia, pod tym chyba względem tylko, że wykazuje wielką znajomość pisarzy starożytnych, a w szczególności Herodota, którego w łacińskiém tłumaczeniu Valli użytkować musiał. Od scytyjskiego króla, imieniem Deombrotus wyprowadza on rodzinę Dembno, wiadomo zaś iż tego herbu był Oleśnicki. Przechodząc już do prawdziwszéj historyi polskiéj, zupełnie mylne podaje wiadomości; opowiada bowiem o wielkim napadzie Tatarów „przed 400 laty" i inném znów wtargnięciu Tatarów za czasów cesarza Lotaryusza III! Podczas gdy Długosz pod rokiem 1259 opowiada o zdradzieckiém zamordowaniu Piotra z Krampy, który układał się z Tatarami, Kallimach opisawszy wzięcie go do niewoli przez hana tatarskiego Sitalcesa, każe mu lat kilka przebyć na jego dworze, a w powrocie do Polski umierać z febry. Brata Piotra, nazywa Długosz Zbigniewem, Kallimach Karolem. Opowiadając o wojennym czynie Zbigniewa Oleśnickiego (starszego) w Wałachii, Długosz notuje go pod r. 1359, autor nasz przedstawia piérwótne dzieje tego kraju, również pełne kłamstw i bajek. Słusznie dziwić się tu trzeba ze śmiałości z jaką Kallimach blaskiem chwały otacza fakt nie nader chlubny dla Zbigniewa dziada kardynała. To zaś tém więcéj zadziwiającém jest, że w biografii do któréj teraz przechodzi, Długosza jako źródło swe wykazuje. Jak się wyżéj powiedziało, historya żadnéj ztąd korzyści odnieść nie może, w każdym jednak razie pismo to ważnym jest przyczynkiem do charakterystyki naszego autora.

Wiersz do św. Stanisława, dla którego Kalimach zużytkował legendę przekazaną przez Długosza, opisany wierszem safickim, był także przypisany młodszemu Zbigniewowi Oleśnickiemu. Przeprowadzenie tematu nie jest bez wdzięku; poeta podnosi najważniejsze tylko chwile z życia i cudów męczennika i kończy je modlitwą. Treść kościelno-chrześcijańska, odziana tu jest w formę starożytną.

Jeżeli „wygnanie" to jest czas w którym Kallimach przebywał u Grzegorza z Sanoka jako piérwszą, a „niewolę," jak sam się wyraża (t. j. czas gdy kierował wychowaniem królewiczów i zostawał pod opieką młodszego Zbigniewa), jako drugą fazę jego pobytu w Polsce określić można, to trzecim okresem był czas, w którym opieką go swoją otaczał wysoko wykształcony Piotr z Bnina, który piérwéj był biskupem przemyślskim, a potém władysławskim i w ostatnich latach panowania Kazimierza wyrugował wpływy Zbigniewa. Ze zwykłą sobie przezornością, zwrócił się Kallimach ku nowo wschodzącemu słońcu. Maciéj Drzewiecki w dedykacyi elegii swojego mistrza Kallimacha, Wawrzyńcowi Medyceuszowi przedstawia go wraz z Piotrem z Bnina jako dwóch najszczęśliwszych ludzi, i dodaje że często Kallimach szu-

kał w jego towarzystwie wypoczynku po pracach przy sprawach państwa. Piotr z Bnina przez Kallimacha przed królem i papieżem był wysławiany; przypisywał on mu różne wiersze swoje i wreszcie wystawił mu wspaniały grobowiec z czerwonego marmuru w kościele włocławskim. Z namowy biskupa napisał Kallimach najważniejsze swe dzieło, które najwięcéj mu sławy przyniosło, trzy księgi o Władysławie III królu Polski i Węgier.

Piotr z Bnina, opowiada Kallimach, rozmawiał pewnego razu z królewiczem Kazimierzem o czynach jego stryja Władysława, który poległ pod Warną i obaj zachęcali Kallimacha, ażeby historyę jego w osobném dziele spisał. Z ich tedy namowy, wziął się Kallimach do téj pracy, a że królewicz zmarł rychło potém, przypisał ją tedy ojcu jego a bratu Władysława królowi Kazimierzowi. Że zaś królewicz Kazimierz umarł dnia 4 marca 1484 roku, a z drugiéj znów strony Kallimach w mowie do papieża Innocentego VIII, mianéj na początku 1490 roku, wspomina już to dzieło, zatém historya Władysława III-go musiała być napisaną między 1484 i 1490 latami. Ściśléj jeszcze można oznaczyć epokę jéj napisania z listu Broguola do Kallimacha dnia 15 września 1488 roku. Kallimach bowiem zawiadomił był przyjaciela, że podczas pożaru, który zniszczył całą jego bibliotekę, między innemi i „Historya" jego spaliła się. Żartem zapewne to donosił, gdyż w dziele tém nic nie brakuje. Sposób jednak w jaki Broguolo wyraża się o nim w odpowiedzi na list Kallimacha, nie pozwala wątpić iż była tu mowa o historyi Władysława III.

Przypisując swe dzieło królowi, Kallimach z pięknym darem chciał wystąpić. I rzeczywiście dzieło to nadzwyczaj pięknie jest napisane. Treść jego przypomina odpowiednie ustępy z Długosza. To podobieństwo zachodzące w wielu miejscach między obu pisarzami, przypisaćby można wspólnym źródłom, jak np. dziełu Grzegorza z Sanoka o powołaniu Władysława na tron węgierski i jego wyprawach przeciwko Turkom. Przy bliższém jednakże porównaniu dojść się musi do przekonania, że Kallimach szczególniéj w obu piérwszych księgach, posiłkował się Długoszem. Obraz jednak, który przedstawia pod trojakim względem różni się od tamtego. Jako humanista, formę wyżéj prawie stawiał od treści, Kallimach usiłuje istniejące już dzieło przybrać w nową formę wykształconą na wielkich wzorach klassycznych. W skutek więc tego, płyną długie, piękne mowy, które tam nawet, gdzie odpowiadają takimże u Długosza, znacznie jednak oddalają się od oryginału. Powtóre, przechodzi nieraz Kallimach Długosza w treści. Ustępy w których to ma miejsce, najrzadsze są w obu piérwszych księgach, dlatego iż w nich ani Grzegorz z Sanoka, ani Lesco Bobricius, wuj Fanii nie występują. Wreszcie całość w skutek tego, iż Grzegorz do obrazu jest wprowadzony, z odmiennego stanowiska jest skreślona. Długosz w ciągu panowania Władysława raz tylko nazywa Grzegorza z Sanoka; wymienia go między temi, którzy uszli po bitwie pod Warną. To tłumaczy skromne stanowisko, jakie wówczas zajął biskup.

Przeciwnie Kallimach daje Grzegorzowi miejsce, jakie u Długosza ma zaledwie Zbigniew. Ba większe nawet! Między towarzyszącemi królowi podczas wyprawy węgierskiéj, u Długosza stoi najprzód Zbigniew; Kallimach wymienia drugie nazwisko, zamilcza o biskupie krakowskim, lecz za to stawia Grzegorza. Tę Aposiopesis za traf przypadkowy uważać nie można, jeśli na uwagę weźmiemy, że Zbigniew sprzeciwiał się późniéj nominacyi Grzegorza na arcybiskupa lwowskiego. Kosztem Zbigniewa Kallimach pragnie uczcić Grzegorza. Gdy młody król w wyprawie téj przybył do Kosmark, w radzie jego były głosy namawiające do powrotu. Ale według Długosza Zbigniew i Sędziwój Ostroróg zamiar ten odradzili. Kallimach na piérwszém miejscu stawia tu Jana z Jarosława i Grzegorza z Sanoka. Podług Długosza, po koronacyi Władysława, Zbigniew powraca do kraju ażeby zawiadomić panów polskich o dotychczasowym przebiegu sprawy węgierskiéj i żeby z niemi naradzić się o posiłkach. Tutaj także u Kallimacha na miejscu Zbigniewa występuje Grzegorz. Trzecia księga w któréj jest mowa o pokoju w Szegedynie i o drugiéj wojnie tureckiéj, więcéj jeszcze różni się od Długosza, jak obie piérwsze.

W ogóle dzieło to polega głównie na Długoszu, dla pewnych jednak osobistych względów, autor posiłkował się niemniéj także, nie doszłą do nas pracą Grzegorza z Sanoka. Iżby jednak dzieło Kallimacha literalnie było utworem Grzegorza, ze zmienionym tylko tytułem i nazwiskiem autora, jak w ostatnich czasach przypuścić nie wachano się, bezzasadnym jest domysłem. Kallimacha podania przyjęte były w dekadach Bonfiniusa, zkąd w wielu późniejszych opracowaniach miejsce znalazły.

Z dzieła opata Trithemiusa o pisarzach kościelnych, które jak sam wyraźnie powiada, napisane było w 1490 roku, bliżéj określić możemy czas powstania innego pisma Kallimacha dotyczącego dziejów węgierskich. Jest to jego *Attila*, wspomniane właśnie przez Tritheima. Współcześni bardzo wysoko cenili to pismo. My zdania tego dzielić nie możemy. Więcéj bowiem niż w biografii Oleśnickiego Kallimach gubi się tutaj w etnograficznych kombinacyach, których rozstrzygnięcie w owym czasie przy niedostatecznych środkach niemożebném jeszcze było.

Z roku 1490 pochodzi *Mowa do papieża Innocentego VIII*, o któréj powyżéj podawaliśmy szczegóły. Między 1487 i 1493 latami powstało pismo: „O usiłowaniach Wenecyan iżby Persów i Tatarów przeciw Turkom poruszyć.” Powód do napisania tego dziełka, dała następująca okoliczność, którą sam Kallimach opowiada: „Gdy niedawno w ogrodzie Jana Mirica zeszliśmy się z Mikołajem Mergusem i Jakóbem z Boxicza (?) dwoma uczonemi mężami i czytaliśmy historyę wenecką Saballikusa, dziwiliśmy się, że o Persach bardzo mało a o Tatarach nic zupełnie nie wspomniał; wiedzieliśmy zaś, że Wenecya nieraz przez posłów swych króla polskiego zjednać pragnęła dla swych planów, ażeby oba te ludy do wojny z Turkami pobudzić, nie mogliśmy

więc pojąć dlaczego o nich najmniejszéj nie znaleźliśmy wzmianki; a szczegóły tych usiłowań, zajmując czytelników swoją nowością, w odrębném świetle rzecz całą wystawiłyby. Wtedy więc postanowiliśmy oddzielnie przedstawić w jaki sposób Wenecyanie układali się z temi ludami, lecz w ten sposób iżby nieobrazić tego, kto rzecz tę nie uważał godną swojego dzieła i tak jak to często ma miejsce, że część pewna w oddzielnéj książce przedstawioną i wydaną bywa." Po pewnym czasie Kallimach tém chętniéj przyjął na siebie to zadanie, chodziło tu bowiem o sławę miasta w którém rodzili się jego przodkowie.

Pomiędzy współczesnemi znakomitemi ludźmi, z któremi Kallimach chciał wejść w stosunki, znajdował się także Jan IV Roth, biskup wrocławski (1482—1506 r.), który równie jak poprzednik jego Rudolf piérwéj był biskupem Lewantu, a uczeń Wawrzyńca Valli, ztąd gorliwy zwolennik humanizmu. Do niego więc pisał Kallimach w 1495 roku z Torunia, a piérwéj jeszcze z Tarnowa w 1492 r.; listy te dotąd przechowały się. Zawiły cokolwiek drugi list zdaje się dotyczéć sporu biskupa z proboszczem katedralnym głogowskim Opiz Colo. List zaś pod datą 25 marca 1492 r. pisał przesyłając biskupowi pismo, w którém „o sposobie rozpoczęcia wojny z Turkami jak również o możliwości szczęśliwego jéj zakończenia," była mowa; to więc pismo być musiało „O usiłowaniach Wenecyan i t. d." Jeśli to przypuszczenie jest słuszne, to napisaném być mogło między 1487 i 1492 latami.

Kallimach czytał to dzieło między innemi Piotrowi z Bnina, jak też ten ostatni opowiadał Maciejowi Drzewieckiemu, gdyż ten z polecenia króla Jana Alberta, wkrótce po jego wstąpieniu na tron, przybył do biskupa aby zasięgnąć jego rady względem zamierzonego odnowienia pokoju z Turkami. Drzewiecki zastał biskupa czytającego kronikę Wincentego Kadłubka. To dało powód do rozmowy o wartości téj kroniki i w ogóle o zadaniu dziejopisarstwa. „Właśnie nad tém zastanawiałem się, zauważył biskup, że nie każdy brać się może do pisania historyi i że tylko ludzie w dojrzałym wieku, dobrych zasad, szlachetnego sposobu myślenia, mający rozum i długoletnie doświadczenie w sprawowaniu interesów państwa, zawodowi temu podołać mogą. Wiém wprawdzie że rozum i przenikliwość w każdym stanie spotkać można, ale przekonany także jestem że wzniosłe umysły, które wszystko objąć mogą, co wolne Rzeczpospolita lub monarchie założyły, powiększyły, ozdobiły i utrzymały, tylko w takich okolicznościach rozwinąć się mogły, które odpowiednie są wielkości literackiego powołania, i że poznanie i wynalezienie tego co państwu użyteczném i korzystném być może, nie z ławek szkolnych i książek, lecz z życia tylko i doświadczenia nauczyć się można. Dowodem tego jest dla mnie właśnie Wincenty. On bowiem choć z wolnego lecz ubogiego domu pochodził i w nim był wychowany, nigdy więc nie mógł swych myśli i swego ducha wynieść po nad zwykłe i zwyczajne rzeczy i ztąd zawsze drobnostkami życia codziennego jest zaprzątnięty. Dlatego także wszystko cokolwiek jest wyższym od tego do czego przywykł, uważa

za niezwykle wielkie, podziwia i odpowiednio maluje, prawdziwą zaś wielkość, iż jest dlań niezwykła, ani pojąć ani przedstawić nie może. Dla tego także opowiadanie jego jak w mgle błądzi, jak ślepy zawadza o rzecz swoją lub też upada bez siły. A że z doświadczonymi mężami stanu, w senacie nie rozprawiał, lecz w domu podług pewnéj formuły rzecz przedstawia, w opowiadaniu jego albo niema, albo jak są, to niezręczne tylko objaśnienia i błądzi w samém już założeniu opowiadania lub też wpada w błędne sprzeczności. Tak samo rzecz się ma z mowami, dla których materyą nie bierze z tego co piérwéj stało się i co się mówiło, lecz zapomina o niéj. Dlatego więc nie może na długo przywiązać uwagi swego czytelnika, a mniéj jeszcze wpływać na niego, i książka jego jest bez życia i bez barwy, bez téj porywającéj siły zdarzeń i opowiadania, przez ktore historya tak bardzo ducha podnosi, wzbudzając w nas przerażenie lub litość, boleść lub smutek. Jeżeli rzeczywiście nie było większéj mądrości w radach, wyższéj odwagi w niebezpieczeństwach, wytrwałości w utrapieniach lub gorliwości we wszystkiém; jeżeli państwo nie myślało o powiększeniu swéj sławy przez lepsze środki i rozporządzenia, jak te które przedstawia nam Wincenty, to zaprawdę musiałbym się wstydzić za własny mój naród." Piotr z Bnina opowiada daléj swemu gościowi, że te uwagi dały mu powód zachęcać Kallimacha, aby się podjął tego zadania, ten ostatni bowiem czytał mu niedawno „świeżo wydane swe dzieło: O usiłowaniach Wenecyan i t. d." W pracy téj, uważa Piotr z Bnina, Kallimach okazał piérwsze zasady doświadczonego i znającego rzecz swą pisarza, dostateczny dając dowód swego talentu i wymowy, chociaż owe usiłowania za wczesne były. Gdy jednak większy i bogatszéj treści przedmiot obierze, spełni nadzieje na nim pokładane. Gdyż wielkość przedmiotu podnosi pisarza, a świetność i znaczenie mów i czynów pobudzają ducha. Na piérwsze nawowy Piotra, Kallimach nie dał stanowczéj odpowiedzi, teraz gdy Drzewiecki powracał do króla, Piotr z Bnina prosił go aby znowu Kallimachowi rzecz tę przedstawił. Powróciwszy więc na dwór Drzewiecki mówił ze swym mistrzem o życzeniu Piotra, a zarazem bliżéj poznał nieznane mu dotąd pismo Kallimacha. Ażeby opiekuna swego nie obrazić, Kallimach odmownie nie odpowiedział, lecz prosił aby w téj trudnej rzeczy któréj od niego wymagano, miano wzgląd na niedostatek jego zdolności i wiadomości. Uczniowi zaś swemu Drzewieckiemu chętnie udzielił swe pismo, ten znowu ze swéj strony przesłał je weneckiemu senatorowi Antoniemu Maurocenus. Rozmowa ta Piotra z Bnina z Drzewieckim musiała miéć miejsce na początku 1493 r., wówczas bowiem posłowie tureccy znajdowali się w Krakowie dla zamierzonego odnowienia pokoju. Godném uwagi jest, iż w rozmowie téj wzmianki nie zrobiono o olbrzymiém dziele Długosza, rozmawiającym bowiem obcém być nie mogło i odpowiadało potrzebom, które kronika Wincentego wypełnić nie była w stanie; dzieło zaś do którego Piotr z Bnina zachęcał Kallimacha, nie było zapewne dokonane.

Dla uzupełnienia pracy naszéj o Kallimachu, pozostaje nam jeszcze rozpatrzyć jego poetyczne utwory, które należą do belletrystyki owych czasów, i wyjaśniają pod jednym choć względem humanistyczny kierunek ówczesnéj oświaty w Polsce. Wiersze Kallimacha z razu rozrzucone długi czas w odpisach, tylko uczniom jego lub przyjaciołom były znane. O rękopiśmie zawierającym mały zbiorek jego wierszy a spisanym na wyspie Chios, powyżéj już mówiliśmy. Późniéj sam Kallimach zebrał pewną ilość swoich wierszy i zbiór ten posłał Florentczykowi Ainolfowi Tedaldi, którego „bratem“ nazywa. Są to jak sam mówił, Elegie w ciągu bieżącego roku do Fannii Swentochny napisane. Zbiór ten przechował się dotąd w dwóch rękopismach; z tych jeden znajduje się w biliotece Ricardi we Florencyi, a drugi w bibliotece watykańskiéj; pierwszy na cienkim pergaminie bardzo starannie spisany, z nadzwyczaj ozdobną kartą tytułową, musi być oryginałem, pisanym wprawdzie nie przez Kallimacha, lecz zapewne z jego polecenia.

Rękopism florencki zawiera 66 drobnych poezyi, elegie, epigramata, ody, pisane heksametrem dystychonem lub safickim wierszem. Większa z nich część odnosi się do Fannii Swentochy (Fanniola, Anna Silvia), która go pocieszała w smutnych chwilach po najpierwszém przybyciu jego do Polski. Między wierszami temi, niektóre odznaczają się niezwykłą pięknością, jak np. w wierszu, w którym ją porównywa do bogini świata całego, również pieśni o wieńcu z kwiatów, którym Fannii czoło zdobił, lub prośba do snu, ażeby na znużone jego powieki stąpił, i przedstawił mu w sennych marzeniach ukochany przedmiot, lub też wiersz do Fannii gdy chorą była. Przedewszystkiém jednak wspomnieć należy o wierszu, w którym Kallimach opowiada swéj kochance koleje swych losów, które wreszcie rzuciły go w jéj śnieżne ramiona. Również przyjemnie odmalował pożegnanie z Fannią, która łzami się zalewała gdy jéj szeptał „bądź zdrowa!“ Jeden z następujących wierszy wprowadza nas do Krakowa. Jakkolwiek miasto zadziwić jest w stanie cudzoziemca, to przecież ani wysokie wieżyce, ani Wawel przypominający Kapitol, ani zamek, ani szeregi domów, nic nie może wygnać z serca jego wspomnień o wiejskich rozkoszach, które Fannii zawdzięczał. Późniéj duch jego ucieka przed zgiełkiem stolicy, i odłączony od ciała, odwiedza wioskę ulubionéj dziewczyny.

Wszystko są to uczucia, które budziła w nim miłość dla Fannii; ich obraz świadczy o wewnętrznéj prawdzie. Lecz z innego stanowiska spójrzmy na te elegie. Czy rzeczywiście wierzyć powinniśmy że owa Fania, któréj wdzięki i powaby w tylu rymach uwielbiane były, upadła była w otchłań występku! Opierając się na dwóch ustępach, znajdujących się tutaj, mniemano dotychczas iż była karczmarką. W saméj rzeczy spotykają się tu szczegóły wprowadzające na myśl tę, gdy poeta mówi że Fania rozdawała pocałunki darmo, a wino za pieniądze; w drugim znów miejscu, nazwana jest przynętą, zwabiającą gości szynkowych, w innych wreszcie pieśniach jeszcze cięższe

znajdują się oskarżenia. Ale niech nam wolno będzie odrzucić jako poetyczne tylko bujania, tego rodzaju zarzuty, a na innych opierając się podstawach, podać tu objaśnienie, które dałoby się także zastosować do znanych stosunków miłośnych słynnego Konrada Celtera z Hasiliną, oraz i innych tego rodzaju opiewanych przez humanistów. W dwojaki sposób powinniśmy przedstawić sobie Fannię: w niektórych elegiach żywo odmalowana jest jéj postać powabna i skromna; w innych jest typem, któremu poeta dodać musiał silniejszéj barwy i własności jakich w rzeczywistości nie miała. A że o niewierność, bo nawet dzieciobójstwo jest oskarżoną, to trudniéj wierzyć temu w owych czasach naiwnych. Poeta przez to znalazł tylko sposób aby treść swych pieśni erotycznych rozszerzyć poza szczupłe koło codziennych zdarzeń. Że dużo w tém wszystkiém wesołego humoru być musiało, dowodzi udział, jaki w tém wszystkiém wziął Grzegórz z Sanoka.

Do Krakowa wprowadzają nas pieśni pisane do owego Jana Mirica, w którego ogrodzie czytał Kallimach historyę wenecką Sabellikusa. Dom jego jak pieśń jedna opisuje, tak był pięknym, że ptak w nim zamknięty, mógłby o lesie zapomnieć, a wszedłszy weń, chciałoby się być Filomeną, w więzieniu u właściciela. Znajdują się następnie epitafy dla różnych osób, pieśń do Długosza, epitaphium dla Anny córki Jana ze znakomitego domu polskiego herbu Lilije a żony Piotra z Fulsztyna, a także dla Jana z Tęczyna, kasztelana krakowskiego. W ten sposób Kallimach pochlebne rymy składając o zmarłych, chciał zjednać sobie łaski żyjących.

Zbiór ten powstał o ile się zdaje wkrótce po powołaniu Władysława na tron czeski, jak świadczy wiersz jeden dotyczący tego zdarzenia. W każdym razie żył jeszcze Grzegórz z Sanoka, o którym w dedykacyi dla Ainolfa Tedaldi w gorących wyrazach poeta przemawia.

Największe podobieństwo, zwłaszcza pod względem następstwa pieśni, przedstawia rękopism watykański z rękopismem, znajdującym się w Parmie; nie idzie jednak zatém aby jeden z drugiego był przepisany, co z tego głównie okazuje się, że w tym ostatnim znajduje się wiersz (nr. 23), którego brakuje w rękopiśmie rzymskim. Również od rękopismu z biblioteki Ricardi w niewielu tylko punktach różni się rękopism watykański, gdyż zachowując ten sam porządek pieśni, niektóre znajdujące się w tamtym opuszcza, a w tamtym opuszczone dodaje. Tak np. brakuje tu kilka epitafów i wiersza do Jana Mirica. Przy końcu rękopismu watykańskiego znajduje się brakujący w innych rękopismach wiersz do Grzegorza z Sanoka, zachęcający go aby opuścił wiejskie mieszkanie i powrócił do miasta (Lwowa), gdyż brzydka pora jego wiekowi jest szkodliwą, a gmina chrześcijańska przybycia jego niecierpliwie oczekuje. Miejsce, gdzie wówczas przebywał Grzegórz, był zapewne Dunajów, zkąd, jak Kallimach w jego biografii wspomina, przybywał do Lwowa tylko na większe uroczystości, lub żeby

ceremonie odprawiać. Zbiór ten zawiera 63 kawałków i ma napis: „Fannietum."

Cokolwiek później przyjechał do Polski Bernardino Gallo z Zary, ten sam który potém ułożył epitaf dla Kallimacha, człowiek wysoko wykształcony, a który zwiedzał kraje północne, ażeby poznać życie i obyczaje tych okolic, a głównie aby wyśledzić związek zachodzący między Słowianami tych krajów a południowymi ich pobratymcami. W Polsce będąc odwiedził on ucznia Kallimacha, Macieja Drzewieckiego i zachęcił go do zbierania elegii jego mistrza. Drzewiecki spełnił to zlecenie. Gdy Kallimach powrócił do Polski po nieszczęśliwéj wyprawie Jana Alberta (1491) i gdy u biskupa władysławskiego wypoczynku szukał, Drzewiecki zwrócił się do niego z prośbą ażeby zajął się przejrzeniem swych elegii, a przypominając sobie czasy swéj młodości, odpędził wspomnienia tego co w Węgrzech miało miejsce. Wprawdzie mniemał Kallimach że te pieśni niedobre czasy przypominały, i że dla niego mniéj znaczyły słowa Epikura: przyjemném niech będzie samo wspomnienie przyjemnych zdarzeń, jak zdanie Virgila: „Przyjaciele pamiętni bądźmy cierpień naszych." To téż nie było to jego zamiarem, ażeby to co w Węgrzech dopiero doświadczył, wygnać z pamięci; przeciwnie uważał on te wypadki jako godne być przekazanemi na piśmie potomności. „Gdyż, dodawał on, wiele tam zgrzeszono z chciwości przeciwko prawom rozumu i przekonaniu innych narodów, gardząc pobożnością i prawem natury." Ale obszernie o tém wtedy tylko miał rozprawiać, gdy w historyi swéj dojdzie do téj części panowania Jana Alberta. Mimo tych rozmyślań, przyrzekł Kallimach żądaną pracę przedsiębrać. Rezultatem dość długiéj pracy był zbiór znajdujący się także w bibliotece watykańskiéj a przypisany przez Drzewieckiego Wawrzyńcowi Medyceuszowi. Dedykacya jest bez daty, lecz bez wątpienia przypada na 1491—92 lata, gdyż właśnie Jan Albert powrócił był z Węgier, a Wawrzyniec Medyceusz zapewne najsławniejszy tego imienia, zmarł 8 kwietnia 1492 roku.

W zbiorze tym, powracają pieśni ze zbioru przeznaczonego dla Ainolfa Tedaldi, z małemi zmianami, ograniczającemi się do pojedyńczych tylko słów lub wierszy. Następnie zmieniają się dedykacye pojedyńczych pieśni, gdyż być może, ci dla których pierwotnie pisane były, już nie żyli, albo wedle ówczesnego zwyczaju, jedno i toż samo dzieło jednocześnie różnym osobom było przypisane. A może przestrzeń czasu, zmieniając położenie różnych osób, do zmian tych autora zmusiła. Szczególniéj różnica ta zachodzi w jednéj pieśni z tego zbioru do Jana Mirica. „Podczas gdy ty, zaczyna on tutaj, śledziłeś lot orła białego (Polski) w obce kraje i patrzałeś na wielkich wodzów zbrojących się na wyprawę, podczas gdy syn (Jan Alberta), chwytał berło swych przodków, mnie dawna miłość z mocą trzymała przy sobie i zamiast śledzić większe rzeczy zmuszała moje muzy, aby bezustannie myślały o mojéj pani i jéj sławę głosiły. Ale gdy los mój nieprzyjazny złagodzonym będzie i czas spokoju powróci, wówczas zobaczysz z jak szczyt-

nym zapałem opiewać będę i kraj i ludzi i szlachtę! Jak bogowie z nieba, Kazimierz i syn jego będą mi tkwić przed oczyma, a czyny ich dostarczą mi przedmiot do hymnów pochwalnych. Więc będę opowiadał dzieła które Albert dokonał pierwéj nim do lat doszedł, będę przedstawiać wdzięki młodzieńca, którego skronie zdobią korony państw sławnych współubiegających się o niego. Wyprawę jego porównywać będę z pochodem Bachusa, z Herkulesem, który przez swe walki dowiódł że jest prawdziwym synem Jupitera, i z Pyrrhusem który śmierć swego ojca w chwalebnych walkach „pomścił.“ Kallimach nie wątpi że Kazimirydom uda się pokonać wszystkich zaprzeczających im posiadanie państw do których mieli prawa, i że drogą usłaną kwiatami wejdą do Panonii. Pieśń kończy się apostrofą do Germanii aby się nie ważyła walczyć przeciw młodemu królowi. W jednéj zaś pieśni z poprzedniego zbioru, miejsce Jana Alberta zajmuje starszy brat jego Władysław, przedmiotem zaś jéj jest pochód do Czech, i zamiast do Germanii, znajduje się tu wezwanie do Panonii ażeby przeciwko prawom Władysława oręża nie podnosiła. Ten drugi zbiór powstał pod świeżém wrażeniem węgierskiéj wyprawy, która Władysława, obecnie króla Czech i Węgier, postawiła w stanowisku nieprzyjaznćm względem Polski. Nie stosownćm więc było w z biorze tym pomieszczać pochwalną pieśń dla niego, Kallimach bowiem opiewał teraz brata Władysławowego a razem jego przeciwnika.

Zbiór ten zawiera 164 pieśni, z nowo zamieszczonych wiele jest erotycznéj treści, chociaż innego rodzaju większa jest liczba. Zdaje się iż zbiór ten jest późniejszym. Z erotycznych pieśni zasługują na wzmiankę „pocałunek Fannii“ (41), wiersz do Marsa (51), „do tego który szyję Fannii obrzucił gałkami ze śniegu“ (53, 90), i „do sniegu który dotknął szyi Fannii“ (54), śliczny wiersz „do wróbla Fannii“ (56), „do obrazu Fannii,“ (64), sześćdziesiąty szósty ze zbioru i wreszcie wiersz „do siebie samego“ (90).

Przy tych możemy umieścić wiersze do Grzegorza z Sanoka. Są one treści żartobliwéj (110, 111); jedna z nich, w imieniu Kallimacha do arcybiskupa skierowana, uskarża się, że teraz hołd piękności nie przez pieśni lecz przez złoto zniewalać je może; druga zawiera odpowiedź Grzegorza. Trzecia (112), dotyczy zmyślonych pieśni miłosnych Grzegorza, o których Kallimach mówi w jego biografii. „Mówiłem już, woła poeta, że to żart tylko o nim; Grzegorz ojciec wszelkich bonmots, przedstawia się tylko zakochanym, ale nic zapala go prawdziwy ogień Diany. Zabawia się tylko piórem, daje sobie pozór lekkomyślności, i przez zmyślone historye miłosne pragnie rozweselić rzeczywistość. Przekonany jestem, że gdy uwiadomionym będziesz jak wiele zamków, murów, miast, wsi i domów spalonych jest, jak wściekle sroży się wszędzie niszczący pożar, to nie tylko słodkie płomienie miłości ciebie obejmą, lecz opanuje ciebie najsilniejszy.“ Wspomniane tu pożary odnoszą się zapewne do zniszczenia Czerwonéj Rusi w skutek napadu Tatarów (1474).

Fannia była nie pierwszą miłością naszego autora, sam zeznaje że poprzedzała ją we Włoszech jakaś „Doris.“ Ostatnią téż nie była. W pieśni przypisanéj do Jana Ostroroga opowiada on, że gdy Lachesis odcięła mu ścieżkę do miłości Fanioli, inna dziewczyna serce jego pozyskała. Zdaje się iż Fannia wyszła potém za mąż, przynajmniéj wesele jéj z „*Museusem*“ w najpiękniejszym wierszu jest opiewane. Ten nowy płomień miłości nazywa poeta Phryne. W wierszu do Kupida, odmalowywa on, jak z silném postanowieniem zamierzał służbę jego opuścić, gdyż teraz państwo wszystkie siły jego zabiera. Jednak piękne oczy Phryne znowu go złapały. Już dawno mówi on w pieśni „do Muz“ śpiewają po wszystkich ulicach i szynkach moje pieśni do Fanioli, a Dryady, Oready i Nimfy zazdroszczą losu wiejskiéj Fannii; teraz miejska Drusilla powinna po kolei wystąpić, bo jak tony arfy arkadyjskiego króla przenoszą wszystkie melodye ludzkie, tak Phryne przewyższa Fannię w piękności. Phryne i Drusilla były to nazwy jednéj i téj saméj osoby. Wspomina ją jeszcze Kallimach w dedykacyi swéj biografii Grzegorza z Sanoka, przypisanéj młodszemu Zbigniewowi Oleśnickiemu, mówiąc: „Czém Fanniella była dla mnie w mojém wygnaniu, tém jest dla mnie Drusilla w mojém niewolnictwie.“

Że jednak Phryne samo przez się rozumie się że było to imię zmyślone, „była żoną innego“ wybrał więc sobie Kallimach, jak sam powiada Roxanę, za przedmiot swych hołdów. Ztąd wiersze do niéj lub o niéj do późniejszéj epoki jego życia należą. Dowiadujemy się że ojciec jéj był garncarzem.

Do trzeciéj epoki należą wiersze do Piotra z Bnina oraz w związku z niemi będące do lub o Janie Ritifianusie. Piotr z Bnina nazywany tu jest biskupem władysławskim, którą to godność otrzymał w 1484 r. Pod nazwą Ritifianusa, rozumiéć należy członka z życzliwéj dla niego rodziny z Rytwian „Krwawe wojny, mówi on w jednéj pieśni do niego, grożą ztamtąd, gdzie wieczny pokój (z Prusami) stanął i z nad Dunaju, nie mniéj także w skutek Skitów (Tatarów) gniewu.“ „A ty, woła poeta, który dotąd podporą państwa byłeś, w tych teraźniejszych niebezpieczeństwach będziesz Camillusem. Późniejszy wiersz zawiera epitaphium zawczesnię zmarłego męża. Podług pewnych własności nazwany on tu jest „*Claudus*“ w innych zaś rękopismach biskupem.“ Od śmierci jego, woła poeta, „milczą prawa; on był słupem Północy, i państwa ojcem.“ W ten sam sposób wyraża się o nim w trzech odach do Piotra z Bnina. Jeżeli przyjmie się że to nazwanie jego „biskupem“ jest błędem, to przypuścić można że była tu mowa o Janie z Rytwian, bracie Dersława, który w rzeczy saméj w historyi polskiéj owego czasu nieraz występuje i który zmarł w 1480 roku kasztelanem sandomierskim. W tymże zbiorze jest jeszcze wiersz do Jana Ostroroga znakomitego męża stanu, kończy zaś go epitaf dla Macieja z Bnina wojewody poznańskiego, brata Piotra.

Do późniejszych także czasów należą wiersze, które dotyczą Węgier, jak np. dla królowéj Beatrycy i Macieja Korwina, którzy się pobra-

li w 1476 roku. Tutaj także należą wiersze: „Dyament króla Macieja i Orzeł cesarza“ (150, 151), „Kruk króla Macieja i Orzeł cesarza“ (152), „Dyament, kruk i pierścień króla Macieja“ (153). Podczas pobytu Kallimacha w Wiedniu „po śmierci Macieja“ napisał wiersz „do Lucyny dziewczyny wiedeńskiéj“ (39). Zajmującym jest także wiersz do Piotra Garasda (161), z którego dowiadujemy się że Kallimach miał stosunki z arcybiskupem Kalocsa, od którego otrzymał wiadomość o epigramatach Janusa Pannoniusa.

Oprócz wierszy do wielu włoskich przyjaciół, spotykamy tu jeszcze wiersze do krakowskiego przyjaciela Mirica, do N. Mergusa i do lekarza Jakóba Boxicza. Kopista nawet, Fabius Ambustus, który pergaminem, minium i pędzlem się zajmuje, dostał także kilka wierszy.

Wszystkie poezye Kallimacha pisane w duchu czysto humanistycznym. Kosmopolityzm, główna cecha humanizmu, najdokładniéj określony w słowach, któremi nasz autor kończy wiersz swój do Glankusa Eneta. „Tylko słabe umysły ograniczają się na własnéj tylko ojczyznie i w miłości rodzinnego miejsca zasklepiają się, gdy tymczasem dla dusz wielkich cała ziemia jest mieszkaniem, a duchy potężne całe niebo napełniają.“

Najpełniejszy zbiór poezyi i listów Kallimacha zawdzięczamy krewnemu i przyjacielowi jego Lactantiusowi Thedaldus, który po śmierci poety wszystkie notatki tegoż, jakie tylko do rąk mu wpadły, własnoręcznie wpisał do znajdującego się dotąd w Bibliotece Barbarini w Rzymie kodeksu. Rozpoczyna się ten kodeks wierszami, których uporządkowanie różni się cokolwiek od dwóch wcześniejszych zbiorów, lecz zgadza się zupełnie z rękopismem Laurenziana. Oba te zbiory mają wiersze brakujące w innych, z których zasługują na wspomnienie: do Mergusa i do Jakóba z Dębna kasztelana krakowskiego. Wreszcie w tymże samym kodeksie Barbarini, znajdują się wiersze w liczbie 159, na dwie księgi rozdzielone. Po nich następuje wiersz do Kallimacha napisany przez brata jego Francesco Pierio Buonaccorsi i drugi takiż wiersz Lorenza Buonincontri z Miniato, daléj listy Kallimacha po większéj części po włosku do Lactantiusa Thedalda i innych. Oprócz listów innych osób z późniejszego czasu, znajdujących się w tym zbiorze, a rzucających pożądaną wiadomość o humanizmie w Polsce, przy końcu rękopismu znajduje się czysto teologiczne pismo naszego Kallimacha: „*Homilie*“ przypisane wice-kanclerzowi, zapewne Drzewieckiemu.

W pismach współczesnych humanistów nie rzadko spotkać się zdarzy z imieniem Kallimacha. I tak znajdujemy o nim wspomnienie u Rafaela Volterry i w jednym z epigramatów znanego Jana Antoniego Campanusa, którego Pius II zrobił biskupem najprzód Cotrony a potém Teramo. Wyżéj już nadmieniliśmy o Marsiliusie Ficinus. Oprócz jednak owego dość oryginalnego pocieszającego listu po spaleniu się książek Kallimacha, znajdują się jeszcze trzy inne, które tak jak pier-

wsze zawierają żarty, w tonie platońskiéj i nowo-platońskiéj szkoły. „Kłamiesz—mówi on w jednym z nich—że demon w człowieku mieszkać może, a przecież twe pismo okazuje, że w tobie mieszka demon i to niebiański. Chętnie chciałbym z tobą obszerniéj o tém pomówić, ale Plotinus woła mnie. Gdy więc Platonik Plotinus rozprawiać zemną będzie, niechaj Plato jedzie ku tobie i przez mą pracę niech w języku łacińskim z tobą rozmawia.“ Przy liście tym przysyłał Ficinus własny przekład Platona. Z innym znowu listym (1494), posłał Marsilius katalog swych książek i dzieło „*De sole et de lumine*“ w trzech egzemplarzach, aby dwoma drugiemi mógł przyjaciół obdarzyć. Lanctantius Thedaldus, gorliwy przyjaciel Kallimacha, wylicza podarki jakiemi odwdzięczał się Kallimach za te dary: ubranie ze skóry kuny, drugie mniejsze ubranie i miecz, z rękojeścią rogową, podobną do jaspisu, oprócz tego parę trzewików ze scytyjskiéj skóry.

Z Angelo Poliziano zamieniał Kallimach listy i podarki. Kallimach przesłał mu był jakąś szkatułkę; tamten odpowiedział przesyłając swego „Rusticus.“

O stosunkach Kallimacha z Wawrzyńcem Medyceuszem wyżéj już wspomnieliśmy. Dowiadujemy się przez Lactantia Thedalda, że Kallimach darował mu scytyjskiego niewolnika (Tatara?), mającego lat 12, w scytyjskim ubiorze, z łukiem, kołczanem i strzałami, wraz z małym koniem na którym jeździł.

Dla Ugolina Verinusa przypisane były niektóre wiersze naszego autora, między innemi Epitaphium dla syna jego, lecz nie dla Michała, który o wiele przeżył Kallimacha. Pewnego razu Kallimach przesłał Ugolinowi całą torbę pachnących skór pruskich. Ten zaś przysłał Kallimachowi, a wybornemu poecie, przyjacielowi króla panońskiego „pierwszą księgę swych epigramatów przypisanych Maciejowi Korwinowi.“ Syn zaś jego Michał, posłał mu, jak sam opowiada w liście do Wawrzyńca Medyceusza łacińskie wiersze ojca Carlias. „Kallimach—mówi on—przeczytał je uważnie, poczém dał mi księgę swoich hendekasylab i epigramatów, które z podziwieniem czytałem. Gdyż nic milszego i przyjemniejszego nie widziałem i nic podobniejszego do Katulla i Martiala. Zresztą Kallimach jest człowiekiem wielkiego rozumu, a samo spojrzenie na niego wzbudza miłość i szacunek.“

Do czcicieli Kallimacha zaliczyć jeszcze należy poetę Jana Baptysta Cantalyciusa z przydomkiem Valentinus, nauczyciela Ludwika Borgia, który w 1513 r. umarł biskupem Atri i Penna. Onto następujący o Kallimachu napisał epigram:

Barbarzyńcem był, kto z Rzymu Kallimacha wypłoszył,
A on barbarzyńców na Rzymian przerobił.

PAMIĘTNIK Z POBYTU W AMERYCE.

PRZEZ

Krystynę Narbuttównę.

(Dalszy ciąg).

V.

Washington 15 marca. Otóż znowu wpadł mi w oczy rażący przykład, do jakiego kalectwa dojść może kobiéta wtedy, gdy za poszeptem próżności pójdzie ślepo po drodze ekscentrycznéj emancypacyi i wyłamać się zechce z pod praw, które bądź cobądź, ale z woli Bożéj sama natura dla niéj ustanowiła.

Kilka dni temu znalazłam się w domu państwa H., ludzi już bardzo nie młodych, którzy przez pamięć patryotyczną na zasługi ś. p. dziada mojego, poniesione w wojnie o niepodległość Stanów-Zjednoczonych, okazują mi wiele przychylności i zdają się mocno mną interesować. Byłam tam w towarzystwie jednéj ze znajomych mi pań; w niedługą chwilę po naszém przyjściu, kiedyśmy właśnie rozpoczęli przyjemną rozmowę, bo sam pan H. człowiek, jak na tutejszą społeczność, wyjątkowo wykształcony, obficie ją podsycał; otworzyły się drzwi i weszła miss Mery Wocker doktor, tak mi ją zaprezentowała gospodyni domu. Ucieszyłam się bardzo, że spotkałam nareszcie miss Wocker, bo od dawna już wiele o niéj słyszałam, jako o jednéj z najbardziéj uczonych kobiét tutejszych, a razem zapalonéj Blumerystce. Potrzebowałam jednak chwilę czasu, ażeby się trochę oswoić, tak niezwykłe wrażenie zrobił na mnie jéj widok. Ubrana była w strój męzki, co przy jéj szczupłéj figurze i miernym wzroście, wydawało się dziwnie, że tak powiem niedołężnie, zwłaszcza, gdy się przyłożyły do tego ruchy, przybranéj jakiejś brawury i bezżeny, mających nadawać męzką manierę. Nie mogłam zrozumieć, jak przy wykształceniu umysłowém, może się znaleźć taka bez smaku arlekinada. Pod swieżém wrażeniem tego poznania, pisałam parę dni temu,. korrespondencyę do Gazety Polskiéj, a w niéj co do słowa zacytowałam całą rozmowę, jaką miałam z miss Wocker; ale całe zachowanie się miss Wocker było tak oryginalne, tak jasno charakteryzujące duch i wyobrażenie, a razem całą śmieszną i niedołężną stronę kobiét, będących pod wpływem szału emancypacyjnego, że nie mogę ominąć i tutaj niektórych z niego ustępów. Najpierwéj więc rzuciła mi jak rękawicę wyzwania, pytanie: Czy w Europie kobiéty zawsze są jeszcze niewolnicami? Na to starałam się jéj wytłumaczyć, że społeczeństwo europejskie zanadto gruntownie jest cywilizowane, ażeby kobiéta mogła tam być niewolnicą; że stanowis-

ko kobiéty w społeczeństwie jest u nas uważane za równie ważne, jak stanowisko mężczyzny, bo jeżeli on działa w interesie bytu i spraw materyalnych swego narodu, to w ręku kobiéty cały kierunek moralny pozostaje; a według naszych pojęć, jedno bez drugiego istnieć nie może. Miss Wocker usiłowała przekonać mnie, że kobiéta na ten kierunek wpływu wywrzeć nie może, jeżeli jest związana krępującemi ją formami. „Nie wierzę, mówiła, ażeby kobiéta mogła działać wpływowo tam, gdzie jéj nie wolno publicznie wystąpić ze swojém zdaniem i gdzie prace jéj zamknięte pozostają w ciasném kółku prywatnego życia.“

Zwykły sofizmat zwolenników emancypacyi, który odbierałam przedstawiając, że u nas wcale życie prywatne nie jest uważane za zbyt szczupłe pole dla działalności i wpływów kobiéty, bo my życie prywatne uważamy właśnie za podstawę bytu i kierunku społecznego; ustrzedz je od zepsucia, to znaczy, całemu społeczeństwu dać zdrowy kierunek i silny byt. Kobiéty wolne od naleciałości nowatorskich, pojmują u nas swoje posłannictwo i chętnie pracują w tym wydziale, który się zgadza z ich słabszą siłą fizyczną i usposobieniem uczuć wewnętrznych. Pan H. poparł silnie moją mowę, dodając kilka argumentów ze stanowiska fizyologicznego. Dysputa zaczęła być coraz żwawszą; wycofałam się z niéj i słuchałam tylko. Z początku miss Wocker dosyć poważnie broniła zasad emancypacyi, ale stopniowo podrażniona, pokonywającemi dowodami pana H. zapalać się zaczęła, i rzucać sofizmata jedne od drugich bardziéj bezzasadne; a w końcu wpadła już w zupełne niedorzeczności, na które i argumentować było trudno. Nakoniec, w najwyższém podrażnieniu stanęła przedemną w postawie dramatycznéj, mówiąc: „Powiedz pani rodaczkom swoim, żeś widziała kraj, w którym kobiéty poczuły już swoją godność, zrzuciły nienawistne jarzmo mężczyzn, zdeptały krępujące je dotąd przesądy i uzyskały swobodę, że się nie ograniczają na nikczemnéj roli niauiek i kucharek. Powiedz, dodała wskazując na siebie, żeś widziała kobiétę, która jest obywatelem swego kraju, równie potężnym i silnym jak prezydent Grant i inni!' Tu już całego wytężenia użyć musiałam, ażeby nie parsknąć głośnym śmiechem, patrząc na tę małą, drobną i wcale nie potężną figurkę, ubraną w przywłaszczoną odzież męzką, w któréj do niewypowiedzenia śmiesznie wyglądała; w dyspucie na wszystkich punktach przez pana H. pobitą, a przy pierwszém silniejszém starciu się zdań, nie mająca dość siły, ażeby zapanować nad sobą, pohamować swoje nieukontentowanie, a chłodno i z zimną krwią wytrzymać opozycyę. Pomyślałam sobie, że nietylko opowiedzieć, ale rada byłabym, ażeby moje rodaczki mogły widzieć naocznie, ten wydoskonalony już egzemplarz ekscentrycznéj emancypacyi, w całéj jego śmieszności i niedołęztwie.

Kiedy miss Wocker spiesząc na miting, pożegnała nas niebawem, pan H. opowiedział mi pokrótce bieg jéj życia. Miss Wocker jest blizką jego krewną, znał ją więc od dziecka. Wcześnie objawia-

ła bystry umysł i wielkie zdolności do nauki; po ukończeniu zwyczajnéj szkoły, zapragnęła koniecznie jeszcze przejść kurs wyższych nauk, a obrawszy wydział medyczny, przeszła cały kurs na uniwersytecie w Bostonie. Tam wśród swobodnych obyczajów młodzieży męzkiéj, wśród różnorodnych teoryi wygłaszanych przez takich, co niemieli jeszcze czasu do praktyki je zastosować; przejęła się ideą emancypacyi kobiét, która się właśnie szerzyć zaczęła, i wkrótce stała się jedną z najczynniejszych jéj propagatorek. Przyjęła odzież męzką, stanęła na czele kilku stowarzyszeń mających na celu wywrócenie dotychczasowego porządku społecznego i doszła do najwyższego stopnia ekscentryczności, w całém jéj słabém i śmiesznem świetle. W tych ostatnich kilku latach, coraz więcéj się mnożą w Stanach-Zjednoczonych osobistości w rodzaju miss Wocker, z tą tylko różnicą, że w dodatku najczęściéj nie posiadają jéj nauki; gdyż pomimo, że jak wspominaliśmy już, zakłady naukowe dla kobiét dają możność szerszego rozwoju wiedzy, rzadko bardzo można spotkać kobietę z głębszém wykształceniem, i w ogóle kobiety, zwłaszcza średniéj klassy, uderzają grubą niewiadomością w rzeczach elementarnych prawie.

Przypisać to należy zaniedbanemu wychowaniu domowemu. Nikt się zwykle tu w domu nie troszczy, czy dzieci się uczą i jak się uszą; ojciec cały zajęty interesami, a matka nie kłopocze się wcale o dzieci i zajmuje się niemi o ile tylko można najmniéj. Wysyła je codziennie do szkoły, bo tak zwyczaj każe, a i rada jest pozbyć się na kilka godzin niesfornych dzieci, które hałas i kłopot w domu robią; ale czy te dzieci idą prosto do szkoły, czy czas na naukę przeznaczony przebawią na ulicy, to już dla niéj rzecz zupełnie obojętna. Często się zdarza, że dziecko wyszedłszy z domu z rana, nie wraca aż późnym wieczorem, a cały dzień spędzi po za domem u krewnych lub znajomych; matka nawet się nie zaniepokoi tak długą nieobecnością dziecka, tak to już zwyczajną rzeczą jest tutaj.

Wreszcie pospolitym jest tutaj zwyczajem, że dzieci wszystkich stanów, razem bawią się tłumnie na ulicach miasta, bez żadnéj kontroli, bez żadnéj opieki, a przebiegając gromadkami z ulicy na ulicę, często się znajdują aż na drugim końcu miasta i wracają do domu, kiedy głód poczują. Nacisk kładę na to, że są to dzieci różnych sfer, a często nawet bardzo dostatnich. Trudno się dziwić, że dziecko tak nieograniczonéj swobodzie zostawione, nie przykłada się do nauki a wzrasta w lekkomyślności. To téż kilkoletnie dziewczątko, samowolnie zabiera znajomości i stosunki, w które matka nie wgląda wcale. Najczęściéj się zdarza, że dzieweczka dwunasto-letnia ma już asystenta w tymże samym co ona wieku, i już zaczynają się miłostki, bileciki, schadzki. Więc i gdzież się ma znaleźć czas i ochota do nauki? I tak schodzą młodzieńcze lata, umysł się niebogaci, a młode dziéwcze błąkając się po bezdrożach, tyra młode siły i uczucia, które spaczone wytwarzają z niéj tylko *bezmyślnego dziwoląga*

dla tego tylko, że matki niema, matki w moralném, poważném znaczeniu tego wyrazu.

Kobiéta tutejsza pyszna swojém równouprawnieniem z mężczyzną, marzy o krześle w senacie, lub innéj podobnéj posadzie świecznika krajowego. Z pogardą i lekceważeniem patrzy na wszelką pracę w zakresie prywatnego życia, uważając ją godną tylko sług płatnych.

Jako charakterystyczną cechę tutejszego społeczeństwa, wymienić potrzeba, że tu dziecinnego wieku niema wcale. Przedwczesna dojrzałość dzieci jest zadziwiającą; chłopiec w dwunastym roku swego życia jest już mężczyzną i nie tylko że jest obyty z materyalną stroną życia, jak u nas nie zawsze jeszcze dwudziestoletni nim będzie, ale i radzić sobie umie dziwnie praktycznie. Widocznie że od najpierwszych lat swego życia, złudzeń młodzieńczych tu nikt nie miewa. O ile zbadać mogę, jestto wynikiem tak dziecinnéj zbyt wczesnéj samowoli, jako téż ogólnego pozytywnego nastroju. Dziecię wzrasta, pozostając ciągle pod wpływem racyonalizmu i widzi około siebie tylko chłodną rozwagę ku materyalnym celom skierowaną. Rodzice co chwila słowem i przykładem go uczą, że człowiek dążyć wyłącznie powinien do tego, ażeby zdobyć sobie jak najświetniejszy byt, że pieniądz tylko dać mu może stanowisko i poszanowanie. A że przemysł krajowy ułatwia nawet dzieciom wdzięczny zarobek, więc chłopcy zachęceni zrazu przez rodziców a potém i sami zasmakowawszy w rozkoszy niezależności, chwytają każdą zręczność zarobienia pieniędzy, któremi według przyjętego zwyczaju, mają prawo rozporządzać podług własnéj woli. Z początku każdy z nich zarabia, ażeby używać niekontrolowanych przyjemności, a potém, nacieszywszy się dowoli tém wszystkiém, co pieniądze dać mogą, składać sobie na kapitał powoli zaczyna.

Szkoły specyalne, tak jak lekarska, farmaceutyczna, prawnicza, tak mają rozłożone godziny, ażeby nauka nie przeszkadzała młodzieży, niezależnie od niéj poświęcić się innemu zajęciu. Nauka w tych zakładach wykładana jest bardzo pobieżnie, tyle jéj tam dają, ile koniecznem jest dla przyszłego specyalisty obeznać się z obranym przedmiotem; wydoskonalenie się zaś w nim pozostawione jest w zupełności praktyce. Nie mogę oswoić się z dziwném w téj mierze lekceważeniem rządu administracyjnego, który nie wymaga nawet wcale, ażeby ten co specyalność jakąś praktykuje, był opatrzony patentem egzaminu naukowego. Wolno jest każdemu wywiesić szyld i ogłosić się specyalistą; nikt ani jego kompetentności, ani czynności nie kontroluje. Administracya krajowa wychodzi zawsze z téj zasady, że człowiek obdarzony jest rozumem i wolą, i sam swoją własnością i swojém bezpieczeństwem opiekować się winien. Do publiczności więc należy przekonać się własném doświadczeniem, o ile ów lekarz, prawnik i t. p. wart jest zaufania. Nie potrzebuję dodawać, że doświadczenie to, niejednokrotnie bardzo drogo okupić przychodzi.

Znam tu w Washingtonie dwóch ziomków: jeden jest lekarzem ordynującym w szpitalu, i mający oprócz tego rozległą praktykę w mieście; drugi zaś aptekarzem i właścicielem apteki, jednéj z najbardziéj renomowanych. Oba z pewnym rodzajem chluby mówili mi, że sami sobie są winni swoją specyalność i stanowisko. Pan K. lekarz, zapewniał, że cała nauka jego medycyny, ograniczała się na pierwszym kursie, który przeszedł w Warszawie. Przybył do Ameryki na krótko przed ostatnią wojną domową; wszedł do służby ambulansowéj i odtąd jest już lekarzem i bardzo szczęśliwie mu się powodzi, ale czy i pacyentom jego równie dobrze zawsze się powodziło? czy się nie douczał kosztem ich życia? o tém nie mogę stanowczo powiedzieć. Co zaś do aptekarza, to ten ani elementarnych nawet wiadomości tyczących się jego specyalności, nie przywiózł z sobą do nowego świata, ale rozpatrzywszy się, że farmaceutyka dobrze się tu opłaca, wziął się do książek traktujących tę gałąź nauki, a że znać lotną miał pamięć i bystre objęcie, przyswoił więc sobie prędko, to co mu na razie pilniéj było potrzebném, a doświadczenie dało z czasem i resztę.

Prawnik jeszcze łatwiéj może tu być samozwańcem. Lekarz i aptekarz potrzebują chociaż początkowych przynajmniéj wiadomości odnoszących się do ich nauki; kandydat na prawnika potrzebuje zaledwie kilka miesięcy czasu, ażeby się obeznać z formami prawa krajowego; całkowity zaś kurs szkoły prawniczéj ogranicza się na jednym roku, a cała nauka na znajomości prawa krajowego, bez żadnego odnoszenia się do studyów porównawczych i podstawowych. Oprócz dokładnego powiadomienia we względzie form prawniczych swojego kraju i do wysokiego stopnia podniesionéj przebiegłości, prawnik tutejszy, zatopiony w kombinacyach rozmaitych wybiegów, zwykle pod względem wszelkiéj innéj wiedzy jest zupełnie ciemny. Bawiąc tutaj z powodu prawnego interesu, muszę przymusowo mieć z prawnikami stosunki, mam więc dobrą zręczność poznania ich w rozmaitych odcieniach. Niedawno, jeden z bardziéj znanych tu adwokatów, widząc u mnie pełnomocnictwo napisane w języku niemieckim, wydane w Dreznie, najnaiwniéj w świecie zapytał, czy u nas w każdém mieście innego języka używają? i musiałam mu aż wytłumaczyć dokładnie, że Drezno nie jest miastem polskiém.

Niewyrobiony smak publiczności tutejszéj, wymaga koniecznie, ażeby wszystko miało jak najwięcéj zewnętrznego blasku. Ludzie tutejsi, pomimo naturalnego sprytu, biorą się z zadziwiającą łatwością, jak muchy na lep, na zewnętrzną wszystkiego powłokę.

Przedstawić sobie niepodobna, do jakiéj bezczelności dochodzi tutaj blaga, w narzeczu krajowém zwana humbug; bo téż każdy, z całą swoją nawet istotną wartością zginie, jeżeli nie potrafi otoczyć się humbugiem i jaskrawy blichtr rzucić publiczności w oczy; bez szarlataneryi i rażących arlekinadą reklam, powodzenia mieć nie może, do nich téż uciekają się i przemysł i wszelka specyalność.

Nauka medycyny nawet zbyt często w miejsce biretu, wdziewa poliszynela czapkę z dzwonkami, zniżając się do błazeństwa i bezczeszcząc powagę swoją i zacność powołania. Jeden z bardziéj rażących przykładów tego, widziałem kilka dni temu jako fakt i muszę go przytoczyć. Na ulicach miasta ukazał się rydwan tryumfalny, starożytny, jaskrawo pomalowany, ciągniony przez dwunastu mułów; na rydwanie stał fortepian, na którym grał pajac ubrany w togę i biret doktorski, a kilku pajaców w takichże samych kostiumach, stojąc na rydwanie, z komiczną gestykulacyą, śpiewało umyślnie ułożone śpiewki, sprzedając, tłumnie asystującéj téj kalwakadzie, publiczności, recepty na jakiś uniwersalny środek leczniczy, który jeden ze znanych tutaj lekarzy wynalazł i chciał tym sposobem upowszechnić.

8 kwietnia. Tak uroczyste u nas święta Wielkanocy przechodzą tutaj niepostrzeżenie. Amerykanie do pamiątki Zmartwychwstania Pańskiego nie przywiązują żadnéj uroczystości. Katolicy tylko święcą pierwszy dzień, o tyle wszakże, o ile kościół katolicki solennem nabożeństwem obchodząc te dnie, zniewala swoich wyznawców do nabożeństwa, a że zwyczaj narodowy tych świąt nie obchodzi, więc i przez katolików nawet uważane są tylko za tak zwane kościelne. Przykro mi było do niewypowiedzenia, gdy na drugi dzień świąt poszłam do kościoła i o ósméj rano już zastałam kościół zamknięty, a w mieście wszystko w ruchu powszednim; ludzie zwykłą pracą zajęci i nic nie przypominało nawet, naszéj tak uroczystéj a razem tak wesołéj Wielkanocy. Wszystkie wyznania religijne i sekty, jakie tylko mogą się gdziekolwiek na kuli ziemskiéj znajdować, mają w Stanach-Zjednoczonych swoich przedstawicieli. Konstytucya Washingtonu zastrzega zupełną tolerancyę religijną i ta zachowaną tu jest w całéj swojéj rozciągłości. Można tu dowolnie wierzyć we wszystko, albo w nic. Administracya kraju w to zupełnie nie wchodzi. Więc téż co chwila powstają i szerzą się nowe sekty, z najdziwaczniejszemi zasadami i formami, utworzone przez takich co pragną stanąć na czele nowego stowarzyszenia, mającego zwykle pod płaszczem fanatyzmu religijnego, jakieś materyalne cele, albo téż takich, co pod wpływem ekstazy fanatycznéj doszli do obłędu umysłowego. Każda z takich sekt szerzy dowolnie swoją propagandę jak i gdzie może. Nieraz przechodząc ulicą widzieć można stojącego na beczce apostoła Mormonizmu, spirytualizmu i t. d. wygłaszającego dogmata swego wyznania w kwiecistéj przemowie, któréj tłum różnorodnéj publiczności słucha z wielkiém zajęciem.

Téj zimy przybyło do Washingtonu dwoje ludzi, mężczyzna i kobiéta, którzy wzrośli w Jutach, a zdołali ujść z kraju Mormonów i mieli tu kilka publicznych odczytów, wykazujących w szczegółowém opowiadaniu życie Mormonów, ich instytucye, dążenia, niegodziwości i zbrodnie do jakich się posuwają w interesie swojego stowarzyszenia. Odczyty te były niezmiernie interesujące z powodu, że Mormoni wszystko co się ich wewnętrznego życia dotyczy, starają

się okryć jak największą tajemnicą. Ułatwia im to bardzo samo położenie ich kraju.

Stan Jutach leży w miejscowości takiéj, że zewsząd otaczają go niezmierne pustynie, na których przebycie potrzeba licznéj, dobrze uzbrojonéj i obficie w żywność zaopatrzonéj karawany. Dostać się więc tam nie łatwo; ktokolwiek zaś z obcych przybędzie do kraju Mormonów, obaczy tam to tylko, co może być dla każdego widzialném; ażeby więc znać wewnętrzne ich życie, instytucye i ważniejsze szczegóły, potrzeba być sprzysiegłym Mormonów. Ci co raz wcielą się w tę społeczność pozostają pod najściślejszą a tajną kontrolą starszyzny i straszliwém teroryzmem. Najmniejsze przestępstwo przeciwko interesowi stowarzyszenia, zdradzenie tajemnicy, lub usiłowanie ucieczki, karane jest śmiercią lub okrutną katuszą. Wydalić się po zagranice Stanu wolno tylko tym, co są już do starszyzny zaliczeni; tym sposobem wszystkie nadużycia, jakie się tam dzieją, dzieją się arbitralnie i bez żadnego hamulca.

Mormoni mogąc rozporządzać dowolnie pieniędzmi, których mają wiele, będąc panami jednéj z najbogatszych części Ameryki Północnéj, werbują z łatwością niemało emigracyi rozmaitych narodowości, tem łatwiéj, że obiecują wiele a dają jeszcze więcéj, co się tutaj nie zawsze z emigracyą zdarza. Takim sposobem, tworzą już nie stowarzyszenie, ale naród osobny, coraz liczniejszy, a wzmacniający się się z każdym dniem. Nowo przybyłym dają u siebie warunki życia tak łatwe, wygodne i swobodne, tak tam wszystkie instytucye skierowane są ku temu, ażeby człowiek w niczém hamować się niepotrzebował, że każdy, raz zasmakowawszy w tém życiu, całém jestestwem swojém wciela się w tę społeczność i staje się gorliwym wyznawcą sekty. Wszystkie te przywileje służą wszakże wyłącznie dla mężczyzn, kobiéta zaś pomimo upowszechnionéj we wszystkich Stanach emancypacyi, u Mormonów pozostaje niewolnicą w najzupełniejszém poniżeniu. Takie to krańcowe ostateczności spotykają się z sobą w Stanach-Zjednoczonych, gdzie człowiek puściwszy wodze materyi idzie niczém niekrępowany za popędem złych namiętności i do potworności dochodzi, wyrzekając się swego człowieczeństwa i wzajemnych względem ludzkości obowiązków.

Niepodobna byłoby wymienić szczegółowo wszystkich sekt, jakie w Stanach-Zjednoczonych się znajdują, tak ich jest niezliczone mnóstwo. Jako medium pomiędzy sektą a wyznaniem postawić można Metodystów, którzy ekstaza fanatyzmu posuwają do szaleństwa. Pewnego razu pani S. namówiła mnie i poszłyśmy do bliskiego kościoła Metodystów na wieczorne ich nabożeństwo; wsunęłyśmy się cichaczem w najciemniejszy kątek, ażeby widzieć nie będąc widzianemi. Nabożeństwo właśnie się zaczynało. Była to jakaś niezwykła uroczystość; ławki były pełne modlących się, którzy kiwając się na obie strony, śpiewali psalmy, z początku zcicha, potém coraz głośniéj, wrzaskliwiéj; z ławek wyszło dwóch mężczyzn i kilka kobiet,

weszli za kraty prezbiteryum i jeszcze żarliwiéj modlić się i śpiewać zaczęli. Głos ich coraz się podnosił i chwilami cały chór innych głosów przytłumiał. Ruchy stawały się coraz gwałtowniejsze i w kurczowych konwulsyjnych drganiach i skokach rzucać się zaczęli, jakby w chorobie Św. Wita. Twarze nabrały wyrazu obłąkania, a z ust biała piana się toczyła. Trwało to długą chwilę, dla mnie aż nadto długą, bo widok ten robił wrażenie dziwnie przykre: potém stopniowo te spazmatyczne rzucania się słabły, aż nakoniec biédni fanatycy w omdleniu padać zaczęli bezwładnie na kamienną posadzkę. Niebyłam w stanie już dłużéj wytrzymać, pociągnęłam panią T. i wyszłyśmy z kościoła, nie mogąc długo z wrażenia ochłonąć. Ci z Metodystów którzy w modlitwie dochodzą do takiéj ekstazy, uważani są przez swoich współwyznawców za błogosławionych. Metodyści nadzwyczaj są surowi w zachowywaniu wszelkich form i praktyk religijnych; surowość tę posuwają często do dziwactwa: i tak np. miesięcy kilka temu, w Washingtonie zdarzył się fakt dla innych śmieszny, dla nich bardzo poważny. Metodyści nadewszystko przestrzegają, ażeby w niedzielę nie tylko strzedz się wszelkiéj pracy i domowego, nawet najkonięczniejszego zajęcia, ale także nie pozwalają sobie najniewinniejszéj rozrywki; dzień ten cały spędzają na czytaniu biblii i rozmyślaniu.

Otóż jednéj niedzieli, pewna rodzina, bardzo pobożna, która szczyciła się tém, że kilku błogosławionych już wyszło z jéj łona, zgromadzona w parloarze, zatopiona była w pobożném rozmyślaniu. Ojciec stary i surowy Metodysta, trzymał na kolanach olbrzymią biblią i od czasu do czasu czytał z niéj jakiś wyjątek, który przytomni w duchu swoim roztrząsali. Dotąd wszystko szło i poważnie i uroczyście, a nawet miało w sobie coś prawdziwie patryarchalnego. Ale zły duch co patrzy na to wszystko przez jakąś tam szparę i znać zaczęło go to korcić, postanowił więc spsocić po swojemu i zapewne z jego insynuacyi zdarzyło się, że kot, ulubieniec całéj rodziny, opasły i poważny białoszyi Puss, co siedział z podkurczonemi łapkami i mruczał usypiany monotonném czytaniem, nagle zastrzygł uszami i jakby zaelektryzowany zwrócił całą baczność w jednę stronę pokoju, a po chwili, powoli, cichutko, zeskoczył z taboreta i usiadł w kątku koło komina, i znowu podkurczył łapki, odwrócił głowę na pokój i zdawał się znowu drzemać; a tymczasem pobożne rozmyślania domowéj drużyny nie ustawały, poważny patryarcha czytał z przejęciem. Wtém kot mgnieniem błyskawicy poskoczył, a przytomni mimowoli spojrzeli w tę stronę: w zębach kota, w śmiertelnych kurczach konała mysz. Na ten widok, Metodysta drgnął, z kolan jego zsunęła się z łoskotem biblia, on zaś wyciągając rękę, surowym głosem zawołał: „kot uroczystość niedzielną pogwałcił, dla przykładu powinien być ukaranym.“ W skutek takiego wyroku, rozkoszny, pieszczony Puss został pochwycony i zasadzony do ciupy. Stary wyszedł, a w godzinę potém, przed jego domem zebrała się liczna gro-

mada Metodystów i po dość długiéj naradzie wydała wyrok tak brzmiący: że kot pochwycony na uczynku, w chwili kiedy w dzień niedzielny, gwałcąc uroczystość święta, złapał mysz, dla przykładu, pamięci i nauki ludzi, skazany zostaje na powieszenie. Jakoż w poniedziałek rano, przy licznie zebranych świadkach, wyrok spełniono; a fakt ten Metodyści sami podali do dziennika, ku ogólnéj przestrodze.

Zdarzenie to najzupełniéj prawdziwe, gdzieindziéj za dowód waryacyi byłoby poczytaném, tutaj zaś tyle się dzieje dziwacznych ekscentryczności, że jedni z niego się uśmiechnęli tylko, a inni rzecz tę wzięli na seryo.

Washington prawodawca Stanów-Zjeduoczonych powiedział kiedyś: „Bóg niepotrzebuje opieki“ sentencya ta stała się prawem i rząd nietylko że się nie miesza, jak to pisaliśmy wyżéj, w sprawy religijne swoich obywateli, ale nie opiekuje się nawet żadném wyznaniem. Wszelkie koszta utrzymania kościołów i duchowieństwa, sami wyznawcy ponoszą. Przyjętym więc jest zwyczajem, że kościoły stawiają się przez kompanie akcyonaryuszów, którzy procenta i dywidendy swoje otrzymują z dochodów kościoła; dochody zaś są zapewnione tém, że tu płaci się albo za wejście do kościoła, albo téż za miejsce w kościele.

Nie mogę się oswoić z tym zwyczajem; kupować przy wejściu bilet do kościoła, jak na widowisko, lub téż kupować sobie miejsce tam gdzie każdy, czyto ubogi, czy bogaty, równym być powinien, razi to mnie do niewypowiedzenia; a jednak zwyczaj to tak powszechny i wynika z konieczności wynalezienia jakimbądź sposobem, funduszów potrzebnych do utrzymania duchowieństwa i publicznego nabożeństwa, że i kościół katolicki musi się do niego uciekać.

Religia katolicka bardzo licznych ma wyznawców w Stanach-Zjednoczonych; już sami Irlandczycy stanowią ich zastęp nie mały, dochodzący do sześciu milionów; wiele téż jest tu klasztorów męzkich i żeńskich a najwięcéj Jezuitów i Dominikanów. Dotąd przy każdym klasztorze była szkoła, ale w czasie obecnego kongresu toczą się debata z usilnych poduszczeń protestantów, ażeby odjąć duchowieństwu katolickiemu prawo nauczania młodzieży. Na czém się skończy ta kwestya, dotąd niewiadomo, ale z zażartego antagonizmu jakim tchną w całym kraju stronnictwa obu wyznań, można nie dobrze rokować. Według wszelkiego podobieństwa przygotowują się tu bardzo gorące starcia.

Dałby Bóg ażeby krwawemi nie były, a tlejąca nienawiść nie wybuchła w nowéj wojnie domowéj, która w tym kraju ze względu na namiętny charakter narodu, niewątpliwie byłaby zapamiętałą. Dotąd katolicy z duchowieństwem swojém na czele, pomimo gwałtownych napaści protestantów zachowują się z godnością; oby i daléj tak było.

Duchowieństwo katolickie z wielkiém staraniem utrzymuje kościoły i dba o zewnętrzną ich okazałość, co istotnie jest koniecznem, ze względu na upodobanie Amerykanów w tém co w oczy bije. Lu-

dziom tutejszym potrzeba koniecznie zewnętrznych oznak świetności, inaczéj najświętszéj prawdy uznać nie zechcą; jestto już rzec można charakterem narodu. Stosujac się do tego ogólnego usposobienia, nabożeństwo odprawiane bywa z niezwykłą okazałością; przepyszne chóry towarzyszą Mszy Ś-téj, assystencya przy celebrującym kapłanie liczna i okazale przybrana. Msza Ś-ta odprawia się tutaj znacznie odmiennym trybem, jak u nas.

W miastach gdzie jest więcéj Polaków, księża polscy, za pozwoleniem miejscowych biskupów tworzą nowe, osobne parafie, funduszem zbiorowym akcyonaryuszów Polaków. Budują kościoły, w których odprawia się nabożeństwo według zwykłego naszego obyczaju. New-York ma już trzy takie parafie.

Protestantyzm tutejszy, rozpada się na kilkadziesiąt wyznań, a każde ma swoje kościoły i swoje duchowieństwo. Różnowierstwo tak tu jest powszechne, że bardzo często się zdarza, iż w jednéj i téj saméj rodzinie, kilka wyznań ma swoich przedstawicieli, a dzieci bywają często innéj wiary niż rodzice. Z dziwną łatwością ludzie tutejsi zmieniają religię; znam takich co już po kilka razy przechodzili od jednego do drugiego wyznania, a wiele jest takich rodzin, co do żadnego wyznania wcale nie należą i nie zachowują żadnych prawideł religijnych, więc ślubów nie zawierają, ani dzieci nie chrzczą. Giętkie prawodawstwo tutejsze nie obowiązuje wcale do zachowania żadnych form w tym względzie i nietylko chrzest ale nawet śluby nie są koniecznemi. Na to ażeby dzieci były uprawnione, potrzeba tylko aby rodzice przez czas jakiś wspólnie z sobą mieszkali; wystarcza to w zupełności, ażeby w obec prawa tutejszego ich związek był usankcyonowany. Wśród tego różnowierstwa, na tle tego chaotycznego rozprzężenia pięknie odbijają kwakrowie. Zawsze surowi w obyczajach, sumienni w czynach swoich, oszczędni w słowach, a pełni miłosierdzia. Obyczaje ich proste a patryarchalne odznaczają się uczciwością i poszanowaniem wzajemném. Kwakrów zdaleka na ulicy poznać można: odzież ich ciemna, skromna a ruchy spokojne, znać odrazu że duchem opanowali materyę. Nie wielu ich tutaj naśladuje, ale wszyscy jednak powszechnie szanują; to daje świadectwo prawdy za niemi.

Żadne w świecie stowarzyszenie nie może się zapewne poszczycić tak ogromną liczbą członków i taką popularnością jak stowarzyszenie masonów (wolno mularzy); w Stanach-Zjednoczonych liczą ich na kilka milionów i istotnie niema domu prawie, żeby nie było w nim choć jednego przynajmniéj masona. Wniknąwszy w główne zasady i dążenia tego stowarzyszenia, które tu wcale nie są tajemnicą, nie możnaby sobie wytłumaczyć dlaczego tutaj szerzy się tak bardzo, wtedy właśnie, kiedy tu mniéj niż gdziekolwiek ma pobudek do istnienia, ze względu na ustalone już tu instytucye do których dąży. Zagadka ta wszakże, wyjaśnia się niejako tém, że propaganda ich jest czysto niemiecka i bardzo czynnie popierana w celu, jak się zdaje,

aby dla Germanizmu zjednać co najliczniejszy zastęp stronników, w interesie politycznym, nie zaś socyalnym, pod którego płaszczem się ukrywa. Wszystkie loże, a jest ich moc wielka, w samym Washingtonie jest ich kilka, miewają bardzo regularnie swoje posiedzenia i od czasu do czasu obchodzą ulice miasta pochodem we właściwych sobie uroczystych strojach z muzyką i bębnami. Pogrzeby masonów także z wielką paradą się odbywają; tłumy ludu assystują zwykle takim pochodom, a w skutek szczególnego zamiłowania publiczności tutejszéj we wszystkich zewnętrzych okazałościach i manifestacyach, propaganda szerzy się łatwo i szybko; od niejakiegoś czasu starannie jest prowadzoną pomiędzy murzynami, co także daje wiele do myślenia. Żydzi tu zamieszkali powiększéj części są też masonami, których ustawę wszystkie wyznania tolerują oprócz katolickiego.

Żydów tu jest wielu i właściwie też kraj ten i jego instytucye jakby dla nich umyślnie utworzone, dla handlu pole nieograniczone a spryt przemysłowy olbrzymie dzieła dokonywa. Świeżo przybyli, bardzo prędko dochodzą do majątków i znaczenia, zwłaszcza że powszechnie tu są dobrze uważani. Widziałam kilku żydów polskich, znać pochodzących z najprostszéj klassy, którzy dziś mają piękne magazyny, swoje własne domy i żyją z szykiem i komfortem; wszędzie są dobrze przyjęci, a jeden z nich zajmuje nawet dosyć ważne stanowisko w hierachii urzędowéj.

VI.

Niemcy i Irlandya ze wszystkich innych krajów najliczniejszą emigracyę dostarczają Stanom-Zjednoczonym. Niemców zwłaszcza, jest już osiadłych około ośmiu milionów, co na trzydzieści siedem miljonów tylko, ogólnéj ludności w całych Stanach, stanowi ogromny procent, i zapewnia Niemcom w każdym względzie silną przewagę; a znaną jest już światu całemu umiejętność tego narodu rozgospodarowania się wszędzie gdziekolwiek osiądą. Mają oni osobny dar zachowania wszędzie i zawsze wszystkich cech swéj narodowości i niemiec wszędzie, zawsze pozostaje niemcem; tutaj więc także przechowują bardzo skrupulatnie wszystkie swoje zwyczaje, tworzą stowarzyszenia, komitety, swoje osobne mitingi, swoją prassę; słowem, wśród kraju w którym osiedli i którego przywilejów używają, stanowią jeszcze osobny zupełnie naród. Charakter taki i systematyczne jego utrzymanie jest nieobliczonéj doniosłości dla Germanizmu, którego potęga wzmaga się w świecie całym.

Dnia 11 kwietnia. Święta Wielkanocy i tutaj wiosnę rozpoczynają; temperatura ustala się, dnie coraz pogodniejsze, drzewa zielenieją a raczéj kwitnąć zaczynają, bo większa część krzewów i drzew tutejszych, pierwéj niż liściem, kwiatem się okrywają, tak aromatycznym, że całe powietrze przepełnione jest zapachem przyjemnym, ale odurzającym, zwłaszcza w nocy. W tym roku wiosna

przyjemniejszą jest, niż zwykle jak mówią bywa, gdyż nie tak nagłe jest przejście z zimy do skwarów letnich; i oto już kilka tygodni cieszą się wszyscy jednostajném ciepłém bez upałów, co nadzwyczaj podobno rzadko się na wiosnę zdarza. Roślinność powoli się także téj wiosny rozwija, zwykle zaś kilka dni wystarcza, ażeby nagie zupełnie drzewa pełną zielonością się okryły.

Ja rada jestem bardzo z téj wyjątkowo umiarkowanéj temperatury tegorocznéj; po całych dniach prawie przesiaduję w skwerach, wśród dziatwy i nianiek, któremi są przepełnione. Badam, śledzę i podziwiam świat roślinny tutejszy, w którym tyle nowych a przepysznych widzę rzeczy. Wiele wszakże odejmuje wiośnie tutejszéj uroku, brak zupełny ptastwa ogrodowego, które swojém miłem szczebiotaniem u nas, tyle powabu odradzającéj się naturze, dodaje. Tutaj ptastwo innego jest zupełnie gatunku jak w Europie, prześliczne pierzem najrozmaitszych a żywych kolorów, ale nie śpiewające, trzyma się lasów i miejsc pustych, a do mieszkań ludzkich nie zbliża się wcale i chyba czasem przypędzone wichrem, albo przelatujące jakieś stadko się pojawi; śliczne ptaszyny poskaczą milczące po gałęziach drzew na których jak kwiatki różnobarwne się wydają, i znowu gdzieś sobie odlecą. W całym tutejszym kraju niema żadnego z tych gatunków ptaków, które u nas śpiewem się odznaczają; bardzo usilnie starano się sprowadzić niektóre, a zwłaszcza słowiki, ale te tutaj wychowywać się nie mogą i ani się rozmnażają ani śpiewać nie chcą. Jest wszakże ptak zwany przedrzeźniaczem, obdarzony dziwną zdolnością naśladowania wszystkich tonów ptasiego śpiewu; uczą go często za pomocą sztucznéj gwizdawki, albo wieszają jego klatkę obok śpiewającego kanarka; głos ma nadzwyczaj mocny, ale nieprzyjemny i znać zaraz że nienaturalny. Amerykanie lubią go mieć w domu i często po trzydzieści dolarów płacą za dobrze śpiewającego. Brak ten ogrorodowego ptastwa bardzo dotkliwie uczuć się daje roślinności, którą robactwo bezkarnie pożera. W skutek tego municypalność New-Yorku wpadła na myśl, ażeby sprowadzić z Europy wróble; próba wybornie się udała; sprowadzono kilkaset par z Francyi temu trzy lata zaledwie, a wróbel znać kosmopolita z natury i wszędzie mu dobrze gdzie ma żer, wybornie się zaaklimatyzował i tak swój ród rozmnożył, że dziś nie tylko w samym New-Yorku jest ich wiele, ale i w okolicach nawet już się pojawiają, a wkrótce zapewne w całéj Ameryce się rozpowszechnią. Z pospolitszéj naszéj zwierzyny jadalnéj, także wielu gatunków tu niema. W miejscu zajęcy jest tu rodzaj królików, co siercią i składem przypominają wprawdzie zające, ale są o połowę mniejsze i smak mają inny zupełnie. Cietrzewi, przepiórek i bekasów nie znają tu także; a do bardzo poszukiwanéj zwierzyny liczą pewien gatunek olbrzymiéj żaby, którą Amerykanie za wielki przysmak uważają; widziałam ją, ale skosztować nie miałam odwagi.

Z wiosną i ogrodowe nowalie zaczynają się pojawiać, więc szparagi, sałata, groszek zielony, wszystko to przywożone z miejscowości więcéj ku Południowi posuniętych. Na deser jadamy codziennie ananasy, tanie tu bardzo, ale nie dające się jednak jeść bez cukru; dostarczane są do Stanów Północnych przeważnie z Florydy i Luiziany. Już i truskawki jedliśmy kilka razy, bujne, piękne są napozór, ale także zbyt kwaśne. Wszystko to rośnie na gruncie, inspektów nie urządzają a chociaż i ziemia nie wysilona i klimat gorący, bardzo przyjazne są dla wszelkiéj roślinności; z produktów znać jednak, że ogrodnictwo nie jest ani wczęści tak starannie prowadzone jak w Europie i wszelkie jarzyny nie mają tego wytwornego smaku jak u nas. Prawda że i publiczność tutejsza nie nazbyt jest wymagająca we względzie stołu; kuchnia Amerykanów pozostaje jeszcze w pierwotnym stanie, a co gorzéj że i te kilka potraw, które tu zawsze jedne podają, tak są niedbale przyrządzone, że je przełknąć trudno: bez żadnéj uwagi na względy sanitarne, bywają w potrawach komplikacye takie, że delikatniejszy, nieprzyzwyczajony do nich żołądek przenieść nie może. Amerykanie jedzą bardzo wiele ciasta i to koniecznie gorącego, prosto z pieca; pospolitą téż tu jest chroniczną chorobą tak zwana „dispepsya", rodzaj zupełnego odrętwienia systemu trawiącego. Cały tryb zastawy stołowéj dosyć jest oryginalny, a że rzuca pewne światło na życie domowe, nieodrzeczy więc zapewne będzie wspomnieć o nim. Zwyczajem jest powszechnym i we wszystkich domach stanowczo przyjętym, że na stole zastawione są wszystkie potrawy odrazu; więc na środku figuruje półmisek mięsny z befsztykiem, rostbefem lub jakiémś pieczoném ptastwem, są to bowiem jedyne znane tu mięsne potrawy; w około tego półmiska stoi kilka małych talerzyków, na których są ostrygi, kompot, jarzynka jakaś w wodzie odgotowana, ryż lub kasza z kukurydzy, sałata, szpinak i t. p.: zupy Amerykanie nie jedzą wcale. Kiedy już wszyscy zasiądą do stołu, gospodarz zabiera się do rozdawania wszystkim na talerze, na środku kładzie kawałek mięsa, a w około na tymże samym talerzu potrosze wszystkiego co się na stole znajduje: więc ostrygi, komput, kukurydzę, sałatę, a wszystko to razem się łączy z sobą i tworzy tak okropną mieszaninę różnorodnych a sprzecznych sobie smaków, że podniebienie Europejczyka znieść tego niemoże: co do mnie, to przechorowawszy pierwsze dnie, potém zdobyłam sobie to przynajmniéj, że brałam sama potrawy i chociaż na tym samym talerzu, ale każdą rzecz osobno jadłam. Całe towarzystwo domowe dziwiło się bardzo mojemu jak nazywali kaprysowi i usiłowali wytłómaczyć mi, że wszakże to wszystko razem pomiesza się w żołądku, dlaczegóż więc jeść każdą rzecz osobno.

Jedyne potrawy czysto narodowe są: kasza z kukurydzy i fasola z wieprzowiną; są to ulubione przysmaki Amerykanów, którzy gotowi jeść to dzień po dniu, chociażby okrągły rok cały. Takie zaniedbanie sztuki kucharskiéj i takie obywanie się lada jakiém jedze-

niem, ztąd pochodzi, że kobiéty nie zajmują się wcale domem. Kobiéta amerykańska za niewłaściwe dla siebie uważa, zajmować się tém co do wygody życia męża, *kolegi* lub dzieci potrzebne; obowiązek ten pozostawiony jest sługom, które jak to zwykle i wszędzie bywa, najpierw o sobie pomyślą, a nie zadają sobie zbytecznych trudów, ażeby jedzenie dla państwa przyrządzić starannie, kiedy wiedzą że nikt się o to nie dopomni i nie dopilnuje. U nas kuchnia jest staranna i coraz się jeszcze udoskonala, dla tego, że u nas kobiéty gospodynie domu, żony i matki same czuwają nad tém, ażeby posiłek domowników był zdrowy i pożywny; serce zaś jéj pragnie, by jakimkolwiek sposobem choć chwilową im przyjemność sprawić, więc sama dochodzi rozmaitych ulepszeń w téj gałęzi swoich prac domowych i pod wpływem tego celu, rzemiosło kucharskie do sztuki podnosi: tutaj zaś dzieje się zupełnie przeciwnie. Mam właśnie dobrą zręczność w domu gdzie mieszkam przypatrzenia się zadziwiającéj obojętności i niedbałości żony o wygody męża, a nawet chociaż o konieczne życia jego potrzeby. Pan T. jest adwokatem, bióro swoje ma w innéj części miasta; w czasie kongresu z powodu napływu spraw procesowych, pracy ma wiele, wychodzi więc z domu o ósméj z rana, a nie wraca aż około szóstéj wieczorem; tak jest zajęty, że niema chwili czasu wolnego, ażeby przyjść z bióra na śniadanie, przychodzi więc do domu głodny i z wyrazem takiego zmęczenia na twarzy, że litość bierze patrząc na niego, a w domu zadowolnić się musi zimnemi resztkami obiadu, których odegrzać nawet nikt sobie pracy niezadaje: część pozostała od obiadu przeznaczona dla niego, zakrzepła czeka jego przyjścia na stole, przykryta tylko od much serwetą. Mnie to oburza i raz już nawet starałam się zwrócić uwagę jego żony na to, że należałoby jakoś staranniéj dawać mu to jedzenie: on tak pracuje—dodałam. Ale pani T. odpowiedziała mi na to: „To trudno, ażeby dla niego po raz drugi palić w kuchni, a że pracuje, to cóż dziwnego? wszakże to jego obowiązek: on mężczyzna.“

Dziwna rzecz, że pomimo tych wszystkich przywilejów równouprawnienia z mężczyzną jakie posiada kobiéta tutejsza i wdzieranie się jéj w życie publiczne, wszakże cały ciężar pracy spada wyłącznie na ramiona mężczyzny, kobiéta zaś prowadzi życie tak bezczynne, że mało naszych wytrzymaćby potrafiło w takiéj roli pasożyta.

Całe wytężenie młodéj panienki jest skierowane ku temu, ażeby wyjść za mąż i mieć kogoś coby na zaopatrzenie jéj potrzeb pracował; wcale się z tém nie tają i sam zwyczaj nawet uświęcił już żądanie kobiéty, ażeby miała wszystko gotowe i nie potrzebowała niczém sama się trudzić; mężczyzna zaś który nie jest w stanie na wszystko pracą swoją wystarczyć, uważany jest za niedołężnego, a żona i jéj rodzina robią mu zato gorzkie wymówki, które ten z pokorą znosi, poczuwając się do winy.

Pomimo że i rozgałęziony przemysł, i sama nawet administracya krajowa otwierając dla kobiét swoje bióra dają im możność i sze-

rokie pole do różnorodnéj pracy; wszakże nigdzie podobno nie bywa mniéj kobiet pracujących jak tutaj. Rząd Stanów w skutek niedostatecznéj pracującéj ludności usiłuje i pracę kobiét ułatwić i spożytkować; więc oprócz tego, że każda specyalna gałąź naukowa jest przystępną kobiétom, są jeszcze osobne dla nich szkoły handlowe, gdzie wykładaną jest buchalterya i to co w skład kupiectwa wchodzić może. W biórach rządowych, ponieważ jest inne zupełnie urządzenie jak u nas, i każdy wydział administracyjny, oprócz kilku naczelników, którzy są urzędnikami elekcyjnemi, zresztą w całéj pracy biórowéj posługuje się pracą prywatnych klerków, więc ustanowiono ażeby miejsca takie przeważnie zapełnić kobiétami. Pomimo to wszystko kobiéty próżnują; wprawdzie dobra płaca (siedemdziesiąt pięć dolarów miesięcznie) ściąga do bióra pracownice, ale to nie jest tak ogólne, ażeby stanowiło jakiś wybitny zwrót ku pracy lub cechowało w niéj zamiłowanie; w gruncie rzeczy tą praca kobiet w biórach jest tylko pomocniczym środkiem dla młodych panien chcących się modnie i zawsze świeżo ubierać a nie mających na to funduszów.

Zwykłym codziennym trybem życia klassy średniéj jest, że zrana gospodarz domu wstaje najwcześniéj i zajmuje się ze sługą przyrządzeniem śniadania; poczém bierze kosz na rękę i idzie na targ dla zakupienia potrzebnych na cały dzień produktów, a do tego stopnia kobiéty wstydzą się wszelkiéj pracy domowéj, że od czasu ostatniéj wojny, nawet murzynka służąca, za swoim panem kosza nie poniesie i miałaby to sobie za wielkie ubliżenie. Otóż pan domu obarczony rozmaitemi prowizyami wraca, a oddawszy je słudze zjada śpiesznie swój breck-fest (śniadanie) i coprędzéj odchodzi do zwykłéj swojéj całodziennéj pracy. Pani tymczasem schodzi na śniadanie, a po śniadaniu uzbrojona miotełką i ściereczką zabiera się do uprzątania pokojów a mianowicie parloaru. Widząc tak zrana amerykankę zajętą około utrzymania porządku w domu, możnaby nabrać bardzo pochlebnego wyobrażenia o jéj gospodarności, nie słusznie wszakże, bo na tém zajęciu kończy się już cała jéj praca domowa, gdyż resztę dnia przepędza patrząc przez okno, kołysząc się w fotelu na biegunach, albo ustroiwszy się starannie wizytuje swoje znajome lub przyjmuje je u siebie. W czasie miesięcy wiosennych i Indyjskiego lata, uprzywilejowaną rozrywką kobiét jest zwiedzanie magazynów i przeglądanie wszystkich nowości mody; a że takie przepatrywanie prowadzi za sobą pokusę, któréj oprzeć się trudno, więc téż kupcy na przynętę wywieszają kartę z napisem, że wolno wszystko co jest w sklepie kazać sobie pokazać, nie będąc obowiązanym do kupowania.

Jak rybki łapią się na ten haczyk kobiety, a wracając z takiego przeglądu, chyba już bardzo *nieszczęśliwa* przychodzi do domu bez mniejszéj lub większéj paczki, a kupiec tymczasem zsuwa dolary do kassy. Moda tu jest potęgą tak wszechwładną, że bez narażenia się na otwarte pośmiewisko niepodobna jest uchylić się

z pod jéj despotycznych fantazyi. W przekonaniu żeńskiéj publiczności tutejszéj to co jest modném, musi bydź piękném, chociażby to robiło z kobiéty karykaturę najśmieszniejszą w świecie. Toaleta młodszych kobiét jest w wysokim stopniu przesadna, bo zwiększona jeszcze tém, że mają szczególne upodobanie w świecidłach wszelkiego rodzaju, których bez miary kładą na siebie. Starsze wiekiem a mianowicie wyższéj sfery towarzyskiéj ubierają się zupełnie inaczéj, zwykle czarno, poważnie i jakby z innego zupełnie były kraju; odrębną wcale mają powierzchowność na ulicy, a powagą swego układu uderzająco się różnią od młodszych kobiét. W gruncie rzeczy mają one taką samą powierzchowność, jak i u nas ją mają starsze wiekiem panie, ale tu uwagę zwracają na siebie wydając się dziwnie korzystnie wśród młodéj generacyi rażąco rozrzuconéj w manierach, z efronteryą wyzywającéj, a pewnéj siebie.

Łatwość dorobku i brak ludności sprawia, że wiele jeszcze gałęzi przemysłu pozostaje nie tylko że nie wyczerpane, ale nawet nie tknięte. Pomiędzy innemi zaniedbane tu jest jedwabnictwo i hodowla owiec: Stany-Zjednoczone nie mają wcale ani własnego jedwabiu ani wełny, pomimo że i jedno i drugie wybornieby się produkować mogło; niedostatek tych dwóch tak ważnych materyałów bardzo dotkliwie daje się uczuć i stawia o wiele na niższym stopniu jak europejskie, wszelkie tutejsze wyroby łokciowych materyi. Fabrykańci wełnę i jedwab sprowadzają z zagranicy, lecz że to połączone z wielkim kosztem, o ile można więc starają się zastąpić je bawełną, i doszli do zadziwiającéj doskonałości w nadawaniu jéj pozoru jedwabiu lub wełny. Zbyteczne używanie bawełny sprawia, że wszelkie wyroby tutejsze są w złych i nietrwałych gatunkach. Ludzie bogatsi posługują się towarami tylko zagranicznemi, które niewypowiedzianie są tu drogie. Rząd w celu powiększenia funduszów skarbu, jako też podniesienia rękodzielni krajowych, ustanowił niesłychanie wysokie cło od wszelkich towarów przywozowych; są produkta od których połowę właściwéj wartości się płaci. Instytucya ta wprawdzie niepomału skarb zasila, ale na przemysł rękodzielniczy bardzo szkodliwie oddziaływa. Wszelka produkcya zagraniczna będąc niezmiernie drogą, nie przystępną jest dla ogółu publiczności, a przemysłowcy krajowi nie będąc naciskani konkurencyą obcych fabryk, dają wyrób nędzny, tandetny, którym kupujący pomimo woli musi się zadowolnić w braku lepszego. Przytém jest jeszcze jedna strona ujemna tego systemu administracyi, a to, że się nie kształci smak publiczności, która rzadko widując produkcye zagranicznych rękodzielni, niema zręczności porównać postępu i zadawalnia się tém co widzi u siebie niedomyślając się nawet swego zacofania.

Widząc niedbałe i fuszerskie po większéj części produkcye fabryk krajowych, a zupełne magazynów ubóstwo w towary rzeczywistéj wartości, długo nie mogłam sobie wytłómaczyć jak to się dzieje, że wszakże w naszym kraju, a nawet po części i w całéj Europie

wiele rzeczy z lepszych wyrobów, kupcy podają nam za wyrób amerykański. Objaśnił mię w tém niedawno pewien niemiec oddający się specyalnie przemysłowi. To co my widzimy u nas noszące nazwanie wyrobu amerykańskiego, pochodzi istotnie z Ameryki, ale nie ze Stanów-Zjednoczonych, lecz z fabryk w posiadłościach angielskich, które rzeczywiście mają być znakomite i tak jak wszystkie fabryki angielskie celują doskonałością wyrobów i wykształconym smakiem; wyroby zaś amerykańsko-angielskie tém lepsze być mogą, że na nie i surowy produkt Indyów się składa.

Podobnie się też dzieje z tytuniem, i przybywszy do Ameryki dowiedziałam się że te same gatunki amerykańskiego tytuniu o wiele są droższe w Stanach-Zjednoczonych aniżeli u nas w środku Europy. Stany w bardzo małéj ilości produkują tytuń, i to w gorszych gatunkach, bo uprawa jest niedbała i nieumiejętna; ojczyzną zaś tych wyborowych cygar Amerykańskich, które na świat cały słyną jest Ameryka południowa, a mianowicie Antylle, że zaś od tego produktu większe jeszcze aniżeli od innych cło przywozowe w Stanach-Zjednoczonych opłacać potrzeba, więc lepsze cygara są tak drogie, że stanowią przedmiot zbytku, którego nie wiele osób pozwolić sobie może. Ztąd palenie cygar i papierosów nie jest tutaj tak powszechném jak u nas; ale zato Amerykanie mają zwyczaj żucia tytuniu, co i nie miłe jest do widzenia i bardzo szkodliwe ze względów sanitarnych. Zwyczaj to tak powszechny, że bardzo małe wyjątki nie ulegają temu nałogowi.

(Dalszy ciąg nastąpi).

KRONIKA ZAGRANICZNA,

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Kongres gaograficzny w Paryżu. Wystawa geograficzna w odbudowanéj części pałacu Tuilleryjskiego: charakter jéj międzynarodowy:—Cesarstwo Rossyjskie—Szwecya i Dania—Holandya—Belgia—Anglia i Indye Wschodnie—Niemcy—Austrya i Węgry—Włochy—Szwajcarya—Hiszpania—Brazylia—Turcya—Rumunia—Egipt—Japonia—Stany-Zjednoczone—Chili i Argentyna—dział francuzki. Missye naukowe: sekoya szkoły języków wschodnich.—Wyprawa do Sahary.—Publikacye geograficzne.—Dzieła współczesnych podróżników.—Monografia miast i miasteczek.—Wystawa archeologiczna w pałacu Biblioteki Narodowéj.—Wspomnienia mego życia artystycznego, przez Karolinę Bauer.—Poezye Juliusza Bretona.—Felicyano Castelho, uczony Portugalczyk.—Szkoła archeologiczna w Atenach, inaugurowana przez Niemców w rocznicę śmierci Winkelmana.—Dramat muzykalny, przez p. Schuré.—Opery Ryszarda Wagnera.—Les convoitises: powieść Tony Revillon. Voyage au pays des chimères, Antoniego Rondelet.

W chwili gdy rozpoczynamy kronikę naszą, Paryż przyjmuje reprezentantów całego świata naukowego, równie jak ich przyjmował w roku 1867; przyjmuje ich w części pałacu Tuilleryjskiego, świeżo odbudowanéj z gruzów. Od lat ośmiu nie widział Paryż tak wielkiéj uroczystości; kongresa bowiem i wystawy, jakie się w tych kilku latach powtarzały, nie wyłączając nawet kongresu oryentalistów, którego ważność zaznaczyliśmy w swoim czasie, nie miały tak wielkiego znaczenia, jakie ma dzisiejszy kongres geograficzny. Tę wielką doniosłość nadaje mu jużto sam szeroki zakres geografii, ogarniający tyle gałęzi nauk, jużto współudział tylu uczonych towarzystw i samych nawet rządów.

Rozprawy kongresowe będą zapewne przedmiotem osobnego sprawozdania w Bibliotece, skoro ukończone zostaną. My ograniczymy się pobieżnym rzutem oka, na samą wystawę geograficzną, otwartą z powodu tegoż kongresu. Ta wystawa mieści się na pięciu piętrach, odbudowanego pawilonu Flory, równie jak w oranżeryi ogrodu Tuilleryjskiego i innych, zbudowanych na ten cel galeryach.

Każde państwo osobną zajmuje salę; przebiegnijmy długi ich szereg, zaczynając od krajów północnéj Europy. Cesarstwo Rossyjskie przysłało ogromny zbior kart i okazów etnograficznych. Opuszczamy je, ponieważ dzienniki i pisma krajowe, zajmowały się już szczegółowo tym przedmiotem; idźmy więc do sal, przeznaczonych dla krajów skandynawskich. W pierwszéj widzimy na ścianach ogromne mappy szwedzkie, wśród których panuje geologiczna karta Erdmana.

W wielkiéj kollekcyi minerałów, zwierząt i roślin kopalnych, uderza odlany z gipsu olbrzymi meteoryt, znaleziony w Grenlandyi, przez professora Nordenskiöld, ważący do 20,000 kilogramów. Oryginał zachowany w Muzeum Akademii Nauk w Stokolmie. Zwraca także uwagę powszechną, wielki zbiór fotografii, przedstawiających grenlandzkie i lapońskie skały, wiecznym pokryte śniegiem.

Owe śniegi i lody, zaścielające Skandynawią, nie wstrzymują przecież zamieszkujących ją ludów, od szybkiego i wszechstronnego postępu. Dość spojrzeć na ten statystyczny wykaz ludności szwedzkiéj, wykonany z tak ścisłą dokładnością. W roku 1850, na jeden kilometr kwadratowy, liczono czterech zaledwie mieszkańców; dziś liczba ich dochodzi do dziesięciu!

Pomiędzy zabytkami archeologicznemi widzimy tu ciekawy atlas, nakreślony w roku 1698, ręką hrabiego Dahlberg: był on własnością Karola XII-go.

Sala duńska nadzwyczaj téż zajmująca. Duńczycy jak wiadomo, dowiedli, że chwała z odkrycia Ameryki należy skandynawskim ich naddziadom, z X-go wieku. Uczony Krystyan Rafn, autor dzieła *antiquitates americanoe*, poświęcił długie lata, na udowodnienie tego faktu. Wszystkie prace Rafna, zebrane są na wystawie, a obok nich szczątki starego kościoła skandynawskiego, z runicznemi napisami, odkryte w Kakortoku.

Dział archeologiczny w ogólności bardzo bogaty. Zebrano tu wszystkie starożytne księgi i manuskrypta, traktujące o Danii, zacząwszy od Adama z Bremy z XI wieku, aż do wielkich atlasów nowoczesnych. Ciekawa nadzwyczaj mappa archeologiczna, jak niemniéj rysunki dolmenów, tumuluzów, napisów runicznych, i t. p. wydane przez Towarzystwo starożytnicze w Kopenhadze.

W sali duńskiéj widzimy malowane krajobrazy, pokazujące geologiczną formacyę skał, równie jak odrębną roślinność Północy. Obrazki rodzajowe dają poznać życie Grenlandczyków: pląsy dziewcząt, podczas krótkiego lata, prace przy ognisku w ciągu tak długiéj zimy. Mamy przed oczyma odzież ich ze skóry foków, narzędzia kamienne do dziś dnia używane, rzeźby na drzewie i kości, wykonane z pierwotną naiwnością. Widzimy wreszcie, pierwszy ich druk, słaby przedświt cywilizacyi, datujący ledwie od roku 1856!

Wystawa holenderska ważna szczególniéj dla erudytów! Wielkie jéj bogactwo stanowią zabytki archeologiczne: pierwsze wydania Mercatora i Orteliusa, oraz znakomita kollekcya mapp Bodela z Leydy, obejmująca nie tylko starożytną geografią Niderlandów, ale niemniéj geografią Galii, Italii, a nawet Indyi Zachodnich. Niepodobna nam opisać szczegółowo, skarbów erudycyi tego wytrwałego ludu, który wykonał tyle dzieł wiekopomnych, i umiał je przechować. Wspomnimy tylko: Memoryał Korneliusa Meyera, podany przed dwustu laty, papieżowi Inocentemu XI, wskazujący jakby uczynić Tyber spławnym i osuszyć Pontyjskie bagna. Inny rysunek własnoręczny Leegwatera,

z 1640 roku świadczy, że Holandya przed dwoma już wiekami powzięła myśl osuszenia morza Harlemskiego, myśl urzeczywistnioną za dni naszych.

Obok tych starożytnych pomników, widzimy prace geografów dzisiejszych, odpowiadające godnie wielkim tradycyom przeszłości. Do tych należy mapa sztabu głównego, wykonana z drobiazgową ściłością oraz kolekcya dzieł kart i rysunków, odnoszących się do Indyi Zachodnich, mianowicie do Jawy.

Belgia nie ustępuje Holandyi pod względem wartości nadesłanych przedmiotów; liczba ich tylko mniejsza. Królewska Biblioteka Brukselska nadesłała ze zbiorów dwa globy, niebieski i ziemski Merkatora, pyszne wydanie Ptolomeusza, zpoczątku XVI wieku, z ozdobnemi mappami, oraz liczne plany i rysunki miast swoich, z czasów hiszpańskiego panowania. Ministeryum wojny przedstawia mappy na roz maitą skalę i ministeryum prac publicznych znakomite karty mineralogiczne. Jest tu niemniéj archeologiczna mappa Van der Maelena, i mnóstwo prac sławnych belgijskich geologów i etnografów, jak Omalius d'Halloy, Quetelet, Le Hou i t. p.

Dział angielski na pierwszy rzut oka przedstawia się wspaniale, a jednak specyaliści niezupełnie z niego zadowoleni. Ministeryum wojny, nie przysłało nawet swojéj *Ordnance map*, którąby mogła współzawodniczyć z wielką kartą sztabu francuzkiego. Kraj arystokrata nie pragnie świecić w oczy drugim; nie dba o poklaski, zostawiając je chciwym hołdów parweniuszom. „Kto chce poznać skarby nasze, mówią Anglicy, niechaj przyjedzie do Londynu."

Widzimy jednak w dziale angielskim, prawdziwe osobliwości nadesłane przez rozmaite ciała naukowe. Towarzystwo geograficzne londyńskie przedstawia w oryginalnych rękopismach mappy sławnych podróżników: Liwingstona, Burtona, Speka, Kirka, Bakera i t. d. oraz, wielki zbior wszystkich swoich publikacyi. Towarzystwo eksploatatorów Palestyny, nadesłało liczne dzieła, karty i plany, a między i temi wielki plan *en relief* Jerozolimy, Góry Sinai, i innych sławnych miejsc Ziemi świętéj.

Sekcya indyjska, włączona do angielskiéj wystawy, niesłychanie ciekawa z wielu względów. Widzimy tu szereg mapp, rycin i malowanych krajobrazów, przedstawiających sferę himalajską; wszystko to wykonane ręką młodych tubylców indyjskich.

Ogromna kolekcya etnograficznych typów, złożona z ośmiuset fotografii, stanowi ozdobę sali angielskiéj i powszechną ściąga uwagę.

Niemcy większą jeszcze okazały wstrzemięźliwość. Znać wystawa paryzka jest dla nich solą w oku. Oprócz publikacyi statystycznego bióra pruskiego i bawarskiego, oraz małéj liczby mapp geologicznych, królewskiéj akademii w Berlinie, żadnych tu nie widzimy urzędowych dokumentów. Żadne téż geograficzne towarzystwo z całych Niemiec, nie odpowiedziało na wezwanie Paryża. Sławni geografowie niemieccy Kiepert, Wappaus, Petermann, Stieler, Berghaus, Vogel,

Menke nie nadesłali bynajmniéj prac własnych. Imiona ich figurują tylko na okładkach dzieł wystawionych przez domy handlowe. Z pomiędzy tych licznych publikacyj, zasługuje szczególniéj na uwagę trzytomowe dzieło Petermanna, obejmujące zbiór materyałów do historyi poszukiwań, dokonanych w Australii, Afryce i pod biegunem północnym. W świeżo wydanym atlasie podręcznym Kieperta, Francuzi spostrzegli nie bez podziwu miasta Tuluzę i Bordeaux, zapisane po hiszpańsku, Marsylię i Niceę po włosku, miasto Lille w języku flamandzkim. Czyżby Niemcy w przewidywaniu nowego kataklizmu, obmyślali już podział Francyi? Takiż byłby cel nauk lingwistycznych, uprawianych w Niemczech z taką gorliwością? Francuzi jednak uważają już za ustępstwo ze strony zareńskich sąsiadów, że nie pokazali na wystawie mapp, na których wcielono do Niemiec te nawet części Lotaryngii i Alzacyi, które dotąd przy Francyi pozostały.

Z zabytków archeologicznych, Niemcy przysłały tylko dwie starożytne mappy Ameryki, wykonane w XVI wieku na rozkaz Karola V.

Węgry z Austryą tworzą nierozłączną jedność, tak na wystawie, jak i w polityce dzisiejszéj. O ile Prusy z całym szeregiem aneksów okazały niechęć ku paryzkiéj wystawie, o tyle znów Austrya okazała gotowość do jéj uświetnienia; ministerya obu złączonych krajów, a za niémi towarzystwa naukowe i municypia, pośpieszyły z nadesłaniem tak starożytnych zabytków, jak i nowoczesnych prac swoich. Zwraca tu najsamprzód uwagę, wielka mappa geologiczna Austryi Hauera, wydana przez Instytut geologiczny w Wiedniu. Ciekawe niemniéj plany *en relief* Budy-Pesztu i dalmackich portów Tryestu, Spaletro, Cattaro i t. d. Wśród niepoliczonych wydawnictw, uderza w oczy chromolitografowana mappa środkowéj Europy, złożona z dwudziestu pięciu tablic, wykonana z wielką dokładnością. Żadne z państw nie przedstawiło tak zupełnéj kollekcyi dzieł statystycznych. Archeologia niemniéj bogato reprezentowana. Widzimy tu planisfer wykonany na pergaminie r. 1553 w Arqua, przez Francuza Piotra Dessellier: podziwiamy w nim świeżość kolorytu wybornie zachowaną; uczeni zaś specyaliści zdumiewają się nad tém, że brzegi Afryki znane zaledwie od pół wieku, oznaczone tu z matematyczną niemal ścisłością. Przypisać-że to prostemu przypadkowi? czy téż owe brzegi nie były już obce dawnym geografom? Pozostaje to zagadką dla nauki!

Wspomnimy tu jeszcze wielki zbiór zégarów astronomicznych, astrolabów i innych narzędzi, wyrobu niemieckich, włoskich i francuzkich kunstmistrzów.

Jeżeli możemy zrozumiéć wyrafinowaną niechęć Niemców do wystawy francuzkiéj, nie umiemy sobie wytłumaczyć obojętności Włochów, od których mamy prawo wiele wymagać, z powodu wielkiéj ich przeszłości historycznéj. Byłażby to chęć naśladowania Niemców? Tak niestety sądzić należy, bo jeżeli Włochy w czasach najnowszych, oddani głównie polityce, nic mają z czém popisać się przed światem

naukowym, nie brak im przecież dawnych zabytków, przechowanych po tylu starych grodach, nawet w oddziale geografii i etnografii.

W części Włoch, najważniejsza karta Piemontu, z końca XVII wieku, oraz mappa głównego sztabu piemonckiego, która posłużyła za wzór dla innych prowincyi.

Jeden z inżynierów medyolańskich przysłał ciekawy projekt drogi żelaznéj przez górę Mont-Blanc.

Skromna Szwajcarya wyścignęła nietylko Włochy ale i nie jedno z wielkich państw, przedstawieniem doskonałéj mappy sztabu, wykonanéj przez genérała Dufour, którego śmierć tak poruszyła niedawno świat naukowy. Obok téj zwraca uwagę karta geologiczna Szwajcaryi i atlas historyczny Vogelego. Widzimy tu jeszcze plan tunelu pod górą św. Gotarda, maszynę do przebijania skały i wielki zbiór kryształów wydobytych z wnętrza ziemi. Szczególne zajęcie w dziale szwajcarskim, budzi znaczna kollekcya mapp, wystawionych przez nauczycieli wiejskich: mappy te wypracowane ręką uczniów, okazują wymownie postęp geograficznych nauk między ludem szwajcarskim.

Hiszpania jakkolwiek szarpana wojną domową, nadesłała jednak dwa piérwsze arkusze wielkiéj mappy sztabu głównego rozpoczętéj pod dyrekcyą generała Ibanez, znakomity atlas pułkownika Coello, liczny zbiór kart morskich i hydrograficznych, oraz szczegółową mappę Fillipinów. Piękny plan Madrytu, zasługuje także na uwagę.

Brezylia nadesłała ważne dzieła statystyczne i mappy. Wśród tych odznacza się atlas Emanuela Liais, dyrektora obserwatoryum w Rio Janejro.

Grecya nie dała znaku życia, chowa zapewne archeologiczne zabytki swoje na uświetnienie przyszłéj niemieckiéj wystawy, aby zapłacić Niemcom *krew przelaną w sprawie jéj niepodległości.* Są to słowa jednego z professorów, wyrzeczone świeżo przy inauguracyi archeologicznéj szkoły niemieckiéj w Atenach. Powiemy o tém niżéj.

W dziale tureckim widzimy tylko fotograficzne panorama Konstantynopola, wykonane przez Francuza. Katalog jednak zapowiada rozmaite miejscowe wyroby, które wkrótce zapewne nadejdą.

Rumunia wystąpiła z częścią mappy sztabu przedstawiającą Wołoszczyznę. Mały ten kraj szarpany długą wojną, późniéj pozbawiony niepodległego bytu, niewiele mógł dotąd uczynić dla nauki, dźwiga się jednak wszelką siłą, aby powetować czas stracony. Dowodzi tego zawiązane świeżo w Bukareście Towarzystwo geograficzne. W stosunku do szczupłego rozmiaru jaki zajmuje na karcie Europy, kraj ten najliczniéj może reprezentowany na kongresie paryzkim.

Rzecz dziwna, dlaczego Egipt tak zwykle skory do łączenia się z ruchem europejskim, nie przysłał nic na francuzką wystawę? Nowo zawiązane Towarzystwo geograficzne w Kairze, chlubi się przecież prezydentem swoim Schwenfurchtem, sławnym ze świeżo odbytych podróży po Afryce środkowéj. Chwilowe stosunki polityczne Egiptu do Francyi, tłumaczą ten stan rzeczy. Wiadomo że Francya nie chce

dotąd zrzec się przywilejów jakie otrzymała od sułtanów tureckich, pozwalających jéj sądzić sprawy poddanych swoich, w obrębie państwa Ottomańskiego.

Co do krajów azyatyckich, widzimy tu Indye Wschodnie obok Anglii, Indo-Chiny obok Francyi, wyspy Fillipińskie przy Hiszpanii, Malezyą przy Niderlandach. Sama tylko Japonia pokazuje się samodzielnie. W jéj mappach wykonanych w XVIII wieku, uderza nadzwyczajna precyzya topograficzna. Uczeni francuzcy zauważyli, że te mappy japońskie dokładniejsze od mapp francuzkich z tegoż wieku.

Ameryka słabo wogólności reprezentowana na wystawie. Stany Zjednoczone nadesłały zaledwie zbiór mapp Koltona, i kilkanaście rycin kolorowanych, a między niemi, widok międzynarodowéj wystawy w Filadelfii. *Prima charitas ab ego;* idąc za tém przysłowiem, Ameryka co ma najlepszego schowała na przyszłoroczną swoją wystawę.

Z południowych republik, dwie tylko, Chili i Argentyna, nadesłały mappy i dzieła geograficzne. Ostatnia przedstawia kilka ważnych zabytków z przeszłości, mianowicie wielką mappę Ameryki południowéj z roku 1775, i rękopis przypisywany Kolumbowi.

Obiegłszy świat dokoła, przystąpmy wreszcie do Francyi; przystęp tu wcale nie łatwy, Francya bowiem, jako uprzejma gospodyni, przeznaczyła gościom honorowe miejsca, przy wielkiéj duchowéj biesiadzie, sama zaś pomieściła się gdzie mogła i jak mogła. To téż widzimy zbiory jéj rozproszone po pięciu piętracah pawilonu Tuilleryjskiego, ale mozół hojnie się opłaci dla każdego kto go podejmie. Nowa tu jednak przedstawia się trudność. Jak mówić o tylu przedmiotach, z których każdy godzien szczegółowego opisu, gdy tymczasem, proste nawet wymienienie wszystkich przeszłoby o wiele ramy kroniki naszéj.!

W wielkiéj sali pawilonu, przeznaczonéj na posiedzenia kongresowe, główną ścianę zajmuje ogromna mappa sztabu, owoc kilkudziesięcioletniéj pracy najbieglejszych inżynierów francuzkich, prawdziwe arcydzieło. Po raz pierwszy wystawiono ją całą na widok publiczny. Serca francuzów ściskają się na ten widok. Mappa wystawiona w całości, wówczas kiedy kraj szarpnięty w dwówiekowéj całości swojéj.

Pomijamy liczne kollekcye ministeryum oświecenia, i ministeryum wojny, rozrzucone po różnych miejscach, przejdźmy na najwyższe piętro. Tu w ogromnéj sali zobaczymy liczne przedmioty, zgromadzone przez członków sześciu missyi francuzkich, wysłanych w końcu zeszłego roku na wyspy Ś-go Pawła i Campbell, do Numei, Nangasaki, Pekinu, i Sajgonu, w celu obserwacyi nad przejściem planety Wenus przez tarczę słoneczną. Widzimy tu plany zwiedzonych stacyj, tablice meteorologiczne, okazy fotografij, oraz niezliczone zbiory z wydziału nauk przyrodzonych.

W inném miejscu, sekcya szkoły języków wschodnich, obejmuje liczne *fac simile* i oryginały kart arabskich, tureckich i chińskich. Gdzieindziéj znów widzimy prace missyi naukowych, przedsięwzięte

pod opieką rządu przez uczonych jak Rey, Saulcy, Guerin, Perot, Gradidier i innych; daléj prace archeologów wydziału galskiego; niezliczone mappy dawnéj Galii, reprodukcye starożytnych pomników i napisów.

Szczególną uwagę tak kongresu jak i zwyczajnych widzów, zwraca na siebie mappa kapitana Boudaire, wykonana z pomocą członków komissyi, wysłanéj do Afryki przez Towarzystwo geograficzne paryzkie, dla sprawdzenia, czyli podobna utworzyć morze na piaskach Sahary. Otóż więc badania na miejscu dowiodły w nieomylny sposób, iż większa część tego kraju niższą jest niż poziom morza Śródziemnego. Połączenie jednak nastąpić nie może, dopóki odpowiednie prace rozpoznawcze towarzystwa włoskiego przedsięwzięte, nie zostaną wprzód dokonane.

Wielcy wydawcy francuzcy wystawili w osobnych salach ważne publikacye: Hachette liczne książki i mappy Eugeniusza Cortemberta, nestora geografów francuzkich. Wielki atlas p. Vivien de st. Martin, *Tour de monde* pod redakcyą Chartona, ogromną kollekcyą przewodników Joanna, złożoną ze stu tomów, geografią powszechną Reclusa i wiele innych dzieł równéj doniosłości. Delagrave wystawia kollekcyą globów Levasseura i Perigota, niezliczone karty, a między niemi wielką szkolną mappę Francyi *en relief*, wykonaną przez Levasseura, i uczennicę jego pannę Kleinhaus. Belin, ukazuje atlasy geografii fizycznéj i historycznéj oddawna ocenione, Bertrand, pomnikowe publikacye Jomarda, Viquesnela i innych. Z pomiędzy tych dzieł, największe dla nas ma znaczenie podróż Viquesnela do Turcyi, w któréj znakomity erudyta bada szczegółowo etnografią plemion słowiańskich i oznacza dawne wędrówki tychże ludów.

Wielu uczonych nie za pośrednictwem wydawców, ale na własną rękę wystawia swoje prace. Znajdziemy w tych stosach książek i rozpraw, ozdobionych mappami, planami i rysunkami, nadesłanych ze wszystkich części Francyi, monografią szczegółową każdéj okolicy, każdéj góry i doliny, każdego miasta i miasteczka, każdéj ważniejszéj wioski. Takie to pojedyncze dzieła, opracowane dokładnie pod względem historycznym, etnograficznym i topograficznym, okazujące stosunek mieszkańców do miejscowości, i ch tradycye i zwyczaje, stanowią zbiorowo najznakomitszy pomnik geograficzny, jakim kraj pochlubić się ma prawo. Przekonani jesteśmy, że cudzoziemcy patrząc na taki ogrom prac zbiorowo dokonanych, na taką decentralizacyą naukową, która przedewszystkiem daje rękojmię prawdziwego postępu, odwołają zdanie lekkomyślnie powtarzane za Niemcami, że Francuzi nie znają geografii kraju swego. Wprawdzie ta nauka, nie jest tu jeszcze tak popularną jak w Szwajcaryi, Holandyi, Szwecyi i innych skandynawskich krajach, nie sądzimy jednak aby wieśniak z Brandeburgii lub Pomorza, lepsze miał wyobrażenie o całości Niemiec, niż Bretończyk lub Awerniak o całości Francyi.

Liczni podróżnicy i eksploatatorowie przynoszą tu swoje plony, zebrane na całym obszarze kuli ziemskiéj: Beauvoir trzytomową a tak popularną podróż w około świata, i obok niéj znakomitą kollekcyą etnograficzną zebraną u rozmaitych ludów; ksiądz Durand opis missyi katolickiej, w Południowéj Ameryce z bogatym atlasem.

Pinard podróże po kraju Alaska; Tremcane po Sudanie i Azyi Mniejszéj; admirał Dupre, mappę Kochinchiny; Mariette, Bey, kartę Palestyny i Etyopii, według starożytnych egipskich pomników.

W jednéj z sal uderza w oczy, wielka biograficzna mappa Eugeniusza Cortemberta; przed kilku miesiącami byliśmy obecni na zwyczajném zebraniu Towarzystwa geograficznego, kiedy uczony ten przedstawiał członkom ową mappę, zaledwie naszkicowaną, oznaczającą siły intellektualne Francyi, rozrzucone po całym jéj obszarze. Mówiliśmy już o téj ciekawéj pracy która nasuwa tyle nowych pytań, co do stosunku człowieka z ziemią macierzystą. Żałujemy że nam niepodobna zatrzymać się dłużéj nad tak znakomitém dziełem, godném szczegółowego zbadania.

Z tego pobieżnego rzutu oka, widzimy jak niezmordowaną działalność okazała Francya, w obec cudzoziemców zebranych na kongres geograficzny. Obok tych dowodów żywotnéj pulsacyi, niesparaliżowanéj skutkiem klęsk i tak obfitego krwi upływu, Francya przedstawiła jeszcze obcym erudytom, bogate zasoby naukowe, nagromadzone w pasmie wieków. Te starożytne pomniki zapełniają szereg sal w pałacu Biblioteki narodowéj. Wystawiono je tam z powodu, że statuta Biblioteki zabraniają wyraźnie, wyprowadzać za obręb gmachu, zachowanych w nim skarbów. Eugeniusz Cortembert, bibliotekarz sekcyi geograficznéj zajął się sam urządzeniem tego działu wystawy.

Pierwsza sala wyłącznie poświęcona pracom ekspedycyi Egipskiéj z roku 1798. Wśród mnóstwa ksiąg, planów map i rysunków, widzimy portrety wszystkich członków ekspedycyi, wodzów wojskowych, uczonych i inżynierów, wykonane pędzlem Dutertra, który należał także do wyprawy. Z nowych pomników pomieszczono tu tylko panoramę kanału Sueskiego, ofiarowaną bibliotece przez Lesepsa, którą widzieliśmy na wystawie powszechnéj w roku 1867.

Druga sala poświęcona Chinom i Japonii. Ściany całe zawieszone mappami niebieskiego państwa i Niponu. Wiele z nich wykonali missyonarze Jezuici w ciągu wieku XVII.

W galeryi Mazaryn niesłychana panuje rozmaitość. Spostrzegamy tu ogromną kolekcyą mapp d'Anvilla złożoną z trzechset arkuszy, nakreślonych ręką wielkiego geografa XVIII wieku. Na ścianach gdzie rzuć okiem porozwieszane karty różnych krajów i wieków, najrozmaitsze formą i wykonaniem, okrągłe, podłużne, czworograniaste, w kształcie serca i t. p. W pośród nich świeci kruk biały, mappa świata Merkatora z roku 1569, jedyny egzemplarz jaki istnieje w świecie. Równie ciekawy unikat Sebastyana Cabot z końca XV wieku; zamieszczony poniżéj napis oznajmia, że Jan i Sebastian Cabot pierwsi do-

płynęli do stałego lądu Ameryki, w roku 1494, to jest na lat cztery przed Krzysztofem Kolumbem.

Do najrzadszych osobliwości należą mappy trzech części starożytnego świata, na których *Pater Noster*, wypisany w rozmaitych językach, stanowi linię graniczną, pomiędzy jednym krajem a drugim. Ciekawa także mappa pomysłu Mahe de la Bourdonnaie, więzionego w Bastylii, narysowana sadzami i fusami od kawy na dwóch chustkach do nosa.

Widzimy tu liczny zbiów portulanów, czyli mapp morskich i portowych z XV wieku, wykonanych na wyspie Majorce, tém sławném gnieździe żeglarzy średniowiecznych; widzimy bogatą kolekcyą egzemplarzy Ptolomeusza, po grecku i łacinie. Jeden z nich nadzwyczaj ozdobny, nosi cyfrę Henryka II, inny był własnością Macieja Korwina. Ważny niemniéj arabski rękopis geografii Edrisiego, zabytek z XII wieku. W wielkim zbiorze globów, uderzają dwa olbrzymie Coronallego z 1683 roku, liczące blisko cztery metry średnicy.

Patrząc na te nieocenione skarby erudycyi, pielęgnowane troskliwie w długim szeregu wieków, dreszcz przechodzi na myśl, że mało brakowało, aby te wszystkie drogocenne zabytki nie stały się garścią popiołu, przez szaleństwo nihilistycznych reformatorów, którzy zamierzyli odbudować społeczeństwo, zacierając ślady dwódziestowiekowéj cywilizacyi.

W bieżącéj literaturze niemieckiéj, mało publikacyi zyskało tak wielki, a zarazem tak zasłużony rozgłos, jak dwutomowe dzieło pod tytułem: *Wspomnienia mego życia artystycznego*, przez Karolinę Bauer. Pierwszy tom drukowany był przed trzema laty, w peryodycznem piśmie: *Ueber Land und Meer;* drugi wyszedł w Berlinie kilka miesięcy temu. Trzydzieści kilka dzienników, gorącym poklaskiem przywitało ten utwór: pierwsi pisarze niemieccy, jak powieściopisarze Freitag, poświęcili mu rozbiór obszerny i szczegółowy.

Pochwały te nie dziwią nas bynajmniéj. Znakomita artystka która nakreśliła te wspomnienia, przez lat dwadzieścia dwa była pierwszorzędną gwiazdą sceny niemieckiéj. Podziwiano jéj grę, tak w Berlinie, jak w Dreznie, Wiedniu, słowem we wszystkich miastach od Renu po Dunaj i Wartę. Gdziekolwiek przebywała, żyła otoczona gronem pierwszych pisarzy i poetów. Było to w czasach najbujniejszego rozkwitu sztuki dramatycznéj w Niemczech, w chwilach pamiętnych walk, kiedy romantyzm, reprezentowany przez Ticka i jego szkołę, zatryumfował nad zużytym klasycyzmem. Autorka obszerne miała pole do zbierania bogatych wspomnień, a pełna zapału dla sztuki, obdarzona prawdziwym talentem pisarskim, umiała ożywić te wspomnienia i upleść z nich najpiękniejszą wiązkę. Wybornie określił ową pracę, znany krytyk berliński Ludwik Schnejder:

„Jestto—mówi on—pełne wdzięku zjawisko w literaturze, autorka zachowała gorącą miłość sztuki, lubo oddawna oddalona od te-

atru, żyje dziś w innych sferach. Główną zaletą ślicznego dzieła, jest wdzięk połączony z taktem. Wszystko tu harmonijne, niedopatrzeć nigdzie sarkazmu, ani złośliwości, prawda odbija w każdém słowie, opowieść wymowna a zarazem pełna prostoty, zachwyca czytelnika."

Widzimy tę prostotę w pięknym liście, który autorka posłała razem z rękopisem redaktorowi przeglądu: *Ueber Land und Meer;* list ten zamieszczony przy osobném odbiciu dzieła, zasługuje na powtórzenie.

„Nie byłam ja najpierwszą ani najsławniejszą w gronie artystów mego czasu, ale miałam szczęście współdziałać w chwili rozkwitu sztuki dramatycznéj w Niemczech z najświetniejszymi jéj przedstawicielami. Niezwyciężony popęd zmusza mnie do mówienia o nich i o życiu artystyczném téj epoki. Z najżywszym zapałem dla sztuki, wypłacam dziś dług serca, odżywiając pamięć wiosennych dni życia mego. Obrazy te wzięte żywcem z natury, starałam się kreślić je wiernie, bez pretensyi, z zupełną bezstronnością. Może te wspomnienia potrafią jeszcze zająć dzisiejsze pokolenie."

Nie omyliła się autorka. Wspomnienia jéj zajęły żywo wszystkich: starsi czytając je, przypominają sobie wielką artystkę, która ich niegdyś zachwycała nieporównaną grą, a zarazem pięknością oblicza i postawy; młodzi znajdują w nich wierny obraz świetnéj epoki dramatycznéj, któréj blask zatarł się od lat wielu.

Dzieło Karoliny Bauer wybornie odpowiada tytułowi. Nie są to pamiętniki pisane systematycznie z roku na rok, ale raczéj wspomnienia kreślone swobodnie w miarę jak się nasuwały na pamięć. Gorące słowa które autorka na samym wstępie poświęca ukochanéj matce, chwytają odrazu za serce czytelnika. Piękna to w rzeczy saméj postać, ta matka, wdowa od dwudziestu trzech lat życia, gdy mąż walczący w szeregach Napoleona padł ugodzony kulą pod Aspern, młoda, dorodna, a tak wyłącznie poświęcona czworgu małym sierotkom. Co chwila spotykamy w wspomnieniach ową matkę, która ani na chwilę nie opuszczała córki i przez cały ciąg artystycznego zawodu otaczała ją najtroskliwszą opieką. Z wielkiém życiem kreśli autorka obraz lat dziecinnych i zabawy z braćmi, którzy przezwali ją małą komedyantką i publiczne wystąpienie w Carlsruhe, i wielką radość, gdy w szesnastym roku życia odebrała pierwsze oklaski i pierwsze pięćdziesiąt guldenów z dyrekcyi teatru. Wspomina potém pobyt swój w Paryżu, gdzie przebywała rok cały, dla zbadania gry sławnéj panny Mars i innych artystów téj epoki. Opisuje daléj wystąpienia swoje w Berlinie, Dreznie, Wiedniu, Królewcu i innych miastach niemieckich.

Sztuka dramatyczna, kwitnąca podówczas w całych Niemczech, najświetniéj reprezentowaną była w Dreznie, pod kierunkiem sławnego dramaturga, krytyka i poety Ludwika Ticka. Tu Karolina Bauer przybyła w roku 1835, w całéj pełni talentu i sławy; tu spędziła lat dziewięć i tu ze śmiercią matki zakończyła świetny swój zawód. Dre-

zno też najżywiéj odbiło się w jéj pamięci: najciekawsze poświęca mu wspomnienia.

Przybyła do Drezna w chwili gdy sławna artystka Rettick uczennica Ticka, opuszczała scenę w skutek nieporozumienia z mistrzem swoim. Potrzeba było przedewszystkiém zjednać sobie względy słynnego dramaturga, lecz jak tu do niego przystąpić. Młoda artystka udaje się kolejno do rozmaitych osób, to do dyrektora teatru Bottigera, to do sławnego artysty Devrient'a, z prośbą by ją przedstawili Tickowi. Ale każdy wymawia się grzecznie, każdy z nim poróżniony! Strach ogarnia artystkę!.. jak tu szukać znajomości z człowiekiem, który z nikim zgodzić się nie może? a jednak bez Ticka, wstęp do teatru niepodobny! Baron Sternberg poprowadził ją wreszcie do domu strasznego dramaturga.

„Tick—mówi autorka—liczył wtedy z górą lat sześćdziesiąt, ale cała jego postać miała w sobie coś młodzieńczego. Czapeczka czarna włożona fantastycznie, pięknie odbijała przy kształtnych rysach i ciemném wyrazistém oku. Ręce miał alabastrowéj białości, troskliwie wypielęgnowane; czarujący uśmiech igrał na świeżych jego ustach; głos metaliczny mile potrącał ucho."

Przyjęcie odbyło się w sposób prawdziwie uprzejmy. Tick słyszał już o pannie Bauer, pragnął więc zatrzymać ją w Dreznie, obiecał wszelką radę i pomoc. Zaprosił ją wraz z matką na wieczorne odczyty.

Te odczyty sławne były w swoim czasie. Podróżni nawet zwiedzający Drezno, uważali za obowiązek słuchać czytającego Ticka, tak samo jak obejrzeć Grüne-Gewelbe lub galeryę obrazów. W żywy i zajmujący sposób autorka opisuje te wieczorne zebrania. Pani Tick z dwoma córkami, przyjmowała gości w salonie. Przed siódmą wchodził Tick z powagą monarszą, okrążył dokoła salę, tu mile się uśmiechnął, tam wyrzekł grzeczne słówko, z postawy jednak i obejścia, znać że wszystkich traktował z góry nie wyłączając ludzi prawdziwéj zasługi i talentu.

Wśród gości zajmowała honorowe miejsce, chuda, wysoka hrabina Finkenstejn, od lat trzydziestu przyjaciółka poety, zagorzała jego wielbicielka. Tick był dla niéj istném bożyszczem.

O siódméj stawiano przed poetą stolik i dwie woskowe świece. Następowała w sali wielka cisza. Tick otwierał książkę lub rękopism. Co będzie czytał? pytali wszyscy w duchu, nikt przecież nie ośmielił się wyrzec słowa. Sala zwłaszcza latem przepełniona była duszącą atmosferą, lampy gasły od upału i wilgotnych wyziewów.

Tick czytał w nieporównany sposób, zmieniał głos stosownie do przedmiotu. Umiał podnieść każde słowo, uwydatnić każdy celniejszy ustęp. A jednak gdy przyszła koléj na szekspirowskiego Ryszarda albo Henryka, lub co gorsza na jaką starą komedyę tłumaczoną z hiszpańskiego, słuchacze byli na torturach. Tropikalny upał oddziaływał na nerwy. Nad tę duszącą atmosferę, stokroć bardziéj ciężył

argusowy wzrok hrabiny Finkenstejn. Przez trzy godziny, ta kobiéta istna mumia, prowadziła oczyma po wszystkich, śledząc badawczo ażali kto nie popełnił zbrodni przeciwko uwielbionemu jéj bożyszczu. Biada temu kto ziewnął albo senną pochylił głowę, biada temu na czyich ustach zaigrał niewinny uśmiech, biada temu kto opuścił salę! Nic nie uszło oka hrabinéj, pełniącéj obowiązki nieprzebłaganego a co gorsze dobrowolnego policyanta!

Hrabina od trzydziestu lat nie opuściła ani jednego odczytu, każdą sztukę Szekspira słyszała przynajmniéj po sto razy, na twarzy jéj odbijał przecież zawsze gorący entuzyazm, ona pierwsze dawała hasło do oklasków.

Cóżto dopiéro kiedy Tick odczytywał własny swój utwór! Byłaż to prawdziwa uroczystość. Sala oświecona była wspanialéj, nawet świece woskowe grubsze. Do herbaty podawano ciasta w miejsce bułek. Kto nie przyszedł, wpadał w niełaskę, poeta nie przebaczał takiéj zniewagi. Owe to nieszczęśliwe odczyty, pokłóciły go z całą niemal inteligencyą drezdeńską.

Kiedy Tick czytał własny dramat, ubierał się we frak, wiązał na szyi krawat biały. Hrabina Finkenstejn stroiła się także jak do dworu. Wówczasto oczy jéj pilniéj jeszcze śledziły każdy ruch audytoryum, chude jéj ręce tém mocniéj klaskały, z piersi jéj tém głośniejsze wybiegały okrzyki. Do ulubionych jéj sztuk należał dramat *Siwobrody*, słuchając go wpadała w zachwyt dochodzący do szału.

Karolina Bauer umiała panować nad sobą; nigdy argusowy wzrok hrabiny nie dopatrzył uśmiechu na jéj ustach, mimo że ta zmuszona powaga wiele nieraz kosztowała wesołą i pełną życia artystkę. Pilniéj ona czuwała nad matką: aby odegnać nieproszony sen od jéj powiek, przed każdym odczytem rozbudzała ją filiżanką najmocniejszéj kawy. Umiała téż zniewolić sobie poetę i groźną hrabinę. Tick coraz większe okazywał jéj względy; onto ośmielił ją do poprobowania sił w dramacie, dotąd bowiem grywała tylko w wyższych komedyach; przy nim panna Bauer wystudyowała rolę Maryi Stuart, w któréj zdobyła nowe tryumfy i wieńce. Uszczęśliwiony Tick, widział w niéj godną zastępczynię panny Rettich; sam więc skłonił ją do układu z dyrekcyą teatru drezdeńskiego, na którym miała świecić przez lat dziewięć jako pierwszorzędna gwiazda.

Artystka wdzięczna poecie odwiedzała go często; powtarzała przy nim role, skłaniała ucho na doświadczone jego rady. Zawiązała przyjacielskie stosunki z jego dwoma córkami, mianowicie starszą Dorotą, znaną w literaturze z przekładów Szekspira. Nie opuszczała żadnego odczytu; nad te jednak urzędowe a tak pretensyonalne zebrania, wolała stokroć wieczory w kółku rodzinném poety. Wówczasto Tick prawdziwie był przyjemnym. Opowiadał o dziecinnych swych latach spędzonych swobodnie, o burzliwéj młodości, o dalekich podróżach, o zaciętych walkach z klassykami, zwłaszcza z satyrycznym Falkiem i z Iffiandem, autorem *Kameleona*, nieprzebłaganym wrogiem szkoły

romantycznéj, któréj Tick głównym był przedstawicielem. Nieraz poeta ciekawe opowiadał szczegóły o wielkich pisarzach, których spotykał w ciągu życia. Wielbiciel Klopstoka odwiedził go w Hamburgu; w młodzieńczéj wyobraźni stworzył sobie idealną postać wieszcza; jakiż był jego zawód, kiedy przestąpiwszy próg autora Messyady, ujrzał prawdziwy typ starego professora niemieckiego w poplamionym szlafroku, z fajką w ustach. Łatwo pojąć, jak wytworny poeta z rękoma alabastrowemi, dbały do zbytku o własną powierzchowność, zgorszony być musiał tym widokiem!

Z poglądem głęboko psychologicznym autorka kreśli obraz Tick-ka; najmniejszy rys nie uchodzi jéj uwagi. Patrząc na odmalowanego przez nią poetę, widzimy w nim szczególne podobieństwo z Goetem, Jowiszem wejmarskim. Obaj zimni samoluby, poglądali na życie przez osłonę gazy różowéj; obaj wyrobili w sobie stoicką filozofią, podnosząc się myślą nad poziom, w obawie aby kolce żywota nie stargały olimpijskiego ich spokoju. Ilekroć spotkała Ticka jakaś przygoda, powtarzał chłodno: „mogło być jeszcze gorzéj!" Kiedy mu ludzie dokuczyli odpowiadał: „nie zmienię tego co się stało, mamże się próżno skarżyć?"

„Nie widziałam człowieka—mówi autorka—aby tak był z siebie zadowolony. W późnym wieku czuł się szczęśliwy, jakby w latach najpiękniejszéj młodości. Starość to przesąd, mawiał, serce może zachować świeżość młodzieńczą. Przed okiem prawdziwéj miłości włos siwy nie istnieje!"

„Tak myślał Tick, tak myślała hrabina Finkenstein—dodaje dowcipnie Karolina Bauer i opowiada scenę jakiéj była naocznym świadkiem. Razu jednego powtarzała rolę w gabinecie Ticka, było to w piękny dzień majowy. Poeta w wybornym był humorze. Nagle otwierają się drzwi biblioteki, ukazuje się wysoka, chuda postać w białéj sukni przestarzałego kroju, opasana szarfą różową, w stroiku z różowemi wstążkami, przy których przykro odbijała pargaminowa cera. Artystka oniemiała na ten widok; zdało jéj się że widmo *Prababki* Grillparzera stanęło jéj przed okiem.

Była to hrabina Finkenstein. Przystąpiła do poety, powitali się oboje najmilszym uśmiechem.

— A co? wszak hrabina zachwycająca—rzekł Tick—zwracając się do artystki; ustroiła się tak pięknie, gdyż mamy być razem na *Zaczarowanym flecie* Mozarta.

Artystka wlepiła oczy w Ticka, nie znajdując słów na odpowiedź. Serce jéj ścisnęło się na myśl, że kiedy wieczorem zasiądą w teatrze, on złamany podagrą, ona w tych różowych wstęgach przy trupiéj twarzy, tak weseli i uszczęśliwieni z siebie, będą celem ogólnego pośmiewiska. I tak téż bywało w rzeczy saméj!

Karolina Bauer nie mogła przebaczyć hrabinie śmieszności jaką rzucała na starego poetę. Gniewał ją ten dym kadzideł, sypany zbyt szczodrą ręką, który upajał Ticka. Hrabina była dlań pochlebném

zwierciadłem: poeta patrząc od lat trzydziestu w to zwierciadło, urósł w pychę, stał się pretensyonalnym i nieznośnym dla wszystkich. Córka jego Dorota, czuła ten stan anormalny w bardzo dotkliwy sposób. Ona jedna w domu przeciwważyła wpływ hrabiny, lecz walka była trudna. Tick coraz bardziéj był wymagającym, coraz drażliwszym na najmniejsze uchybienie. Wkrótce i panna Bauer popadła w niełaskę. Raz podczas odczytu, odsunęła się nieznacznie od stolika; tegoż wieczoru spotkała groźny wzrok hrabiny. Tick grzecznym był wprawdzie, ale pod tą pozorną słodyczą czuć było widoczne oziębienie. Młoda uczennica która, jak mawiał, wnosiła słońce do jego gabinetu, odtąd znajdowała nieraz drzwi zamknięte przed sobą. Coraz grubszy cień rozpościerał się pomiędzy nią a mistrzem. Nie przyszło do zerwania, ale dawny stosunek nigdy już nie powrócił. Artystka cierpiała na tém wiele, gdyż oceniała literackie zasługi Ticka; on zaś okazał zupełną obojętność.

Samolubny ten człowiek zimno przyjął także śmierć żony, z którą przeżył lat wiele. Cięższa próba miała go wkrótce dotknąć: po matce umarła Dorota w r. 1841. Dorota była mu nie tylko córką, lecz i dzielną pomocą w literackiéj pracy. Ona jedna przywodziła go niekiedy do upamiętania w szalonéj pysze; łagodziła w stosunkach z ludźmi, osłaniała jego dziwactwa; ona sama ośmielała się czasem występować do walki z hrabiną.

Dorota umierała spokojnie; zmordowana życiem, zdawała się szczęśliwa, jak żeglarz, który po mozolnéj żegludze przybija nareszcie do lądu.

Patrząc na córkę konającą i szczęśliwą ze śmierci, Tick poraz pierwszy może spojrzał w głąb duszy własnéj; poraz pierwszy uczuł, jak straszno samolubstwem swojém ciężył każdemu kto się zbliżył do niego. Gdy Dorota skonała, zamknął się w swym gabinecie; tam wylewał samotnie łzy boleści i gorzkiego wyrzutu.

Przyszły inne jeszcze kłopoty. Hrabina straciła majątek, nie mogła jak dawniéj śpieszyć z pomocą w każdéj chwili; zdrowie ją opuszczało, oczy gasły; Tick starzejący się coraz bardziéj, pozbawiony prawéj ręki w zdolnéj Dorocie, nie był w stanie zapracować na konieczne potrzeby życia. Młodsza córka poszła zamąż, dom opustoszał; odczyty powtarzały się jeszcze, lecz na każdym z nich więcéj było próżnych niż zapełnionych krzeseł.

Tick przecież pod szczęśliwą urodzony gwiazdą, miał jeszcze wypłynąć z odmętu. Fryderyk Wilhelm IV, miłośnik literatury i nauk, wstąpił na tron w tych czasach; powołał go do Berlina, ofiarował trzy tysiące talarów pensyi; słynny poeta został królewskim czytelnikiem. Umarł w roku 1853; na kilka lat przed nim umarła ociemniała hrabina. Do ostatniéj chwili wykwintny starzec zachował niejaką świeżość młodzieńczą, tak w umyśle jak i w powierzchowności. W ostatnich czasach złagodniał widocznie; znać pycha opuszczała go w miarę ustającego wpływu hrabiny.

Karolina Bauer z równém życiem kreśli obraz wielu znakomitych osobistości. Łatwo pojąć jaki powab wspomnienia jéj mają dla Niemców. Ztąd téż baron Friesen, autor studyów nad Tickiem, z zapałem mówi o jéj pracy.

Podziwiamy w autorce tęż samą świeżość jaką ona podziwiała w Ticku. W tém ona jednak nieskończenie przewyższa poetę, że kiedy u niego umysł tylko był świeży, obok wyschłego serca, u niéj zaś serce równie jak umysł i wyobraźnia, tchną prawdziwie młodzieńczym wdziękiem. O własnych tryumfach, mówi po prostu, bez przechwałki, o drugich wspomina z pobłażaniem, bez sarkastycznéj żółci. Nigdzie niedopatrzéć skandalu; z pod jéj pióra tryska prawdziwy dowcip, pobudzający nieraz do wesołego śmiechu. Nic pocieszniejszego naprzykład, jak ustęp w którym opisuje grono wielbicieli krążące w około niéj, jak rój owadów w około rozkwitłéj róży. Jeden z *twarzą błękitną*, zeszpeconą przypadkiem, ukazuje się tylko przy księżycowym blasku; drugi bogaty bankier, ma na nosie szczególną jakąś kulę, to wyskakującą to zmniejszającą się na przemiany; trzeci oficer pruski, wyuczył się komplementów z jakiegoś świeżego romansu i powtarza je bezustannie; czwarty przynosi każdą złośliwą krytykę, wymierzoną przeciw artystce, może nieraz z jego własnego poduszczenia i przyrzeka jéj protekcyą u dziennikarzy. Wyborny kalejdoskop! artystka żartuje swobodnie z tych barwnych motylów i brzęczących szerszeni; zamiłowana w sztuce nie zważa na nich, uczy się, pracuje, idzie coraz to daléj, coraz wyżéj i przyczynia się dzielnie do tego blasku, jaki w owym czasie otaczał dramatyczną sztukę niemiecką.

Zakończymy sprawozdanie nasze szczegółem, który tém sympatyczniejszą czyni dla nas autorkę pamiętników.

Na wiosnę w roku 1838, z towarzystwem artystów niemieckich panna Bauer przybyła do Poznania. Był tam w owym czasie polski teatr. Gra aktorów naszych zajęła w najwyższym stopniu artystkę niemiecką. Jakkolwiek nie znała języka, uczęszczała jednak z prawdziwą przyjemnością na widowiska polskie i nieraz stawiała naszych artystów za wzór kolegom swoim. W roku 1843, w przejeździe do Bydgoszczy, zatrzymała się znów w Poznaniu. Dyrektorka teatru polskiego, żaliła się przed nią na obojętność ówczesnéj polskiéj publiczności. Panna Bauer postanawia przyjść jéj w pomoc. Nalega o przetłumaczenie słynnego ówczesnego melodramatu, p. t.: *Sierota i morderca*. Główną osobą sztuki jest tu młody Wiktoryn, który utracił mowę w skutek wrażenia jakiego doznał, patrząc na śmierć zamordowanego ojca. Widok zabójcy rozwiązuje mu usta. Sławna artystka przyrzeka odegrać rolę niemowy. Wkrótce przedstawiono melodramat. Imię panny Bauer wydrukowane na afiszu, ściągnęło niezliczone tłumy widzów. Ostatnie słowa wyrzeczone przez nią po polsku: „Fryderyko! o Boże!" wywołały niesłychany zapał. Przedstawienie powtórzyło się kilka razy. Teatr polski powstał z upadku, dzięki współdziałaniu znakomitéj artystki niemieckiéj.

Szczegół ten, niezamieszczony w tomach dotąd wydrukowanych, znany nam z opowiadania samejże autorki. Należy on właściwie do trzeciego tomu, który wkrótce opuści prassę. Sądzimy że ten trzeci tom nie wyczerpie jeszcze bogatego zasobu wspomnień, uzbieranych przez autorkę w ciągu długiego zawodu artystycznego, przechowanych tak żywo w sercu i pamięci, a oddanych z tak prawdziwym talentem.

W sprawozdaniu naszém o tegorocznéj wystawie obrazów, zwróciliśmy szczególniéj uwagę na *Taniec sobótkowy* Juliusza Bretona; wspomnieliśmy téż pobieżnie o zbiorze poezyi tego znakomitego artysty. Zbiór ten zasługuje na dokładniejsze zbadanie; wracamy więc do niego.

Nagłe zjawienie się poezyi Bretona zdziwiło Paryż, nikt bowiem nie wiedział, że mistrz pędzla, równie mistrzowsko włada słowem. Krytycy w obawie aby nie posunąć się zbyt daleko w pochwałach, pod urokiem arcydzieł, jakiemi Breton zjednał sobie w sztuce malarskiéj piérwszorzędne stanowisko. Krytycy z razu jęli zbywać te poezye grzecznem zaledwie słówkiem, niektórzy nawet ogłosili wręcz, że malarz powinien raczéj pilnować pędzla, niż uplatać wieniec na innem polu. Ubodła nas taka niesprawiedliwość, gdyż czytając poezye Bretona, uczuliśmy w nich odrazu gorące tchnienie poezyi. Z prawdziwą téż radością napotykamy sprawozdanie piérwszego z krytyków p. Pawła St. Victor, który sam jeden z całéj prassy francuzkiéj, godnie dziś zastępuje zmarłego Juliusza Janin. Wysoko podnosi ou Bretona jako poetę, w utworach jego widzi prawdziwą oryginalność, o którą tak trudno w tym czasie. „Oryginalność Bretona—mówi krytyk—właśnie na tém polega, że pisząc pozostaje malarzem. Patrzy on na przyrodę, okiem wprawném do chwytania najdelikatniejszych odcieni; każde téż jego słowo zaprawne harmonijnym czarem kolorytu. Malownicza jego poezya, pełna ruchu, powietrza i woni, a co więcéj gorącą ogrzana miłością; celem jéj ziemia z całém swojém bogactwem, ale stokroć bardziéj człowiek, który uprawia tę ziemię i podsyca ją potem własnego czoła."

Zdanie Pawła St. Victor, powagą jest dla Francyi. Dzięki jego odezwie, Juliusz Breton ukazawszy się ledwie na literackim widnokręgu, zwiększył w mniemaniu powszechném, mały zastęp prawdziwie oryginalnych pisarzy.

Te same zalety jakie cechują malowane obrazy Bretona, stanowią cechę wyśpiewanych jego obrazków. On piérwszy odtwarzając pędzlem lud wiejski, zerwał z niesmaczną sielankową manierą; on piérwszy pokazał typową piękność kmiotka, czyto gdy stąpa schylony nad pługiem, czy kiedy pełną garścią posiewa ziarno w rolę; czy kiedy siedząc na snopach istny tryumfator, zwozi do stodoły świeżo użęte plony. Nic piękniejszego nad te dziewoje wiejskie, schwycone śmiałym jego pędzlem. Żadna z nich nie przypomina owych floryanowskich pasterek, za któremi przepadał skażony smak XVIII wieku. Dziewczy-

ny Bretona, to krew z krwi, kość z kości tych starożytnych galskich matron, co zrodziły Brenusów, Wercyngetoryksów i pogromców germańskiego Argowista! Od lat dwónastu, jak śledzimy pilnie paryzkie wystawy, podziwialiśmy już nieraz owe krzepkie dziewoje, to na łące z grabiami, to pielące grzędy przy odblasku wieczornéj zorzy, to u zdroju z dzbanem na głowie, proste i poważne jak Rachele lub Nauzyki, to pląsające żwawo przy ogniu sobótkowym. Wszystkie te dziewoje odżyły dziś w pieśni Bretona. Obok znanych typów, widzimy jeszcze nowe, które malarz odtworzy pędzlem bez wątpienia. Zobaczmy naprzykład ową dziewczynę zbierającą kłosy na zagonach.

Dziecko pól, wyraz dumy z dzikością zmieszany
Odbija na jéj czole; postać jéj wspaniała,
Gdy porankiem przebiega pokoszone łany,
I nóżką bosą pyłu podnosi tumany;
Złotym światła odblaskiem upowita cała.

Krzepki oddech podnosi drgające jéj łono,
Idzie po twardém rżysku... Nic jéj nie ustrasza:
Dwie czarne jéj źrenice, niby gwiazdy płoną,
Zgrzebne płótno pokrywa kibić utoczoną;
Cudby z niéj utworzyło dłuto Fidyasza!

Lica jéj ogorzałe od skwarnych promieni,
W ręku pęk złotych kłosów tryumfalnie trzyma,
Uboga jéj spódniczka na słońcu się mieni,
Idzie daléj a daléj... już znikła w przestrzeni;
A jeszcze mi jéj postać świeci przed oczyma!

Inny obrazek wierszem: *Cisza leśna*, przypomina zupełnie ową dzieweczkę u zdroju, która przed dwoma laty oddana na płótnie, zjednała artyście wielki medal honorowy. Powtarzamy maleńki poemacik:

Czy widzisz tę polankę tak cichą, zieloną,
Niby okienko lasu odemknięte skrycie;
Po świeżuchnéj murawy miękim aksamicie,
Gwoździki purpurowe jak korale płoną.
W tę ustroń czasem słońca promyczek nieśmiały,
Pląsając się przedziera przez tuman mgły białéj;
Gdzie potrąci murawę, ściele ją bogato,
W rubiny i szmargady utkaną makatą.
Cicho tu, nawet ptaszę w gniazdeczku nie kwili,
Ani wietrzyk dębowym nie wstrząśnie konarem;
W milczeniu nad kwiatami lata rój motyli:
Tylko strumyk gaduła brzmi wiecznym pogwarem.

Wpośród jeżyn dojrzałą pokrytych jagodą,
Wężykiem przez zarośla dróżyna się toczy;
Poślij myśli z jéj biegiem: one cię powiodą
Ku wiosce, poza krańcem téj leśnéj pomroczy.
Lecz okiem dojrzysz tylko, gdy słonko lśni w górze,
Rozsiane niby centki na tygrysiéj skórze,
W głębi cichéj polanki widzisz stawek mały,
Otoczony granitem i bluszczów koroną,
I w ciemném wód zwierciedle odbity złom skały,
Co wiecznie toczy wodę przez paszczę omszoną.
Tu dziewczątko młodziuchne klękło na kamieniu,
W okół niéj, gdzie rzuć okiem, las głuchy i czarny:
Jéj tylko wiotka kibić odbita od darny,
Utonęła w jaskrawym słoneczka promieniu.
Czoło jéj upowite barwnym rąbkiem tęczy,
A myślą słodko mota z nitki snów pajęczéj;
Ten wątek, co go dosnuć na ziemi nie dano,
I z cicha pochyliła główkę zadumaną:
I ugania oczyma w dziecięcéj swobodzie,
One kręgi srebrzyste co błyszczą na wodzie!

Postać kmiotka z równą oddana miłością w pieśni Bretona. Zobaczmy tego żniwiarza wiozącego plon do stodoły.

Wieczór (sonet).

Gdy przy zachodzie słońca po zżętym zagonie,
Wóz o skrzypiących osiach pomału się toczy,
Gdy pod brzemieniem snopów gną się rosłe konie:
Wielkim pól majestatem poję myśl i oczy.

Z sierpem w ręku na snopach siadł żeniec ochoczy,
Spoczywa rozmyślając o bogatym plonie:
Jak kłosy pszenicznemi stodołę natłoczy;
A słońce na zgorzałe upada mu skronie.

Pracą zdobył zapaśnik on czarny kęs chléba:
Bóg téj wytrwałéj walce błogosławi z nieba;
Walce bez krwi, bez trupów, nie marno stoczonéj.

Lato płaszcz rzuca płowy na przestrzeń bez końca,
Na wozie tryumfator siedzi uwieńczony:
Koroną złotych kłosów i promieńmi słońca!

W innym obrazku maluje poeta starego kmiecia, wracającego do domu po dziennéj pracy. Jakże głęboko artysta odczuł ten silny węzeł łączący serce kmiotka z ziemią która go karmi!

Powrót z pola.

Tajemnicza to chwilka,
Po dniu pięknym przed nocą
W górze płonie gwiazd kilka;
Słabo jeszcze migocą.

Wśród jęczmienia i żyta,
Od rzeczułki w półkole,
Ścieżka mocno ubita,
Mknie wężykiem przez pole.

Tu przecina łan wyki,
Tu znów krąży ugorem;
Kędy polne świerszczyki,
Zcicha skrzeczą wieczorem.

Nogą krzepką acz bosą,
Kmiecie dróżkę zdeptali;
Tam do wioski, gdzie z rosą,
Dzwon pobrzmiewa w oddali.

Dźwięki płyną, a płyną,
Dzienna kończy się praca;
Widzę wązką drożyną,
Do dom kmiotek powraca.

Na ramieniu szerokiém,
Czasem kosa pobrzęknie;
Łan ogarnął w krąg okiem,
Żyto kwitnie tak pięknie!

Stąpa ciężko, powoli,
Wkoło patrzy i słucha;
Pije wyziew, co z roli
Tak żywotnie wybucha.

Idzie, chata już blizko;
Płomień w szyby uderza;
Na kominie ognisko:
Znać gotowa wieczerza.

Żona dobra... w kobiécie
Trudno znaleźć skarb taki,
Wiek przyciska; niech gniecie,
Kiedy rosną dzieciaki!

Ot i kościół, mogiły!
Skinął głową, nie pyta;
Rad że pola zrodziły
Garść pszenicy i żyta!

Obrazek *Burza*, wysoko podniesiony przez krytyków francuzkich, z nowéj strony pokazuje talent Bretona. Zwykle spokojny, zakochany w cichéj przyrodzie, umie poeta malować jaskrawo jéj szalone wybuchy. Przytaczamy w przekładzie ten obrazek: słabe da on wyobrażenie o sile oryginału, ale iść w ślad za Bretonem niepodobna, tak w obrazach malowanych, jak wyśpiewanych słowem.

Burza.

Słońce zatrutym jadem napuszcza swe strzały,
Pochyla wątłe kwiatki wśród trawy zgorzałéj;
Liść zwisły na gałęzi traci barwy świeże,
A błękit utopiony w duszącym eterze,
Nad ziemią szary całun rozpościera z góry;
Rzeczułka wyschła do dna, i stawek ponury
Stał się brudną kałużą, gdzie po czarnéj glinie
Pełzać tylko wylęgłéj w ciemności gadzinie.
Powietrze napełniły żyjątków tumany,
Wszelki twór drży, tajemnym postrachem targany;
Obumiera w milczeniu przyroda bogata;
Niebo w śmiertelną plagę zmienia piękność lata!

I oto na szerokiéj bez końca przestrzeni
Wystąpił biały obłok: jeży się i pieni,
Z razu jak runo wełny, rośnie w mgnieniu oka,
Na czole widnokręgu stanął jak opoka.
Wolno, ciężko się toczy wśród powietrznéj fali,
Obłóczy niby pancerz wykuty ze stali;
W szerz i w podłuż rozciąga czarny kadłub smoczy,
Z potwornych bark olbrzyma sto łbów się wytoczy;
Grzbiet ohydny żelazną najeżon szczeciną,
Cielskiem przeciął napoły niebios przestrzeń siną.
Zabłysło, i strzał ryknął... drży ziemia struchlała:
Straszne hasło! wnet po niém grzmią tysiączne działa.
I wicher się rozpasał!.. w szalonym zapędzie
Uderzy w pierś olbrzyma, na karku mu siędzie;
Zbuduje groźny szaniec z warownemi brony,
Czarny wał, tysiącami strzelnic zdziurawiony;
Z poza wału wnet chmara junaków wybieży,
Skry sypią się z ich hełmów, łuny z ich pancerzy:
Pędzą w cwał, nawałnicą. W tém obłok się wzdyma:
Rzygnie siarką, i zastęp zniknął przed oczyma.
I tylko na wieżycy, wysoko u szczytu
Błyska jeszcze zwycięsko chorągiew z błękitu;
A potém wszystko, baszty, blanki i strzelnice
Pokryły chmur tumany, ścmiły błyskawice.

Grom uderzył: zamczysko runęło z łoskotem;
Głucho ziemia odjękła, grzmot ustał, a potém

Wiatr zwinął czarne skrzydła i umilkł grobowo.
O! złowroga to cisza! i otóż na nowo
Ocknie się, wściekłym pędem przyskoczy do ziemi,
Uzbrojon do zapasu śruby piekielnemi;
Straszną trąbą przez leśne pomyka obszary,
Wali stuletnie dęby, druzgocze konary;
Głuszy groźnym poświstem szalejącą puszczę.
Mknie daléj... w łono morza skrzydłami zapluszcze:
Morze z trwogą zaryczy, o! próżno się zżyma,
Rozhukanemi wały nie przemódz olbrzyma!
Wiatr szalony niszczyciel, wzdłuż zbiega przestworze,
Chmur żałobnym całunem skrył niebo i morze!

Wszystko zmilkło: na ziemię padła cisza głucha,
I tylko z nad wybrzeży dobiega do ucha
Żałosna skarga mewy!
Jutro z rannym świtem
Znów morze się wspaniałym ubarwi błękitem.
W przeczystém wód zwierciedle skąpią się niebiosy,
Na listkach znów zabłysną drżące krople rosy;
Krzew obwisłe gałązki wesoło podniesie:
Znów radosną piosenkę zakwili ptak w lesie,
A wśród trzcin gdzie się lęże kijanka obrzydła,
Konik wodny rozwinie promieniste skrzydła,
I z góry po kamieniach strumień rozpląsany
Potoczy się i pryśnie srebrzystemi piany!

Niekiedy pieśń Bretona z przedmiotowéj staje się osobistą. Z piersi poety wybiega mimowolny wykrzyk boleści. Zobaczmy dwa sonety:

Złuda. (sonet).

Dusza moja stargana walkami żywota,
Kiedy boleść jastrzębie utkwiła w niéj kleszcze;
Leci na skrzydłach wspomnień za domowe wrota,
Kędy płomień ogniska w pamięci tli jeszcze.

Widzę, owe gwoździki rozkwitłe u płota,
Napawam się ich wonią, oko barwą pieszczę;
Złudąż było to wszystko? pytam ich sierota:
Tyleście przyrzekały... gdzie moje sny wieszcze?

Ach! przyszłość w tém zwierciedle porankiem odbita,
Świeciła tak wspaniale, jak świeci snop żyta,
Gdy promieniem słonecznym każdy kłos goreje!
Złudą było to wszystko! przemkły błyskawicą
One sny niewyśnione, te zgasłe nadzieje,
Tém cudniejsze, gdy łzawą patrzym w nie źrenicą!

Krzesiwo (sonet).

Gdy wieczorem pomału, na ciche gór stoki,
Kłąb pary tajemniczy w ślad za kłębem sunie;
Gdy beczące owieczki o bieluchném runie
Zbiegają się w gromadkę chyżemi poskoki.

Tam, kędy nad parowem wśród ciszy głębokiéj,
Tymianek z macierzanką rośnie przy piołunie;
Coś mi w oku majaczy, niby złom opoki:
To pasterz w swą brunatną przyodziany gunię.

Drży jak liść, słucha: wilki zawyły w oddali;
Wziął kamień i uderzył krzesiwem ze stali,
I zabłysła iskierka z pod ręki pastuszéj!

Widziałem to, ja lirnik! serce mi zadrżało:
O! gdybyż to wykrzesać iskierkę choć małą,
Z tych kamieni, co leżą na dnie mojéj duszy!

W *Koniku polnym* wymownie maluje poeta, biédnych śpiewaków, częstokroć natrętnie brzęczących w uchu zimnego tłumu, gotowych śpiewać bądź cobądź, póki serce nie pęknie im przy pieśni.

Konik polny.

Gdy latem bez rosy schną trawki i drzewa,
Gdy ziarno pszeniczne pod kłosem dojrzewa;
Gdy maczek niziuchno ku ziemi schylony,
Nie znosi brzemienia szkarłatnéj korony;

Gdy pieśń już skowronka nie pieści nam ucha,
Gdy gołąb leniwy na gniazdku nie grucha;
Gdy w leśnéj zaciszy omdlały ptak drzemie,
A pożar słoneczny przepala wskróś ziemię:

Świat milczy, do pieśni, do ruchu nie zdolny;
Lecz skwaru mój konik nie lęka się polny;
Choć ziemia zgorzała na popiół schnie miałki:
On trzepie skrzydełkiem w swe śpiewne cymbałki.

Gorącém natchnieniem pierś jego wezbrana,
Wciąż dzwoni pobudkę z wieczora i z rana;
Posnęły ptaszęta, lecz on się nie leni,
Czas mija: grajkowi nie przeżyć jesieni!

Słuchasz-li piosenki? on o to nie pyta,
Zaledwie go spędzisz z pszenicy lub z żyta;
Przysiędzie na głogu co kolcem się jeży:
I dzielnie w cymbałki mój grajek uderzy.

Czy ostów palących, czy pokrzyw się czepi,
Gra coraz to rzewniéj i głośniéj i lepiéj:

Rozmaga w nim siły pożoga i susza,
Niedolę żywota piosenką zagłusza.

Aż zdarte skrzydełka rozpostrze on w końcu,
I czarne źrenice obróci ku słońcu;
Natchniony, promienny; ach!... słyszę go... widzę,
Jak kona śpiewając na wyschłéj łodydze!

Breton nie patrzy jednak w świat okiem zwątpiałego bajronisty; pessymizm daleki od téj duszy zakochanéj w ideale, patrzącéj śmiało w nieskończoność. Jeżeli czuje głęboko chwile boleści, jakich poetom uniknąć niepodobna, czuje niemniéj rozkosze, jakie dają chwile twórczych natchnień. Oto pieśń pełna wiary i otuchy:

Na równinie.

Moje te pola, moje te kłosy,
Moją ta piękna dolina;
Ten tłum żniwiarzy, co brzęczy w kosy,
I pieśń wesołą śle pod niebiosy:
Gdy zboże rankiem zacina.

Moją ta bruzda, gdzie świerczyk szary,
Dobywa głosu ostatek;
Moje te drzewa co w letnie skwary,
Tulą ptaszęta swemi konary:
Mój ten wśród zboża bławatek!

I mój on przestwór słońcem ogrzany,
Gdzie bez was szkolni nudziarze,
Duch twórczy leci z pęt rozkiełznany,
Jak wichrem parte mkną uragany,
Po niezmierzonym obszarze!

Jakkolwiek bieg literatury portugulskiéj, mało u nas śledzony, nie będzie może obojętną dla czytelników wiadomość o świeżo zmarłym w Lizbonie pisarzu Feliciano de Castelho, gdyż wielkie jednostki, bez względu gdziekolwiek się pojawiły, czynią zaszczyt ludzkości całéj.

Literatura portugalska w piérwszéj połowie tego wieku, przechodziła przez takiż sam przewrót, jaki widzimy w literaturach wszystkich ludów europejskich między 1820 a 1830 rokiem. Po dwówiekowym letargu, nastąpiło tu świetne odrodzenie. Trzech mężów stanęło na czele zbudzonego ruchu: naród złotemi zgłoskami napisał ich imiona. Z pomiędzy nich Gorret umarł przed kilku laty, Herkulano żyje po dziś dzień, Castelho zstąpił właśnie do grobu.

Urodzony w roku 1800, mając lat dwadzieścia, dał się poznać zbiorem prześlicznych poezyi. Utwory te po większéj części sielskie, przypominają rodzaj Lamartina, lubo nie są ślepém naśladownictwem.

Dwaj współczesni poeci nie wiedzieli może o sobie, ale obaj ulegli temu dziwnemu a tajemniczemu prądowi, który w danéj chwili porywa umysły i wyobraźnie, prowadząc je po tychże samych drogach. Castelho opiewał czary ziemi rodzinnéj, i błękit nieba swéj ojczystéj Luzytanii, opiewał je tém rzewniéj, że ich nigdy nie widział. Utracił wzrok w szóstym roku życia, w wieku gdy dziecię nie zdaje sobie jeszcze sprawy z otaczających go przedmiotów.

Dzięki nadzwyczajnym zdolnościom umysłowym, Felicyan Castelho przeszedł jednak szkolne nauki, i poznał dokładnie bogatą literaturę starożytną. W nadzwyczaj ciekawéj autobiografii, opowiada z jakiém wysileniem zwalczał niesłychane trudności, tamujące mu drogę, jakim sposobem wyzwolił się „duchem przynajmniéj, z tego więzienia bez światełka," co go dokoła otaczało. „Żal ściskał mi serce, mówi poeta, gdy się dowiedziałem że młodsi bracia moi zapisani w szkole na wydział łaciny. Pozwolono mi towarzyszyć im do klassy. Słuchałem wykładu z religijném skupieniem, pożerałem lekcye, czytałem że tak powiem uszami, przeszedłem pilnością wzorowych nawet uczniów. Stary professor który od lat trzydziestu wykładał język Cycerona i Wirgillego, zwrócił na mnie uwagę. Przez ciekawość jął mnie egzaminować: pokazało się że żaden uczeń nie korzystał tak jak ja z jego nauki: odtąd byłem ulubieńcem mistrza, kochał mnie jakby rodzone dziecko."

Pod kierunkiem wytrawnego professora, i ojcowską jego opieką, młody Castelho olbrzymie czynił postępy. Pełen ducha poetycznego, przeczuwał piękność starożytnych klasyków, tłumaczył ich z zadziwiającą łatwością. Mistrz pysznił się zdolnym wychowankiem.

Po pierwszym zbiorze młodzieńczych poezyi, Castelho rzucił w świat kilka innych. Koroną tych utworów, mają być dwa obszerniejsze poemata: *Noc w Zamku*, *i Zawiść Barda*. Imie poety przeszło niebawem do Francyi. Wiktor Hugo posyłając mu swój portret nakreślił pod nim: „Ślepy jesteś, ale widzisz lepiéj od tych, którym dano oczy ku widzeniu."

Prace poety uderzają zarówno liczbą jak rozmaitością. Zadość czyniąc potrzebie ogólnéj, uprawiał wszystkie gałęzie literatury. Tłumaczył georgiki Wirgillego, przemiany Owidyusza, pieśni Anakreona, Fausta Goetego. Skąpany w źródłach greckich, przeplatał tłumaczenia mnóstwem oryginalnych pieśni. Dla teatru portugalskiego przełożył całego Moliera. Obok tych prac poważnych pisał małe książeczki dla dziatwy wiejskiéj. Zajmował się pilnie rozszerzaniem oświaty pomiędzy ludem: zasługi położone w tym kierunku zjednały mu cześć i miłość powszechną. „Poruszałem, mówi w pamiętniku, niebo i ziemię, królów i ludy, kobiéty i duchowieństwo; stałem się bakałarzem, uczyłem sam bosych ośmioletnich plebeuszów, pragnąc wykupić ich z niewoli nieuctwa i dać im chrzest światła, jakiego im brakowało." Pełen twórczych pomysłów, Castelho wymyślił nową metodę dla ułatwienia nauki wiejskim dziatkom. Ta metoda przeszła do Włoch i Hiszpanii.

Niezmordowany szermierz pióra, wydawał przez długi czas przegląd literacki, nadzwyczaj popularny w kraju. Onto podniósł myśl odszukania zwłok Kamoensa, i czynnie popierał ten zamiar, uwieńczony jak wiadomo pomyślnym skutkiem. Złamany wiekiem, pracował do ostatniéj chwili, nad tłumaczeniem Don Quichota na język portugalski. Przekład ten ma być ozdobnie wydany, z rysunkami Gustawa Dorego.

Francuzi na każdym kroku spotykają w Niemcach groźnych współzawodników. Nowém polem walki stała się dziś klasyczna Hellada. Wiadomo, że Francya od r. 1848 ma szkołę archeologiczną w Atenach. Szkoła ta wydała już kilku znakomitych starożytników: do nich należał zmarły przed rokiem Beule, wynalazca Propyleów w Akropolis ateńskiem; do nich należy młody a znany już archeolog Albert Dumont, dyrektor szkoły starożytniczéj w Rzymie. Otóż obok francuzkiéj szkoły w Atenach, powstała w tym roku archeologiczna szkoła niemiecka; inauguracya jéj odbyła się w rocznicę śmierci sławnego Winkelmana. Co więcéj, izby greckie zatwierdziły umowę pomiędzy rządem własnym a niemieckim, upoważniającą do poszukiwań archeologicznych, w rozmaitych stronach królestwa.

Francuzi, czują się mocno upokorzeni, jeśli nie samą fundacyą szkoły, gdyż ten przywiléj nie mógł im tylko służyć, to przynajmniéj pochlebstwem uczonych greckich dla Niemców, ku którym od czasów króla Ottona, tyle okazywali nienawiści. Siła, wielki ma urok; przed nią zgięły się karki greckie. W dniu otwarcia szkoły przez archeologów miejscowych, professor Philippos Johannou, w mowie uroczystéj, życzył pomyślności nowéj instytucyi, *należącéj do narodu, który połączył się krwią synów swoich, z Grecyą oswobodzoną.*

Słowa te ubodły Francuzów. Na jakiémżeto polu, zapytują, płynęła krew niemiecka w sprawie niepodległości greckiéj? Niemcyżto spalili turecką flotę pod Nowarino? Oniżto zagrodzili drogę Ibrahimowi paszy do Morei? Że Niemcy w pangermanistycznych pojęciach swoich, przyznają sobie czynny udział w sprawie greckiéj niepodległości, temu nie dziwimy się wcale; wiemy jak gorąco przyklasnął naród Gerwinusowi, kiedy ten krytyk, pokazał w Szekspirze tryumf geniuszu germańskiego. Byron zmarły w Missolunghi, stał się dla Niemców przedstawicielem ludzkościowéj idei germańskiéj, na tychże samych prawach, na jakich nasz Kopernik przedstawia rozwój nauki niemieckiéj w XV wieku!

Co zaś do pochlebstw erudytów greckich, znajdujemy wytłumaczenie ich w Juwenalisie. „Jak oni umieją pochlebiać! woła sławny satyryk. Nikt tak jak Grek, nie potrafi odegrać roli Taidy, lub poważnéj matrony, albo Dorydy wychodzącéj z łona wód. Aktor znika i rzeczywiście zdaje się jakby głos niewieści dobiegał uszu moich. Talent ten nie jest udziałem jakiegoś Demetryusza, Stratoklesa, lub innego aktora; jest on udziałem całego narodu. Grek rodzi się

komedyantem. Jeżeli się śmiejesz i on śmiechem wybucha; jeżeli płaczesz, Grekowi łzy płyną bez trudności. Jeżeli zapalisz trochę ognia w jesieni, on otula się płaszczem; jeżeli mówisz że ciepło, Grek cały się już poci. Dla Greka nie ma nic świętego, potrafi on wszędzie skierować swe uczucia, zasyłać pocałunki, przyklaskiwać temu co poklasku nie warte."

Znany archeolog francuzki, członek Instytutu Perrot, w gorącéj odezwie do uczniów szkoły ateńskiéj, upomina ich aby nie dali się ubiedz groźnym współzawodnikom w pracy naukowéj, a nadewszystko w wytrwałości. Rzuca on gorzką prawdę w oczy młodym Francuzom: słowa jego zasługują na uwagę, gdyż są wyrazem opinii, całego młodszego pokolenia uczonych. „Nie kryjmy przed sobą,—mówi z głęboką boleścią—że po ostatnich klęskach naszych, wszystkie ludy wyrzekły a przynajmniéj pomyślały: *dobrze im tak!*

„Czemże to wytłumaczyć? my sami winni temu! Dostarczaliśmy drugim broni przeciwko sobie, dzięki téj prassie nibyto zabawnéj, która jest największém dla nas niebezpieczeństwem, największą zakałą naszą! W dziennikach, w powieściach, w pismach, wykrywaliśmy cynicznie własne błędy. Wyrzucano nam lekkomyślność, szyderstwo, dowcipkowanie, przechwałki, próżność narodową, śmieszną fanfaronadę, lekceważenie drugich! Nieprzyjaciele powtarzali złośliwie nasze dorywcze sądy, potęgowali błędy nasze, nie bacząc ile pod niemi kryje się rzeczywistych zalet, jaka podniosłość ducha, jak gorąca miłość ludzkości! Dosyć już tego! czas zaprzestać téj pustéj szermierki, wróg czyha, on wydrze nam rózgę i ochłoszcze nią grzbiety nasze.

„Ktokolwiek z nas reprezentuje naród francuzki w pośród obcych, niechaj powagą życia, postawą pełną godności, wytrwałą i niezmordowaną pracą, zdobędzie powszechny szacunek, a już tém samém wypłaci dług Francyi!"

Żal Francuzów do zareńskich sąsiadów, silnie wpływa na sądy ich o sztuce i literaturze niemieckiéj. Głównym celem téj nienawiści, jest sławny kompozytor Ryszard Wagner, najwyższy dziś przedstawiciel geniuszu germańskiego, tak w muzyce jak w poezyi. Niechęć ku niemu, datuje się od czasów przedwojennych: wiadomo z jaką zawziętością Francuzi wygwizdali Tanhausera i Rienzego. Późniéj nieco, kiedy rozgłos *Mejstersyngerów*, przyjętych z najwyższym zapałem w Monachium, dobiegł do Paryża, p. Edward Schuré ogłosił w Przeglądzie dwóch światów, znakomitą rozprawę o Wagnerze, oceniając go, jako poetę i kompozytora. Przegląd wydrukował rozprawę, zastrzegając jednak w dopisku, że dyrekcya nie bierze na siebie odpowiedzialności za sądy współpracownika swego.

Jeżeli przed laty kilku, potrzeba było wielkiéj odwagi i głębokiéj siły przekonania, aby wbrew pociskom dziennikarskim i uprzedzeniu ogólnemu, objawić się otwarcie za Wagnerem; cóż dopiero dziś, kiedy wzajemna nienawiść dwóch ludów, tak olbrzymie przybrała rozmiary.

Pan Schuré nie cofnął jednak sądu, przeciwnie rozwinął znacznie ramy pracy swojéj i wydał ją w dwóch tomach pod tytułem: *Dramat muzykalny*. W piérwszym tomie, autor bada rozwój historyczny tak muzyki jak poezyi. Pokazując najsamprzód te dwie sztuki nierozłączne w starożytnym teatrze greckim, dopełniające się wzajemnie; określa następnie ich rozłom na dwa odrębne koryta. Śledzi rozmaite przejawy poezyi od Dantego do Szekspira; bada muzykę od Palestryny do Bethowena. W Glücku widzi piérwszego twórcę dramatu muzykalnego, promotora myśli, któréj Wagner stał się dziś najwyższym wyrazem.

Drugi tom, poświęcony cały temu wielkiemu reformatorowi muzycznemu. Autor przechodzi systematycznie wszystkie utwory poetyczno muzyczne Wagnera, ogarnia okiem cały artystyczny jego zawód, wykazuje z najściślejszą loiką myśl kompozytora, wytrwałą i mozolną pogoń za ideałem, któremu poeta muzyk usiłuje nadać nową zupełnie formę,

„Aby ocenić twórczy geniusz Wagnera—mówi pan Schuré—potrzeba sądzić w nim zarazem kompozytora i poetę; inaczéj sąd będzie połowiczny i niedokładny. To właśnie zespolenie, nadaje utworom jego prawdziwą oryginalność i zapewnia mu odrębne stanowisko w historyi odrodzonéj sztuki. Wagner jest równie wielkim poetą jak i wielkim muzykiem.“

Dieło Schurego wydane nadzwyczaj starannie, ozdobione czterema rycinami. Dwie z nich przedstawiają widok i plan teatru greckiego w Egesta (w Sycylii), dwie drugie wyobrażają wnętrze i plan nowego teatru w Bejruth, zbudowanego w Bawaryi pod dyrekcyą Wagnera. W sierpniu 1876 r., teatr ten ma przedstawić wielką tetralogią *Niebelungów*.

Powszechną uwagę w literaturze francuzkiéj zwraca dziś powieść Tony Revillon, pod tytułem *Les convoitises*, (Żądze). Tém niebezpieczniejsza to powieść, że napisana z wielkiém życiem i głęboką znajomością ludzkiego serca. Autor poszedł śladem Dieckensa, Thackeraya i innych powieściopisarzy angielskich, którzy w sposób popularny podejmowali najważniejsze pytania społeczne, w ostatecznych jednak wynikach, oddala się zupełnie od mistrzów swoich. Podczas gdy Dieckens i Thackeray, czyniąc w wielkiéj części społeczeństwo odpowiedzialném za winy jednostek, nie zwalniają przecież istot obdarzonych wolną wolą, z wszelkiéj odpowiedzialności za własne czyny, Tony Revillon kładzie wszelkie złe istniejące w świecie, na karb anormalnego stanu społecznego. Przeprowadza on osoby swych powieści, przez tysiączne próby i zawody życia, zatruwa ich serca jadem nienawiści, kładzie im oręż w rękę, czyni z nich mściwych „Kamunardów“ i podpalaczy. Widzimy tu cały szereg istot, rozpaczą doprowadzonych do szału: lekarza w pustym i zimnym gabinecie, napróżno wyglądającego pacyentów, adwokata bez klientelli, poetę zmuszonego sprzedać

za marny pieniądz, arcydzieło, którego świat zrozumieć dziś nie zdoła; zubożałą panienkę, wprzężoną w twarde jarzmo nauczycielskich obowiązków; robotnika szukającego chwili zapomnienia na dnie czarki; dziecko żebracze, pożerające okiem zawiści, zabawy i pląsy szczęśliwszych od siebie rówieników: słowem widzimy stek wszelkich boleści, nędzy i upokorzeń ludzkich.

Takichto kandydatów bezrządu stawia autor w otwartéj wojnie ze społeczeństwem, rozgrzesza ich z winy, potępiając uznane prawo. Główny bohatér jego powieści, zdolny, światły i uczciwy robotnik, umiarkowany republikanin, staje się zażartym komunardem; autor przedstawia go nie w charakterze zbłąkanego szaleńca, ale przeciwnie jako propagatora nowych idei, jako ofiarę niosącą życie w okup lepszéj przyszłości!

Książka to powtarzamy nadzwyczaj niebezpieczna, rozdrażnia bowiem niezabliźnione jeszcze rany, a nie przynosi ani kropli gojącego balsamu. Wśród tłumu czarnych postaci na obrazie, widzimy jednę, oświeconą blaskiem idealnym; postać to robotnika, szczęśliwego w ubogim stanie, zamiłowanego w pracy, otoczonego szacunkiem powszechnym i miłością rodziny. I czemuż ta postać ledwie naszkicowana? czemu zostawiona w pomroku? Instynkt artystyczny, wiódł jak widać autora, do okazania drobnego światełka, w obec tylu nędz powszechnych, ale artysta ustąpił przed doktrynerem. Barwa czarna przemogła w obrazie. Nowy to dowód, jak łatwo od realizmu stoczyć się w bezdenne odmęty nihilistycznych mrzonek.

Pod tytułem: *Mon voyage an pays des chimere*, Antoni Rondelet wydał dowcipny opis jakiegoś społeczeństwa, rozwiniętego na prawach tak zwanego postępu. Mimochodem w humorystyczny sposób autor dotyka najżywotniejszych pytań dzisiejszych. Przebiega wymarzony kraj, jako wesoły turysta, gotów śmiać się szczerze z ludzkich niedorzeczności. Ten kraj dzieli się na trzy sfery odrębne od siebie: każda z nich oznaczona charakterystyczną nazwą. Piérwsza sfera *égalicité*, jest najdoskonalszém urzeczywistnieniem równości. Rząd rozdaje odzież jednakową, tak mężczyznom jak i kobiétom. Biada téj która zawiąże czepeczek, lub podepnie sukienkę zgrabniéj od towarzyszki; zapłaci karę, zakazano bowiem wyróżniać się czémkolwiek od drugich. Jedne godziny pracy naznaczone wszystkim robotnikom, ci téż którzy mieszkają w blizkości warsztatu lub fabryki, muszą czekać na oddalonych towarzyszów. Nie wolno pracować więcéj nad ścisły przepis, ani téż czynić najmniejszéj oszczędności: inspektorowie czuwają pilnie nad tém.

Kraj *vaganopolis*, zajęty cały polityką, każda jednostka bierze tu udział w sprawach publicznych. Im kto uboższy, im większy nieuk, tém lepiéj się kwalifikuje na sprężynę w machinie rządowéj. Trzeci kraj, a raczéj sfera *organisation-ville*, nie jest już chimerycznym wymysłem, ale fotografią rzeczywistości, nieco skarykaturowaną. Ostra

to krytyka mechanizmu administracyjnego i niektórych artykułów prawa, co do równego wyposażania synów, co do teatru, prassy i t. p.

PIŚMIENNICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

Historya powszechna konia, przez Maryana hr. Czapskiego. Poznań, nakładem księgarni I. K. Żupańskiego. 1874 rok, trzy tomy.

Trzytomowe to dzieło o 1228 str. w wielkiéj 8-ce, tak treścią jak wydaniem nie małą jest dla literatury polskiéj zdobyczą; choć nie bez błędów, to jednak hołd, uznanie i wdzięczność, należy się za tak pouczającą całość autorowi. W piérwszym tomie autor mówiąc o stanowisku konia wśród innych jestestw, zaznajamia najprzód czytelnika z miejscem jakie zwierzę to dziś w zoologii zajmuje, a wyliczywszy znane gatunki hippotygrydów i osłów z kolei przechodzi do trzeciéj grupy jednokopytowych zwierząt, którą koń nasz domowy (*equus caballus*) ze wszystkiemi jego odmianami (rassami) całą wypełnia. Tu autor wylicza charakterystyczne cechy, jakiemi się ta grupa od poprzednich dwóch wyróżnia. Lecz aby dokładny mieć obraz o początku powstania tego zwierzęcia na powierzchni ziemi, aby wystawić dziecinny, naiwny pogląd starożytnych narodów, które go w niebiosach szukały, przypisując siłę i twórczość przyjaznym bogom; postanowił autor zagłębić badawczy swój wzrok we wnętrzności ziemi, a to co tam znaleziono z kości protoplastów konia, czytelnikowi pokrótce opisać. Bardzo też wiele z rozdziału tego nauczyć się można. Jużto widocznem, że nie obcemi były autorowi najznakomitsze w tym względzie zdobycze Rütimeiera, Owena, Nordmana, Heer'a i Lyell'a, a choć nigdzie nie podaie on spisu dzieł, któreby za wskazówki w tym względzie służyć mogły, co też na karb błędów dzieła policzyć musimy, to pewném jest, iż Titzinger (Versuch über die Abstammung des zahmen Pferdes u. seiner Racen), H. Smith (The Naturalist's Library), Darwin (o zmienności etc.), Martin (The Horre), Hartmann (Hanssangethiere der Nilländer) i wielu innych naturalistów, o których czasami wspomina lub których myśli przez ogólne tło się przeświecają, wielką były panu Czapskiemu pomocą.

A choć paleontologia jest tylko szczątkiem ostatniego tomu wielkiéj księgi tworzenia się natury, a nadto często pisaną jest zgłoskami

nieznanemi dotąd, i choć ostatni ten tom dotyka niektórych tylko miejscowości naszego komety, to jednakowoż szukając, znaleźć można niektóre, po kamiennych kartkach tego dzieła porozrzucane spostrzeżenia do przodków konia, których kopalne szczątki często znajdywane pozwalają wniosek ten usprawiedliwić, że obecnie istniejące kształty żyjącego konia, z powolnéj przemiany odmiennych przodków powstały. Dotąd szczątki te po całéj prawie kuli ziemskiéj porozpraszane i w Europie na brzegach Północnego morza, szczególniéj na angielskim gruncie, we Francyi w korytach rzek wielkich, jak Loara, Garonna, Rodan, w środkowéj Europie w dolinach Renu, Jurajskiéj, w Alpach szwajcarskich, daléj we Włoszech, w Węgrzech, w dolinach nad rzeką Po, Arnu, Tybru i t. p.

Azya dotąd mało jest badaną w geologicznym względzie, najwięcéj jeszcze Mała Azya, Arabia i Indye. Afryka również nie jest znaną geologom, prócz Egiptu. Ameryka, a szczególnie jéj południowe strony, od czasu jak Darwin piérwsze lody przełamał, stanowi nie małą zdobycz dla geologii; gdy przeciwnie Australia mało lub zupełnie nie była badaną.

Ssaki, dopiéro w cenolitycznym pokładzie (czyli w trzeciorzędnym) ważną w przyrodzie odgrywać poczynają rolę. A chociaż pojedyńczo już w pokładzie mezolitycznym (drugorzędnym), mianowicie w nowszym układzie (w peryodzie kredowym) się znajdują, to jednak jest pewném, że kształtów konia tam nie było, lecz dopiéro w peryodzie eoceńskim. Przedstawicielem zaś tu jest palaeotherium, którego szczątki porozrzucane po Anglii, Francyi, Szwajcaryi i t. p. Zwierzę to spowinowacone z koniem, spokrewnione także z tapirem, przez co za naddziada uznane obudwu tych zwierząt gatunków.

„Budowa zębów trzonowych tak szczęki dolnéj, jak górnéj w palaeotherium, uważane jest za punkt rozejścia się dwóch oddzielnych gromad wielkiego sygadontów działu, mianowicie gromady zwierząt jednokopytowych i gromady zwierząt przeżuwających. Piérwsza z tych gromad łączy się z palaeotherium przez pośrednictwo zaginionego gatunku Anhitherium" (str. 32, I). Anhitherium, zwierzę podobniejsze niż palaeotherium do dziś żyjącego konia, znaleziono w tysiącach egzemplarzy w Pikiomi w Grecyi niedaleko Aten, w pokładach także trzeciorzędowych, lecz młodszych a mianowicie w górnym eoceńskim (gipsowym) i dolnym mioceńskim (Linsburg) podług Huxleya. Kościec jego nadzwyczajnie podobnym jest do końskiego, czaszka jednakowoż mniejsza, szczęki cieńsze, kość łokciowa i promieniowa (czyli nadpęcinowa, piszczelowa) grubsze, ostatni ząb trzonowy leży daléj w tyle, a oczodoły, nie są zupełnie kością zamknięte. Lecz największa polega różnica w budowie zębów i stóp. Siekacze są mniejsze, a w koronie nie zagłębione, piérwszy mielec jest stosunkowo większy szczególnie u górnéj szczęki i podobny do sześciu innych. Nogi jego zakończone trzema palcami, z których zwierzę wszystkie używa do stąpania po ziemi.

„Z końcem mioceńskiego peryodu giną już ślady tego trzykopytowego protoplasty rodzaju konia, a za to w górnym mioceńskim i dolnym plioceńskim (podapenińskim) poczyna miejsce jego zajmować Hipparion, który również w wielkich stadach żyć musiał, gdyż kości jego nagromadzone w wielkich ilościach znajdywano. Kościec hippariona zbliża się już więcéj do szkieletu osła lub średniowielkiego konia, choć każde z odnoży tego zwierzęcia, posiadało trzy wyraźne palce, z których jednak środkowy tylko kopytem był opatrzony, podczas gdy pozostałe dwa boczne, nigdy ziemi nie dotykały, nie sięgając daléj jak do śródstopia. Zęby hippariona są bardzo do końskich podobne, tylko w szczęce dolnéj zęby trzonowe różnią się od zębów konia przez znacznie niższą koronę, przez większą emaliowanéj blaszki grubość, a mniejszy cementowéj substancyi rozwój, przez wymyślniejsze emaliowanéj blaszki pojęcie, przez większą symetryczność i potoczystość zarysów środkowéj zębów kokardy“ (str. 36); a także krótkość przedziału między kłem a siekaczami, stanowi wyraźne hippariona od konia wyróżnienie.

W peryodzie lodowym i w następnym diluwialnym czwartorzędnego pokładu, spostrzegamy kopalnego konia (*equus fossilis vel angustidens*), który jeszcze tylko niektóremi odmiennemi właściwościami zębostanu od konia dni dzisiejszych się wyróżnia, a mianowicie węższym i dłuższym rozmiarem środkowych zębów trzonowych, i cokolwiek odmiennym rysunkiem emalii.

Zdaje się, iż autorowi znane są tylko badania temu gatunkowi poświęcone, które przez Owena i Rütimeyera głównie na egzemplarzach z Alwernii pochodzących z tufu diluwialnego między Longeae i Crospiniac w bliskości le Puy (Haute Loire) dokonane zostały, nie wspomina bowiem o najnowszych poszukiwaniach w tym względzie prof. Marscha, który znalazł kopalne resztki konia w okolicy o 450 m. angielskich oddalonéj na wschód od Omaha, które pod względem wzrostu, stanowczo się różnią od poprzednio znalezionych resztek.

Konia więc autor wywodzi od tego właśnie rodzaju, który w osadach górnego plioceńskiego peryodu znaleziony, w diluwialnym już wyginął, a który w najstarszych przez ludzi zamieszkałych pieczarach, odpowiadał dzisiejszemu naszemu koniowi, i choć przy badaniu zębów kopalnych z diluwialnego pokładu, różnice między *equus augustidens* i *equus caballus* często jako mało znaczące występują, to autor jednakowoż wielkie stosunkowo przestrzenie czasu, na wyosobienie się tych różnic, naznacza.

Wywody geologiczne obrobił hr. Czapski z wielką znajomością przedmiotu, widać tam ogromną erudycyę, brak jednak jasności, czego najgłówniejszą przyczyną jest to, iż odwołując się na ryciny w mającym wyjść atlasie, tymczasowo póki ten ostatni nie wyszedł, dla nie obznajmionego gruntownie z anatomią, często niezrozumiale przemawia. Nadto, myśli autora odbiegają nieraz od wytkniętego celu, pochodzenie konia z pochodzeniem człowieka mieszając, a trzymając się teoryi

Lyell'a i Häckel'a niepotrzebnie drażni przypominaniem zwierzęcego ludzi pochodzenia. I tak na str. 18 wypowiada autor zdanie „Człowiek ówczesny“ (pierwotny), „który ani wielkim w wynalazkach nie jaśniał dowcipem, ani na dzikiéj swéj fizyognomii nie nosił jeszcze szlachetnego wyrazu, wysoce moralnéj i inteligentnéj istoty, nie wiele się zapewne różnił od zmyślnej, łagodnéj a wielkiéj Dębomałpy Fontana (Dryapithecus Fontani)!!“ Daléj na téjże saméj stronie „kościotrup człowieka..... przedstawia czaszkę niewiele od małpiéj różną.“ I na str. 48 „Tak jak powolne przeobrażenie się hippariona w *equus fossilis* nie daje się w kartach geologicznéj księgi z całą stopniowością swego odszukać przeistoczenia, tak samo się to dzieje i z przeobrażeniem przedpotopowych primatów w człowieka. I nie dalekiém od prawdy być może przekonanie, że ta z małp już na człowieka zasługuje miano, która piérwsza na grzbiecie jednokopytowego hasała po ziemi zwierzęcia!!“ Kwestyę piérwotnéj konia kolébki, łączy autor z rozwiązaniem kwestyi o miejscu pobytu piérwotnego człowieka. I albo przypuszcza, że ród koński przez długie wieki w zimnym klimacie pozostawał, albo téż piérwotna jego ojczyzna do rzędu ciepłych krajów nie należała, a to z tego powodu, iż konie mają wrodzony zwyczaj wygrzebywania pokarmu z pod śniegu.

Pomimo badań w tym względzie i usiłowań dojścia piérwotnéj konia ojczyzny, nic pewnego o niéj powiedzieć nie można, przypuszczalnie jednak ojczyzną konia nie była Europa. Każde wszakże wyrzeczone w tym względzie zdanie, tak jest nie pewném, jak niepewném jest miejsce, gdzie był raj ziemski i gdzie piérwszy owoc zakazany zjedzonym został. W końcu ubiegłego stólecia, zaznajomiła się Europa z tradycyami perskiemi w księgach Zend-Awesty zawartemi. W piérwszych ustępach Wendidadu (ksiąg liturgicznych Zoroastrowych, jednę część Zend-Awesty stanowiących), najstarsze podania znajdujemy o piérwotném ukształtowaniu się towarzystwa, o rozprzestrzenianiu się Aryjczyków po Ireńskich krainach, dowiadujemy się o zarazach na bydło i stada, a późniéj o sławnych Nizejskich koniach. Tamże spotykamy się z boginią Dowaspa, noszącą przydomek opiekunki koni. W księdze śpiewów (Jest) jest podanie zapisane, które władcy Keresaspa (co znaczy właściciel chudych koni) przypisuje wyproszenie u niebiańskiéj pierwo-wody stu samczych koni. Z tych i wielu innych ustępów podobnych Zend-Awesty autor utrzymuje, że konie były już w kolebce człowieka znane Aryjczykom, czy jednak starsze rodu ludzkiego, szczepy Chińczycy, Egipcyanie, Semici także z końmi kolebkę ludzkości opuścili, jest niepewném. Autor na zasadzie astronomicznych obrachowań J. Bunzena przypuszcza, iż aryjskie plemiona jako Indowie, Celtowie, Pelazgowie, Germanie i Słowianie wyruszyli z kolebki ludzkości w ciągu pierwszych dziesięcio-tysiącoleci przed Chrystusem (str. 62, I tomu). A więc dawność konia u tych narodów od tego czasu się datuje.

Przechodząc daléj do „piérwszéj wzmianki o koniu u Chińczyków“ autor z pisma tego narodu, którego wynalazek przypisywany jest na 2700 lat przed Chrystusem, a które posiada na każdy wyraz osobny znak, pomiędzy któremi znajdujemy wizerunek wozu, konia i pługa, że koń, wóz i pług od najdawniejszych już czasów były u Chińczyków w użyciu „zapewne w téj jeszcze epoce kiedy naród ten z pierwotnéj rodu ludzkiego nie wystąpił siedziby“ (str. 64 tom I.), Bunzen stawi czas wystąpienia Hebrajczyków z Iranu przed rokiem dziesięciotysięcznym, Chińczycy i Egipcyanie jeszcze wcześniéj Iran opuścili; tém samém więc podług hrabiego Czapskiego, koń u tego narodu przed rokiem dziesięciotysięcznym już był w użyciu!

Jako dowód dawności konia w Egipcie, przytacza autor podania Herodota u scholasty Apoloniusza z Rhodu dochowane, który początki do hodowli konia i sztuki jeździeckiéj przenosi w epokę mityczną tworzenia się kast w tym kraju, co ma to mieć miejsce za panowania boga Horus, na 4000 lub przynajmniéj na 3300 lat przed Chrystusem. Historycznie zaś pewność dawności sztuki jeździeckiéj w tym kraju opiera się na znanéj Teb świetności, które w każdéj ze stu swych bram po 200 konnego miały żołnierza, co w 3-iém tysięcoleciu przypada.

Z dynastycznych klinowych pism Babilończyków i Assyryjczyków autor wnosi, iż powszechne używanie konia u Seniłów bardzo odległych sięga czasów. Wyprawa Semiramidy do Indyi na tle historycznem osnuta, w któréj pół miliona jazdy udział brało obok 3 milionowéj piechoty i 10,000 wozów, daléj zwycięstwo Titmosisa III króla Egiptu nad Niniwą i Babilonem w 1538 r. podług Bunzena, w którym koń czynny bierze udział, potwierdza to domniemywanie.

Przeszedłszy jeszcze możebną starożytność konia u Indyan, który sięga czasów wystąpienia ich z Iranu, autor przechodzi do pewniejszéj już historyi konia, do śladów, jakie w Piśmie Świętém się znajdują, a przeszedłszy późniéj do konia na egipskich pomnikach, opisuje jakiéj używano uprzęży w onczas, jakich chomątów, szlei, uzdeczek i wędzideł, wystawiając zaś bogactwo hippiczne Egiptu, przytacza rozmaite data ciekawe. Z Egiptu przechodzi do okolic Arabii, do Fenicyan, prześlicznie przedstawia dzieje konia w Grecyi i u Rzymian, opowiada przeszłość jego, na nadzwyczajném bogactwie materyału się opierając, przechodzi rassy, maści, robiąc rozmaite uwagi hippiczne, a tak z historyą Rzymian i koń coraz to okrąża zachodnią Europę, Iberyą, Galię, aż do Brytanii, Czytając te historyczne dzieje konia, przechodzimy wiekami historyą narodów, czytamy o zwyczajach i zabawach jeździeckich, o poczcie w cesarstwie rzymskiém, to znów o igrzyskach, o wozach i rzędach i znów wracamy do czysto dziejowych wypadków, co pomimo nadzwyczajnie bogatego stylu i nagromadzenia materyału, czytelnika nuży nieco i niesposobnym czyni do przeglądania jednym ciągiem tego kalejdeskopu treści i wyrazów.

W czwartym rozdziale tomu I, przechodząc wypadki dziejowe VI, VII i VIII stólecia mówi o wschodnim koniu. Rozdział ten zawierają

cy 58 str., dla ważności przedmiotu o którym traktuje, stosunkowo do objętości całego działa nie jest zadługi, tembardziéj, iż mamy pod ręką prześliczne dzieło generała Daumasa, z którego autor także czerpał. Dwa dziś obozy istnieją u nas pod względem zapatrywań hodowców na konia. Jedni arabskiego uważają za ideał, przeciwnicy, angielskiemu pierwszeństwo przyznają. Autorowi wypadało bezstronnie tę rzecz wyświecić, co téż dokładnym opisem rączości i wytrwałości wschodniego w porównaniu z angielskim koniem starał się uskutecznić.

Pięknym jest i pouczającym ten rozdział, przeplatany często słowami Mahometa lub opowieściami o chowie, wyścigach, sposobie nabywania i t. p. koni na Wschodzie. Arabską rassę dzieli autor na 7 rodów, które wedle tradycyi ludowych od kilku znamienitych wielkiego przodka pochodzić mają klaczy: 1) Kochlani, 2) Nedżeli, 3) Semenu, 4) Omanu, 5) Hidżak, 6) Bahreim, 7) Berberyjski czyli Libijski. Tu autor zapewnie się omylił, gdyż pięć jest mitycznych klaczy Mahometa, które matkami pięciu rodów uznano: 1) Saklawy, 2) Maneki, 3) Dżulfa, 4) Toucie, 5) Kochlani. (Patrz najnowsze dzieło „Die Pferdezucht bearbeitet von Müller und Schwarznuker“ zeszyt I, tom II, str. 24). O perskich koniach powiada autor, że „już słynęły wtedy, kiedy o arabskim ani słychu nie było.“ Herodot, Strabo, Arrian i wielu innych wynoszą perskiego konia nad wszystkie. Autor rozdziela je podług prowincyi, w których zamieszkuje a między innemi chwali konie z prowincyi Kurdystanu pochodzące, jako odznaczające się długiém życiem, niepospolitą siłą i szczególnie zdrowemi nogami, gani zaś te, które w prowincyi Aderbiszan i Kerman mieszkają. Malowniczo opisuje nam hr. Czapski ćwiczenia jeździeckie Persów i system hodowli u nich. Ceny na konie perskie stawi rozmaite. „Te konie które corocznie w liczbie 3000 do Indyi, a w liczbie 2000 do Turcyi zakupywane bywają, płacą się przecięciowo po 300 do 350 piastrów za głowę (30—35 dukatów), za wyborowe płaci się 400 i 500 funtów sterlingów, szczególnie za pochodzące z okolicy miasta Herat w Chorasanie. Wysokie ceny na dobre konie w Persyi i wielka rzadkość takowych pochodzi wedle autora po części z zakorzenionego zwyczaju krzyżowania, a także z przyczyny złéj administracyi kraju, która nie ubezpiecza prawa własności przed chciwością urzędników, do tego stopnia, że często można spotkać palone żelazem zdrowe nogi konia, aby pozorem zaleczonéj wady uniknąć przymusowéj sprzedaży Szeikowi.

W końcu tego rozdziału mamy dokładny opis turkomańskiego konia, czyli argamaka, którego hr. Czapski bardzo chwali, tak pod względem szlachetności, pięknéj harmonijnéj budowy, jako téż wytrzymałości. W żyłach tego konia płynie krew arabskich Nadzidów, są jednak od ostatnich roślejsze i prawdopodobnie wytrzymalsze. Do wschodnich koni zalicza autor jeszcze czerkieskiego. Krótkim opisem abisyńskiego konia przechodzi do piątego rozdziału, traktującego o wyrobieniu się typu armorykańskiego konia w trzech następnych wiekach.

Tu autor przesuwa przed oczami czytelnika obraz upadku monarchii Karola W. i Arun-Al-Raszyda. Upadek jednak tych państw koń przetrwał zwycięzko. „Koń staréj rzymskiéj cywilizacyi schodzić z pola zaczął, a na obu krańcach ówczesnego świata, na Wschodzie i na Północy sława konia islamowego i rycerskiego powstawać zaczęły.“ Opisawszy w poprzednim rozdziale wschodniego, w tym autor zamierza północnego nam odmalować. Ważne jako w świecie hippicznym, zmiany z rozpoczętym ruchem ludów Północy, uważa autor rozpowszechniające się użycie siodeł ze strzemionami i konieczność kucia koni, czemu też pięć przeszło stronnic poświęca. Tłumacząc zaś późniéj, co pod rassą amerykańską rozumieć powinniśmy, twierdzi bardzo racyonalnie, że powolne wyrabianie się typu ciężkiego armorykańskiego konia powstało w skutek wilgotnych i żyznych pastwisk północnych wybrzeży Francyi, Holandyi, Danii, Niemiec i Pomorza. I nikt rzeczywiście z dzisiejszych hodowców twierdzeniu temu nie odważy się zaprzeczyć, gdyż licznemi faktami dowieśćby można było, że pewne zewnętrzne okoliczności, stosunki klimatyczne i życiowe, wpływ paszy i hodowli, może nawet zwięzłą i subtelną wschodnią rassę do najwyższego stopnia rozwoju kształtów i mięśni, do massy i otyłości doprowadzić, choć wprawdzie działać się to będzie ze szkodą przymiotów wschodniego konia, kosztem jego żywości i dzielności. Przywodząc późniéj historyę hodowli koni w tych wiekach w krajach nadmorskich, przechodzi autor do Anglii, o któréj mówi, iż do niéj baronowie normandzcy wprowadzali ciężkie armorykańskie konie (normandzkie) o garbonoséj głowie i grubych kościach, których typ do dziś dnia pomimo licznych ulepszeń tradycyjnie podtrzymywanych jeszcze się zachował, pomimo degeneracyi jakiéj konie te ulegały, dziś widoczny w olbrzymach Jorksshire to jest Clevelandu i Suffolkach.

Dzisiejszą rassę armorykańską spostrzegamy podzieloną na następujące rodziny: 1) koni duńskich, 2) holsztyńskich, 3) belgijskich, 4) holandskich, 5) hanowerskich, 6) meklemburskich, 7) czterech ras francuzkich i 8) dwóch angielskich.

Opisem konia ostréj Północy t. j. szwedzkiego, norwegskiego i islandzkiego kończy autor rozdział piąty i przechodzi do następnego, w którym historyę XII i XIII wieku opowiada, a razem o koniu krucyat i hiszpańskich.

W skutek wojen krzyżowych upadł feudalizm a z jego upadkiem podniosło się rycerstwo i przekonania „iż koń Wschodu jest najlepszym regenatorem stad Europy.“ Wojnom krzyżowym zawdzięczamy też rozpowszechnienie się wschodniéj krwi w żyłach koni europejskich. Król Trypolitański, którego konie uważane były, jako najczystszej krwi wschodniéj, ofiarował francuzkim krzyżowcom raz 10, drugi raz 15 najdzielniejszych swych koni; do Anglii za Henryka I wprowadzono arabskie konie, a „Jan bez ziemi,“ chcąc naśladować Francyę, która hippiczne swe powodzenie podówczas zawdzięczała krzyżowaniu północnych koni z południowemi, sprowadził z Flandryi 100 ogierów, a te, w ła-

godnym klimacie Albionu przerodziły się w owe kolosy, dziś w większych angielskich miastach używane do powolnego rozwożenia ciężarów.

Piękne i pouczające są w tym rozdziale ustępy jak: Rycerstwo, Turnieje, Sądy Miłości i Koń Rycerski. Z nich się dowiadujemy wiele szczegółów objaśniających nam te poezyi pełne czasy rycerskiéj galanteryi, to źródło przymiotów i wad, cnót i przywar naszych wojowniczych przodków! Rycerstwa uczucia w owe czasy noszą na sobie trzy główne cechy: wpaniałomyślności, szacunku dla kobiéty i przywiązania do koni. Obyczaje więc wśród takich uczuć wyrosłe, musiały niepomału na stopniową poprawę koni wpływać. Wyrobiły się też konie, o jakich dzisiaj nie słychać. Koń rycerza stawał do boju i do turnieju we zbroi skórzanéj, miedzianéj, żelaznéj lub stalowéj, którą autor dokładnie opisuje. Lecz prócz tych silnych a zwinnych rumaków, które same w ciężkim rynsztunku zamknięte, uzbrojonego od stóp do głów rycerza w samym walki momencie do boju niosły, był niemniéj doskonałym i twardym w pracy, pochodów wojennych koń marszowy, na którym czeladź rycerska i sami nawet rycerze marsze odbywali, lub też je do ówczesnych powozów zaprzęgano i jukami obarczano. Tych koni ostatnie potomki autor dziś jeszcze widzi w koniach Bretanii i Normandyi. Nadto był jeszcze lekki, świetny, rassowy i zręczny paradier, który do wjazdów uroczystych, a także i damom do jazdy, a rycerstwu do ćwiczeń konnych i do pochulanek jeździeckich był potrzebnym.

W owych rycerskiéj świetności czasach koń hiszpański stał na najwyższym szczeblu doskonałości. O świetnych turniejach Maurów, Grenady i Korduby rzadko kto nie wié. Mowiąc też autor o hiszpańskim koniu słusznie mówi: „trudno uwierzyć do jakiego stopnia namiętne konia zamiłowanie było w owéj podniesione epoce, w któréj szlachetne to zwierzę wszystkie swe władze skierowywało do posług, sławy, miłostek i rozkoszy człowieka..... Hiszpańskie konie wprowadziły pierwsze krople krwi wschodniéj do Europy. Francya i Anglia pierwsze swe krzyżowania z końmi hiszpańskiemi dokonywały. Żaden koń nie dorównał andaluzyjskiemu dzianetowi w przymiotach bojowego konia.“

Twierdzenie autora, że jazda manežowa z Włoch do Hiszpanii przeniesiona i sprowadzenie przez Karola III na półwysep Iberyjski neapolitańskich ogierów w ogromnéj liczbie, do zagłady hiszpańkich dzianetów się przyczyniły, nie wydaje nam się zupełnie prawdziwém. Na str. 326, I tomu powiada p. Czapski: „koń jest przecież stworzonym do biegu i tylko (!?) ze stopnia rączości jego ruchów sąd o wartości konia wydać można.... szczególniéj wyścigi nowoczesne są próbą dozwalającą ocenić konia.“ Przyzna mi każdy, iż tu autor zbyt arbitralnie w obronie wyścigów występuje. Żądamy wprawdzie od konia rączości, lecz nie jest to jedyny użytek, jaki z konia mieć chcemy; a gdzież wytrwałość, siła, wytrzymałość na zewnętrzne wpływy, gdzie harmonia kształtów, zalety, których każdy hodowca od konia wymaga? Prę-

dzéjbym siłę, wytrwałość i wytrzymałość na pierwszym położył planie, hodując konie, rączość zaś jako cenny, lecz niezbędny przymiot uważał. Wyścigi mogą być miarą rączości konia, nigdy jednak jego użyteczności.

W rozdziale VII daje czytelnikowi autor dokładny obraz mongolskiego, wschodnio-azyatyckiego i tureckiego konia, a zarazem wypadków dziejowych w ciągu XIV i XV stólecia. Z tego rozdziału dowiadujemy się, że na przestrzeni między morzem Kaspijskiem a murem chińskim zawartéj, błądzą dotąd stada koni, z których mieszkańcy tameczni odróżniają Tarpany (t. j. w ich pojęciu dzikie konie) od zdziczałych Mucynów. Autor wbrew pojęciom tamecznych mieszkańców utrzymuje, „iż wielkie jest prawdopodobieństwo, że tarpan równie jak dziki koń Ameryki nie jest czém inném, jak bardzo dawno zdziczałym koniem domowym.“ Tarpan różni się od mucyna, prócz odmiennéj budowy ciała, głowy i kopyt, jeszcze maścią. Tarpany zwykle maści bywają myszatéj, czerwono-gniadéj a nieraz i izabelowatéj; mucyny zaś skarogniadéj lub siwo-srebrnéj z łysiną i pończoszkami. Inne dzikie konie Azyi są tylko podług autora odmianami tarpanów, jak np. owe brodate, długą białą siercią pokryte indyjskie konie, lub srokate Taniany. Mówiąc o koniu w Chinach i w innych dalekiego Wschodu stronach, chwali himalajskie Gnudy, jako dzielne górskie konie juczne, a także wspaniałe kaszmirskie i nieponętne ale wytrwałe i silne wierzchowce tatarskie. W Chinach właściwych koń jest drobny, okrągły i łagodny a zdolny „zaledwie dźwigać na stępie ciężar złoconego rzędu, jaśniejącego barw tysiącem, oraz wagę mandaryna i wiesidełek z włosienia czerwonego wyrobionych.“ Mieszkańcy królestwa Tong-King używają bawołów i słoni do posług, które u innych narodów koń wykonywa. Lepsze konie są sprowadzane z poza granic niebieskiego państwa. W Indyach istnieje drobna, wątła rassa, w niczem od chińskiéj nie lepsza.

O koniu tureckim trudno jasne powziąć wyobrażenie z przyczyny obszerności tureckiego państwa; różne bowiem prowincye różne mieć mogą i to nieraz znamienite rassy, a wszystkie one do rass wschodnich należą. Kapadocya i Rumelia są podług autora pierwszemi państwa tureckiego prowincyami pod względem chowu koni; lecz dziś wszędzie niemal czystość tureckiéj rassy zatarła się zupełnie.

W rozdziale VIII przechodzi autor wypadki dziejowe XVI stólecia, w którym występuje na widownią koń włoski, amerykański, austryacki i węgierski.

Najlepsze do dziś dnia konie włoskie pochodzą z bogatych równin Polinezyi. W okolicach Padui (Padwy) hodują się znamienite kłusaki, które do lekkich wozów (sedioli) zaprzężone, wprawiane bywają do biegu prawie codziennie. Sycylia po któréj z kolei różne przeszły zwyczaje i prawa, miała w starożytności znakomite konie, co nieraz na igrzyskach olympijskich tryumfowały, a królom Syrakuzy do pysznych wozów i uroczystości służyły. Po epoce Normandów widzia-

ła swą sławę coraz niżéj z każdym wiekiem upadającą, a z upadkiem jéj osieł i muł zastąpiły szlachetnego konia.

„Już w tym wieku hippiczna sława Polski zaczyna się mocno rozwijać, a w następnym przychodzi do kulminacyjnego punktu swéj świetności. Sully był jednym z tych, co się najdzielniéj przyczynili do ulepszenia rass krajowych we Francyi w tym czasie. Wojny, łowy, przejażdżki i publiczne ceremonie utrzymywały w kraju tym obyczaje jezdeckie, a Sully sam doskonały jeździec oddawał się specyalnie hodowli koni. Jemu przypisać należy pierwszą myśl założenia stad rządowych we Francyi, on bowiem umieściwszy kilka wybranych ogierów w Piu w Normandyi, które protoplastami najlepszéj rassy francuzkich koni zostały, na to zasłużył. W Ameryce nie znano koni przed jéj zdobyciem, Hiszpanii więc winna Ameryka zaprowadzenie tego szlachetnego zwierzęcia, które przyczyniło się przeważnie do jéj zawojowania, do rozwoju tam cywilizacyi. W pierwszych latach odkrycia Nowego świata płacono za konia ogromną summę 5000 dukatów, pod koniec XVI wieku to jest w 100 lat po odkryciu Ameryki, nowa ta część świata miała stosunkowo tyle już koni, co i Europa, zwycięzcy bowiem od samego początku liczne rozmnażali stada, puszczając je swobodnie w lasy i sawany, co się przyczyniło do zdziczenia tam domowego konia. Zdziczałe te konie rozmnażały się nadzwyczaj szybko, szczególnie na południu stałego lądu Ameryki, na wybrzeżach rzeki La Plata. W pierwszych latach obecnego stólecia już wielu było właścicieli posiadających po kilka tysięcy dziko pasących się lecz piętnowanych koni. Obecnie główne takich koni siedlisko jest na obszernych stepach między Kalifornią i podnóżem gór Skalistych. Dziko żyjące konie Ameryki znane są pod nazwą Cimaronów. Są to zdrobniałe, z biodrami sterczącemi, z grubą szyją i ciężką głową wiśniowo-gniade potomki staréj hiszpańskiéj rassy. Zdziczałe konie wywarły wielki wpływ na stan pierwotnych mieszkańców Ameryki, przerabiając ich na koczujące po azyatycku ludy.

Dziś już w Ameryce a szczególniéj w Stanach-Zjednoczonych i Mexyku, są stada na sposób europejski prowadzone, w których czysta krew angielska przeważa. Zaprowadzono wyścigi, wytworzono sławną na świat cały rassę kłusaków przez rozumne krzyżowania i umiejętną tresurę, choć sprowadzanie znamienitych z rączości w kłusie koni z Europy, pociągało ogromne za sobą koszta. Rząd Stanów-Zjednoczonych przyczynia się bardzo do rozwoju téj kłusaków rassy, wzbraniając wyścigów wielkiéj rączości.

Pod koniec zeszłego stólecia wziął się dopiero i rząd austryacki na wzór innych europejskich rządów do opiekowania się hippicznemi sprawami państwa, zakładając sam stada i zajmując się kierownictwem hodowli koni we wszystkich podległych swemu zwierzchnictwu krajach. Następnie widzimy wyliczone stada ces. królewskie w Austryi, i opis ich urządzenia. Stan hippiczny Węgier osobny stanowi dział, gdzie również o stadach wiele dowiedzieć się można. Na końcu I to-

mu autor wspomina o Wirtembergii i Bawaryi, krajach, w których pojęcie hippiczne i chów koni wiele z Austryą mają wspólnego. I tu i tam krew wschodnia stanowczo przeważa. Pierwszy tom kończy autor ustępem o zamożności hippicznéj Niemiec, w którym zestawione cyfry dają wyobrażenie o ilości koni w krajach dzisiejsze cesarstwo niemieckie składających, oraz o jéj stosunku do obszaru pojedyńczych państw i ludności.

Cały ten tom, pomimo nieraz zajmującéj treści nie czyta się tak dobrze, lekko, bez znużenia, jak tego spodziewaćby się można było po pojedyńczych ustępach, a to z powodu, iż autor położywszy sobie za cel przedstawić historyę powszechną konia, chciał ściśle chronologicznie dzieje hippiczne świata przedstawić; tym sposobem przerywa ciągle czytelnikowi myśli, prowadząc go z jednego do drugiego kraju, nuży opisami zdarzeń, a pomimo bogactwa zebranego materyału w ogólności, w szczególnych wypadkach, w opisach niektórych rass nie jest dokładnym. I tak np. nie wiemy z tego tomu jak wyglądają austryackie konie, nie mamy dokładnego wyobrażenia o „jukerach“ węgierskich i t. p.

Dwa pierwsze ustępy w następnym tomie traktują o wypadkach dziejowych i hippicznych XVII stólecia w ogólności, a specyalnie o angielskim i francuzkim koniu tych wieków; resztę całego tomu poświęca autor historyi polskiego konia.

Cała ta część o polskim koniu traktująca, dla Polaka nadzwyczaj zajmująco opisana, a tak opracowana, iż zdumiewać się można nad ilością dzieł przez autora z konieczności przeczytanych, aby tyle o polskim koniu napisać. Z niezmierną pracowitością zebrał autor co tylko w podaniach, po książkach, w poezyach, w przysłowiach i pogadankach o koniu nam pozostało; tyle się téż rzeczy dowiedzieć i nauczyć można, iż wstyd byłoby ich nie znać, a dzieło to choćby dla téj jednéj części wszędzie się znajdować powinno, gdzie jest koń w stajni, gdzie zamiłowanie do staréj tradycyi naszych przodków pozostało. Konia bowiem od jeźdźca autor nie rozdziela. Mnóstwo zaś staropolskich do konia zastosowanych przysłów, stare odtwarza czasy z taką siłą i werwą, iż cześć się autorowi należy za ten hippiczny narodu naszego obraz. Szkoda tylko iż do odmalowania tego obrazu nie zawsze pewną ręką trzymał autor pędzel, nie jednakowo jaskrawych używał farb. Styl nie w każdém miejscu jest równy, w niektórych razach czyta się ciężko, w innych gdyby jaka gawęda u komina lub lekkiéj treści opowiadanie; lecz i to wybaczyć można, gdyż autor porozrzucany w podaniach i książkach materyał piérwszy raz w jedną całość zbiera, gdy przeciwnie do piérwszego tomu, wiele już mógł znaleźć w cudzoziemskiéj literaturze.

Jakie znaczenie w życiu wszystkich stanów Rzeczypospolitéj miał koń, jak się wplótł w obyczaje narodu polskiego, jak namiętnéj miłości stał się przedmiotem; malują dakładnie przez autora przytoczone słowa Skargi: „Milszy tobie syn kobyli, niżeli Syn boski.“ Do

tego stopnia kochano konie, że ich pamięci stawiano grobowce, lub tęskne poświęcano rymy, które w pozostałych pismach Kochanowskiego, Paska, generała F. Morawskiego znajdujemy. Bał nawet najnadobniejsze przyrównywano istoty do konia; jak Salomon do źrebic lubę swą w „Pieśni nad pieśniami" przyrównywał, tak też i w Polsce czyniono, mówiąc: „Pani młoda jak źrebica!" Szanowny autor więc twierdząc, iż nie należy tego umiłowania konia „poczytywać za konioszaleństwo, koniomanię, czyli jałową do koni pasyę" najwidoczniéj błądzi.

Na str. 31, II t. dowiadujemy się rzeczy nowéj zupełnie, niezgadzającéj się z dotychczasowemi zapatrywaniami na charakter polskiego narodu, mianowicie że „Rolnictwo było wyłącznem osad cudzoziemskich zajęciem, kiedy większa część wiosek polskich zajmowała się głównie pasterstwem i chowem koni, rybołówstwem i myśliwstwem." Prawdopodobnie więc i tutaj chcąc autor Polskę wystawić jako kraj hippiczny, za gorąco rzecz przedstawia.

Na szczycie sławy, zamożności i wykształcenia stojąc za Zygmuntowskich czasów Polska, za tychże czasów i pod hippicznym względem najwięcéj słynie. Unia Litwy z Koroną nader błogie na rozwój hippiczny obu narodów wywierając wpływy, szczególnie jednak na Litwę oddziaływa; bo choć ostatnia wprawdzie zaszczycona była godłem Pogoni, to jednak przed Unią ustępowała w jeździeckim i hippicznym względzie Polsce, i dopiéro po zlaniu się z Polską przyjmuje od braci swéj koronnéj zdrowe i wykształcone o chowie koni pojęcia.

Że w dawnéj Polsce rodzaj konia wielką rozmaitość okazywał tak pod względem użyteczności zwierzęcia, jak też niemniéj pod względem jego budowy, tego szanowny autor stara się dowieść w § 142, gdzie o języku hippicznym mówi. I tak nazwy koników, kosiów, kucyków, mierzynów, dylongów, dryblasów, drabów, bucefałów, kandybów, przedstawiają nam wyraźnie pod względem wzrostu różnicę. Szkapy, marchy, chmyzy, wywłoki, bronowłoki, szewluchy, terlice, hetki i sudane, bachmaty, ciekuny, bieguny, kursery, węzełki, stępaki, rysaki, kłusaki, szłapaki, rumaki, rączoskoki, rzutne, wiatronogie, bystro-lotne, chyże i t. p.; przedstawiają dwa przeciwne typy pod względem dobroci zwierzęcia, a znowu, konie pocztarskie, łowieckie, podjezdki, gospodarskie, kawalerskie, robocze, stadowe, juczne, stójkowe, wyraźnie nazwą swoją przedstawiają cel użytkowy, dla którego istniały. Niemniéj rozmaitość nazw dowodzi, iż nie jedna była koni w Polsce ojczyzna. I rzeczywiście pomimo wielkiéj obfitości koni krajowych najrozmaitszego gatunku, Polska zawsze sprowadzała mnóstwo koni z obcych krajów. Oprócz wybornych polskich krajowych, żmudzkich, ukraińskich i podolskich, stepowych czyli zaporożskich, karpackich czyli podgórskich, sprowadzano nadto konie z Tracyi to jest tureckie rumaki, frezy, angielskie, hiszpańskie dzianety, arabskie bedewie, adziamskie, neapolitańskie, albańskie, poddunajskie i węgierskie konie, tatarskie i czerkieskie bachmaty i t. p. Z tych wszystkich podług Marescoti'ego „najliczniejsze były konie polskie, ukraińskie i ta-

tarskie, tak, że one wraz z węgierskiemi wyraźną stanowiły wśród koni w Polsce używanych większość. Autor przytacza ustęp jednego z tegoczesnych powieściopisarzy, w którym znajdujemy trafnie przedstawioną rozmaitość tych trzech różnych typów końskiego rodu, które się w Polsce najczęściéj pojawiały.

„Szparko" jak strzała *sadząc sarniemi susami* wpadł na podwórze stepowy konik z kozakiem .....za nim wleciał murza tatarski, a bachmat jego jakby się pławił, tak gładko i tak *nizko sunął* sprężystemi nogami... .....w ślad za niemi pod Lachem koń *przysadzając się zadem ku ziemi, przodem wyskakując w powietrze*, okracz wpląsał na podwórze."

Od str. 48—84, II t., autor nader zajmująco i dokładnie opisuje wszystkie w dawnéj Polsce pojawiające się konie, a daléj utrzymuje, iż wojny głównie źródłem były wschodnich dla Polski koni. Na wojnie zdobywano najdzielniejsze wschodnie rozpłodniki, a można się było nie troszczyć o świadectwa czystości ich pochodzenia, gdyż rzadko bardzo muzułmański wojownik powierzał swe życie koniowi niepewnéj krwi i dzielności. Po każdéj wojnie z Turcyą rumaki tureckie, bachmaty tatarskie i badawie arabskie za bezcen w kraju sprzedawano. Z Zachodu konie a mianowicie z krain sąsiedzkich, przybywały początkowo za pośrednictwem przekupniów, a gdy prawodawstwo krajowe przeciw nim powstało, zaczęto wodzić massami bez niczyjego pośrednictwa, prosto na jarmarki krajowe, szczególniéj węgierskie „sekiele" a w końcu nawet tąż samą drogą wkraczały w granice Polski i konie Wschodu. Najgłówniejsze punkta handlowe były: w Otakach i Raszkowie nad Dniestrem i w Stanisławowie na Rusi Czerwonéj, a oprócz tego gęsto po kraju rozsiani Turcy, Ormianie, Grecy i żydzi pośrednictwem w handlu się trudnili. Najważniejszy podług mnie ustęp II t. nosi tytuł „Co rozumieć o polskiéj koni rassie i jak na nią wpływało prawodawstwo." W ustępie tym hr. Czapski dowieść się stara, iż w Polsce żadnéj osobnéj rassy koni nie było, którąby pewnemi na całego kraju przestrzeni jednakowemi się cechami odznaczała; że owszem przeciwnie, autor się dopatruje jak największéj rozmaitości i nie jednakowości między polskiemi końmi. „Każde stado w Polsce odrębną było konia rodziną, mało lub wcale nie związane węzłami pokrewieństwa z innemi rodzinami krajowemi. W stadach panowała wielka rozmaitość żartkości, cudności, lenistwa i szpetności." Osobnego rodu łączącego wszystkie drobne konia rodziny w Polsce nie było. Krew wschodnia bardzo rozmaitego stopnia czystości, była wprawdzie źródłem odświeżającém i uszlachetniającém konia, ale oddzielnego gniazda w Polsce także nie tworzyła.

.....Większa więc część stad krajowych ubiegała się o wschodnie stadniki. Wyrażenie: „koń szlachetnego rodu, koń dobrego stada, koń rassowy," nie znaczyło konia osobnéj polskiéj rassy, ale tylko tyle,

co „koń mający wiele krwi," w czém domyślać się należało „krwi wschodniéj" (str. 98). Najrozmaitszego krzyżowania produkta miały podług autora być materyałem produkującym polskie t. j. *polskiemu smakowi* i *polskim* potrzebom odpowiednie, konie, i jeżeli—powiada daléj—używamy dzisiaj w potocznéj mowie wyrażenia „rassa polska," to tylko w znaczeniu typu, a nie rodu brać należy. Tuby z szanownym autorem można było arkuszową polemikę prowadzić, którąby jednakowoż stanowczéj nie przyniosła dla obu stron korzyści. Trudno jest bowiem spierać się o to, co oderwanego pojęcia jest wyobrażeniem. Jeżeli autor pod mianem rassy polskiéj szczególnemi cechami zoologicznemi odznaczającą się grupę koni rozumié, w takim razie stanowczo nie można mu przyznać słuszności. Jeżeli jednak w pojęciu hodowcy, rolnika, przemawia, t. j. że rassa nietylko zoologicznemi cechami wyróżniać się powinna, te bowiem dla hodowli żadnego lub bardzo małe mają znaczenie, lecz także cechami, z których hodowca wartość fizyologiczną, wartość gospodarską pewnéj grupy zwierząt ocenić może, w takim razie w części ma tylko słuszność. Dla zoologa bowiem nie ma osobnéj rassy owiec negretti, nie ma bydła rassy holenderskiéj; on piérwsze załącza do merynosów rassy, drugie do rass nizinnych: dla hodowcy jednak ile jest odcieni między merynosami, tyle być może rass uznanych między niemi. Że jednak koń polski „polskiemu smakowi i polskim potrzebom odpowiadał, jak autor sam przyznaje, stanowił więc i dla hodowcy grupę, którą autorowi typem, innym rassą wolno nazywać, innym wreszcie gniazdem, jeżeli cudzoziemskiemu wyrazowi „rassa" obywatelstwa odmawia. Autor utrzymuje, że polskich koni rassa utrzymać się i ustalić nie mogła, gdyż „mieszanie i krzyżowanie rass końskich w Polsce tak było powszechném, iż za mieszańca uchodził tylko zwierz nieprawy, który się między sobą nie płodzi, wtedy mułem zwany, kiedy był produktem zalotów osła do świerzopy, wtedy zaś mułoosłem, kiedy go porodziła ośl ica z ogrem odchowana" (str. 92). Czy jest tak rzeczywiście, o tém spierać się nie chcę; ale jeżeliby tak było, to również nie dowodzi, iż polska rassa nie mogła być stałą, gdyż historya tworzenia się rozmaitych rass zwierząt w nowszych czasach, wyświetla nam tę kwestyę na korzyść krzyżowania. Wszak dawniéj utrzymywano, że angielski koń pełnéj krwi jest rassy zupełnie czystéj. Mylność tego poglądu dowiódł między innemi Nathusius (patrz üb. Constanz etc. str. 23). Dziś wiemy, iż w żyłach angielskiego wyścigowego konia płynie krew koni arabskich, berberyjskich, tureckich, perskich, syryjskich, a nawet miejscowéj krajowéj rassy. (Patrz: Ruef Anleitung zum Betreibe der Pferdecuc: str. 14). Angielskie rassy świń nazywano u nas rassami czystéj krwi, a te również z czystéj krwi nie powstały, lecz raczéj pochodzenie swoje zawdzięczają mieszaninie rozmaitych krwi a mianowicie: angielskiéj miejscowéj, chińskiéj, romańskiéj, a z téj ostatniéj szczególnie świni neapolitańskiéj czarnéj. Sprowadzano więc do wytworzenia się angielskich świń „czystéj krwi" osobniki z Chin, z Siamu etc., do

wytworzenia się polskiéj rassy koni mogła być również rozmaita krew użyta, po wytworzeniu się dziś z mieszanéj angielskiéj rassy świń oddzielnych kierunków, tak pod względem kształtów jak wielkości, nie mniejsza prawdopodobnie istnieje rozmaitość, niżeli między końmi polskiemi egzystowała. Mnóstwoby można było przytoczyć podobnych przykładów, któreby szanownemu autorowi dowiodły także, iż krzyżowanie i mieszanie rozmaitéj krwi, może rozmaite i stałe, równokształtne rassy utworzyć.

Dość powiedzieć, że koń angielski pełen krwi, bydło Shorthon, niemieckie merynosy i angielska świnia pełnéj krwi, a zatém typy zwierząt, któreby *rassami świata* nazwać można, powstały ze zmieszania krwi, gdyż angielskich hodowców dążeniem w hodowli nie jest stałość rassy, tylko jéj możebna giętkość a zarazem równokształtność. Głównie więc o to nam iść powinno, czy żadnéj nie było polskiéj rassy koni, czy téż była jaka i czy była jednolita, lub téż na kilka się odmian lub pokoleń rozpadała?

Chcąc rzecz tę rozstrzygnąć, niech mi wolno będzie użyć słów Settegasta, który trudność uznania pewnéj grupy zwierząt, jako rassę w następujący sposób przedstawia: „Dla rozróżnienia cech stanowczych, charakteryzujących budowę zwierząt w obrębie jednego gatunku używa tak zoolog jak hodowca wyrażenia rassa..... Pytanie, czy ta lub owa grupa zwierząt z rassy wzniosła się do gatunku (species), lub téż zajęła niższy stopień w systematyce, może być tylko na pewien przeciąg czasu rozstrzygniętém, a o drugiéj części pytania decyduje zdanie bezstronnych, myślących hodowców (Settegast, Hodowla, spolszczył Trylski str. 46). Tu więc co autor rodziną zowie, inni hodowcy do znaczenia rassy wynoszą. Autor głównie twierdzenie swoje opiera na mocy odmiennych spisów polskiego konia i wizerunków rozmaicie nam to szlachetne zwierzę przedstawiających, w których on podobieństwa nawet żadnego między niemi nie widzi. Alboż delikatna elektoralna owca podobna z wizerunku do ciężkiego rambouillet'a, choć obydwa okazy są tylko szczepami jednej rassy merynosów, lub koń angielski wyścigowy do kentera? Zresztą szanowny autor sam na str. 102 tak się wyraża: „Zgadzam się na to, że się zmieniały kształty polskich koni w miarę zmian pojęć o rodzaju, użyteczności, dzielności i wdzięku konia, albowiem człowiek jest w stanie w każdym zwierzęciu domowém upragnione przez siebie rozwinąć przedmioty łacniéj, im mniéj ustaloną była ich rassa. A któraż z rass nowych jest stałą? Zdaniem naszém przyroda wcale nie obdarzyła rass owemi do niewyrugowania stałemi przymiotami, te bowiem sprzeciwiałyby się celom przyrody. Być może, iż pierwotne rassy to jest te, które bez współudziału człowieka powstały, posiadają swych cech, trwałość; lecz im ta jest większą, tém rassy owe mniéj przedstawiają danych do służenia za materyał hodowlany dla pewnych określanych celów. Hodowla przecie nie może używać takich typów, wymaga przeciwnie rass giętkich, łatwo do jéj celów się nadają-

cych. I gdy autor na str. 93 II powiada: „Jeżeliby był ustalony jeden ród koni w Polsce istniał, toby się on jeszcze przechować potrafił w którejkolwiek prowincyi dawnéj Polski, pomimo ogólnéj kraju katastrofy, to na str. 41, tom III wbrew temu zdaniu utrzymuje: „W Wołyńskiéj gubernii..... w Miropolu, stadko hrabiów Czapskich zawiera 60 matek *dawnéj polskiéj rassy*.“ To samo powiada o niektórych stadach w Chersońskiéj gubernii, gdzie mają być dotąd polskie konie ze stad książąt Czartoryskich pochodzące. Słowem autor, o ile śmiem przypuszczać, sam nie jest pewny we względzie polskiéj rassy koni. Zresztą nie ma o co się spierać, gdyż to pewno, że obszerna Polska z różnych części w jedno polityczne zlana ciało, nie daje nam rękojmi, aby na jéj całéj przestrzeni z jednego gniazda wspólnego wywiedziony ród koni mógł istnieć. Że był koń polski, zwłaszcza bojowy, dzielny, wytrwały, silny i rączy, to samo autor w ciągu swéj pracy niejednokrotnie podnosi. Polska na strażnicy narodów od nagłego napadu Tatarów i Turków stojąca, w ciągu wielu stóleci z konnemi nieprzyjaciołmi do czynienia mając, z potrzeby u siebie wyrobić musiała takiego konia, a naród z nim się zrość musiał. Typ konia, jakeśmy wyżéj powiedzieli, przeważnie musiał być wschodni, gdyż wielka ilość wschodnich rumaków, jaka po wojnie zwykle w kraju zostawała, lub jakie kupowano od pośredników w czasie pokoju, koniecznie na ród polski wpłynąć musiała.

W § 158 jest mowa o przymiotach matki. W rozdziale tym znajdujemy następujący ustęp: „Pierwiastki, to jest młode kobyły na pierwszym razie, do najcudniejszego przypuszczano konia w przekonaniu, że takie matki do śmierci cudne płodzić będą źrebięta. Zasada podobna nie jednemu mniéj w sprawy hippiczne wtajemniczonemu, wydawać się może dziwactwem i przesądem; tu przeto pozwalam sobie stanąć w obronie trafności i daru obserwacyi naszych przodków a niewdając się w rozbiór tajemniczych dotąd praw spadkobierstwa i generacyi, ledwie naszkicowanych przez Darwina, przypominam sprawdzone wydarzenie u lorda Morton, opisane w „Philospbical Transactions 1821 r. p. 20“ (str. 151 II).“ W obec dzisiejszego stanowiska nauki fizyologii płodzenia i rozwoju zarodka zwierzęcego, dziwi nas mocno, jak pan hr. Czapski może w obronie tak niezgadzającego się z prawdą wypadku stawać. Jestto hipoteza, która dziś żadnéj podstawy znaleźć nie może. Wypadek o którym hr. Czapski wspomina i który miał być sprawdzonym, brzmi mniéj więcéj jak następuje. Wschodnia klacz hr. Mortona pokryta ogierem Quagga, urodziła źrebię noszące wszystkie cechy mieszańca; gdy potém pokrywano ją arabskim ogierem, rodziła kilkakrotnie źrebięta o czarnéj prędze przez krzyż i o kilku na nogach, które przez to przypominały piérwszego jéj samca. Wizerunki klaczy Mortona i jéj potomstwa można widzieć w dziele „Jardine's Naturalist's Library“ w XII tomie na tablicach XIV, XXVI, XXVII i XXIX. Settegast o tych rycinach powiada: „Łatwo się z nich prze-

konać, że czarne pręgi na szyi, kłębie i nogach źrebięcia po arabskim ogierze są bardzo naturalnemi. Cała zresztą powierzchowność zwierzęcia wykazuje krew arabską tak, że najbujniejsza fantazya żadnego podobieństwa do form Quaggi znaleźć tam nie może.“ Settegasta, autor jak sądzę, nie może liczyć do mniéj w sprawy hippiczne wtajemniczonych a tém samém o niepoznanie się na tém posądzać, w przeciwnym zaś razie musielibyśmy przypuścić, iż obydwóch samców nasienie jedno jajko zapłodniło. Czy to jest możebne, to pan hr. Czapski sam osądzi. Gdyby rzeczywiście mogło mieć to miejsce, hodowla nie byłaby rzeczą tak trudną; nie mając odpowiednich reproduktorów moglibyśmy idealne otrzymywać kształty, puszczając tylko pierwszy raz samice do znamienitych samców, późniéj już używając pierwszą lepszę hetkę w tym celu. Któryż z hodowców nie wié, jak częstemi są zboczenia właśnie w maści, choć o wpływie pierwszego zapłodnienia i mowy być nie może? Gdyby teorya ta jąkąkolwiek miała racyę bytu, niezawodnieby owczarstwo ostatnich czasów dostarczyło w téj mierze dowodów. Nie przesądzimy utrzymując, że miljony owiec elektoralnych łączono z trykami Negretti, Rambouilletami po poprzedniém pokrywaniu owych elektorałami. Settegast w dziele swojém o hodowli zwierząt tak się o tém wyraża: „W dobrach do królewsko-pruskiéj akademii w Proskau należących, użyliśmy dotąd około 700 matek elektoralnych, przedtem takiemiż baranami pokrywanych, do krzyżowania z baranami Southdown. Stado elektoralne cechuje się tém, iż często matki są w niém rogate, cyfra takowych do 60% dochodzi. Z pomiędzy potomstwa po baranach Southdown nie było ani jednego rogatego jagnięcia, ani jednemu z nich nie brakło czarnych plam na łbie i nogach, jakie na produktach krzyżowania merynosów z Southdownami pojawiać się zwykły. Nieinaczéj działo się i w innych owczarniach, nigdzie niezauważano ani jednego wypadku przemawiającego za prawdziwością teoryi wpływu pierwszego zapłodnienia. W ogólności więc wszystko co w tym względzie mówię, jest tylko uprzedzeniem, ślepą wiarą i powtarzaniem za panią matką pacierza; nic nie opiera się na faktach, na niezbitych dowodach.

„Do maści i odmiam wielką przywiązywano wartość. Nauka kombinowania maści rodziców, powiada autor, była przedmiotem głębokich studyów hippologów starodawnych“ Nakształt starego Rzymu zapatrywań i w Polsce uważano, iż cztery najprzedniejsze maści czterem żywiołom odpowiadają. I tak: 1) gniada sierć powietrza jest uczestniczką a konie téj maści są zazwyczaj wesołe, 2) Cisawa czyli dzisiejsza kasztanowata podobna ogniowi, a jako ogniowéj natury, żółci najwięcéj w sobie zamyka; konie téż cisawe są najczęściéj choleryczne, złośliwe; 3) wrona maść do ziemi zbliżona, a konie téj maści melancholiczne, 4) biała wodzie odpowiada, a charakter białego konia flegmatyczny. W tymże rozdziale o maści podaje autor między innemi obchodzący teraźniejszość ustęp, mianowicie, że w Prusiech wscho-

dnich do ogólnéj podano wiadomości trzy wydarzenia, w których białe i białosrokate konie silnym uległy cierpieniom po nakarmieniu ich wyką dotkniętą przez rosę miodową i mączną. Każda plamka na skórze, białą sierć noszącéj, uległa gangrenowatemu zapaleniu. Fakt podobny był na wielu innych także stwierdzony miejscach, przyczem zapadłości takich na koniach różnéj maści, ale wolnych od odmian wcale nie zauważano. Roślina „Aethusa cynapium" (mordownik pospolity) rozwijająca zazwyczaj w koniach biegunkę, wzbudza u koni z latarniami powstawanie wrzodów i nabrzmiałości na ich białych wargach i chrapach." Jest to ważna przestroga dla hodowców koni a zarazem dowodem Darwina teoryi naturalnego wyboru („of the natural selection"), który pomaga pewnym formom (lub jak tu pewnym maściom) do rozpowszechnienia się ich w danéj okolicy. Tu indywidua białéj i białosrokatéj maści będąc pod względem wyżywienia ich trudniejsze, upośledzone, ulegają i ustępują miejsca indywiduum innych maści, tak jak w owym przez Huxleya przytoczonym fakcie o białych świniach w lasach Florydy, gdzie takowe czarnym miejsca ustąpić musiały z przyczyny, że zdychały od korzenia farbierskiego, *Ladmantes tinctoria*, podczas, gdy ten czarnym nic nie szkodzi. Przytoczony przez autora fakt jest jeszcze tém ważniejszy, że o ile mnie wiadomo o wypadkach podobnych między domowemi zwierzętami, zawsze biała maść była ich powodem. Wiadomo, że tylko białe i z białemi plamami owce, dostają choroby czasami śmiertelnéj, w skutek najedzenia się gryką. Również według Heusingera dla białych tylko owiec ma być trucizną rosnąca obficie w Tarentino roślina pod nazwą *hypexicum Crispum* znana. Czyżby ciemny barwnik w skórze innéj maści zwierząt zawarty, był zarazem chroniącym zwierzęta, przeciw niektórym złym wpływom z paszy pochodzącym?

Opuszczamy szczegółowy opis następnych rozdziałów tego tomu, w których autor systemy hodowli i jéj zasady w dawnéj Polsce opisuje, w ogóle tylko zanotować z nich możemy, że hodowla konia u nas pomimo, że wolną nie było od lekkiéj guślarstwem zaprawy, stała jednak tak wysoko, iż pod wielą względami dzisiejszym hodowcom za wzór i szkołę służyć może. Nie u jednego dziś hodowcy na ogólne zasady chowu w stajni mniéj zwracają uwagi, niż u przodków naszych w wielkich półdziko utrzymywanych stadninach.

W dłuższym artykule przedstawia autor dawny sposób jazdy Polaków, wychwala go jako swobodny i może nawet przecenia mówiąc: „wielkie tu nawet nastręcza się pytanie, które rozwiązać trudno, czyby się Polakom udać mogło tak świetnie swoją na świecie odegrać rolę, jeżeliby się wcześniéj wyrzekli własnych w jeździectwie pojęć i zwyczajów, a zbyt skwapliwie włoskie pochwycili paradierstwo." Włoska szkoła jazdy, która z początku nielicznych miała zwolenników, w ostatnich dopiéro czasach istnienia Polski ogólną się stała. Ze szkołą tą, do języka hippicznego, w którym z początku mało jest wyrazów oznaczają-

cych ruchy konia, wciska się mnóstwo cudzoziemskiego pochodzenia przybyszów, jak: pasady, balatady, piruety, kusbety, kontrgalopy, a nawet staropolskie wyrazy jak cwał, przecwał przez karier i wantrates zastąpione zostały. Lecz i w tym czasie jeździec polski niepoślednie w Europie zajmuje miejsce, aż póki smutne nie nastały czasy, w których wszelkiéj zaniechano jazdy, wśród których ogólne odrętwienie dla sztuki jeździeckiéj zapanowało. Dziś kiedy koń angielski strącił ze szczytu wziętości dawnych bohaterów manežu, świeżemi laurami na turfach całéj Europy zdobytemi, a z nim znowu wróciły swobodnéj jazdy pojęcia, których Polacy XVI i XVII stólecia najzawziętszymi byli obrońcami, prawnucy ich XIX wieku stają po stronie opozycyi, sprzeciwiają się powrotowi polskich w nauce jeździeckiéj zasad, „występują przeciw powrotowi jazdy prawdziwie narodowéj, zapamiętale bronią się przeciw wszelkiemu w jeździe i chowie koni postępowi... i najzbawienniejsze ulepszenia hippiczne i jeździeckie pogardliwym *anglomanii* chrzczą bezlitości przydomkiem“ (str. 222 II). Smutnie zaiste czasy teraźniejsze przedstawił autor, lecz czy zarazem niezbyt w różowém świetle na tak zwaną angielską szkołę chowu koni się zapatruje, czy owa jazda prawdziwie narodowa“ dziśby nam była tyle pomocną, ile w czasach ciągłych wojen, w których jazda główną siłę zbrojną stanowiła, wątpić należy.

Przy kupnie konia długo się o niego targowano i autor powiada: iż śmiesznem wydawało się bojnemu polskiemu szlachcicowi zacięte i uporczywe targowanie się przy kupnie czegobądź innego jak konia i mówiono „będzie się o to targował by o konia.“ Ze źrebięcia poznawano przyszły wzrost konia,, mierząc przestrzeń od podbrzusza do kolana, a od kolana do wierzchu kłęba, tyle się po nim wzrostu spodziewając, ile druga miara od piérwszéj dłuższą była.“ Kupując konia najpierw po zębach wiek jego poznawano, pierwszą parę siekaczów czyli mleczne cęgi, które koń w trzecim roku zmiata, technicznie piérwszą trawą nazywając, wtórą parę drugą trawą, a okrajki trzecią trawą i chyba tylko „darowanemu w zęby nie zazierano koniowi,“ z tém wszystkiém „sztuka fałszowania regestru była już u dawnych trybowników wysoce wykształconą,“ a podrabianie babu końskiego czyli regestru za pomocą gorącego żelaza tak jak dziś i dawniéj znano. Najlepszém targowanego konia było doświadczeniem „gdy z nim w pole ze psy na cały dzień wyruszono.... jeżeli koń do wieczora z całą wytrwał mocą i jeszcze do domu wracając tak szedł i w poskoczeniu się czuł, jakbyś go dopiero co dosiadł, to już takiego konia miano za dobrego, i jeżeli był wyprawny, to z ochotą grubo zań płacono.“ Widzimy więc tutaj łowy, miarą dobroci konia, w miejsce których dziś autor wyścigi proteguje.

Ważny jest bardzo ustęp: „Znamienite stada polskie.“ Tu autorowi zawdzięczamy pierwszą niemal historyą stad w dawnéj Polsce, począwszy od stada Bolesława Krzywoustego około roku 1133 aż do stad dni dzisiejszych. O ile krew wschodnia

w stadach dawnéj Polski przeważnie płynęła, przekonywamy się z opisu królewskiego stada Zygmunta Augusta (jeszcze na str. 90 II), o którém z uniesieniem mówi i widzi w niém autor „dowód głębokiego spraw hippicznych pojęcia, które o całe sto lat uprzedziło powstanie tych zasad, którym Anglia dziś hippiczne swoje zawdzięcza powodzenie; stado królewskie było jedyną na całym świecie w owe czasy instytucyą, któréj zadaniem był chów czystéj krwi arabskiéj, bez żadnego jéj zmieszania. Do tego stada sprowadzano najczystsze Bedewie pustyni.... Żeby stado królewskie dłużéj było potrwało na tych zasadach, jakie mu za Zygmunta Augusta czasów służyły, to jest na czystości krwi wśród najdzielniejszych wybieranéj indywiduów, mielibyśmy niezawodnie najstalszą i najdzielniejszą w świecie koni rassę... żeby choć wiek jeden przetrwały, niezawodnie wówczas wszystkie klęski, które Polskę dotknęły, nie byłyby w stanie z Polskiéj zetrzeć konia polskiego ziemi. Dziś zaś po minionych tryumfach złotéj wolności szlacheckiéj, została jakaś tradycyjna aureola sławy konia polskiego, on zaś sam przeszedł w poczet mitycznych jestestw, o których rozgłos po świecie pozostał, *lecz których postaci wcale nie widać*“ (!?). Zygmunt August miał tak lubić swe konie, że rzadko komu w darze ofiarował z Knyszyńskiego stada koni, pomimo że stado to było liczne, w 1560 r. bowiem zawierało 2000 głów a 1565 r. 3000. Jeszcze za życia Zygmunta Starego, podług świadectw kanonika Górskiego, w stajniach królewicza na Litwie było górą 3500 koni. Lecz nie tylko królowie konie hodowali, gdyż począwszy od zagrodowego do najmożniejszego szlachcica, każdy w mniejszym lub większym stopniu zajmował się ich hodowlą. O dzisiaj istniejących stadach także autor wspomina, lecz szkoda, iż wielu stad tylko właścicieli nazwiska podaje, nie wymieniając miejscowości, gdzie mieszkają i kierunku w jakim stado swe chowają. Przeszłość wybitniejszych stad jak: Kurdwanowskich, Sanguszków, Branickich, Grocholskich, Poniatowskich, również początki ich powstania i stan ich obecny opisany przez autora dokładnie. Szczególnie zachwalone są stada książąt Sanguszków w Zasławiu i Sławucie, gdzie czysta krew wschodnia przeważa, i Branickich w Białocerkwi na Ukrainie, gdzie w ostatnich czasach wschodnią krew z angielską mieszają.

W ustępie o nowoczesnych dążnościach w hodowli u nas koni, autor podnosi ważność wyścigów, zachwala stado rządowe koni w Janowie, jego zasady i pod niebiosa wynosi zalety krwi angielskiéj. I tak mówi o zasadach angielskich u nas: „nowa nauka przebija w Polsce z trudnością, ciążąc nad krajem ciemności przesądów i apatyi. Są już jednak między nami tacy, którzy oddali pokłon nowego światła jutrzence. Miejmy nadzieję, że pomimo przeszkód, wszyscy niebawem przekonać się u nas dadzą o konieczności reformy w zasadach chowu i bez wstrętu przejmą się zasadami, które przez najświetlejsze narody uznanemi zostały za konieczne.“ Czy jednak z tego zachwalonego przez

autora naśladownictwa Anglii, rzeczywistą korzyść kraj nasz odnosi, wątpić mi należy; czy ów koń, którego dzisiejszym sportsmanom się zachciewa, rzeczywiście zastąpi nam konia do potrzeb naszych tak rozmaitych odpowiedniego, trudno jest przypuszczać. Co zaś do zasad w stadzie Janowskiém praktykowanych, to właśnie od kilku lat (mniéj więcéj od 1867 r.) nie są takiemi, jakiemi je mieć chce autor. Od kilku już lat nie sprowadzono ani jednego angielskiego reproduktora, ani jednego téż konia ze stada Janowskiego nie widziano na żadnym turfie. Pochwały więc te jeżeli się stadu należą, to chyba za przeszłą jego działalność, za czas, kiedy rzeczywiście Janowskiego stada ogiery na turfie warszawskim puhary odbierały.

W dalszym ciągu historyi polskiego konia autor zestawia statystyczne cyfry, z których się dowiadujemy, że Polska za czasów Zygmunta III posiadała około czterech milionów koni, czyli po jednym koniu na pięciu mieszkańców, w roku zaś 1863 rachowano wprawdzie tylko na obszarze królestwa Polskiego kongresowego koni 612,530 czyli po jednym koniu na ośmiu mieszkańców. Jakaż ogromna różnica! Daléj autor wskazuje miejsca głównego ruchu handlowego końmi w dawnéj Polsce, mówi o cenach na takowe, opowiada o koniuszych, masztalerzach na dworach polskich panów; przytacza rozmaite zwyczaje jak np. udarowywania się końmi nawzajem przez panów; opisuje nam konia uczestnikiem w rozmaitych uroczystościach i obrzędach, poselstw, łowów, wojen i t. p. a część ta dla każdego Polaka jest tak interesującą i ważną, tak pouczającą o duchu narodu, o jego świetnéj przeszłości i znamienitém rycerstwie, iż jedynym w tym rodzaju jest utworem. Rycerz polski w koniu znajdował swoje uzupełnienie, bez konia znika wszelkie o nim pojęcie. Mówiąc więc o koniu autor, musiał historyę naszego narodu opisywać, jego sposób wojowania i t. p. Z położenia geograficznego naszego kraju, wypadało mieszkańcom jego niemal bez przerwy odpierać od Wschodu i Południa konnych najezdzców; przez co i naród z potrzeby przyrósł do konia, a trudy wojenne i harce bojowe były próbą siły i rączości polskich koni. Wojna zastępowała wyścigi, a zarazem była szkołą tak dla jeźdzca jak dla konia. Gdybyśmy mieli historyą naszego narodu w taki sposób opisaną, w jaki mamy historyą naszego konia w téj części podaną, byłaby ona drugiém w tym rodzaju dziełem. Na téj zasłużonéj pochwale zakończymy historyę polskiego konia, a przejdziemy do tomu III dzieła.

Tom ten jest najkrótszym ze wszystkich i obejmuje głównie historyą konia w cesarstwie Rossyjskiém, poprzedzoną ustępem o koniu angielskim nowszych czasów, o hippicznych dzisiejszéj Anglii zwyczajach, a ustęp ten jest jasno, pouczająco i zwięźle napisany. Daléj zasługuje na uwagę bardzo pięknie napisany rozdział, traktujący o stanie hippicznym dzisiejszéj Francyi.

Rozdział ten hr. Czapski następującemi rozpoczyna słowy: „Francya utrzymuje się prawie ciągle w piérwszym rzędzie państw stałego lądu Europy, chwilowo tylko tracąc przewagę. Wróżbitą jéj katastrof był

upadek koniarskiego przemysłu...“ Jak wielką więc wagę przypisuje autor do konia, z powyższego ustępu łatwo zrozumieć. Daléj historyę konia we Francyi autor mniéj więcéj tak opisuje. „Z końcem panowania Ludwika XIV zaczyna się widoczne słabnięcie hippicznego Francyi znaczenia. Szlachcic wydziedziczony z praw dawniéj mu służących opuścił rolę, idąc z konieczności w służbę dworu, a z nim razem konie opuściły dawne marmurowe stajnie, przechodząc powoli w posiadanie zagrodników. Nędza strawiła zapasy żywności, ciemnota zaczęła kierować krzyżowaniem ras.“ Ostatni cios jednakże zadała koniowi we Francyi wszechwładna moda. „Poszukiwano koni garbonosych (busqués), koni téj lub owéj maści, koni z pewnémi odmianami, a nadewszystko takich które się odznaczały spasłością i tłuszczem“ (30 str. III). Szczególnie za Ludwika Filipa koń taki okrągły i lśniący od sadła, bez energii i ruczości, byle wolny od zewnętrznych, od widocznych przywar, był ideałem wśród mieszczańskiéj Francyi. Kraj więc ten, który dawniéj dostarczał koni nie tylko na własne potrzeby, lecz nawet do manežów Hiszpanii, Włoch, Anglii etc. od 1700 r. ciągle musiał się ratować sprowadzaniem z zagranicy koni.

Długo stan taki trwał we Francyi z małemi odmianami. System jazdy manežowéj degenerował rassy francuzkie, pomimo iż Napoleon I przywróceniem świetnego dworu i staraniami szczególnie około podniesienia handlu i przemysłu, nie mało się przyczynił do podniesienia hodowli koni w kraju, tak iż pomimo ciągłych wojen i z nich wypływających rekwizycyi, jakie za tego monarchy miały miejsce, przemysł koński niezgorsze jeszcze przedstawiał w tych czasach szanse. „Napoleon sam jeździł na koniach francuzkich lub wschodnich, a wojsko znało również dobrze białego bojowego konia cesarza, jak jego kapotę szaraczkową, jaśniejącą zawsze w obłokach dymu po stronie zwycięztwa.“ Za restauracyi, która różczkę oliwną pokoju przyniosła, znów wolność handlu przeszkadzała hippicznemu rozwojowi Francyi. Anglia, Niemcy zalewały Francyą swojemi końmi, a Francuzi z zaślepieniem rzucili się na konie tych krajów. Protegowano wyścigi, upadły manežе, a spodziewano się, że wyścigi same zaradzą złemu. Sądzono, że ponieważ Anglia nie ma manežów, to i Francya bez nich obejść się może. Sztuka jazdy konnéj zupełnie upadła. Jakby na odwrócenie złych skutków z tych klęsk, nauka teoretyczna konia wyrabiać poczęła we Francyi zdrowsze o koniu, jego kształcie i chowie pojęcia. Usiłowania administracyi stad, a mianowicie pana Dillmer, dawniéj oficera kawaleryi i znamienitego autora, w 1833 r. inspektora generalnego stad, a późniéj zaś dyrektora stad i rolnictwa, silnie wpłynęły na ożywienie ruchu w tym przedmiocie. W skutek tego wychowańce stad stanęły na hippodromie, a piérwsze ich ukazanie się uwieńczone było palmą zwycięztwa. W tymże roku amatorowie i hodowcy koni założyli w Paryżu towarzystwo zachęty ulepszania rass, znane pod nazwiskiem Jockey-Klubu. Od tego czasu z każdym rokiem wyścigi coraz bardziéj się upowszechniają, a do biegów kłusowych łączą się wszędzie kursa wielkiéj ruczości. Rok 1848 wstrząsł

znowu przemysłem końskim we Francyi, lecz mądre rozporządzenia Napoleona III znowu pomyślną erę dla hippiki francuzkiéj wróżyć zaczęły.

Autor rodzinę koni francuzkich dzieli na dwa wielkie plemiona: *północne* czyli armorykańskie o masywnych kształtach i atletycznych ruchach, i *południowe* „o łbie szerokim, o obszernych nozdrzach, ogniem zionących, o arystokratyczném kopycie, ojedwabistym włosie i ściągniętéj nodze. Piérwsze w okolicach wilgotnych nad brzegami morza, to jest w Pikardyi, Caux, Normandyi północnéj, Bretanii etc.; drugie na równinach Tarbes i Limoussin. Piérwsze najczęściéj kare, drugie siwe. Dwa te plemiona autor dzieli na poddziały, np. koń ardeński, bretoński, limuzyński, nawarski. korsykański etc.

Kończy rozdział ten statystycznemi cyframi odnoszącemi się do spraw hippicznych Francyi w dzisiejszych czasach.

Hippika cesarstwa Rossyjskiego resztę tego tomu zajmuje, a przyznać trzeba, iż urozmaiconą jest bardzo i zarazem uczy i pobudza do myślenia. Po zrzuceniu tatarskiego jarzma pod koniec XV stólecia, kniażestwo moskiewskie powoli zaczyna u siebie urządzać niektóre odnogi gospodarstwa krajowego, a między niemi także hodowlę koni. Za Iwana III powstało Choroszowskie stado rządowe koni pod Moskwą a za niém i bojarowie i monastery urządzali lub ulepszali swoje.

„Monastery i biskupi, których stada od mongolskiego ocalały zniszczenia, wpływając teraz duchowo na wielkich kniaziów sumienia i czyny, mogli się oddawać bezpieczniéj, niż pod strażą chańskiego jarłyku korzystnemu przemysłowi hodowli koni. Oswobodzenie klasztornego mienia od wszelkich podatków i udzielenie monasterom nowych posiadłości, przyczyniło się niepomiernie do rozwoju w nich hippicznego przemysłu. Hodowla koni prawem i wpływem duchowieństwa zabezpieczona, lepszą była w majątkach klasztornych, niżeli w pomiestiach bojarstwa..... Za Jana Groźnego i syna jego Teodora istniały już całe wioski zwane *koniuszennyja slobody*, które Merder za końskie uważa zawody“ (str. 61, III).

Długo jednak jeszcze przemysł hippiczny i hodowla koni przeważnie w rękach Tatarów pozostawały. Co rok z hord tatarskich kupcy przypędzali do Moskwy, Tweru, Rostowa tabuny po 30,000—50,000 głów końskich liczące, z których do 8,000 wybierano do stajen wielkiego kniazia, a reszta sprzedawała się prywatnym osobom w cenie od 5—15 rs. za sztukę. Autor to mnóstwo koni, jakie na „niezmierzonych obszarach między Araxem i Oceanem północnym, między Dnieprem i Amurem“ się znajduje, na dwie główne rassy dzieli.

Jednę, która wschodnią i południową część Rossyi zamieszkuje, nazywa tatarską, drugą na północy będącą, fińską. Obiedwie rozpadają się na wielką liczbę rodzin, a zbękarciałe te w środkowych, ludnych i rolniczych częściach Rossyi zamieszkałe rodziny tych obydwóch rass, tworzą *konia włościańskiego;* rozmaite zaś rassy świata

pokrzyżowane i pomięszane w dobrach i stadach szlacheckich wytworzyły *konia zawodzkiego*.

Rassę koni tatarskich dzieli autor na 11 następujących szczepów: 1) na południu karabachski i 2) czerkieski, na wschód-północ od Kaukazu 3) kaukazki, 4) baszkirski, 5) kirgizki, 6) ałtajski, 7) sybirski, nareszcie w zachodnio-północnéj stronie od tego gór łańcucha 8) krymski, 9) duński, 10) małorossyjski i 11) ukraiński.

Fińska rassa podług autora dzieli się na 6 szczepów: 1) finlandzki, 2) estońsko-finlandzki, 3) żmudzki, 4) niezeński, 5) wiatski i 6) obroiński.

Włościańskie konie Rossyi są to mniej więcéj zdegenerowane okazy jednego z powyższych szczepów; jeden tu wyjątek stanowi Bitiuk, który do zdegenerowanych koni liczyć się żadną miarą nie może.

Zawodzkie konie, które jakeśmy wyżéj powiedzieli, są zlewkiem wszystkich rass świata, raz więcéj, drugi mniéj są ustalone, a ztąd i nazwiska ich nie mogą być stałe, od pochodzenia zależne, lecz od celu dla którego się hodują. Ztąd też mamy konie wierzchowe i uprzężne, a wśród nich konie orłowskie jedyny stanowią wyjątek; gdyż rzeczywiście zupełnie ustalone dwie rassy stanowią, z których jedna jest rassą wierzchowców, a druga zaprzęgowych rysaków.

Prześliczne są ustępy o karabachskim i czerkieskim koniu, a tém godniejsze polecenia, że my mając tak łatwą sposobność ich nabycia, w porównaniu z innemi w Europie ludami, małośmy dotąd na konie te uwagi zwracali. Ustępy o innych koniach mniejszą już dla nas mają wartość, choć z taką samą dokładnością i precyzyą oddał je autor, jak poprzednie. Szczególnie godzien uwagi ustęp o zawodzkim koniu.

W stadach zamożnéj i oświeconéj szlachty rossyjskiéj już oddawna poprawiano kształty i wzrost produktów przez staranną hodowlę, któréj zasady powoli z zachodu po Rossyi się rozchodziły. Lecz silniejszy ruch w tym kierunku rozpoczął się w ostatnich dziesiątkach ubiegłego stólecia, dając początek nowéj dobie w chowie koni w Rossyi. Aleksy hr. Orłow Czesmeński największą w tym względzie położył zasługę. Jego przykład podniecił innych do naśladownictwa. Brat Aleksego hr. Jan umierając zostawił stado, w którém krew rysaków i wierzchowców Orłowskich płynęła, a które rozprzedane pomiędzy szlachtę, przyczyniło się do rozpowszechnienia tych przednich produktów doborowego chowu po całém Cesarstwie. Głównie z ostatniéj okoliczności skorzystała Symbirska gubernia, w któréj licytacya miała miejsce, a mianowicie sioło Wozniesienskoje, w Stawropolskim powiecie.

Aleksy hr. Orłow Czesmeński wielki miłośnik i genialny hodowca koni, późniejszy twórca Chrenowskiego stada w Woroneżskiéj gubernii, posiadał stare rodzinne stado w wiosce Ostrowie pod Moskwą. O stadzie tém mało mamy wiadomości, niepodobna jednak wątpić, aby znamienity hodowca jakim późniéj okazał się hr. Aleksy nie miał posiadać w Ostrowskiém stadzie wybornych koni. Hrabia bogaty, na-

miętny miłośnik i wielki znawca posiadał więc przymioty, jakich potrzeba było człowiekowi mającemu zająć w historyi konia w Rossyi to zaszczytne miejsce, jakie w Anglii Bakewel, Colling i pierwsi hodowcy follblutów zajęli. On więc nabytkiem do stada swojego 12 ogierów i 9 klaczy arabskich nową epokę nietylko w Ostrowie, ale i w całéj Rossyi dla hodowli koni stanowi. Z 12 arabskich ogierów dwa się szczególnie odznaczały wdzięcznemi kształtami i szczególną siłą przelewania własności swych na potomstwo: „Sułtan i Śmietanka„ Piérwszy stał się głową rodu orłowskich wierzchowców, drugi protoplastą sławnych orłowskich rysaków, rassy, którą Rossya szczycić się ma prawo. Téj to rassy ojciec Śmietanka zapłacony w Morei 60,000 rub. asygn. rok tylko służył jako rozpłodnik i zostawił po sobie oprócz jednéj klaczy 4-ch ogierów, z których dwa dla stada pożytku nie przyniosły, gdyż „Lubimyi" dzieci nie miała „Bowka" sprzedany do Anglii; dwa pozostałe Felkersam i Pałkan, obydwa siwe, piérwszy z angielskiéj, drugi z duńskiéj klaczy pochodzące, liczne zostawili potomstwo. Pałkan mianowicie spłodził z burą holenderską klaczą sławnego wzrostem, lecz i proporcyonalnością budowy a przytém silnego i lekkiego ogiera, którego „Sieryj Bars" nazwano. Bars odznaczał się doskonałym ryścem a przez 17 lat służąc jako rozpłodnik, pokrywając blizko spokrewnione z sobą klacze, śmiało za rzeczywistego protoplastę orłowskich rysaków uchodzić może. Przyczyn doskonałości tych koni, mówi autor, nie tyle szukać należy „w tajemnicach krzyżowania, ile w doskonałości dresury i w bezwyjątkowém jéj udzielaniu wszystkim matkom rodu." Przeciwnie zdaniu autora twierdzi p. S. Schwarznecker [1]), królewski pruski inspektor stada koni w Wiekratha, ja temu ostatniemu przyznać muszę słuszność. Po śmierci hr. Orłowa zarządzał Szyszkin tém stadem i sprowadził doń kilka holenderskich klaczy, dla swojego jednak stada, które założył, umiał dobre wybrać matki z czystéj rysackiéj rassy.

Od 1802 r. powstaje stado koni wierzchowych hr. Roztopczyna. Cztery oryginalne araby stają się ojcami rodu. Obadwa stada rywalizują o lepsze, obadwa uderzają zasłużoném powodzeniem, obadwa téż rozbudzają ogólne zajęcie się chowem konia, a w 1845 r. obadwa przechodzą na własność rządu. Od téj chwili jak grzyby po deszczu pojawiają się coraz to nowe stada rysaków. Dziś ośmdziesiąt stad hoduje same rysaki orłowskie, a sześćdziesiąt same wierzchowce orłowskie. Rozbudzone życie w hodowli koni najwięcéj uderza w guberniach: Woroneżskiéj, Tambowskiéj, Symbirskiéj i Samarskiéj. Czystą krew angielską wylicza autor w sześciu stadach. Napływ koni angielskich do Rossyi, od końca ubiegłego stólecia dwa razy jest liczniejszym niż w całéj Europie. Sprowadzono w ciągu tego czasu najsławniejsze konie angielskie, płacono za nie bajońskie summy. Zwycięzców Derby sześciu, Saint-Leger czterech dostało się do Rossyi a za Burbona samego zapłacono 155,000 rsr.

---

[1]) Patrz: Die Pferdesmeht von C. F. Müller und S. Schwarznecker. Berlin 1874, str. 53, II.

Pomimo tych kolosalnych wysiłków Bazylego hr. Zawodowskiego, księcia Repnina, hr. Gudowicza, Szeremietiewa i wielu, wielu innych, małe mają powodzenie konie angielskie w Rossyi. „Jeżeli się jednak weźmie w uwagę ilość koni angielskich czystéj krwi weszłych do Rossyi, i jeżeli tu sobie przypomnieć ich doskonałość piérwszego rzędu, to dziwić się należy, jak mało te konie zostawiły po sobie śladów i jak czasami najsłynniejsze Anglii ogiery na szerokiéj ruskiéj ziemi, żadnego powodzenia jako stadniki nie miały. Znamienity Burbon, syn Sorsera, sława i ozdoba Wielkiéj Brytanii, zdobywca w Newmarket i w Eshot..... ten tylekroć sławiony Burbon, nic osobliwego nie sprodukował w Rossyi. Były po nim dwa nieszszęśliwe ciekuny *Alktona* i *młody Burbon*, które zawsze dystansowano.... (str. 229, III).

Zkądżeż to pochodzi, że konie angielskie w téjże saméj Rossyi zawód spotyka, gdzie orłowskie tak szczęśliwą idą ręką? Zkąd? pyta autor i sam na pytanie odpowiedzieć nie umié. Utrzymuje, „że ich od dzieciństwa na atletów nie kierowano." Że powodem do tego „brak wychowania rozwijającego i potęgującego siły matek..... Zaniedbana przez kilka pokoleń edukacya zagrzebywała w Rossyi nabyte za morzem czystéj krwi przymioty" (str. 230, III). Lecz dlaczegoż tu zaniedbanie, tam staranność? Oto dlatego, że angielski koń nie odpowiada potrzebom miejscowym, kiedy orłowski jest wynikiem gienialnego umysłu rossyjskiego hodowcy, który znał dobrze kraj i naród, jego zwyczaje, zamiłowanie i potrzeby. Koń orłowski jest w Rossyi stworzony i dla niéj przeznaczony, którego cel chowu każdy krajowiec zrozumie, angielski zaś cackiem zbytkownem, dobrém na krótki czas do zabawy a niepraktycznem do użytku w Rossyi.

Autor zapalony sportsman, broni sławy angielskiego konia, gdzie tylko może, proteguje go więcéj, niżeliby to czystéj krwi syn Albionu czynił. Nie dziw więc, że i tutaj brak wyścigów za przyczynę niepowodzenia się koniom angielskim w Rossyi uznaje. A przyzna mi każdy, iż szanowny autor błądzi w tém bezwzględném w ciągu całego dzieła zalecaniu wyścigów, bez których nigdzie powodzenia nie widzi, gdyż jak już wyżéj powiedzieliśmy, wyścigi w Anglii muszą miéć inne, niż u nas znaczenie. Sprowadziwszy nawet najlepszego angielskiego wyścigowca, nie sprowadzimy z nim razem do kraju potrzeb angielskich, angielskich stosunków, a bez tych czyż wyścigi mogą miéć toż samo znaczenie u nas, co w Anglii? Nie przeczę, iż uczyć się od anglików zasad hodowli powinniśmy, od nich tę praktyczność i zamiłowanie pracy, tę wytrwałość w osiąganiu raz wytkniętego celu w hodowli weźmy, lecz zawsze pamiętajmy że u nas hodowla inne zupełnie ma cele, niż w Anglii.

Kończę ten przegląd dzieła, które chlubę naszéj literaturze przynosi, kończę niestety z sercem żalem przepełnionem, gdyż w téj właśnie chwili dowiaduję się o śmierci szanownego autora. Rozpoczynając te kilka słów miałem nadzieję, że dojdą one do wiadomości jego, że może na nie odpowiedzieć zechce, przez coby nas znów pewno

nie jednego nauczył, jak uczył i objaśniał w każdéj swéj pracy, którą czytać miałem sposobność. Dziś może kto inny miejsce jego zastąpi.

Przy téj sposobności niech wolno mi będzie prócz zalet dzieła podnieść i wartość jego wydawniczą, wydanie bowiem tak ozdobne i staranne zasługuje również na uznanie; szkoda tylko że szanowny wydawca tak długo czekać każe na niezbędny do dzieła atlas. Słyszeliśmy wszakże, iż ten w nie długim czasie w handlu księgarskim się okaże, a wydanie jego niemniéj ma być ozdobne, jak i samo dzieło.

Dr. Zygmunt Rościszewski

z Żabikowa.

Ajas. Tragedya Sofoklesa, przekład Z. Węclewskiego. Poznań, 1875.

Nie bez znaczenia jest, objawiający się w poezyi od lat kilkunastu zwrot ku starożytności rzymskiéj, a przedewszystkiém greckiéj.

Zwrot ten dostrzegliśmy w literaturze niemieckiéj, angielskiéj a obecnie i w literaturze naszéj. Wielostronną i prawdziwie mozolną pracę, jakiéj wymagają studya klassyczne, śmiało uważaćby można za marnotrawstwo umysłowe, gdyby z niéj miał urodzić się „ridiculus mus“ t. j. wracający po raz czwarty: farbowany klassycyzm. Ale zdaniem naszém tak nie jest. Poeci nasi nie po to sięgają w ów świat skrystalizowany, aby wyprótemi z niego nitkami zabarwiać typy nowoczesne, jak to było w zwyczaju w wiekach humanizmu, za Ludwika XIV, lub w XVIII stóleciu.

Bynajmniéj:... w obecném skierowaniu pewnéj części sił artystycznych ku starożytności, zadaniem jest: odszukanie w niéj pierwiastku *dzisiejszego.*

Tym zaś pierwiastkiem jest wygłaszane obecnie i popierane niekłamanie stanowisko powszechnie ludzkie, prawda, piękność i dobro, w takim duchu kształtujące się i pielęgnowane. Dumna wyłączność Greków, zaprzeczanie wszystkiego dokoła po za sobą, streszczone fatalnie w wyrazie „barbarzyńca,“ te wadliwe znamiona, rzadko kiedy kaziły ich filozofią, a jeszcze rzadziéj ich sztukę. W sztuce i filozofii spotykamy się tam z *człowiekiem* — normą. Rzymianie mniéj teoretyczni w myśleniu, mniéj twórczy w sztuce, ideję *człowieka* przeprowadzali w dziedzinie praktycznéj, wypracowali obywatelskość.

Oto jest główna treść, któréj poszukują współcześni poeci i dodajmy: poszukiwać powinni, w świecie klassycznym. Im wydatniéj w ich obrazach, z pod wyjątkowych form, przesądów i dziwactw starożytności wydzieli się postać *człowieka*, tém godniéj wywiążą się z zadania, tém wymowniéj usprawiedliwią swój kierunek, mający pozory wsteczności. Będzie tu w swoim rodzaju *oddziałanie* na starożytność, za tylokrotne jéj wpływy na cywilizacyą i sztukę ludów nowożytnych.

W ścisłym stosunku z dziełami utworzonemi na tle ducha starożytności, zostają przekłady jéj pomników piśmienniczych. Po Homerze, który zdumiewa ogromem planu i obrazowaniem powszechnie ludzkiego typu Grecyi, Sofokles jest bez wątpienia wielkością pierwszego rzędu. W jego trajedyach bohaterowie, nawpół już otrząśnięci z mitu, *w działaniach i słowach* przeprowadzają to, co duch helleński miał w sobie normalnie ludzkiego. Sofokles w tém rozumieniu jest może najważniejszą postacią. Przekłady Sofoklesa, dokonane wzorowo przez współczesnych nam mistrzów słowa, pomnożone zostały pracą p. Z. Węclewskiego.

Zasługi literackie p. Węclewskiego znanemi są powszechnie. Należy on do rzędu pracowników, obeznanych wszechstronnie z duchem i formą literatury starożytnéj.

We wstępie tłumacz podaje mit zasadniczy o Ajaksie, o jego rozpaczy, z powodu, że nie otrzymał zbroi po Achillesie, o szaleństwie i czynach, które spełnione w szaleństwie w obec Greków i we własnych oczach okryły go zniewagą, o samobójstwie Ajaksa. Daléj tłumacz przedstawia rozkład i rozwinięcie przedmiotu, jest to wstęp zapoznawający z zewnętrznym układem dramatu greckiego. W końcu mamy ogólny przegląd charakterów: Ajaksa, Odyseusza, Tekmesy.

Szczegółowe objaśnienia do dramatu (od str. 69—84) są również pouczającemi. Żałujemy szczerze, iż p. W. w objaśnieniach, lub na wstępie pominął najżywotniejszy nerw dramatu greckiego: fatum, że go zastąpił wskazaniem mechanicznéj interwencyi bogini Aleny. I jeżeli kiedyś p. W. pomyśli o dalszych pracach w tym kierunku, albo wreszcie o nowém wydaniu Ajasa, zamawiamy sobie to dopełnienie. Podług naszego zdania, będzie to nawet więcéj, jak liczebny przyczynek. Filozoficzne uzasadnienie pojęcia „Fatum„ jest prawdziwym kluczem tajemnicy, ile razy idzie o zetknięcie się człowieka starożytnego, jako jednostki, z objektywném jéj otoczeniem.

Więc też równocześnie z upadkiem tego pojęcia, wpływ bogów na rzeczy ludzkie wygląda jako śmieszna intryga koteryi olimpijskich, nie zaś (jak było pierwotnie), jako poważne, religijnością popierane, przekonanie, o zawisłości wszelkiéj jednostki, (nie wyłączając i bogów) od jakiéjś niepojętéj, bezwzględnéj, a nieosobistéj wszechwładzy. Kiedy pierwotny panteizm, w najrozmaitszych odcieniach, począł się stopniowo rozwiązywać na religią osobową, kiedy, mówiąc słowami Herodota, zaczęto bogom rozdawać imiona; wtedy, jako ostatnia pamiątka po panteizmie, pozostało jeszcze fatum. Innym sposobem niepodobna sobie wytłumaczyć sprężyny tak sztywnéj, i tak oderwanéj w zakresie ducha greckiego, który jest nawskroś konkretnym, pogodnym i przezroczym.

Co do wierności, przekład p. W. służyć może za wzór i zastąpić sam pierwotwór pod względem filologicznym. Nie powiemy, aby ta ścisłość archeologa nie krępowała w wielu razach ręki artysty; ale przyznać potrzeba, że trudność leży tu w saméj naturze języka i skła-

dni greckiéj; gdzie w inny zupełnie sposób dusza mowy zrośniętą jest z ciałem, aniżeli w językach nowożytnych. W naszym języku, jeżeli przekład poety greckiego ma być artystycznie prawdziwym, należy sięgać nie po pierwiastek wyrazu, lecz po pierwiastek myśli pierwotworu.

Uganiając się za wyrazową tożsamością, mieszamy mnóstwo cząstek i foremek greckich, których organicznéj potrzeby nasz język nie uznaje. I tak w najpierwszéj scenie, Atena mówi do Odysseusa, który jeszcze w Iljadzie dał się poznać z chytrości, przypominającéj spryt myśliwca dybiącego na zwierzę."

„Zawsze Laerta synu, widzę cię, jak wrogów praktyką jaką chytrą myślisz upolować." Wyraz „jaką" jest poprostu mechanicznem zastąpieniem gr. *tis*, które tu odnieść możemy do grupy przedimkowéj. Nasz język przecież nie jest przedimkowym. Romańskie np. albo germańskie: *jeden* może i da się usprawiedliwić naturą języka tych plemion; ale u nas ono niepotrzebnym współczynnikiem wyrazu.

„Praktyką upolować" przypomina tu greckie *peiran harpasai*, ale przypomina ją tylko wyrazowo, nie pojęciowo. „Praktyka, wyraz na poezyą zanadto oderwany, dałby się zastąpić pierwszym lepszym dźwiękiem z terminologii łowczéj, tak bogatéj w naszym języku.

Przeciwnie, gdzie tłumacz wpatrywał się raczéj w rdzeń myśli, niż w krój wyrazowy, tam czujemy Sofoklesa, przemawiającego dźwiękami polskiemi.

I tak (w. 51), Atena mówi do ulubionego Odysseusa, że zesłała obłęd na Ajasa:

„Ja snując przed oczyma obrazy kłamliwe, ujęłam w kręgi żądzę okrutną." Wyrażenie energiczne i *pojęciowo ścisłe*. I dobrze się stało, że tłumacz wyminął grecki pierwiastek *ballo* (rzucam na oczy), bo „snucie kłamliwych obrazów" przed oczyma szalonego, dobitnie maluje wyobrażenie starożytnych, podług których bogowie, dla wprowadzenia człowieka w stan szaleństwa rozsnuwali obłok przed oczyma ofiary, skazanéj na obłęd, tak aby świat przedstawiał im się w świetle fałszywém [1]).

Wiersz w przekładzie p. W. w wielu miejscach płynie gładko, działy liryczne oddane są rymem wcale udatnym. Tak np. od wiersza 382—393 w antystrofie 2-éj, rzewnie wynurza się ze swoich boleści w obec otaczającéj natury. Jest to niejako preludyum „pożegnalnego monologu" Dziewicy Orleańskiéj:

„Gaju! i groty nadbrzeżne i strugi,
Szumiących morza fal—długi, ach długi
Czas mię na niwach Ilionu więzicie;
Lecz wkrótce, wkrótce wyzionę już życie...

[1]) G. Wolff Sophocl. Ajas, komentarz do wiersza 51.

Musimy jednak wytknąć szanownemu tłumaczowi przesadzoną przekładnią, wyszłą już dziś z użycia, jako niewłaściwą naszéj składni. Usterki podobne dość często napotykamy; i tak:

1321. Grób, wygrzebcie wy żwawo, głęboki!
1330. Więc ktokolwiek z przytomnych *się chlubi* być druchem
Ajasowym, niech kwapi się duchem;
Niechaj czyniąc posługi dzielnemu się trudzi,
Najlepszemu, dopóki żył, z *ludzi*.

300. Tekmesa, opisując upadek ducha w Ajasie, mówi do przewodnika chóru:

Tak nigdy nie słyszałam, ile zapamiętam,
Dawniéj *go* płaczącego, bo mawiał, że ducha
Słabego człekli szlocha tak, lub niedołęga."

Szczególniéj zaimki słabszéj formy szczerbią rytmiczność, że już zamilczę o czysto gramatycznéj niewłaściwości ich użycia.
Tak w wierszu 6—10, Atena mówi o Ajasie:

.....Snać o to ci chodzi,
Aby wiedzieć, czy wyszedł, czy też jest w namiocie.
Węch dobry, by psa z Sparty, *wiedz*, *prowadzi ciebie*
Do celu, bo wszedł właśnie mąż, a pot mu z czoła
Się leje....

Język tłumacza jest w ogóle jędrny, zwroty to dosadne, to rzewne, to lotne, to poważne, stosownie do tonu sytuacyi, pokazują że pan Węclewski wczuł się i wmyślał w autora. Na pewne jednak wyrazy i formy nie pisalibyśmy się, zwłaszcza w poezyi. Tak np. pan Węclewski naśladuje szerzącą się u nas, nie wiadomo na jakiéj zasadzie modę używania osobowéj formy w drugim przypadku liczby mnogiéj imion zwierzęcych:

w 278. ...Prowadząc spętane pospołu,
Buhaje, *psów*, pasterzy i wełniste łupy?

Nie zgadzamy się na wyrazy: „włodarz, szatry, kawąć (kapać), użyte przez tłumacza tam, gdzie daną myślą usprawiedliwić nie można wprowadzenia archaizmu, bo archaizm jest postacią stylową, więc bez wydalnéj potrzeby posługiwać się nim nie wypada.

Teraz, dla wykazania zalet przekładu przytaczamy z niego dwa ustępy, dołączając obok dla porównania tłumaczenie dosłowne.

Epejzodion drugie.

Ajas. Niestety! któżby kiedyś pomyślał, że imię to (Ajas) tak przypadnie do klęsk moich! a wszakże dziś przystoi mi dwakroć i trzykroć odezwać się krzykiem: aj! Takimto ja nieszczęściom uległem.
Ja, którego ojciec, niegdyś zdobywszy sobie najpiękniejszą pal-

mę wojownika, wrócił do domu, unosząc z sobą wszechsławę, ja więc syn owego (męża), który zszedłszy na tę ziemię trojańską, nie mniejsze spełniłem czyny obrończą prawicą: ja ginę tak zniesławiony w obliczu Argiwów.

Acz, zda mi się, wyrozumiałem, że gdyby żył Achilles i wyrokował o przyznaniu komukolwiek téj zbroi za dzielność, nie ująłby jéj nikt inny, prócz mnie samego...

Otóż dziś Achiwowie oddali zbroję człowiekowi nikczemnego ducha....

Tekmesa odwodzi Ajaksa od zamysłu samobójstwa.

Ajaksie, władzco mój, niema większego nieszczęścia dla ludzi nad dolę służebniczą. Jam się urodziła z ojca swobodnego, podobno najbogatszego z Frygijczyków, a teraz niewolnicą jestem, tak się bowiem bogom podobało—i przedewszystkiém z twojéj ręki. Ponieważ podzieliłam z tobą łoże, więc jesteś mi na sercu. Błagam cię przeto na Zeusa, ochrońcę ogniska domowego, nie spraw, abym poszła na złośliwe języki twoich wrogów.

Tak piérwszy jak i drugi ustęp poszedł tłumaczowi wcale udatnie.

Ajas. Aj! i któż mógłby przewidywać kiedy,
Że tak stosowne będzie do mojéj niedoli,
Imię moje? Bo teraz dwa i trzykroć trzeba
Mi jęczyć: „Aj“ tak wielka biéda mię obsiada.
Ot ja, którego rodzic ztąd, z idajskiéj ziemi,
Zaszczycony za męztwo palmą najszczytniejszą,
Do domu wrócił, sławą ze wszechmiar okryty;
Ja syn owego, com się do Troi wyprawił...
Przez lud Argeów ginę tak, ze czci wyzuty...

Tekmesa. Ajasie, panie! niema nad jarzmo niewoli,
Nieszczęścia, coby większy ból sprawiało ludziom;
Otóż córka wolnego męża z urodzenia,
Który przechodził wszystkich Frygów zamożnością,
W niewoli teraz jestem.....
....To téż zaklinam ciebie na Zeusa ognisko,
Na łoże twoje, które złączyło mię z tobą,
Nie dozwól, abym poszła na języki ostre
Wrogów twoich.

Szczególniéj pięknie oddana jest rozpaczliwa troska Tekmesy, kiedy stawia siebie w grożącém położeniu wdowieństwa i niewoli. Miejsce to, w zupełności przypominające głos Andromachy do Hektora, w chwili gdy go żegnała na śmierć niepochybną, tłumacz zrozumiał, uczuł i wypowiedział prawdziwie mową Sofoklesa:

Nie jeden z przyszłych moich panów odezwie z przekąsem:
Przypatrzcie się wdowie
Po Ajasie, co w wojsku celował dzielnością,

Jakie szczęście, na jaką niedolę zamienia!
....Miejże wzgląd na ojca,
Nie opuszczaj samego w starości zgrzybiałéj;
Miéj wzgląd na matkę: tylu lat już uczestnica,
Częstokroć bogów błaga, abyś zdrów powrócił.
Ty miasto (moje) ojczyste zburzyłeś,
Matkę, ojca, zabrały mi inne wyroki....
Jakaż mi więc prócz ciebie zostaje ojczyzna.

Streszczając się ogólnie: przekład Ajasa uważamy za pracę, która pomimo pewnych usterek w kroju zewnętrznym, i przewagi jaką ma w niéj naukowość nad sztuką, może zapewnić czytelnikom pożytek a pracownikowi szczere z ich strony uznanie. *F. J.*

Pieśni Ossyana, przekład nowy z angielskiego. W Krakowie. Drukiem Fr. Ksaw. Pobudkiewicza. 1875, (w 12, str. 723).

Mija lat sto jedenaście, kiedy w roku 1764 Macpherson wydał w przekładzie na język angielski poemata Ossyana, które zebrał z ust ludu w języku galickim. Polem zdarzeń opiewanych jest północna Szkocya, mianowicie *Morwen* z sąsiedniemi wyspami, oraz Irlandya i Lochlin, tak zwany półwysep Jutlandyi.

Macpherson jako rodowity Gal, przywiązany do ojczystych wspomnień i pamiątek, troskliwie zgromadzał z nie małą pracą, drogie zabytki poematów Ossyana, syna Fingala króla Morwenu, który jest téż głównym bohatérem tych pieśni. Jeżeli imię jego brzmi w nich ciągle, zarazem przechowało się imię *Malwiny*, córki *Toskara*, która była stałą towarzyszką ociemniałego Ossyana, i sędziwemu starcowi czułą opieką i pomocą, osładzała bolesne kalectwo. Tak w poemacie *Oina-Morul* cały początkowy wstęp, téj dziewicy poświęca; podajemy go w tym *nowym* przekładzie.

„Jak po górzystéj *Larmonu* zieleni,
Niestałe słońca światło przelatuje;
Tak się w méj duszy podczas nocy cieni,
Pasmo czasów dawnych snuje.
Gdy na spoczynek idzie bardów grono,
Na ścianach *Selmy* arfy ich zawisną;
Wtedy się głosy w ucho moje cisną,
I budzą duszę uśpioną.
Głosy zapadłych w przeszłości odmęcie
I lat i czynów minionych szeregu;
O nich powieści chwytam w ich przebiegu,
I rzucam w pieśni objęcie.

A pieśń co z piersi wypływa królewskiéj,
To nie szum wody, co ciszę przerywa;
Podobna dźwiękom muzyki niebieskéj,
Gdy wielostrunna *Luta* się odzywa.
Nie milczą wtedy skały potoczyste,
Kiedy strun dotknie biała dłoń *Malwiny;*
Ty! co oświetlasz zamroczone czyny,
Twoje światło promieniste
Nawskroś przenika mą duszę ponurą,
Dziewico Luty! Toskarowo córo,
Ubiegłe lata chcę zbudzić z uspienia:
Chciéj mego posłuchać pienia!"

W pieśniach Ossyana widzimy wierny obraz pierwotnych Galów, sposób ich życia, zwyczaje, sposoby wojowania, rodzaj broni i wiele szczegółów, których żaden badacz, przedwiekowych dziejów narodu nie byłby w stanie wydobyć z tak odległéj przeszłości, bez pomocy, jaką mu niosą pieśni współczesnego śpiewaka.

Uważać je też można jako historyczne poemata z drugiéj połowy III stólecia naszéj ery. Utwory w języku nielicznego narodu Galów, którzy pomimo upływu XV wieków, mimo ucisku obcych rządów, i prawie zupełnego zatarcia śladów dawnych swych obyczajów, zdołał dotąd dochować najdroższy zabytek swéj przeszłości, to jest pierwotny język jakim przemawiali praojcowie jego i w jakim sława ich przez bardów głoszona, doszły do naszéj wiedzy.

Cóż mamy mówić o ich wartości poetycznéj? Zaledwie Macpherson ogłosił pieśni Ossyana w przekładzie angielskim, zaczęto je chciwie tłumaczyć na obce języki w całéj Europie: wszędzie wywoływały zachwyt i podziwienie. Przekładali te poemata w okresie Stanisława Augusta *Krasicki* i *Kniaźnin*, o ile się zdaje z francuzkiego tłumaczenia; w czasach księstwa Warszawskiego z angielskiego przełożył większą ich połowę *Konstanty Tymieniecki*, po nim *Kazimierz Brodziński* z niemieckiego; ale całości nie mieliśmy.

Pierwszy dopiero Seweryn Goszczyński, podług Macphersona przełożył prozą wszystkie poemata Ossyana. Wyszły one we Lwowie 1838 r. w zbiorze p. n. „Pisma Seweryna Goszczyńskiego," w którym tomy drugi i trzeci zajmują. Ostatnim tłumaczem także z oryginału angielskiego jest *Marya Ilnicka*, któréj wyborny przekład wierszem rymowym drukowała *Biblioteka Warszawska.* W niemieckiéj literaturze najlepsze jest tłumaczenie *Rhode'go:* przekłady francuzkie mniéj mają dokładności.

Pomiędzy pierwszemi wielbicielami pieśni Ossyana był Napoleon Wielki. Woził on w biblioteczce obozowéj, obok Juliusza Cezara, i Ossyana, którego z wielkiém upodobaniem po wielekroć odczytywał. Po chwilach wszakże uwielbienia, przyszła doba zwątpienia. Zaczęto wątpić o autentyczności pieśni Ossyana, i Macphersona obwiniać,

o niegodne podejście, o fałszerstwo. W lat czterdzieści trzy dopiéro po śmierci jego wyszły w Londynie 1807 roku, w galickim Ossyana oryginale, w trzech tomach p. n. „*The poems of Ossian in the original Gaelic.*“ [1])

Gdyby to wydanie galickie poprzedziło angielski przekład Macphersona, zarzuty te nie miałyby miejsca, i autentyczność poematów Ossyana nie uległaby najmniejszym zarzutom.

W zbiorze o którym mówimy, jest część tylko przełożona utworów Ossyana *Katloda* w trzech pieśniach. (Dowolny przekład z francuzkiego, drukowany w tomie XIV Pamiętnika Warszawskiego z 1819 roku); *Karton* (i ten poemat w wolném tłumaczeniu drukował Pamiętnik Warszawski w latach 1816 i 1817); *Oina-Morul* i *Kolnadona.*

Tłumacz nie tai trudności, jakie spotkać musiał żeby oddać myśli i wyrażenia galickiego poety z całą wiernością. Trudności te widzimy że szczęśliwie potrafił przezwyciężyć, i oddać je wierszem gładkim i potoczystym, jak tego próbkę małą powyżéj przywiedliśmy. Wydanie całe składa się ze stu tylko egzemplarzy: wkrótce więc stanie się rzadkością bibliograficzną. *R.*

Z podróży Oświecima. Turcya—Francya—Niemcy—Włochy. Wydał z rękopismu Klemens Kantecki. We Lwowie. Nakładem księgarni Gubrynowicza i Schmidta. 1875. (W 12-ce str. XI, 203).

W zbiorze drogocennych rękopismów jaki posiada Zakład Narodowy Imienia Ossolińskich we Lwowie, niepoślednie miejsce zajmuje pamiętnik *Stanisława z Kunowy Oświecima*, dworzanina Władysława IV, którego imię pozyskało wielki rozgłos w całym kraju, jakoby ku własnéj siostrze, przedwcześnie zgasłéj Annie, nie braterskim zapłonął uczuciem. Żegota Pauli w dziele swojém: *Starożytności Galicyjskie* (Lwów 1840 r.), na czele podał szczegóły o téj miłosnéj parze, dołączając wizerunki w całéj postaci, tak Stanisława, jak i Anny. Niebrakło i powieści osnutych na tém podaniu. W czternaście lat dopiero Karol Szajnocha w *Szkicach historycznych*, (Lwów 1854 roku) oparty na pomienionym pamiętniku samego Stanisława Oświecima, rzecz tę krytycznie i należycie wyjaśnił, oznaczając i okres, w któréj baśń podobna powstać mogła.

Rękopism Oświecima jest księgą nietylko poważną swoją objętością, lecz i treścią wielkiéj wagi. Z nagromadzonych tu wszakże materyałów, korzystano dotąd bardzo mało. Czerpało z niéj dwóch

[1]) Poemata to z galickiego, dokładnie przełożył na język niemiecki *Ahlwardt.*

tylko pisarzy, osiadłych we Lwowie, a przez to mogących korzystać łatwiéj, jak Szajnocha i Kubala.

Pierwszy znalazł w pomienionym rękopiśmie wiele zasobu, do swoich: „Dwóch lat z dziejów Polski," których znaczną część Biblioteka Warszawska drukowała, oraz do szkiców historycznych: „Domna Rozanda, Krzysztof Opaliński, i Anna Oświecimówna."

Drugi Kubala, czerpał ztąd szczegóły do pięknéj rozprawy: o *Kostce Napierskim.*

Pan Klemens Kantecki we wstępie do wydanych *Podroży Oświecima*, mówi o wysokiéj wartości jego pamiętnika, dodając, że gdy niemoże ogłosić obecnie całego rękopismu, małą zaledwie jego cząstkę podaje.

Przyznajemy otwarcie, że wydana *podróż* nie tak bogaty stanowi przyczynek do wspomnień przeszłości z tamtego okresu, a wskazana część ich przez wydawcę, jako najciekawsza, podróży królowéj Maryi Ludwiki z Paryża do Warszawy, już nam oddawna daleko dokładniéj jest znaną z *Pamiętników o dawnéj polsce* J. U. Niemcewicza.

Nie możemy wszelako zaprzeczyć, że znajdujemy w tém dziele niemało szczegółów, które zawsze są cenne dla historyka. Rozpatrzmy bliżéj ten nieznany dotąd materyał.

Pierwszą część stanowi podróż Oświecima do Turcyi. Władysław IV wysyła w poselstwie do Stambułu Jerzego Krasińskiego podstolego podolskiego, ażeby upomniawszy się o naruszenie dawnych traktatów, stosunki przyjaźniejsze z Portą Ottomańską zawiązał. Stanisław Oświecim towarzyszy mu w téj podróży.

Dnia 16 marca wyrusza orszak poselski. Droga z Kamieńca Podolskiego wiedzie przez *Żwaniec* do Chocimia. Wszystko to miejsca pełne wspomnień historycznych, a Chocim szczególnie wielką walką z całą potęgą Ottomańską w roku 1621, którą uwiecznił poematem bohatérskim Wacław Potocki. Oświecim widzi jeszcze z owego roku wały i okopy obozowe Jana Karola Chodkiewicza i Lubomirskiego, przypomina téż z rzewném uczuciem o bojach krwawych które tu stoczono.

Hospodar wołoski *Wasili Lupul* tchnący nienawiścią dla Polski, nie umie jéj zataić, i widome daje oznaki jakby z umysłu swojéj niechęci. Ostrożnie a zbrojno opuszczają Jassy, gdzie święta Wielkanocne przebyli, ostrzeżeni, że straż honorowa przydana poselstwu polskiemu, gotowa była z poduszczenia hospodara, do napadu i wymordowania wszystkich przy zdarzonéj sposobności.

Odetchnęli dopiero swobodnie, kiedy wjechali w gościnną ziemię Multan. Przybyli do stolicy *Bakaresztu.* Ponieważ poseł zachorzał, Oświecim w jego miejsce odwiedził hospodara multańskiego. Gorący wielbiciel Rzeczypospolitéj, pragnął sędziwy starzec za jéj pomocą, zrzucić ohydne jarzmo tureckie, gniotące ludy chrześcijańskie. Oświadczył z zapałem, że chętnieby ofiarował skarby swoje, a ma ich wielkie, na koszta wyprawy. Mówił więc do Oświecima: że gdyby usłyszał o prze-

chodzącém wojsku polskiém przez Dniestr w tym celu, „zarazbym dla ukontentowania onego posłał stotysięcy czerwonych złotych i drugie, a skoroby nad Dunajem stanęło, jużby się panom Polakom nietrzeba o żołd żołnierzowi frasować (o co wiem że im bardziéj gra idzie), gdyżby im ta moja siwa broda (ująwszy się za brodę) płaciła.“

„Jakoż niezawiodłoby się na tém, gdyż niemając potomka żadnego, na nic bardziéj nie życzyłby sobie skarbów, które ma niezliczone, obrócić, jak na wyswobodzenie chrześcijan.“

Uderzyła Oświecima postać cała poważna, sędziwa, jak oblicze szlachetne i otwarte, które szczerość i prawdę każdego słowa potwierdzało.

Gdy sam poseł zacnego wojewodę odwiedził, wyruszają do Sylistryi. Tu w drodze Oświecim śledząc pilnie kraj i ludzi zbiera swoje spostrzeżenia i spisuje. Chwali Turków pobożność i gorliwą modlitwę; opisuje meczety, nabożeństwa, łaźnie, mieszkania i stajnie.

Przebywają szczęśliwie Bałkany, i Oświecim kończy swój dziennik w miasteczku *Kuciugciencedzi* o dwie mile od Konstantynopola.

Część druga obejmuje podróż do Niderlandów i Francyi w roku 1645. Nasz autor wybrał się dla towarzyszenia orszakowi posłów polskich do Paryża, którzy mieli narzeczoną Maryę Ludwikę królowi Władysławowi IV przywieźć. Zajmującymi są tu opisy (str. 74) wspaniałego wjazdu posłów do Paryża, szczegółowego ubioru każdego ze znaczniejszych dworzan, jako téż i licznego orszaku, wraz z posłami; przyjęcia u królestwa, i u kardynała Mazariniego, ceremonii ślubu, oraz wyjazdu Maryi Ludwiki wraz z panią de Guebriant wdową po marszałku Francyi.

Nadszedł styczeń 1646 roku przeznaczony do wyjazdu, a zima była mroźna. Król Władysław IV, przez koniuszego swego nadesłał karety i futra: „aleć (dodaje Oświecim) miasto pociechy, nie małego żalu królowéj JMci, były te suknie przyczyną, dla niedozoru tych, którzy te suknie wyprawowali, z téj okazyi. Mało co przed śmiercią królowéj świętéj pamięci (Cecylii Renaty piérwszéj małżonki Władysława IV) porobione były te szaty w Litwie dla dam i fraucymeru dworskiego, na których dla znaku lepszego, poprzyszywane były kartki, która szata, któréj damie należała. Lecz gdy królowa umarła, szaty te zostały w skarbie, które gdy na tę okazyą posłano, na szacie królowéj JMci naznaczonéj, nie odpruto kartki z imieniem panny *Ekienberg*, o któréj królowa JMci z cudzéj, lubo podobno płonnéj wiedząc dawno powieści, żeby miała mieć prywatne z królem porozumienia, a szatę jéj sobie naznaczoną widząc, w niemały ztąd wpadła żal, rozumiejąc to być sobie na obelgę uczynione, albo téż onę sobie być zrównaną: lubo to potém różnemi wybijano królowéj JMci racyami, od téj odwodząc ją imaginacyi.“ Wspaniałe spotkało ją przyjęcie w Gdańsku, ale cały przepych i radość z jakim została przez mieszkańców tego grodu podejmowaną, zatrutą była nadbiegającemi wieściami to o słabém zdrowiu króla Władysława, to nawet o jego śmierci. Truła się tą

myślą, że zostanie pozbawioną tronu i panowania, a niemiała po co wracać do Francyi, gdzie ją nienawidząc stryj królewski książe Orleanu, zarówno jak wiele rodów najbliższych dworu, radzi byli odjazdowi jéj do Polski. Przyspieszano rychły wyjazd do Warszawy, gdy pocieszniejsza wiadomość nadeszła o polepszonym stanie króla.

Równie okazałe czekało przyjęcie królowéj w murach jéj stolicy, ale zarazem wcale nie wesołe. Władysław IV pedogrą dręczony witał ją w krześle niesiony w katedralnym kościele św. Jana i nie taił przykrego zawodu jakiego doznał, gdy w nowéj małżonce nie znalazł ani piękności, ani powabu o których go uprzedzono i jak ją przedstawiały miniatury nadsyłane z Paryża. Dotknęło to boleśnie Maryę Ludwikę, widząc że król stracił do niéj serce. Na dworze przypisywano tę oziębłość to czarom, to nawyknieniom do kobiét więcéj zbliżonych w czasie jego wdowieństwa.

Władysław był smutny i ponury w dzień potwierdzenia swego ślubu u Fary. Nazajutrz król niemniejszą okazał *melancholię*, z powodu snu jaki miał z soboty na niedzielę.

„Śniło mu się (pisze Oświecim) jakoby list pewny czytając przez okulary, spadły mu okulary z nosa, a za niemi lewe oko wypłynęło; czém bardzo poturbowany, obawiając się aby to wypłynienie lewego oka, nie było znakiem śmierci królowéj JMci, albo syna jedynego, albo jakiéj inszéj znacznéj szkody. Wybijali tę melancholiczną *apprehensyę* królowi JMci panowie senatorowie różni, z powinnemi tego aktu *gratulacyami* przychodzący, niepewność takowych snów i wiarę w nie ganiąc, a dobrą myśl przy tak wesołym akcie perswadując, któréj jednak wmówić w niego nie mogli, bo i nabożeństwo kościelne i bankiet publiczny nie wesoło odprawił i cały ten dzień i insze po nim następujące, w niezwyczajnéj, pierwéj wesoły zawsze pan, trawił melancholii."

Sen ten wszelako w części się wyśnił, bo tejże nocy umarł Stanisław Koniecpolski kasztelan krakowski, hetman wielki koronny, jeden z najsławniejszych tego okresu wodzów, który godnie piastował Buławę po Zamoyskim, Żołkiewskim i Chodkiewiczu.

Oświecim wyjeżdża na jego pogrzeb, który się odbył ze zwykłą okazałością tego rodzaju obchodu.

Po skończeniu nabożeństwa i składaniu do grobu ciała, gdy znak hetmański kruszyć miano w kościele podług dawnego zwyczaju, wjechał konno w pełnéj zbroi, Bartłoméj Brodnicki, który ten znak niósł; gdy rumak zestraszony czy tłumem zebranych, czy mnóstwem światła, wziąwszy na kieł, jezdzca swego tak uniósł, że i drzewce przed czasem złamał o belkę i sam mało z siodła nie wypadł, aż go szczęśliwie pohamowano, nabawiwszy zgromadzonych w kościele niemałego przestrachu.

Oświecim wraca do Krakowa, gdzie jest obecnym koronacyi Maryi Ludwiki. W lutym 1650 r. wybiera się w podróż do Włoch. Po drodze umyślnie wstępuje do wsi Ossie, gdzie opactwo św. Benedykta. Tu opisuje szczegółowo grobowiec Bolesława Smiałego, który w tym

klasztorze pokutował i tu zakończył życie. Podaje zarazem napisy jakie znalazł zachowane. Krytyka już dawno wyjaśniła, że napisy te były położone daleko późniéj po śmierci Bolesława Śmiałego i żadnego poważnego świadectwa dawać nie mogą. Przybywa wreszcie do Wenecyi i na tém zamyka ostatni swój dziennik podróży.

Z tego przeglądu *podróży* Oświecima, widzimy jak ta część rękopismu jego, który się przechował w Zakładzie Narodowym Imienia Ossolińskich we Lwowie, drobnym jest przyczynkiem dla wspomnień przeszłości; pożądać tém więcéj możemy, ażeby cały pamiętnik Stanisława Oświecima został jak najrychléj ogłoszony drukiem, przekonani o jego ważności dla dziejów, wiedząc ile Szajnosze był pomocnym w jego szkicach i ostatniém dziele. I ta część wówczas będzie wyższéj ceny, bo zaokrągli nam całość rękopismu, dla ogółu dotychczas nieprzystępnego.

Wydanie staranne, po wstępie są podane przypiski i poprawki objaśniające, a pod tekstem tłumaczenie wyrażeń i wyrazów łacińskich, któremi często Oświecim przeplata swoją opowieść. *W.*

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE,

NAUKOWE, LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

WARSZAWA.

Sierpień 1875.—Nakładem Gebethnera i Wolffa wyszły: *Skarb Watażki*, powieść z końca XVIII wieku, przez Władysława Łozińskiego. *Sumienny Konkurent* studyum karnawałowe przez Jana Zacharyasiewicza. *Roboty i Prace. Sceny i charaktery współczesne, przez J. I. Kraszewskiego.*

— Nakładem nowéj firmy księgarskiéj *Stoppelle i Stan* wyszła powieść przez Z. K. p. n. *Zwycięztwo Heleny* i przekład z niemieckiego, powieści Konrada Bolandena: „Nieomylni.“ Księgarnia pomieniona zaczyna druk dzieła: *Monografije historyczno genealogiczne rodzin polskich*, przez Stanisława hr. Kossakowskiego, w których brał udział znany heraldyk Julian Błeszczyński, i wydaje w czterech tomach w poprawnéj i powiększonéj edycyi.

— Nakładem J. Ungra wydane zostały *Przygody* panów Marka i Agapita podczas wystawy rolniczéj w Warszawie. Opisał Jordan autor „Wędrówek delegata.“ Dwie części w jednym tomie. (Warszawa w 12-ce, 1875).

— Nakładem i drukiem S. Lewentala wyszła powieść *Córka Morza*, przez Michała Jezierskiego, (w 8-ce str. 153).

— Redakcya *Niwy*, jako odbitkę ze swego pisma oddzielnie wydała Nowellę Fryderyka Spielhagena p. n. *Ultimo*, w przekładzie Aleksandry Callier, (w 8-ce 1875 r. str. 91).

— W Lublinie z drukarni rządu gubernialnego, wyszło: *Roczne posiedzenie Towarzystwa Lekarzy gubernii Lubelskiéj, 5 lipca 1875 roku. Rok pierwszy*, z godłem: *viribus unitis*, (w 4-ce str. 10). Daje dokładny obraz prac dokonanych i zamierzonych przez pomienione Towarzystwo, skreślone piórem dr. Józefa Talko.

— Wystawa prac uczniów szkoły sztuk pięknych w Krakowie otwarta od d. 1 b. m. wypadła nader świetnie. Dobór studyów w różnych gałęziach świadczy z jednéj strony o postępie uczniów, z drugiéj o usilności kierowników. Akademia sztuk monachijska niewątpliwie przyznałaby się do tak znakomitych rezultatów, a znakomitszych tém, że okoliczności nie bardzo szkole krakowskiéj sprzyjały, albowiem liczba uczniów w porównaniu z poprzedniemi latami niesłychanie wzrosła, a odpowiedniego pomieszczenia zabrakło. Troskliwość dyrektora i professorów starała się oczywiście, o ile możności wszelkim niedostatkom zapobiedz i w ten sposób doszła szkoła do tak pięknych rezultatów, o jakich przekonywa obecna wystawa. Zawdzięczać takowe należy professorom: Łuszczkiewiczowi, Szynalewskiemu i Grabiańskiemu, a przedewszystkiem dyrektorowi Janowi Matejce, który z poświęconą gorliwością sam pracami uczniów kieruje. W oddziale rzeźb, zastępował chorego prof. Kosowskiego, p. Gujski, znany rzeźbiarz.

— Na kongres geograficzny w Paryżu, Rossya dostarczyła mapę Królestwa Polskiego, sporządzoną przez sztab generalny w r. 1839 i pisaną po polsku, oraz dwie karty Inflant w rękopiśmie, zrobione z rozkazu króla Stefana Batorego.

— Wiadomo że we Lwowie utworzył się komitet w celu zakupienia obrazu *Unii* Matejki, pragnąc ażeby to arcydzieło nie poszło zagranicę. Składki zebrane dotąd wynoszą z górą złp. 80,000 (20,000 złr.), brakuje jeszcze dziesięciu tysięcy złotych reńskich do umówionéj ceny. Matejko jakkolwiek całkowitéj summy nie otrzymał, oddał obraz komitetowi, który tymczasowo umieścił go w Bibliotece Ossolińskich we Lwowie. Obraz pozostanie tam dopóki nowy gmach dla zebrań sejmowych nie stanie i będzie zdobił salę obrad.

— We Lwowie ruch wydawniczy coraz szersze przybiera rozmiary: nakładem księgarni T. H. Richtera wyszła powieść w dwóch tomach J. I. Kraszewskiego p. n. *Serce i ręka* (1875 r. w 8-ce). Nakładem księgarni Gubrynowicza i Schmidta ukazało się nowe wydanie pism Zygmunta Krasińskiego, wydanie nader poprawne, krytyczne i kompletne, a poprzedza je przedmowa pióra Stanisława hrabiego Tarnowskiego. Nakładem téj firmy wyszły: *Syn Znajdy*, po

wieść ukraińska w dwoch częściach, przez Piotra Jaxę Bykowskiego, (w 8-ce, 1875 r.). *Król i Bondarywna*, powieść historyczna przez B. B.

— Wychodzące we Lwowie czasopismo „Szkoła," drukuje bardzo dobrze napisaną rozprawę p. t.: „Kilka uwag w sprawie nauczania śpiewu w szkołach i seminaryach nauczycielskich," przez Stefana Grzywińskiego.

— Nakładem Karola Wilda wyszła druga połowa dzieła „Geografia Galicyi, podręcznik dla uczniów seminaryów nauczycielskich i dla nauczycieli szkół ludowych," przez Lucyana Tatomira. Jestto praca samodzielna, napisana wybornie, wiadomości w niéj dokładne, a metoda jakiéj się autor trzymał, umiejętna, tak iż słusznie nazwać ją można najlepszą geografią Galicyi ze wszystkich, jakie kiedykolwiek były napisane.

— Właściciele Wsi Wierzchowca w Galicyi pp. Ciaputowiczowie, wzbronili p. Janowi Zawiszy z Warszawy robić dalsze poszukiwania w jaskiniach, jakie w ich majętności się znajdują, utrzymując, że co wynalezione zostało w tych jaskiniach staraniem i kosztem badaczów, do właścicieli należéć powinno.

— W Poznaniu nakładem J. K. Żupańskiego wyszedł tom drugi dzieła p. n. „Krótki historyczno-statystyczny opis miast i wsi w dzisiejszym powiecie Krotoszyńskim, od najdawniejszych czasów, aż po rok 1794, przez Józefa Łukaszewicza. Obwód Borecki i Krotoszyński. Dzieło pośmiertne. Tom II (w 8-ce, 1875 str. 263). Dodany jest portret nadzwyczaj podobny zgasłego historyka i jego życiorys. Nakładem tegoż księgarza ukazały się piérwsze zeszyty powieści Bodzantowicza (Kajetana Suffczyńskiego) w przepysznėm wydaniu z illustracyami Juliusza Kossaka.—Professor Nehring, znany autor: „Dziejów literatury polskiéj," wybrany został na rok 1875/6, na dziekana wydziału filozoficznego w Uniwersytecie wrocławskim.

— W miejskiém archiwum w Gdańsku, wykryto trzy dokumenty dotyczące Kopernika. Są to zapisy stanowiące legaty dla dzieci po siostrzenicy słynnego astronoma, która miała być za Klemensem Mollerem w Starogardzie. Uwierzytelniony odpis tych dokumentów, nadesłało miejskie archiwum toruńskiemu niemieckiemu stowarzyszeniu Kopernika.

— W Gnieznie drukiem J. B. Langiego, wychodzi: „*Herbarz*" podług Niesieckiego treściwie ułożony i wypisami z późniejszych autorów, z akt grodzkich, poznańskich, z ksiąg i akt kościelnych, oraz z dokumentów familijnych powiększony i wydany przez K. Łodzia Czarnieckiego. 1872—1874 (w 8-ce str. XXXV, 222). Dzieła tego wyszło dwie części. Część *piérwsza* obejmuje krótką rozprawę o herbach i ich rysunki; część *druga* wyliczenie chronologiczne monarchów polskich, książąt litewskich i dostojników państwa duchownych i świeckich; część *trzecia* ma zawierać właściwy herbarz i genealogią rozmaitych rodów w porządku abecadłowym.

— W pobliżu *Lublany* odkryto budowle nawodne. Przy dalszych badaniach pod warstwą torfu na przestrzeni około 18 sążni długiéj, znaleziono okruchy urn i naczyń glinianych, łupiny owoców, po największéj części orzechów laskowych, pestki czereśni, kości ryb i zwierząt ssących, głównie jeleni, kóz i nierogacizny, a nawet szczękę bobra; daléj strzały kościane i młotki toporkowe z rogów jelenich, oraz kilka ostrych strzałek z krzemienia i okrągłych wielkości pięści kamieni, które służyły do rozcierania. Znaleziono wreszcie i większe, starte kamienie kwarcowe, któremi zapewnie kruszono ziarna jak w żarnach dzisiejszych. Zabytki te dostarczyły Kraińskiemu muzeum narodowemu cennych przedmiotów z czasów przedhistorycznych.

— Akademia węgierska wyznaczyła 200 dukatów nagrody konkursowéj za napisanie najlepszego dzieła: „O stosunkach międzynarodowych Węgrów do Polaków, pod względem historycznym i filozoficznym.“

— Wyszło dzieło w Paryżu, przez p. Karola de Mony p. n. *Correspondance inedite du roi Stanislas Auguste Poniatowski et de Mme Geoffrin (1764—1777).*“ Pani Geoffrin, słynna w Paryżu ze swego salonu w czasach przedrewolucyjnych, opiekowała się była nader troskliwie a nawet surowo Stanisławem Poniatowskim, kiedy bardzo jeszcze młodym będąc, bawił w Paryżu. Zostawszy królem, Poniatowski zaprosił swą opiekunkę na mieszkanie do Warszawy, gdzie jéj kazał urządzić pokoje na wzór tych, jakie zajmowała w Paryżu. Nie ustały i późniéj przyjacielskie między niemi stosunki, których właśnie wyrazem jest wydana świeżo korrespondencya, jakiéj dostarczyło archiwum domowe księcia Stanisława Poniatowskiego, ożenionego z hrabiną Ludwiką Le Hon, syna znanego senatora cesarstwa, a wnuka brata królewskiego Kazimierza, znanego pod nazwą „księcia podkomorzego.“

— *Spicker, Kant, Hume i Berkeley, krytyka teoryi poznania.* (K. H. und Berk. Eine kritik der Erkenntnisstheorie). Tamże 1875 (str. 211, 8). Autor nie podaje tu wprawdzie widoku na cały systemat Kanta, ale za to wyczerpująco przedstawia jego teoryę poznania, wykazuje chwiejność pojęcia „czyste“ tak wielką grającego rolę u Kanta (czysty rozum i t. p.), występuje przeciwko rozróżnieniu sądów analitycznych od syntetycznych, uznaje brak dostatecznego uprawomocnienia kategoryi; dowodzi przytém, że zasady Kanta w teoryi poznania w ostatecznym wyniku, prowadzą niepotrzebnie do berkeleyzmu. Nader udatnie dotyka autor kantowskich kwestyi „czasu i przestrzeni,“ stanowiącéj jak wiadomo, główną zawiasę systemu Kanta. W ogóle jest to dzieło piérwszorzędnéj wartości.

— *Gerland.* Przyczynki do antropologii: 1) Ważność i zadanie antropologii, 2) Dzieje ludzkości pierwotnéj i jéj rozwoju. Halla 1875 (str. V i 424, w 8-ce). Antropologische Beiträge: 1) Werth und Aufga-

be der Antropologie, 2) Bertrachtungen ueber die Entwickelungs und Urgeschichte der Menschheit.

Nie piérwszy raz spotykamy się z tém imieniem, Gerland zyskał sobie uznanie w zakresie antropologii. Obecna praca, obszerna, pokazuje krańcowego stronnika darwinizmu, czyli innemi słowy: Techner owskiéj teoryi *przeobrażenia.* Przypuszcza on nawet genetyczną łączność pomiędzy bytem organicznym a nieorganicznym. Stanowczo decentralizuje proces stworzenia, uznając „tylko pojedyńczo rozrzucone punkta wytwarzania istot, ale żadnych grup." Wyrobienie się wyższych typów organicznych przypisuje materyałowi spożywczemu. Za klassyczną ziemię ukształtowania się typu ludzkiego uważa przypuszczalnie południo-zachód Himmalai, to jest krainę przecięcia się trzech charakterów roślinnych: stepu, Sahary i Monsunu. Zasadę klassyfikowania typów ludzkich podług włosów (a zasadę Haeckla) zbija stanowczo.

— Z innych dzieł filozoficznych niemieckich, szczególniéj ważnemi są: *Teleologia Kanta i jéj znaczenie w teoryi poznania* (Kant's Teleologie und ihre erkenntniss-theoretische Bedeutng) p. Stadlera Aug., Berlin, 1874. Upowszechniło się zdanie pomiędzy myślicielami, że „krytyka władzy sądzenia i krytyka czystego rozumu" dwie wiekopomne budowy wzniesione przez Kanta, nie łączą się z sobą tym organicznym węzłem, jakiby łączyć powinien członki jednolitego systemu. Stadler przeciwnie uznaje bezwarunkowy związek i organiczną ciągłość pomiędzy jedném a drugiém. Dowodzi on, iż Kant wykazał krytycznie źródło pojęcia celu; że momenta tego pojęcia, w obudwu częściach systematu, zupełnie sobie odpowiadają. Po dziele C. Fischera (Historya filozofii tom III i IV), praca Stadlera zdaje się nam utworem pierwszego rzędu w téj dziedzinie, jakkolwiek ustępuje tamtéj co do zakresu.

— *Bastyan* Adolf: *Stworzenie, czy tworzenie się?—Aforyzmy o rozwoju życia organicznego.* (Schöpfung, oder Entstehung—Aphorismen zur Entwickelung des organischen Lebens. 1875, Berlin). Autor znany z wielostronnéj nauki, tak w dziedzinie filozofii jak i w przyrodnictwie, w dziele tém występuje przeciw darwinowskiéj teoryi descendencyi. Dowodzi on, że rozrost istot organicznych odbywa się stale w ramach typowych, że darwiniści zbyt wielkie przywiązują znaczenie do *form pośrednich* [1]), że fizyologia komórkowa wcale nie prowadzi do potwierdzenia hypotęzy Darwina o wytworzeniu się człowieka z pierwozwierza jednokomórkowego; słowem teoryą descendencyi nazywa fantastyczną, opartą na nadużyciu indukcyi. Życzyćby należało, aby dzieło Bastyana przyswojone zostało naszemu piśmiennictwu.

— *Hartmann: Wyjaśnienia do metafizyki bezwiedności ze szczególnym względem na panlogizm.* (Erlauterungen zur metaphysik des

[1]) Rassy krzyżowane tracą z czasem siłę produkcyjną.

Unbewussten, mit besonderer Rücksicht auf den Panlogismus). Berlin 1874. Znany czytelnikom twórca systemu bezwiedności, zwraca się tu przeciwko Volkeltowi, hegliście, który w dziele swojém: „Bezwiedność i pessymizm“ zarzuca Hartmannowi brak samodzielności i dowodzi, że jego system jak w ogóle pessymizm, nie jest nowym, że tkwił jakoby zaskórnie (im zustande des „Ansich“—alluzya do jednego ze znanych momentów logicznych w filozofii Hegla) w nauce Hegla.

W obronie tedy samoistności swojego systemu, Hartman wypowiada zasadniczy dogmat Hegla, podług którego „pojęcie mocą własnego ruchu (swoją naturą, swoim obiektywnym popędem) całą treść wysnuwa z *siebie* samego, a świadomość jest tylko biernym widzem tego procesu,“ co wcale z duchem systemu Hartmana nie licuje.

Wprawdzie, pragnąc odnowić i odświeżyć system Hegla, Volkelt przyznaje, że cała treść filozofii ducha i natury nie jest pochodzenia apriorycznego, lecz tworzy się w drodze *indukcyjnéj* z *doświadczenia*, ale to następstwo zrobione na korzyść indukcyi, wcale nie jest w duchu Hegla, Volkelt przeto przekroczył granice pełnomocnictwa. Panlogizm heglowski, sprowadzając wszystko do *pojęcia*, oddając byt cały pod władzę mechanizmu logicznego, zapomniał że pomiędzy myślą a rzeczywistością zieje przepaść bezdenna.

Broni też Hartmann samodzielności systemu i na polu eudemonizmu. (O ile jest prawdy w téj obronie, powiemy obszerniéj na inném miejscu).

— *Karol Grün* wydał (w Lipsku 1874) drugi tom dzieła p. n. *Ludwik Feuerbach in seinem Briefwechsel und Nachlass sowie in seiner philosophischen Charakterentwickelung*.

Głośny w swoim czasie myśliciel przedstawionym tu został w dwóch ostatnich okresach życia: od r. 1850—60, i od 1860—72 (to jest do roku śmierci).

Filozofia religii Feuerbacha, w ostatecznych wynikach swoich znana jest powszechnie. Historya rozwijania się myśli i charakteru filozofii może mieć ważność dla pewnego kółka wielbicieli, dla ogółu zaś jedynie zajmującym może być obraz smutnéj walki Feuerbacha z losem i kolejami życia. Wyjazd z Brukbergu, gdzie spędził lat dziesięć w zupełném osamotnieniu, Feuerbach nazywa „rozstaniem się duszy z ciałem.“ Dalsze koleję życia Feuerbacha były nader smutne, położenie graniczyło niekiedy prawie z niedostatkiem.

— *Hartmann* Die Selbstzersezung des Christenthums und die Religion der zukunft. (Rozkład Chrystyanizmu i religia przyszłości), wydanie 2-e, Berlin 1874!

† Dnia 15 lipca r. b. w Szczawnicy zakończył życie ***Włodzimierz Jelski,*** syn Ludwika, pierwszego prezesa banku polskiego. Zmarły, znanym był z prac literackich zarówno, jak z zacności charakteru. Przed zgonem pełnił obowiązki bibliotekarza zbiorów willanowskich.

Zestawienie przedmiotów zawartych w 136 tomach Biblioteki Warszawskiéj z lat 1841—1874. Przez Karola Estreichera. W Krakowie, w drukarni Leona Paszkowskiego. (W 8-ce str. VII, 319). Na czele redakcya w treściwym zarysie podaje w tym spisie bibliograficznym, wiadomość o piérwotnym zawiązku swego pisma i piérwszych założycielach, a zarazem o powiększoném gronie współredaktorów aż do roku bieżącego. Wydanie całe odbito w 500 egzemplarzach. Autor tak mozolnego dzieła w przedmowie pisze o swéj pracy: „Oddawała mi ona od lat dziesiątka nieustanną przysługę, a widząc jéj praktyczną dogodność, oddałem ją chętnie na użytek redakcyi Biblioteki, wyrażając tém życzliwość moją pismu, które uznaję za stojące na czele wszystkich publikacyi literackich polskich, dzierżące zawsze z godnością pióro dla pożytku oświaty krajowéj, najstarsze w dzisiejszéj rzeszy pism, a zarazem najchętniejsze w przygarnianiu mężów istotnéj pracy i talentu."

Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa. Cena egzemplarza rs. 1, kop. 50 (złotych 10).

CZYTELNIA LUDOWA W CIESZYNIE.

Redakcya Biblioteki Warszawskiéj.

Redaktor odpowiedzialny **K. Wł. Wójcicki.**

Wydawca *Józef Berger.*

W drukarni J. Bergera, w Warszawie przy ulicy Elektoralnéj Nr. 14

Дозволено Цензурою. Варшава, 15 Августа 1875 года

SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE TRZECIM

Z R. 1875.

—

stron.

Historya.

Dawna Rzeczpospolita Dubrownicka. Zarys jéj dziejów, urządzenia i piśmiennictwa. Przez Kazimierza Pułaskiego. . . . . 1,—256
Akademia umiejętności w Krakowie. 286
Społeczność Warszawy w początkach naszego stólecia (1800—1830). Przez K. Wł. Wójcickiego. 382

Filozofia.

Religia pozytywna, czyli nowa powszechna religia ludzkości. Rozbiór drugiéj połowy działalności umysłowéj Comte'a, z powodu nowego wydania jego katechizmu. Przez Seweryna Smolikowskiego. 60

Literatura.

Obrazy ze współczesnéj literatury angielskiéj. Przez F. Jezierskiego. 22
Wspomnienie o ś. p. Tomaszu Dziekońskim. Przez Adama Goltza. . 84
Pamiętnik z pobytu w Ameryce. Przez Krystynę Narbuttównę. . 88, 420
KRONIKA ZAGRANICZNA LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA. —Literatura Malajczyków, odkryta przez filologów holenderskich. Bidasari, poemat malajski przekładu Ludwika Backer. Pieśni liryczne.—Rozwój idei demokratycznych w stosunku do sztuk pięknych.—Wystawa obrazów w pałacu przemysłowym. Szkoła realistyczna: Respha odganiająca sępa od powieszonych synów Saulowych, Beckera.—Spisek za Tarkwiniuszów, p. Glaize.—Malarze różnonarodowi: Amerykanie, Szwajcarzy i t. d.—Prace

trzystu czternastu kobiét na wystawie.—Piekło Dantowskie, Dorego.—Obrazy religijne: Chrystus w pośród dzieci, Michela.—Śmierć św. Józefa, p. Landelle.—Chrystus w grobie, p. Sellier.—Sceny biblijne: Thamar Cabanela.—Samson p. Lehoux.—Prześladowanie za Dyoklecyana p. Sansay.—Obrazy historyczne: Julia siostra Cezara Lucylliusza, Ziera.—Śmierć Seneki i Sylwestra.—Neron, Schutzenbergera. Radegunda p. Pavis de Chavamus.—Obłąkany Van der Goes, Wantersa.—Zawieszenie dzwonu Zygmuntowskiego, Matejki.—Rycerze krzyżowi, Wojciecha Gersona.—Obrazy mitologiczne: Pyram i Thisbe p. Delobbe.—Porwanie Ganimeda p. Ferrier.—Śmierć króla Rawany, Cormona.—Ofiara Eskulapowi p. Gendron.—Bella matribus detestata, Mersona.—Juliusz Cezar, Ywona.—Portret hrabiny Caen: testament jéj na rzecz młodych artystów.—Portret pani Pasca, Bonnata.—Portrety Carolusa Duran, Rodakowskiego i t. d.—Portret pędzla panny Izydory Mikulskiéj, Uśpiona Prządka.—Krajobrazy Corota: wystawa jego dzieł w Akademii Sztuk Pięknych.—Obrazy wojenne: Bitwa pod Villersexel, Neuvilla.—Utarczka tyralierów w Malmaison, p. Boerne-Bellecour.—Pułk maszerujący, Detaille'a.—Obrazy rodzajowe: Ognie świętojańskie Juliusza Breton. Zbiór poezyi Bretona: Pola i Morza, Wiersz Sobótka. Do rodzinnéj doliny.—Posąg młodości, p. Chapu, nagrodzony wielkim medalem.—Pomnik na cześć Krzysztofa Kolumba, p. Cordier.—Zmarły Fryderyk Eichhoff: jego prace lingwistyczne i literackie.—Uroczystość w Orleanie.—Archeologia językowa.—Pomnik Liwingstona w Westminsterze.—Podpisy na pomnik dla Byrona.—Nowo odkryte dzieła sztuki: Portret Rafaela, św. Jan Chrzciciel, Michała Anioła. 104

Wilhelm Machaut, Truwer XIV wieku: Księga Voir-Dit, wierszowany jego pamiętnik.—Wystawa rzeźb: Młodość, Gloria Victis, Dziewica Orleańska.—Rzeźby religijne i rodzajowe. Wprowadzony żywioł galski: Brennus z winogradem.—Młody Gal z gałązką jemioły.—Nasi rzeźbiarze. Pomnik Teofila Gautier, dłuta Cypryana Godebskiego.—Zbiór prawnych zwyczajów u południowych Słowian, p. Bogisicza.—Studya słowiańskie p. Leger.—Rozbiór „Zemsty za mur graniczny.“—Hortensya Cornu,—Rodzina alzackich emigrantów, na stałym lądzie Australii.—Teatr berliński w ciągu dwóch lat ostatnich. Dramat, „Miłość za miłość.“—Teatr francuzki: „Babunia,“ komedya p. Cadol.—„Wieża Babel“ oratoryum Rubinsteina.—„Las“ symfonia muzyczna pani Granval.—„Miłość afrykańska,“ opera komiczna p. Paladithe, libretto Legouvego.—Literatura i Historya p. Littré.—„Andrasina, Kobiéta bez Boga,“ powieść p. des Essarts.—Młody Brown, powieść Murraya. 226

stron.

Kongres geograficzny w Paryżu. Wystawa geograficzna w odbudowanéj części pałacu Tuilleryjskiego: charakter jéj międzynarodowy:—Cesarstwo Rossyjskie—Szwecya i Dania—Holandya—Belgia—Anglia i Indye Wschodnie—Niemcy—Austrya i Węgry—Włochy—Szwajcarya—Hiszpania—Brazylia—Turcya—Rumunia—Egipt—Japonia—Stany-Zjednoczone—Chili i Argentyna—dział francuzki. Missye naukowe: sekcya szkoły języków wschodnich.—Wyprawa do Sahary.—Publikacye geograficzne.—Dzieła współczesnych podróżników.—Monografia miast i miasteczek.—Wystawa archeologiczna w pałacu Biblioteki Narodowéj.—Wspomnienia mego życia artystycznego, przez Karolinę Bauer.—Poezye Juliusza Bretona.—Felicyano Castelho, uczony Portugalczyk.—Szkoła archeologiczna w Atenach, inaugurowana przez Niemców w rocznicę śmierci Winkelmana.—Dramat muzykalny, przez p. Schuré.—Opery Ryszarda Wagnera.—Les convoitises: powieść Tony Revillon. Voyage au pays des chimères, Antoniego Rondelet. 437

Stóletnia rocznica urodzin ks. Jakóba Falkowskiego. Przez K. Wł. Wójcickiego. 135

Łukasz Górnicki. Przez Zygmunta Glogera. 139

Przyczynek do studyów nad podaniem o Twardowskim. Napisał Ernest Swieżawski. 205

Ułamek tragedyi żebraczéj z 1552 roku. Przez ks. Wł. Siarkowskiego. 289

Bijografia.

Filip Kallimach, przez Zeissberga. Z niemieckiego przełożył Kazimierz Pułaski. 271, 397

Sztuki piękne.

Przegląd krytyczny dziejów szkoły sztuk pięknych w Krakowie, (1818 do 1873). Skreślił Władysław Łuszczkiewicz. 181

Podróże.

Wycieczka do Mongolii. Przez Ludwika Niemojowskiego. 333

Powieść.

Z siedmioletniéj wojny. Opowiadanie historyczne. Przez J. I. Kraszewskiego. (Tom II). 42, 348

Rozbiory krytyczne i sprawozdania z ważniejszych dzieł wszelkiéj treści, tak krajowych jak zagranicznych.

Rozprawy i sprawozdania z posiedzeń wydziału filologicznego Akademii Umiejętności. Tom I, Kraków 1874. Napisał L. Szczerbowicz-Wieczór. 144

strou.

Przegląd Krytyczny. Kraków 1874—1875. (Od numeru 1-o do 7-go). Przez F. J. 159
Die menschliche Sprache, ihre Bildung und ihr ursprünglicher Bau von Paulin Święcicki. Leipzig. In Commission bei E. L. Kasprowicz 1875. Druck von O. Rogosz in Lemberg. Przez M. W. Dębickiego. 162
Podobizna pisma (fac-simile) Św. Wojciecha. Przez R. 163
Pisma Towarzystwa ekonomistów austryackich. Kwestya waluty. Referat D-ra Teodora Hertzki. Wiedeń, u Manza, 1875, str. 60. Przez F. Z. 295
Ostatnie chwile księcia wojewody (Panie Kochanku). Z papierów po Glince spisał J. I. Kraszewski. Warszawa 1875. Nakład Gebethnera i Wolffa. W drukarni J. Jaworskiego, (w 12-ce str. 195). Przez K. Wł. W. 303
Jedlnia, w niéj kościół i akta obelnego prawa, przez ks. Józefa Gackiego. Radom. W drukarni Jana Kantego Trzebińskiego, 1874 r. (w 8-ce str. 278). Przez R. 310
Grammatyka języka francuzkiego, na podstawie języka polskiego, opracował J. A. M. Borski, nauczyciel języka francuzkiego w c. k. Akademii technicznéj, lektor tegoż języka w Uniwersytecie lwowskim. Lwów, nakład Gubrynowicza 1875 r. Przez F. . . 313
Bibliografia Polska XV—XVI stólecia. Zestawienie chronologiczne 7200 druków w kształcie rejestru do bibliografii, tudzież spis abecadłowy tych dzieł, które dochowały się w bibliotekach polskich. Przez K. Estreichera. Wydanie Akademii Umiejętności, staraniem komissyi bibliograficznéj. Kraków, czcionkami drukarni C. K. Uniwersytetu Jagiellońskiego. 1875 r. (w 8-ce str. XVI—226). Przez K. Wł. W. 314
Historya powszechna konia, przez Maryana hr. Czapskiego. Poznań, Nakładem księgarni I. K. Żupańskiego. 1874 rok, trzy tomy. 465
Ajas. Tragedya Sofoklesa przekład Z. Węclewskiego. Poznań, 1875. 491
Pieśni Ossyjana przekład nowy z angielskiego. W Krakowie. Drukiem Fr. Ksaw. Pobudkiewicza. 1875, (w 12 str. 222). . . 496
Z podróży Oświecima. Turcya—Francya—Niemcy—Włochy. Wydał z rękopismu Klemens Kantecki. We Lwowie. Nakładem księgarni Gubrynowicza i Schmidta. 1875. (W 12 str. XI, 203). 498

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE, NAUKOWE, LITERACKIE I ARTYSTYCZNE. 169, 317, 502
KORRESPONDENCYA. 294
NEKROLOGIA. 178, 331, 508
OD REDAKCYI. Sprostowanie. 180, 332

CZYTELNIA LUDOWA W CIESZYNIE.